



# Lucy Dillon

Dobry uczynek

...może uczynić świat  
lepszym

Prószyński i S-ka

# Lucy Dillon

## Dobry uczynek

PRZEŁOŻYŁA  
ALINA SIEWIOR-KUŚ

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
ONE SMALL ACT OF KINDNESS

Copyright © Lucy Dillon 2015  
First published in Great Britain in 2015 by Hodder & Stoughton  
An Hachette UK Company  
All rights reserved

Projekt okładki  
Agencja Interaktywna Studio Kreacji  
[www.studio-kreacji.pl](http://www.studio-kreacji.pl)

Zdjęcie na okładce  
© Maria Tomova/Arcangel Images

Redaktor prowadzący  
Joanna Maciuk

Redakcja  
Ewa Charitonow

Korekta  
Maria Talar  
Zofia Firek

ISBN 978-83-8097-637-5

Warszawa 2016

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Dla Jan i Jamesa Woodów,  
najmilszych i najlepszych sąsiadów,  
jakich można sobie wymarzyć.  
Zwłaszcza jeśli się jest roztrzepaną  
i gubiącą klucze pisarką.*

# Rozdział 1

Arthur wpatrywał się w Libby; oczy jak paciorki wyrażały to, czego starszym państwu, jego właścicielom, uprzejmość nie pozwalała powiedzieć na głos, a mianowicie: „Nie zarezerwowałaś nam pokoju, co?”.

Po drugiej stronie polerowanej dębowej recepcji Libby wywołała komputerowy system rezerwacji i zastygła z dłonią nad klawiaturą. On wie, pomyślała, patrząc na Arthura. Wie, że nie mamy śladu po rezerwacji, że obecnie żaden pokój nie nadaje się do pokazania gościom i że w duchu uważam, iż psów wcale nie powinno się wpuszczać do hoteli. A co dopiero na łóżka.

Jamnik powoli machał cienkim ogonem i przekrzywiał łeb, jakby zgadzając się z Libby. Zwłaszcza w kwestii psów na łóżkach.

Libby zamruwała. To jamnik, stwierdziła w duchu, nie inspektor hotelowy.

Chociaż, jak wynika z ostrzeżeń na portalach internetowych, nigdy nic nie wiadomo...

– Dwa noclegi na nazwisko Harold – powtórzyła kobieta, przewieszając torebkę na drugie ramię. – Jakiś problem? Od ósmej jesteśmy w drodze.

– Jedziemy z Carlisle – wyjaśnił jej mąż. – Trzy przesiadki i autobus zastępczy. Herbata dobrze by nam zrobiła, skarbie.

– Tak mi przykro. – Libby oderwała spojrzenie od Arthura i uśmiechnęła się serdeczniej, w nadziei, że zamaskuje tym panikę. Tymczasem robiła w głowie gorączkowy przegląd pokoi na piętrze. Dwie godziny temu rozpoczęła operację Generalne Porządki, właśnie dlatego że hotel był pusty, i teraz w żadnym pokoju łóżko nie stało na swoim miejscu, nie wspominając już o wygładzonych poduszkach. Razem z Dawn, sprzątaczką, poodsuwały meble, żeby porządnie wyczyścić dywany; jak zauważyła Dawn, pod łózkami zebrało się tyle sierści, że można by zrobić na drutach całą kolekcję różnych piesków. Libby odepchnęła tę myśl. – Mąż i ja przejęliśmy hotel dopiero w zeszłym miesiącu – powiedziała. – Nadal uczymy się systemu rezerwacji.

Pan Harold zakaszłał i niezgrabnie przesunął dłonią po przyprószonej siwizną głowie, potwierdzając coraz silniejsze podejrzenie, które towarzyszyło Libby od chwili, kiedy zbiegła na parter, żeby odpowiedzieć na wołanie mosiężnego dzwonka w recepcji.

– Nie chciałym... Czy ma pani coś na włosach?

Libby musnęła ręką swoje jasne, sięgające za ucho włosy. Owszem. To była pajęczyna. Potężna.

– Jesteśmy w środku odnawiania – odparła, usiłując dyskretnie strzepnąć ją palcami. Może gdyby Dawn w jednym pokoju ustawiła łóżko i zamknęła wszystkie pozostałe drzwi, jakoś wybrnęliby z tej niemiłej sytuacji? – Na czym skończyliśmy? – Oderwała spojrzenie od ekranu, który tylko wprowadzał ją w błąd. – Są państwo całkowicie pewni, że było to dwudziestego czwartego kwietnia?

– Tak! Długo rozmawiałam przez telefon z waszą recepcjonistką. Starszą panią.

Starsza pani. I wszystko jasne.

– Och. W takim razie... – Libby z półki pod blatem wyjęła podniszczoną księgę rezerwacji i otworzyła pod takim kątem, aby państwo Haroldowie nie mogli zobaczyć, że piątkowych i sobotnich kolumn nie znaczą żadne wpisy. Ani ołówkiem, ani na samoprzylepnych karteczkach, ani w żadnej innej ryzykownej formie stosowanej przez jej teściową Margaret, która dopiero niedawno zgodziła się je robić.

– My z Donaldem nigdy niczego nie pisaliśmy – upierała się Margaret. – Kiedy hotel jest twój, po prostu wiesz, kogo się spodziewać.

Problem jednak polega na tym, myślała Libby, na próżno przeglądając księgę, że to już nie jest hotel Margaret. Teraz należy do Libby, Jasona i Margaret. I aktualnie nie spodziewają się nikogo.

Księga rezerwacji była jednym z pomysłów Jasona, kiedy z Libby wprowadzili się do hotelu, żeby pomóc Margaret po niespodziewanej śmierci Donalda, ojca Jasona i męża Margaret. Niestety, jak większość ich wysiłków mających na celu ułatwienie życia teściowej, także i ten przyjęła ona jako krytykę. Osobiście. Nie spodobały się jej sugestie wykorzystania internetu („Twój ojciec wcale nie był do tego przekonany, Jasonie...”), zakazu wstępu psów do niektórych pokoi ani urozmaicenia śniadaniowego menu croissantami.

Serce Libby codziennie pękało na widok Margaret. Teściowa wydawała się bezbarwna i zagubiona bez wesołego i rozsądnego Donalda, którego

uwielbiała i któremu zrzędziła nad uchem przez trzydzieści pięć lat. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Łabędź wymaga natychmiastowej interwencji – zarówno pod względem finansowym, jak i higienicznym. Aby generalne porządki mogły się rozpocząć bez urażonej Margaret, argumentującej, że większość gości nie podziela tej „paranoi na punkcie jednego czy dwóch psich włosów”, Jason musiał zabrać matkę do wielkiego Waitrose na leniwe poranne zakupy, pozostawiając Libby hotel oraz przeprowadzenie partyzanckiej akcji sprzątnięcia. Nie wspominając już o Bobie, zarozumiałym bassecie teściowej, teraz bezpiecznie zamkniętym w biurze. Libby nie zamierzała się zastanawiać, co też pies może tam wyprawiać.

– Czy to ważne? Przecież nie macie chyba kompletu gości? – zapytał pan Harold, rozglądając się po opuszczonej recepcji. Jego wzrok padł na zżarły przez mole jeleni łeb nad drzwiami do salonu i mężczyzna drgnął wstrząśnięty.

Libby westchnęła. To, jak Margaret upierała się w kwestii księgi rezerwacji, było niczym w porównaniu z buntem wobec planów zmiany wystroju. Jason wychował się w Łabędziu i nie miał nic przeciwko ostom pokrywającym wszystkie ściany w pomieszczeniach ogólnodostępnych. Libby nawet podobał się posępny urok hotelu, kiedy kilka razy w roku przyjeżdżali z Londynu. Ale teraz sprzedali londyńskie mieszkanie i przeprowadzili się tutaj z zamiarem rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Całe ich oszczędności pochłonął podniszczony budynek, w którym roiło się od jelenich łbów; na ich widok Libby przechodził dreszcz. Żałowała, że nie potrafiła znaleźć argumentów, które przekonałyby Margaret, żeby dała im wolną rękę.

W tej sytuacji, mocno ograniczeni sprzeciwami teściowej i własnym ostrożnym podejściem do finansów, Libby i Jason wieczorami samodzielnie odnawiali pokój po pokoju. Pomieszczenia były raczej w stylu Laury Ashley niż Bravehearta; cały zeszły miesiąc spędzili na zrywaniu różowej, przeładowanej wzorami tapety w pokoju numer cztery i zastępowaniu jej kojącą farbą w odcieniu gołębiej szarości. Libby wykonała kolaże z pomysłami na wystrój luksusowego hotelu butikowego, bo doszli do wniosku, że taki jest potrzebny, jeśli chcą przyciągnąć zasobniejszą klientelę. Czy jakkolwiek, skoro o tym mowa. Ich oszczędności ledwo wystarczyły na wyrwanie Margaret ze szponów banku. Na uratowanie hotelu przed niszczącym działaniem czasu pozostało niewiele.

Żadne z nich wcześniej nie przeprowadzało remontu metodą „zrób to sam” – Jason był maklerem, Libby przygotowywała materiały źródłowe do

programów telewizyjnych – ale biorąc to pod uwagę, dali radę i pokój numer cztery wyglądał ładnie. Libby wielką przyjemność sprawiało przyglądanie się, jak Jason z podwiniętymi rękawami i pociemniałymi od potu włosami operuje papierem ściernym. Dotąd zawsze widywała go w garniturze albo w luźnym stroju weekendowym. I mieli teraz czas na rozmowy we dwoje. A także na milczenie. Po prostu pracowali ramię w ramię, zmęczeni w dobry sposób, wiedząc, że każda wyszorowana deska albo oszlifowany parapet to krok naprzód. Pokój numer cztery jest początkiem czegoś cennego, powiedziała sobie Libby. Dowodem, że nowy początek pojawia się niekiedy w kostiumie strasznego zakończenia.

Jakby czytając w jej myślach, pani Harold oznajmiła:

– Pani, z którą rozmawialiśmy przez telefon, obiecała nam wyjątkowy, świeżo odnowiony pokój. Numer czwarty? Arthur lubi twarde łóżko ze względu na plecy, a jak zrozumiałam, w czwórce jest nowy materac zapamiętujący kształt?

– To rzeczywiście prawda! Czwórka ma... – zaczęła Libby, zwracając się do pana Harolda, ale zaraz przypomniała sobie, że Arthur to ten gość, który właśnie obwącjuje worek z praniem i (och, jak cudownie!) podnosi przy nim krótką nóżkę. – Czwórka, hm... Chyba wymaga jeszcze kilku dni wietrzenia. Mokra farba – zakończyła tak przekonująco, jak tylko potrafiła.

Arthur pomachał krótkim ogonkiem, ale nie rozczulił Libby. W jej planach nie było miejsca na psią sierść, choć Margaret uparcie powtarzała, że pokoje przyjazne psom to ich znak firmowy od lat.

– Mogę państwu zaproponować uroczy pokój na parterze – ciągnęła Libby. – Z widokiem na ogród...

– Co to takiego? – Pan Harold wyciągnął palec do góry i przekrzywił głowę w kierunku drzwi.

– Pewnie nasza sprzątaczką. Jest teraz na górze – wyjaśniła Libby. Dawniej w pełni wykorzystywała wynajęty odkurzacz do prania dywanów; wypływająca z niego woda hipnotyzowała je obie smolistym odcieniem. – Ale tylko dzisiaj rano. Później nie będziemy państwu przeszkadzać.

– Nie, to na sto procent coś na dworze – odparł. – Chyba że tracę słuch.

– Czasami faktycznie się zastanawiam, czy słyszysz choć słowo z tego, co mówię – mruknęła pod nosem pani Harold.

Libby nadstawiła uszu. Nic prócz szumu odkurzacza. Oraz złowieszczych chrzęstów dobiegających z biura. Zbyt późno przypomniała sobie, że zostawiła



tam pyszne herbatniki. Przeznaczone do salonu, dla gości.

– Czy przed chwilą zapiszczały hamulce? – zapytał pan Harold.

A potem usłyszeli to wszyscy – nieomylnie kobiecy krzyk. Piskliwy, urywany. Przeciął powietrze.

Na gardle Libby zacisnęła się niewidzialna obręcz.

Hotel stał na zakręcie. Wjazd na parking nie był oczywisty; kierowcy, którzy zwalniali, rozglądając się za nim, narazili się na zderzenie z kimś nadjeżdżającym z przeciwka. Oczywiście miejscowi znali drogę i dlatego – jak zapewniała Margaret – nie potrzebowali lustra drogowego, którego instalacja była dla Libby sprawą priorytetową.

– Lepiej pójde i sprawdzę, czy wszystko w porządku. Może zaczekają państwo tutaj? – Chwyciła telefon komórkowy, wyszła zza kontuaru i otworzyła drzwi do salonu. Więcej szkockich krat, kolejne wysiedziane sofy, ale przynajmniej Dawn już tu dzisiaj posprzątała, a Libby wymieniła egzemplarze „Country Life” z poprzedniego tysiąclecia na nowsze czasopisma. – Gdyby państwo i, eee..., Arthur zechcieli tu odpocząć, poczęstować się kawą albo herbatą. Zaraz wracam.

Haroldowie nerwowo zerknęli na jeleni łeb i pod jego szklistym spojrzeniem wkroczyli w perkalową wygodę pomieszczenia.

Na dworze jasne promienie słońca, przeświecające przez drzewa, zmusiły Libby do zmrużenia oczu, choć rozgrywająca się na ulicy scena była aż nazbyt oczywista.

Solidny land rover z napędem na cztery koła i czerwony mini morris zatrzymały się pod dziwnym kątem, jak autka porzucone przez znużone dziecko; mini skierowany ku żywopłotowi, land rover pośrodku drogi. Nigdzie nie było widać jego kierowcy. Mężczyzna wysiadający z mini wyglądał na zszokowanego.

Malujące się na jego obliczu poczucie winy sprawiło, że Libby przeszedł lodowaty dreszcz. Cokolwiek straszego się zdarzyło, znalazło odzwierciedlenie na twarzy kierowcy.

– Nic panu nie jest? – zawołała. – Wezwać karetkę?

Mężczyzna pokręcił głową. Miał około trzydziestki, ciemne włosy, kilkudniowy zarost; Libby pomyślała, że powinna zapamiętać te szczegóły – na wypadek gdyby później wezwano ją na świadka – i w tej samej chwili

zobaczyła, w co wpatruje się nieznajomy.

Bose stopy na ziemi, częściowo ukryte za kołami land rovera. Libby zauważyła czarny kłapek, japonkę, który impet odrzucił na drugą stronę drogi.

Poczuła ucisk w piersiach. Nogi były długie i blade. KobiECE. Podrapane łydki upstrzone kropelkami świeżej krwi.

– Nie widziałem jej – mówił kierowca mini, z niedowierzaniem pocierając twarz. – Słońce świeciło mi w oczy. Była pośrodku jezdni...

Libby podbiegła do land rovera.

Nad młodą kobietą pochylał się mężczyzna. Starszy, odnotowała w myślach; nie chciała patrzeć na ziemię. Siwe włosy, po pięćdziesiątce, koszula w kratę, sztruksowe spodnie. Przypuszczalnie rolnik. To dobrze. Będzie wiedział, co robić. Nie przerazi go widok krwi.

Libby była bardzo wrażliwa. Przeprowadzka na wieś wcale nie pomogła; wydawało się, że w okolicy Longhampton zwierzęta odznaczają się determinacją kamikadze, tyle ich ginęło na drogach.

Nie bądź taki cienias, napomniała się Libby. Kto inny może pomóc?

– Oddycha? – Zbliżyła się o krok. – Wszystko z nią... w porządku?

Mężczyzna się skrzywił.

– Uderzyła w morrisa, mnie minęła o włos. Rzuciło ją na maskę, potem spadła na jezdnię. Solidnie uderzyła się w głowę. Nie wiem, czy ma jakieś złamania, ale jest nieprzytomna, biedaczka.

Kobieta leżała zwinięta, jakby spała. Ciemne włosy niczym wachlarz otaczały jej głowę, zadarta dzinsowa spódnica odsłaniała gołe kolana. Jaskrawy róż lakieru na paznokciach u stóp stanowił jedyny wyrazisty akcent. Wszystko inne było ciemne: spódnica, włosy, koszulka z długimi rękawami. Mimo słonecznego dnia.

Przez głowę Libby przemknęła niepokojąca myśl: ona wygląda jak Sara. Poczuła przypływ opiekuńczości. To oczywiście nie mogła być jej młodsza siostra – Sara mieszkała w Hongkongu – ale Libby poruszyła bezbronność w twarzy leżącą. Kremowa cera, brązowe piegi, długie jak u lalki rzęsy. Zapominając o wrażliwości, Libby pochyliła się i dotknęła palcami gardła dziewczyny.

Skóra była zimna, ale tętno wyczuwalne. Libby odetchnęła z ulgą, uświadamiając sobie, że jej własne serce wali mocno i szybko.

– W porządku, jest puls. – Podniosła głowę. – Wezwaliście policję? I karetkę?

– Zaraz to zrobię. – Mężczyzna ruszył do samochodu.

Libby nie mogła oderwać wzroku od kobiety, ale jej umysł pracował, gromadząc praktyczne informacje. W ten sposób broniła się przed paniką. Uczestniczyła w jednodniowym kursie pierwszej pomocy dla hotelarzy (na szczęście głównie teoretycznym, bez krwawych ćwiczeń), na którym omówiono podstawowe zasady. Nie ruszać ofiary, na wypadek uszkodzenia kręgosłupa. Sprawdzić drogi oddechowe – czyste, to dobrze. Krwi nie było, choć podrapana ręka leżała pod dziwnym kątem, blada na tle szorstkiego szarego asfaltu. Krzyżowała się z białą linią.

Biała linia. Libby wyprostowała się gwałtownie i pomachała do kierowcy mini morrisa.

– Musimy zatrzymać samochody nadjeżdżające zza zakrętu. Ma pan trójkąty, prawda?

Nie poruszył się, wciąż zapatrzony w nieruchome ciało, zahipnotyzowany tym, co wydarzyło się w ułamku sekundy w absolutnie zwykły poranek. Libby też by się wpatrywała, ale miała świadomość, co upływ czasu oznacza dla tej kobiety. Na bladej skroni rósł guz wielkości kaczego jajka, pod oczami ciemniały sińce. Libby usiłowała nie myśleć o ewentualnych obrażeniach wewnętrznych.

– Trójkąty! Niech je pan natychmiast wyciągnie! Chce pan, żeby ktoś jeszcze zrobił sobie krzywdę, zderzając się z pańskim autem? – Patrzyła gniewnie.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i pobiegł do samochodu.

Libby się pochyliła, żeby ukryć szok.

– Wszystko w porządku – powiedziała cicho, kładąc dłoń na ramieniu leżącej. Tak mówił instruktor na kursie pierwszej pomocy: trzeba mówić, utrzymywać kontakt, nawet jeśli myślisz, że ofiara cię nie słyszy. – Nie martw się, karetka już jedzie. Wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze.

Znowu zapadła cisza; słychać było tylko rolnika rozmawiającego przez telefon z policyjnym dyspozytorem oraz śpiew ptaków w okolicznych drzewach. Takie tragiczne rzeczy nie powinny się zdarzać w tak sielskim otoczeniu, pomyślała Libby. W Londynie już wyłyby syreny, przechodnie zaczęłyby się gromadzić, wygłaszano by opnie. Jedni rzucaliby się na pomoc, inni obojętnie szli dalej. W Longhampton było tylko zatrzęsienie ptaków. Może też, w oddali, jakaś owca.

Refleksja sprawiła, że Libby poczuła się odpowiedzialna osobiście.

– Trzymaj się – mruknęła ponownie, starając się nie widzieć rysów siostry w twarzy kobiety. – Nic ci nie będzie. Nie zostawię cię, dopóki nie znajdziesz się bezpieczna w karetce. Obiecuję. Jestem przy tobie.

Co innego mogłaby zrobić? Libby spojrzała na gołe stopy; zdjęła swój niebieski kaszmirowy sweter i okryła je. Pomyślała, że to dziwne miejsce na spacer w japonkach. Po tej stronie drogi nie było ścieżki, a hotel od miasta dzieliła spora odległość. Czasami Libby widywała ludzi przechodzących obok z psami; przez okolicę prowadził szlak konny, jedna z tras tworzących Apple Trail. Ale kobieta nie zmierzała tam na pewno. Libby wyprowadzała na spacer Boba i wiedziała, że bez gumowców człowiek w tym błocie nie dałby rady.

Czy ona szła do hotelu? Libby rozejrzała się w poszukiwaniu torby, ale żadnej nie dostrzegła. I z całą pewnością na dzisiejszy wieczór nie było rezerwacji dla samotnej kobiety. Chociaż jeśli dyżur w recepcji miała Margaret...

Spojrzała na zegarek. Prawie za dziesięć pierwsza. Jason nie powiedział, o której zamierzają wrócić, a Margaret lubiła przeciągać wyprawy do wielkiego Waitrose. Nie tylko preferowała produkty wysokiej jakości, ale też wykorzystywała okazję, żeby pochwalić się synem, odnoszącym sukcesy finansowym ekspertem, przed przyjaciółkami z różnych komitetów, które również całe poranki poświęcały na zakupy. Libby nie chciała denerwować teściowej wypadkiem, ale nie podobało się jej, że Haroldowie zostali sami i mogą bez przeszkód zaglądać w każdy kąt, a przecież na piętrze panuje chaos. Idiotycznym pomysłem było sprzątnięcie wszystkich pokoi naraz, pomyślała, zła na siebie. Błąd początkującego – podejście właściciela domu, nie hotelarza.

Przysiadła na piętach, zawstydzona, że obsesyjnie przejmuje się logistyką, podczas gdy nieprzytomna nieznajoma może być poważnie ranna.

– Wszystko dobrze – szepnęła z nadzieją, że kobieta ją usłyszy i będzie wiedziała, że ktoś próbuje jej pomóc. – Wszystko dobrze. Nie zostawię cię.

Nuciła pod nosem, także po to, by złagodzić własną rosnącą panikę, do chwili gdy usłyszała kroki. Gwałtownie uniosła głowę w nadziei, że to budzący zaufanie policjant albo w najgorszym razie rolnik wracający z najnowszymi informacjami. Zobaczyła tymczasem barczystą postać Jasona i zalała ją ulga, niczym słońce wychodzące zza chmur.

Jason wyglądał na zaniepokojonego, ale nie zmartwionego; martwienie się nie było w jego stylu. Podchodząc, zmarszczył czoło i przecesał ręką jasne

włosy – strzechę wiejskiego chłopaka, jak żartowała Libby na początku ich znajomości. Gęste i niesforne, zawsze wydawały się nie na miejscu, gdy jej mąż miał na sobie garnitur w prążki, ale świetnie grały z kraciatą koszulą i dzinsami. Jason dopasował się do miasteczka, jak gdyby nie wyjeżdżał z niego nigdy.

– Doszło do stłuczki? Kiedy skręcałem na parking, zobaczyłem trójkąty, więc zostawiliśmy samochód i... – Otworzył szeroko oczy, dostrzegłszy leżącą na ziemi kobietę. – Chryste! Co się stało? Wszystko w porządku, dziecinko?

– Nie. – Libby zachwiała się, wstając. Kręciło się jej w głowie. – To znaczy, mnie nic nie jest, ale o niej nie można powiedzieć tego samego.

– Hej, chodź do mnie. Jesteś biała jak płótno. – Jason przytulił żonę do piersi, pocieszająco całując w głowę i masując jej plecy.

Libby poczuła, że jej ramiona się rozluźniają. Dotyk był kojący; pasowała do Jasona idealnie, czubkiem głowy sięgając jego brody. Dzięki Bogu, że tutaj jest, pomyślała i zaraz uświadomiła sobie, pod jak wieloma względami to prawda.

Już miała zapytać, czy Margaret poszła prosto do hotelu, gdy zobaczyła teściową z dwiema torbami zakupów. Przez chwilę wyglądającą jak dawna Margaret – grymaśną, w doskonale leżącym ubraniu, wiecznie się spieszącą – ale z uśmiechem znikającym z jej okrągłej twarzy, w miarę jak docierał do niej sens rozgrywającej się sceny. W ułamku sekundy zmieniła się w starą kobietę, bliższą siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki. Postawiła torby na ziemi i zakryła ręką usta. Jej oczy, wyjątkowo jasnoniebieskie, jak u Jasona, wypełniły się przerażeniem.

– O mój Boże. – Zabrzmiało to jak lament. – Co się stało?

Libby pożałowała, że teściowa tu przyszła. Minęło dopiero pół roku, odkąd Donald stracił przytomność w recepcji i zmarł na rozległy zawał przed przyjazdem karetki. Margaret była wtedy sama. Z dnia na dzień jej pewność siebie ustąpiła nerwowości i skłonności do łez w trudnych sytuacjach. Libby uwolniła się z objęć Jasona i zrobiła krok w kierunku Margaret, zasłaniając jej widok.

– Nie wiem. Nie widziałam. Kiedy wyszłam, zobaczyłam te dwa samochody i kobietę na ziemi. Nie przejmuj się, wezwaliśmy ambulans i policję. – Libby spojrzała na drogę. Dziwnie było mówić tak nad leżącą kobietą, jak nad nieobecną. – Nic jej nie będzie – dodała, na wypadek gdyby nieznajoma jednak ją słyszała.

– Wynika z tego, że zrobiliście wszystko, co się dało. – Jason stał między żoną a matką, nie wiedząc, którą powinien pocieszać pierwszą.

Libby popchnęła go w kierunku Margaret.

– Zaprowadź ją do hotelu – mruknęła. – W salonie czeka małżeństwo. Możesz się nimi zająć? Nazywają się Haroldowie. Mówią, że zarezerwowali pokój na weekend, ale w komputerze nie ma po tym śladu. – Zauważyła frustrację Jasona i pokręciła głową. – To bez znaczenia. Nie rób z tego wielkiej sprawy. Chodzi tylko o to, że gdzieś musimy ich umieścić. Sprawdź, czy Dawn skończyła któryś z pokoi. A jeśli nie zaczęliśmy z dywanem w siódemce, daj ich tam.

– Możemy coś zrobić? – zawołała Margaret.

Próbowała być dzielna, ale jej głos brzmiał żałośnie.

– Nie, pomoc już jedzie, Margaret. Idź do hotelu. – Libby spojrzała na męża. – A ty pospiesz się, zanim mama zamelduje ich w czwórce. Mają psa.

Na wzmiankę o pokoju numer cztery oczy Jasona zrobiły się okrągłe.

– Ani słowa więcej. – Ścisnął ją za ramię. – Na pewno nie chcesz, żebym tu został do przyjazdu policji? Ty swoje zrobiłaś.

Libby właściwie wolałaby, żeby ją zastąpił, czuła jednak dziwny opór przed porzuceniem kobiety.

– Nie, wszystko w porządku. Obiecałam, że z nią zostanę, i dotrzymam słowa.

– Jak ona się nazywa?

– Och... Nie mam pojęcia.

– Gdzie jej torebka?

Rozejrzeli się oboje. W pobliżu nic nie leżało.

– Sprawdź w żywoptocie – powiedział Jason, ale Libby machnięciem dłoni ponagliła go do odejścia.

– Ja to zrobię, kiedy przyjedzie policja. Ty zajmij się gośćmi. I dopilnuj, żeby mama znowu nie wpuściła Boba do salonu. Cały ranek odkurzałam sofę. Ten pies powinien już dawno wyłysieć, tyle zostawia po sobie sierści.

Jason otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili z oddali dobiegło wycie syren i wszelkie pretensje dotyczące systemu rezerwacji przesłoniło mu czyste przerażenie na twarzy matki.

Załoga karetki szybko i sprawnie pracowała przy rannej. Właśnie

wyjmowano nosze, kiedy przyjechała policja. Dwaj funkcjonariusze przesłuchali kierowców, odgradzili miejsce wypadku i przez radio przekazali instrukcje na posterunek.

Skuteczne i opanowane działania służb dodawały otuchy po wcześniejszej ciszy i bezruchu. Libby chodziła tam i z powrotem wzdłuż drogi, szukając torebki, ale niczego nie znalazła. Nie wiedziała, co dalej. Nie była świadkiem wypadku, a mimo to nie chciała odejść, dopóki nie będzie wiadomo, co stało się nieznanym. Ratownicy medyczni owinęli ranną kocem, do bladej twarzy przymocowali maskę tlenową. Teraz dziewczyna wydawała się o wiele mniejsza.

– Widziała pani zajście?

Libby aż podskoczyła. Obok niej stał młody funkcjonariusz. Mówił z miejscowym akcentem, przeciągając samogłoski, co przywodziło na myśl traktory, pola i sady jabłkowe. Akcent Jasona, wyostrzony po latach spędzonych w Londynie, zaczynał już łagodnieć, głównie dzięki spotkaniom w pubie Dzwony z kumplami, z których żadnemu nie udało się wyjechać z Longhampton na dłużej niż dwa lata.

– Nie. Usłyszałam hałas w hotelu. – Wskazała ręką kierunek. – Nazywam się Libby Corcoran. Razem z mężem jesteśmy właścicielami Łabędzia. Kiedy tu przyszedłam, sytuacja wyglądała jak teraz.

– Nie zna pani tej kobiety?

– Nie. Nie widziałam jej nigdy wcześniej.

– Wzięła pani jej torebkę?

– Nie było torebki. Sprawdziłam w żywopłocie, ale też nic. Niewykluczone, że odrzuciło ją na pole.

Policjant wyraźnie się zmartwił.

– Liczyłem, że pani ją ma. To utrudnia sprawę. Nie mamy żadnego dowodu tożsamości.

– Zupełnie żadnego? – zdziwiła się Libby. – A telefon? Sprawdziliście pod samochodami?

– Przeszukaliśmy miejsce wypadku. Zero. A pani na pewno nie widziała tej kobiety wcześniej?

– Na pewno. Dlaczego pan pyta?

Policjant zmarszczył czoło.

– Bo chłopcy z karetki znaleźli w jej kieszeni tylko kartkę z pani adresem.

– Mój adres?

Nieoczekiwany związek z nieznaną przestraszył Libby. Po co jej mój adres? Do Wandsworth jest stąd wiele kilometrów.

– Tak. – Policjanta zaskoczyła ta reakcja. – Mówiła pani, że prowadzi pani hotel, prawda?

– Och, tak, oczywiście, hotel. – O czym ja myślę? Tamten dom już do mnie nie należy. Ktoś inny krząta się po cudownej kuchni. Ktoś inny wyleguje się w wannie. Libby potrząsnęła głową. – Przepraszam, ale nadal przyzwyczajam się do nowego miejsca. Jesteśmy tutaj dopiero od dwóch miesięcy.

Policjant uśmiechnął się uprzejmie.

– Tak mi się wydawało, że nie mówi pani jak miejscowa.

– Gdybym za każdym razem przy okazji tej uwagi dostawała piątaka... – zaczęła Libby, ale zaraz ugryzła się w język. Nie dokończyła: „... miałabym z czego zapłacić połowę rachunków”.

Ale związek z ofiarą nie przestał istnieć. Ta ciemnowłosa nieznaną z gołymi nogami zapisała nazwę hotelu. Gdzieś ją wyszukała. Szła do nich. Jeszcze dwie minuty i stałaby w recepcji, a wtedy nie byłoby żadnej tajemnicy. Libby jej nie znała, za to ona znała nazwisko Libby. Nazwisko Jasona. Włoski na rękach Libby stanęły dęba.

– Nie mamy żadnych rezerwacji na dzisiaj – powiedziała.

– Może szukała pracy? Dawaliście ostatnio ogłoszenia, że przyjmiecie ludzi do sprzątanego albo kucharzy?

– Nie. Nie planujemy nikogo przyjmować.

– To może miała się z kimś spotkać w hotelu? – Policjant zmarszczył brwi. – Z przyjaciółką? Chłopakiem?

– Wybacz pan, ale to nie jest **taki** hotel – zażartowała Libby. Pojęła, że ten żart był zbyt miejski, kiedy uszy funkcjonariusza poczerwieniały. – Nie serwujemy posiłków, więc właściwie nie mamy gości, którzy do nas wpadają pod wpływem chwili – poprawiła się pospiesznie. – Ale będę miała oczy otwarte, gdyby ktoś jej szukał.

– Będę wdzięczny, jeśli da nam pani znać.

Poprosił o dane kontaktowe i zanotował je skrupulatnie. Libby kącikiem oka zauważyła, jak ratownicy wsuwają nosze do karetki. Spod koca widać było tylko brązowe włosy, przypominające Libby grzywkę siostry, która ciągle spadała Sarze na oczy, i poczuła wyrzuty sumienia. Przecież przyrzekła, że zostanie z tą kobietą.

– Powinam z nią pojechać? Do szpitala? – zapytała. – Jest sama. Nic jej nie



będzie?

– To miłe z pani strony, ale w tych karetkach nie ma zbyt wiele miejsca. A oni chcą jak najszybciej zrobić jej tomografię. – Radio zatrzeszczało; policjant odwrócił się, by odebrać. – Mam zamiary na panią. Jeśli znajdzie pani coś jeszcze, proszę do mnie zadzwonić.

– Dobrze. – Libby patrzyła, jak niebieskie światła karetki zaczynają migać. Zrobiło się jej zimno na myśl o podrapanych nogach i różowych paznokciach. Plamach koloru na bladej skórze. – Żałuję tylko, że nic więcej nie mogłam zrobić.

– Zrobiła pani bardzo dużo, zostając przy niej i od razu nas wzywając. – Policjant zerknął w swoje notatki. – Pani Corcoran.

– Libby – poprawiła go. – To drobiazg. Czy można było zachować się inaczej?

Na to pytanie odpowiedział drugi policjant, który stał obok ponurego kierowcy mini morrisa, dmuchającego w alkomat i usiłującego powstrzymać łzy.

– Mnóstwo ludzi nic nie robi, proszę mi wierzyć. Zdziwiłaby się pani. No tak. Poprosić, żeby ktoś przyniósł pani filiżankę słodkiej herbaty? – Poklepał Libby po ramieniu. – Pewnie szok dopadnie panią, kiedy tylko pani usiądzie. Często przychodzi z opóźnieniem. Ale pani wykonała tu dzisiaj dobrą robotę.

Libby uśmiechnęła się z wysiłkiem. To jego dobroć, nie szok, sprawiła, że zachciało się jej płakać.

Podskoczyła ze strachu, kiedy zawyła syrena i karetka popędziła drogą. Patrzyła za nią, dopóki nie zniknęła jej z oczu, potem mocno objęła się ramionami.

– Odezwiemy się, jeśli... Jeśli będą jakieś postępy – powiedział policjant.

Kiedy przy ostatnim słowie skinął lekko głową, do Libby dotarł wreszcie sens wydarzeń.

Przeniknął ją zimny dreszcz.

## Rozdział 2

Pierwszą rzeczą, którą po przebudzeniu zarejestrowały jej zmysły, był zapach. Kawy i środków dezynfekujących.

W pokoju był ktoś jeszcze. Kobieta. Pielęgniarka w niebieskim uniformie, która ze zmarszczonym czołem przeglądała kartę wiszącą w nogach łóżka. Kiedy się poruszyła, siostra, nie odrywając wzroku od karty, uśmiechnęła się natychmiast.

– Dzień dobry! – powiedziała.

Chciała zapytać: „Gdzie jestem?”, ale z obolałego i wysuszonego gardła, zamiast słów, wydobył się tylko skrzekliwy jęk.

– Proszę się nie ruszać – nakazała pielęgniarka. – Zaraz podam pani szklanekę wody.

W czasie, który minął od wyjścia pielęgniarki do jej powrotu z bardzo zimnym plastikowym kubkiem, dziewczyna domyśliła się, gdzie jest: sama, w szpitalnym pokoju z widokiem na w połowie zapełniony parking, z ciężką pościelą przygniatającą ją do łóżka. Jej mózg pracował wyjątkowo powoli.

Skąd się tu wzięłam? pomyślała. Miejsce, w którym powinna być odpowiedź, zapełniał mrok ciężki jak gradowa chmura. Czuła, że powinno to martwić ją bardziej, niż martwiło.

– Proszę. Niech pani pije powoli. Pewnie wciąż jest pani oszołomiona. Trochę to trwało, prawda? – Pielęgniarka włożyła jej kubek w dłoń.

Pacjentka automatycznie odpowiedziała uśmiechem, choć miała wrażenie, że coś powstrzymuje mięśnie jej twarzy. Wyciągnęła rękę; jej palce dotknęły szorstkich elastycznych bandaży na policzku.

Na głowie miała opatrunek. Jak to się stało? Co zrobiła? Uniosła dłoń do góry, żeby sprawdzić, jak daleko sięgają bandaże, ale rurka kroplówki przymocowanej do ręki zahaczyła o koc.

Pielęgniarka powstrzymała wysiłki łagodnie, choć stanowczo.

– Proszę nie dotykać opatrunku. Wiem, że panią swędzi. – Założyła rękaw do

mierzenia ciśnienia i włączyła urządzenie. – Doznała pani poważnego wstrząśnienia mózgu. Przymuszczałnie czuje się pani jak po największym kacu.

Fatalny kac. To pasowało. Głowa pulsowała od najgorszego bólu, jaki czuła w życiu, jakby mózg nie mieścił się w czaszce. Oczy piekły, pod powiekami zalegał piasek, a w ustach... Sucho. Choć było coś jeszcze. Coś większego, co błąkało się na skraju świadomości i wymykało z niepewnego uchwytu.

Leżała w szpitalu, lecz nie miała pojęcia, dlaczego i w jaki sposób tu trafiła. Wszystko było w porządku, choć w dziwnie sztuczny sposób. Jakby działo się wolno. I było zamazane, jak na fatalnym filmie.

Dlaczego bardziej nie panikuję?

– Jest pani nadal trochę oszołomiona od środków przeciwbólowych – powiedziała pielęgniarka, zanim padło jakiegokolwiek pytanie. Zsunęła rękaw. – Ciśnienie w normie. Świetnie. Mogę sprawdzić pani źrenice? Proszę spojrzeć tu. I i tu.

Dziewczyna zamrugła, skupiając wzrok na palcu pielęgniarki poruszającym się powoli do tyłu i do przodu, z boku na bok. Na identyfikatorze widniało nazwisko „Karen Holister”. Siostra miała krótkie siwe włosy, okulary w czarnych oprawkach. Jej twarz nie była znajoma, za to głos owszem. Gdy spojrzenie podążało za palcem, ruch oczu także wydawał się znajomy. Nie miała pojęcia dlaczego. Odległy trzepot strachu przebiegł przez myśl jak wiatr marszczący tafłę głębokiego jeziora.

– Co się stało? – Ten głos nie przypominał jej głosu. Był słaby i skrzeczący. Mówienie wywoływało ból. Nie tylko w gardle, ale w głowie i w klatce piersiowej.

– Miała pani wypadek. Przywieziono panią na izbę przyjęć nieprzytomną i od dwóch dni pozostaje pani pod obserwacją. Proszę się nie martwić, przez cały czas ktoś przy pani jest.

Dwa dni? Jest tu od dwóch dni?

Popijała wodę, żeby zająć czymś myśli. Lodowaty płyn ranił, spływając w wysuszone gardło, i powiększał dudnienie w skroniach. Kac. Czy to jest kac? Tak się upiła, że urwał się jej film? Gdzieś ją znaleziono?

Nic nie miało sensu.

– Dlaczego miałam wypadek?

Każde słowo okupione było bólem.

Pielęgniarka odebrała kubek.

– O co pani pyta?

– Byłam... pijana?

Szukała w myślach szczegółów, ale nie znalazła niczego poza ciemnością. Pustą przestrzenią. Jak przy włożeniu rąk do wody, kiedy nie natrafia się na żaden konkretny przedmiot.

– Nie, nie była pani pijana. Potracił panią samochód.

Samochód? Potracona przez samochód. I znowu nic. Żadnych wspomnień o karetce, bólu, strachu.

– Gdzie jestem?

– W szpitalu w Longhampton. Umieściliśmy panią w bocznym skrzydle, bo po drugiej stronie jest spory hałas. – Pielęgniarka sprawdziła notatki. Spojrzała na zegarek przypięty do błękitnej bluzy, do góry nogami. – Specjalista od urazów głowy niedługo przyjdzie panią zbadać.

– Longhampton?

To nie było w porządku. A może było?

Pielęgniarka zebrała notatki z plastikowej tacy w nogach łóżka i kliknęła długopisem. Uśmiechnęła się.

– Teraz, kiedy odzyskała pani przytomność, może będzie mogła pani pomóc nam rozwiązać kilka tajemnic. Po pierwsze, jak się pani nazywa?

Pacjentka otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, i w tej samej chwili świadomość uderzyła ją jak pojawiająca się znikąd ściana lodowatej wody.

Nie wiedziała.

Kilka minut po jedenastej pojawił się neurolog w towarzystwie pielęgniarki. Tej samej, co wcześniej.

Ona ma na imię Karen, przypomniała sobie dziewczyna. Karen Holister.

Rzeczy dziejące się teraz potrafiła zapamiętać. Jednak problemem nie było **teraz**, a wszystko to, co do **teraz** doprowadziło.

– Dzień dobry. – Lekarz się uśmiechnął, przesunął okulary ku nasadzie nosa i zaczął czytać notatki pielęgniarki. – Nazywam się Jonathan Reynolds. Pracuję na oddziale urazów głowy. A pani...?

– Mówiłam już Karen – odparła, starając się mówić z większym spokojem, niż czuła. – Nie pamiętam.

Wrażenie czarnej mgły w głowie nabrało intensywności; pod warstwą sztucznego odprężenia wywołanego lekami poczuła odległe ukłucie paniki. Ujęcie tego stanu w słowa przydało sprawie realności. I nie wywołało

nagłego strumienia informacji.

Uświadomiła sobie, że liczyła na to w duchu.

Jonathan Reynolds mruknął coś do pielęgniarki, która poszła zamknąć drzwi, i usiadł na krześle obok łóżka. Ze spokojnym uśmiechem założył nogę na nogę.

– To musi być stresujące, ale proszę się nie martwić. W wyniku wypadku doznała pani wstrząśnienia mózgu, co wywołało amnezję wsteczną. Utratę pamięci, innymi słowy. To wcale nie takie rzadkie. Zwykle sprawy w krótkim czasie wracają do normy. Po przywiezieniu do szpitala zrobiono pani tomografię. Nie było żadnych znaczących obrażeń neurologicznych, co jest bardzo pozytywnym znakiem.

Zachowywał się swobodnie, ale widziała, że ją obserwuje. Jego przenikliwe brązowe oczy poruszały się za okularami.

Jest tu od dwóch dni. Obserwują ją od dwóch dni. A ona zupełnie tego nie pamięta.

– Czy to znaczy, że doznałam uszkodzenia mózgu? – zapytała powoli. – Czy nie?

– I tak, i nie. Mózg to bardzo zabawny organ. Nie orientuję się, ile pani wie o funkcjonowaniu pamięci... – mówił lekarz tonem, jakby dyskutowali o pogodzie. – Magazynujemy wspomnienia, najnowsze i te dawne, w różnych obszarach mózgu. Jeśli uderzy się pani w głowę albo jeśli przeżyje pani bardzo traumatyczne doświadczenie, związki między nimi ulegają zerwaniu, a pani traci dostęp do tego, co wydarzyło się w ostatnim czasie. Chociaż nadal pamięta pani wydarzenia z dzieciństwa, a także umiejętności nabyte dzięki częstemu powtarzaniu. Jak chodzenie albo prowadzenie samochodu. Na razie wydaje się, że pod tym względem wszystko z panią w porządku. Mówi pani, ma skoordynowane ruchy. Musimy tylko odkryć, które obszary pani pamięci zostały uszkodzone, a następnie sprawdzić, czy zdołamy przywołać resztę. Niezwykle rzadko zdarza się, że człowiek traci pamięć całkowicie, proszę się więc nie martwić.

– Nie pamiętam wypadku.

– Nic zaskakującego. Dobra nowina jest taka, że poza kilkoma złamanymi żebrami i dość nieprzyjemnymi zadrapaniami udało się pani wyjść z niego bez poważnych obrażeń czy złamań. Mimo że ma pani kilka naprawdę widowiskowych siniaków.

Wpatrywała się w lekarza, złodowaciała z zimna pod ciepłą pierzyną środków przeciwbólowych. Ciągłe używał zwrotów w rodzaju „dobra

wiadomość” lub „pomyślny znak”. Tylko czy to mogło być prawdą, skoro ona nawet nie wiedziała, kim jest?

– Ale ja nie znam własnego nazwiska. – Wyartykułowanie problemu sprawiło, że zachwiał się świat. Jak na kolejce górskiej, która nagle zapikowała. Dziewczyna czuła się bezcielesna; balansowała na krawędzi każdej sekundy. – Nie wiem, kim jestem. Jak to możliwe, że i wy tego nie wiecie? Nie ma żadnych... dokumentów?

Lekarz (Jonathan Reynolds) spojrział na pielęgniarkę (Karen Holister), przekazując jej obowiązek odpowiedzi. Pielęgniarka przeprasząco pokręciła głową.

– Aż takim państwem policyjnym jeszcze nie jesteśmy. Nie miała pani przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Czekaliśmy, aż pani odzyska przytomność, i powie nam, kim jest.

To nie miało sensu.

– Nie miałam nic przy sobie? A co z moją torebką?

– Nie było jej na miejscu wypadku. Czy raczej policja nie potrafiła jej znaleźć.

– A telefon? Nie miałam telefonu?

– Wiem, to się w głowie nie mieści, prawda? – Lekarz się uśmiechnął. – Telefonu też pani nie miała. Policja sprawdza w biurze rzeczy znalezionych. Może ktoś coś przyniesie.

– I nikt mnie nie szukał? – Przeszyło ją kolejne dziwne doznanie, nagłe i połyskliwe, ale przeminęło zbyt szybko, żeby je rozpoznać.

Jej tożsamość zależy od innej osoby, kogoś, kto ją odnajdzie, nada jej imię. Sprowadzi z powrotem.

– Na razie nie. Sprawdzamy zgłoszenia o osobach zaginionych, to oczywiste. Ale coś jednak mamy – odparła Karen. – Policja znalazła to w tylnej kieszeni pani spódnicy. Czy to coś dla pani znaczy? Niestety, ludzie z tego domu pani nie znają.

Podła mały plastikowy woreczek, wewnątrz którego tkwiła kartka.

Torebka na dowody, pomyślała. Jak w filmach. Znalazłam się w środku telewizyjnego kryminału. Jestem tajemniczą kobietą.

Miała wrażenie, że rozmowa dotyczy kogoś innego.

Kartka została wyrwana z notatnika.

„Jason i Libby Corcoranowie, hotel Łabędź, Rosehill Road, Longhampton”.

Poniżej widniał numer telefonu.

W jej piersiach wezbrało rozczarowanie naszpikowane paniką. Nic jej to nie mówiło. To wcale nie był ślad; bardziej przypominał kawałek papieru, który trzeba odwrócić na drugą stronę, bo tam znajduje się ważna informacja.

Czy to moje pismo? – zastanawiała się. Schludne wielkie litery, bardzo wyraźne i staranne.

– Nie – powiedziała. – To... Z niczym mi się nie kojarzy.

– Nie? Nie szkodzi – oznajmił Reynolds. Jeśli był rozczarowany, nie okazał tego. – Zaczniemy teraz od próby ustalenia, w którym punkcie pani pamięć przestaje funkcjonować, a w którym zaczyna. Zadam pani kilka pytań, dobrze? Czujecie się pani na siłach?

Skinęła głową. Jaki miała wybór?

– Proszę zanadto nie zastanawiać się nad odpowiedziami, tylko mówić, co wpadnie pani do głowy.

Doktor pstryknął długopisem i spojrzał w swoje notatki, ale po namyśle odsunął je z pola widzenia pacjentki.

– Jak mnie tutaj nazywacie? Odkąd mnie przywieziono. Jakie nazwisko widnieje na mojej karcie?

Czuła się bezbronna, całkowicie zdana na łaskę obcych. Pielęgniarki nie były dobrymi znajomymi innych chorych na oddziale, ale znały ich imiona. One z kolei miały tożsamość, sposób na rozpoczęcie rozmowy. Tropy świadczące o tym, kim są. Jakaś Elsie, Camilla, Natalie.

– Nazywamy panią Jo – odparła pielęgniarka łagodnie. – Od Joanne Bloggs<sup>1</sup>. Czekaliśmy, aż odzyska pani świadomość i będziemy mogli panią zapytać o imię...

Otworzyła szeroko oczy. Joanne. Nie jestem Joanne. Ale teraz nią jestem. Oni tak zdecydowali.

– ...a jeżeli nie będzie pani wiedziała, to jak chciałaby pani, żebyśmy panią nazywali – ciągnęła pielęgniarka (Karen), jakby to było całkowicie normalne.

Przyglądali się oboje. Czekali, aż powie, jak chce, żeby ją nazywano. Kim chce być.

– Och, nie wiem, jak chcę, żeby mnie nazywano. – Miotła się pomiędzy pragnieniem, by im pomóc, a poczuciem, że nie jest w stanie podjąć tak ważnej decyzji.

– Wrócimy do tego. Damy pani czas do namysłu. – Reynolds (Jonathan) się uśmiechnął. – Gdzie pani mieszka?

– Nie wiem.

– Dobrze. Rodzice. Gdzie oni mieszkają?

– Nigdzie. – Odpowiedź padła automatycznie. To był fakt, nie odczucie. – Oboje nie żyją.

– Przykro mi. Od dawna? – Lekarz mówił tonem swobodnej pogawędki, ona wiedziała jednak, że te pytania mają starannie określony cel, polegający na wyłapaniu czegoś technicznego, medycznego, we wrażliwej emocjonalnej tkaninie jej życia.

Zacisnęła kurczowo powieki, bo ból głowy przybrał na sile, wypychając wspomnienie z umysłu. Było tam, ale nie potrafiła do niego dotrzeć.

– Nie wiem.

– Do tego też wrócimy – powiedział spokojnie Reynolds. – To dobry znak, że choć ta wiedza pozostała. Gdzie pani mieszka?

Otworzyła usta, ale... Nic. Pokręciła głową.

– Mieszka pani tutaj? W Longhampton? Albo w pobliżu? Martley? Rosehill? Much Headley?

Znów pokręciła głową. Żadna z tych nazw nie brzmiała znajomo.

– Proszę nie myśleć o nazwie, tylko o domu. Jakie zapachy pani czuje? Co pani słyszy?

Czerń za powiekami zgęstniała. Dziewczynę ogarnęła panika. A potem nagle coś kazało poruszyć się wyschniętym wargom.

– Wydaje mi się... Londyn?

To było mgliste wrażenie wysokich okien, liczenia czerwonych londyńskich autobusów. Zapach smażonych kurczaków, rozgrzane ulice, park z pożółkłą trawą. Hałas.

– Londyn! Bardzo dobrze. Cóż, w takim razie jest pani daleko od domu.

– Chociaż chyba nie ostatnio – powiedziała, nie otwierając oczu, ostrożnie poszukując w pamięci i próbując uchwycić coś kryjącego się w mroku. Żeby język przekazał to jako fakt. – Myślę, że byłam wtedy młodsza.

– Ale to dobry początek. Mieszka pani z kimś? Jest pani mężatką?

Otworzyła oczy i spojrzała na swoje dłonie, ale to nie pomogło. Nie miała obrączki ani bladego paska po niej na skórze. Paznokcie bez lakieru, ale nieobgryzione. Zwyczajne dłonie.

To nierealne, pomyślała z głową pękającą od wysiłku, że oglądam swoje ciało, szukając podpowiedzi dotyczących całego życia. Co jeszcze jej ciało mogłoby powiedzieć lekarzom, czego nie potrafi ona? Czy to możliwe, że jest



matką i tego nie pamięta, choć ma bliznę po cesarskim cięciu na brzuchu? Czy pielęgniarki zbadały jej nagie ciało, kiedy była nieprzytomna, i teraz wiedzą o czymś, o czym ona nie wie?

Ponownie ogarnęło ją szokujące wrażenie balansowania na krawędzi klifu.

Kim jestem?

– Nie wiem. Nie wydaje mi się.

– Ile lat skończyła pani w ostatnie urodziny? – zapytał Reynolds.

– Trzydzieści – odparła bez namysłu.

– Bardzo dobrze. – W głosie lekarza brzmiało zadowolenie.

Teraz jej mózg zaczął wreszcie pracować.

– Skąd wiem, że to prawda? A jeśli to ostatnie urodziny, które pamiętam?

– To niewykluczone. Ale wiemy przynajmniej, że ma pani co najmniej trzydzieści lat – odparł doktor z tą samą swobodą, spoglądając na nią znad okularów. – Nie sądzę, by ktokolwiek przed czasem wyobrażał sobie swoje trzydzieste urodziny, prawda?

Spojrzała na pielęgniarkę. Na Karen, poprawiła się w myślach.

– Zupełnie nikt nie dzwonił? Przez dwa dni?

Przecież po dwóch dniach ktoś by zauważył, że jej nie ma. Jeśli nie mąż, to koledzy z pracy.

Klatka piersiowa zaciskała się coraz bardziej. Jakiego rodzaju osoba nie ma nikogo, kto by za nią tęsknił? A co, jeśli ktoś za nią tęskni, a nie potrafi jej znaleźć?

– No cóż, nie wiemy, czy ktoś pani nie szuka. Może jest pani daleko od domu? Najpierw sprawdzono by okoliczne szpitale. – Oczy pielęgniarki Karen były brązowe i współczujące. – Niech się pani nie martwi, w sieci istnieje dobra strona dotycząca osób zaginionych. Monitoruje ją policja. No i często dzwoni i pyta o panią. To odmiana od dochodzeń w sprawie skradzionych traktorów i kradzieży w sklepach.

Znowu spojrzenie na rękę. Na jednym przegubie był długi pas obtartej skóry; opatrunek po wewnętrznej stronie dłoni zakrywał zadrapania, które powstały, jak się domyśliła, gdy przeciągnęła nią po nawierzchni drogi. Z podświadomości, jak mroczne ptaki, zrywały się pytania, które odzyskały wolność, gdy opuściła ją senność. A jeśli nikt się nie pojawi? Jeśli pamięć nie wróci? Dokąd pójdę?

– Pamięta pani, gdzie była w ostatnie Boże Narodzenie? – zapytał Jonathan Reynolds.

Bez ostrzeżenia wypełnił ją głęboki smutek.

– Nie.

Łzy znużenia wezbrały w gardle, zalały głowę, spłynęły z piekących oczu. Dostrzegła ruch – pielęgniarka spojrzała na lekarza, leciutkim ruchem brwi sugerując, że powinien kończyć. Poczwała do niej wdzięczność; doktor był ciekawy, chciał rozwiązać problem, ale ona wciąż usiłowała pogodzić się z myślą, że jest z tym problemem sama. Na odkryciu własnej tożsamości zależało jej najbardziej w świecie. W żadnym razie nie mogła się z tym równać chęć, z jaką dążył do tego Jonathan Reynolds.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie mogę... Głowa... mnie boli.

– Oczywiście. Myślę, że na razie to chyba wystarczy – odparł. – Odpoczynek jest niezwykle istotny. Zostawimy pani papier i długopis. Jeśli cokolwiek wpadnie pani do głowy, proszę to zanotować albo wezwać pielęgniarkę i jej powiedzieć. Zajrzę do pani później.

Czy to także jest test? Czy on chce sprawdzić, czy wciąż umiem pisać?

Ostrożnie ujęła długopis. Palce zacisnęły się na nim od razu, a jej zrobiło się niedobrze z ulgi.

– I proszę się nie martwić – ciągnął lekarz. – U większości pacjentów z amnezją wsteczną wspomnienia wracają po kilku dniach. To jak reset komputera.

Złapała się na tym, że naśladuje pocieszający uśmiech. A mimo to wcale nie czuła się pewniej.

<sup>1</sup> Nazwisko używane w krajach anglosaskich dla określenia kobiety o nieustalonej tożsamości (przyp. tłum.).

## Rozdział 3

Zanim Libby przeprowadziła się do Longhampton i rozpoczęła nową karierę w charakterze półprofesjonalnej kucharki przyrządzającej śniadania, nie miała zielonego pojęcia, że istnieje zarówno dobry, jak i zły sposób smażenia bekonu.

Czy raczej – że istnieje wyłącznie sposób Donalda.

– Właśnie tak. – Poinstruowała ją Margaret ze swojej grzędy za kuchennym stołem; pomimo nalegań Jasona, że od teraz to oni będą wykonywać poranne obowiązki, teściowa wstawiała przez większość dni, żeby wprowadzać Libby w tajniki prawidłowego przygotowania śniadań. – Teraz przyciśnij. – Pokiwała z aprobatą głową, kiedy synowa posłusznie przycisnęła bekon i rozległo się skwierczenie. Pod stołem, gdzie, jak wynikało z zaleceń dotyczących zdrowia i higieny, zdecydowanie nie powinno go być, Bob walił ogonem w nogę krzesła. Brzmiało to jak: „Dwie porcje, proszę. Bez keczupu”. Alfabetem Morse’a.

– Wiedziałaś, że Donald kazał przysłać tę szpatułkę specjalnie z Ameryki? – ciągnęła Margaret. – Po tej cudownej podróży, którą Jason zorganizował dla nas z okazji rocznicy ślubu. Och, bekon, który tam jedliśmy, był po prostu przepyszny!

– Naprawdę? – Libby sprawdziła grzanekę.

Wiedziała. Słyszała o tym tyle razy, że czasami zdarzało się jej zapominać, że ona i Jason nigdy nie byli w luksusowym Winnebago. Ale dzięki takim wspomnieniom po części wracała dawna Margaret, Libby słuchała zatem z radością. Nie ustawała w poszukiwaniach najlepszego sposobu na poradzenie sobie z żalobą teściowej; Corcoranowie należeli do ludzi z rodzaju: „Nie, nie, zajmijmy się sprawami praktycznymi”, więc był to jedyny sposób, w jaki Margaret potrafiła wyartykułować swoją stratę. Libby dokładała wszelkich starań, ale jej wrodzona życzliwość była odrzucana, świadomie bądź nie. Teściowa nie mogła, może nie chciała, dopuścić jej na

tyle blisko, by przyjąć tę pomoc. Jeśli zatem już decydowała się mówić, Libby nie miała nic przeciwko słuchaniu.

W myślach odhaczała poniedziałkowe obowiązki, podczas gdy Margaret lirycznie rozwodziła się nad późnymi śniadaniem, pięknymi jesiennymi liśćmi, codziennymi telefonami Donalda do hotelu, żeby sprawdzić, czy nie spłonął w trakcie ich pierwszej tak długiej nieobecności. Dzisiejszego wieczoru Libby i Jason zamierzali rozpocząć pracę w pokoju numer sześć i Libby wprost nie mogła się doczekać widoku męża operującego parowym urządzeniem do usuwania tapet. To wielki plus zdecydowanej odmowy Margaret wzięcia udziału w remoncie, przypomniała sobie, tłumiąc ziewanie. Prywatność. I tumany pary.

– ...tak bardzo tęskniłam za Bobem. Byliście z Jasonem bardzo dobrzy – dokończyła Margaret, uśmiechając się smutno. – Nigdy nie zapomnę tych dwóch tygodni. To takie szczęśliwe wspomnienia.

– Cieszę się. Zasługiwaliście na miłe wakacje. – Libby skoncentrowała się na wlewaniu jajka do dołkownicy, kolejnego elementu idealnego śniadania w hotelu Łabędź. Po czym dodała, ponieważ przychodziło jej to na myśl za każdym razem, gdy słyszała rocznicową opowieść: – Ale wiesz, że połowę zapłacił Luke?

Luke był rzadko widywanym starszym bratem Jasona. Czarną owcą w rodzinie, chociaż Libby nie do końca rozumiała dlaczego. Rzeczywiście we wczesnej młodości szalał, jak wynikało z relacji Jasona (po części przepełnionej podziwem), potem zaciągnął się do wojska, ale teraz miał własną firmę instalującą alarmy przeciwwłamaniowe i robione na zamówienie domowe systemy bezpieczeństwa. Luke zapłaciłby za całą podróż, gdyby Jason się nie uparł, żeby koszty podzielić po połowie. Dzięki temu było ich stać na lepsze bilety, szampana w hotelach i tak dalej. W rezultacie podróż okazała się droższa niż dwa tygodnie Jasona i Libby na Bali.

Starła się nie myśleć o Bali. Czasy luksusowych zagranicznych wojaży przeszły teraz definitywnie do historii; każdy grosz przeznaczali na przekształcenie hotelu w przytulne gniazdko, wystarczająco atrakcyjne dla ludzi z Londynu, żeby spędzili dwie i pół godziny za kierownicą. Życie Libby obracało się teraz wokół cudzych wakacji. I bardzo dobrze! – mówiła sobie. Ten nowy początek miał potencjał stania się życiem, które okaże się lepsze od poprzedniego.

– Ale to był pomysł Jasona, prawda? – upierała się Margaret. – On wszystko

zaplanował. Zawsze był rewelacyjnym organizatorem. Odziedziczył to po ojca.

– Szczerze mówiąc, Margaret, planowaliśmy wspólnie. To była praca zespołowa. – Dłoń Libby uniosła się nad tosterem. Pan Brayfield z dwójki zamówił białą grzankę czy pełnoziarnistą? – Ja zbierałam materiały do filmu dokumentalnego o Partii Herbacianej dla BBC Four, więc opracowałam trasę. Luke wybrał loty. Asystentka Jasona też miała swój udział: godzinami szukała w internecie odpowiednich hoteli! Pamiętasz, jakie to było pieczywo, białe czy ciemne? – Spojrzała na teściową i zobaczyła, że ta się dąsa.

– Wiem, moja droga. I bardzo wam byliśmy wdzięczni. Ale Jason miał wówczas szalenie wymagającą pracę – powiedziała Margaret. – Donalda i mnie wzruszyło szczególnie, że znalazł dla nas czas.

Libby sięgnęła po swoją mocną kawę. Mogła przez cały dzień słuchać cierpliwie, jak Margaret opowiada o Donaldzie, ale choć bardzo kochała Jasona, teraz chrapiącego w łóżku, podczas gdy one pracowały w kuchni, uważała, że daleko mu do idealnego syna z czułych matczynych wyobrażeń. W końcu nie bez powodu mieszkali obecnie w Longhampton, zamiast szykować się do kolejnej egzotycznej wyprawy. A poza tym nie tylko on miał szalenie wymagającą pracę; Luke także był zawsze zajęty, a jednak w Dubaju jakoś nie miał problemów z lotami...

To, jak Margaret otwarcie faworyzowała Jasona, było przedmiotem żartów od zawsze. Tyle że teraz zabrakło Donalda, który z łagodną naganą cmokałby na żonę. Cóż, Libby uważała, że takie wykluczanie Luke'a jest bardzo nie w porządku.

– Wszystkim nam zależało, żebyście się dobrze bawili.

Margaret dostrzegła jej zakłopotaną minę.

– W to nie wątpię. I naprawdę bawiliśmy się świetnie. – Uśmiechnęła się smutno. – Ciemne pieczywo. I tym razem pokroiłaś je w trójkąty, Elizabeth? Przepraszam, że taka ze mnie maruda.

– Wcale nie jesteś marudą – skłamała Libby. – Wiesz... Gdybyś chciała wyjść z Bobem na poranny spacer, to idź, ja tutaj skończę.

– Nie. Zaczekam, aż Jason zejdzie na dół. Chcę go o coś zapytać. – Teściowa dołała sobie herbaty. – Dzisiaj jest dzień zooterapii i zastanawiam się, czy Jason mógłby mnie zawieźć do szpitala. Wizyta Boba jest, bez dwóch zdań, dla tych kochanych staruszek wydarzeniem tygodnia.

Jak na zamówienie Bob pod stołem jęknął przeciągle, po czym w powietrzu

rozszedł się nieprzyjemny odór. Libby musiała odwrócić się do lodówki, żeby ukryć grymas niedowierzania.

Bob – albo Broadpaws Bobby Dazzler, jak wynikało z pięciopokoleniowego rodowodu wiszącego w toalecie na parterze – władał hotelem Łabędź z tym samym rodzajem czarującego autokratyzmu, który Libby przypominał otumanionego sukcesem Karola II. Kiedy pojawił się jako pomarszczony szczeniaczek, był Bobem, ale jego władcze zachowanie, gardło znaczone plamkami jak u gronostaja, gęsty płaszcz błyszczącej czarnej sierści i ekspresyjne rude brwi skłoniły Jasona do nadania mu szlacheckiego tytułu sir Boba, a po kilku miesiącach do wyniesienia psa do godności lorda; od awansu na króla dzielił go zaledwie krok. Mimo że ignorował większość domowych zasad, spał we wszystkich zakazanych miejscach i był absolutnie niegodny zaufania, gdy w grę wchodziło masło, owinał sobie wokół wielkiej łapy Margaret, podobnie zresztą jak większość gości, którzy do księgi pamiątkowej wpisywali zachwycone komplementy o „psim gospodarzu”.

Lorda Boba, jak i wielu innych samolubnych i wrednych, także ratowała niestrudzona praca dobroczynna. Jego odwiedziny w hospicjum i na oddziale dziecięcym szpitala, w charakterze najbardziej popularnego psa biorącego udział w zooterapii, czule dokumentowano na kartkach bożonarodzeniowych Margaret i Donalda, na których nierzadko występował w kostiumie psiego Świętego Mikołaja. W domu wyprawiał różne rzeczy, w miejscach publicznych był natomiast uosobieniem uroku i posłuszeństwa. Znosił każdą ilość poklepywania, gładzenia i rozplływania się, wyglądając przy tym tragicznie. W sposób, w jaki może wyglądać wyłącznie basset.

Libby wyjęła mleko z lodówki i zmierzyła Boba wzrokiem. Poruszające się fałdy na jego głowie sugerowały, że pies coś je. Pewnie kawałek bekonu, bo Margaret też wyglądała na winną.

– Gdzie dzisiaj występuje? – zapytała Libby.

– W ośrodku opieki dziennej dla seniorów. – Mina teściowej była niemal tak melancholijna, jak jej psa. – Dla niektórych z nich pieśczoć z Bobem to jedyna szansa na okazanie uczucia. Pojechałabym sama, ale parking jest tam strasznie ciasny. Nie ufam sobie...

– Och, Margaret, nie mów tak! Jesteś świetnym kierowcą! – Libby odstawiła mleko i podeszła, żeby uściskać teściową.

Kiedy przyjeżdżała z Jasonem do jego rodziny, najtrudniej było jej znieść ten niezrozumiały brak pewności siebie. Najbardziej lubiła ruch, ożywienie

otaczające matkę męża. Telefony dzwoniły, na listach odhaczano pozycje, wpadali ludzie, wydawano polecenia. Słynne układy kwiatowe Margaret były orgią koloru i energii, podobnie jak typowe dla niej zadziorne szale. Teściowa do tego stopnia różniła się od jej matki, Diane (niespokojnej, z fobią na punkcie zarazków, obecnie mieszkającej z drugim mężem w Jersey), że Libby często powtarzała Jasonowi, iż jedynym powodem, dla którego zań wyszła, są jego rodzice.

A teraz Margaret przestała prowadzić samochód i prosiła syna o podwiezienie.

Libby wiedziała, że nie chodzi wyłącznie o parkowanie, i nie miała nic przeciwko ich wspólnemu spędzaniu czasu, ale nie byłoby dobrze, gdyby dzisiejszego ranka Jason znikł na kilka godzin. Nie licząc rozpoczęcia prac w pokoju numer sześć, miał także dokończyć sprawy rachunkowe, które pozostawały w niepokojącym stanie. Księgowi domagali się faktur, a Jason zwodził ich od tygodni, próbując odnaleźć dokumenty.

Margaret z westchnieniem poddała się uściskowi; Libby ponad jej kędzierzawą głowę nie spuszczała oka z jajka, które teraz miało koronkową, złoto-brązową, kruchą otoczkę.

Przynajmniej jej sadzone niemal dorównywały wymaganiom.

– Wiesz co? – powiedziała, po raz ostatni ściskając Margaret. – A może to ja zawiozę cię do szpitala? Ciągle myślę o tej biedaczce, którą w piątek potracił samochód. Jeśli nadal tam jest, chętnie ją odwiedzę. Sprawdź, co u niej.

Policjant prowadzący dochodzenie zadzwonił w weekend, z pytaniem, czy do hotelu przyniesiono cokolwiek, co mogłoby pomóc w identyfikacji kobiety, która nadal była nieprzytomna, a nie pasowała do rysopisu żadnej z osób zaginionych. Od tamtej chwili Libby dręczyła myśl o leżącej samotnie, bezimiennej i zdezorientowanej nieznajomej.

– Och, to byłoby z twojej strony bardzo miłe, Elizabeth! – Margaret pojaśniała. – Może jednak to Jason powinien przyjechać i...

– Świetnie parkuję. Nawet Jason tak mówi. Uczyłam się prowadzić w centrum Londynu. Poza tym dziś jego kolej na dyżur w recepcji – odparła Libby. – Miejmy nadzieję, że gdy będzie tu sam, nie stanie się nic złego.

Przekroczywszy z Margaret i Bobem próg szpitala, Libby zyskała przelotny wgląd w życie dam dworu. Albo w to, jak to jest, gdy nosi się czapkę

niewidkę.

– Dzień dobry, Bob. Ty przystojniaku! – zaświergotała Sonia, siostra oddziałowa, i dodała po namyśle. – Dzień dobry, Margaret! Bardzo dziękuję, że go przywiozłaś. Nie powinnam nikogo faworyzować, ale to nasz ulubiony pies biorący udział w zooterapii. Prawda? – zwróciła się do Boba, który sapnął i usiadł, by zaraz się położyć.

Wcielenie majestatycznego spokoju, z długim, poznaczonym plamkami nosem między łapami.

– Bob! – Kolejne dwie pielęgniarki pojawiły się znikąd. – Czekałyśmy na ciebie! Jest uroczy – zwróciła się jedna z nich do Margaret. – Zawsze powtarzamy, że wygląda jak z reklamy!

– Owszem. Jeden z jego krewniaków znalazł się na pudełku z psimi herbatnikami Bonio! – Margaret aż pojaśniała z dumy. Bob miał na sobie kubraczek zooterapii i przyjaźnie machał ogonem do zbliżającej się widowni. Nie wyglądał tak sympatycznie, pomyślała Libby, kiedy przed wyjściem usiłowała sprzątnąć mu sprzed nosa ostatnią grzankę. – Drogie panie, to moja synowa, Elizabeth.

Libby uśmiechnęła się i uściśnęła dłonie pielęgniarkom. Siostra oddziałowa wydała przepustki.

– Proszę. Teraz oficjalnie należysz do drużyny Boba! – powiedziała Margaret, zawieszając kartonik na szyi.

Po jednej stronie widniało zdjęcie Boba, po drugiej napis: „Gość”.

– Mam was oprowadzić? – zapytała siostra oddziałowa. – Chodźmy do poczekalni. Ma wielką widownię.

Jak osobista asystentka podążająca za gwiazdą rocka pierwszej jasności, Libby poszła za lordem Bobem, kiedy ten wstał i podreptał korytarzem. Trzymał się blisko Margaret nawet bez łapówki w postaci sera. Jakby od zawsze w ten sposób chadzał na spacer.

Po dziesięciu minutach pławienia się w cudzej chwale Libby przeprosiła psie adoratorki i wyruszyła na poszukiwania tajemniczej nieznajomej. Przeszła wzdłuż dwóch korytarzy, na których nie spotkała nikogo ze szpitalnego personelu, aż w końcu trafiła na osławione Drzewo Dobroci, rozkładające konary między dwoma automatami ze słodyczami.

Przyjrzała się z zainteresowaniem.



O Drzewie Dobroci słyszała bardzo wiele od Margaret, która opisywała je jako coś „abolutnie wyjątkowego, czego poza Longhampton nie ma nigdzie”. Malowane konary sięgały sufitu; pokrywały je zielone kontury liści i samoprzylepne karteczki w kształcie lecących ptaków, na których ludzie dziękowali nieznanym za drobne przysługi. W zamiarze miało czcić drobiazgi, dzięki którym żyje się lepiej, i stanowić źródło inspiracji, wysyłając do mieszkańców miasta „ptaki” dobroci. Margaret stwierdziła, że to najpiękniejsze podsumowanie ducha społeczności.

– Ludziom tutaj zależy. Opiekują się sobą wzajemnie.

Libby słyszała to co najmniej cztery razy w tygodniu.

Musiała jednak przyznać, że karteczki stanowią wzruszającą lekturę. Przekrzywiła głowę, by odczytać kilka z nich.

„Dziękuję nastoletnim chłopcom, którzy wnieśli mi wózek dziecięcy, kiedy dworcowa winda się zepsuła. Przynosicie zaszczyt liceum w Longhampton!”.

„Dziękuję pielęgniarkom, które opiekowały się moim tatą podczas operacji serca, zwłaszcza pielęgniarce Karen, która w jego imieniu grała na loterii”.

„Dziękuję członkiniom grupy robótek ręcznych, które po kolei zawoziły mnie do kościelnej sali zebrań, kiedy złamałam nogę”.

Zaskakująco mało znajdowało się tutaj ukrytych przechwałek; Libby na próżno szukała wzmianek o wypożyczeniu letnich domów czy akcjach dobroczynnych. Generalnie chodziło o codzienne utrapienia, które złagodziła ludzka pomoc. To rzeczywiście miłe, pomyślała. Miłe dzięki fundamentalnej przyzwoitości. Dobrze było sobie przypomnieć, że wręczenie obcemu dwudziestu pensów do parkometru, który nie wyda reszty, może rzeczywiście poprawić mu humor na cały dzień.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał ktoś za jej plecami.

Libby się odwróciła. W informacji były dwie recepcjonistki. Jedna rozmawiała przez telefon. Druga nosiła plaketkę z napisem: „Cierpliwości! Jestem na stażu!”.

– Owszem – odparła Libby. – Szukam pewnej kobiety. Ale nie wiem, na jakim jest oddziale.

Recepcjonistka położyła dłonie na klawiaturze.

– To nie problem. Proszę podać nazwisko.

– Nie znam. Uległa wypadkowi przed moim domem. Policja pozostaje ze mną w kontakcie. Próbuje ustalić jej tożsamość.

Oczy dziewczyny błysnęły.

– Och, mówi pani o tej tajemniczej kobiecie z wypadku, którą przywieziono na izbę przyjęć?

– Paula! – mruknęła jej koleżanka, przewracając oczami. – Nie, przepraszam, to nie było do ciebie – dodała do słuchawki.

Libby przypomniała sobie, że wciąż ma przepustkę. Zaprezentowała ją tak, żeby połowę było widać nad kontuarem. Jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki palce Pauli zaczęły biegać po klawiszach.

– Wydaje mi się, że jest w pojedynczym pokoju obok oddziału Deana w skrzydle Loughborough. Proszę tam zapytać

Druga recepcjonistka przyjrzała się Libby uważnie, ta jednak uznała, że skoro już wszystko wiadomo, czas się zbierać. Zanim koleżanka Pauli skończyła rozmowę i zaczęła zadawać pytania, Libby szła już białym korytarzem.

Tajemnicza „ofiara wypadku drogowego” zajmowała pokój naprzeciwko pustej recepcji oddziału Deana. Drzwi uchylono wystarczająco, by Libby mogła dostrzec siedzącą na łóżku postać.

Twarz była niemal tak biała, jak wtedy, gdy kobieta leżała nieprzytomna na drodze; widok bandaży na jej głowie sprawił, że Libby zadrżała na myśl, co może się znajdować pod nimi. Ręce wystające z rękawków szarej koszulki znaczyły fioletowe siniaki, skrzyżowane nogi tworzyły pod pościelą kształt pączka. Kobieta trwała pochylona do przodu, oparłszy na dłoniach trójkątną brodę.

Libby zastanawiała się, na co nieznajoma patrzy z takim skupieniem. Tamta marszczyła czoło, jakby zastanawiała się nad czymś intensywnie. Nagle potarła twarz i zamrugła. Posmutniała. Kąciki brązowych oczu opadły.

Libby się zawahała – czyżby była nieproszonym gościem? Ale w pustym pokoju nie było niczego. Żadnych kwiatów, kartek, znajomych przedmiotów od rodziny, by rozweselić chorą. Kiedy Libby usuwano woreczek żółciowy, sala wyglądała jak kwiaciarnia, bo bukiety przynieśli: Jason, przyjaciółki, Margaret i Donald, siostra, dawny szef. Mimo że w szpitalu spędziła zaledwie trzy dni, pod koniec pobytu ten nieprzerwany kwietny strumień był niemal żenujący. Zupełnie jakby stała na progu śmierci, a nie odzyskiwała siły po drobnym zabiegu. Dwa bukiety dostarczono już po jej powrocie do domu.

Czy to w ogóle jest pora odwiedzin? Czy ta kobieta czuje się na siłach, by

przyjmować gości?

Libby cofnęła się o krok i rozejrzała po korytarzu, szukając kogoś, kogo mogłaby o to zapytać, ale sądząc po zamieszaniu w sąsiednim pokoju, cały personel zajmowała pacjentka, która za wszelką cenę zapragnęła wyjść. Nadbiegające z przeciwnego końca oddziału dwie pielęgniarki nie poświęciły Libby nawet zerknięcia.

Zwróciła natomiast uwagę tajemniczej kobiety, która odwróciła głowę, by sprawdzić, kto stoi w progu jej sali. Wpatrywała się w Libby z ostrożną ciekawością.

– Dzień dobry! – powiedziała Libby. Pomyślała o wpisach na Drzewie Dobroci. Podziękowania za odwiedziny w szpitalu znajdowały się w co najmniej jednym. – Przepraszam, mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za intruza? Jestem Libby. Libby Corcoran. Pracuję w hotelu Łabędź. Byłam świadkiem pani wypadku. Pojechałabym z panią do szpitala, ale w karetce nie było miejsca...

Kobieta zmarszczyła czoło.

– Dziękuję pani. Przykro mi, ale zupełnie tego nie pamiętam. Mam amnezję wsteczną. I mnóstwo siniaków. – Krzywiąc się, zmieniła pozycję. – Oraz trzy pęknięte zębra.

– Och nie! Brzmi paskudnie. Ale nie doszło do żadnych...? – urwała Libby, wykonując dłońmi nieokreślone ruchy wokół głowy.

I nagle ogarnęła ją wątpliwość, czy należy pytać o obrażenia mózgu.

– Nie, nie ma uszkodzeń neurologicznych. No, nie licząc amnezji. Wygląda na to, że miałam szczęście. Obandażowano mnie z powodu zdartej skóry. Musiano mi zgolić włosy, żeby oczyścić rany. Po zdjęciu opatrunków będę miała superfryzurę. – Nieznajoma zrobiła śmieszoną minę.

Jest ładna pomimo tej szpitalnej bladości, pomyślała Libby. Zdecydowany nos, długie ciemne rzęsy, małe usta, piegi, które przypominają Sarę, porcelanowa cera, rumieniąca się albo siniacząca w ułamku sekundy...

Kobieta dostrzegła, że gość stara się nie patrzeć na jej podbite oko, i z zakłopotaniem musnęła palcem siniec.

– Wygląda, że jest o wiele gorzej niż w rzeczywistości. Przeżyłam szok, kiedy po raz pierwszy poszłam do toalety.

Libby nie spodziewała się, że nieznajoma będzie tak skora do rozmowy. Może jest na środkach przeciwbólowych? Stała w progu, niepewna co dalej.

– Przepraszam, nie zapytałam, czy czuje się pani na siłach przyjmować

gości. Na pewno jest pani zmęczona. Powinam...?

– Oczywiście, proszę wejść. Chciałabym usłyszeć więcej o samym wypadku, jeśli pani tak uprzejma. – Chora wskazała na krzesło przy łóżku.

Siadając, Libby zauważyła na kocu notatnik i długopis. Kiedy kobieta zaczęła pisać, dostrzegła swoje nazwisko – Libby Corcoran – skreślone starannym pismem. Towarzyszyły mu słowa: „Świadek wypadku, hotel Łabędź”.

– Przepraszam – powiedziała kobieta, nie przestając notować. – Zapisuję wszystko. Ponoć ten typ amnezji nie wpływa na podstawowe umiejętności, wyłącznie na niedawne wspomnienia. A w moim przypadku także na przypadkowe ważne informacje, w rodzaju nazwiska. Nie mogę nawet się pani przedstawić.

Uniosła głowę, a bolesna bezbronność w jej wzroku sprawiła, że Libby aż się wzdrygnęła.

– Och... Zatem jak powinienam się do pani zwracać?

Usiłowała wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy się nie zna własnego imienia i nazwiska, ale nie potrafiła.

– Pielęgniarki mówią do mnie Jo. Od Joanne Bloggs, anonimowej siostry Joe’ego Bloggsa.

Powiedziała to z tak śmiertelną powagą, że Libby się roześmiała.

– To chyba lepsze niż Ann O’Nymous! Ta Irlandka z amnezją...

Kobieta z wysiłkiem przywołała na twarz półuśmiech, który niemal natychmiast zastąpiło przerażenie.

– To niesamowite, straszne wrażenie, nie wiedzieć, kim się jest! Nie znać własnego adresu ani numeru telefonu. Nie mogę zadzwonić po kogoś bliskiego, żeby mnie stąd zabrał. Policja też nic nie wie. Nikt nie zgłosił mojego zaginięcia.

– Naprawdę? – Libby próbowała wejść w buty rozmówczyni. – Nic pani nie pamięta? Zupełnie nic?

Kobieta zacisnęła wargi.

– Wiem, że moi rodzice nie żyją. Wiem, że mam co najmniej trzydzieści lat. To musiało być pamiętne przyjęcie, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Wychowałam się w Londynie. Co do reszty... Jest tylko pustka. Lekarz uważa, że już niedługo jedna znajoma rzecz przywoła być może wszystkie wspomnienia. Twierdzi, że często skuteczne są zapachy. Albo muzyka. Przypadkowe sprawy. Ten rodzaj amnezji, który mam, nie trwa zazwyczaj

dłużej niż kilka dni. – Zdołała się uśmiechnąć, ale uśmiech nie objął smutnych oczu. – Zatem trzymajmy kciuki.

Libby uniosła zaciśnięte dłonie.

– Może spróbuję potrenować pani pamięć? Powinnam nazywać panią Jo? Joanne?

Kobieta zmarszczyła piegowaty nos.

– Szczerze mówiąc, nie czuję się jak Joanne.

– Więc nie jest pani Jo. A Jenny? Catherine? Louise?

– Żadne z tych imion.

– Charlie? Jessica? Erin? Becky? – Libby urwała.

To wszystko były imiona jej londyńskich przyjaciółek. Wymieniała listę kontaktów z Facebooka. Przeszył ją dziwny dreszcz, którego w tej chwili wolała nie analizować.

– Tak wyglądam? Jak Becky? – Ironiczne uniesienie brwi, świadczące, jak pokręcona jest ich rozmowa. – Dla mnie Becky to zawsze blondynka. Pani mogłaby nią być.

– Ha! Dziękuję – odparła Libby. – Chętnie zamieniłabym imię na jakieś bardziej interesujące. W mojej klasie cztery dziewczynki miały na imię Elizabeth. Jako dziewięciolatka przez cały rok upierałam się, że jestem Philomeną.

– Naprawdę? Dlaczego? Nie wygląda pani jak Philomena.

– W tym rzecz. – Libby przeczesła palcami swoje blond włosy; straciły precyzyjnie przycięty, kołyszący się kształt i teraz opadały nierównymi falami. Nie była u fryzjera od przeprowadzki. Jason obiecał, że na urodziny zafunduje jej wizytę w dawnym salonie, ale teraz pieniądze, które tam zostawiała wydawały się szaleństwem – szczerze mówiąc, wtedy też – ale było coś żenująco uzależniającego w chwili, gdy stamtąd wychodziła, wyglądając równie olśniewająco, jak żony z najbogatszych dzielnic, które nosiły mongolskie futrzane kamizelki i obcisłe džinsy. Śmieszne, w dzieciństwie pragniesz się odróżnić, a kiedy dorosniesz, zależy ci na tym, by być jak inne. – Wtedy chciałam być ciemnowłosą i zielonooką irlandzką uwodzicielką, a nie miłą dziewczyną z Petersfield.

– Jeśli to jakaś pociecha, pani rzeczywiście wygląda jak Elizabeth.

– A jak wygląda Elizabeth?

– Budzi zaufanie. Jest rozsądna. Do szpiku kości angielska. – Kobieta zmrużyła brązowe oczy, a Libby poczuła, że jest oceniana. – Ale Libby też

pani jest. Libby nosi ciekawe sandaalki i drukowane materiały z lat pięćdziesiątych. Czy rodzice nadali pani jakieś niezwykle drugie imię?

Libby wybuchnęła śmiechem.

– Ha! Chciałabym! Na drugie mam Clair. Bez „e”. Rodzice uważali, że zaszałeli, opuszczając ostatnią literę.

Kobieta podniosła wzrok znad notatnika i posłała Libby ostrożny uśmiech. A ona pomyślała, że być może to echo ironicznego uśmieszku, gdy tamta jest zdrowa. Kiedy jest sobą, świadomą swojego poczucia humoru. Jakimś sposobem ten uśmiech sprawił, że może teraz bardziej potrzebowała ochrony niż wtedy, gdy Libby znalazła ją nieprzytomną na drodze.

– Niewykluczone, że pomogłaby pani swojej pamięci, gdyby wybrała pani imię, które pani lubi – zaproponowała. – Które pani odpowiada. Proszę się długo nie zastanawiać. Może coś sobie pani przypomni, gdy ludzie będą się do pani zwracać w ten sposób.

Kobieta w zamyśleniu postukała długopisem w usta.

– Wie pani? – odezwała się po chwili. – Właśnie wpadło mi do głowy imię Pippa. Ale w prawdziwym życiu chyba nie mogę być Pippą?

– A może jednak tak?

– Nie sądzę. – Chora zmarszczyła czoło.

– Tak czy siak, niech pani je wybierze. Jest lepsze niż Jo.

– Rzeczywiście. Mogłaby mi pani podać wodę ze stolika? W gardle mi zaschło.

I znów ten króciutki błysk słabego uśmiechu.

Libby wzięła do połowy pełną szklanekę i podała kobiecie. Pippie. Chyba tak powinna ją teraz nazywać? Bo rzeczywiście, było w tamtej coś z Pippy. Staroświecki łuk brwi, jasnych w porównaniu z ciemnobrązowymi włosami. Ostre kości policzkowe i nos.

– Przepraszam – powiedziała Pippa. – Nie będzie pani przeszkadzało, że to zapiszę?

– Ależ skąd. Proszę notować.

Rozmowa sprawiła, że skóra Pippy nabrała kolorytu. Na jej policzki wypłynęły lekkie różowe rumieńce. Pisząc, przygryzała wargę, a drugą ręką w roztargnieniu drapała się pod bandażami, pochłonięta uchwyceniem każdego szczegółu, który przemykał jej przez myśl.

Libby zastanawiała się, jak jeszcze mogłaby jej pomóc. Zabawne, pomyślała, że osoba, która zupełnie mnie nie zna, celnie stwierdziła, że Libby

to odpowiednie imię. „Libby nosi ciekawe sandały”. Nie mówiła o tym nigdy, ale wypróbowała wszystkie zdrobnienia od Elizabeth – Beth, Lizzy, Eliza – lecz podobało się jej wyłącznie Libby. Czuła, że odpowiada ono jej osobowości. Nieco bardziej interesujące od Elizabeth Clair, którą najwyraźniej pragnęli widzieć w niej rodzice.

Obserwowała, jak Pippa przewraca stronę w zeszycie, i myślała, że pomimo wstrząśnienia mózgu i kompletnego braku wspomnień o kilku ostatnich latach łatwo się z nią rozmawia. Rozmowy z ludźmi nigdy nie sprawiały Libby trudności, ale większość londyńskich sąsiadów potrzebowała mnóstwa osobistych informacji i kroplówki wspólnych zainteresowań, zanim przyjaźń mogła zakiełkować. Jason potrafił przyjacielsko gawędzić o rynkach finansowych i o Chelsea z mężczyznami, w przypadku kobiet natomiast można było odnieść wrażenie, że uzgodnienie opinii to prawdziwy tor przeszkód – szkoły, torebki, diety, wakacje – przy czym jedynie udzielenie prawidłowych odpowiedzi w każdej z tych kwestii pozwalało na rozpoczęcie bardziej osobistej konwersacji. Libby uczciwie nie wykluczała, że to ona ma problem. Jason twierdził, że zwariowała, i radził „pijacki wieczór na mieście”, żeby się pozbyła tego poczucia.

Tyle że żadna z londyńskich kobiet nie piła.

Libby miała nadzieję, że na wsi będzie inaczej, ale pomimo istnienia Drzewa Dobroci myślała czasami, że w Longhampton jest identycznie. Różnił się tylko zestaw tematów – nowe centrum handlowe, psy na łózkach, polowania, kamizelki termiczne – a ona miała jeszcze mniejsze pojęcie, jak brzmią właściwe odpowiedzi.

Philomena. Nie myślała o tym od dawna. Philomena przywołała gorący sok porzeczkowy marki Ribena, bezrękawnik z czerwonego sztruksu, zapach kremu do opalania. Libby uświadomiła sobie, że nie opowiadała o tym nikomu od czasu, kiedy na studiach wydobyła to z niej Kirsty Little.

Pippa przestała pisać i wpatrywała się w gościa, w skupieniu marszcząc czoło. Kiedy Libby pochwyciła jej wzrok, tamta uśmiechnęła się ze skruchą.

– Przepraszam. Chodzi o to... Nie mogę pozbyć się wrażenia, że skądś panią znam. To prawda? Wydaje mi się pani znajoma.

– Nie sądzę. Choć wiem, co ma pani na myśli – odparła Libby. – Mnie również wydaje się pani znajoma. Studiowała pani historię na uniwersytecie w Bristolu mniej więcej piętnaście lat temu? Pracowała pani w BBC? Zbierałam materiały do programów. A potem jako wolny strzelec dla Thimble

Productions.

Pippa już chciała pokręcić głową, ale zamiast tego przewróciła oczami.

– No, niewykluczone. Przecież nie pamiętam, prawda?

– Przez lata będzie pani miała poręczną wymówkę na przyjęciach – oznajmiła Libby z powagą. – Nie będzie musiała się pani męczyć przypominaniem sobie nazwisk. Och! – dodała, uderzając się w czoło. – Miała pani adres mojego hotelu w kieszeni! Mówiono pani o tym?

– Tak, ale to też nie kojarzy mi się z niczym. Zatrzymywałam się tam wcześniej?

– Być może tak. Ale my z mężem przejeżdżaliśmy go dopiero w zeszłym miesiącu. Niewykluczone, że bywała tam pani. Ale to oznacza, że nie mogliśmy się spotkać. – Libby zastanawiała się gorączkowo. – Być może pani podświadomość rozpoznaje mój głos z chwili tuż po wypadku. Czepia się go jak czegoś znajomego i każe pani myśleć, że mnie pani zna.

– Dużo pani mówiła?

– O, tak! Nic nie jest lepsze od uważnej słuchaczki. Usta mi się nie zamykały. Nawet śpiewałam, kiedy zabrakło mi inwencji do nudnej opowieści o planach stworzenia hotelu butikowego. O naszym domu w Londynie, o tym, jak z Jasonem poznaliśmy się w pociągu. W pewnym momencie pomyślałam nawet, że pani udaje, że się budzi. Z czystej nudy.

Pippa się uśmiechnęła, ale zaraz po jej twarzy przemknął cień.

– Jeszcze pani nie podziękowałam...

– Co takiego? Och, niechże pani nie będzie niemądra! Zrobiłam to, co każdy zrobiłby w takiej sytuacji. – Libby uniosła ręce, lecz opuściła je niemal natychmiast. – Przecież to był drobiazg, ja tylko...

– Nie chodzi wyłącznie o wypadek. Dziękuję za dzisiejsze odwiedziny. W pani obecności czuję, jakbym... Jakbym zbliżała się do odkrycia, kim jestem. Czy to brzmi dziwnie?

– Nie dziwniej niż cała reszta. Ja właściwie nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest.

Pippa ponownie wsunęła palec pod bandaż i podrapała się po przedziałku.

– Kiedy staram się myśleć o szczegółach wprost, o moim nazwisku, miejscu zamieszkania, w umyśle mam pustkę. A wtedy ogarnia mnie panika i pustka się pogłębia. Poza tym przy łóżku stoi lekarz albo pielęgniarka, więc presja jest tym większa. Im bardziej usiłuję sobie przypomnieć różne rzeczy, tym mniej mam w głowie. Ale podczas naszej rozmowy... – Zmarszczyła nos, próbując



znaleźć właściwe słowa. – Mam wrażenie, że to wszystko wciąż jest, tyle że tuż poza moją głową, nie w niej. To mi dodaje otuchy. Czuję, że to realne.

– To dobrze – odparła Libby, ponieważ nie miała pojęcia, co innego mogłaby powiedzieć.

Pippa się uśmiechnęła, a Libby wzruszyła słodczyz tego uśmiechu. Ufnego, pomimo okropności sytuacji.

– To miłe z pani strony, że przyszła pani, żeby porozmawiać z nieznajomą.

– Cieszę się, że mogłam choć trochę pomóc. Ale założę się również, że policja lada chwila przyprowadzi kogoś, kto panią zabierze. Męża szalejącego z niepokoju!

Pippa wyciągnęła dłonie.

– Nie mam pierścionków. Wątpię, żeby był mąż.

– W takim razie chłopaka – powiedziała Libby, ale zaraz sobie uświadomiła, że takiej gwarancji także brak. Świetna robota!, zganiła się w duchu. – Albo dziewczynę – dodała pospiesznie. – A może przyjaciół? No bo kto wie? Kto wie, jaka osoba wejdzie przez te drzwi, szukając pani? To może być ktoś sławny. To może być... ktokolwiek!

Spojrzały na siebie, a Libby wydało się, że przez twarz Pippy przemyka cień strachu. A może to tylko gra świateł?

– Kto wie? – powtórzyła Pippa z uśmiechem.

Tym razem jednak nie było w nim tyle pewności, co poprzednio, pomyślała Libby.

## Rozdział 4

Szóstka była dwuosobowym pokojem z oknem o doskonałych proporcjach, tworzącym ramy dla baśniowego ogrodu z bzami i jabłoniami. Ogród z kolei był chyba jedynym elementem hotelu niewymagającym poprawy. Wszystko dzięki obsesyjnym wysiłkom Margaret. Aksamitny trawnik otaczał kalejdoskopowy wybór setek kwiatów, których nazw Libby nie znała. I nie wolno jej było ich zrywać, chyba że pod czujnym okiem teściowej.

Uprawianie ogrodu było dla Margaret rodzajem cichej terapii, w przypadku Jasona i Libby tę samą funkcję pełniły zaś prace remontowe. Na początku, kiedy wciąż przedzierali się przez dym i gruz po odejściu Jasona z pracy i śmierci Donalda, Libby myślała, że nawet gdyby nie byli w stanie ze sobą rozmawiać, będą razem i to wystarczy. Będą wspólnie pracowali nad osiągnięciem celu. Mimo trudnych początków, powrócili do rozmów, i to w większym wymiarze niż zdarzało się w pierwszych miesiącach ich znajomości. Poznali się, kiedy Jason był na stażu, a Libby pracowała jako goniec, zarabiając przez miesiąc mniej niż on przez tydzień. Teraz, podczas remontu, oboje byli jednakowo bezradni, dlatego dyskutowali o farbach, o pomysłach z internetu, ale też i o tym, że nie da się wytresować lorda Boba i o wspomnieniach Jasona o Donaldzie i Longhampton. Nie poruszali tylko jednej sprawy, najważniejszej, choć właśnie ją powinni omówić szczegółowo – niefortunnego łańcucha zdarzeń, w którego rezultacie opuścili Wandsworth i wyładowali tutaj z parowymi urządzeniami do usuwania tapet.

Libby cofnęła się od ściany, z której udało się jej zerwać fragment tapety, i pomasowała kark pokrytą zadrapaniami pięścią. Zaczął Jason, ale trzeba było pozbyć się kilku warstw: nijakiego liściastego wzoru odsłaniającego pasy w stylu regencji Laury Ashely z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, a spod nich psychodelicznych słoneczników z lat siedemdziesiątych, bez wątpienia posyłających gości do łóżka z przekonaniem, że oto musieli zjeść jakieś magiczne grzybki.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie obrazy z kolażu wiszącego w szóstce, próbując nałożyć je na pustą przestrzeń. Żadnych zmęczonych tapet, żadnych dywanów w wirujące wzory, wyłącznie proste, pozwalające wytchnąć, szare ściany, gruby chodnik w intensywnym kolorze, turkusowym albo musztardowym, miękko uginający się pod gołymi sennymi stopami. Gęsto marszczone zasłony z jasnego lnu, podwiązane ciężkimi złotymi wstążkami. Nowe łóżko z dobrym materacem, kołdrą z kaczego puchu, poduszkami wypchanymi pierzem i aksamitną narzutą.

Libby poczuła, jak zalewa ją ciepło; Jason miał rację, powinno być lepiej niż dobrze. Dysponowali ograniczonym budżetem, ale Libby się uparła, żeby zostawić dość pieniędzy ze sprzedaży domu na właściwe wykończenia. Jak cię widzą, tak cię piszą. Odpowiednie detale sprawią, że ten zaniedbany hotel z miłego stanie się wyjątkowy.

Otworzyła oczy i spojrzała na ścianę, do której wciąż uparcie przywierało kilka kawałków tapety. Ciepłe uczucie rozwiało się jak sen. To potrwa długo – ale o tym już wiedzieli, bo Libby nadzorowała prace przy rozbudowie ich londyńskiego domu. Zwolniono ją z firmy w ramach cięcia kosztów, więc Jason zaproponował, żeby zrobiła sobie wolne przez pół roku i przez ten czas dopilnowała remontu. Rzecz jednak w tym, że dopiero teraz zaczynała rozumieć, jak świetna była ekipa Marka. I jakim doskonałym organizatorem był jej szef. Jak szybko pracowali jego ludzie. Oraz w jak małym stopniu ona musiała nadzorować tamten projekt, chociaż była przecież bardzo kompetentną researcherką...

W tęsknotę za przestronną kuchnią z zaprojektowanymi przez architekta świetlikami i gładką ścianą szafek w kolorze kości słoniowej wdarł się dzwonek komórki.

Z ekranu uśmiechała się Erin, przyjaciółka Libby. Zabawna, entuzjastyczna Erin, sąsiadka z St. Mary's Road, która pracowała jako fashion buyer, miała bostoński akcent, potężną amerykańską lodówkę i bliźniaki zwane Fasolkami.

Libby drgnęła. Powinna była już dawno zadzwonić do Erin, która kilka razy pisała do niej na Facebooku, prosząc – albo raczej żądając – zdjęć hotelu, ale coś w Libby zastygło. Odmawiała pod różnymi pretekstami. Nie była z siebie dumna, ponieważ jednak Łabędź nie miał strony internetowej, skłoniła londyńskich przyjaciół, by uwierzyli, że generalnie wygląda jak Babington House, tyle że znajduje się bliżej Walii. Wszystkim to imponowało. Libby wprawdzie nigdy nie była w Babington House, za to oni najwyraźniej spędzali

tam każdy weekend. Nie chciała, żeby zobaczyli, jak naprawdę tu jest, dopóki nie odnowi przynajmniej trzech pokoi.

Nie chodziło o to, że wstydzi się Łabędzia, a o to, że w czasie, gdy szok po utracie pracy przez Jasona był nadal świeży, przedstawiła sprzedaż domu, ograniczenia i dobre życie jako swój świadomy wybór. Dzięki temu czuła się lepiej. A krąg jej przyjaciół był... Libby poszukała odpowiedniego słowa na jego określenie. „Krytykancki” brzmiało okropnie. Nie, nie byli złymi ludźmi: wielkoduszni, kulturalni, towarzyscy. Ale...

Prawdę mówiąc, tak.

Lubili krytykować innych.

Chociaż nie Erin, dzięki Bogu. Ona twierdziła, że jako Amerykanka nie ma pojęcia, co mogłaby krytykować, i bardzo się cieszy, że kazała Libby wyjaśnić różnicę towarzyską między salonem a dużym pokojem. Odznaczała się stylem, ale w swobodny, nieoparty na metkach od projektantów sposób. Na początku ich znajomości, kiedy Libby przy butelce wina zapoznawała ją z najróżniejszymi sąsiedzkimi konfliktami, wyznała też, że odkąd wyprowadzili się z Jasonem, nigdy nie wie, jak się ubrać. Moda właściwie jej nie interesowała, podczas gdy wszystkie kobiety, które znała z klubu książki i spotkań przy grillu, mówiły wyłącznie o niej. Jedna nawet prowadziła blog o „strojach do szkoły”. Erin natychmiast zamieniła wieczorną opiekę nad dziećmi na modową akcję ratunkową i tak długo namawiała Libby do wchodzenia i wychodzenia z przebieralni, aż ta przestała wyglądać i czuć się jak bezrobotna researcherka. Jedno popołudnie z Erin dało Libby pewność siebie daleko wykraczającą poza kwotę, którą ściągnięto jej z karty kredytowej, oraz prawdziwą przyjaźń. Jak później powiedziała Jasonowi, kiedy ktoś raz cię zobaczy w obcisłej, krótkiej sukience, niewiele więcej masz do ukrycia.

Poznanie Erin okazało się punktem zwrotnym dla Libby w nowym domu. To Erin podpowiedziała jej, że wystarczy kupno jednej torebki rocznie, by zawsze mieć o czym rozmawiać z Rebeccą, Marian i Heleną. A z tego ziarna marki Burberry wyrastają przyjaźnie. W pewnym sensie.

Libby złapała za telefon, nie dając sobie czasu na zmianę zdania. To nie rozmowa wideo, Erin nie zobaczy okropnej tapety.

– Erin! Jak miło zobaczyć twoją buźkę!

– Hej, nieznajoma! – W głosie Erin brzmiała radość. – Dzwoniłaś, kiedy byliśmy na wakacjach? Minęły tygodnie! To nie w twoim stylu tak długo się

nie odzywać!

W tle Libby słyszała piskliwy śmiech bawiących się Fasolek i dokładnie wiedziała, gdzie jest przyjaciółka: w rogu parku, na placu zabaw z czerwonymi huśtawkami w kształcie biedronek i krykietową herbaciarnią serwującą kawowo-orzechowy tort. Chodziły tam zawsze.

– Przepraszam. Mieliśmy tu prawdziwy kocioł. – Odwróciła się od ściany, zmuszając się do uśmiechu, bo z tęsknoty za utraconym życiem, które toczy się bez niej, boleśnie ścisnęło się jej serce. – Ciągle chcę zadzwonić, ale nigdy nie mam czasu na normalną rozmowę.

– Jasne, to musi być szaleństwo! Przepraszam, jestem samolubna i wścibska. Po prostu tęsknimy za tobą, to wszystko. Padasz z nóg? Tobias, zjedź z tego, skarbie. To nie jest bezpieczne. My mamy kryzys, bo niania wyjechała na urlop. Musisz mi podpowiedzieć, jak zarządzać personelem!

Libby usiłowała przypomnieć sobie, co opowiadała Erin o personelu. Przynajmniej nie wspomniała, że cały zespół to ona, Jason, matka Jasona (kiedy czuje się na siłach) oraz Dawn i Peggy, dwie sprzątaczkę na godziny.

– No, dalej, chcę wiedzieć o wszystkim! – powiedziała Erin. – Zmieniasz wystrój? Zrobiłaś te swoje koláže? A co z planami urzędzenia spa?

Na pożegnalnym lunchu, po trzech kieliszkach wina i pełnej napięcia rozmowie z Rebecą Hamilton o jej czterotygodniowej odnowie w Mustique, Libby spontanicznie wymyśliła holistyczne spa, które z Jasonem zamierzają wybudować za hotelem. Wtedy wszystkie chciały przyjechać do Łabędzia. Albo tak mówiły.

– Myślę, że musimy dać sobie czas na pocucie tego miejsca, zanim zaczniemy poważniejsze prace.

Bardzo ją kusilo, żeby przed przyjaciółką zrzucić ciężar z serca, ale wiedziała, że nie może. Musi zachować wszelkie poważne problemy dla siebie, jest to winna Jasonowi. Pozytywy! – napomniała się w duchu. Nowy początek.

– Pospiesz się, dobrze? Nie mogę się doczekać, kiedy cię odwiedzę. Hotel będzie wyglądał bajecznie. Wiesz, rozmawiałam o tobie z moją przyjaciółką Katie. Pamiętasz Katie? Dyrektorkę graficzną „Inside Home”? Mówiłam jej, że kiedy skończycie remont, powinna do Łabędzia wysłać Tarę, która pracuje u nich jako wolny strzelec. Przedstawiłam jej całe tło: butikowy hotel, kawałek Londynu na wsi, interesująca historia o rodzinnym biznesie. Bardzo się jej spodobało, że ty i Jason wspólnie rozpoczęliście hotelową przygodę!

Libby nie wiedziała, czy się cieszyć, czy bać. Dziennikarka. W hotelu. Dziennikarka. Z „Inside Home”.

– Naprawdę? Dziękuję, Erin. To bardzo miłe z twojej strony.

– To żaden problem! Pomyślałam, że pomoże ci to w powtórny wprowadzeniu hotelu na rynek. Mam rację? Kiedy planujesz nowe otwarcie? Przecież, poza spa, chodziło wyłącznie o odświeżenie wnętrza, prawda?

Libby przeszył dreszcz podniecenia i paniki.

– To pewnie zajmie kilka miesięcy...

– Super! Wydanie bożonarodzeniowe! Propozycje romantycznych wypadów w Zjednoczone Królestwo! Macie kominek, prawda? – Erin jęknęła z zazdrością. – Uwielbiam hotele na wsi! To jedna z moich ulubionych rzeczy w Anglii. Hotele i John Lewis.

Libby nie potrafiła się skupić – kiedy odwróciła się do okna, zauważyła biegnące aż po sufit pęknięcia, przedtem ukryte pod tapetą. Było tu wczoraj wieczorem? Jason odrzucił jej sugestię, żeby ktoś obejrzał budynek, zanim włączą się oni („Mama by wiedziała, gdyby się walił”), ale odkąd zaczęli remont, Libby dostrzegła kilka problemów, które znała z poprzedniego domu: wilgotne plamy, rysy, trzeszczące podłogi.

– Więc jak? – ciągnęła Erin, nieświadoma, że przyjaciółka marszczy czoło. – Mam podać Katie namiary na ciebie, żebyście mogli się umówić?

– Mhm. Tak!

Myśl, że dziennikarka melduje się w zawilgoconym, pokrytym psią sierścią hotelu, sprawiała, że krew zastygała w żyłach, ale Erin rzuciła Libby linę ratunkową. Potężną. Artykuł w czasopiśmie czytowanym przez ludzi, których i tak musieliby przyciągnąć, jeśli chcieli odnieść sukces... Takiej reklamy nie można kupić. Albo inaczej – można, ale ich nie jest na nią stać.

To jest cel! – stwierdziła w duchu, czując, jak trzepoce jej serce. Cel, który wytyczy ich drogę. Zaczną myśleć jak pewni siebie hotelarze.

Nikt nie wie, że improwizujesz, dopóki mu tego nie powiesz.

– Erin, jesteś prawdziwym skarbem! – odparła z wdzięcznością. – Byłoby fantastycznie. Możemy dla niej we wrześniu odtworzyć Boże Narodzenie. Rzeczywiście mamy wspaniałą kominek. – Libby w wyobraźni zmieniała wystrój salonu. Już bez kraciastego dywanu, z wykładziną z sizalu, z wielkimi sofami Harris Tweed ustawionymi wokół paleniska. Lepszego. Które gdzieś znajdują. Świece, ostrokrzew, grzaniec. – Planujemy urządzać degustacje win i zimowe podwieczorki z grzaną whisky z miodem i ciastem owocowym

według przepisu mojej teściowej. W okolicy są urocze trasy spacerowe...

Libby nie miała pojęcia, czy w pobliżu Longhampton są urocze piesze szlaki – znała zaledwie jeden, prowadzący z hotelu do miasteczka – ale przecież to wieś. Na tym chyba polega jej czar? Otwarte przestrzenie, gdzie można zmarznąć i przemoknąć, a potem w hotelu dochodzić do siebie nad kieliszkiem wina.

– Wiesz, Libby, tak ci zazdroszczę! – westchnęła Erin. – Opowiadałam o tym Pete’owi. Myślimy, żeby pójść za twoim przykładem i zrobić coś podobnego.

Libby poczuła wyrzuty sumienia.

– Naprawdę?

– To, co robicie, to marzenie! Wyprowadzka z miasta, budowa własnej firmy... Nie mów nikomu, ale sprawdzam hotele do remontu na północy stanu Nowy Jork. To moja nowa sekretna tablica na Pinterescie.

– Boże, Erin, dlaczego mielibyście to zrobić? – zapytała Libby. – Pete niedawno awansował!

Mąż Erin, Pete, prowadził agencję graficzną. W porównaniu z innymi małżeństwami, które znali z Jasonem (w większości mężowie pracowali w bankowości), Douglasowie byli całkiem normalni. W tym sensie, że tylko dwa razy w roku wyjeżdżali na wakacje za granicę, w Wielkanoc robili wypadki na narty, a Pete pochodził z Wolverhampton.

– Wiem, ale ostatnio prawie go nie widuję. Gdy wraca z pracy, Fasolki są już w łózkach, a ja padam z nóg. Jasne, jeździmy na wakacje, ale to czas spędzany we dwoje powinien być najcenniejszy. Ty i Jason mieliście rację, stawiając na pierwszym miejscu wasz związek. Strasznie mi się podoba, że on zrezygnował z pracy w wielkim mieście, żeby stworzyć ten hotel ze swoją mamą i z tobą. To cały on! I cała ty.

Libby usiłowała zmusić się do uśmiechu, żeby Erin nie domyśliła się, że właśnie zaciska kurczowo powieki.

– Tak!

Przyjaciółka nie miała pojęcia o „rezygnacji” Jasona z pracy ani o tym, co zrobił, nie dając szefom w tej kwestii żadnego wyboru. Nie wiedziała, że pieniądze ze sprzedaży pięknego domu przy St. Mary’s Road 24 poszły najpierw na spłacenie długów, od których robiło się niedobrze, a później na pokrycie zaległości hipotecznych Margaret. Dopiero to, co pozostało, można było przeznaczyć na remont.

Związek Jasona i Libby był rewelacyjny, to prawda, ale Erin z całą

pewnością nie wiedziała nic o awanturach prowokujących Libby do mówienia rzeczy, które wprawiały ją w przerażenie, gdy słyszała, jak padają z jej ust. A to, co z natury pogodny, lubiany przez wszystkich ideał męża, czyli Jason, rzucał w rewanżu, nadal sprawiało, że Libby w środku nocy cierpła skóra. Słowa zostały wypowiedziane w gniewie – oboje później płakali i przepaszali – ale zniszczyły czyste, świeże szczęście ich związku, cechującą go prostą swobodę. Maleńka mroczna część Libby niemal doznała ulgi, gdy spadła na nich katastrofa; czuła, że nikt nie zasługuje na tak niewiarygodne szczęście. Czy można być zbyt szczęśliwym? Czy wszystkie cudowne chwile dostali z góry, w trakcie tych pędzących, wypełnionych miłością pierwszych lat, kiedy pieniądze i szczęście wpływały i wypływały jak woda, a Londyn był jak z filmu: kolaż późnowieczornego szampana, czarnych taksówek i niedzielnych spacerów?

Libby wpatrywała się w pęknięcie na ścianie. Cierpiała z powodu własnej nieszczerości wobec Erin, ale nikt nie znał całej prawdy. Ani Margaret, ani jej rodzice (Boże wszechmogący, jej rodzice na pewno nie!), ani jej siostra. Tylko Libby i Jason. Poradzenie sobie z sytuacją, z dala od wszystkiego, co znali, było częścią kary.

Czy raczej od wszystkiego, co znała Libby. To był rodzinny dom Jasona.

– Główne pytanie brzmi jednak – ciągnęła podekscytowana Erin – kiedy będziemy mogli do was przyjechać? Mówiłam Pete’owi, że potrzebny nam weekend w Longhampton tak szybko, jak to możliwe. A po powrocie rozpocznę wielką kampanię piarową! Będziesz odsyłała gości z kwitkiem, kiedy opowiem o was wszystkim! – zakończyła z amerykańskim akcentem z kreskówki, który zawsze prezentowała, gdy była w kpiarskim nastroju.

– Jasne – odparła Libby słabo. – My tylko... Kiedy skończymy jeszcze ze dwa pokoje.

– Po prostu daj mi znać, kiedy mam zapakować wieczorową suknię! Boże, to mi coś przypomina. Widziałaś na Instagramie fotografie z urodzinowego przyjęcia, które Rebecca urządziła Otisowi?

Libby musiała mocno ugryźć się w język. Widziała. Nie potrafiła powstrzymać się od torturowania samej siebie oglądaniem do późnej nocy stron przyjaciół na portalach społecznościowych. Lajkowała i zadawała sobie pytanie, czy w ogóle zauważyli, że jej z nimi nie ma.

– Co się stało, skarbie?

Libby uświadomiła sobie, że jęknęła głośno.



– Przepraszam, nic. Mówiłam do psa.

– Macie psa? To super! Każdy wiejski hotel potrzebuje psa! Jaka to rasa?

Jak na zawołanie lord Bob wyłonił się z pokoju, w którym nie powinien przebywać. Na widok płonącego spojrzenia Libby jego rude brwi wystrzeliły w górę, stykając się z fałdami wokół uszu.

– Basset – odparła Libby, nie spuszczać z lorda Boba kosego spojrzenia. Nie zamierzała ulegać wyrazowi pyska mówiącemu „kochaj mnie”, którym pies obdarzał każdego. Jeśli się podda, jej walka z sierścią w pokojach będzie przegrana. Wyznaczyła granicę i nie może jej przekraczać. – Należy do teściowej. Jest kulą u nogi.

– Ojej! Kocham bassety!

– Tego na pewno byś nie pokochała – stwierdziła Libby ponuro. Lord Bob posłał jej ostatnie spojrzenie, po czym ruszył w kierunku schodów i zaczął rażno schodzić. Jego ogon z białą końcówką powoli znikał z oczu. – Jest rozpuszczony jak dziadowski bicz i waży ze sto kilo, więc nie można z nim dyskutować. Udaje, że śpi, ale kiedy w innym pokoju otworzysz czipsy, nagle jest przy tobie. I cuchnie. Przez jedną połowę życia odkurzam sierść, przez drugą ganiam go z odświeżaczem powietrza.

Erin wybuchnęła śmiechem, jak z dobrego żartu.

– Hej, założę się, że nie robi większego bałaganu niż moje dzieci, a dzienna opieka jest tańsza, no nie? Ale posłuchaj, opowiedz mi o swojej biednej teściowej! Ile to już, pół roku? Jak sobie... – W tle rozległ się lament najpierw jednego dziecka, potem dwojga. Erin jęknęła. – Tobias! Tobias!!! Mówiłam, co się stanie, prawda? Tak mi przykro, Libby, muszę kończyć. Zdarzył się wypadek.

– Nie szkodzi. – Libby dołożyła starań, by w jej głosie nie było słycać rozczarowania.

Właśnie zaczynała się odprężyć, a tymczasem dopadło ją wrażenie, jakby drzwi się zamykały, zostawiając ją samotną w jakimś bardzo cichym miejscu.

– Zadzwoń znowu – obiecała Erin. – Tobias, ja nie żartuję, szanowny panie. Mamy do nadrobienia tyle zaległości. O, czy na przykład wstąpiłaś do klubu książki?

– Nie. Wygląda na to, że muszę odbyć rozmowę kwalifikacyjną. Nawet Margaret nie jest w stanie... – zaczęła Libby, lecz przyjaciółka jej przerwała.

– Wyślę ci esemesa. Umówimy się na spokojną rozmowę i... Tobias! Przepraszam, Libby, cześć!

Rozłączyła się.

A do Libby dotarło, że ona nie wspomniała ani o wypadku, ani o nieznamym, która szła do hotelu.

Typowe, pomyślała, badając palcem pęknięcie w ścianie. Ze wszystkich rzeczy, o których mogłabym opowiedzieć Erin, najwięcej czasu poświęciła temu cholernemu lordowi Bobowi.

Telefon Erin – oraz fakt, że złamała się skrobaczka do tapet – sprawił, że Libby spędziła resztę popołudnia w biurze, próbując ułożyć plan prac w taki sposób, żeby być gotową na wizytę dziennikarki i otwarcie pod koniec lata.

Samodzielny remont był tani i zaskakująco przyjemny, ale jeśli będą posuwać się w takim tempie, skończą pod koniec przyszłego roku. Libby kręciła długopis w placach, wpatrując się w kalendarz w laptopie. Nie ulega wątpliwości, że to się nie uda. Nie dawało się również zapomnieć o rysie. Trzeba porządnie zbadać cały budynek. Goście zauważają rzeczy w rodzaju pęknięć i skrzypnięć. A potem piszą wredne recenzje na TripAdvisorze.

– Hej, mała, co robisz?

Jason wpadł do biura z dwiema torbami z marketu budowlanego B&Q i wieczorną gazetą. W porze lunchu wyszedł „obejrzeć drzwi” i wrócił dopiero teraz.

– Gdzieś ty był? – Libby spojrzała gniewnie, gotowa zrzędzić z powodu tego zniknięcia, ale Jason teatralnym gestem sięgnął do jednego z pakunków. Postawił przed żoną papierową torbę z piekarni. Francuskie ciasteczka eccles. Jej nowe ulubione.

– Zawsze o tobie myślę – oznajmił z powagą. – Nawet przed regałami z papierem ściernym. Co robiłaś, kiedy mnie nie było?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, obszedł biurko, objął ją i zaczął całować w szyję. Libby stopniało serce, bo nie dość, że pomyślał o takim drobiazgu, jak ciastka, to jeszcze intuicyjnie wiedział, gdzie całować. On się stara, stwierdziła. I kocha mnie, niezależnie od tego, czy jem węglowodany, czy nie. W przeciwieństwie do męża Rebekki Hamilton.

– Układałam plany. Gdzie byłeś?

– W B&Q po materiały. I w mieście. – Oderwał kawałek ciastka i zjadł ponad jej ramieniem. – Zaskakujące, jak wiele starych sklepów nadal tu jest. No i kilka dobrych nowych. Delikatesy, i to w dwóch miejscach! Gdybyś mi

powiedziała, kiedy byłem nastolatkiem, że w Longhampton będzie można kupić nadziewane oliwki, wyśmiałbym cię i zapytał, kim jest ta Oliwka.

– Dzwoniła Erin. Załatwiła nam rewelacyjną możliwość reklamy, ale musimy realnie podejść do remontu. Oj! – Pacnęła Jasona po dłoni, gdy chciał skubnąć kolejny kawałek ciastka. – Możemy porozmawiać o tym wieczorem? Z twoją mamą? Myślę, że będzie trzeba zacisnąć zęby i wydać pieniądze na porządny remont.

Jason oderwał wielki kawałek ciastka i wsunął jej do ust.

– Możemy to zrobić jutro? – zapytał. – Dzisiaj wieczorem wychodzę.

– Co takiego? – warknęła Libby z pełną buzią. – Obiecałeś, że zajmiesz się recepcją! Ustaliliśmy dyżury. I że będziemy trzymać się rozkładu!

Jason zrobił przeproszącą minę, przy której jego niebieskie oczy stały się pociągające i chłopiące. Generalnie nie wyglądał na swoje trzydzieści pięć lat. Mina z rodzaju „wybacz mi” cofała go do dziesiątego roku życia.

– Przepraszam, zapomniałem. Chopper zaprosił mnie do pubu na piwo.

– Chopper?

– Mike Prosser. – Z bogatej mimiki wynikało jasno, że Jason usiłuje pobudzić jej pamięć. – Znasz Choppera. Mike! Chopper!

– Jedyne Mike, którego znam, to Mike Adams – odparła Libby. – Nasz dentysta. Ale on raczej był Gummerem<sup>2</sup>!

– Ha! – roześmiał się Jason, wskazując na Libby palcem. – Zabawna dziewczyna! Nie poznałaś Choppera? Musiałaś. Jest legendą.

– Nie poznałam Choppera. Na pewno bym pamiętała.

– No, może faktycznie nie poznałaś. Graliśmy razem w rugby. W szkole był rok wyżej. Pierwszy znajomy facet, który potrafił wypić pintę piwa na raz. Jego tata miał gospodarstwo pod Hartley, chodziliśmy tam...

– ...rąbać drewno?

– Właśnie. – Jason uśmiechnął się z zachwytem. – Tak czy owak, spotkałem go dzisiaj w mieście. Zaprosił mnie na drinka. Naprawdę nie mogłem odmówić.

Mogłeś. Libby poczuła ucisk wokół klatki piersiowej i musiała dołożyć starań, żeby to doznanie się nie rozprzestrzeniło. Co takie uczucie nam mówi? – zapytała sama siebie, jak robił to terapeuta. To znaczy: zrobił. W trakcie dwóch sesji, na które zdołali pójść, zanim sprzedali dom i musieli się wyprowadzić.

Irytuję się, że Jason już nagina nasze ustalenia dotyczące dzielenia się obowiązkami?

Jestem zazdrosna, bo on ma tutaj przyjaciół, a wszyscy moi pozostali w Londynie?

A może chodzi o to, że Chopper okaże się jakimś rugbystą-kretynem, schleje Jasona, który jutro przez cały dzień będzie do niczego, a w dodatku dzisiaj wieczorem nie zrobi nic? Choć miałam nadzieję, że sobie popatrzę, jak pod parą odkleja tapety?

Libby wpatrywała się w swoje dłonie na klawiaturze laptopa. Lakier na paznokciach poodpryskiwał od zdzierania tapet; nie miała czasu, żeby pomalować je na nowo. Płatek mandarynkowej farby utknął pod brylantem pierścionka zaręczynowego z epoki edwardiańskiej, kupionego w sklepie z antykami w Brighton. Pierścioneł nadal przypominał jej przemoknięte oświadczyzny Jasona w deszczu na Londyńskim Oku; oddał jej swój płaszcz, kiedy otworzyły się niebiosy. Wtedy jeszcze Jason nie awansował. Brylant nie był wielki, ale nigdy nie chciała go zmienić, choć nowe przyjaciółki wywierały presję, żeby dostosowała się do nowego statusu.

– Hej, Libs, nie jesteś zła, prawda? – Jason objął żonę. – No, nie bądź zła. Nie wrócę późno. Wypijemy po kufelku. On jest prawnikiem, więc pewnie dobrze utrzymywać z nim kontakt.

Libby dołożyła starań, by spojrzeć na sytuację z innej strony. Może Chopper ma żonę? Może pani Chopper okaże się kobietą, z którą będzie można wybrać się na kawę? Która powie jej, do jakiego fryzjera najlepiej pójść albo jaki warsztat samochodowy nie zedrze z ciebie skóry tylko dlatego, że nie mówisz z miejscowym akcentem.

– Dlaczego ja też nie mogłabym się wybrać? – zapytała energicznie, okręcając się na krześle. – Tylko na pół godziny, żeby się przywitać. Chciałabym poznać twoich dawnych kumpli. Może zarezerwujemy stolik w jakimś miłym lokalu i przy okazji zbierzemy materiały do hotelowych pakietów informacyjnych?

– Ach... – Wyraz twarzy Jasona uległ zmianie. – Rzecz w tym, że najpierw idziemy na trening. Do pubu dopiero potem.

– Na jaki trening?

– W klubie – odparł, trochę zbyt swobodnie. – Na następny sezon brakuje im dwóch zawodników i Mike zapytał mnie, czy miałbym ochotę z nimi potrenować. Sprawdzić, jak mi pójdzie.

Libby z niedowierzania szeroko otworzyła oczy.

– W czym? Chyba nie w rugby?

– Nie, w zespole układającym kwiaty. Ha, ha! Jasne, że w rugby.

– Ale nie grałeś, od... – Usiłowała sobie przypomnieć. – Przestałeś przed naszym ślubem. Zapomniałeś, jak to było? Przysiągłeś, że nigdy więcej nie będziesz grał, kiedy ci podbili oko przed ślubem mojej siostry.

Jason lekceważąco machnął ręką.

– W Londynie nie miałem gdzie grać. A poza tym inaczej gra się ze starymi kumplami.

– Ale to było piętnaście lat temu, Jasonie. Ile tapet zedrzesz z nadwreżonymi plecami?

– Przecież nie siedziałem na tyłku. – Wyglądał na obrażonego. – Nie jestem bez formy. Przebiegłem te dziesięć kilometrów.

Libby ugryzła się w język, powstrzymując się od powiedzenia tego, co cisnęło się jej na usta. Dziesięć kilometrówomal nie zabiło jej męża, pozostającego na typowej dla City diecie składającej się z mocnej kawy, alkoholu, zarwanych nocy i stresu. Stał na starcie z najbardziej dotkliwym kacem znanym ludzkości i tylko czysta zaciętość (a także pieniądze sponsora oraz biurowa licytacja, kto trenuje mniej) doprowadziła go do mety. Jedną z rzeczy, które Libby kochała w Jasonie, było to, że nigdy nie łamał danego słowa. Ale przecież nie w sytuacji, gdy koszty osobiste były wysokie!

– No co? Libby, robisz tę minę.

Patrzył na nią w sposób, w jaki nigdy nie patrzył w Londynie. Nawet gdy obrzucali się strasznymi słowami po tym, jak wyleciał z pracy. Buntowniczo. Libby odpowiedziała mu tym samym i poczuła zapowiedź bliskiej kłótni. Nie cierpiała, że awantury biorą się z niczego. Nie cierpiała tej nakręcającej się spirali, z której splotów ostatnimi czasy nie potrafili się wyzwolić. Zawsze doprowadzała ich do drzwi otwierających się na bardzo złe miejsce. I choć nigdy nie przekraczali progu, nie mówili sobie, co myślą naprawdę, zbliżali się doń na tyle, by je zobaczyć. Milczenie było gorsze od kłótni. Świadczyło, że oboje się boją tego co po drugiej stronie.

– Twierdzisz zatem, że po dniu ciężkiej pracy nie mogę nawet wyjść na piwo? – zaczął Jason z miną męczennika.

Libby stwierdziła, że wyglądała bardzo w stylu Margaret, ale nie miała sił na poważną awanturę. Bolały ją miejsca, o których istnieniu nie miała pojęcia.

– Dobra – powiedziała, unosząc ręce. – Ale, na litość boską, niczego sobie

nie złam!

– Jasne. Nie przed zakończeniem remontu, proszę pani.

Libby nie była pewna, do jakiego stopnia Jason żartuje. Wstała i podeszła do okna, żeby je otworzyć; w pokoju nie było szczególnie gorąco, ale musiała otrząsnąć się z podłego nastroju.

– Co? Cuchnie psem – wyjaśniła, kiedy Jason spojrział pytająco.

Założył ręce na piersi.

– Co się dzieje? Mów.

– Ja nie znam tu nikogo, z kim mogłabym pójść na drinka, Jasonie. I jestem wykończona. – Libby usiłowała mówić spokojnie, ale teraz, kiedy euforia po telefonie Erin minęła, a do niej zaczynało docierać, co trzeba zrobić, ogarnęła ją słabość. Mało snu, sprzątanie, szorowanie i uśmiechanie się przez cały dzień, walka z liczbami, nasiąkanie rozpaczą Margaret. Wszystko to pochłaniało każdy gram jej energii. – Jak mam poznać ludzi, skoro pracuję tutaj, a nasi rówieśnicy albo są zbyt zajęci, aby nawiązywać nowe przyjaźnie, albo mają dzieci w wieku szkolnym, które pochłaniają ich czas. A nie wygląda na to, żebym miała szybko dołączyć do tego grona, co? – Głos się jej załamał.

Nie zamierzała posuwać się aż tak daleko.

Z twarzy Jasona zniknął nieprzyjemny grymas.

– Och, Lib... – Podszedł, wyciągając ręce. – Chodź tutaj, mała – mruknął przeproszająco.

Libby opierała się przez chwilę, a potem pozwoliła, by ją objął i zaczął kołysać. Jego dotyk, zapach, ciepło zawsze poprawiały jej samopoczucie.

– Przykro mi, że tak to odbierasz – powiedział łagodnie. – Wydawało się, że świetnie sobie radzisz ze wszystkim.

Milczała. Nie ufała samej sobie.

– A może zaproponuję wspólne spotkanie? – ciągnął z ustami w jej włosach.

– Tyle że nie wiem, jak wygląda sytuacja domowa Choppera. Był żonaty ze Steff Taylor, kiedy studiowałem na uniwerku, ale nie mam pojęcia, czy nadal są razem. Wolałbym nie mówić: „Co powiesz na kolację z moją śliczną żoną?”, jeśli on jest samotny. Rozumiesz, o co mi chodzi? Dopóki nie wie się wszystkiego, trzeba postępować ostrożnie.

– Chyba tak.

– Dowiem się dzisiaj wieczorem. Zbadam grunt. Może umówię nas na przyszły tydzień?

– Muszę nawiązać nowe znajomości, Jasonie. Tobie jest łatwo, już masz tutaj

przyjaciół. Tęsknię za byciem przyjaciółką.

– Wiem. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Naprawdę.

Spojrzeli sobie w oczy. Gdyby chodziło tylko o nas, pomyślała zapalczywie Libby, byłoby w porządku. Ja i on. Znamy się od długiego czasu, nie jesteśmy jak te błyskawiczne pary, które pobierają się, w ciągu roku mają dwoje dzieci, a potem budzą się pewnego dnia ze świadomością, że obok leży ktoś kompletnie nieznajomy.

Gdyby jednak zmienił się w mężczyznę, którego nie znam, mężczyznę, którym był wcześniej...

– Porozmawiamy, jak wrócę – powiedział. – Obiecuję.

Pocałował ją w czoło i udał się na poszukiwania torby ze strojem sportowym. Pogwizdywał.

Libby nie pamiętała, by w Londynie gwizdał kiedykolwiek.

<sup>2</sup> W oryginale gra słów. Chopper oznacza siekiere, *gummer*, od *gums* – instrument dentystyczny (przyp. tłum.).

## Rozdział 5

Pippa obudziła się piątego dnia i od razu spróbowała przypomnieć sobie, o czym śniła. Była gdzieś. Nad morzem? Z przyjaciółmi? Z psem? Wiał wiatr. Była szczęśliwa. Poczucie szczęścia przyłgnęło do jej świadomości jak odbijający się echem dźwięk, nastrajając optymizmem. Miała wrażenie, że nic nie waży. Jej skóra była ciepła, pod powiekami tańczyły obłoki.

Sięgnęła po długopis, ale im usilniej starała się skupić na szczegółach, tym szybciej sen się oddalał. A ona mogła tylko wpatrywać się w promienie porannego światła obrysowujące gęste zasłony.

Dzisiaj po raz pierwszy po przebudzeniu nie pomyślała: „Jakie to dziwne, śniło mi się, że straciłam pamięć”. Dzisiaj po raz pierwszy przebudziła się ze świadomością, że jej aktualne wcielenie, Pippa, zaczyna się i kończy w tym szpitalnym pokoju. Istniało jakieś przedtem, ale most między tym przedtem a nią znikł. Dopóki nie pojawi się ktoś, kto ją po nim przeprowadzi, równie dobrze mogłoby go nie być nigdy.

Oblał ją pot, kiedy wspomnienie zbladło, a rzeczywistość poranka nabrała wyrazistości. Jeżeli nikt się nie pojawi (na razie nikogo nie było), to będzie miała jedynie rzeczy, w których przywieziono ją do szpitala. Żadnych pieniędzy, domu, telefonu, kwalifikacji, życiorysu. Pojęcia, kim jest poza granicami teraźniejszej chwili. Niczego.

Pippa aż wzdrygnęła się z przerażenia, tłumiąc mimowolny szloch, który wezbrał jej w gardle, i skupiła się na oddechach, płytkich ze względu na bolące żebra. Raz po raz liczyła do czterech, gdy pierwsze odgłosy budzącego się oddziału sprawiły, że poczuła się mniej samotna. Oddychając, obracała w głowie myśli z nadzieją, że trafi na jakiś zbłąkany fakt, który przemknął się niepostrzeżenie przez pustkę jej umysłu. Jak kot bezszelestnie powracający z nocnej wyprawy.

Głowa bolała ją mniej niż dotąd? Od jej ręki odłączono kroplówkę; po igle pozostał siniak, jak fioletowo-zielony bratek. Żebra bolały mocniej. Może



dlatego, że środki przeciwbólowe przez noc przestały działać?

Pippa wiedziała, że ma trzy pęknięte żebra po lewej stronie, nad sercem. „Przypuszczalnie”, mówił lekarz, wskazując cienkie jak włos ślady na kościach, „w tym miejscu nastąpiło zderzenie z samochodem. Niewykluczone, że to boczne lustro”. Później pokazał pacjentce wielobarwny skan jej mózgu. Jakie to dziwne, że specjalista potrafi zajrzeć do mojej głowy, a nie jest w stanie wydobyć z niej nic przydatnego ani też skłonić mózgu do pracy, pomyślała.

Wedle przewidywań doktora żebra miały się zrastać przez cztery tygodnie. Zalecenia? Mnóstwo leków przeciwbólowych i odpoczynku.

„A nazywał się...”, ponaglił głos w jej głowie. „Nazywał się...”.

Shah. Doktor Suveer Shah. Ona leżała na oddziale Deana w skrzydle Loughborough. Pielęgniarki ze zmiany dziennej miały na imiona Bernie i Karen, z nocnej – Sue i Yolanda. Specjalista od urazów głowy to Jonathan Reynolds. Odkąd Pippa odzyskała przytomność, odwiedzał ją codziennie (czyli był u niej trzykrotnie), zadawał te same pytania plus kilka nowych, próbując ustalić, gdzie zatrzymały się jej mgliste wspomnienia. Ale nie zdołał natrafić na magiczny guzik, którego naciśnięcie spowodowałoby reset pamięci.

– Proszę się nie martwić – mówił, na pożegnanie posyłając jej wciąż ten sam optymistyczny uśmiech. – Prawidłowo przetwarza pani nowe informacje, na skanie z tomografii nie ma żadnych śladów, które świadczyłyby, że utrata pamięci nie będzie krótkoterminowa. Niewykluczone, że nigdy nie przypomni sobie pani samego wypadku, ale jestem prawie pewien, że kiedy pani mózg będzie gotowy, powróci cała reszta.

„Prawie” pewien. Pippa zauważyła, że nigdy nie powiedział „absolutnie”.

Posterunkowy Canning przychodził także i dbał, żeby „była na bieżąco ze śledztwem”. Ale fakty, które sobie przypomniła, nie wystarczały, a po drobnej wzmiance o wypadku, zamieszczonej w tym tygodniu w lokalnej gazecie, nie zgłosił się nikt. Posterunkowy był uprzejmy, Pippa jednak rzucała się na każdy drobny ślad, dostrzegając ciekawość Canninga, dlaczego nikt jej nie szuka. Współczucie policjanta budziło w niej wstyd i strach. Nie ulegało wątpliwości, że to nie jest normalne. Ona nie była normalna. Nie było normalne coś w jej sytuacji.

A Pippa nie miała pojęcia, dlaczego tak jest.

Na razie zapisywała wszystko, po części ze strachu, że się obudzi i stwierdzi, iż ostatnie dni zostały wymazane, po części dlatego, że dzięki temu

miała zajęcie. Zapytała Bernie, jedną z dziennych pielęgniarek, czy mogłaby pożyczyć gazety albo książki, ale ta tylko westchnęła i odparła, że sprawdzi, choć przemęczanie oczu chyba nie jest dobrym pomysłem. Czy Pippa nie mogłaby po prostu nie przejmować się i odpoczywać?

Jakby czytanie było ciężką pracą.

Pacjentka spojrzała wtedy na swój notatnik i zanotowała: „Lubię czytać”.

Oto, kim jest. Składa się z tego, co zapisała w zeszycie.

Półtorej godziny i niemal idealne angielskie śniadanie później Libby i Margaret ruszyły do szpitala wraz z lordem Bobem na tylnym siedzeniu. Świeżo wyszczotkowany był gotów nieść seniorom Longhampton pociechę, uczucie i mięsną nutę w psim oddechu.

Jason, który ostrożnie stawiał kroki po wczorajszym treningu, poszedł wymeldować gości z pokoju czwartego, z instrukcją, żeby zaproponować im darmowy bon śniadaniowy w razie najmniejszej wzmianki o jajach w koszulkach. Jaja w koszulkach Libby nie dorównywały jej jajom sadzonym, a Pattersonowie wyglądali na ludzi, którzy lubią pisać w internecie miażdżące krytyki o źle przyrządzonych jajkach.

Ledwie Libby wyjechała z hotelowego parkingu, a utknęła między dwoma jeźdźcami, prowadzącymi konie stępą i pograżonymi w leniwej pogawędce. Tematem ich rozmowy z pewnością nie jest pośpiech, z jakim my chcemy się dostać do miasta, pomyślała.

Teściowa wierciła się na siedzeniu, co momentalnie obudziło czujność Libby. Margaret lubiła pozostawiać trudne rozmowy na czas, kiedy żona jej syna usiłowała skupić się na czymkolwiek innym, jak krojenie cebuli albo utrzymywanie prędkości piętnastu kilometrów na godzinę między dwoma olbrzymimi zwierzętami. Jedno z nich machało ogonem w sposób, który kazał jej się zaniepokoić o maskę samochodu.

– Jason mówił mi, że zaprosiłaś dziennikarkę, która napisze o nas w czasopiśmie – zagadnęła Margaret.

Och. Więc tylko o to chodzi? Nie jest źle. Libby się odprężyła.

– Tak! Chociaż ściśle rzecz biorąc, nie zaprosiłam jej. Jedna z moich przyjaciółek poleciła jej nasz hotel. Oczywiście gdy skończymy remont.

Margaret wydała odgłos oznaczający, że rozumie potrzebę zmiany wystroju, ale kompletnie się z nią nie zgadza.

– Przyjaciółka z Londynu?

Libby przyspieszyła, by wyrzeć na drogę spoza koni, chociaż nie było możliwości, by się spomiędzy nich wydostać.

– Tak. Erin. Jest Amerykanką, pracuje ze stylistami i czasopismami. Miałyśmy wspólną sprzątaczkę. Jest urocza.

– Potrzebujesz przyjaciół tutaj – powiedziała Margaret, jakby Libby jakimś sposobem sprzeciwiała się temu pomysłowi. – Dlaczego ty też nie zapiszesz się na dyżury zooterapii? To rewelacyjny sposób na poznawanie ludzi. Jasonowi jest łatwiej, ma tu starych znajomych, z którymi może odnowić kontakty. Potrzebujesz przyjaciółek. – Teściowa zamilkła na chwilę. – Gdybyś miała jedno czy dwoje dzieci, to odwożąc je do szkoły i na inne zajęcia, poznawałabyś ludzi codziennie – dodała przebiegle.

Ach, więc o to chodzi! Libby mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

Margaret nigdy nie należała do teściowych, które bez przerwy robią aluzje do wnuków, ale Libby zauważyła, że ostatnio zdarzyło się to kilka razy. Częściej wzdychała przy reklamach pieluszek, częściej smętnie wspominała, jakim uroczym maluchem był Jason. Częściej mówiła, że mogłaby pomóc, bo przecież mieszkają razem. Że jej przyjaciółki uwielbiają być babciami, a wnuczeta na nowo pozwoliły im cieszyć się życiem.

Libby zebrała się w sobie, nie dopuszczając, żeby irytacja przejęła nad nią władzę. Wiedziała, że reaguje z przesadną drażliwością. Oboje z Jasonem chcieli mieć dziecko. Ale ciągle wyskakiwały jakieś sprawy, spychając plany powiększenia rodziny na sam dół listy priorytetów, jako mniej ważne od hotelu, finansów, wspierania Margaret w żałobie. Libby potrzebowała solidności. Nie miała ochoty na oglądanie powtórki z własnego zniszczonego dzieciństwa.

Bardziej niż pieniędzy oboje z Jasonem potrzebowali powrotu zaufania.

– Można się czegoś spodziewać w najbliższej przyszłości? – zapytała Margaret.

– Na razie nie. – Libby nie przestawała wyglądać spoza koni. – Najpierw musimy zrobić porządek z hotelem.

– Och! – roześmiała się teściowa. – Wydawało mi się, że teraz, kiedy macie wiejskie powietrze, więcej przestrzeni i mniej stresu, może będziecie...

– Hola! Zbyt dużo informacji! – odparła Libby.

A poza tym: mniej stresu? **Mniej stresu?** Czasami żałowała, że Jason nie opisał matce obszerniej powodów, dla których z nią zamieszkali.

– Przepraszam. – Margaret spłotła dłonie na kolanach, tworząc surową barykadę. – Tak się zastanawiałam.

– Jason i ja marzymy o dziecku, ale chcemy, żeby wszystko było jak trzeba. – Droga wreszcie była wolna. Libby dała znak, że wyprzedzi konie. Powoli. – Wiesz, jak ciężką pracą jest prowadzenie hotelu. Najpierw musimy osiągnąć stan, w którym system będzie funkcjonował gładko, stworzyć nowe kierunki działania. To dla nas wielka zmiana, oboje wciąż się uczymy. – Spojrzała na teściową, usiłując ująć rzecz najmilej, jak potrafiła. – Musisz nam przekazać swoją hotelową mądrość, Margaret, a nie wiązać ręce dzieckiem!

– Och, dobrze sobie radzicie. Nie jestem pewna, czy w ogóle jeszcze mogę się przydać. Teraz nic nie zależy ode mnie, prawda?

W głębi serca Libby wiedziała, że to prawda. Wiedziała też, że Margaret zdaje sobie z tego sprawę. Sytuacja była niezręczna.

– Jestem pewna, że niedługo się doczekasz – dodała, nie chcąc denerwować teściowej ani składać jednoznacznych obietnic. – Wtedy też będziesz doskonałym doradcą.

Dłonie rozplotły się i spłotły na nowo. Zamigotały oczka pierścionków.

– Dzisiaj młodzi chcą, żeby wszystko było idealnie. – W głosie Margaret pobrzmiwała nutka irytacji. – Kiedy my zamieszkaliśmy tutaj z Donaldem, Luke był malutki, a Jason w drodze. I się nam udało.

– No tak... Mamy z Jasonem trudny rok. Wolałabym najpierw zostawić go za sobą.

– Trudniejszy niż ja? – Margaret odwróciła głowę. Jej jasnoniebieskie oczy były srebrne od łez. – Moim zdaniem, rodzinie potrzeba wyłącznie tego rodzaju dobrej wiadomości.

Libby zalała fala wyrzutów sumienia.

– Przepraszam, Margaret. Ten rok jest dla ciebie straszny. Ale propozycja Erin to naprawdę dobra wiadomość. – Gorączkowo szukając kolejnych pozytywów, przypomniała sobie, co Jason powiedział jej wczorajszego wieczoru. – A Luke? Przecież Jason mówił, że dostał nagrodę dla swojej firmy, prawda? W uznaniu za działalność?

Margaret spłotła palce.

– Tak. Słyszałam. Oczywiście, to dobra wiadomość, ale firma to nie wszystko. Gdyby Luke spędzał w niej mniej czasu, a więcej z Suzanne, być może miałby z kim cieszyć się sukcesem. Biedna Suzanne!

– Wiem. Wielka szkoda, że im nie wyszło.

Libby nie sądziła, że Suzanne jest biedna. Na podstawie tego, co widziała, choć widziała niewiele, nie określiłaby szwagierki w ten sposób. Ekszona Luke'a była wojskową lekarką, twardzielką, o czym świadczyły odznaczenia. Ich małżeństwo nie trwało długo. Oboje z Jasonem wpadli na nich, kiedy po wyjściu z urzędu stanu cywilnego małżonkowie kłócili się, kto będzie prowadził w drodze na przyjęcie.

– Jeśli jednak nie byli dobrani, to lepiej, że nadal mają szansę na poznanie kogoś innego...

– Suzanne była szansą Luke'a na ustakowanie się i dojrzałość. A on ją odrzucił – oznajmiła Margaret ze stanowczością, z którą dyskutować Libby nie czuła się na siłach. – Mówisz zatem, że chcesz odwiedzić ofiarę tego wypadku? – Swobodnie zmieniła temat.

– Owszem. – Powinnam była wiedzieć, że lepiej nie wspominać o Luke'u!, napomniała się Libby. – Widzisz? Poznaję nowych ludzi. Mam nową przyjaciółkę.

Oddaliła się od koni w chwili, gdy jeden z nich ozdobił drogę łąjnem.

Pippa właśnie sporządzała listę imion zaczynających się od L, próbując pobudzić pamięć, gdy do pokoju zajrzała sympatyczna pielęgniarka z dziennej zmiany, Bernie. Radośnie uniosła jasnorude brwi.

– Czujesz się na siłach, żeby przyjąć gościa?

– Tak! A kto to taki?

Wreszcie! – pomyślała, czując drzenie w żołądku. Wreszcie ktoś przyszedł! Zaraz jednak pojawiła się bardziej mroczna myśl. A co, jeśli to chłopak albo mąż, a ona go nie pozna? Skąd będzie wiedziała, czy to przyjaciel?

To bez znaczenia. Ktoś do niej przyszedł! Ktoś, kto może znać odpowiedzi.

Zauważywszy tę ekscytację, Bernie spoważniała.

– Przykro mi, kochana, to nie jest... To ta kobieta od wypadku. Lizzy?

– Libby – powiedziała Pippa.

– Tylko cię sprawdzam. – Bernie puściła oko.

– Cześć! – Libby wyjrzała zza pielęgniarki. – Przechodziłam, więc pomyślałam, że wpadnę i się przywitam! Właściwie trochę mi przykro, że wciąż tu jesteś...

– Nadal tu jestem. Krążę w kółko jak walizka na karuzeli bagażowej, po którą nikt się nie zgłasza.

– Och, zawsze uważałam, że to najbardziej intrygujące walizki – powiedziała Bernie. – Są... Tajemnicze! Drogie panie, napiją się panie herbaty?

Pippa zdawała sobie sprawę, że to próba złagodzenia rozczarowania. Na oddziale brakowało rąk do pracy i Bernie rzadko miała czas sama się napić, a co dopiero serwować herbatę innym. Taka była; Pippa miała to w swoim notatniku. Po wypisie zamierzała przykleić karteczkę z podziękowaniem za dodatkowe herbaty na Drzewie Dobroci w holu. Wczoraj pielęgniarki pozwoliły jej pospacerować po korytarzu dla rozruszania kości i lektura tych wiadomości doprowadziła Pippę do łez. Choć z drugiej strony, może to był wpływ silnych leków przeciwbólowych, na których pozostawała?

– O tak, byłoby miło – odparła Libby, zanim Pippa zdążyła odmówić. – I jak się dzisiaj czujesz? – Przysiadła na krześle obok łóżka. – Jakies postępy?

– Nie, jeśli nie liczyć nowych sińców, które wylazły. – Pippa pokazała fioletowe kręgi na ramieniu.

– Auć. – Skrzywiła się Libby. – Wiesz, dla oderwania myśli... Uznałam, że potrzeba ci czegoś do czytania. – Zaczęła grzebać w torbie.

Pippa zauważyła, że torebka Libby jest droga – miękka śliwkowa skóra z okuciami z mosiądzu i wiszącą metką. Tego rodzaju metki miały mówić coś o właścicielce, ale Pippa nie rozpoznała marki, więc nie była pewna, jaki wniosek powinna wyciągnąć. Libby wyglądała na osobę, która nosi „właściwą” torebkę: stylową, ale nierzucającą się w oczy i nie idiotycznie kosztowną.

Sięgnęła po długopis, żeby to zanotować, powstrzymała się jednak.

Libby miała swoją stronę w zeszycie. „Libby Corcoran, hotel Łabędź. Mężatka, niedawno się przeprowadziła, po trzydziestce, nie ma dzieci”. Biorąc pod uwagę jej gładki akcent, miodowozłote pasemka i skórzane baletki, a teraz jeszcze torebkę, Pippa zgadywała, że hotel musi być elegancki.

Dlaczego zatem wtedy tam szła? Umówiła się z kimś? Na skraju jej świadomości uformował się kształt, ciemny i wyraźny, ale umknął momentalnie, zostawiając po sobie zimną pustkę.

– Proszę, możesz je porzucić w poczekalni, jeśli nie przypadną ci do gustu. – Libby trzymała w ręce stos błyszczących czasopism. – Pomyślałam, że mogą pobudzić twoją pamięć. Wiesz, jeśli zobaczysz sukienkę, którą masz, albo trafisz na artykuł, który wcześniej czytałaś u fryzjera.

– To naprawdę miłe z twojej strony. Dziękuję.

– Och, to żaden kłopot. Kupuję je do hotelowego salonu. – Libby przerzuciła stos. – „Vogue”, „Red”, „Vanity Fair”, „Cosmo”, „Country Life”. Nie wiem, które czasopisma czytasz, ale...

– Ja też nie wiem, więc wszystko gra.

Libby zaczęła przeproszać, zaraz jednak zorientowała się, że Pippa żartuje. Uśmiechnęła się i nagle jej twarz nabrała mniej dojrzałego wyglądu. Jakimś sposobem mniej dojrzałego niż modna torebka i baletki. Za to bardziej typowego dla Libby i jej zwariowanych sandałów.

– Cóż, nie wydaje mi się, żebym czytała „Country Life”. – Pippa wpatrywała się w leżące na pościeli okładki, rozpoznając ku własnej uldze niektóre sławne twarze: Judi Dench w „The Lady”, Kate Moss w „Vogue”. Ale inne kobiety wyglądały anonimowo. Uśmiechnięte i śliczne blondynki.

Poczuła panikę. Ile pamięci utraciła? Ile lat?

– Powinnam ją znać? – Wskazała gwiazdę na okładce „Heat”. Ciemnowłosą kobietę w skąnym bikini, oglądającą uważnie fałdki na swoim brzuchu.

– Hm. – Libby przyjrzała się i pokręciła głową. – Nie. Nie mam pojęcia, kto to taki. Och, występuje w *Made in Chelsea*. Oglądasz to? Bo ja nie. A może to jednak nie był taki dobry pomysł? Zaraz zaczniesz mi się wydawać, że ja też straciłam pamięć. – Pippa roześmiała się, kiedy Libby cmoknęła z dezaprobatą dla własnego dowcipu. – Tak mi przykro. To było w strasznie złym guście.

– Nie przejmuj się. Przynajmniej się dowiedziałam, że mam poczucie humoru. – Pippa z uśmiechem patrzyła jej w oczy, dopóki gość nie otrząsnął się z zakłopotania.

Pomyślała, że Libby ma współczującą, wyrazistą twarz, na której ujawniają się wszystkie emocje. Zastanawiając się albo uśmiechając, otwierała szeroko oczy, które wtedy otaczały zmarszczki, mówiąc, nieustannie poruszała rękami, zakrywała usta, zakładała włosy za małe uszy. W oparciu o to, co widziała tej pory – dwie wizyty, przemyślany prezent, przyjazna rozmowa – Libby wydawała się jej dobrą osobą. Taką, która chętnie pomaga innym.

– Może zrobimy quiz? – zaproponowała Libby, przeglądając czasopisma. – I dowiemy się... – Zerknęła na okładkę jednego z nich. – „Jaki typ związku z komedii romantycznej preferujesz?”

– Co takiego?

– No naprawdę. Popatrz! – Libby wskazała na fotografie aktorów.

Pippa nie była pewna, czy ich rozpoznaje. Ale z drugiej strony na wszystkich

okładkach widniały stanowcze pytania. Na żadne nie znała odpowiedzi. „Masz obsesję na punkcie kontroli?”. „Jak jest twój wiek w związku?”. „Czy jesteś swoją najlepszą przyjaciółką?”. Gdyby był tu ktoś, kto mnie zna, pomyślała, pewnie by powiedział: „Owszem, masz kompletnego bzika na punkcie kontroli. Pamiętasz, na ile różnych kolorów pomalowałaś salon, zanim trafiłaś na właściwy odcień zieleni?”. Albo by się roześmiał i przypomniał, że obdzwoniła wszystkie koleżanki, zanim zdecydowała, w co się ubierze na randkę.

W taki sposób dowiadujesz się, kim jesteś. Życie złożone z epizodów, anegdot, testów i chwil, potwierdzonych i skatalogowanych przez przyjaciół. Ale jeśli ich nie ma – i przyjaciół, i wspomnień – skąd się dowiesz bez konieczności zaczynania wszystkiego od początku?

– Nie wiem, czy dam radę to zrobić... – Pippie załamał się głos.

– Dasz. To nie są pytania z Mensy. – Libby zaczęła przerzucać stronicę. – Zrobię to z tobą. Uwielbiam się dowiadywać, jaką mam osobowość. Nigdy nie bywa napisane: „Ojej, jesteś psychopatką!”. Rezultaty zawsze są pozytywne.

Pippa oparła się wygodnie o poduszki. W dobroduszej apodyktyczności Libby było coś kojącego.

– Pytanie pierwsze: „Co absolutnie musisz mieć w związku? Czy jest to: (a) romantyczność, (b) zaufanie, (c) poczucie humoru, (d) namiętność?”.

– A czy absolutnie konieczne nie powinny być wszystkie cztery?

– Hm, pewnie tak. Ale która z tych cech jest dla ciebie najważniejsza? Nie zastanawiaj się zbyt długo. Nie sądzę, żeby zastanawiał się autor tego testu.

Pippa rozważyła opcje.

– Powiedziałabym, że zaufanie. Myślę, że musisz wiedzieć, z kim jesteś. Musisz mu ufać, żeby móc być sobą.

– O, i to mi się podoba. – Libby zakreśliła odpowiedź. – Okej, a ja wybieram... Romantyczność. Jeśli jej brak, to równie dobrze może być współlokator.

– A jak poznałaś męża? W romantycznych okolicznościach?

Libby uśmiechnęła się, przewracając oczami.

– Prawdę mówiąc, tak. Codziennie jeździliśmy do Londynu tym samym pociągiem. Mnie wpadł w oko Jason, ja wpadłam w oko jemu, ale wiesz, jak to jest, żadne z nas się nie odezwało. Strasznie mi się podobał, byłam pewna, że on to czuje, nawet w drugim końcu wagonu. Potem pewnego dnia wsiadł



innymi drzwiami. I staliśmy tak, ściśnięci, obok siebie. Pociąg zahamował gwałtownie, Jason oblał się kawą, a ja ją wytarłam nowiutkim szalem, żeby nie zostawiła plam na garniturze. – Pippa zobaczyła, że Libby się rumieni. Nostalgiczny uśmiech uniósł kąciki jej szerokich ust, jakby myśl o tamtym zdarzeniu zawsze przenosiła ją w czasie. – Oczywiście szal był do wyrzucenia. Jason się upierał, że odda go do pralni, a potem przysłał mi nowy, razem z bukietem kwiatów. No i od tego się zaczęło.

Rumieńce sprawiły, że Libby ubyło lat. Wyglądała różanie, zupełnie jak mlecarka.

– Urocze – powiedziała Pippa, choć mózg jej pracował gorączkowo. Jak zawsze w ostatnich dniach, gdy otrzymywał nowe informacje.

Co to o nich mówi? Czy Libby jest spontaniczna? A Jason niezgrabny? Oboje są dość nieśmiali? Nieważne, co się wydarzy w przyszłości, to wspomnienie będzie ich łączyć już zawsze. Zawsze pozostanie ta złota pętla otaczająca chwilę, która ich związała. A teraz ona, Pippa, też będzie częścią tej retrospekcji.

To łączy ludzi. Wspomnienia. Wspomnienia rozmów.

Pippa poczuła ból. Inni ludzie być może ją pamiętają, a ona ich wcale. Została od nich odcięta. Istnieje w cudzych umysłach, lecz nie w swoim własnym.

– Jak długo jesteście razem? – zapytała pospiesznie, by powstrzymać niechciane myśli.

– Dziewięć lat. Niedługo piąta rocznica ślubu! – Libby sprawiała wrażenie, że chce coś dodać, ale zrezygnowała. – Dość o mnie! Pytanie drugie! „Twój idealny bohater mieszkałby: (a) w zamku, (b) w mieszkaniu na Manhattanie, (c) w wiejskim domu w stylu gregoriańskim, (d) na paryskim poddaszu?”.

– W wiejskim domu.

Libby uniosła brew.

– Próbujesz poderwać pana Darcy’ego?

– Nie. Po prostu nie widzę siebie na Manhattanie ani na francuskim strychu. Ani w zamku.

A to wyklucza pewne style życia, argumentowała w duchu. Jestem tradycjonalistką, nie podróżniczką.

– Ja też wybieram wiejski dom. – Libby otoczyła odpowiedź starannym kółkiem. – Jest coś bardzo romantycznego i w kominkach, i w mężczyznach grzejących przy nich spodnie. Nawiasem mówiąc, próbuję mieć swojego pana

Darcy'ego.

– To twój ideał mężczyzny?

– Owszem. Lubię, żeby był wartościowy, odpowiedzialny, honorowy. Zmuszałam Jasona do wkładania wielkich białych koszul na bale kostiumowe, aż wreszcie zrozumiał aluzję. Ale niestety nie chciał się uczyć jazdy konnej.

Odpowiadały na kolejne pytania, a Pippa miała wrażenie, że dowiaduje się więcej o Libby niż o sobie. Nowa znajoma radośnie dzieliła się szczegółami ze swojego życia, informacjami o mężu, o tym, co lubi i czego nie lubi. Pippa uświadomiła sobie, że zazdrości jej tej wiedzy.

W końcu Libby dotarła do ostatniego pytania i zajęła się podliczaniem wyników. Jak przewidziała, przypadł jej pan Darcy. Ucieszyła się, że zna siebie tak dobrze.

– A twoim idealnym bohaterem jest... – Odwróciła kartkę. – ...Jack Dawson z *Titanica*. Chcesz kogoś, z kim mogłabyś się śmiać, a równocześnie się w nim zakochać. Lojalnego i wiernego. Kogoś, na kim mogłabyś polegać, ale lubiącego się bawić.

– Co to jednak mówi o mnie?

Libby się zastanowiła.

– Mówi, że jesteś osobą niezależną i pragniesz równorzędnego partnera. Nie dajesz sobą dyrygować. W sprzyjających okolicznościach przypuszczalnie chętnie zdejmujesz maskę i pozwalasz się umalować. Jak te francuskie dziewczyny.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała Pippa. – Brzmi idealnie.

– Zatem wiemy już, kto po ciebie przyjdzie – oznajmiła Libby z zachęcającym uśmiechem. – Musimy tylko zaczekać, aż się pojawi.

– Skąd wiesz, że ktokolwiek przyjdzie? – zapytała Pippa.

– Jestem przekonana, że ktoś cię szuka. – Na słonecznej twarzy Libby malowała się niezbita pewność. – Po prostu wiem. A jeśli nie jest w tej chwili w drodze, wyruszy niedługo.

Pippa odwzajemniła uśmiech, ale w jej duszy zamigotało coś bynajmniej nie słonecznego. Pomiędzy jasnymi motylami oczekiwania trzepotało kilka czarnych ciem.

## Rozdział 6

Katie, przyjaciółka Erin i dziennikarka, zadzwoniła w środę rano, z entuzjazmem rozwodząc się nad „uroczym” hotelem i romantyczną przygodą, o której opowiedziała jej Amerykanka. Kiedy rozmowa dobiegła końca, Libby aż wibrowała z ekscytacji. Zgodziła się, żeby Tara przyjechała na początku września.

Za cztery miesiące. Szesnaście tygodni.

Czy, jak to przedstawiła Jasonowi: „Za szesnaście tygodni!”.

Zareagował konkretnia.

– Jesteś niesamowita, mój ty społecznościowy geniuszu! – powiedział, a potem pocałował Libby tak namiętnie, że oboje dwukrotnie zignorowali dzwoniący w recepcji telefon.

Następnie dodał:

– Musimy zadzwonić do Marka. Czas, żeby sprawą zajęli się zawodowcy.

Libby poczuła lekkie rozczarowanie, słysząc tę propozycję z ust Jasona, mimo że wcześniej sama tak mówiła.

– Musimy? A właśnie powiedziałam Katie, jakie to romantyczne doświadczenie, kiedy do trzeciej nad ranem zrywamy tapetę i słuchamy radia.

Relacjonując Katie przebieg terapii remontowej, myślała, jak doskonale się przy tym bawią. Że często się śmieją, że ją ogarnia przeczucie sukcesu, kiedy widzi powracający do życia pokój. Tylko, dodał cichy głos w jej głowie, od teraz będą bardzo zajęci. Kiedy znajdą czas na bycie tylko we dwoje? Czy w każdy wieczór będą „dotrzymywać towarzystwa Margaret”, oglądać powtórki *Poirota* i kiwaniem głów potwierdzać jej zapewnienia, że Donald przeczytał wszyściutkie powieści Agathy Christie?

Jason przyciągnął ją do siebie.

– To rzeczywiście było romantyczne przeżycie – podsumował rzeczowo, całując Libby w czubek nosa. – Doświadczyliśmy go, możemy je sobie cenić i opowiadać o nim dziennikarzom. A jeśli chcesz nawiązać więź

z budowlańcami i pracować z nimi, mnie to pasuje. Tylko nie proś, żebym znów zdzierał tapety. To tylko kwestia czasu, kiedy komuś wydłubię oko jakimś narzędziem. – Przez rozczarowanie Libby przebił się uśmiech. – Spójrz na sprawę realistycznie – kontynuował. – My nie jesteśmy stworzeni do takich prac. Nie przecz. Widziałem, że czytasz instrukcje na puszkach z farbą. Więcej nie damy rady zrobić.

– Ale czy stać nas na Marka? – Marek był najlepszy, wiedziała o tym, ale i drogi. A Libby martwiła się o pieniądze. Nie potrafiła nic na to poradzić. – Nie powinniśmy poszukać jakiejś miejscowej firmy?

– Myślę, że na tym etapie powinnaś zapytać: „Czy stać nas na to, żeby nie zatrudnić Marka?” – odparł Jason poważnie.

I wtedy jej opór osłabł. Libby oczami wyobraźni zobaczyła gładką, profesjonalnie poprawioną wersję hotelu i ciężar spadł jej z ramion. Ta ulga ją zaskoczyła.

Jason pocałował ją ponownie i zanim zdążyła zapytać: „Nie pamiętasz, ile ostatecznie zapłaciliśmy Markowi?”, już wybierał numer.

Libby nie miała pojęcia, co Jason powiedział ani jaką ustalił cenę, ale nazajutrz tuż przed lunchem z chrzęstem przetoczył się po zwirowanym podjeździe znajomy czarny van.

Margaret przed chwilą wyszła na spacer z Bobem i Libby ulżyło, że teściowej nie będzie w czasie wizyty budowlańców. Praktyczne do bólu podejście Marka na pewno skłoniłoby Margaret do żarliwej obrony szkockich krajobrazów i przecieranej ścierką farby na ścianach biura. Libby pamiętała dość brutalne potraktowanie jej londyńskiej kuchni, której wcale tak bardzo nie lubiła.

Pobiegła do salonu, gdzie Jason wymieniał właśnie zakurzone żarówki w wielkim żyrandolu. Ograniczyli ich liczbę do pięciu, co pochlebiało pajęczynom, ale nie było dobre przy czytaniu.

– Marek przyjechał – oznajmiła. – Zrobiłeś listę?

– Jaką listę? – Jason zaczął schodzić.

Libby przytrzymała chwiejną drabinę.

– Mówiłeś, że spiszesz rzeczy, które trzeba zrobić. Żeby mógł je wycenić.

– Ach, nie. Przepraszam. Nie udało mi się za to zabrać. Robiłem porządek z telefonem mamy. – Jason odgarnął włosy z twarzy. – A potrzebna nam ta

lista? Marek rzuci okiem i będzie wiedział, co jest grane.

– A miałeś czas na przygotowanie nowego budżetu? – Libby posłała mężowi spokojne spojrzenie, pod którym ukryła zdenerwowanie.

Musiała pokazać, że mu ufa. Nowy początek. Absolutna szczerość. Żadnych pytań z podtekstami.

– Tak – odparł równie spokojnie Jason. – Opracowałem go.

– Z nowymi łazienkami?

– Z nowymi łazienkami.

Patrzyli na siebie, aż Libby zadała pytanie, którego wolałaby nie zadawać, choć wiedziała, że to konieczne.

– I na pewno mamy dość pieniędzy na koncie?

– Tak – powiedział Jason, nie odrywając od niej jasnoniebieskich oczu. – Na pewno mamy dość pieniędzy. Więc jak? Mówiłaś, że już są?

Wyszli na ganek, by przywitać Marka, który szedł podjazdem w towarzystwie swojego przybocznego Jana, elektryka. Obaj mieli ciemne okulary i czarne koszulki polo – wizja Londynu na kwietnym tle hortensji.

W piersi Libby wezbrało podniecenie. Oto idiotyczne tapety i nieprzyjemny salon znikną na jej oczach, a ona nie będzie musiała za to płacić kolejną drzazgą, pęcherzem od papieru ściernego.

Margaret zobaczy, jak sprawnie pracują, i przestanie mieć pretensje o zmiany, pomyślała. Po remoncie budynek zyska piękny wygląd, zanim moja teściowa zdąży zrobić tę swoją rozczarowaną minę. No i czy Donald nie doceniał dobrej roboty? Na pewno chciałby, żeby jego hotel wrócił do świetności jak za najlepszych czasów.

– Tak, tak. Wściekłe psy wróciły – mruknął Jason pod nosem.

– Nie nazywaj ich tak! – odparła szeptem Libby. – Jestem pewna, że nie o takie wrażenie im chodzi.

– A ja mam wątpliwości. Dzień dobry, chłopaki! Mam nadzieję, że droga nie była najgorsza.

– Dzień dobry, Jasonie. Libby – odparł Marek.

Powróciły wspomnienia: długie gorące lato z Radiem 1, od ósmej do piątej, odgrzebywanie zakurzonych kubków do kawy, zapach pyłu, odżywki do włosów Lynx, ciastek marki Ginsters. Pół roku obozowania w jednym pokoju, podczas gdy Marek i jego wesoła kompania rozbierali pół domu na kawałki, po czym składali go z powrotem, o połowę zwiększając dopływ słońca i powietrza. Nie było człowieka, który po przebudowie nie zachwycałby się

cudownym wnętrzem, w którym odnosiło się wrażenie, że czyste światło sączy się z niewidzialnych okien.

A teraz Marek powtórzy swoje magiczne sztuczki w hotelu.

– Witaj! – zawołała.

I powstrzymała się w ostatniej chwili, żeby go nie pocałować.

Milczący Jan zdobył się na lekki uśmiech, a Libby poczuła, jak na widok obu zalewa ją fala ciepła. W najgorętszym okresie remontu nigdy by się o to nie podejrzewała.

– Podać wam coś do jedzenia albo picia? – zapytała. – Macie ochotę na herbatę?

– To bardzo miłe z twojej strony, Libby – odparł Marek, zdejmując okulary, żeby przetrzeć przekrwione oczy. Pracował do późna w noc, prowadząc nieujawnioną liczbę superskutecznych ekip budowlanych, których członkowie bez wyjątku nosili koszulki polo z logo jego firmy. – Ale czy moglibyśmy zacząć? Muszę po południu wrócić do miasta na wycenę robót. Jesteście dalej od Londynu, niż myśleliśmy.

– Ha! – powiedziała Libby. – W dodatku nie tylko pod względem odległości! Co? – zapytała, dostrzegając pełen nagany wzrok Jasona.

– To w najgorszym razie trzy godziny – odparł.

– I jakieś dwadzieścia lat!

– Libby...

– Chcę tylko wyraźnie powiedzieć Markowi, że chociaż jesteśmy daleko od Londynu, nie nabraliśmy upodobania do zielonych kaloszy i kwiatowych obramowań – oznajmiła wesoło. – Chcemy, żeby Łabędź odznaczał się tym samym wysokim standardem, co najlepsze hotele. Żaden hotel w hrabstwie nie będzie mógł się z nim równać.

– Coś czuję... – Marek uniósł palec i z namysłem wciągnął powietrze. – Ściany są wilgotne?

– Albo to kanalizacja – stwierdził Milczący Jan, który nie odzywał się prawie nigdy.

Libby aż się wzdrygnęła. Musiał to coś uznać za wyjątkowo odrażające.

Jason westchnął.

– Nie – powiedział, rzucając Libby spojrzenie oznaczające: „Tylko nie mów «a sprzedałam!»”. – To pies.

– Macie psy? W hotelu? – Marek sprawiał wrażenie przerażonego. Bardziej niż myślał o wilgoci.

– Na razie. Ale musimy omówić inne sprawy. – Uśmiechnęła się Libby. – Zaczniemy od góry i zejdziemy na dół?

– No i tak – powiedział Jason, kiedy kilka godzin później czarny van Marka zniknął za zakrętem.

Pozwolił, by słowa zawisły między nim a Libby jak dym z pistoletu startowego. Hotel nagle wydał się im bardzo cichy – bez nieustających odgłosów strzelających taśm mierniczych, krótkich i intensywnych dyskusji po polsku, telefonu Marka dzwoniącego co trzy minuty i coraz bardziej niespokojnych „hm” Jana odnajdującego kolejne dowody na pasję Donalda do amatorskich napraw instalacji elektrycznej.

– No i tak – powtórzyła Libby.

Chciała, żeby jej mąż przemówił pierwszy, na wypadek gdyby źle odczytała sytuację, a połyskliwa wizja, którą przelotnie dostrzegła, okazała się wyłącznie wytworem jej wyobraźni. Marek sprawił, że wydawała się bardzo prawdopodobna, przekształcając w oczach Libby strony z Pinterestu w rzeczywistość. Potrzebował do tego kilkuminutowych oględzin albo jednej czy dwóch radykalnych i kosztownych sugestii dotyczących kanalizacji.

Stali na ganku pomiędzy kamiennymi kolumnami. Jak pierwsi właściciele z czasów georgiańskich, którzy pozują do portretu na tle wiejskiej posiadłości.

– Na stronie internetowej ładnie wyglądałoby nasze zdjęcie na tych schodach – dodała. – Może z Bobem. Gdyby dał radę posiedzieć przez chwilę nieruchomo.

Jason spojrział na nią z ironicznym uśmiechem.

– Strona internetowa? A nie powinniśmy najpierw pozbyć się wilgoci?

– Nie. Musimy myśleć do przodu. Napisać idealny plan, a potem go realizować.

Libby nabrała powietrza w płuca, rozkoszując się jego świeżością po duchocie przeładowanego meblami wnętrza hotelu. Był pierwszy wiosenny dzień z nutą lata. Powietrze pachniało zielenią liści i traw.

Jason objął żonę, a ona oparła się o jego pierś. Trwali tak przez chwilę, podziwiając błyski światła w porośniętej mchem fontannie, która wypełniała środek okręgu na podjeździe. Libby wyobraziła sobie lśniące austiny i fordys, które w latach trzydziestych zwoziły tu gości na przyjęcia. Kiedy dom wciąż był domem majątnej rodziny, a nie hotelem.

Odwróciła głowę i wtuliła nos w czystą błękitną koszulę Jasona, wdychając znajomy kołaż zapachów: Hugo Boss, proszek do prania i pikantne męskie ciepło złotej skóry. Na tę kombinację seksowności i poczucia bezpieczeństwa zareagowała za pierwszym razem, kiedy się do niego zbliżyła. Wtedy, w pociągu. Wcześniej z drugiego końca wagonu tygodniami zastanawiała się, jak on pachnie. Jaki jest dotyk jego skóry? Dzisiaj już wiedziała.

Dokładnie taki, jak sobie wyobrażała.

– Teraz to się wydaje bardziej realne, no nie? – powiedział. Poczwała wibracje głosu, głęboko w klatce piersiowej. – To znaczy: hotel.

– Co...? Zawsze wydawał się realny. Ty po prostu nie musisz wstawać, żeby przygotować śniadanie.

– Chodzi mi o to, że widzę, jak Marek go zmienia. – Jason pokręcił głową, jakby nie wierzył, że mógł być tak głupi. – Trzeba go było wezwać od razu. Zatem tak: cztery tygodnie na remont, tydzień albo coś koło tego na wykończenie. W najgorszym razie powinniśmy być gotowi na początku lipca. A to oznacza dość czasu, żeby nabrać wprawy do przyjazdu tej dziennikarki.

Myślimy o tym samym, stwierdziła z ulgą Libby.

– Tylko czy to dobrze, że Marek może tak szybko zacząć? Nie powinien przypadkiem być zajęty na kilka miesięcy z góry?

– No... On jest szefem, prawda? Ma ekipy. – Jason oparł się o kolumnę i odetchnął głośno. – Może i nie jest najtańszy, ale go znamy, a tutejszych firm nie. No i potrzebujemy kogoś, kto pracuje szybko i dobrze.

Sprawiał wrażenie wyluzowanego, Libby wiedziała jednak, że ją przestrzega. To nie będzie tanie. To podniesie stawkę. Znow będą musieli dyskutować o pieniądzach, wielkich sumach, których już nie mają. Przestali dysponować liną ratunkową w postaci wysokiej pensji Jasona czy nienadwerężonej pewności siebie obojga.

Jesteśmy w stanie to zrobić? – zadała sobie pytanie i jej pozytywne nastawienie zachwiało się na sekundę. Czy nie byłoby prościej, gdyby ograniczyli ambicje, zachowali pokoje z łazienkami w kolorze awokado, nauczyli się żyć spokojniej? Margaret byłaby szczęśliwsza.

Spojrzała na Jasona, który obserwował jej reakcję z ostrożną nadzieją, i zobaczyła, że on się na to nie zgodzi. Ona zresztą też nie. Potrzebne im były osiągnięcia, stworzenie czegoś nowego i lepszego. A praca nad realizacją wspólnego celu? Czy nie odbuduje ich małżeństwa?

Jason chciał udowodnić, że Libby może mu ufać. Libby chciała udowodnić,



że jest gotowa to zrobić. Było mnóstwo dobrych powodów, by skorzystać z tej szansy.

Wzięła głęboki wdech.

– Ile zdaniem Marka będzie to kosztować?

Jason nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w ich samochody zaparkowane obok różaneczników i przygryzał wargę. Robił tak, kiedy nie miał ochoty czegoś powiedzieć; Libby często widywała ten grymas przy okazji różnych spotkań towarzyskich, choć rzadko przy rozmowach w cztery oczy.

– Ile, Jasonie?

– Zawsze mówiliśmy, że jeśli mamy to zrobić, powinniśmy zrobić to dobrze... – stwierdził z wahaniem. – Jeśli mamy wizję czegoś, co jest nasze...

– ...to powinniśmy ją realizować. – Oddech Libby przyspieszył. – To byłaby fałszywa oszczędność, gdybyśmy odnowili zaledwie połowę hotelu, a resztę zostawili po staremu. Ludzie by to zauważyli. No i zaczniemy zarabiać, dopiero kiedy wszystkie pokoje będą zajęte.

– Z całą pewnością. Kiedy gości zwabi twoja fantastyczna strona internetowa. – Jason objął żonę w talii. – I twoje przepyszne śniadania. Luksusowe łazienki. I ty, w recepcji, każdego traktująca wyjątkowo.

Libby zamrugła. Przez euforię przebiła się twarda rzeczywistość – kiedy Marek skończy remont, wciąż pozostanie wiele do zrobienia. Hotel będzie wyglądał bajecznie, ale oni będą musieli o niego dbać codziennie. A to oznacza starannie poskładane ręczniki, nowe pomysły na reklamę, promienny uśmiech dla każdego gościa, choćby padali z nóg. Zgryźliwe recenzje na TripAdvisorze dotyczyć będą jej.

– Co takiego? – Jason cofnął się, żeby przyjrzeć się Libby z perspektywy. – Wyglądasz na spanikowaną. Przecież nie będziesz tego wszystkiego robiła sama. Ja ci pomogę.

– Jasne. Ale wiesz, właśnie do mnie dotarło, na co się porywamy. Nigdy nie robiłam niczego, co byłoby tak... – Poszukała właściwego sformułowania. Chciała, by jej słowa zabrzmiały realistycznie, nie negatywnie. – Gdzie wszystko odbywa się na widoku, od razu można ocenić, jak dobrze i jak ciężko pracujemy – poprawiła się. – I nie ma się gdzie ukryć. A ja zawsze pozostawałam raczej na drugim planie.

Jason uniósł jej brodę tak, by Libby mogła widzieć jego twarz. Oczy mu jaśniały. Po raz pierwszy od miesiący wyglądał na pełnego energii.

– Ale mnie właśnie na tym zależy, Libby! Przez ostatnie dziesięć lat

operowałem pieniędzmi, których nie widziałem na oczy. Handlowałem rzeczami, które nie istnieją. A to jest prawdziwe. To coś, na co będziemy mogli patrzeć i myśleć: „To nasze dzieło”. Kiedy goście będą odjeżdżać zachwyceni, bo mamy najlepsze łóżka w hrabstwie, albo kiedy ktoś z Londynu zarezerwuje pokój na kolejny pobyt, bo nigdzie nie czuł się tak dobrze. To będzie znaczyć, że się nam udało.

– Wiem.

– Mam zamiar do tego doprowadzić, Libby – oznajmił Jason zapalczywie. – Przyrzekam! To będzie najlepsza rzecz, jaka mogła nam się przydarzyć.

Jego twarz rozświeciła nadzieją, a Libby wywietrzały z głowy pytania o finanse, hipotekę, personel. Jason wraz z pracą utracił mnóstwo innych rzeczy, ale ona najbardziej tęskniła za jego entuzjazmem i zorientowaniem na cel, które tak lubiła na początku ich znajomości. Teraz wydawał się bardziej dawnym sobą, a to nadało jej ekscytacji wyraźniejszego i bezpieczniejszego wymiaru. Libby nie znośiła ponaglać męża, zrzedzić o podziale obowiązków, bo obojgu przypomniało to, że po zwolnieniu z pracy codziennie rano musiała go niemal siłą zwlekać z łóżka.

– Tak! – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Pewnego dnia będziemy wspominać tę chwilę, która zapoczątkowała imperium butikowych hoteli Corcoranów!

Uśmiechnął się.

– Super. A teraz musimy powiedzieć o tym mamie.

Libby próbowała sprawić, by na spotkaniu w zagraconym biurze zapanowała miła atmosfera. Przyniosła ciasto i herbatę, ale Margaret siedziała za ciężkim biurkiem z miną, jakby stała przed plutonem egzekucyjnym. Bob leżał u jej stóp, wężąc od czasu do czasu. Na wypadek gdyby okruch ciasta spadł na podłogę.

Jason przedstawił matce poprawione plany remontowe, Libby pokazała swoje kolaże i katalogi z łazienkami od Marka, a także próbki farb, których zamierzają użyć. Wszystko to spotkało się ze słabym uśmiechem i pomrukami: „Urocze”.

Główna zmiana planów, wyjaśniał Jason, polega na tym, że dobudują nowe łazienki, zamiast pomalowania tych, które już są.

– Nie rozumiem, dlaczego musimy to robić – sprzeciwiła się Margaret. – Czy teraz jest źle?

– Nie. Ale już czas je zmodernizować – odparła Libby taktownie. – Goście lubią odrobinę luksusu: białe wanny, śliczne lśniące krany, silny prysznic.

Margaret spojrzała na Jasona, szukając wsparcia.

– Jeśli jest czysto, to jaka różnica, czy łazienki są modne, czy nie?

– Wymagają modernizacji, mamó – powiedział Jason. – W księdze gości są uwagi o plamach na wannach, więc Libby wspomniała o tym Dawn. Ale ona odparła, że nie da się ich usunąć żadnym środkiem czyszczącym.

– W takim razie trzeba poszukać lepszych środków. – Margaret zacisnęła zęby. – Te wanny są najlepszej jakości. Były straszliwie drogie.

– W to nie wątpię. Ale kiedy, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim? To ponad trzydzieści lat temu!

– Nie, to... – Margaret urwała. – Och, chyba masz rację. – Zamrugła. – Trzydzieści lat, dobry Boże!

Jason wykorzystał chwilową nieuwagę matki.

– Rzecz w tym, mamó, że teraz goście oczekują innych rzeczy. A my musimy znaleźć nowy kierunek działalności. Ten artykuł to rewelacyjna okazja, żeby usłyszał o nas cały kraj. Zwróci na nas uwagę klienteli, którą powinniśmy przyciągać.

– Nie podoba mi się wynikający z twoich słów wniosek, że hotel w obecnym stanie nie odpowiada czyimś standardom. – Ku zaskoczeniu Libby Margaret zadarła głowę. Nigdy dotąd nie sprzeciwiała się zmianom wystroju tak zażarcie. – Cieszę się, że nie dorównujemy, hm, londyńskiemu kryteriom. W końcu przez lata dawaliśmy sobie radę na swój własny, nieambitny sposób.

– Och, mamó! To nie była krytyka. – Jason urwał.

Libby widziała, jak uchodzi z niego powietrze. Jak wcześniejszy entuzjazm rozwiewa się pod karcącym spojrzeniem.

– Oczywiście, że to nie krytyka – wtrąciła pospiesznie. – Jasonowi chodziło o to, co sama zawsze powtarzasz, że hotelowi potrzeba czułej opieki. To dobra okazja, żeby raz wydać pieniądze i mieć to z głowy. Zmiana wystroju, naprawy, drobne remonty. Marek załatwi to za jednym zamachem. Wiem, to brzmi poważnie, ale naprawdę, kiedy zobaczysz rezultaty, to będzie jak... – Usiłowała znaleźć odpowiednie porównanie, ponieważ tak naprawdę pragnęła fundamentalnej transformacji. Chciała, żeby hotel zmienił się nie do poznania, poczynając od tego parchatego jeleniego łba. – ...jak wtedy, gdy zakładasz nowe okulary i potrzebujesz kilku dni, żeby się przyzwyczaić. A potem się dziwisz, dlaczego ich nie założyłaś wcześniej.

Nastąpiło długie milczenie.

Libby poczuła nacisk stopy Jasona na swoją kostkę. Bezgłośnie „dziękuję”.

W końcu opór Margaret osłabł.

– Cóż, widać wyraźnie, że poświęciliście temu projektowi dużo czasu. Ja niewiele mogę dodać. Jestem pewna, że wiecie, co robicie.

– Ale zależy nam na twojej opinii – upierała się Libby. – To także twój hotel.

Za późno zadała sobie pytanie, czy mówiąc „także”, nie popełniła błędu.

Margaret westchnęła.

To jakiś obłąd, pomyślała Libby. Bo to był obłąd.

## Rozdział 7

„Nikt nie przyjdzie, żeby mnie zabrać”.

Powieki Pippy uniosły się gwałtownie. Słowa zabrzmiały tak wyraźnie, że przez zaspane pół sekundy wydawało się, że wypowiedział je ktoś tuż przy jej uchu. „Nikt nie przyjdzie, żeby mnie zabrać”. Ta brutalna prawda dryfowała jej w głowie od wielu dni, ale udawało się ją tłumić innymi sprawami. Teraz jednak Pippa nie potrafiła myśleć o niczym innym. Nie było żadnych snów. Żadnych mglistych wspomnień umykających w dziennym świetle.

Tylko lodowaty, beznadziejny strach.

Nikt po mnie nie przyjdzie. Nie mam nazwiska. Nie mam domu. Nie mam miejsca, do którego mogłabym pójść. Od którego mogłabym zacząć.

Głowa Pippy wypełniła się białym szumem, przygwożdżając właścicielkę do łóżka i sprawiając, że jej serce waliło boleśnie w zaciskającej się klatce piersiowej, podczas gdy myśli wirowały jak na karuzeli. Pippa wpatrywała się w sufit i jak zawsze usiłowała przeszukiwać pamięć w nadziei, że trafi na nowe szczegóły, ale panika zablokowała rozum. Siedem dni. Siedem dni i nikomu mnie nie brakuje! W porządku, nie mam zatem szalejącego z niepokoju chłopaka. Dobrze. Może akurat jestem wolna, pomiędzy związkami? Ale rodzina? Koledzy z pracy? Współlokatorki? Nikogo?

To przerażało Pippę do szpiku kości. Kim jestem? Nie wydawało się jej, by była samotnicą, niekochaną albo niepopularną w jakiś pokręcony sposób. Z pielęgniarkami dogadywała się bez problemu, a nawet pośmiała się razem z Libby Corcoran. Z Libby, nieznajomą, która odwiedziła ją dwukrotnie, za każdym razem spędzając u niej ponad godzinę. Gdzie są przyjaciele? Czy poza tą salą jestem nieśmiała? Doszło do jakiegoś dramatycznego zerwania ze wszystkimi, których znałam? Rzuciłam kogoś? Właśnie wyszłam z więzienia? Szłam do tego hotelu, bo opuściłam swój dom?

Pippa patrzyła na otaczającą zasłony jaskrawą smugę słonecznych promieni, kiedy odgłos drzwi wahadłowych obwieścił przybycie pierwszej zmiany. Ten

znajomy dźwięk nieznacznie stłumił panikę. Więzienie było wizją cokolwiek melodramatyczną. A Pippa nie czuła się jak kłótniwa jędza czy cudzołożnica. Ale kto wie? Możliwości było zbyt wiele, żeby objąć je rozumem. Mogła być dosłownie każdym. Bez przeszłości, bez wspomnień. Skąd można wiedzieć, kim się jest? Czasopisma przyniesione przez Libby były pełne artykułów zachęcających czytelniczki do nowego początku: „Wymyśl na nowo swoją garderobę!”, „Przekształć swoją miłosną historię!”, ale to była zabawa. Jeśli, oczywiście, wiedziało się, co się zmienia.

Pippie zrobiło się niedobrze.

Pielęgniarki przedstawiały najróżniejsze powody, dla których nikt po nią nie przyszedł. Wszystkie bardzo wiarygodne, ale nie aż tak dodające otuchy, jak przypuszczalnie liczyły.

„Są na urlopie”, brzmiało ulubione wyjaśnienie Bernie, która miała słabość do wakacji, jak zanotowała Pippa w swoim zeszycie; śledziła wolny czas koleżanek jak sęp. „Pojawią się opaleni, z prezentami. I będzie im okropnie przykro, że przez cały ten czas wylegiwali się na słońcu”.

Karen, druga dzienna pielęgniarka, mieszkała sama, wiele kilometrów od rodziny w Szkocji. Według jej teorii Pippa najprawdopodobniej prowadziła godne zazdrości niezależne życie i nie ma czego się wstydzić.

– Ja leżałabym w szpitalu przez miesiąc, zanim ktoś z mojej rodziny by się zorientował, że zaginęłam – mówiła, mocno strzepując poduszki i układając je na nowo pod obolałymi żebrami Pippy. – Pewnie gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia. A w szpitalu zgłosiliby moje zaginięcie tylko wtedy, gdyby brakowało im ludzi do obsadzenia dyżurów.

Miłe z ich strony, że tak się starają, myślała Pippa. Ale co, jeśli rzeczywiście jestem pozbawiona przyjaciół?

Będzie musiała stawić temu czoło, kiedy wróci jej pamięć.

Wraz z przybierającym na sile słonecznym światłem w końcu pozwoliła sobie na myśl, którą do tej pory usiłowała ignorować, a która nabierała wagi z każdym nieodmiennie satysfakcjonującym badaniem ciśnienia krwi, z każdym odstawionym lekiem, z każdą bezskuteczną rozmową ze specjalistą od urazów głowy, kończącą się stwierdzeniem, że poza utratą pamięci Pippa jest w doskonałym stanie.

Dokąd pójdzie, kiedy ją wypiszą ze szpitala, skoro nie wie, kim jest?

Położyła się i mocno zacisnęła powieki, siłą woli nakazując porankowi, by się zatrzymał. Sobie zaś nakazała zapaść w kolejny głęboki sen i obudzić się

z odzyskanymi wspomnieniami.

W porze lunchu Szkotka Karen wsadziła głowę w drzwi.

– Masz gościa. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

Pippa pomyślała z nadzieją, że to Libby. Tak jednak nie było.

Nie rozpoznała stojącej za Karen kobiety o sympatycznej powierzchowności – w średnim wieku, ubranej w kwiecistą letnią sukienkę, granatowy żakiecik z krótkimi rękawami i wygodne sandały sugerujące, że większość dnia spędza w ruchu. Blondynka miała wystrzępione włosy, zebrane w niewielki koczek odsłaniający uszy, z których zwisały złote koła.

Pippa przyglądała się uważnie jej twarzy, szukając znajomych cech. Czy mam takie same oczy? Czy to może być ciotka? Dawna przyjaciółka? Właścicielka mieszkania? Zaskoczona poczuła zdenerwowanie, nie ulgę.

– Dzień dobry... Pippo – powiedziała nieznajoma, spuszczać wzrok na teczkę, którą trzymała w dłoni.

Serce Pippy ścisnęło się boleśnie.

Ona jej nie zna. To kolejna obca osoba, która jest miła, ponieważ jest miła. A także dlatego, że na tym polega jej praca.

Pippa wysiliła się na pełen nadziei uśmiech.

– Dzień dobry.

– Mam na imię Marcia i pracuję w opiece społecznej – wyjaśniła kobieta, bez zaproszenia przysiadając na krześle obok łóżka. – Policja przekazała mi twoją sprawę, ponieważ nie zgłoszono twojego zaginięcia i nie ma twojego DNA w systemie. – Urwała i się uśmiechnęła. – Co jest dobrą wiadomością!

Mówiąc to, Marcia otwierała teczkę. Była cienka i zawierała zaledwie kilka kartek papieru.

To ja? – pomyślała Pippa. Tylko tym jestem? Oczywiście, że tak. Zaczynam od początku. Mam dopiero siedem dni.

– Opieka społeczna? – powtórzyła.

Marcia zobaczyła panikę w jej twarzy.

– Ze względu na charakter urazu głowy ktoś musi się tobą zaopiekować, kiedy szpital cię wypisze – mruknęła kojąco. – W zwykłych okolicznościach szpital przekazałby cię członkowi rodziny, ale to niewykonalne, dopóki nie wróci ci pamięć. Dlatego przechodzisz pod opiekę służb społecznych.

– Och! – westchnęła Pippa słabo.

– Jestem pewna, że to rozwiązanie tymczasowe – dodała Karen wesoło. – Niewykluczone, że dzisiaj po południu pozwolą ci wyjść, a w takim przypadku...

Ciąg dalszy zawisł w powietrzu. A jeśli nie pozwolą?

– Teraz cię zostawię. – Karen ruszyła do drzwi. – Naciśnij dzwonek, gdybyś mnie potrzebowała.

– Więc... – Marcia odkręciła pióro i spojrzała na zegarek. Pippa zauważyła, że nawet nie zdjęła zakietu. Nie zanosilo się na długą wizytę. – Twój lekarz powiedział, że według niego pod względem fizycznym jesteś w dobrym stanie i możesz opuścić szpital. Chce, żebyś regularnie się z nim kontaktowała, dopóki w pełni nie odzyskasz pamięci, ale do tego wystarczą wizyty. Otrzymasz komplet informacji.

– Nie mogę tu zostać? – zapytała Pippa z desperacją w głosie. Większą, niż by chciała.

Marcia zrobiła przepaszającą minę.

– Niestety. Jak możesz sobie wyobrazić, brakuje łóżek. Tutaj i na oddziale psychiatrycznym.

Oddział psychiatryczny, skrzywiła się Pippa.

– Oczywiście.

– Dlatego zrobię tak... – ciągnęła Marcia, wyjmując broszurę i zakreślając numery telefoniczne. – Dam ci nasz formularz dla bezdomnych...

– Nie jestem bezdomna!

Pippa umilkła, zszokowana. A jednak była, pod każdym względem. Gdzie był jej dom? Nie miała pojęcia. A poza tym to, że nie czujesz się jak bezdomna, jeszcze nie oznacza, że nią nie jesteś. Mogła być kimkolwiek. Bezdomną. Rozwiedzioną. Matką. Jaką wyrwę pozostawiła w czyimś życiu? A może nie pozostawiła żadnej?

Pytania, na które nie było odpowiedzi, znowu zaczęły krążyć w jej głowie. Żołądek skurczył się od nieprzyjemnego uczucia bycia na łasce kompletnie obcych ludzi. Pippa po części kaszlnęła, po części jęknęła.

Zaniepokojona Marcia sięgnęła po szklankę z wodą.

– Chcesz na chwilę przerwać? Mam wezwać pielęgniarkę?

– Przepraszam. – Pippa usiłowała się opanować. – To tylko... Przepraszam, mów dalej.

– Udało mi się znaleźć dla ciebie pokój w schronisku dla kobiet pod Hartley. To rozwiązanie tymczasowe, bo tam też krucho z miejscami, ale doktor



Reynolds nie wątpi, że pamięć powinna ci wrócić najpóźniej za kilka dni. Więc to długo nie potrwa.

Schronisko. Słowo podsuwające obrazy narkomanek, przerażonych kobiet ukrywających się przed brutalnymi partnerami, drzwi zamykanych na klucz, ludzi płaczących po nocach. Zagubionych.

– To nie wygląda tak źle, jak się wydaje – zapewniła ją Marcia. – Będiesz miała codzienny kontakt z ludźmi. To ważne, jeśli twój stan pod względem medycznym nagle się zmieni.

Z korytarza dobiegł hałas; obie spojrzały w tamtym kierunku, spodziewając się lekarza ze stadkiem studentów (Pippa była czymś w rodzaju gwiazdorskiej atrakcji dla neurologów) albo sprzątaczk. W progu jednak stała Libby w czarnym dżersejowym zakiecie. Niemal podskakiwała, próbując się opanować.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała. – Ale chyba nie wyśle pani Pippy gdzieś, gdzie będzie sama?

Pippa na jej widok poczuła ulgę. Prosta marynarka, rękawy podwinięte do łokci. Wielka śliwkowa torba. Czepiała się znajomych szczegółów, jakby były kotwicą.

– Jest pani krewną? – zapytała Marcia z nadzieją.

– Hm. Nie.

– Libby była świadkiem wypadku – wtrąciła Pippa pospiesznie. – Odwiedza mnie.

Czy to możliwe, że Libby zabierze mnie do siebie? Nie oczekuję zbyt wiele? Czy to wykraczałoby poza uprzejmość?

Libby pewnym krokiem weszła do pokoju i przysiadła na krześle. Zignorowała ostentację, z jaką Marcia zakryła dokumenty.

– Wiem, że to dość niezwykle, ale równie niezwykle są okoliczności. – Pippa zauważyła, że akcent Libby nagle stał się bardziej londyński. Jakby jego pewna siebie właścicielka była przyzwyczajona do omawiania różnych sytuacji i rozwiązywania spraw. – Czy Pippa mogłaby się zatrzymać w naszym hotelu, skoro to rozwiązanie tymczasowe? Szła do nas, kiedy zdarzył się wypadek. Coś w tym miejscu być może pobudzi jej pamięć. Obecnie nie mamy wielu gości, a to chyba lepsze od schroniska?

Spojrzała na Pippę, która z jej wzroku wyczytała, że to słowo także u Libby wywołuje dreszcze.

– To jest jakieś wyjście – odparła Marcia. – Chociaż, naturalnie, nie

będziemy mogli pokryć rachunku.

– Tym proszę się nie przejmować – oznajmiła Libby stanowczo. – Moja teściowa od lat należy do komitetu wolontariuszy działających na rzecz szpitala. Bywa tu kilka razy w tygodniu, więc transport na wizyty nie będzie problemem. Może ją pani zna? Nazywa się Margaret Corcoran. Ja bywam również. Z psem biorącym udział w zooterapii.

Twarz Marcii pojaśniała.

– Jest pani właścicielką Boba?

Pippa nie sądziła, by w całym swoim życiu czuła do kogoś taką wdzięczność. Niemal jak dziecko. Wrażenie, że uratowano ją właśnie od strasznego upadku, że w ostatniej sekundzie złapał ją ktoś na trapezie, sprawiło, że zakręciło się jej w głowie.

– W takim razie... Jeśli się pani zgodzi? – Marcia wyprostowała plecy jak człowiek, któremu właśnie zdjęto z barków połowę obowiązków.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że dla mnie też ktoś by zrobił coś takiego – powiedziała Libby. – Chcę myśleć, że gdybym po wypadku nie wiedziała, jak się nazywam ani gdzie jestem, znalazłby się na tyle przyzwoity człowiek, żeby się mną opiekować, dopóki nie dojdę do siebie.

– To bardzo po chrześcijańsku. Ma pani dziesięć minut? Muszę wypełnić dokumenty – odparła Marcia.

Chociaż Pippa widziała, jak jej pióro przesuwają się po karcie, była pewna, że pracownica opieki społecznej myśli już o kolejnym bezdomnym. O wolnym łóżku.

Spojrzała na Libby i wyszeptała bezgłośnie:

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odparła w taki sam sposób Libby i posłała Pippie beztroski, szczodry uśmiech.

– Jasonie, to ja. Posłuchaj, muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast.

Libby rozejrzała się po korytarzu, ale nigdzie nie dostrzegła śladu Margaret i lorda Boba. Uznała, że poczuje zapach psa, zanim ten się pojawi, albo usłyszy okrzyki podziwu dobiegające z oddali. Chciała najpierw załatwić sprawę z Jasonem, a dopiero potem zwrócić się do Margaret. Gdy już będzie mieć pewność, na czym stoi.

– Jeśli dzwonisz w sprawie Marka – powiedział – to mam dobre

wiadomości.

– Nie chodzi o Marka. – Libby żonglowała w głowie faktami, usiłując znaleźć najlepszy sposób na wyjaśnienie sytuacji, ale zaraz uświadomiła sobie, że nie ma dobrego ani złego sposobu. Jest, jak jest. Co można zrobić innego? – Chodzi o Pippę. Szpital chce ją wypisać, ale nie można odesłać jej do domu, bo nadal nie wie, gdzie mieszka. I nikt po nią nie przyjechał. Kiedy do niej przyszedłam, służby socjalne chciały ją umieścić w **schronisku**.

W słuchawce zapadło milczenie. Libby wydało się, że słyszy klikanie myszką. Jason szukający czegoś w internecie?

– W schronisku, Jasonie – powtórzyła, żeby wykluczyć pomyłkę; mógł przecież pomyśleć, że mówi o jakimś hotelu. – Opieka społeczna umieszcza tam maltretowane kobiety, które uciekły od partnerów, narkomanki na metadonie i tak dalej.

– Wiem, co to jest schronisko – odparł Jason łagodnie. – Ale tak dla twojej informacji... Wątpię, że w Longhampton roi się od przemocy domowej i ćpunów, ale kontynuuj.

– Mam mówić dalej? O czym, twoim zdaniem?

– Powiedziałaś, że może zatrzymać się u nas.

– Oczywiście. Nikogo tu nie zna. Wyraz jej twarzy na te słowa... – Libby zastanowiła się i przygryzła wargę.

Nieukrywana ulga Pippy sprawiła, że jakimś sposobem o wiele bardziej realna stała się całkowita bezbronność nowej znajomej, konieczność przyjmowania na wiarę tego, co mówią ludzie, bo innego wyboru nie było. Pippa to pierwsza osoba, którą Libby naprawdę polubiła w Longhampton. Ale nawet gdyby tak się nie stało, to przecież i tak potrzebowałyby pomocy.

– Cóż... To chyba nasz obowiązek, skoro i tak do nas szła. Wiadomo, jak długo może to potrwać?

– Co, amnezja? Miejmy nadzieję, że niedługo. Ale lekarze chcą, żeby przebywała z ludźmi. A to się świetnie składa, bo jesteśmy w hotelu przez cały dzień.

– Masz pewność, że to nie jakaś cwaniara, która nie wyprowadzi się nigdy?

– Słucham? – Libby uprzytomniła sobie, że nieświadomie zbliżyła się do Drzewa Dobroci. Szybkie spojrzenie na jego konary przypomniało jej, że przyjęcie kogoś na kilka nocy to drobna przysługa dla osoby w potrzebie. Absolutnie drobna. Na drzewie przysiadły dwa nowe ptaki z podziękowaniami dla ochotników za oddanie szpiku dla dziecka i za głośne czytanie *Opowieści*

o *dwóch miastach* umierającej matce autora wpisu. Libby poczuła ucisk w gardle. – Jasonie, ona ma amnezję wsteczną i pęknięte żebra! Dla tych kilka darmowych noclegów w hotelu musiała się cholernie postarać!

– Nie to miałem na myśli.

– No i przecież mamy miejsce! Jeżeli zaś martwisz się o pieniądze, to jestem pewna, że chętnie wszystko ureguluje, kiedy tylko powróci jej pamięć. – Libby wcale tego nie oczekiwała, ale coś kazało jej wygłosić tę kwestię. – Albo możemy wysłać rachunek opiece społecznej. Chociaż oni pewnie nie zostawiają recenzji na TripAdvisorze.

Dlaczego jest taki skąpy? To przecież nie w jego stylu, pomyślała. Normalnie zaproponowałby, że po nie przyjedzie, zanim skończyłabym mówić.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. – Wydajesz się przygnębiony. Zepsuło się nespreso?

– Ja tylko... – Libby usłyszała jęk i wyobraziła sobie, jak Jason przeczesuje włosy dłonią. – Przepraszam, właśnie sprawdzałem nasze konta. Marek przyśle ekipę do pęknięć w poniedziałek, ale dzisiaj do wieczora potrzebuje pierwszej raty. A ja się zastanawiam, co mógłbym ruszyć. Nic nie pasuje, chyba że... – Rozległ się ostry staroświecki sygnał telefonu w recepcji. – Boże, jak ja nie cierpię tego cholerstwa! – burknął Jason.

Naprawdę nie brzmiał jak on.

– Odbierz. Ja i tak zaraz będę w domu. Muszę wziąć jakieś ubrania dla Pippy. Ma tylko to, w czym ją tu przywieziono.

– Powiedziałaś mamie?

– Jeszcze nie. Czekam, aż lord Bob skończy popołudniowe przedstawienie. – Libby usłyszała skrobanie pazurów na terakocie i zaraz zza rogu wyszli Margaret z psem. Bob wykonywał swoją sztuczkę pod publikę, tę, przy której tak uroczo kołysały się jego podbródki, a spory brzuch chwiał się z boku na bok. Pielęgniarka była zachwycona. Przekrzywiła głowę, by zniwelować półtorametrową różnicę wzrostu.

Libby obserwowała ich nadejście, zbierając swoje rzeczy.

– Już tu jest. Do zobaczenia – powiedziała i się rozłączyła.

Margaret nie trzeba było przekonywać, że powinni przyjąć Pippę na kilka dni. Wręcz przeciwnie, była zaskoczona, że Libby ją o to pyta.

– Ale oczywiście! Musi się u nas zatrzymać – oznajmiła, zanim Libby

zdążyła powiedzieć o schronisku dla bezdomnych. – Co za pytanie! Biedaczka jest zupełnie sama. To okropne. Po prostu okropne. Mam nadzieję, że zgodziłaś się od razu?

– Owszem. – Libby spojrzała we wsteczne lusterko, zanim zaczęła wyjeżdżać z parkingu, i jak zawsze podskoczyła, zobaczywszy łeb lorda Boba w przestrzeni między tylnymi fotelami a bagażnikiem.

Pies z wywieszonym językiem dyszał z wysiłku, który włożył w godzinę spokojnego przyjacielskiego zachowania. Gdyby był gwiazdą rocka, pomyślała Libby, miałby biały ręcznik na szyi. Przypuszczalnie też okulary przeciwsłoneczne. Nadrabiał stracony czas, wypuszczając wszystkie gazy, które wstrzymywał, kiedy pacjenci głaskali go po aksamitnych uszach.

– Wiesz, myślałam o niej. Ciekawe, dlaczego do nas szła? – ciągnęła Margaret. Teraz, mając sprawę do załatwienia, bardziej przypominała dawną siebie. – Naturalnie musi u nas pozostać, dopóki nie wróci jej pamięć. Donald wcale by się nad tym nie zastanawiał. Musimy się nią zaopiekować. Wzięłaś wypis ze szpitala? Plan wizyt?

Libby, pod pretekstem wyjazdu z parkingu, obrzuciła teściową spojrzeniem.

– Tak – odparła. – I cieszę się, że się zgadzasz. Miałam nadzieję, że nie uznasz tego za nadmiar inicjatywy z mojej strony.

Dłonie Margaret (dla Libby były czymś w rodzaju emocjonalnego barometru) znieruchomiały.

– Czasem dobrze sobie przypomnieć, że bywają ludzie w gorszej sytuacji niż my. Tylko dlatego, że nadal..., nadal bardzo tęsknię za Donaldem, nie oznacza wcale, że nie potrafię współczuć innym, którzy mają kłopoty.

– Jasne, że nie! – W gruncie rzeczy Libby tak właśnie myślała.

Zaczerwieniła się.

Margaret patrzyła prosto przed siebie. Na przesuwające się za oknem Longhampton.

– Tak czy owak, dzięki temu będę miała coś do roboty, kiedy ty będziesz zajęta remontem. Umieścimy ją w pokoju gościnnym, tam jest spokojniej. Z dala od bałaganu.

– Jesteś najlepszą pielęgniarką, jaką miałam w życiu – powiedziała Libby. – Kiedy złamałam nogę, nie chciałam ani na chwilę tracić cię z oczu.

Dwutygodniowy odpoczynek w pokoju gościnnym i dość pomidorowej zupy Heinza, aby napełnić wannę. Własna matka nigdy nie okazała jej takiej troski. Ani nie pozwalała na trzymanie przy łóżku dzwonka, z którego Libby

korzystała, gdy miała ochotę na grzanekę.

Może to wyjdzie nam na dobre? – pomyślała. Ktoś, nie licząc Jasona i Boba, nad kim Margaret będzie mogła się trząść?

– Muszę przyznać, że cała ta sprawa mnie intryguje. – Margaret rozsiadła się wygodnie. – Ludzie pytają mnie o wypadek, czy wiemy, co właściwie się stało. O, patrz, Norman Jeffreys! Dzień dobry! – Pochyliła się, machając do mężczyzny, który szedł na parking. Pchał fotel na kółkach, w którym siedział staruszek. Margaret westchnęła. – Biedaczysko. Bo wiesz, to siostrzeniec Veroniki Parker jechał mini morrisem. Callum. Już wcześniej dostawał mandaty za nieostrożną jazdę, a żona dwa razy od niego odeszła. Choć my, oczywiście, nigdy o tym nie wspominamy w Stowarzyszeniu Matek, martwimy się o Veronicę. Poznałaś ją?

– Hm. To ta bibliotekarka?

Libby usiłowała sobie przypomnieć, kim jest Veronica Parker i jak się sytuuje w skomplikowanym kręgu towarzyskich powiązań teściowej. W Londynie nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że można oceniać ludzi na podstawie zawartości ich ogrodów (róże – dobrze; trytomy groniaste – źle, krasnale – kontakty wykluczone).

– Nie! To Vanessa. Veronica była organistką w kościele, którą **poproszono**, żeby odeszła.

– Czy w tym mieście możliwe jest utrzymanie czegokolwiek w tajemnicy? – zapytała Libby, żartując tylko po części.

– Właściwie nie. – Margaret pomachała do następnej osoby zmierzającej do szpitala. – Nasza pastor – wyjaśniła, zanim Libby zdążyła zapytać. – Wielebna Jackie. Bardzo sympatyczna. Widziałaś na Drzewie Dobroci tę niepodpisaną kartkę, wydaje mi się, że od Janet Harvey, z podziękowaniami dla wielebnej za zaopiekowanie się kotem, gdy jego właścicielka zamieszkała w domu opieki?

Libby mruknęła, że tak, i skręciła na główną drogę prowadzącą do hotelu. Naprawdę nie potrzebowała podziękowań za swój dobry uczynek. Wiedziało by o nim całe miasto, zanim biedna Pippa przekroczyłaby próg hotelu. No i bez dwóch zdań rozeszłaby się też wieść o zagadce jej pochodzenia.

## Rozdział 8

W prywatnym mieszkaniu Corcoranów były dwa wolne pokoje: dawny pokój Luke'a na poddaszu i właściwy pokój gościnny, w którym Libby kurowała złamaną nogę, czytając powieści Georgette Heyer ze zbiorów Margaret. Chociaż ten drugi był raczej niewielki, zmieściło się w nim sosnowe podwójne łóżko, sosnowa komoda z małym lustrem, sosnowa szafa i sosnowy wieszak na ubrania, a także liczna kolekcja obrazów przedstawiających jelenie na tle szkockich krajobrazów. Za każdym razem, kiedy Libby tu wchodziła, ogarniała ją przemożna chęć pomalowania wszystkiego na biało. I napicia się zupy pomidorowej.

Jason nie zwracał uwagi na sosnowe drewno. I najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że ich obecny pokój – dawniej jego – pozostał w takim stanie, w jakim go opuścił przed laty, nie wyłączając piłkarskich plakatów na ścianach. Libby była przekonana, że w komodzie, którą Margaret opróżniła przed ich przeprowadzką, przez cały ten czas leżały bokserki jej męża, ułożone w schludne niebiesko-białe rzędy.

– Moim zdaniem lepiej by się czuła na poddaszu niż tutaj – powiedziała Libby cicho, kiedy Jason zdejmował poszwę ze starej kołdry, a ona poszewki z poduszek. – Codziennie będzie się budziła z przekonaniem, że oto znalazła się w Świecie Sosny.

– Nie możesz umieścić gościa na poddaszu. – Jason wyciągnął poszewki na poduszki z porządnego stosu. Białe, bez wzorów, przewiązane czerwoną wstążką oznaczającą zwykłe dwuosobowe łóżka. Żółta wstążka wskazywała na pojedyncze, niebieska na te największe. – Pełno tam gratów.

Libby ujęła się pod boki.

– Jak to możliwe, że twój pokój zachował się w stanie pierwotnym, podczas gdy poddasze Luke'a zamieniło się w magazyn śmieci?

– Bo ja czasami przyjeżdżałem do domu, a Luke nie – odparł ostro Jason. – A jak może zauważyłaś, sporo jest rzeczy, które gdzieś trzeba przechowywać.

– Skończył powlekać poduszki i rzucił na łóżko poszwę na kołdrę. – Kołdra, raz!

Zaczęli szukać rogów sprawnymi, pospiesznymi ruchami; Libby zawsze poprawiał się nastrój, kiedy zmieniali pościel. Nienawidziła tego zajęcia od zawsze, ale Jason przekonał ją, żeby sprawdzać, jak szybko uda się im z tym uporać. No i zaczęli działać na wzór mechaników Formuły 1 w pit stopie. Teraz, setki kołder później, wypracowali rytm i tempo. Poruszali się do przodu i do tyłu, wygładzali i strzepywali. Wspólna praca sprawiała im satysfakcję, a widok skupienia na twarzy Jasona sprawiał, że Libby miała ochotę równocześnie wybuchnąć śmiechem i pocałować męża.

Nigdy nie wspomniała żadnej z londyńskich przyjaciółek, nawet Erin, o tym wspólnym zajęciu. Wiedziała, że sama przewracałaby oczami, gdyby ktoś napomknął, że zwyczajny domowy obowiązek stał się prywatnym żartem. To było przerażająco cukierkowe, ale i miłe. Libby bała się czasem, że w razie jakiejś życiowej katastrofy te miłe cukierkowe zwyczaje, których nabrali oboje, znikną. To, że nie przestawali ich kultuwować, znaczyło dla niej więcej, niż potrafiłaby wyrazić.

Wsunęła swój róg kołdry w poszewkę, po czym oboje jednocześnie ściągnęli obleczenie. Kiedy spojrzała na Jasona, na jego twarzy ujrzała triumfalny uśmieszek.

– Robisz się powolna – stwierdził.

– Masz dłuższe ręce.

– Raczej wrodzony talent – odparł wesoło. – A poza tym, kiedy tata miał dyżur w pralni, dawał mnie i Luke’owi po pięćdziesiąt pensów za każdą powleczoną kołdrę. Gdy stawka dochodzi do czterech funtów człowiek szybko nabiera wprawy.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Przypomniałem sobie o tym już po powrocie tutaj. Wszystko grało, dopóki mama się nie dowiedziała. Potem płaciła nam ryczałtem. – Jason zmarszczył nos, pogrążony we wspomnieniach. – Powiedziała, że chce być sprawiedliwa, ale chyba myślała, że Luke jest ode mnie szybszy. Nie był. Zresztą później wygrywał te pieniądze ode mnie w pokera. Bezczelny drań!

Libby wygładziła poszwę i wyprostowała plecy.

– Na czym właściwie polega problem twojej mamy z Lukiem? Niedawno wspomniałam o jego nagrodzie, a jej się udało wtrącić komentarz o rozwodzie z Suzanne. To znaczy rozumiem, że miała z nim kłopoty, ale co on właściwie



zrobił? Podpalił schronisko dla psów?

Jason przeczesał dłonią gęste włosy.

– Nic w tym rodzaju. Podejrzewam, że chodziło o tatę. O to, że przez Luke’a ciągle się denerwował. Mama obwiniła Luke’a o to, że ojciec miał nadciśnienie.

– Naprawdę? A kiedy właściwie Luke się wyprowadził? Ze dwadzieścia lat temu.

– Wiem. To nie miało z nim nic wspólnego. Tato miał wysokie ciśnienie, bo pracował po szesnaście godzin na dobę, lubił ser i nigdy nie ćwiczył. Mama po prostu wypiera takie przyczyny.

– Ale co zrobił Luke? – Libby nie lubiła zmuszać męża do mówienia o rzeczach, które go przygnębiały. Wiedziała, że śmierć Donalda była dla niego wielkim ciosem, choć twierdził, że: „Tata chciałby, żebyśmy ze względu na mamę byli silni, a nie siedzieli i płakali z jego powodu”. Teraz jednak, gdy tu zamieszkała, luki w wiedzy o rodzinie Corcoranów zaczęły jej przeszkadzać. – Muszę wiedzieć, Jase. Martwię się, że coś palnę przy twojej mamie. Nie chcę jej denerwować, zwłaszcza że... Sam wiesz.

Jason westchnął.

– Luke nie był zły, ale miał podejrzanych kumpli. Nic wielkiego, bójki, krycie starszych chłopaków. Kilka podpaleń. Kiedy dorastaliśmy, stawiał tatę w niezręcznym położeniu. Tata był radnym, sędzią pokoju, przewodniczył różnym komitetom dobroczynnym. A Luke’a guzik to obchodziło. W końcu doszło do sytuacji, kiedy tata nie zdołał oczyścić go z zarzutów. Wtedy mój brat zaciągnął się do wojska.

– Ale w wojsku radził sobie dobrze, prawda? – Libby usiłowała dopasować te informacje do szwagra, którego znała: spokojnego, o przenikliwym spojrzeniu, kościstego, tryskającego energią. Śmieszne, ale był podobny do Margaret.

– Bardzo dobrze. Ale ludzie o takich rzeczach nie lubią plotkować, no nie? Nie mówią: „Och, słyszałem, że Luke Corcoran został kapitanem”, tylko powtarzają: „Och, kto by pomyślał, że chłopak Donalda Corcorana będzie kradł samochody!”. Bóg kocha Longhampton, ale niewiele się tutaj dzieje. Mama przypuszczalnie obwiniła Luke’a o to, że taty nigdy nie wybrano na burmistrza, mistrza loży masonskiej czy inną funkcję, którą jej zdaniem powinien był sprawować.

– Donald burmistrzem? Zależało mu na tym? – Wspomnienia Libby o teściu

dotyczyły bardziej jego spokojnej uprzejmości, nie zaś ambicji politycznych. Kroił bożonarodzeniowego indyka na dokładnie takie same kawałki, podczas gdy Margaret zajmowała się atrakcjami w rodzaju płonącego puddingu. – Jakoś sobie nie wyobrażam twojego taty wykonującego pracę urzędnika. Choć z drugiej strony bez najmniejszego problemu widzę... – Urwała, niepewna stosowności uwagi.

– ...mamę jako burmistrza? Taaak, ja też. – Jason skrzywił się ironicznie. – Większość jej garderoby została zaprojektowana do noszenia wielkiego złotego łańcucha.

– Powinieneś widzieć ją w szpitalu z Bobem. Z każdym rozmawia, każdego zna z imienia. Byłaby świetna jako burmistrz. Co ja mówię, nadal mogłaby być. Ledwie przekroczyła sześćdziesiątkę. Dlaczego teraz tego nie robi? Myślała o wzięciu udziału w wyborach do rady? Zdaję sobie sprawę, że próbuje odnaleźć się jako osoba samotna, a nie żona Donalda, nie sądzę jednak, żeby się orientowała, jak bardzo podziwiają ją tutejsi ludzie.

Nie dodała: „I przestałyby się tak nakręcać hotelem”, ale widziała wyraźnie, że Jason myśli tak samo.

Pokręcił głową.

– Mama jest staroświecka. Według mnie podobało się jej, że byli we dwoje z tatą.

– Wiem. – Libby zobaczyła, że poruszony wspomnieniem Jason spuszcza wzrok. Chwyciła go za rękę. – Tak mi przykro, Jase. Ja też za nim tęsknię. – Mówiła szczerze. Bez Donalda hotel był inny. Teść, z tym swoim prostym przedziałkiem z boku w siwych włosach i ufnym spojrzeniem, wyglądałby na miejscu w przedwojennej drużynie krykieta. Był milion razy miłszy od wybuchowego, lubiącego manipulować otoczeniem ojca Libby. – Wyszłam za ciebie wyłącznie pod warunkiem, że w końcu staniesz się taki jak twój tata.

– Dziękuję. Więc chyba jednak mam cel.

– Co on myślał o Luke’u?

– To znaczy?

– No wiesz, twój tata nigdy się nie wzdrygał i nie przewracał oczami jak mama. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek powiedział o Luke’u złe słowo.

Jason ścisnął jej rękę i zaraz puścił, by pozbierać brudne poszwy.

– Nie. Tata zawsze o wiele spokojniej odnosił się do Luke’a niż mama. Może wyznawał pogląd, że chłopcy muszą się wyszumieć, i tak traktował jego wybryki?

– Myślał, że z nich wyrośnie?

– Coś w tym rodzaju. Bo wiesz, wtedy wydawały się szokujące, ale z perspektywy czasu widać, że były to zwykłe zachowania podpitych nastolatków. Podejrzewam, że rodzice martwili się bardziej, do czego mogą doprowadzić te wybryki niż nimi samymi.

– To zrozumiałe. Naprawdę. Zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę idealnego młodszego brata, który dostaje same szóstki, jest w drużynie rugby i ma szopę na głowie.

Libby spodziewała się, że mąż połknie haczyk, ale się pomyliła. Wpatrywała się w świeżo zaścielone łóżko, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał.

– Prawdę mówiąc, Luke mógł grać w reprezentacji hrabstwa, ale... – Wzruszył ramionami. – Nie zezwolono mu na udział w kwalifikacjach, bo zawiesiła go szkoła. A później olewał sport.

– Może nie chciał porównań z tobą?

– Nie wiem dlaczego. Był o niebo lepszy ode mnie. Ja byłem dobry. Byłem sprawny. I chodziłem na treningi. Ale Luke grał, jakby się nie bał nikogo. Rewelacyjnie blokował, choć nie był wielki. – Jason spojrział z błyskiem w oku. – Zabawne, ale niedawno Chopper opowiedział mi pewną historię. Kilka lat temu nasza drużyna grała mecz. To znaczy miejska, nie szkolna. Brakowało dwóch zawodników, bo zabalowali na wieczorne kawalerskim. Luke był akurat w klubowym barze ze swoimi kolegami. Wszystkich zna. No i Mickey Giles, kapitan, wchodzi i pyta go, czy nosi buty w rozmiarze dziesiątym. Luke odpowiada, że owszem, na co Mickey rzuca mu je. „Chcesz usiąść na ławce, żeby zgadzała się liczba zawodników?”

– A on wszedł na boisko i wygrał ostatnie przyłożenie.

– Nie tylko ostatnie, ale dwa pod rząd! – Jason uniósł ręce, lecz zaraz je opuścił. – Usłyszałem o tym dopiero kilka dni temu. Luke mi nie powiedział, a mama przypuszczalnie nawet nie miała o tym pojęcia. Ale historia jest świetna, prawda? Wkłada buty i gra. A potem odjeżdża w noc.

– Na motocyklu.

– Nie ma motocykla, tylko samochód. Vauxhalla nową.

Patrzyli na siebie ponad gładką białą kołdrą, a przed oczami Libby rozwijała się scena złożona z rodzinnych fotografii i przeczytanego w czwartkowy poranek w lokalnym dzienniku artykułu, którego lektura miała jej pomóc w poznaniu nowego miasta. Wyobraziła sobie żyłastego Luke'a, drobną postać w ubłoconych spodenkach, chrapliwe ryki dochodzące ze zdeptanego boiska

do rugby obok stacji, reklamy warsztatów samochodowych i złomowisk na bandach, kumplowską atmosferę po meczu i pomruki.

Luke Corcoran. Ten zły, który blokuje jak facet dwa razy od niego większy.

Libby nie widziała szwagra od jego nieszczęsnego ślubu z Suzanne. Jason miał aparycję zdrowego i przystojnego jasnowłosego rolnika, Luke był jego przeciwieństwem: mniejszy, ciemniejszy, z zapadniętymi policzkami, przystojny na czujny, posępny sposób. Gdyby Jason powiedział, że Luke i Suzanne poznali się w siłach specjalnych, nie zaś w regimencie Mercian, nie byłaby zaskoczona. Może zresztą tak było.

– Wiesz, to dziwne – stwierdziła. – Jesteśmy małżeństwem od prawie pięciu lat, a ja wciąż mam wrażenie, że nic nie wiem o Luke’u.

– Witaj w rodzinie Corcoranów – odparł Jason i rzucił w nią brudną poszewką.

Reynolds pojawił się u Pippy dopiero tuż przed piątą, gdy zaczynała się martwić, że zmienił zdanie w kwestii wypisu.

Libby także nie wróciła; to niepokoiło Pippę jeszcze bardziej. Wszystko zdawało się zależeć wyłącznie od decyzji innych ludzi, co sprawiało, że jej żołądek ścisnął się za każdym razem, kiedy słyszała zbliżające się do jej pokoju kroki.

W końcu oboje przyszli równocześnie: Libby z workiem ubrań, Jonathan Reynolds z formularzami, broszurami i pielęgniarzką niosącą torbę przepisanych przez niego leków.

– Zobaczymy się w przyszłym tygodniu – powiedział, załatwiwszy formalności związane z wypisaniem i omówiwszy ćwiczenia, które Pippa powinna wykonywać, by pobudzić pamięć. Postukał piórem w formularze. – Sprawy będą się poprawiać, nawet jeśli teraz pani tego nie czuje. Obserwowanie, jak bardzo różnymi drogami pacjenci odzyskują pamięć, jest fascynujące. Miejmy nadzieję, że te mgliste wspomnienia, których udało się nam dotknąć, w ciągu następnych kilku dni powoli zaczną łączyć się z innymi. Proszę się jednak nie martwić, jeśli nigdy nie przypomni sobie pani chwili wypadku.

– Cieszę się, że jestem fascynująca – odparła Pippa. – Ale właściwie to chciałabym znów być normalna.

– Jestem przekonany, że to nastąpi niedługo. – Rozejrzał się lekarz. – Ach,

jest pani przyjaciółka! Bardzo dobrze. Zostawię teraz panie same.

Wyszedł z pielęgniarką, a do pokoju wkroczyła Libby z wielką torbą. Pippa pomyślała ponownie, że torba mówi więcej o właścicielce niż ubrania, z Selfridges, wielka i żółta, ze sztywnego papieru. Bez wątpienia zawierała kiedyś buty albo sporą torebkę. Ciekawe, że Libby ją zatrzymała, zamiast wyrzucić do śmieci.

– Przyniosłam kilka rzeczy – powiedziała. – Wydaje mi się, że jesteśmy mniej więcej takie same.

– Nie powiedziałabym! – roześmiała się Pippa. – Jesteś o wiele szczuplejsza ode mnie.

– Naprawdę tak myślisz? Według mnie to ty jesteś drobniejsza. Wzrost mniej więcej ten sam, ale... – Libby nie sprawiała wrażenia przesadnie skromnej.

Pippa spojrzała na swoje przeguby. Były chude, z wystającymi kośćmi. Ramiona też okazały się szczuplejsze niż sądziła. Wyobraźnia podsuwała jej obraz kogoś większego.

Czy to możliwe? Czyżby w tych idiotycznych hollywoodzkich filmach tkwiło jednak ziarno prawdy? Człowiek traci przytomność i budzi się w cudzej głowie. Czasem Pippa odnosiła wrażenie, że jej sny należą do kogoś innego. Chociaż nie wtedy, kiedy je śniła, a w ciągu dnia, gdy mgliście przypominała sobie szczegóły. Były jej, a jednak nie jej.

Kurczowo zacisnęła powieki. Nie ulegało wątpliwości, że coś zaczęło się poruszać za czarną kurtyną w jej głowie, jak gdyby mózg usiłował dopasowywać do siebie różne elementy. Powoli, jeden po drugim. A mimo to nie pojawiło się nic zdecydowanego. Nic, co można byłoby wziąć do ręki.

– Przyniosłam ci luźny strój do jogi – ciągnęła Libby – żeby nie urazał cię w zebra. Jest też kamizelka, sweter i tak dalej. – Wyjęła z torby rzeczy z szarej dzianiny i rzuciła na łóżko. – Proszę. Sprawdź, czy pasują. Na dworze jest całkiem ciepło. Nadchodzi lato!

– To takie miłe z twojej strony... – Pippa dotknęła miękkiej tkaniny. Przesunąwszy sweter, zobaczyła, że w jego fałdach Libby dyskretnie ukryła bieliznę, majtki i koszulkę z wbudowanym stanikiem.

Przemyślała to starannie.

Libby uśmiechnęła się zadowolona.

– To naprawdę nie był kłopot. Pomyślałam sobie, że jedyną rzeczą, dzięki której choć w połowie czułam się jak istota ludzka, kiedy usunęli mi woreczek żółciowy, była moja kaszmirowa piżama. Dobrze. Teraz się przebierz

i ruszamy w drogę. Jeśli jesteś gotowa?

– Jestem. Wszystko podpisane. – Pippa wskazała stos papierów na nocnym stoliku.

Patrzyły na siebie, świadome niezwykłości tej sytuacji.

Dlaczego czuję, że mogę jej zaufać? – myślała Pippa. Co ma w sobie takiego, że się przy niej odprężam? Jakby mnie znała. Chodzi o to, że najwyraźniej mi ufa, kimkolwiek jestem.

Mam nadzieję, że może zaufać i tobie, odezwał się głos w jej głowie, ale go odepchnęła.

Libby prowadziła samochód, tak jak mówiła: szybko i entuzjastycznie, kompletnie ignorując żółte światła.

– ...więc, odpukać w niemalowane, budowlańcy przyjadą na początku tygodnia. Postaram się, żeby zachowywali się cicho.

– Proszę, nie przejmuj się mną. – Pippa patrzyła przez okno na przesuwane się za nim Longhampton. Nic nie było znajome. – Nie chcę przeszkadzać.

– Nie będziesz, naprawdę. Aktualnie nie mamy aż tylu gości, żeby ktoś komuś przeszkadzał.

Wyjeżdżały z miasta, oddalając się od czerwonej cegły i sklepów organizacji dobroczynnych, kierując ku polom i drzewom. Libby dość szybko umilkła i zwolniła.

– Czy ty...? – zaczęła. – Bo wiesz, to jest...

Pippa zobaczyła malowany drogowskaz zapowiadający, że gdzieś niedaleko jest hotel Łabędź, i uświadomiła sobie, że to tutaj musiał zdarzyć się wypadek. Zakręt, droga, rozłożyste drzewa, których konary zwisały nad jezdnią, kamienny murek biegnący po lewej...

Próbowała odszukać wspomnienie, ale na próżno. Nie było nawet niepokojącej pustki. Po prostu nic. W milczeniu pokręciła głową.

– Pewnie to dobrze – stwierdziła Libby i włączyła kierunkowskaz, dając znak, że skręca na parking.

Hotel Łabędź był ładny, ale mniejszy, niż Pippa wyobrażała sobie na podstawie torby, akcentu i ogólnego wyglądu Libby. Był to solidny, porośnięty bluszczem, dwupiętrowy budynek w stylu georgiańskim, z czterema wielkimi oknami na parterze, symetrycznie rozdzielonymi frontowymi drzwiami.

Nie mniejszy, poprawiła się w myślach, wysiadając z samochodu,

a cieplejszy. Bardziej przyjazny. Tweedowy i przytulny, nie tak gładki w londyńskim butikowym stylu, jak zakładała wcześniej.

– Trochę tu bałaganu – przestrzegła ją Libby, prowadząc zwirowym podjazdem. – I ostrzegam: moja teściowa najwyraźniej pozostaje w szponach fantazji, że oto jesteśmy w szkockich górach. Zatem jeśli masz alergię na kratę, to lepiej wstrzymaj oddech.

Ktoś czekał pomiędzy kolumnami; drobna brązowowłosa kobieta w tweedowej spódnicy i beżowym swetrze. Kiedy podeszły bliżej, uniosła dłoń na powitanie i się uśmiechnęła.

– Cześć, Margaret! – zawołała Libby, po czym dodała: – Och, uważaj, Pippa, on uwielbia lizać!

Zza Margaret wytruchtał pies i ruszył w ich kierunku; był to basset z uszami, które niemal dotykały podłogi. Zmierzał prosto do gościa, ale Pippa się nie bała. Ogarnęło ją zabawne wrażenie bezpieczeństwa, kiedy się pochyliła – ostrożnie, ze względu na obolałe zębra – i pozwoliła, by skórzany nos obwąchał jej dłoń. Niemal czuła, jak powietrze porusza się przy każdym potężnym wdechu. To było dziwnie intymne doznanie. Pies analizował ją w sposób, którego nie знаła, raz po raz wyciągając własne skomplikowane wnioski.

– Witaj – powiedziała, gdy wielki nos sprawdzał jej palce i rękę. Zakończony białą plamką ogon radośnie kołysał się z boku na bok. – Kim jesteś?

– To lord Bob Corcoran, ale możesz nazywać go Bobem – wyjaśniła Libby. – Albo Ty Cholerny Zwierzaku, jak ja się do niego zwracam. Bardzo się przyjaźnimy.

Pippa pogładziła majestatyczny łeb Boba i spojrzała na jego zabawnie smutny pysk.

– Jesteś bardzo przystojny – powiedziała i odniosła wrażenie, że w głębokich brązowych oczach pojawił się uśmiech.

– Jasny gwint, nigdy nie widziałam go tak spokojnego poza szpitalem! – stwierdziła Libby. – Na pewno pachniesz jak oddział, na którym się prowadzi zoterapię. Automatycznie wcielił się w rolę.

– Nie. Umiem postępować z psami – odparła Pippa bez namysłu. Ponieważ odpowiedzią było milczenie, podniosła wzrok. Libby wskazywała na nią placem i uśmiechała się serdecznie. – Co jest?

– Umiesz postępować z psami. To wspomnienie, tak? Wspomnienie!

– O tak. – Pippa znieruchomiła z dłonią na łbie Boba.

Próbowała to uchwycić – jaki pies? Kiedy? W dzieciństwie? Pies przyjaciela? Niedawno? – ale wrażenie umknęło.

Libby była zadowolona.

– Margaret bardzo się ucieszy, że dzięki Bobowi wracają ci wspomnienia. Już i tak jest przekonana, że lepszy z niego terapeuta niż z większości pielęgniarek. Margaret! To jest Pippa. Pippa, to Margaret.

Starsza pani ruszyła ku nim przez żwir.

– Witaj, Pippo – powiedziała, wyciągając rękę. – Tak się cieszę, że wreszcie u nas jesteś. Tylko o tydzień spóźniona, co?

Błysk w jej oku zaskoczył Pippę; nie tego się spodziewała po opowieściach Libby o teściowej. Z jakiegoś powodu oczekiwała kogoś starszego, bardziej smutnego. A ta kobieta była całkiem energiczna i przyjacielska. Gustownie ubrana, z szalem na szyi.

– Bardzo dziękuję, że pozwoliła mi pani zatrzymać się w hotelu. Jestem bardzo wdzięczna.

– Niepotrzebnie! Jesteś miłym gościem, Pippo. Wejdz, proszę. Zaparzyłam herbatę. – Margaret wdzięcznym ruchem ręki wskazała hol.

A Pippa poczuła, że coś ją tam ciągnie.

Bob podążył za Margaret, Libby i Pippa poszły za nimi.

Pierwsze wrażenie zrodziło się w chwili, gdy Pippa przekroczyła próg – unosił się tutaj zapach charakterystyczny dla domów starszych ludzi. Powietrze było gęste od potpourri, meble ciemne i na wysoki połysk, dywany zakurzone, sofy lekko zapadnięte. Jak wysiedziane przez psy, które drzemią na nich mimo zakazu. Ten rodzaj hotelu, który rezerwujesz na wesele blisko domu. Taki, w którym serwuje się ogromne angielskie śniadania i oferuje stare numery „Country Life”, datowane na lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku.

Recepcja była mroczna – wszechobecna szkocka krata, przed którą ostrzegła Libby, wcale nie była taka zła, jak spodziewała się Pippa (ograniczała się do chodnika typu Black Watch) – ale przytulna i staroświecka. Za dębowym kontuarem na wysoki połysk stał przystojny mężczyzna w niebieskiej kraciastej koszuli i rozmawiał przez telefon, staroświecki i czarny, pasujący do stylu wiejskiego domu. Z łokciem na blacie, podtrzymywał ręką głowę, wbijając sobie w skroń długopis. Kiedy weszły, wyprostował się i machnął przepaszająco, wskazując na telefon.

– Oczywiście, Marku. Nie, to nie będzie problem. O ósmej. Dobra, słuchaj,



muszę kończyć.

Pippa domyśliła się, że to Jason. Wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażała sobie męża Libby, i to kazało jej się zastanowić, czy jednak wcześniej tu nie była. Jason był wysoki, barczysty i przystojny – blond włosy, lekko opalona twarz i równy biały uśmiech, który sugerował, że jego nastoletni właściciel nosił kłamry na zębach.

Ściany recepcji zdawały się napierać na zapatrzoną w niego Pippę, usiłującą uchwycić dziwne wrażenie, że widziała gospodarza już wcześniej. Wreszcie, kiedy jego uśmiech stał się cokolwiek wymuszony, musiała odwrócić wzrok. On jest znajomy, pomyślała z walącym sercem. A może nie?

Ta twarz znajdowała się gdzieś w zamkniętych zagraconych szafkach jej umysłu, ale ona nie potrafiła wskazać, gdzie albo jak, albo...

Pippę dopadło wyczerpanie. Poczwała, że Libby obejmuje ją w talii. Podtrzymuje ją.

– Herbata! – oznajmiła Libby i poprowadziła gościa do salonu.

## Rozdział 9

Budowlańcy przyjechali w poniedziałek punkt ósma, kiedy Libby przyrządzała jajka w koszulkach i grzanki dla miłej irlandzkiej pary z czwórki (bez psa), a Jason przekładał naczynia w zmywarce zgodnie ze swoimi zasadami, równocześnie próbując powstrzymać lorda Boba od wstępnego czyszczenia talerzy.

– Kawaleria już jest – oznajmił, spoglądając przez okno. – Jasny gwint, Marek przysłał cały oddział!

– Niech popatrzę. – Libby podeszła i postawiła minutnik na parapecie.

Obserwowali, jak zespół wysiada z czarnego vana zaparkowanego obok wynajętego samochodu irlandzkich gości, jedyne na parkingu, nie licząc ich aut. Libby poczuła dreszcz ekscytacji zmieszanej z niepokojem. Miało to związek ze zdolnościami ekipy budowlanej, która w ciągu kilku minut ogałacała pokój do bezbronnych gołych murów, generowała chaos na wiele tygodni, by potem z dnia na dzień przywracać pomieszczenie do stanu używalności, czemu przez cały czas towarzyszyła niepewność, czy lada moment nie wyjedzie na „pilną robotę w Beckenham”.

– Jak oni się w nim zmieścili? – dziwił się Jason, kiedy mężczyźni, wszyscy w czarnych firmowych koszulkach polo Marka, wyskakiwali jeden za drugim.

– To jak cyrkowy wóz z budowlańcami!

– Ilu ich przysłał? Siedmiu, ośmiu, dziewięciu... Cholerka!

Jason wziął listę prac do wykonania w każdym z pokoi.

– Mam nadzieję, że choć jeden mówi po angielsku. Pippa miałaby świetną okazję przypomnieć sobie, że jest na przykład tłumaczką. – Dopił kawę. – Wstała już?

– Nie, śpi.

Pippa przespała większość weekendu, co zdaniem Libby było chyba dobre. Wciąż jeszcze wyglądała na wyczerpaną, miała ciemne kręgi pod oczami i wielkie sińce na jasnej skórze, teraz przybierające mdlący żółtawozielony

odcień. Mimo że nadal bolały ją zębra, była gościem idealnym. Z przyjemnie ożywioną Margaret prowadziła niekończące się rozmowy o ogrodzie (a także o Bobie, Longhampton, Donaldzie i wszystkich innych rzeczach, o których Jason i Libby musieli słuchać tyle razy) i chciała pomagać gospodarzom w wnoszeniu mebli.

Libby oczywiście odmówiła.

– Ale nie siedź w jednym miejscu, chodź po hotelu. Może coś ci się przypomni.

Później, kiedy szła zrobić herbatę po wyczerpującym popołudniu spędzonym na przesuwaniu starych łóżek, w salonie zobaczyła Pippę; z pochyloną głową i podwiniętymi nogami siedziała na sofie i pisała w notatniku. Lord Bob ułożył się przy jej szczupłych łydkach, wykorzystując je jako oparcie. Pippie najwyraźniej to nie przeszkadzało. Od czasu do czasu wyciągała rękę i z roztargnieniem gładziła psa po wielkich uszach.

Ciekawe, o czym ona pisze? – pomyślała Libby. Jakie ma obserwacje na nasz temat? No i hotel. Co w nim widzi?

Miała nadzieję, że doskonale wciela się w rolę kompetentnej hotelarki, ale kiedy Pippa patrzyła na nią tymi swoimi przenikliwymi brązowymi oczami, martwiła się, że spod maski przedziera prawdziwa Libby: żona z Wandsworth, która nie do końca pasuje do otoczenia, właścicielka hotelu, która kompletnie nie rozumie, na czym polega VAT. Coś w skupieniu Pippy, jej potrzebie rozkładania wszystkiego na czynniki pierwsze, by w ten sposób odkryć własną tożsamość, sprawiało, że Libby większą uwagę zwracała na własne zachowanie.

Nie pisze o tobie, napomniała się w duchu. Pisze o sobie. O tym, kim jest.

Uśmiechnęła się i wsunęła głowę do baru, proponując Pippie herbatę.

– Mówiłem, że pójdę do budowlańców – powtórzył Jason, jakby miał przed sobą bardzo starą albo kompletnie głuchą osobę.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Wiem. Wyobrażałaś sobie piękne nowe łazienki? – Podał Libby pusty kubek ze spłowiałym logo drużyny piłkarskiej Longhampton, żeby włożyła go do zmywarki. – Czy próbowałaś obliczyć, ile pudełek herbaty kupić w hurtowni?

– Coś w tym rodzaju – odparła Libby. Uśmiechnęła się, nie potrafiąc powstrzymać podniecenia. – To się rzeczywiście dzieje, prawda?

Wychodząc, Jason złapał ją za ramiona i cmoknął w czoło.

– Fascynujące czasy, pani Corcoran! Nasz hotel!

Libby poczuła, że wcześniejszy niepokój znika, przepędzony zaraźliwym entuzjazmem męża. „Nasz hotel”.

Cały poranek spędziła w biurze, przedzierając się przez szufladę pełną nieotwartą korespondencją, która ujawniła się, gdy w weekend Jason zajął się księgami. O jedenastej we framugę zapukała Pippa. Brązowe włosy nadal miała wilgotne po prysznicu.

– Nie – powiedziała Libby, zanim Pippa zdążyła otworzyć usta. – Możesz pomóc tylko w jeden sposób: usiądź w tym fotelu i co pół godziny rób mi filiżankę kawy. A gdybyś równie często mnie zapewniała, że na piętrze nic się nie dzieje, byłabym wdzięczna.

– Na pewno nic...?

– Siadaj, proszę – odparła Libby.

– Zaparzę kawę – powiedziała Pippa, zauważywszy pusty kubek na stosie dokumentów podatkowych, a ekspres na szafce z dokumentami. – Wyglądasz, jakbyś jej potrzebowała.

Ledwo usiadły na nowo, Libby nad dokumentami, Pippa nad zeszytem, wszedł Jason. Coś w jego postawie zdenerwowało Libby. W oczach nie było uśmiechu, usta miał zaciśnięte. Poranną radość zastąpiła grafitowa chmura widocznego stresu.

– Libby, możemy pogadać? Muszę cię o coś prosić. – Spojrzał gdzieś między żoną a Pippą. – Hm, to dotyczy remontu. – Głową wskazał na drzwi.

– Tak? Teraz? W tej chwili?

– Owszem, teraz – odparł Jason. – Jeśli możesz.

Libby odepchnęła krzesło.

– Zaraz wracam, Pippo – powiedziała. – Jeśli zadzwoni telefon, odbierz i zapisz wiadomość, dobrze?

Poszła do recepcji, ale Jason skierował się do pustego salonu.

– Co się dzieje? – zapytała. – Bob znowu zmieniał wystrój wewnątrz na piętrze?

– Nie. – Upewnił się, że w salonie nie ma nikogo, i przysiadł na oparciu wielkiej sofy chesterfield. Libby zawahała się, po czym usiadła naprzeciwko.

– Jasonie, dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku. – Uśmiechnął się, ale nie wyglądał na odprężonego. Kiedy wsunął dłoń w gęstą czuprynę, Libby ścisnęło się serce. – Skarbie, musisz coś dla nas zrobić.

- Okej – powiedziała Libby powoli. – Słucham.
- Pamiętasz, jak mówiłaś, że będziemy mogli poprosić twojego tatę, żeby zainwestował trochę pieniędzy w hotel?
- Przy słowach „twój tata” i „pieniądze” serce Libby ścisnęło się jeszcze bardziej.
- W sytuacji kryzysowej owszem. Ale nie z wyboru. Wolałabym raczej sprzedać nerkę. Mniej przy tym kłopotów.
- Naprawdę? Nawet jeśli to pewna inwestycja? Teraz, kiedy wiadomo, że napiszą o nas w czasopiśmie i za pół roku będzie to jedyny butikowy hotel w okolicy? – Jason zmarszczył czoło. – Jesteś jego córką. To rodzinny biznes.
- To pokazuje, jak dobrze znasz mojego tatę. – Mimo że są parą o dość długim stażu, muszą jeszcze wiele dowiedzieć się o swoich rodzinach. A może do tej pory sytuacja po prostu pozwalała im trzymać się od nich z daleka? – Nie zapominaj, że mówimy o człowieku, który nadal **zartuje** (to słowo wypowiedziała z naciskiem), że moja siostra powinna zwrócić mu czesne za uniwersytet, bo przerwała studia z powodu zaburzeń łaknienia po brutalnym rozwodzie rodziców. Wiesz, Sara nie bez powodu przeprowadziła się do Hongkongu.
- No dobra. – Jason sprawiał wrażenie skruszonego. Lubił Sarę; spędzili u niej część miesiąca miodowego. – Ale wszystko zależy od tego, do jakiego stopnia chcesz zmodernizować łazienki.
- Libby poderwało.
- Co? Przecież mówiłaś, że mamy na to dość pieniędzy!
- Mówiłem. – Potarł brodę. – I mamy. Ale szacunkowa wycena wzrosła zniecka o kolejne pięćdziesiąt kawałków. Rozmawiałem z brygadziwą Marka. Mówi, że musimy wymienić kanalizację, jeśli chcemy, żeby nowe prysznice działały prawidłowo. Ta wilgoć, którą czuł Marek, to skutek przeciekających starych rur. A znalezienie dziur i naprawa to minimum tydzień pracy, plus materiały. W dodatku dostawcy wyposażenia łazienek żądają pierwszej wpłaty. Dopiero wtedy zajmą się realizacją zamówienia. – Bezradnie rozłożył ręce. – Wiesz, że mało braliśmy. Część gotówki poszła na codzienne koszty, a pieniądze za dom są zamrożone na innych kontach. Potrzebujemy gotówki natychmiast. W tym tygodniu.
- Och. – Libby poczuła wyrzuty sumienia. Trochę przesadziła z łazienkami, ale miały być przecież wizytówką, atrakcją zapewniającą komplet gości. – A nie możemy porozmawiać z bankiem? Poprosić o kredyt krótkoterminowy?

– Wolałbym nie zwracać się do banku. Dopiero co wyszliśmy na prostą. I nie jestem pewien, czy od ręki pożyczono by nam tyle, ile potrzebujemy. Widzieli księgi rachunkowe. – Jason bawił się zasuszonym ostem w jednej z kompozycji kwiatowych. Potem spojrział na żonę. – Ocena ryzyka nie bardzo przypadła im do gustu.

– Wiem. Byłam na tym spotkaniu. – Bankowiec, stary przyjaciel Donalda, nie powiedział im wprost, że są idiotami, chcąc odnowić Łabędzia, ale nieustannie unosił krzaczaste brwi i mruzczał o znanych mu przykładach ambitnych londyńczyków, którzy ponieśli ogromne straty po nadmiernych inwestycjach w okoliczne wiejskie puby. Zapewniali go wtedy, że w żadnym razie nie popełnią takich błędów. O nie.

– Chociaż... – Jason urwał. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał inaczej. Był bardziej opanowany, a równocześnie pewny. – Jest inne wyjście.

– Jakie?

Wzrok Jasona przestrzegał przed wybuchem.

– W zeszłym tygodniu zadzwonił do mnie Darren.

– Darren? Z Harris Hebden? Nie sądziłam, że nadal utrzymujesz kontakt z tymi facetami.

Jasona wprawdzie nie wyprowadzono z biura z pudłem z rzeczami, ale brak typowej pożegnalnej popijawy nie przeszedł niezauważony. Wiązało się to z utratą mnóstwa przyjaciół z pracy. W Harris Hebden wszyscy kochali Jasona. Do pewnego momentu.

– Jasne, że nadal utrzymuję kontakty z Darrenem. I z Timem. Pracowałem z nimi przez siedem lat. – Obronnym gestem skrzyżował ręce na piersiach. – Tak czy owak, Darren do mnie zadzwonił z informacją o naftowej transakcji. Szybki zwrot, niski...

Libby nie chciała tego słuchać. Bez zastanowienia podniosła rękę, by uciszyć męża.

– Nie, Jasonie. Proszę nie. Obiecałeś. To nasza przyszłość. Przyszłość twojej matki.

– Nie musisz być taka melodramatyczna – odparł z irytacją. – Darren po prostu chce mi pomóc. To nie jest ryzykowny biznes. On sam w niego wchodzi. A ma czworo dzieci.

– Ale obiecałeś...

Doskonale potrafiła to sobie wyobrazić: Darren, miły facet, ale spryciarz (i bardzo z tego dumny), oferuje Jasonowi posmakowanie dawnej ekscytacji,

łatwe pomnożenie wymagowanej gotówki. A wszystko dzięki kliknięciu myszką w odpowiedniej chwili. Jason, wiedziała o tym dobrze, nie potrafiłby stanowczo odmówić. W biurze był znany z instynktu do chwytania okazji.

Libby uwielbiała jego umiejętności zawodowe – jej mąż odznaczał się idealną kombinacją pragmatyzmu, pracowitości, doskonałego podejścia do klientów i czystego szczęścia. W trakcie ich związku wyrósł z gorliwego stażysty na doświadczonego, pewnego siebie pracownika, złotą wiejską opaleniznę zamieniając na opaleniznę ze szwajcarskiego Verbier i z Malediwów. Często wyjaśniał, na czym polega jego praca, ale Libby nigdy do końca nie zrozumiała istoty rynku; jej umysł pracował z ludźmi, twarzami i z anegdotami, nie z liczbami. Na początku wiecznie zmieniające się nagrody i wstrząsy, wznoszące się i opadające niczym potężna międzynarodowa fala, podniecały ją. Później zaczęły przerażać, aż w końcu przyjęła je jako rzecz oczywistą.

A teraz ta fala znów lizała im stopy. W miejscu, do którego uciekli przed jej uwodzicielskim nurtem.

Jason przewrócił oczami ze zniecierpliwienia. Libby już od jakiegoś czasu nie widziała, żeby tak robił, więc nagle, bez ostrzeżenia powrócił fizyczny posmak dnia, gdy stracił pracę. Zapach świeżej farby w nowej kuchni, Jason przy stole z twarzą obrzmiałą, przerażonymi oczami, węzłem nowego jaskrawego krawata marki Hermes, wiszącym nisko jak mdląca pętla, wino, które Libby wypić na lunchu z Erin, raz po raz wzbierające kwaśno w jej gardle, gdy usiłowała zrozumieć urywane zdania. Prawda o transakcjach Jasona odsłaniała się boleśnie. Dopiero kiedy Libby zalogowała się w banku i zobaczyła, że jej skromne konto oszczędnościowe zostało wyczyszczone do zera, dotarło do niej, jakie rozmiary przybrał hazard uprawiany przez męża. Tych kilka tysięcy było rzeczywiste, w przeciwieństwie do jego mitycznych premii. A teraz znikło. Nie było pracy ani pensji. Nie było pensji, nie było spłat hipoteki. A bez spłat hipoteki nie było domu. Fale z laptopa Jasona doszły do ich domu i jego biura, zabierając ze sobą ich szczęśliwy i beztroski świat.

Kiedy niemal z dnia na dzień przeprowadzili się z mieszkania w Acton do willi w Wandsworth, Libby martwiła się, że ich nowy świat zawali się równie szybko. A gdy już przestała się martwić, stało się tak rzeczywiście.

Jason otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, a w głowie Libby jak krzyk pojawiła się myśl.

Nie. Nie pozwolę, żeby tutaj to wróciło.

– Obiecałeś mi – powtórzyła. Nie krzycz, tata krzyczał, napomniała się w duchu. – Prosiłam cię tylko o jedno: żebyś nigdy już nie podejmował ryzyka finansowego.

– Słyszę, co mówisz, ale uważam, że reagujesz przesadnie. To tylko kilka tysięcy, Libby. I wiem, co robię. Nie jestem amatorem z komputerem i egzemplarzem *Inwestowania dla opornych*.

– Nieważne, ile to jest. Teraz co innego jest stawką! Nie stać nas na straty. – Patrzyła Jasonowi prosto w oczy, próbując mu uświadomić, że nie chodzi wyłącznie o pieniądze. – Muszę dokładnie wiedzieć, na czym stoję. W kwestiach finansowych, w sprawach dotyczących hotelu. I... ciebie.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu Libby wspomniała o wyrzuceniu Jasona z pracy i o długach. Po tamtym nierealnym popołudniu zajęli się katastrofą, ogarnięci czymś w rodzaju praktycznego transu; przypominało to sporządzanie listy rzeczy do zrobienia, które kilka miesięcy wcześniej pozwoliły Jasonowi przetrwać pogrzeb Donalda. Nie porozmawiali, w każdym razie nie szczerze, o jednym: o szkodach, które jego zdrada wyrządziła ich związkowi. Dym opadł, a oni zostali – wyczerpani i podejrzliwi – otoczeni ruinami, w zupełnie nowej sytuacji. Jason był popielaty ze wstydu, Libby nie chciała kopać leżącego.

Ale musimy umieć rozmawiać o takich sprawach, jeśli nasze małżeństwo ma być udane, pomyślała. Jason, zawsze taki wrażliwy na jej emocje... Dlaczego teraz nie potrafi dostrzec, jak ją to gryzie? Na pewnym poziomie Libby wiedziała, że mąż ma rację – transakcja prawdopodobnie przyniosłaby zysk – ale tu chodziło o to, żeby jej słuchał, odbudowywał jej zaufanie. W przeciwnym razie nigdy nie będzie mogła przestać się martwić, że to nowe życie, także obarczone różnego rodzaju ryzykiem, zakończy się podobną katastrofą.

– Więc jakie widzisz wyjście? – zapytał spokojnie. – Nie chcesz prosić taty. Nie pozwalasz mi pogadać z Darrenem. Nie możemy iść do banku. Twoja mama nie ma pieniędzy, moja też nie. Musimy zapłacić za prace hydrauliczne, innego rozwiązania nie ma. I potrzebujemy tych pieniędzy natychmiast. W tym tygodniu.

– Dlaczego nie poprosimy Luke'a?

Jason poruszył się niespokojnie.

– Znasz odpowiedź. Mama wyraźnie podkreśliła, że w hotelu będziemy



pracować wyłącznie my. Nie chce, żeby Luke się angażował. Nie mamy czasu na związane z tym bolesne dyskusje rodzinne.

Libby wzięła głęboki wdech i spróbowała uporządkować myśli. Już miała wyrzuty sumienia, że sprzeciwia się Jasonowi w tym jedynym obszarze ich małżeństwa, którym dobrze zarządza. W każdym razie przez większość wspólnie spędzonego czasu. Może ja sprawę pogarszam? – pomyślała ponuro. Zabraniam mu gry na giełdzie, choć tylko tak potrafi zarabiać. A sama nie jestem w stanie zapewnić pieniędzy, które są nam potrzebne, żeby w hotelu zacząć wszystko od nowa.

– Dobrze.. – Zebrała się w sobie. – Porozmawiam z tatą. Myślisz, że najpierw powinniśmy przesłać mu tę propozycję mejlem?

Na twarzy Jasona odbiło się zaskoczenie, a potem ulga. Tej drugiej emocji Libby wolała nie analizować zbyt wnikliwie.

– Nie mamy czasu. Marek domaga się pierwszej raty jeszcze dzisiaj. I muszę zapłacić dostawcom wyposażenia łazienek.

Nastąpiła długa chwila milczenia; Libby miała wrażenie, jakby hotel pochylał się nad nimi obojgiem, kładąc ciężkie dłonie na ich ramionach. Tykanie zegara, zapach starych dywanów, zakurzone drewno, gdziekolwiek spojrzeć.

Założyła włosy za uszy.

– W porządku. Ale zwrot długu musi być naszym priorytetem. Nawet jeśli miałyby to oznaczać, że przez cały przyszły rok będziemy jeść wyłącznie owsiankę.

Jason ujął dłoń żony. Pozwoliła mu na to, a on niespiesznie uniósł ją do ust, całując w palce. Wpatrywał się przy tym w oczy Libby.

– Co? – zapytała.

– Dziękuję. Wiem, że to dla ciebie trudne. I doceniam.

– Skoro innego wyjścia nie ma. – Libby nie spodziewała się dreszczu, który ją przeszył.

Jakby stali na krawędzi klifu. Od teraz tak będzie. Za każdym razem, kiedy podejmą decyzję, stawka odrobinę pójdzie w górę. Ale będzie warto, obiecała sobie. To przyszłość zbudowana na solidnych fundamentach.

Ścisnęła palce Jasona.

– Idź i zrób mi mocną kawę. Albo nie. Gin z tonikiem, proszę.

– Więc tak – powiedział Colin Davies, odbierając telefon po drugim sygnale. – To nie są ani moje, ani twoje urodziny, dlatego od razu mów, ile potrzebujesz?

Libby przypomniała sobie, że ojciec zawsze w taki sposób rozpoczynał rozmowy telefoniczne. Jego przyjaciele żartowali, że „wali prawdę prosto z mostu”. Zwykle dzwoniła raz w miesiącu, żeby z obowiązku podzielić się nowinami, ale teraz, gdy chciała prosić o przysługę, miała wrażenie, że znalazła się na przegranej pozycji. Kiedy jako nastolatka zwracała się o podwyżkę kieszonkowego, ojciec sprawiał, że czuła się jak jeden z tych bezużytecznych młodszych adwokatów w jego kancelarii, domagających się wzrostu wynagrodzenia. Teraz była dorosła, ale przy ojcu znów zachowywała się jak młoda dziewczyna.

Skoro jednak on nie chce owijania w bawełnę, to proszę bardzo.

– Witaj, tato. Czy to dobra pora na rozmowę? Mam nadzieję, że będę mogła zapytać cię o sprawę związaną z hotelem.

– Ach, więc jednak czegoś chcesz. Dobrze, słucham. Właśnie miałem wynieść śmieci.

– Okej. – Czyżby posprzeczał się z Sophie, drugą żoną? Kłótnie w domu Daviesów często miały finał w postaci bezwzględnego pozbywania się rzeczy i to był jeden z powodów, dla których matka Libby ostatecznie wystąpiła o rozwód, mąż wyrzucił do kubła albumy z ich ślubu. To oraz domaganie się paragonów, wielokrotnego używania torebek z ekspresową herbatą i burzliwe awantury. – Przejdę do sedna. Przez kilka następnych miesięcy będziemy przeprowadzać z Jasonem gruntowny remont i modernizację hotelu...

– I chcesz, żeby tatuś za to zapłacił.

– Nie. Wcale nie. – Libby ścisnęła długopis, wpatrując się w liczby, które podał jej Jason, i przydatne zwroty, które wynotowała sama. W trakcie rozmów z ojcem jej mózg miał tendencje do opróżniania się ze wszystkich myśli. – Potrzebny nam kredyt na teraz, żeby rozpocząć prace renowacyjne. Oczywiście oddamy ci z odsetkami, w ustalonych terminach spłat.

Miała nadzieję, że ojciec nie będzie nalegał na realizację tych warunków. Co nie znaczyło, że Libby nie chciała spłacać odsetek temu draniowi z bzikiem na punkcie kontroli, ale wolałaby nie dawać mu okazji do egzaminowania jej z aspektów technicznych. Odkąd przeszedł na wysoką emeryturę urzędnika państwowego, ojciec sporo inwestował. Między innymi dlatego tak dobrze dogadywał się z mężem Libby. Bezwstydnie wyciągał od Jasona podpowiedzi

dotyczące akcji. Choć ostatnio zdarzało się to niezbyt często.

– Brzmi to bardzo oficjalnie – powiedział. – Byłoby łatwiej, gdybym omówił rzecz z Jasonem? Nie chcę być nieuprzejmy, Libby, ale zmysł do liczb odziedziczyłaś po matce.

– Jason jest teraz z ekipą, a ja chętnie to z tobą przedyskutuję. Jestem równorzędną współpracowniczką w tym interesie.

I absolwentką uniwersytetu, która jeszcze dwa lata temu miała godną pozazdroszczenia pracę w mediach i zdołała nawet spłacić jedną studencką kartę kredytową...

Colin mruknął coś z rozbawieniem, a Libby skrzywiła się gniewnie, bo obiecała sobie tego nie robić.

– Zatem o jakiej sumie mówimy?

Odczytała liczbę z zapisków Jasona. Jej ostry wdech byłby taki sam, niezależnie od tego, czy chodziłoby o dwadzieścia tysięcy, czy o dwa miliony.

– To całkiem spora kwota, Elizabeth. Co wy tam robicie? Złóćcie krany?

– Nie. To remont, który trzeba było zrobić już dawno temu. Doprowadzamy hotel do współczesnych standardów, żeby przyciągnąć szerszą klientelę. Kiedy wszystko będzie gotowe, planujemy urządzać degustacje win, małe wesela. Może zbudujemy spa.

– Widzę, że to nie mój gatunek hotelu.

– Ależ oczywiście, że twój!

Tylko okazuj zainteresowanie! Proszę. Nie próbuj wygrać.

Ojciec się roześmiał.

– Mimo najlepszych chęci, bardzo w to wątpię. Jest jakiś powód, dla którego zwracasz się do Banku Tatusia, a nie do prawdziwego? Te pieniądze faktycznie są na hotel, a nie na osobiste długi, o których wolałabyś nie mówić?

– Oczywiście, że na hotel. – Libby wbijała paznokcie jednej dłoni w drugą.

– Pomyślałam, że udział w naszym nowym przedsięwzięciu może ci sprawić przyjemność.

To szaleństwo, stwierdziła w duchu. Przecież w normalnym układzie to właśnie ojciec powinien proponować córce pomoc w przezwyciężeniu kryzysu finansowego, do którego doprowadził ją beztroski mąż. „Pozwól, że to załatwimy. Że pomożemy ci stanąć z powrotem na nogi. Byłaś bardzo odważna i jesteśmy dumni z twojej woli walki”.

Tyle że ten akurat ojciec nie zdawał sobie sprawy z finansowych tarapatów córki. Colin był kolejną osobą pozostającą pod wrażeniem, że Libby i Jason

zrezygnowali z życia na wysokiej stopie z miłości do hotelarstwa. Libby wiedziała, że gdyby ojciec usłyszał całą historię, nigdy nie pozwoliłby jej o tym zapomnieć, a w dodatku okazało by się zapewne, że jakimś sposobem to jej wina. Słodkiej idiotki Libby, która dziesięć lat temu ukrywała wyciągi z karty kredytowej.

Po długiej przerwie, której nauczył się z programów telewizyjnych, ojciec odchrząknął.

– Dobrze. Pozwól, że zastanowię się nad sumą, którą jestem gotów ci pożyczyć. Ale na litość boską, Libby, nie myśl, że to ci może wejść w nawyk! Jeśli zamierzasz zająć się biznesem, musisz szalenie skrupulatnie obchodzić się z pieniędzmi. Skrupulatnie i uczciwie. Dziwię się, że Jason nie omówił tego z tobą szczegółowo.

– Omówił – odparła Libby przez zaciśnięte zęby. – Dziękuję, tato. Bardzo jestem ci wdzięczna.

Kiedy odłożyła słuchawkę, czując na całym ciele dreszcz wstydu, że błagała własnego ojca o pomoc, w progu pojawił się Jason z kolejnym podwójnym ginem z tonikiem. Widząc, że skończyła rozmawiać, wszedł i podał jej szklankę.

Bez słowa uniósł brew.

– Pożycz mi – oznajmiła Libby i nie dając mężowi czasu na wiwaty, dodała: – I zapamiętaj: nigdy, przenigdy więcej tego nie zrobię, więc proszę, wydaj te pieniądze rozsądnie.

– Oczywiście. Dobra robota.

Libby wsadziła nos w szklankę i upiła wielki łyk. Wreszcie zrozumiała, dlaczego mama nawiązała tak bliski osobisty związek z barkiem.

## Rozdział 10

To wszystko się świetnie składa – powiedziała Margaret radośnie, siadając na przednim siedzeniu, podczas gdy Libby i Pippa ładowały do bagażnika lorda Boba wraz z jego bogatym ekwipunkiem. – Wspaniale, prawda? Twoja wizyta w szpitalu, Pippo, sesja Boba i udział Elizabeth w zooterapii pod nadzorem Giny.

Libby skupiała się na ominięciu vana ekipy remontowej, zaparkowanego w najmniej wygodnym miejscu na podjeździe. Była zadowolona, że może się wyrwać, nawet jeśli polega to na odwiezieniu Margaret, Pippy i Boba do szpitala. Wystarczyły zaledwie trzy dni, by hotel bez reszty obległa armia Marka, w czarnych koszulkach polo. Wszystkie pokoje, z wyjątkiem tego odnowionego samodzielnie, zostały opróżnione z mebli i przykryte folią. Taczki pełne zerwanych tapet i stosów pyłu regularnie toczyły się po plastikowej alejce do recepcji, a stamtąd do gruzownika, który przywieziono wczoraj wieczorem.

Jason bardzo cieszył się z gruzownika. Wrzucił do niego własne śmieci, tylko dlatego, że mógł.

– Tylko pomyśl! – powiedział, kiedy ładowali do zmywarki naczynia po śniadaniu. – Gdybyśmy byli w Londynie, gruzownik byłby już do połowy wypełniony gratami sąsiadów.

– Więc do tego już doszło? – zapytała Libby. – Skaczymy z radości, bo mamy gruzownik tylko dla siebie?

– Trzeba czerpać przyjemności, skąd tylko się da, skarbie – odparł Jason z uduchowionym uśmiechem.

Podobnie pojaśniała Margaret, bo teraz miała Pipkę, którą karmiła zupą i którą mogła się czule opiekować.

Odkąd wczoraj wieczorem Colin przelał dwadzieścia tysięcy funtów na ich konto, Jason był w o wiele lepszym humorze. Zamknął się w biurze i pogрузzył w obliczeniach. Wyszedł późno, z poprawionym planem dostaw i butelką wina

z hotelowej piwniczki, żeby to uczcić.

Libby wcale nie była taka pewna, że powinien świętować. Miała wrażenie, że jeśli chodzi o szczodrość taty, to sprawa jeszcze się nie zakończyła. Czuła dziwny niepokój.

– Ach, nie zrzedź, myśl o łazienkach. Już do nas jadą! – Uśmiechnął się Jason.

Libby przeszło przez myśl, że podczas gdy ona z dnia na dzień czuje się coraz bardziej zaniedbana, Jason ze swoją opalenizną, podwiniętymi rękawami i dwoma – co najmniej – wieczorami w tygodniu spędzonymi na treningu albo w pubie z kumplami miał wygląd człowieka na wakacjach.

– Może później zafundujemy sobie przyjemność w postaci kawy i ciasta? – ciągnęła Margaret. – Na High Street jest urocza kafejka, która przyjmuje psy. Nie podejrzewam, byś ją знаła, Pippo? – zapytała, oglądając się przez ramię.

– Jeszcze nie – odparła Pippa uprzejmie.

– A ty w niej byłaś, Elizabeth?

– Właściwie to nie mam czasu na chodzenie po kawiarniach – odparła Libby. A ponieważ nie chciała wydać się Pippie męczennicą, dodała: – Ale zamierzam odwiedzić lokale w mieście. Uaktualniam broszurę z informacjami. Wiesz, że niektóre puby i kawiarnie, polecane przez nas gościom, zostały zamknięte?

Wiedziała o tym od sympatycznej irlandzkiej pary. A także od drugiej, o wiele mniej sympatycznej, z wpisu na TripAdvisorze.

– Naprawdę? Och, szkoda. W takim razie koniecznie musimy iść do Dzikiego Psa – stwierdziła Margaret. – Nalegam. Bob stawia.

– Można zrobić specjalny przewodnik dla psich gości na stronie internetowej hotelu – odezwała się z tylnego siedzenia Pippa. – Dokąd mogą zabrać właścicieli na spacer i w której kawiarni dostaną wszyscy coś do picia.

– Uroczy pomysł! – wykrzyknęła Margaret. – Słyszałeś, Bob?

– I może autorem byłby Bob? – ciągnęła Pippa. – Psi Przewodnik po Longhampton Lorda Boba.

Co? Tego już było za wiele. Libby spojrzała we wsteczne lustro i zobaczyła Pippę skuloną na małym tylnym siedzeniu z miną niewiniątka. Obok niej lord Bob wystawiał łeb przez lukę między oparciami. Nie wyglądał na spiskowca. Ślinił beztrosko oparcie fotela Margaret.

Libby cieszyła się bardzo, że Jason tego nie widzi.

Pippa spojrzała pytająco. Przez te pięć dni, które spędziła w hotelu, zdawała się wracać do normy. Tak w każdym razie uznała Libby. Policzki miała zaróżowione, była wesoła, nawet złośliwa. Pomagała im, kiedy tylko mogła. Parzyła herbatę, odbierała telefony, notowała wiadomości, z idealnym wyczuciem czasu wygłaszała komentarze, które rozpraszały napiętą atmosferę.

Wszystko to sprawiało, że Libby tym bardziej nie pojmowała, dlaczego za Pippą nie tęsknią tłumy przyjaciół, a policji nadal nie udawało się połączyć jej z żadnym zgłoszeniem o osobie zaginionej.

Odwzajemniła uśmiech.

– Z jakiego powodu masz dzisiaj wizytę u lekarza?

– Nie u lekarza, a u terapeutki – sprostowała Pippa. – Ma zamiar spróbować hipnozy. – Na jej twarzy malowało się zwątpienie. – Niewykluczone, że zadziała. Czuję, że w głowie mam większy luz, wiesz, jak wtedy, kiedy wypada ząb. Jedna dobra sesja może pomóc.

– Trzymamy zatem kciuki, moja droga – powiedziała Margaret, a Libby mruknęła na zgodę.

Chociaż wcale nie chciała tak szybko zostać pozbawiona towarzystwa Pippy, to przecież pragnęła, by jej życie wróciło do normy.

Zaparkowała na miejscu przeznaczonym dla odwiedzających, po czym zaczęła zakładać Bobowi obrozę zooterapii. Dzisiaj, chcąc sprawić przyjemność Margaret, zgodziła się wystąpić w roli osoby towarzyszącej, żeby pomagać przy psie, gdyby teściowa nie czuła się dobrze. Choć na dnie serca miała nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Bob z godnością wpatrywał się przed siebie, gdy Libby poprawiała uprząż. W oczekiwaniu na występ pozwolił sobie puścić niezwykle smrodliwego bąka, ale wszystkie trzy udały, że tego nie zauważyły.

– Będziesz grzeczny z Libby, prawda? – poinstruowała psa Margaret. – Żadnego ciągnięcia i wybryków. Co nie oznacza, że jesteś do tego zdolny.

– Tak, powiedz mu, Margaret. Żadnych numerów.

– Masz ser? Gdyby trzeba było odwrócić jego uwagę?

Margaret się upierała, że Bob rozumie po angielsku, ale Libby wiedziała, że Bob mówi wyłącznie językiem sera. Poklepała się po kieszeni.

– Cheddar i stilton.

– Ja, oczywiście, tam będę. W tle. Aha, i nie pozwól, żeby za bardzo zbliżał się do Berta Cartera. Cuchnie kotami. – Margaret zniżyła głos. – Jeszcze nie teraz.

Libby pokiwała głową, usiłując sobie przypomnieć, kim jest Bert Carter. Dzisiaj Margaret miała przedstawić ją Ginie, organizującej dyżury wolontariuszy, aby ta sprawdziła, czy Libby przez cały czas potrafi w pełni panować nad Bobem, kiedy pacjenci będą go poklepywać, łaskotać i z nim rozmawiać. To Libby będzie oceniana, bo kwalifikacje psa były bez zarzutu.

Pippa pospiesznie poskrobała Boba za uchem i się wyprostowała.

– Gdzie się później z wami spotkam? – zapytała. – Moja sesja zaczyna się o wpół do dwunastej i jak przypuszczam, potrwa około godziny.

Po jej twarzy przemknął cień. Libby poklepała ją po ramieniu.

– Nie martw się, poczekamy. Masz numer mojej komórki. Zadzwoń, jeśli wizyta skończy się wcześniej albo będzie się przedłużać. Albo jeśli zapragniesz, żebym ci towarzyszyła. Chętnie to zrobię.

– Będzie dobrze. – Pippa zmusiła się do uśmiechu. – Nie chcę się wbijać w czas psiej terapii.

Libby spojrzała na Boba i Margaret, gotowych do drogi.

– To akurat wykluczone – powiedziała.

Gina, koordynatorka zooterapii, nie była zwariowaną starą psiarą w oblażym sierściu polarze, jak spodziewała się Libby. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła kobietę kilka lat od siebie starszą, z czarnymi włosami obciętych w stylu pixie, ciepłymi brązowymi oczami i poważnym greyhoundem z białymi plamkami, rozsyanymi delikatnie jak płatki śniegu na szarych pośladkach. Podobnie jak Bob, chart miał na sobie jaskrawożółtą kamizelkę zooterapeuty, choć pod nią na szerokim psim karku Libby dostrzegła barwnie wyszywaną obrozę.

Tworzą stylową parę, pomyślała. Więc chyba jednak można mieć psa i nie być skazanym na życie w polarze.

Lord Bob powitał Ginę i greyhonda, jakby byli na eleganckim psim koktajlu: delikatne pociągnięcia nosem, swobodne machnięcia ogonem, wymiana zdań. „Usiądź. Nie, ty usiądź”. Przegrał chart i z wytwornym westchnieniem przysiadł jako pierwszy.

Gina uścisnęła dłoń Libby. Serdeczny uśmiech rozświetlił jej twarz.

– Bardzo ci dziękuję za udział w wolontariacie – powiedziała. – Cudowny jest ten wpływ zwierząt na pacjentów. Wydaje się, jakby przenosili się gdzieś indziej. A Bob to ulubieniec wszystkich. Ucieszą się, że ma dodatkową



pomocnicę!

Spojrzały na Margaret i Boba, którzy rozmawiali ze starszym mężczyzną z dłońmi pokrytymi plamami wątrobowymi i załzawionymi oczami. Libby zobaczyła, jak mężczyzna odżywa na widok zbliżającego się psa. Pochylił się, żeby dotknąć piegowatego nosa, i wybełkotał coś, w czym nie dawało się rozróżnić słów. Bob patrzył na niego z powagą, machając łagodnie i przyjaźnie ogonem, jakby w odpowiedzi na mamrotanie.

– Pielęgniarki mówią, że Ernest prawie przez cały dzień się nie rusza – powiedziała Gina. – Tylko siedzi i patrzy przez okno. Ale kiedy przychodzi Bob albo inny pies biorący udział w terapii, coś w nim zaskakuje. Mówi o psach, które miał w dzieciństwie. Przypomina sobie urocze historie.

Libby położyła dłoń na wąskim łbie greyhouna. Znieruchomiał, ale pozwolił, by głaskała aksamitną skórę za jego uszami. Zauważyła, że jedno ucho ma krótsze. Chyba stracił kawałek w jakimś wypadku?

– Jak się wabi?

– Buzz. – Kiedy Gina dotknęła psiego karku, oparł się o nią, nie odwracając głowy. – Buzz to tak naprawdę mój osobisty pies terapeuta. Zaadoptowałam go jakieś dwa lata temu, kiedy przechodziłam trudny okres. Właściwie oboje mieliśmy wtedy trudny czas, prawda? – Podrapała charta za krótszym uchem. – Wspólnie daliśmy sobie z tym radę. Psy mają to do siebie, że żyją chwilą, więc ty też zwalniasz i zaczynasz doceniać drobiazgi. No i są wspaniałymi kompanami.

– Margaret też tak mówi – powiedziała Libby. – Bob był dla niej wielką pociechą, kiedy umarł mój teść. Z tego powodu wiele mogę mu wybaczyć – wyznała cicho. – Bob był z nią, kiedy ja i mój mąż nie mogliśmy. Myślę, że te wielkie uszy otarły kilka łez.

Gina pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Słuchają w sposób, w który ludzie nie potrafią. I nigdy nie próbują udzielać ci rad. Buzz słucha dzieci w szkole podstawowej. Jest psem czytającym.

– Umie czytać?

Gina się roześmiała.

– Nie, to dzieciaki mu czytają. Te nieśmiałe uwielbiają to, bo Buzz kładzie łapę na czytanej stronie. On też to uwielbia. To właśnie jest wspaniałe w tym programie: wszyscy są wygrani. Buzz miał okropny start w życiu, ale teraz jest szczęśliwy i sprawia wrażenie, jakby chciał się odwdzięczyć, przychodząc

tutaj i biorąc udział w terapii. Pomogłam mu, a teraz on pomaga innym. Mnie też szpital potraktował bardzo dobrze, więc rewanżujemy się oboje. No dobrze, zaczynamy? Margaret? Przeprowadzisz Boba, żeby Libby mogła przejąć lejce?

– Oczywiście! – Margaret podeszła i podała smycz synowej takim gestem, jakby przekazywała jej berło.

Bob spojrzał i przez sekundę Libby myślała, że zachowa się niegrzecznie, po to tylko, żeby ją sprawdzić. Zaraz jednak pomerdał ogonem, gapiąc się na siedzącą opodal staruszkę, która najwyraźniej bardzo chciała go pogłaskać.

– Więc tak, Libby. Mam zamiar przeprowadzić z tobą nudną pogawędkę, gdy będziesz trzymała Boba na smyczy – powiedziała Gina. – Sprawdzimy, czy nad nim panujesz, kiedy nie dzieje się nic interesującego. Zgoda?

Ha, wcale nie jestem zakłopotana! – pomyślała Libby, czując, jak na nią i Boba zwracają się przymrużone oczy. Uśmiechnęła się jednak wesoło.

– O czym chcesz pogadać? Mogę rozmawiać na bardzo wiele nudnych tematów. Aktualnie mamy w hotelu ekipę remontową. Chcesz porozmawiać o foliach? O herbacie?

– Ach, to moja specjalność. – Gina odhaczyła coś na liście. – Nie jesteś w stanie powiedzieć mi absolutnie nic o budowlańcach, czego bym nie wiedziała z własnego doświadczenia.

– Ty też robisz remont?

– Nie. Jestem kierownikiem budowy i przez cały dzień próbuję nad nimi zapanować. Najgorsi są hydraulicy. Gdybyś kiedyś chciała zapytać o budowlańców, w tym o moją bardzo kontrowersyjną listę z dziesięcioma największymi miejscowymi kowbojami, daj mi znać.

– Jason nie zatrudnił kowbojów. – Margaret nachyliła się ku nim. – Mój syn sprowadził ekipę, która pracowała w różnych londyńskich posiadłościach należących do królowej.

Gina obrzuciła spojrzeniem obie kobiety.

– Ooo, naprawdę? Jakie to wytworne.

– Bardzo wytworne.

Jak na kogoś, kto tydzień temu wcale nie chciał remontu, Margaret jest zaskakująco dumna z ekipy, pomyślała Libby. Oczywiście. Skoro to Jason ją zatrudnił...

– Nie sądzę, żeby Marek do zrywania naszych tapet przysłał ludzi pracujących w posiadłościach – powiedziała.

– Margaret, chciałabym teraz sprawdzić, jak Libby naprawdę radzi sobie z Bobem, więc byłoby dobrze, gdybyś wyszła na dziesięć minut – oznajmiła Gina stanowczo. – Może napijesz się kawy?

– Na pewno?

– Jeśli pozwolisz – odparła Gina. – Musimy się skoncentrować. – Kiedy Margaret zniknęła za drzwiami, oglądając się i machając zaledwie kilka razy, zwróciła się do Libby: – Kto byłby dobrym kandydatem do rozmowy? – Rozejrzała się po sali. – O, poznałaś Doris?

– Czy to ona była gospodynią w Łabędziu? Owszem. Margaret o niej wspominała.

– Ma charakterek. – Gina uniosła idealnie wyskubane brwi. – Myślę, że Margaret i jej mąż odziedziczyli ją razem z hotelem. Opowiada mnóstwo historii o tym, co wyprawiali goście w starych złych czasach. Podejdz i porozmawiaj z nią. Lubi Boba. I na pewno chętnie posłucha nowin z Łabędzia.

Libby poprowadziła psa przez pokój, w kierunku obszytego perkalem fotela pod oknem. Dopiero z bliska zobaczyła, że zajmuje go drobna kobieta z bladą, pomarszczoną jak orzech włoski twarzą, okoloną kręconymi białymi włosami. Miała na sobie turkusową sukienkę i bardzo małe sznurowane buty. Z zainteresowaniem wpatrywała się przed siebie.

– Witaj, Doris – powiedziała Gina. – Jak się dzisiaj czujesz? Masz ochotę z nami porozmawiać?

Staruszka odwróciła głowę i utkwiała w Libby bardzo przenikliwe jasnozielone oczy. Potem spojrzała na Boba i jej wzrok wyraźnie złagodniał.

– Tak sobie, Gino. Ale tego mogę się spodziewać przy moich płucach. Witaj, Bob. Kogo dzisiaj ze sobą przyprorowadziłeś?

– Jestem Libby Corcoran – powiedziała Libby, wyciągając do staruszki rękę.

Doris już się schylała, by poklepać Boba po głowie, ale słysząc nazwisko, wyprostowała się i spojrzała uważnie.

– Corcoran? Jesteś zatem żoną jednego z synów Margaret i Donalda?

– Tak. – Libby się uśmiechnęła.

Staruszka ponownie zmierzyła ją wzrokiem.

– Spodziewam się, że Jasona.

– Owszem. Skąd pani wie?

Doris zacisnęła różowe wargi.

– Masz ze sobą drogocennego psa Margaret, musisz więc być żoną Jasona.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla mnie zaszczyt – zgodziła się Libby.  
– Libby i jej mąż przeprowadzili się tutaj, żeby pomóc Margaret – wyjaśniła Gina. – Mówiłam, że masz kilka historii o Łabędziu, od których włosy staną jej dęba!  
– Faktycznie!  
Zanim jednak Doris przystąpiła do snucia opowieści, a widać było, że ta perspektywa bardzo ją ucieszyła, pojawiła się pielęgniarka z pustym fotelem na kółkach.  
– Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę porwać Doris. Pora na wizytę u fryzjera! Jesteś gotowa?  
– Jaka szkoda! Włosy dosłownie stają dęba. W takim razie kiedy indziej – powiedziała Gina. – Może teraz porozmawiamy z Gordonem?  
Z ociąganiem – ponieważ chętnie posłuchałaby, co Doris ma do powiedzenia o hotelu i o Margaret – Libby uśmiechnęła się ciepło, ruszając w kierunku kolejnego starszego człowieka łaknącego kojącej obecności Boba.

Pippa siedziała w poczekalni z plastikowym kubkiem z wodą w dłoni i usiłowała przeanalizować ostatnią godzinę.

Niewiele pamiętała z hipnozy – ha, ironia losu! – ale terapeutka Kim powiedziała, żeby się tym nie przejmować. Jej łagodny głos dodawał Pippie odwagi; udało jej się nawet wyłączyć myślenie i obrazy zaczęły napływać same. To było jak powolny spacer ścieżką, znajomą, choć cokolwiek zamazaną – czasem, kiedy próbowała dotrzeć do konkretów, grunt usuwał się jej spod nóg i potykała się, ogarnięta paniką. Głos Kim sprowadzał ją z powrotem i dawał solidną poręcz, której Pippa mogła się uchwycić: hotel, Libby i Jason, imiona opiekujących się nią pielęgniarek. Fakty, którym mogła ufać.

Omówiły szkołę, przyjaciół, rodziców, inne rzeczy, których teraz nie potrafiła sobie przypomnieć, choć najwyraźniej o nich mówiła. Dopiero kiedy Kim chciała dotrzeć do wydarzeń z niedawnej przeszłości, pustka spadała znowu. Jak kurtyna.

– Pamiętasz swoje ostatnie urodziny? Może byłaś w Londynie. Z przyjaciółmi. Z chłopakiem?

Kurtyna wydeła się w umyśle Pippy; pojawiło się wrażenie, że coś za nią jest i napiera, pragnąc się ujawnić. Ale kiedy usiłowała to złapać, wymknęło się jej z rąk.

– Odpręż się – powiedziała Kim.

Im usilniej Pippa próbowała, tym większą dostrzegła czerń. To wywoływało panikę. A potem sesja się skończyła i Pippa znów znalazła się w mrocznym gabinecie.

Popijała teraz wodę tak zimną, że w skroniach czuła ból. Czy zrobiła postępy? Czy niewidzialne ogniwa w jej mózgu zaczęły się łączyć? Kim zrobiła dużo notatek i zapewniła ją, że wszystko może powrócić znienacka, pewnego dnia po przebudzeniu lub odzyskaniu przez Pippę przełomowego wspomnienia. Ale rozmyślanie o tym, co sobie przypominała, sprawiło, że była bardzo, bardzo zmęczona.

Zmęczona i czujna. Choć Kim dodawała jej otuchy, Pippa nie podzielała tego optymizmu. Po prostu nie potrafiła. Ciemność się poruszała, ale coś w niej sprawiało, że serce Pippy biło mocno i szybko. Prawdę mówiąc, nie była do końca przekonana, że pragnie zajrzeć za kurtynę. Cokolwiek tam było, jej ciało najwyraźniej wolało sobie tego nie przypominać. A to musiało coś znaczyć.

Po powrocie do hotelu zastały w nim miły spokój, bo ekipa zakończyła pracę na dzisiaj. Był ciepły wieczór. Margaret wyszła do ogrodu plewić. Jason ułożył się na sofie i oglądał mecz.

Pippa i Libby siedziały w kuchni i piły wino, by uczcić nowy status Libby jako zaaprobowanej ochotniczki zooterapii. Rozmawiały, przeglądały czasopisma o wystroju wnętrz i dyskutowały o pomysłach. O ósmej w progu stanął Jason.

– Może któraś z was wyprowadzić Boba na spacer? Nie chciałbym przegapić drugiej połowy...

Jeszcze nie skończył, a już się wycofywał.

– Ja pójdę – powiedziała Pippa, odsuwając krzesło.

– Pójdę z tobą – oznajmiła Libby. – Teraz zajmuję się nim już oficjalnie. Chodź – zwróciła się do lorda Boba, który leżał na kuchennej sofie, pogrążony w głębokim śnie. – Idziemy na spacer.

Żadnej reakcji.

– No, ruszaj się! – dodała Libby. – Czy on mnie ignoruje? Jak myślisz, czy to jest sen sarkastyczny?

– Patrz. – Pippa przełamała biszkopt na pół. Bez słowa położyła go na

podłódze koło sofy, na której leżał Bob.

Obserwowały, jak po chwili nos Boba się poruszył. Pies, nie otwierając oczu, przesunął łeb, lokalizując przysmak, po czym – na wzór omleta zsuwanego z patelni – precyzyjnie zjechał z sofy i ruszył, po drodze łapiąc w pysk ciastko. Zatrzymał się przed Pippą i otrząsnął ze snu. Drżenie przebiegło przez długi tułów do ogona, który zakołysał się gwałtownie. Ostatnie znieruchomiały długie uszy.

– Masz talent – powiedział Jason z podziwem. – W poprzednim życiu musiałaś mieć psa.

– Albo nawet w tym – odparła Pippa i poczuła dziwne ukłucie w sercu.

Wyszły z hotelu. Za bramą Libby chciała skrócić w kierunku ścieżki za budynkiem, ale Pippa poczuła impuls, by pójść w przeciwną stronę. Przejeżdżała wprawdzie obok miejsca wypadku, ale nie była tam pieszo. Nagle ogarnęła ją ochota, by je zobaczyć.

– Możemy? – powiedziała. – Chcę tam pójść.

Libby przestała wywlekać lorda Boba z kępy pokrzyw.

– Jesteś pewna, że to cię nie zdenerwuje? – zapytała z troską.

Pippa pokręciła głową.

– Chcę zobaczyć to miejsce. Mam wrażenie, jakby coś... Jakby coś zaczęło się układać. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Nie było chodnika, tylko trawiaste pobocze. Szły wolno, nadstawiając uszu, czy nie nadjeżdżają samochody, aż dotarły do miejsca, gdzie Libby znalazła Pippę. Pippa wsłuchiwała się we własne instynkty, próbując wyczuć jakiś ruch, ale na próżno.

Z zamyślenia wyrwał ją krzyk Libby.

– Czekaj!

Libby stała kilka metrów dalej i wyciągała rękę. Coś błyszczało na jej otwartej dłoni. Srebrny wisiołek w kształcie litery A z kawałkiem urwanego łańcuszka.

– Popatrz! – powiedziała podniecona. – To twoje? Mogło spaść, kiedy potracił cię samochód?

Pippa zawróciła i wzięła wisiołek.

Kiedy dotknęła zimnego metalu, na skraju jej świadomości wybrzuszyła się bezkształtna myśl i zaczęła rosnąć. A równocześnie pojawiło się ostre jak brzytwa wspomnienie. Nie w głowie, tylko gdzieś w piersi. Obie te rzeczy rozlały się i połączyły, tworząc nie tyle obraz, ile uczucie, powracające,

zalewające całe ciało – bycia kochaną, obdarowaną czymś cennym. Pippa zamknęła oczy i poczuła pod powiekami gorące łzy. Oddała się wspomnieniu we władanie.

Siedząc z rodzicami w tamtej pizzerii, była absolutnie szczęśliwa. Najlepsze urodziny w życiu.

– Moje urodziny. – Głos dobiegał z bardzo daleka. Pippa nie wiedziała skąd.  
– Rodzice podarowali mi specjalny naszyjnik.

Czuła zapach pizzy, zapach teriera na wełnianej marynarce taty, bo pies czasem podróżował w jego kieszeni, aromat maminych perfum na specjalne okazje. Pierwsze dorosłe urodziny, lunch na mieście, tylko oni troje. Żadnego zmywania! Lodowy deser z dwoma sztucznymi ogniami. I najbardziej ekscytujące pudełeczko na świecie, owinięte białą wstążką.

– Pippa?

Słyszała głos Libby, ale pokręciła głową. Coś przepychało się przez jej mózg, nabierało ostrości. Kazało jej mówić.

– Pippi – powiedziała. – Tata nazywał mnie swoją małą Pippi. Nie Pippą. Od Pippi Pończoszanki. Miałam warkocze. Mama mi je zaplatała, zanim kładłam się spać.

Nie potrafiła tego znieść. Gdzieś w klatce piersiowej, gdzieś w podświadomości, sennie odczuwała ciepły ciężar, kiedy tato przysiadł na jej łóżku i czytał. A jego głos łagodniał i łagodniał, aż zapadała w sen, bezpieczna i kochana. Słyszała jego niski głos wyraźnie, jakby mówił do niej teraz.

„Dobranoc, Alice”.

To nie był głos, a uczucie w sercu. Łzy płynęły po twarzy, a ją – niczym wielka fala – zalewała tęsknota, wstrząsając piersią, żołądkiem. To było tak realne, tak fizyczne! Gorące pragnienie, by dostać się do własnej głowy. I znowu w tamtej chwili być z tatą, gdy mama tuż za drzwiami czeka, żeby zgasić światło.

„Na zdrowie, Alice”.

Teraz obrazy tłoczą się, napierają jeden na drugi. Mama się śmieje, śpiewając o pajaczkach i wędrując palcami po piegowatym ramieniu Alice, słońce mocno grzeje; krótkie czerwone paznokcie mamy są jak błyszczące biedronki. Alice boleśnie pragnie wyciągnąć ręce i dotknąć jej, przytulić jeszcze raz. To pragnienie jest tak silne, że aż zapiera dech.

Alice. Alice. Jest kimś. Istnieje. Ma kotwicę w świecie, w przeszłości,

swoją historię. Nazywa się Alice Robinson.

Nie jestem stracona, pomyślała. Jestem Alice.

Ale ulga trwała tylko sekundę. Potem obrazy zbladły, uwięzione w krótkiej pętli, a ją przeszył ból. Tato odszedł. Mama odeszła. Lodowate ostrze przecięło serce, dotarło do głowy; było tak, jakby straciła ich po raz kolejny. Miała wyłącznie wspomnienie, to spojrzenie wypełnione miłością, uczucie ciepła i przynależności. Nie obejmie ich nigdy więcej, nie powie o swoich tajemnicach. Nie będzie miała nowych wspomnień, którymi zastąpi dawne.

Alice zamknęła oczy, rozpaczliwie pragnąc pozostać we wspomnieniu. Nie oglądać terazniejszych krzaczastych żywopłotów, pobocza drogi. Czy niewiedza jest lepsza od bólu wiedzy?

Była kimś, ale nie miała nikogo. Nikt nie próbował jej szukać. Nikt. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo na dnie duszy liczyła, że znajdzie się ktoś taki.

Podniosła wzrok i zobaczyła, jak podekscytowany uśmiech Libby zamienia się w przerażenie na widok ściągniętej, zrozpaczonej twarzy.

– Pippa? – powiedziała Libby. – Pippa!

– Alice – zdołała wykrztusić.

A potem nagle Libby przycisnęła ją z całej siły do siebie i trzymała mocno. Alice przestała się kontrolować i wybuchnęła płaczem za rodzicami, którzy nigdy po nią nie przyjadą.



# Rozdział 11

Alice i Libby w milczeniu stały na poboczu. W końcu Alice zdobyła się na uśmiech, choć raz po raz wstrząsała nią czkawka. Libby objęła ją w talii i powoli ruszyły w stronę hotelu.

Ten jeden raz Bob podążał za nimi posłusznie.

Troska Libby ledwo skrywała podniecenie.

– Skoro masz nazwisko, jutro rano możemy cię odwiedzić do domu! – oznajmiła tym swoim pocieszającym tonem, oznaczającym „wszystko będzie w porządku”. – Dziesięć minut w internecie, a założę się, że znajdziemy wszelkie możliwe informacje.

Alice pokiwała głową, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Emocje kłębiły się w jej głowie z taką szybkością, że nie potrafiła wyjaśnić, co właściwie czuje. Ulżyło jej, że pamięć zaczyna działać prawidłowo, choć przynębiło jednocześnie, że w taki sposób przypominała sobie o śmierci rodziców. Pod ulgą kryły się inne, mroczniejsze wspomnienia.

Dlaczego nie wróciło wszystko?

Czy jej umysł ustala ważność wspomnień? Sam wybiera obszary do wyleczenia, czy dzieje się to przypadkowo?

A jeśli odzyska tylko połowę wspomnień? A jeśli utraciła połowę siebie, połowę swoich doświadczeń, połowę życia? I będzie spotykała ludzi pamiętających o niej rzeczy, których ona sama nie potrafi sobie przypomnieć?

No i dlaczego nie pamięta niczego z najbliższej przeszłości? Na przykład powodu, dla którego tu przyjechała? Do tych obcych, a jednak w jakiś sposób znajomych ludzi?

Alice pokręciła dudniącą głową. Przestań, nakazała sobie. Przestań myśleć.

Nie potrafiła. Ewentualność, że jej umysł sam się naprawia, przerażała: niewidzialne impulsy elektryczne biegają tam i z powrotem, reperując mosty, otwierając na nowo schowki z informacjami. Skąd będzie wiedziała, czego nie jest w stanie sobie przypomnieć, skoro nie potrafi?

Odzyskała imię i nazwisko, ale stanowczo za mało z całej reszty. Nadal pozostawała w nierównowadze. Jedną nogą zakotwiczona w tym bolesnym momencie, drugą w niecierpliwym wyczekiwaniu, że kolejne wspomnienie powróci nieoczekiwanie.

Libby była zbyt podniecona, żeby dostrzec tę zadumę. Kiedy weszły do recepcji z ciemnymi meblami okrytymi folią, zdjęła lordowi Bobowi smycz, popędziła go w stronę mieszkania i poprowadziła Alice prosto do biura.

– Zaczynaj szukać w sieci – poleciła, otwierając laptop. – A ja przygotuję ci drinka i przekażę Jasonowi dobrą wiadomość. – Klasnęła w dłonie. – O Boże, tak się cieszę, Pip... Alice! – Skrzywiła się. – Alice. Muszę się przyzwyczaić! Myślisz, że powinniśmy zadzwonić do szpitala?

– Jest dziesięć po dziewiątej. – Nie zniosłaby kolejnych pytań. Analizowania. – Myślę, że to może poczekać do rana.

– Jasne, racja. Nigdy nic nie wiadomo. Skoro raz się zaczęło, rano możesz im mieć do opowiedzenia o wiele więcej!

Dla niej to zabawa, pomyślała Alice, uśmiechając się automatycznie. Ostatni odcinek telewizyjnego serialu. Szczęśliwe zakończenie.

Po wyjściu Libby spojrzała na laptop, na pusty ekran, który mógł powiedzieć o niej takie rzeczy, których nie знаła. Poczowała ucisk w żołądku. Daj spokój, pomyślała. Bądź odważna. Co może być gorszego od przypomnienia sobie, że rodzice nie żyją?

Palce Alice zawisły nad klawiaturą, ale nie potrafiła zmusić ich do działania. Jednak niemal natychmiast pojawili się Libby z Jasonem i wspólnie zaczęli szukać informacji o jej życiu. Alice przypatrywała się im, drżącymi dłońmi obejmując kubek z gorącą słodką herbatą.

Wkrótce stało się jasne, że rzecz nie będzie prosta.

Po wpisaniu w Google nazwiska „Alice Robinson” dostali niemal dwieście tysięcy rezultatów. Alice nie zauważyła pośród nich żadnego, który dotyczyłby poszukiwania zaginionej.

– Czy to ty? Na LinkedIn? – zapytała Libby, wskazując na pierwszą stronę.

Ta Alice Robinson była w odpowiednim wieku, ale pracowała jako analityczka polityczna. Zdobyła kilka branżowych nagród i kwalifikacje wychodziły jej uszami. Przez sekundę Alice żarliwie zapragnęła nią być.

– Nie wydaje mi się. Chyba bym pamiętała, gdybym była tak dynamiczna?

– Nie licząc tego, że zabłądziłaś daleko od domu. – Jason wskazał na nowojorski adres.

– Ha! No właśnie. Cieszę się, że to nie ty. Ona nie wygląda na kobietę, która ma w szafie wiele par japonek. – Libby oderwała wzrok od ekranu. – Podczas wypadku miałaś na nogach japonki. Nie pamiętasz? Są w szpitalnym worku.

Alice zamruwała.

– A, tak.

Przywykła już do noszenia rzeczy Libby; pasowały na nią i co więcej, odpowiadały tak bardzo, że niemal zapomniała, że nie należą do niej. Jej ubrania były gdzieś tam. Czekwały na nią w szafie, a każda rzecz stanowiła podpowiedź.

Libby klikała w klawisze.

– Nie przejmuj się, są tu tysiące innych Alice Robinson. Potrafisz sobie przypomnieć, jaki rodzaj pracy wykonywałaś? Pracowałaś w biurze? Co studiowałaś na uniwersytecie?

Poszłam na uniwersytet? Alice posłusznie zamknęła oczy, próbując wyobrazić sobie siebie w pracy. Teraz wracały dziwne obrazy, jakby nigdy nie odeszły, ale brakowało różnych elementów – brakowało dźwięku, w miejscu imion były zamazane smugi. Jakby jeden solidny fakt łączył się z kolejnymi, mocując je w umyśle, skąd przedtem umknęły. Zatłoczone metro w godzinie szczytu. Obolałe stopy w sztywnych czółenkach. Wilgotny zapach Londynu nocą, goście wysypujący się z pubu na chodnik w letni wieczór, światła taksówek żarzące się żółto w mroku.

– Pracowałam w City – powiedziała powoli. – W biurze? Nie pamiętam, w jakiej firmie.

– Zapomnij o pracy, zacznij od Facebooka – zaproponował Jason. – Na pewno tam będziesz. Założę się, że na twojej stronie pełno jest wpisów od znajomych zastanawiających się, gdzie się podziewasz.

Przewinęli mnóstwo profili na Facebooku, ale na żadnym nie pojawiła się twarz Alice. Przeskakiwali ze strony na stronę, wysilonym żartobliwym tonem zapewniając, że na następnej będzie już na pewno. Alice jednak widziała wyraźnie, że Libby ogarnia coraz większe zdenerwowanie i zakłopotanie.

– Hm, interesujące – powiedział Jason, kiedy doszli do ostatniej Alice Robinson. – Nie masz profilu na Facebooku. Jesteś pewna, że nie bierzesz udziału w programie ochrony świadków? Albo że z jakiegoś powodu twoje dane są supertajne?

– Pamiętałabym, gdybym była agentką MI5? – Alice nie do końca żartowała.

– To niekoniecznie musi coś znaczyć – wtrąciła Libby szybko, posyłając

mężowi gniewne spojrzenie. – Mnóstwo ludzi nie ma strony na Facebooku. Nauczyciele, policjanci. Sama ostatnio nie wchodzi zbyt często na portale społecznościowe. Ludzie szalenie na nich rywalizują, prawda?

– Na pewno nazywasz się Robinson? – Jason postukał długopisem w zęby. – Zapomniałabyś, gdybyś wyszła za męża? Albo zmieniła nazwisko?

– Nie. – W głowie znów była pustka. – Nie wiem. Im więcej o czymś myślę, tym trudniej mi rozstrzygnąć, co pamiętam, a co chcę pamiętać.

Libby spojrzała na nią, po czym stanowczym ruchem zamknęła laptop.

– Przepraszam, Alice. Zachowujemy się egoistycznie. Przeżyłaś potężny szok, przypominając sobie o rodzicach. Chcesz, żebyśmy dzisiaj wieczorem dali temu spokój? We śnie twój mózg może funkcjonować lepiej.

Alice zdobyła się na uśmiech. Dostrzegła, że Libby umiera z pragnienia, by kontynuować poszukiwania, ale to był długi dzień, a ona wątpiła, czy ma dość siły, żeby poradzić sobie i przemyśleć wszystko, co ewentualnie odkryją. Fragmenty rozbłyskały w tyle jej głowy jak świetliki, dostatecznie jasne, by nią wstrząsnąć, ale nie pozostawały tam na tyle długo, by przyjrzeć się im dokładnie.

Szorstka wędkarska kurtka taty. Granatowa. Z łatami na łokciach.

Czerwona skórzana torebka mamy, z zapięciem jak beczułki i zamykanymi na zamek błyskawiczny kieszonkami ze słodyczami.

Tata, pomyślała. Mama. Jakby silna miłość świeciła w ciemności jak latarka, wydobywając wszystkie cenne wspomnienia. Kolejna fala smutku sprawiła, że poczuła się boleśnie samotna.

Libby dostrzegła to i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Czas do łóżka. Jutro też jest dzień.

Kto wie, kim będę, kiedy się obudzę? – pomyślała Alice.

W piątek Libby najpierw załatwiła sprawy administracyjne hotelu, wyszła na spacer z Bobem, przeprowadziła ostrożną rozmowę z Margaret o „cokolwiek natarczywym poziomie głośności” radia budowlańców, a dopiero potem usiadła w biurze z Alice, gdzie w końcu mogła wykorzystać swoje nieco zardzewiałe umiejętności wyszukiwania informacji. Próbowwała zachowywać się taktownie, widząc, jak niespokojnie wierci się jej gość za każdym razem, kiedy odkrywają nowy szczegół, ale dobrze było znów zaprząć mózg do działania. Libby nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakuje jej dawnej

pracy.

Do wieczora znalazły świadectwo maturalne Alice ze szkoły dla dziewcząt w Bromley, a na Google Earth lokalizację dwóch mieszkań, które zajmowała po skończeniu uniwersytetu, ale nie natrafiły na żadne fotografie. Ostatnia informacja pochodziła sprzed pięciu lat, kiedy to Alice sponosorowała skok spadochroniarza w kostiumie Supermana. Uznały, że później musiała pracować jako asystentka w różnych kancelariach prawnych w Londynie.

– To jakiś początek, prawda? – powiedziała Libby zachęcająco. – Może skontaktujesz się z... O, cześć!

– Witajcie, drogie panie! – Do biura wszedł Jason; miał na sobie dzinsy i koszulkę do rugby, przez ramię przewieszoną sportową torbę. Widać było, że jest w świetnym nastroju. – Chciałem tylko uprzedzić, że nie będzie mnie dzisiaj na kolacji, więc nic dla mnie nie róbcie.

– Tak? – Libby okazała rozczarowanie. – Miałam zamiar zrobić zapiekankę z rybą, żeby uczcić postępy Alice. Twoja mama ma mnie nauczyć „właściwego” sposobu przyrządzania.

Jason zmarszczył czoło.

– Przecież twoja zapiekanka jest super.

– Wiem. Ale jej chyba sprawia przyjemność pokazywanie mi, jak sama robi różne rzeczy.

Alice, wyczuwając napięcie, powiodła po nich spojrzeniem.

– Nie rób nic specjalnie dla mnie, Libby. Już i tak wiele ci zawdzięczam. Zabiorę Boba na piętro i dam mu kolację, dobrze?

Wstała i wyszła. Bob z podniesionym ogonem podążył za nią.

Jason i Libby patrzyli zaskoczeni na psa.

– Nie wyglądał na tak wytresowanego, gdy wcześniej wywlekałam go z różaneczników – zauważyła Libby z podziwem. – No dobra, dokąd się wybierasz wieczorem?

– Wypowiedziała magiczne słowo „kolacja”. – Jason przerzucił torbę na drugie ramię. – Na trening rugby. Mam klucze od frontowych drzwi, więc możesz je zamknąć, jak będziesz chciała iść spać.

– O której jest ten trening? – Libby spojrzała na zegarek. – Dopiero piąta.

– Od szóstej do ósmej, ale potem pewnie wypijemy po szklaneczce w klubie. – Jason wykonał numer z rodzaju „jazzowe dłonie”, żeby ukryć ekscytację. – Jest nowy! Ma różne piwa i stellę artois! Serwują tam zapiekanki! I, posłuchaj uważnie, jest tam specjalna toaleta dla pań!

– Super! – Libby nie wiedziała, dlaczego czuje zazdrość. Przecież nawet nie lubiła rugby. Może chodzi o to, że jej rybną zapiekankę pokonał nowy kibel? – Więc kiedy jest damski wieczór?

– Słucham? – Opuścił szalejące dłonie i spojrzał czujnie.

– Skoro w klubie są toalety dla kobiet, to kiedy urządza się babskie imprezy? Chętnie wyszłabym z domu, poznała inne wdowy rugby.

– Szczerze mówiąc, Libby, myślę, że zrobiono tę toaletę wyłącznie ze względu na ustawę o równości płci. – Jason udał przerażenie. – Większość żon trzyma się z daleka. W pubie nadal wystawia się torebki z orzeszkami na tle fotek prawie gołych lasek i to tylko w połowie żart.

Libby zmusiła się do uśmiechu.

– Dam sobie radę z seksistowskimi orzeszkami, jeśli ma to oznaczać randkę z tobą. Brakuje mi naszych wieczorów spędzanych na zrywaniu tapet. No i wygląda na to, że w Longhampton jest mnóstwo możliwości miłej rozrywki.

– Wiem, mała. Ale naprawdę nie chciałabyś iść do klubu. Dlaczego nie wybierzesz się gdzieś z Alice?

Coś w tym swobodnym tonie zirytowało Libby. Zareagowało źle z jej zmęczeniem. Chociaż w hotelu nie było tłoku, wieczorami ktoś musiał dyżurować na wypadek telefonów albo pojawienia się gości. Libby zdecydowała, że Margaret jest z tego obowiązku zwolniona, żeby mogła spotykać się z przyjaciółmi, ale to jeszcze nie oznaczało, że Jason może zwalić go na żonę, bo jego życie towarzyskie nabiera rozpędu.

– Kiedy? – Libby ujęła się pod boki. – Nie mogę niczego zaplanować, skoro ty znikasz, kiedy masz ochotę.

– Nie wpisałem treningu do kalendarza? – Ton nie był przekonujący. – Muszę na nim być. To mały klub, trzeba okazać gotowość. Poza tym połowa drużyny jest w radzie miejskiej albo ma swoje firmy. Kilka pint warte jest setek telefonów. Oliwimy tryby biznesu.

– Jasne. Tylko nie... – Libby zawahała się, ponieważ atmosfera wyraźnie zgęstniała, ale postanowiła mówić dalej. Kiedy po ostatnim wieczorze z kumplami Jason wtoczył się chwiejnie do domu, nie skomentowała tego, bo może był to tylko jednorazowy wyskok. – Tylko tym razem nie przesadz.

– To znaczy?

– To znaczy, że kiedy ostatnim razem „oliwiłeś tryby biznesu”, zwlokłeś się z łóżka dopiero o dziesiątej, więc sama musiałam zająć się śniadaniem i zmianą pościeli. Tu nie jest jak w biurze. Nie mogę czekać, aż kac ci

przejdzie. Jutro z samego rana musimy jechać do marketu. Nie chcę zrzędzić – dodała, doskonale zdając sobie sprawę, że zrzędzi. – Ale...

Jason wykonał uspokajający gest.

– Słyszę cię. Nie wrócę późno. Wypiję dwie kolejki i wracam. No i co? Czemu tak na mnie patrzysz?

Słowa popłynęły z ust, zanim Libby zdążyła ugryźć się w język.

– I nie przesadz z fundowaniem kolejek. Dostałam dzisiaj wyciągi z karty kredytowej. Prawie wykorzystaliśmy limit.

Boże, dlaczego to powiedziałam? – pomyślała gniewnie, choć znała odpowiedź. Ponieważ nie potrafiła zapomnieć o rozmowie z ojcem i o rachunku z pubu za ostatni wieczór z kumplami, który znalazła w tylnej kieszeni spodni Jasona, kiedy robiła pranie. Najwyraźniej jej mąż zostawił kartę u barmana i płacił za całą drużynę.

To byli rugbyści. Lubili wyzwania.

Libby zawsze uwielbiała szeroki gest Jasona, który pod bardzo wieloma względami stanowił przeciwieństwo jej ojca. Ale teraz nie było ich na niego stać, więc czuła się okropnie, zmuszona ograniczać nawyki męża. Więcej, czuła się okropnie, że musi mu o tym przypominać. Sam powinien wiedzieć.

– Coś jeszcze? – zapytał Jason. – Nie wracaj za późno, nie upij się, nie wydaj za dużo pieniędzy. Zaraz, coś pominęłaś. Nie próbuj dobrze się bawić!

Wpatrywali się w siebie. W powietrzu wisiała zapowiedź burzliwej kłótni, która albo wybuchnie, albo rozejdzie się po kościach.

W taki sposób buduje się trwałe małżeństwa, przypomniała sobie Libby. Przepracowując trudne sytuacje.

– To, że czuję się, jakbym była twoją matką, nie sprawia mi przyjemności – odparła spokojnie. – Ale nasza sytuacja jest dostatecznie skomplikowana. Nie musimy jej dodatkowo utrudniać.

Po prostu przeproś. Przyznaj, że wiesz, dlaczego mnie to tak bardzo dotknęło. Jak upokarzające jest dla mnie, że nie mogę ci ufać.

Jason westchnął i postawił torbę na ziemi.

– Przepraszam, Lib. Rozumiem. Weź wolny wieczór. Ty też potrzebujesz odpoczynku.

Nie odpowiedziała.

Jason podszedł do niej i objął, opierając policzek na jej policzku. Przycisnął usta do delikatnej skóry za uchem; Libby zawsze topniała od tej pieszczoty. Spojrzała na otaczające ją silne ramiona i pomimo napięcia wtuliła się w nie.

Przynajmniej to wciąż mamy, pomyślała. Przynajmniej to nie wyparowało.

– Nigdy nie będziesz wiedziała, jak bardzo doceniam fakt, że razem ze mną przez to przechodzisz – mruknął. – Ale musisz mi zaufać. Pieniądze przyływają i odpływają. Czasami trzeba je wydać, żeby się udało. W biznesie tak to działa.

Libby bardzo pragnęła uwierzyć. Oparła nos o ramię męża, wciągnęła w nozdrza jego zapach. Komfort uścisku zagłuszał wszelkie irytujące głosiki w jej głowie.

– Nie chcę rezygnować z pracy nad naszym małżeństwem tylko dlatego, że się staramy, żeby hotel funkcjonował dobrze.

Wreszcie. Powiedziała to.

– Ja też nie, skarbie. Hotel będzie dobrze funkcjonował, ponieważ między nami będzie dobrze. – Jason ją uścisnął. – Nie wrócę późno. Jeśli obiecasz, że będziesz w wannie dokładnie o wpół do jedenastej...

Libby się odsunęła.

– Bądź o dziesiątej – mruknęła uwodzicielsko. – O wpół do jedenastej wraca twoja mama. Wiosenne przyjęcie soroptymistek.

Jason przystanął w progu i poruszył brwiami.

– W takim razie będę o wpół do dziesiątej. Do zobaczenia, piękna.

Libby posłała mu całusa, a potem słuchała, jak radośnie pogwizdując, idzie przez pełną jeleni recepcję. Rozległ się trzask zamykanych frontowych drzwi i zapadła cisza.

Jasona i Margaret nie było, więc Libby spędziła wieczór z Alice. Siedziały w biurze, gdzie mogły nasłuchiwać telefonu, a równocześnie zająć się czymś pożytecznym.

„Coś pożytecznego” polegało na burzy mózgów dotyczącej pomysłów marketingowych z jednego z poradników hotelarskich Libby. Musiała je ukrywać w szafce z dokumentami, ponieważ Margaret odbierała ten stos książek jako osobistą zniewagę podważającą jej trzydziestopięcioletnie doświadczenie, ale Libby potrzebowała praktycznego potwierdzenia w postaci list i celów. Ona i Jason nie mieli zielonego pojęcia o zarządzaniu Łabędziem, a na każde pytanie teściowa zaczynała odpowiedź od: „Donald zwykle...”, co było zrozumiałe, lecz nie bardzo pomocne.

Z Alice łatwo wymieniało się pomysłami. Zapełniwszy wiele stron w notatniku ofertami i specjalnymi weekendami, o wpół do ósmej zrobiły sobie przerwę, żeby coś zjeść. Ponieważ Libby zrezygnowała z zapiekanki



rybnej, zamówiła pizzę w nowej pizzerii, pod pretekstem sprawdzenia jej dla gości. W końcu obie z Alice wykonały więcej pracy w ciągu tych dwóch godzin niż Jason i Margaret przez cały dzień.

– Czy jakiś szczegół, który dzisiaj odkryłyśmy, pobudził twoją pamięć? – zapytała Libby, podając Alice papierowy ręcznik do wytarcia palców.

– Właściwie nie – odparła Alice smutno. – Ciągłe się zastanawiam, dlaczego nie ma mnie na Facebooku. Bo wiesz, na podstawie listy przyjaciół mogłabym ustalić, jakiego rodzaju osobą jestem.

– Nie jestem pewna, czy byłoby to wiarygodne – powiedziała Libby. – Wiesz, Facebook mówi ci tylko, z kim się spotykasz.

Facebook był dla Libby drażliwym tematem. Erin i inne przyjaciółki często wpisywały się na jej stronie – mnóstwo „Cześć, skarbie!” i linków do fotografii z przyjęć, na których Libby nie było – ona jednak nie potrafiła zmusić się do odpowiedzi, skoro ich gorączkowe życie, wypełnione jogą dla kilkulatków i wakacjami na Goa toczyło się, podczas gdy jej nie. Sprawdzała swoją stronę codziennie, często późnym wieczorem, żeby nikt nie zauważył jej aktywności, ale umieściła na niej tylko dwa zdjęcia ogrodu Margaret i jeden niewątpliwie dobry fragment hotelu (choć musiała poczekać z ich zrobieniem, aż przestanie mżyć).

Jason uważał, że zachowuje się idiotycznie, ale Facebook spychał Libby na pozycje obronne. To było dziwne. Nie, pomyślała, to jednak wcale nie jest dziwne. Oglądała nowe wiadomości i zastanawiała się, ile właściwie ona i „dziewczęta” z Wandsworth mają ze sobą wspólnego. Erin była urocza, ale pozostałe, choć sympatyczne, nie należały do osób, którym Libby mogłaby powierzyć tajemnice z przekonaniem, że nikt więcej się o nich nie dowie. Gdybym miała dzieci, myślała czasami, może nawiązałyby się prawdziwa łączność, więź zbudowana na wyznaniach w cztery oczy o kłopotliwych i dalekich od ideału sytuacjach. Rzecz jednak w tym, że kiedy raz po kilku drinkach przyznała, że jej wkład w letnie przyjęcie dla mieszkańców ulicy nie był kremem cytrynowym zrobionym według starego rodzinnego przepisu Margaret Corcoran, a kremem kupionym w Lidlu i przełożonym do zwykłego słoja, rozpętały się takie plotki, że później Libby zastanowiłaby się dwa razy, zanim obnażyłaby przed koleżankami duszę (dzięki Bogu, Erin ryczała ze śmiechu).

Incydent z Kremem Cytrynowym. Faj. Twarz Libby płonęła, jak zawsze na to wspomnienie. Pochwyciła uważne spojrzenie Alice i uznała, że skoro tamta

nie osądza innych, wyznanie, co czuje, będzie łatwiejsze.

– Powtarzam sobie, że na Facebooku pojawiają się wyłącznie informacje o najlepszych chwilach, ale kiedy my tu ciężko pracujemy i musimy się liczyć z każdym groszem... Nie zawsze chce się oglądać, jak wspaniałe życie prowadzą inni. Zgadzasz się?

– To prawda.

– A prawdziwi przyjaciele są prawdziwymi przyjaciółmi. Nie osobami, których imiona klikasz na swoim profilu i dopisujesz się do ich strony, powiększając liczbę znajomych.

– Wiem. Ale to jak ślad w dokumentach, prawda? Mówi, kim jesteś. Przeraza mnie – mówiła Alice wolno – że być może nigdy nie spotkam nikogo, kto by mnie znał. Wszystkie te lata, których nie pamiętam, po prostu, hm, wyparowały. Nawet gdybym odnalazła koleżanki ze szkoły, to one przecież mieszkają w Londynie. Co ja tu robię? Czy... Czy osoba, którą byłam przez ostatnie lata, przypadła? – Alice zamrugła.

A Libby poczuła wyrzuty sumienia z powodu własnego egoizmu.

– Nie! Pamięć ci wróci. To jasne, że masz przyjaciół, którzy cię odnajdą. Ale możesz zacząć od nowa, jeśli będziesz musiała. Nawiązać nowe przyjaźnie. Bo wiesz, już masz dwoje nowych przyjaciół, mnie i Jasona. Kiedy człowiek się przeprowadza, musi wymyślić siebie na nowo. Twoja sytuacja jest tylko trochę, hm,... bardziej ekstremalna.

Mówiąc to, Libby uświadomiła sobie, że sama w gruncie rzeczy nie zastosowała się do tej rady. Mieszka tu od dwóch miesięcy, a jedyną nową przyjaciółkę podrzucił jej – niemal dosłownie – na próg nieuważny kierowca.

Alice skubnęła pizzę.

– Jestem wam obojgu bardzo wdzięczna, ale nie mogę wiecznie tu siedzieć. Jak dostanę pracę bez referencji i konta w banku? Bez numeru ubezpieczenia społecznego? To wszystko wygląda bardzo podejrzanie.

– Możemy od razu zacząć szukać tych informacji. A nową pracę już masz, jeśli tylko zechcesz ją podjąć.

– Naprawdę? Nie musisz tak mówić.

– Wręcz przeciwnie! Już jesteś lepszą recepcjonistką od ostatniej, którą miała Margaret. To znaczy: ode mnie.

Alice się uśmiechnęła, a Libby na widok tej ulgi aż ścisnęło się gardło.

– Dziękuję, Libby. Jesteś taka dobra!

W recepcji coś trzasnęło; obie podskoczyły i nadstawiły uszu. Brzmiało to

jak odgłos upadku.

Libby odłożyła kawałek pizzy.

– To pewnie Jason. Wrócił wcześniej. Nie wydaje mi się, że to Margaret tak się rozbija. Chyba że potknęła się o własnego psa.

– Gdzie podziewa się Bob, gdy jest potrzebny? – zapytała Alice. – Faktycznie, niezły z niego pies obronny.

– Kto jest w czwórce? Pan Harrington? Niewykluczone, że próbował wejść do salonu po gazety. – Libby wsunęła stopy w buty. – Pójdę i sprawdzę.

Weszła do recepcji i zobaczyła ruch przy drzwiach.

– Ciii! – usłyszała o wiele za głośny męski szept.

To był Jason. Zawsze po kilku kolejkach tracił kontrolę nad głosem. Libby zebrała się w sobie, przygotowując się na pokaz szczenięcych czułości. Tolerancja jej męża na alkohol wynosiła mniej więcej cztery pinty, chociaż bywało, że wypijał o wiele więcej.

Z jednej strony pojawił się w odpowiednim czasie na randkę w wannie, a z drugiej, myślała z irytacją, z jego głosu wynika, że raczej ją prześpi. Ale przynajmniej nie zmarnowałam na niego ostatnich dwóch centymetrów dobrego olejku do kąpieli...

Jason przytulał się do framugi z anielskim uśmiechem. Paliły się lampy, a białe folie okrywające meble sprawiały, że w pomieszczeniu było jeszcze jaśniej. Blond włosy Jasona oklejały jego czaszkę, jakby oblano je piwem. Ktoś z nim był. Jeden z kumpli, ubrany w czerwoną bluzę z kapturem i skórzaną kurtkę, który po części go podpierał, a po części trzymał.

Pewnie rugbysta, pomyślała Libby.

Był o dobre dwadzieścia centymetrów niższy od Jasona, ale dostatecznie silny, aby utrzymać w pionie ponadosiemdziesięciokilogramowego pijanego idiotę.

Już miała go uwolnić od chwiejącego się ciała, kiedy Jason pochylił się nad mosiężnym stojakiem na parasole i zaczął się dławić tak samo dramatycznie, jak zwykł to robić lord Bob, gdy zjadł coś podejrzanego w parku.

No nie, to chyba jakieś żarty, pomyślała Libby. Jak to możliwe, że Margaret nigdy nie jest obecna przy takich scenach?

– Stary, czuję się bardzo... – oznajmił Jason z niezwykle silnym miejscowym akcentem, po czym hałaśliwie zwymiotował do stojaka.

Podczas gdy Libby gapiła się z otwartymi ustami, wyprostował się, otarł usta wierzchem dłoni i uśmiechnął się głupio do kumpla. Tamten nic nie

powiedział, tylko westchnął przeciągle.

– Lepiej tu niż na dywan – dodał Jason. – Przynajmniej nie zrobiłem tego w taksówce.

– To nie była taksówka, ty fiucie, tylko mój van – odparł jego przyjaciel i ostrożnie zsunął kaptur z głowy.

Na dźwięk tego głosu Libby wiedziała już, z kim ma do czynienia, chociaż minęło trochę czasu.

Luke.

Szwagier zawsze kojarzył się jej z nastrojowymi gitarzystami z zespołów indie, które lubiła jako nastolatka. Był szczupły, ale umięśniony, miał zapadnięte policzki i wyglądał, jakby potrafił zrobić salto ze sceny, nie wypadając z rytmu. Wszyscy najpierw zwracali uwagę na jego oczy, nie dlatego, że były piękne i błękitne jak u Jasona, ale dlatego, że odznaczały się intensywnym spojrzeniem. Mierzona nim Libby często oglądała się za siebie, żeby sprawdzić, czy nie pojawił się tam ktoś bardziej od niej interesujący.

– Luke?

Odwrócił się, zobaczył ją i jęknął.

– O cholera! To znaczy: cześć, Libby. Miałem zamiar przetransportować Jasona na górę i położyć do łóżka, nie prosząc cię o pomoc.

– Ale nie do mojego, mam nadzieję. To nie jest niespodzianka, która późnym wieczorem sprawiłaby dziewczynie radość.

Podniósł rękę na zgodę.

– Słuszna uwaga. Plan B polega na wsadzeniu go do wanny. Łatwiej będzie zlać go wodą.

Oboje patrzyli na Jasona, który padł na kolana, czepiając się stojaka jak liny ratunkowej.

– Ile wypił?

– Dziesięć pint! – Jason uniósł niepewnie rękę. – Dzie-sięć! Albo i dwanaście!

– Wyobrażam sobie, że raczej cztery – powiedziała Libby. – O ile.

Luke przygładził swoje ciemne włosy; były dłuższe niż podczas ich ostatniego spotkania. Wtedy miał je ostrzyżone niemal po wojskowemu, teraz spadały do połowy czoła.

– Moim zdaniem sześć.

– Dzięki, że przywiozłeś go do domu – powiedziała Libby. Luke nigdy nie mówił wiele, a ona złapała się na tym, że papple, by zagadać ciszę. – Jak na

niego trafiłeś?

– Wpadłem do klubu, żeby się spotkać z kimś w interesach, i on tam był, nieźle już wstawiony. – Czubkiem sportowego buta trącił brata, który jęknął. – Wyszedłeś z wprawy, stary – dobił go.

– Nie jesteś moim stróżem – wybełkotał Jason. – Kiedy chcę się napić z chłopakami, nie potrzebuję starszego brata mówiącego mi...

Cokolwiek chciał dodać, zginęło w kolejnym ataku nudności.

– Każda o takim marzy – powiedziała Libby.

– No więc pomyślałem, że skoro już się tam znalazłem, to lepiej odwiozę go do domu. Trochę jesteś za stary, żeby mamusia po ciebie przyjeżdżała, co? – skomentował Luke w kierunku swoich stóp.

Jason mamrotał niewyraźnie.

– Dziękuję, że zaryzykowałeś zabrudzenie vana. Nie miałam pojęcia, że jesteś w okolicy – powiedziała Libby. – Gdzie się zatrzymałeś? Wiesz, że mieszkamy tu od początku marca?

– Tak. Przyjeżdżałem tu często i miałem zamiar was odwiedzić, tylko że mama... – Luke wzruszył ramionami. – Posłuchaj, nie chcę wydać się niegrzeczny, ale chyba powinniśmy zawlec na piętro tego Cudownego Chłopca, zanim... O, cześć.

Przez sekundę Libby zastanawiała się, czy nie wróciła teściowa, bo Luke się wyprostował i z niepewnym uśmiechem patrzył w kierunku salonu. Świetnie!, pomyślała. Teraz Margaret przekona się na własne oczy, jak naprawdę wygląda Jason po kilku kufkach, i przestanie sugerować, że to ja zawsze robię igły z widły!

Ale uśmiech Luke'a był, owszem, niepewny, ale zadowolony. Wręcz zaskoczony.

Libby okręciła się na pięcie i zobaczyła, że Alice, która wyszła z biura, wpatruje się w nich z taką samą niepewną miną. Libby widywała ten wyraz twarzy w ostatnich dniach, kiedy Alice czytała czasopisma, kiedy rozwiązywały quizy czy rozmawiały. Kiedy Alice próbowała sobie coś przypomnieć. Próbowwała usilnie.

W końcu Luke powiedział:

– Alice! – I uśmiechnął się do niej.

Jakby ją znał.

## Rozdział 12

Alice wpatrywała się w mężczyznę podnoszącego Jasona po drugiej stronie recepcji, a przez jej umysł przepychała się bezkształtna myśl, próbując przedrzeć się przez pustkę.

Nie знаła go, ale... Nie był nieznajomy. Libby mówiła do niego „Luke”. Przez głowę Alice przemknęło: „Jasne, Luke, oczywiście”, ale na tym koniec.

On ją znał. Zwrócił się do niej po imieniu, ale potwierdzał to także sposób, w jaki na nią patrzył. Luke był pierwszą osobą, która naprawdę ją znała. A ona spotkała się z nim w hotelu, do którego szła.

Nagle wyszło jej w gardle.

Zbliżył się o krok, zbity z tropu jej brakiem reakcji. Sposób, w jaki pospiesznie powiódł spojrzeniem po jej twarzy, też był znajomy. Przenikliwe interesujące oczy, niemal czarne pod silnie zarysowanymi, prostymi brwiami. Kosmyk brązowych włosów spadł mu na czoło. Kiedy go odgarnął, żeby lepiej ją widzieć, zobaczyła na jego przegubie wytatuowane jabłuszko.

Luke.

Alice mocniej zabiło serce. Wygląda na naprawdę zadowolonego, że mnie widzi, ale jest dezorientowany, pomyślała, odczytując emocje z jego kanciastej twarzy. I zna mnie. Wie, kim jestem.

– Alice? – powtórzył. – To ty, prawda?

– Tak, to ja, ale...

Chciał podejść bliżej, teraz jednak się zatrzymał skonsternowany. Dotknięty?

– Wszystko w porządku?

– Luke. Jesteś bratem Jasona – powiedziała Alice powoli, koncentrując się na faktach, na których mogła polegać. Nowych faktach, nie dawnych wspomnieniach, pomyślała.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się, nadając twarzy surowy wygląd.

– Tak. Przecież dlatego tu jesteś?

Wpatrywał się w nią, widząc Alice, której ona nie znała. Zapragnęła

udzielić właściwej odpowiedzi, chociaż nie miała pojęcia, co miałyby to być.

– To wy się znacie? – zapytała Libby.

Luke sprawiał wrażenie, że czeka, aż Alice się odezwie. A kiedy milczała, powiedział:

– Owszem, znamy się.

– Ale skąd? – Zniecierpliwiona Libby prychnęła. – No, mówcie! To nie jest *Panna Marple*! Nie musicie podkręcać napięcia!

– Znam Alice z pubu. Z Białego Konia w Embersley. – Wodził spojrzeniem po twarzach obu kobiet, zdumiony, że Alice nie mówi tego sama. – Dlaczego pytasz? Coś się stało? Alice?

Alice nie potrafiła wykrztusić słowa. Luke wyglądał na zranionego. Dlaczego? Co ona zrobiła? Gdzie ją poznał? Był jej przyjacielem? Więcej niż przyjacielem? Jej żołądek zwinął się w supeł.

– Jakies dwa tygodnie temu Alice miała wypadek przed hotelem. Straciła pamięć, więc zabraliśmy ją do siebie, dopóki sobie nie przypomni, gdzie mieszka – wyjaśniła Libby. – Przepraszam, Alice – dodała, oglądając się przez ramię – że mówię za ciebie. Dobrze się czujesz? Bardzo zbladłaś.

Podczas tej przemowy Alice dostrzegła na twarzy Luke'a szok, który znikł tak szybko, jak się pojawił. W przeciwieństwie do Libby Luke świetnie nad sobą panował. Po wypadku Alice wyrobiła sobie sokole oko i bezbłędnie wychwytywała niemal nieuchwytne reakcje, podpowiedzi dotyczące spraw, o których nie wiedziała. Nie uszło jej uwagi, że rysy Luke'a znieruchomiały, jakby po głowie chodziła mu jakaś myśl, a nie wstrząśnięte: „O Boże!”, okrzyk wydawany przez większość ludzi.

On coś o mnie wie, pomyślała. I nagle poczuła, że inny bezkształtny obraz unosi się i opada niedostrzeżony tuż poza jej zasięgiem.

– A teraz dobrze się czujesz? – zapytał Luke, odsuwając się od rozkołysanego Jasona. – Jaki wypadek? Doznałaś obrażeń?

– Potrącił mnie samochód. Dwa samochody. Nie wiem, co się stało. To wszystko jest...

Pod Alice ugięły się kolana. Przed oczami pojawiły się białe plamy. Potknęła się i wyciągnęła rękę w kierunku recepcyjnego blatu. Zanim się zorientowała, Libby już przy niej była, obejmując ją w talii.

– Ostrożnie! – powiedziała. – Chyba powinniśmy zaprowadzić Alice na piętro? Wciąż bierze leki. – Spojrzała na Jasona, zgarbionego nad stojakiem na parasole, z głową opartą o jego krawędź. – Luke, ty zajmij się tym pijusem.

Skorzystaj z łopaty, jeżeli będziesz musiał.

Alice próbowała iść samodzielnie, ale ponieważ Libby okazała się silniejsza, niż można było sądzić, z wdzięcznością pozwoliła się poprowadzić do kuchni na piętrze.

Z łazienki po drugiej stronie korytarza dobiegały hałasy – to Luke pakował do wanny jęczącego Jasona. Alice poczuła wdzięczność za tę chwilową przerwę. Pochyliła się, wkładając głowę między kolana; w jej umyśle wirowała czerni, nie pojawiało się nic konkretnego. Żadnych wspomnień o Luke’u, wyłącznie niepokój.

Libby nastawiła wodę i kucnęła przed Alice.

– Dobrze się czujesz? – zapytała z troską. – Zbladłaś jak ściana.

– Nic mi nie jest. – Alice dotknęła żeber. Bolały tam, gdzie podtrzymywała ją Libby, kiedy wchodziły po schodach. – Tylko wiesz... To idiotyczna sytuacja, gdy ludzie cię znają, a ty ich nie.

– Idiotyczna? – Libby uświadomiła sobie, że to żart, i wzniosła oczy do nieba. – Czy Luke to twój przyjaciel? Pamiętasz, kiedy widziałas go po raz ostatni?

– Nie wiem. Ja... Nie, nie wiem. – Alice przeszukiwała pamięć, ale cokolwiek tam było, umknęło. – Wspominał o mnie? Myślisz, że to on mi powiedział, żebym tu przyszła?

– Nie wspominał o tobie, ale nie jesteśmy ze sobą blisko. Nie był tu od miesięcy. Dosłownie od miesięcy. Pewnie ci mówiłam, że on i Margaret nie przepadają za sobą? Ostatni raz widziałam Luke’a... Dwa lata temu? Na jego ślubie.

Na jego ślubie. Luke jest żonaty. Alice poczuła dziwne drżenie, przebiegające przez jej wnętrzności. To nie było wspomnienie, a głębsza reakcja.

– Wielkie nieba, co tu się dzieje? – Skrobanie pazurów po kafelkach świadczyło, że Margaret i Bob wrócili właśnie z przyjęcia soroptymistek. Margaret wyglądała elegancko w powiewnej kwiecistej sukience i perłach, zadowolona z siebie mina Boba sugerowała, że pożarł mnóstwo zakazanych vol au vent. – W recepcji okropnie cuchnie i pomyślałam... Alice? Wszystko dobrze, moja droga?

– U niej tak – odparła Libby. W tej samej chwili z łazienki dobiegło echo donośnych wymiotów. – Niestety, nie można powiedzieć, że u Jasona również.

– Jason jest chory? – Twarz Margaret ściągnęła się z troski. – Zjadł coś



niestrawnego? Zawsze źle reagował na grzyby.

– Raczej coś wypił. – Woda zagotowała się i Libby wstała, żeby zaparzyć herbatę. – Nie martw się, jest z nim Luke.

– Luke? – Alice obserwowała, jak niepokój Margaret ustępuje miejsca irytacji. Dostrzegła też, że Libby w odpowiedzi garbi się nieznacznie. Usiłowała odczytać dynamikę między kobietami; nagle obie zaczęły się zachowywać niezwykle uprzejmie. – Nie wiedziałam, że ma nas odwiedzić.

– My też nie. Ale Luke uratował Jasona i przywiózł go do domu. Jason nie jest chory, tylko zalany w trupa. Ale dobra wiadomość jest taka...

– Powinam chyba pójść i sprawdzić, czy niczego mu nie potrzeba. – Margaret postawiła torebkę na stole. – Jason nie jest pijakiem! Myślisz, że któryś z kolegów dołał mu coś do drinka? Czyta się o takich rzeczach.

– Owszem – stwierdziła Libby ze śmiertelną powagą. – Myślę, że dolali mu do drinka mnóstwo alkoholu. A biedny Jason to wszystko wypił.

– Tak? Och. – Margaret naburmuszyła się, kiedy dotarło do niej, że synowa mówi z ironią. – Chyba nie powinnaś podchodzić do tego tak lekko. Ludzie miewają bardzo ostre reakcje na alkohol.

Alice dostrzegła irytację w oczach Libby. To, że tamta ugryzła się w język.

– Nic mu nie będzie, Margaret – powiedziała Libby. – Widywałam go w o wiele gorszym stanie. Ale jak mówiłam, dobra wiadomość jest taka, że Luke...

– Co Luke?

Wszystkie trzy odwróciły głowy.

W progu stał Luke, wycierając dłonie w ręcznik, którego róż wyglądał w jego silnych rękach kompletnie nie na miejscu.

– Witaj, mamó. Ładnie wyglądasz. Byłaś gdzieś?

Dokładał starań, by nie odrywać wzroku od matki. Alice widziała to wyraźnie. W pewnej chwili zerknął i na nią; ich oczy się spotkały, a Alice przeszedł dreszcz. Nie dysponując żadnymi informacjami, nie potrafiła jednak stwierdzić, czy był przyjemny, czy zawierał ostrzeżenie.

– Na przyjęciu soroptymistek – odparła Margaret. Wzięła od syna ręcznik i podsunęła policzek do obowiązkowego pocałunku. Nie nastąpił przepełniony uczuciem niedźwiedzi uścisk, którym zwykle obdarzał matkę Jason; oboje zachowywali się sztywno i czujnie, jakby robili to tylko ze względu na widownię. – Co za niespodzianka. Powinieneś był wcześniej zadzwonić.

– Nie planowałem odwiedzin. Miałem zamiar wpaść do was jutro. Słuchaj,

położyłem Jasona w gościnnym pokoju – zwrócił się do Libby, gdy podawała mu kubek z herbatą. – Zostawiłem drzwi otwarte, gdyby nas potrzebował, ale myślę, że będzie spał jak zabity.

– Och. – Margaret ruszyła do drzwi, żeby zajrzeć do Jasona. – W gościnnym pokoju mieszka Alice.

Zarumieniła się, kiedy wszyscy na nią spojrzeli.

– W porządku – powiedziała szybko. – Prześpię się na sofie. To żaden problem.

– Nie, Alice, wykluczone. Nie możesz – odparła Margaret z troską. – Twoje zebra. Może Libby przenocuje w hotelu, a ty zajmiesz jej łóżko? Tylko na dzisiejszą noc.

– Proszę. To naprawdę nie jest problem – powiedziała Alice, widząc, jak za plecami teściowej Libby wysoko unosi brwi.

– Jakoś to załatwimy – wtrąciła Libby. – To hotel. Czego jak czego, ale pokoiów nam nie brakuje. A teraz siadaj, Luke. O wiele ważniejsze jest to, żebyś nam powiedział, skąd znasz Alice?

Margaret znieruchomiała w połowie drogi do drzwi.

– Co takiego?

– Luke zna Alice – powtórzyła Libby. – Prawda?

– Skąd?

Luke obrócił kubek w dłoniach.

– Wynająłem pokój w pubie w Embersley, kiedy kilka tygodni temu realizowaliśmy tam kilka zleceń. Alice tam pracowała.

– Pub! W Embersley! Przypominasz sobie? – Libby z zapałem spojrzała na Alice, która pokręciła głową.

– Właściwie nie.

– Sprawdź, co u Jasona – oznajmiła Margaret, jakby na stan jej syna zwracano niedostateczną uwagę. – Może czegoś mu potrzeba.

– Powodzenia, Margaret. Choć myślę, że teraz już zdrowo chrapie – powiedziała Libby, nie odwracając się.

Wrzuciła do kubka dwie kostki cukru, zamieszała i podała Alice.

Luke wyciągnął krzesło i usiadł. Wcześniej zdjął bluzę, a Alice odruchowo zarejestrowała jego dzinsy wytarte na szczupłych udach i linię na wydatnym bicepsie, oddzielającą część opaloną od jaśniejszej. I jabłko, wyrysowane zielonym tuszem na przegubie. Znajome? Nieznajome?

– Więc jak, to miły pub? – zapytała Libby.

– Tak, bardzo miły. To wiejski zajazd z pokojami na piętrze i porządną pieczenią w weekendy. Stoi nad rzeką, w ogrodzie są kaczki. – Cień uśmiechu przemknął po twarzy Luke’a. – Cholernie hałaśliwe kaczki.

Spojrzał na Alice. Wydawał się rozczarowany, że nie zareagowała.

Żartowali na ten temat?

– I ja... Pracowałam tam długo?

Dałaby dużo, by o to nie pytać.

Luke spuścił wzrok. Nie widziała jego oczu.

– Rok? Wiesz, nie wymieniliśmy się życiorysami...

– Szczegóły! – zażądała Libby. – Cokolwiek! Im bardziej przypadkowe, tym lepiej!

– A co ja mogę powiedzieć? Jesteś dobra w rzutki. W każdym razie lepsza od moich chłopaków. Miałaś zamiar poszukać lepszej pracy niż nalewanie piwa. A przy okazji, świetnie ci to wychodziło. Wychodzi – poprawił się zakłopotany. – Nalewanie piwa wychodzi ci naprawdę świetnie.

– Jestem tego pewna. Lekarz mówił, że tego rodzaju umiejętności nie znikają po wypadku samochodowym – odparła, a Luke wreszcie spojrzał na nią z uśmiechem. Nagle wydał się młodszy i nie tak poważny. Wzrok miał szczery, bezpośredni, jakby czytał jej w myślach. A potem powiedział: – Mieszkasz z chłopakiem gdzieś w Stratton.

Po tych słowach serce Alice wykonało dziwny skok.

Mam chłopaka. I nie jest nim Luke.

Głupia! pomyślała. Gdyby on był jej chłopakiem, pocałowałby ją. Poznałaby go. Pojawiłby się wcześniej, bo by jej szukał. Alice zmagala się ze splątany węzłem reakcji, którego nie potrafiła rozwiązać. Nie potrafiła znaleźć początku.

– Masz chłopaka! Wiedziałam! – oznajmiła zachwycona Libby.

Alice pokiwała głową. To dobrze, skonstatowała w duchu.

Jednak ma kogoś, komu na niej zależy. Nie jest całkowicie samotna. Nie jest kompletnie niekochana, nie wyszła właśnie z więzienia, ośrodka odwykowego ani nic w tym rodzaju. Jest normalna.

– A jak, hm, on się nazywa?

I natychmiast pomyślała, jak nienormalne jest pytanie obcej osoby o imię własnego chłopaka.

– Gethin. Nazwiska nie znam.

– Gethin – powtórzyła powoli, usiłując usłyszeć, jakie echa budzi to słowo

w jej umyśle.

– Ejże, a co to za imię? – zapytała Libby. – Gethin?

– Walijskie – wyjaśnił Luke. – W pewnym momencie próbowałam nauczyć mnie kilku zdań po walijsku, ale zapomniałem. – Szybki, ostry uśmiech. – Niestety, nie mogę zwalić winy na wypadek.

Gethin. Alice próbowała przywołać wspomnienia swojego głosu wypowiadającego to imię. Poruszając wargami, wyobrażała sobie, jak mruczy je chłopakowi do ucha, mówi przez telefon, pisze na karcie. Na próżno. Luke jednak powiedział, że nosił je jej facet. Musiała robić to wszystko.

– Fantastyczna nowina! – Twarz Libby jaśniała z podniecenia. – Wiedziałam, że masz chłopaka. Nie sądziłam, że jest Walijszym, ale...

– Wyobrażałaś sobie, jaki on jest? – przerwała jej Alice. – Jak Jack z *Titanica*?

– Nie wiem! Myślałam, że to jakiś miły chłopiec imieniem Jamie albo Ryan.

– Libby wykonywała nieokreślone ruchy rękami. – Z jakiegoś powodu widziałam cię z policjantem. Tak się kończy moja kariera jasnowidzki, co? Luke, na pewno nie znasz nazwiska? – Sięgnęła po swoją komórkę. – Poszukamy go w Google. Ilu Gethinów może być w okolicy? Niewykluczone, że znajdziemy adres! Alice, dzisiaj wieczorem być może wrócisz do domu!

Luke nie odpowiedział. Bawił się kubkiem, obracając go w dłoniach.

– Co on robi? Gethin? – zapytała Alice.

Mimo że coraz liczniejsze, fakty nie tworzyły w jej głowie mostów. Nie pobudzały pamięci. Czy dlatego, że ona za bardzo się stara? Ze wszystkich rzeczy, które pragnęła sobie przypomnieć, najbardziej zależało jej na twarzy kogoś, kto ją kocha. Kto ją zna.

Luke wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien, czy mi mówiłaś. Założyłem, że jest informatykiem czy coś w tym rodzaju. Ale też nigdy o to nie pytałem. Nie przeprowadzałem z tobą rozmowy o pracę, tylko gawędziliśmy w barze.

Tylko gawędziliśmy, pomyślała Alice. Naprawdę?

Libby nachyliła się nad stołem i przepaszającym gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

– Wybaczcie, ale muszę o to zapytać, bo w głowie mi się od tego kręci. Luke, dowiedziałeś się tego wszystkiego przy jednym drinku?

– Nie. Przecież mieszkałem w pubie. Instalowałem systemy bezpieczeństwa w tamtej okolicy, jeden w prywatnym domu, jeden w biurówcu. Moja ekipa

pracowała z budowlańcami, więc przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, a pub był jakoś tak pośrodku. Kolacje najczęściej jadaliśmy w barze. Alice miała kilka wieczornych zmian. Wiesz, jak to jest. Gada się z gośćmi.

– Więc Stratton musi być gdzieś blisko – powiedziała Alice powoli. – Blisko Embersley.

Gdziekolwiek to jest.

– Tak mi się wydaje. – Luke objął kubek.

Miał długie palce z odciskami na kilku stawach. Pewnie od pracy, pomyślała Alice. Bez zegarka. Bez ślubnej obrączki. Co to o nim mówi? Czy powinno coś o nim powiedzieć?

Był trudniejszy do odczytania niż przyjacielscy i otwarci Libby i Jason. On się w sobie zamykał.

– Najczęściej to właśnie ty pracowałeś na ostatniej zmianie – dodał. – Boję się, że cię zatrzymywaliśmy... Ja i chłopaki. Graliśmy w rzutki. Gadaliśmy o bzdurach. Przepraszam. Niewiele tracisz, jeśli tego nie pamiętasz.

Alice wzięła głęboki wdech i spróbowała poczuć, że rozmowa dotyczy jej, a nie jakiejś nieznajomej. Gethin. Jej chłopak. Pub z kaczkami. Czekał na nią życie, prawdziwe życie, którego jest częścią. Do którego wróci, by zacząć od nowa. A jednak...

A jeśli nadal nie będzie nic pamiętać, gdy ją tam zaprowadzą? Jeśli będzie musiała absolutnie jednostronnie przyjąć przyjaźnię? Związki? Poczła ucisk w żołądku. A jeśli wspomnienia nie wrócą i ostatni rok będzie stracony? Wszystkie wspomnienia, doświadczenia, zakochanie się... Wymazane jak wykasowany telefon.

Będzie dobrze, powiedziała sobie. Kiedy tylko zobaczę Gethina.

– Alice? – odezwała się Libby. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Alice spróbowała się uśmiechnąć. – Tyle nowych wiadomości! Dobrze, że przynajmniej nie mówisz mi, że mam troje dzieci i kota, które gdzieś tam umierają z głodu.

– No, Gethin pewnie szaleje – powiedziała Libby. – Zastanawia się, co też z tobą się dzieje.

– Nie skontaktowałaś się z nim? – zapytał zdziwiony Luke.

Alice pokręciła głową.

– Dopóki mi nie powiedziałeś, nawet nie wiedziałam, że istnieje. Jeszcze kilka dni temu nie znałam własnego nazwiska. Nie miałam żadnego dowodu tożsamości. Zaginęła moja torebka. Portfel, telefon, wszystko. Chyba ktoś to

ukradł. Dlatego szpital nie mógł odesłać mnie do domu.

– Policja myśli, że być może napadnięto ją przed wypadkiem – dodała Libby, dolewając Alice herbaty. – Niczego nie oddano, sprawdzam regularnie.

– Choć to mało prawdopodobne. – W progu stanęła Margaret. – Bo gdyby w mieście doszło do napadu, na pewno ktoś by to zgłosił. A przede wszystkim interweniował! No i usłyszelibyśmy o tym. Wszyscy wiedzą, że Alice jest u nas.

– Złe rzeczy zdarzają się wszędzie, mamó – powiedział Luke.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie w Longhampton. Twój ojciec był w radzie miejskiej przez lata i nigdy...

– Wiem, to zagadka – wtrąciła Libby pospiesznie. – Ale skoro mamy nowe tropy, łapmy za telefon! Biedny Gethin! Założę się, że wiem, co się stało – zwróciła się do Alice. – Niektóre wiadomości pewnie zapodziały się w szpitalu. Sama wiesz, jaki tam młyn. To nie tak, że nie próbował cię odnaleźć. Zaraz się okaże, że notatka zawieruszyła się w cudzej teczce albo...

– Elizabeth! – przerwała jej teściowa. – Wszyscy w szpitalu byli niezwykle pomocni, więc gdyby ktoś zadzwonił... – Urwała, zobaczywszy twarz Libby. – Och, przepraszam, Alice. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak, jakby twój chłopak nie próbował cię szukać. Jestem przekonana, że istnieje bardzo dobre wyjaśnienie. – Zamilkła, sprawiając wrażenie, że zastanawia się gorączkowo. – Może... wyjechał służbowo.

W kuchni zapanowała niezręczna cisza, przerywana jedynie odległym chrapaniem.

Jason, pomyślała Alice. Albo lord Bob.

– Gdzie jest Embersley? – zapytała. – W Walii?

Nie mogłam być tam zbyt długo, skoro nie pamiętam, gdzie to jest.

– Nie. Jakies czterdzieści pięć kilometrów stąd – odparł Luke. – Na drugim końcu hrabstwa.

– Co? W naszym hrabstwie? – Libby odwróciła się do niego. – Pracowałeś niedaleko, a zatrzymałeś się w pubie, nie u nas? Na litość boską, dlaczego nas nie odwiedziłeś?

– Właśnie – zawtórowała jej Margaret. – Czemu nie powiedziałeś?

Libby odegrała pantomimę pod tytułem *Urażona*, ale przenikliwe oczy Alice wyczytały w tym szczerą emocję. Ona rzeczywiście poczuła się dotknięta.

– Och, uznałem, że macie dość na głowie – odparł Luke. – Przyzwyczajanie się do nowej pracy, poznawanie hotelowych tajników. Nie sądziłem, że moja

obecność poprawi atmosferę. Pomyślałem, że mama będzie ucieszona, mając ciebie i Jasona tylko dla siebie.

Alice spoglądała to na jedno, to na drugie, usiłując odczytać wibracje w powietrzu. Margaret chciała ukryć irytację, ale nie bardzo się jej udawało.

– Jak możesz mówić takie okropieństwa. To nieprawda – powiedziała bez większego przekonania.

– Mogłeś zadzwonić – wtrąciła Libby lekko. – Ale dość o nas! O wiele ważniejsze jest... – Spojrzała na Alice. – Więc jak? Co chcesz zrobić? Pojechać do Stratton i przekonać się, czy zdołamy odnaleźć twój dom?

– Teraz? – Margaret była zaskoczona. – Nie powinniście poczekać z tym do rana?

– Dlaczego? Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj! – Oczy Libby błyszczały jak wtedy w szpitalu, kiedy wpadła do sali i uratowała Alice przed Marcją i schroniskiem dla kobiet. – Przecież Alice odzyskuje swoje życie.

– Możemy zacząć od pubu. Nadal jest otwarty – powiedział Luke. – Masz dużo do spakowania? Mogę cię zawieźć, jeśli chcesz.

– Nie mam nic do spakowania. – Do Alice nagle dotarło, że jej pobyt w Łabędziu dobiega końca. Inne życie, jej życie, otwierało się przed nią, chociaż nadal nie potrafiła go sobie przypomnieć i zamiast czuć ekscytację, miała wrażenie, że z opaską na oczach wchodzi do obcego pokoju.

Znała Łabędzia i wszystko, co się z nim wiązało: Libby, Jasona, lorda Boba, rozkład hotelowego dnia. Nie była pewna, czy chce to opuścić już teraz. Wolałaby najpierw przekonać się, do czego wraca.

Ale jakim cudem, jeśli nie pojedę i nie przyjrzę się temu?

– Może zadzwonimy do Białego Konia? – zaproponował Luke, dostrzegając jej rozterkę. – Jeśli pensję przelewali ci na konto w banku, muszą mieć twój adres. Przypuszczalnie też znają dane osoby, z którą należy się kontaktować w razie potrzeby. Dzięki temu będziemy mogli powiadomić Gethina, że jedziesz.

– Pewnie tak. – Alice zebrała się w sobie. – Dobrze. Tak zrobimy.

– Super! – Libby uderzyła się w kolana. – Zostańcie tutaj, ja poszukam numeru.

Alice podniosła wzrok i pochwyciła spojrzenie Luke'a. Patrzył na nią z tą trudną do zinterpretowania miną, ale coś w jego oczach zmieniło się, gdy spotkały się z jej oczami.

Kim jesteś? – zastanawiała się w duchu. Kim ja jestem?

## Rozdział 13

Alice wybrała numer, który Libby znalazła na stronie internetowej pubu. Słuchając sygnału, starała się nie myśleć, co będzie, jeśli jej tam nie znają.

– Tu Biały Koń w Embersley. Czym mogę służyć?

Kobiecy głos – z akcentem z północy, cokolwiek znudzony – był znajomy i sprawił, że żołądek Alice wywinął koziółka. W tle pobrzmiwały odgłosy zatłoczonego lokalu: rozmowy, brzęk szklanek, muzyka. A potem Alice zrozumiała – to nie kobieta była znajoma, a wypowiedziana fraza, którą prawdopodobnie również ona sama powtarzała tysiące razy. W normalnych okolicznościach znajdowałyby się po drugiej stronie linii telefonicznej.

Nagle zakręciło się jej w głowie. Z paniki, że oto inna kobieta idealnie wpasowała się w miejsce, które ona opuściła. I że odebrała jej możliwość powrotu.

– Halo? – powiedziała tamta zniecierpliwiona.

Po drugiej stronie biurka Libby uniosła brwi, łaknąc nowych informacji.

– Dzień dobry. Hm, mówi Alice.

Wstrzymała oddech. Jeśli kobieta jej nie rozpozna, jeśli Luke się pomylił...

– Słucham? Alice? Nie znam żadnej Alice.

– Pracuję w tym pubie. Czy mogę mówić z...?

Jak brzmi nazwisko właściciela? Przez moment krążyło mgliście na skraju świadomości, ale zaraz umknęło.

Alice ogarnęło zwątpienie.

Poczuła szturchnięcie. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Libby stoi obok i gestem wskazuje na laptop. Wcześniej znalazła stronę pubu i otworzyła zakładkę „O nas”. „Tony i Jillian McNamarowie zapraszają do Białego Konia”. Poniżej widniała fotografia opalonej pary w jednakowych białych koszulkach i ciemnogrnatowych dzinsach.

– Czy mogę mówić z Jillian? – zapytała Alice z taką pewnością siebie, na jaką mogła się zdobyć. – Albo z Tonym?



Libby uniosła oba kciuki.

– Jillian wyszła. Zobaczą, czy Tony gdzieś tu jest. Mam powiedzieć, że kto dzwoni?

– Alice.

– A nazwisko?

– Alice Robinson.

Teraz zabrzmiało to bardziej naturalnie.

– Proszę poczekać.

Kobieta odłożyła słuchawkę.

– Świetna robota. – Libby pogładziła Alice po ramieniu.

Po kilku sekundach w słuchawce rozległ się męski głos:

– Alice?

– Tak?

– Witaj z powrotem! Mów, jak było?

Głos był głęboki i przyjacielski. Z akcentem z Essex.

– Co: jak było?

– Jak się udały dwa tygodnie w słońcu, które w charakterze niespodzianki zafundował ci twój chłopak? Nadal rozmawiacie?

Wakacje? Tego Alice się nie spodziewała. Spojrzała na Libby, która próbowała udawać, że nie słucha, ale zdumienie sprawiło, że jej usta ułożyły się w kształt litery O.

– Kiedy wróciliście? – ciągnął Tony wesoło. – Spodziewaliśmy się was dopiero pod koniec miesiąca. Gethin kazał nam trzymać gęby na kłódkę, co Jillian omal nie doprowadziło do obłądzenia.

Alice wpatrywała się w stronę internetową, by mieć pewność, że nie pomyli nazwisk.

– Tony, nie pamiętam wyjazdu na urlop. Miałam wypadek i cierpię na skutki uboczne wstrząśnienia mózgu. Straciłam pamięć.

Nastąpiła chwila ciszy.

– To żart?

– Nie. Możesz zadzwonić do szpitala.

– O Boże, Alice. – Tony był wyraźnie zszokowany. – Kiedy? O niczym nie wiedzieliśmy! Dlaczego nie powiedziałaś od razu, tylko pozwoliłaś mi paplać? Idiota ze mnie! Jak się czujesz?

– Fizycznie w porządku. Jestem jeszcze trochę obolała, ale nie... – Słowa uwięzły w gardle. Wypowiadanie ich do kolejnego nieznanego sprawiło, że

brzmiały nieprawdopodobnie, podczas gdy wolno się poruszająca pustka w głowie Alice była aż nazbyt realna. – Zupełnie nie pamiętam ostatniego roku. Nie wiem, gdzie mieszkałam, co robiłam. Nic.

– Nie pamiętasz, że u nas pracowałaś? Więc skąd wiedziałaś, żeby tu zadzwonić? – zapytał z powątpiewaniem Tony. – Jesteś pewna, że...?

– Jakimś kompletnie pokręconym zbiegiem okoliczności spotkałam kogoś, kto zna mnie z pubu. Możesz... Możesz mi pomóc? – Sytuacja była tak idiotyczna, że Alice, wbrew sobie, roześmiała się nerwowo. – Liczę, że masz mój adres, numer konta w banku i inne tego rodzaju informacje.

Libby wykonywała gesty, jakby prowadziła samochód.

– Mogę przyjechać – ciągnęła Alice. – Żebyś mógł mnie zobaczyć. Rozumiem, że przez telefon nie podasz danych pracownika nieznajomej osobie.

– Nie bądź głupia, skarbie. Jasne, że cię znam. Wszędzie poznałbym twój głos. Boże, nie mogę myśleć, że miałaś wypadek, kochana! A my myśleliśmy, że opalacie się z Gethinem!

Żal w głosie Tony'ego sprawił, że w oczach Alice wezbrały łzy. Muszę być miłą osobą, pomyślała, skoro jest dla mnie taki dobry. Skoro się o mnie martwi.

– Dobrze się tobą opiekowano? – ciągnął Tony. – Potrzebujesz mieszkania? Co ja wygaduję? Gethin o ciebie dba, prawda?

– Nie. – Zabrzmiało to prawie jak szloch. – Nie pamiętam, gdzie on mieszka. Gdzie oboje mieszkamy. Nie przyszedł do szpitala, kiedy tam leżałam, i nie próbował mnie szukać. Policja nie dostała żadnego zgłoszenia.

– Żartujesz? – odparł wstrząśnięty Tony. – Musi być jakieś wytłumaczenie! Gethin nie zostawiłby cię w szpitalu, gdybyś miała wypadek. Postawiłbym na to swój pub. Wykluczone.

– Naprawdę?

Alice zdawała sobie sprawę, że w jej głosie dźwięczy zwątpienie, ale było tak, jakby rozmawiali o kimś nieznanym. Jak wyjaśnić, że ktoś, kogo kochasz, znika bez uprzedzenia na dwa tygodnie, a ty nawet nie dzwonisz na policję? Pokłócili się? Czy Tony by o tym wiedział?

– Więc gdzie jesteś? – zapytał Tony. – Wypisali cię ze szpitala? Chcesz tu przyjechać? Przygotujemy ci pokój...

– Nie, mam dobrą opiekę. Jestem w Longhampton. Miałam wielkie szczęście.

Po drugiej stronie stołu oczy Libby także były pełne łez, chociaż jej usta wyginały się w uśmiechu. Wyglądała, jakby oglądała satysfakcjonujące ją zakończenie komedii romantycznej. Zaprawione smutkiem, ale w szczęśliwy, cudowny sposób. Bo wszystko układa się dobrze.

– Miałam wielkie szczęście – powtórzyła Alice. – Zupełnie obcy ludzie okazali mi dużo serca.

– Och, Alice. – W słuchawce rozległy się szelesty. – Przyjeżdżaj, uporządkujemy ten bałagan. Będę czekał na ciebie w pubie.

Alice była zmęczona i dezorientowana, nieprzygotowana na tę nagłą zmianę, gwałtowną falę faktów i szczegółów. Sprawy toczyły się w przyspieszonym tempie i było ich zbyt wiele, żeby mogła je przyswoić.

– Dobrze się czujesz? – Libby delikatnie odebrała jej słuchawkę. – Chcesz herbaty? Środki przeciwbólowe? Brandy?

Alice pokręciła głową.

– Ludzie są tacy dobrzy – powiedziała. – Nie potrafię uwierzyć jak. I to wobec kompletnie obcej osoby.

– Jesteś miła. Dlaczego nie mielibyśmy być dla ciebie dobrzy?

– Skąd wiesz? – wybuchnęła Alice. – Skąd możesz to wiedzieć, skoro ja nic o sobie nie wiem? Nie wiem nawet, czy rzeczywiście jestem miła!

Libby patrzyła z ufnością; Alice z niepokojem pomyślała, że nie jest warta takiego zaufania. Że może w jakiś sposób je zawieść.

– Wiem, kim jesteś teraz – odparła Libby. – Pierwszą osobą, z którą się tutaj zaprzyjaźniłam. No, ruszaj się! Odwieziemy cię do domu.

Luke był w salonie. Oparty o kominek kartkował jakieś czasopismo. Kiedy weszły, podniósł głowę i zmierzył obie szybkim spojrzeniem. Milczał.

– Luke, możesz zawieźć Alice do Embersley? – zapytała Libby. – Bo wiesz, twój brat przez co najmniej dwa dni nie usiądzie za kierownicą.

– Jasne. – Zwrócił się do Alice. – Jeśli chcesz jechać teraz. Jest dość późno.

Alice wzięła głęboki wdech.

– Chcę. Tony czeka.

– Libby, oczywiście, też może nam towarzyszyć – dodał Luke.

Tylko dlatego Alice zauważyła jego zakłopotaną minę. Znał ją wystarczająco dobrze, by ją odwieźć bez przyzwotki. To było normalne. Ona nie знаła go zupełnie.

– Libby, pojedziesz z nami?

Alice była pewna, że Libby bardzo by chciała obejrzeć na własne oczy

wielki finał. Najlepiej łzawe spotkanie z Gethinem.

Libby spojrzała w stronę drzwi. Margaret i lorda Boba nie było.

– Nie. Chyba zostanę z Jasonem. Nie jestem pewna, czy Margaret jest przygotowana na radzenie sobie z zalanym w trupa synem. – Skrzywiła się. – Chociaż myśl jest kusząca. Lepiej jednak się pożegnajmy.

– Mam nadzieję, że to nie jest pożegnanie – odparła Alice, choć nagle tak to odczuła.

Luke włożył skórzaną kurtkę.

– Dowiemy się kilku rzeczy. A jeśli nie będziesz miała ochoty tam zostać, rano tutaj wrócimy – zaproponował.

– Dlaczego miałyby nie chcieć spać we własnym domu? – zdziwiła się Libby.

– A jeśli nie będę się tam czuła jak w domu? – Alice ogarnęła panika. – Nie poznaję Luke’a, choć on mnie zna. A jeśli nie rozpoznam Gethina? Dlaczego on mnie nie szukał? Może zerwaliśmy? Może dlatego tu przyjechałam.

Libby zrzędała mina.

– Och. O tym nie pomyślałam.

– Jestem pewien, że na wszystko jest dobre wytłumaczenie – wtrącił Luke niecierpliwie. – Ale jeśli mamy jechać, to już. Droga zajmie nam prawie godzinę.

– Chodź tutaj. – Libby mocno przytuliła Alice. – Będę za tobą tęsknić.

– Jeszcze nie wyjechałam – powiedziała Alice z twarzą wtuloną w jej ramię. – Niewykluczone, że wrócę.

Żartowała, ale kiedy to mówiła, w jej głowie pojawiło się prawdziwe wspomnienie, trzepotliwe, niespokojne uczucie z czasów, kiedy po raz pierwszy podwieziono ją do szkoły.

Wiedziała, co ją czeka, a równocześnie nie miała o tym zielonego pojęcia.

Na drodze z Longhampton panował spokój. Luke prowadził szybko i pewnie, więc wkrótce znaleźli się na głównej szosie w kierunku zachodnim. Nie rozmawiali, ale mroczne wnętrza vana wypełniło wrażenie spokoju, zatem Alice usiadła wygodnie. W księżycowej poświacie odczytywała nieznanne nazwy na mijanych drogowskazach.

Usiłowała skupić się na chwili tu i teraz, powstrzymać myśli od szalonej gonitwy. Van był bardzo czysty, wykończenia, fotele i maty nieskazitelnie

czarne. Pociągnęła nosem; pachniało nowym samochodem, a nie starymi numerami „The Sun”, opakowaniami po czipsach, brudnymi koszulkami, robotnikami. Luke, mogła to powiedzieć ze stuprocentową pewnością, był bardzo, bardzo schludny. Czym się zajmował? Systemami bezpieczeństwa? To by pasowało.

Nie chciała się na niego gapić, ale teraz spojrzała. Miał oczy utkwione w drodze, dłonie symetrycznie zaciskał na kierownicy. Cienie na kościach policzkowych zlewały się ze słabym zarostem na szczęcie.

Zastanawiała się, czy i kiedy Luke się odezwie. A może czeka, aż ona pierwsza coś powie? Milczenie nie było kłopotliwe, bo chociaż Luke nie okazywał otwarcie przyjaźni, jak Libby i Jason, to odznaczał się zdecydowaniem, które dodawało Alice otuchy. Dlaczego? Skąd się to wzięło? Czy można ufać intuicji, skoro się nie zna ludzi? A może intuicja to tylko reakcja na to, co ludzie nam powiedzieli?

Wyglądało na to, że Libby lubi szwagra. Alice jej ufała.

– Przepraszam, może chcesz, żebym włączył radio? – zapytał Luke, nie odrywając oczu od drogi.

Ciekawe, pomyślała Alice, czy on też powstrzymuje się od patrzenia na mnie?

– Nie! Naprawdę, tak jest dobrze. Od wielu dni nie było tak cicho. Bo wiesz, remont w hotelu, telefon ciągle dzwoni, ludzie kręcą się bez ustanku...

– Fakt, nie najlepsze miejsce na dochodzenie do zdrowia po wypadku.

Trudno byłoby stwierdzić, skąd pochodzi Luke. O ile Jason z każdą pintą w Dzwonach odzyskiwał miejscowy akcent, Luke pozbył się go całkowicie.

– Nie to miałam na myśli. Nie chciałam okazać niewdzięczności. Budowlańcy głównie zdzierają tapetę i usuwają półki. Najgłośniejsze w tym jest radio. Margaret ciągle z nimi walczy.

– Przykro mi, że nie wiedziałem o wypadku. – Luke przygryzł wargę i wreszcie spojrzał na Alice. Kiedy ich oczy się spotkały, poczuła dreszcz. – Byłem w Hiszpanii. Postanowiłem przyjąć to zlecenie, o którym ci mówiłem. U faceta... – Urwał. – Zlecenie, o którym ci mówiłem, kiedy widziałem cię ostatnio.

– Czyli kiedy?

– Jakiś miesiąc temu? Trzy tygodnie? Naprawdę nic nie pamiętasz?

Pokręciła głową. Nie wierzył jej.

– I wszystko było... w porządku?

Nie miała pojęcia, dlaczego o to pyta.

– Wszystko było w porządku – odparł Luke.

Spojrzenie powróciło na drogę. A do Alice dotarło, że nie ma pojęcia, na czym to „w porządku” polega.

Patrzyła przed siebie, na dwupasmówkę, która prowadziła do jej dawnego życia. Wioski zostawały w tyle, kilometry uciekały. Gethin, pub, jej dom z każdą minutą były coraz bliżej. Pragnęła zadać Luke’owi tyle pytań, zanim się rozstaną przed pubem.

– Dlaczego miałam adres hotelu przy sobie? Mówiłeś, że szukałam lepszej pracy. Czy dlatego tam pojechałam? Powiedziałeś mi, że Jason i Libby przyjmują pracowników?

Luke milczał przez chwilę.

– Może – odparł wreszcie. – Rozmawialiśmy o rodzinnych firmach, o hotelu i o tym, że Jason go przejmuje. Chociaż pewnie nie opisałem Łabędzia w taki sposób, żebyś od razu zapragnęła go odwiedzić.

– Naprawdę?

– Nie. – Zawahał się, po czym powiedział: – Rozmawialiśmy też o rodzinach. Powiedziałaś mi, że oboje twoi rodzice umarli, zanim skończyłaś dwadzieścia lat, i to sprawiło, że poczułaś się jak ktoś bez korzeni. Próbowałem poprawić ci humor, tak mi się wydaje, i odparłem, że żyjący rodzice też niekoniecznie dają poczucie przynależności. Chyba dodałem, że muszę wizytę u mamy zapowiadać z kilkudniowym wyprzedzeniem, chociaż prowadzi hotel, do którego bez problemu przyjmowane są psy.

– Och. – To była jego najdłuższa wypowiedź, odkąd się spotkali. Alice wyczuła, że dla Luke’a mroczne wnętrza vana i koncentracja na prowadzeniu są łatwiejsze od przebywania w jasnych światłach hotelu. – Okazałam współczucie?

Zaśmiał się krótko.

– Jesteś świetną słuchaczką.

– Tak?

– Co znaczy to pytanie? Nie wiesz?

– Nie – odparła Alice. – Zapominasz, że od dwóch tygodni przebywam z ludźmi, którzy mnie nie znają. Sama zadaję sobie mnóstwo pytań. Są rzeczy, których o sobie nie wiesz, dopóki nie powiedzą ci o nich inni.

– Głęboka uwaga.

– Może. Hm. Jest we mnie głębia?

Luke roześmiał się znowu, zaś Alice pomyślała: „Znam to”. Nie chodziło o dźwięk jego śmiechu, a o wygodną pozycję w fotelu. O odprężenie w trakcie rozmowy z kimś, kogo się lubi.

Próbowała połączyć wrażenie ze wspomnieniem, z jednym wieczorem, konkretną rozmową, ale umknęło. W palcach pozostało tylko powietrze.

Czy ja rzeczywiście potrzebuję tego rodzaju dowodów w postaci wspomnień? Alice miała wystarczająco dużo faktów: gdzie to się zdarzyło, o czym rozmawiali, jak się przy tym czuła. Czy nie na tym polegają wspomnienia?

Luke zwolnił i zatrzymał się, czekając na możliwość skrętu w prawo – minęły ich trzy, może cztery samochody – a potem na nią spojrział. Wydawało się, że dokłada starań, by zachować pokerową twarz, ale nie całkiem mu się to udawało. Patrzył uważnie, jakby czekał na reakcję Alice.

– Ty naprawdę nie... – zaczął i zaraz umilkł, zakłopotany.

– Co? – Alice wstrzymała oddech.

– Embersley, osiem kilometrów. – Wskazał drogowskaz.

Ciepło, które czuła, bez ostrzeżenia ustąpiło miejsca drżącemu niepokojowi.

Biały Koń był prawie pusty, nie licząc kilku pijaków. Hałaśliwe kaczkę nie dawały znaku życia. Na widok Alice Tony omal nie przeskoczył przez bar. Ona gratulowała sobie, że pamięta jego głęboką opaleniznę i nos bramkarza, ale zaraz przypomniała sobie, że Libby pokazała jej jego fotografię na stronie internetowej pubu.

– Alice! Dzięki Bogu, nic ci nie jest! Wyobrażałem sobie, że jesteś cała w bandażach – powiedział. I byłby ją wyściskał, gdyby mu nie przypomniała o pękniętych żebrach.

Poznał Luke’a, podał mu dłoń, uczynił kilka żartobliwych uwag o rzutkach. Alice w zachowaniu ich obu nie zauważyła niczego odbiegającego od normy. Luke był dobrym klientem, Tony – modelowym, serdecznym właścicielem pubu, pamiętającym imię i markę ulubionego piwa każdego gościa.

Po raz kolejny opowiedziała o wypadku, bardziej się kontrolując ze względu na Luke’a, po czym poprosiła o dane kontaktowe, które zostawiła Tony’emu. Podał jej numery komórek jej i Gethina oraz adres w Stratton. Wyjaśnił, że to jakieś siedem kilometrów stąd; minęli miasteczko w drodze do Embersley.

– Jedź tam od razu – ponaglił. – Gethin będzie skakał z radości, widząc cię

całą i zdrową. Pewnie szalał z niepokoju.

– Nie pytał o mnie?

Tony pokręcił głową.

– Nie, kochana. Ale z drugiej strony byłem przekonany, że wyjechaliście na urlop.

Twarz mu się pofałdowała z konsternacji. Całkiem jak u lorda Boba, kiedy Libby trzasnęła drzwiami

– Jestem przekonany, że wszystko da się wyjaśnić – powiedział Luke lekko.

– Chodź, Alice, zadzwonimy do Gethina z samochodu. Uprzedzimy, że do niego jedziemy.

Tony wyszedł za nimi. Kiedy Alice się z nim zegnała, wsunął jej w dłoń kilka zwiniętych banknotów.

– Uznaj to za zaliczkę na przyszły miesiąc – mruknął. – Chociaż po tym urazie nie musisz się spieszyć do pracy. Wiesz, kilku moich kumpli bokserów miało wstrząs mózgu. Skutki potrafią być nieprzyjemne. Nie napinaj się, nie denerwuj, kochanie.

– Och! Dziękuję! – Alice zaskoczyła ta szczodrość.

Tony zamknął jej dłonie w swojej wielkiej dłoni. Nosił dwa złote sygnety, po jednym na każdej.

– Teraz dbaj o siebie i zdrowiej. Chcemy, żebyś do nas wróciła. I pozdrów ode mnie swojego chłopaka.

– Pozdrowię. – Alice się uśmiechnęła, choć ogarnęło ją dziwne wrażenie, że odgrywa rolę, zamiast mówić we własnym imieniu.

Luke czekał już w vanie z włączonym silnikiem.

– Tony dał mi dwie setki – powiedziała Alice. – Miło z jego strony, no nie?

– Jesteś jego najlepszą pracownicą. – Luke wsparł się na oparciu jej fotela, żeby wyminąć drzewo, a ona zdała sobie sprawę z jego energii: czystej, cieplej, muskularnej. Spojrzał na nią, nie cofając ręki. – Dopisz to do swojej listy. Umiesz postępować z ludźmi.

– Myślę, że o tym wiem – odparła, gdy wyjeżdżali z parkingu. – Libby posadziła mnie w recepcji, bo sama załatwiała sprawy z budowlańcami. Nie stresuję się tak jak ona.

– Przypuszczalnie dlatego, że to nie twój problem. Założę się, że mimo tego wstrząśnienia mózgu rozpracowałeś komputerowy system rezerwacji szybciej niż mama. Zaproponowała ci pracę?

– Libby już to zrobiła. Nie wiem, czy mówiła poważnie. Teraz gości jest



niewielu, ale twoja bratowa ma ambitne plany. Wspominała ci o modernizacji?

– Nie. Jak mówiłem, właściwie nie utrzymuję z nimi kontaktu. Nawet nie zapytali mnie o zdanie w sprawie przeprowadzki i przejęcia hotelu. Chcesz zadzwonić do Gethina? – Rzucił Alice swój telefon.

Zawahała się.

– Hm.

Chciała i nie chciała jednocześnie. Było późno, a ona czuła się zmęczona i nie wyglądała zbyt świeżo. Ale gdyby nie zechciała zobaczyć się z chłopakiem, zwłaszcza że przyjechali z aż tak daleka, wyglądałoby to dziwacznie.

Otworzyła usta, żeby zapytać Luke'a, czy Gethin jest typem faceta, który lubi pełny makijaż i ładne buty, zaraz je jednak zamknęła. Intuicyjnie wyczuwała, że mogłaby go zapytać o wszystko, ale rzecz w tym, że jego język ciała się zmieniał. Luke raz dopasowywał się do odprężonej ufności Alice, raz gwałtownie zamykał się w sobie.

– Dziękuję. Zadzwonię – odparła.

Wybrała numer, który dostała od Tony'ego. Palce jej drżały; ciągle musiała usuwać cyfry i zaczynać od nowa.

– Przepraszam, droga jest wyboista – powiedział Luke, nie patrząc.

W końcu się udało. Alice nacisnęła klawisz połączenia i wstrzymała oddech.

Więc tak. Zaraz będę rozmawiać ze swoim chłopakiem.

Po pierwszym sygnale odezwała się poczta głosowa. Głos był automatyczny, nie należał do Gethina. Alice uświadomiła sobie, że czuje ulgę.

– Nie odbiera?

Pokręciła głową.

– Nie szkodzi. Jesteśmy prawie na miejscu.

Luke zaparkował przed domem, który, nie licząc słabej poświaty na piętrze, był pograżony w ciemności.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – Alice się pochyliła.

– Tak. W każdym razie tak zapisał Tony. Hazels Avenue 25.

Luke wyłączył silnik i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Alice przyglądała się domowi, zabarwionemu na żółto światłem ulicznej latarni. Był to mały bliźniak z lat trzydziestych dwudziestego wieku,

ogrodzony, z metalową furtką z promieniami słonecznymi na górze i wykładaną kamieniami różnych kształtów i rozmiarów ścieżką, która prowadziła do schludnych drzwi. Nad mosiężną skrzynką na listy wisiały pod kątem cyfry „2” i „5”.

Zadzwonię, Gethin otworzy drzwi i będę w domu, pomyślała.

Uświadomiła sobie, że zaciska kurczowo dłonie na pasie bezpieczeństwa. Jej serce biło coraz szybciej, choć starała się regularnie oddychać. Tak bardzo liczyła na tę chwilę, o której nadejściu z przekonaniem mówił Reynolds; ostry stukot, gdy wszystkie elementy wpadną na swoje miejsce, albo nagłe podniesienie się czarnej kurtyny zakrywającej wspomnienia. A teraz, gdy dzielił ją od niej zaledwie krok, nie była pewna, czy jest gotowa.

– Widok nie jest znajomy? – zapytał Luke.

– Nie. Nic nie jest znajome.

Była przekonana, że nigdy w życiu nie widziała tego domu.

– Może zadzwonisz do drzwi? Niewykluczone, że Gethin poszedł spać. – Luke wskazał głową kierunek. – Jest po jedenastej. Trochę późno.

– Wynika z tego, że nie jesteśmy nocnymi markami. Kolejna pozycja do listy – odparła Alice ze słabym uśmiechem.

Grała na czas.

– No, dalej. Pójdę z tobą. – Luke otworzył drzwiczki.

Kiedy Alice wysiadła, znów miała nogi jak z waty. Zmusiła się do uważnego spojrzenia na parkujące auta. Zwykle rodzinne samochody, ani zbyt eleganckie, ani za stare. Ulica, na której mieszkała, była bardzo przeciętna i sympatyczna.

Luke otworzył przed nią furtkę i Alice podeszła do drzwi z wielką szybkością z mrożonego szkła. Nie dostrzegała przez nią światła, podobnie jak przez zaciągnięte zasłony w wykuszowym oknie.

Mimo to nacisnęła dzwonek, który zabrzmiał w holu perliście. Luke stał kilka kroków za nią; Alice zastanawiała się, czy wszedłby z nią do środka, gdyby światła się paliły.

Zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Co powie Gethin, kiedy otworzy drzwi? Co ona powinna powiedzieć?

„Niespodzianka!”.

„Witaj!”.

„Przepraszam”.

Zreflektowała się. „Przepraszam”? Za co?

Za zniknięcie na ponad dwa tygodnie.

Dwa tygodnie, podczas których on jej nie szukał. Nie zwrócił się do policji. Nie umieścił notki w prasie ani w sieci.

– Zadzwoń jeszcze raz – powiedział Luke. – Może się kąpie.

Czekali przez minutę, a potem przez następną. Aż stało się jasne, że w domu przy Hazels Avenue 25 nie ma nikogo.

Alice zajrzała przez szybę, usiłując dostrzec cokolwiek, co pobudzi jej wyobraźnię, ale szkło było zwnocniczo mgliste. Nic nie widziała. Nie potrafiła nawet stwierdzić, czy na macie leży poczta.

– Może wyszedł cię szukać – dodał Luke. – Chcesz zostawić list?

– Dobrze.

Zawrócili do vana, gdzie Luke wręczył jej elegancki brulion formatu A4, oprawny w skórę.

– Mój notatnik – wyjaśnił, podając jej długopis. – Rysuję w nim schematy w trakcie rozmów z klientami. Kiedy się sprzedaje systemy bezpieczeństwa, trzeba robić dobre wrażenie. Ludzie nie lubią oglądać swoich kosztownych alarmów nagryzmołonych na odwrocie koperty.

– Rozumiem.

Alice go nie słuchała; wpatrywała się w kartkę, mając wrażenie, że głowę ma pełną syropu. Od czego zacząć list do szalejącego ze zdenerwowania chłopaka, którego zatroskanej twarzy nie potrafisz sobie przypomnieć?

„Miałam wypadek. Zgubiłam telefon i na kilka tygodni straciłam pamięć. To był prawdziwy koszmar. Mieszkam w hotelu Łabędź w Longhampton. Proszę, zadzwoń, kiedy to przeczytasz”, napisała w końcu.

Dodała numer telefonu do hotelu, a po konsultacji z Lukiem, także kod pocztowy i adres skrzynki mejlowej. Zawahała się.

„Z wyrazami miłości. Alice”.

Pocałunek?

Zmarszczyła czoło. To było idiotyczne.

Podniosła wzrok i spojrzała Luke’owi w oczy. Udawał, że patrzy przez okno, ale zaraz z tego zrezygnował.

– Wystarczy – powiedział. – Nie próbuj teraz tego wyjaśniać, jesteś zmęczona. Wrzuc list do skrzynki i wracajmy do domu.

Otuchy dodał jej fakt, że wszystkie jej zmartwienia sprowadziły się do ostatniej czynności. Uśmiechnęła się i podeszła do drzwi.

Kiedy kłapka zamknęła się jej na palcach, poczuła, że sprawy przechodzą na kolejny poziom.

Zacęła coś nowego. Zapoczątkowała przebudzenie się przeszłości.

## Rozdział 14

Kiedy nazajutrz rano Libby zeszła do hotelowej kuchni z głową huczącą od pytań, które chciała zadać Alice, zastała tam krzątającą się Margaret. Teściowa przecierała blaty, wytarte przez Libby wczorajszego wieczoru, gdy czekała na telefon od Alice i Luke'a.

Na patelni skwierczał bekon, w powietrzu unosił się zapach świeżo zaparzonej kawy i grzanek.

Jak miło, pomyślała zaskoczona. Jak przyjemnie widzieć pełną energii Margaret. Libby postanowiła, że jej wybaczy, nawet gdyby znów miała zostać pouczona, jak należy przyrządzać wędzonkę.

– Dzień dobry! – Margaret odwróciła się i obdarzyła synową szerokim uśmiechem. Na rękach miała żółte rękawice, na szyi jeden ze starych jedwabnych szali, jej znak rozpoznawczy. Lord Bob spał pod stołem po śniadaniu złożonym z jajecznicy, sądząc po wyglądzie jego pyska. – Jak się dzisiaj mamy?

Libby uznała, że na razie zignoruje nielegalną obecność psa w hotelowej kuchni, skoro wykonano już za nią co najmniej połowę śniadaniowych obowiązków. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że Margaret już kończy.

– Bardzo dobrze. Dziękuję. Myślałam, że dzisiaj ja robię śniadanie. O której wstałaś?

– Och, nie mogę spać, kiedy moje kurczaczki chorują! – Margaret machnęła ręką, po czym, kiedy z tosteru wyskoczyły cztery kawałki białego chleba, wykrzyknęła: – Grzanki!

– To dla czwórki? – Libby spojrzała na tacę na blacie, na której już stała czysta szklanka i leżały sztuczki. – Nie widziałam prośby o śniadanie do pokoju. Zdawało mi się, że gość będzie jadł na dole. Zostawił wiadomość?

– Co? Och, przepraszam, Elizabeth. To dla Jasona, nie dla czwórki.

– Dla Jasona?

Margaret położyła cztery grzanki na talerzu, po czym odwróciła się do

patelni, na której bekon pod przyciskaczem Donalda osiągał optymalną chrupkość.

– Jakies dziesięć minut temu zajrzałam do niego. Powiedział, że chyba zdoła coś zjeść.

– Jesteś pewna? – Libby z powątpiewaniem zmierzyła bekon wzrokiem. Sama zajrzała do męża jakieś pięć minut temu, ale leżał wypluty jak dętka. Po solidnej popijawie zwykle był w stanie przełknąć co najwyżej poczwórne espresso. – Normalnie tylko pije kawę i napój witaminowy...

– Może w Londynie. – Margaret zdjęła bekon z patelni i zaczęła robić kanapki. – Myślę, że dzięki temu o wiele szybciej stanie na nogi. Poprosił o specjalność mamy!

Libby patrzyła, jak teściowa odkrawa skórki z grzanek, czego nie robiła nawet dla gości. To bez znaczenia, mówiła sobie. To naprawdę nie jest ważne.

Ale było.

Nie tyle chodziło o to, że Margaret z zapalem traktuje Jasona jak nastolatka, ile o to, że on woli męczyć się z tłustymi kanapkami, zamiast powiedzieć matce, że nie chce, aby mu podawała śniadanie do łóżka.

Oraz o to, że Margaret wstała wcześniej, żeby zrobić śniadanie biednemu Jasonowi, ofierze doprawionych drinków. A Libby pozostawiła zajmowanie się „gościem oceniającym hotel”.

Nie wspominając już o tym, że teściowa kompletnie zignorowała Luke’a, który nie tylko uratował Jasona wczoraj wieczorem, ale też pojechał do Embersley i do Stratton, a później przywiózł Alice z powrotem do hotelu. Nie skomentowała poczynań starszego syna nawet krótkim: „Dobry z niego chłopak, prawda?”.

Libby wzdrygnęła się na zrzędlivy głosik we własnej głowie i kazała mu się zamknąć. Nie miało sensu, żeby Margaret ją również zmieniła w naburmuszoną nastolatkę.

– Czy jedna z tych kanapek może być dla Luke’a? – zapytała. – Wczoraj wieczorem zachował się jak prawdziwy bohater. Myślę, że też zasługuje na śniadanie w łóżku.

– Luke? – Margaret uniosła brwi. – Och, pewnie, ale... Uważam, że Jason potrzebuje dwóch kanapek, które właśnie zaczynają stygnąć. Patelnia wciąż jest gorąca, jeśli chcesz podpiec bekon. I nie zapomnij o czwórce, moja droga! Goście powinni dostać śniadanie pierwsi, rodzina później.

Libby zgrzytnęła zębami, stwierdzając, że to pewnie kolejna strategia

radzenia sobie ze śmiercią Donalda, i włożyła biały fartuch, który kupiła do wykonywania obowiązków śniadaniowych.

Kiedy przyjęła zamówienie od pana „Czwórki” Harringtona i usunęła niezadowolonego Boba spod stołu, do kuchni wszedł Luke. Włosy miał wilgotne. Założył wczorajsze ubranie.

– Dzień dobry – powiedział, pocierając nieogoloną twarz. – To dla Jego Lordowskiej Mości?

– Boba czy Jasona? Dla żadnego z nich. Dla naszego jedyne gościa. – Libby machnęła szpatułką w kierunku pokoju gościnnego. – Jego Lordowska Mość rozkoszuje się kanapkami z bekonem swojej matki.

– Ha! Chciałbym zobaczyć, jak zmusza się do przełykania, wzięwszy pod uwagę stan, w jakim znajdował się wczoraj wieczorem.

– I dobrze mu tak. Ty jesteś następny na mojej śniadaniowej liście. Na co masz ochotę?

Luke pokręcił głową.

– Nie trzeba, śniadanie zwykle omijam. Nie zdawałem sobie sprawy, że macie gości. – Oparł się o framugę, by nie zawadzać Libby. – Nie przeszkadza im, że nocują na budowie?

– Na szczęście dla naszej płynności gotówkowej na obrzeżach miasta jest centrum biznesowe, więc niektórzy muszą pozostać w Longhampton na noc. Niezależnie od tego, czy recepcja jest przykryta folią, czy nie. Herbaty?

– Tak, poproszę. – Uśmiechnął się, kiedy podała mu kubek, i momentalnie wydał się mniej posępny.

Libby uznała, że Luke cierpi na syndrom surowej twarzy.

– Więc Gethina nie było w domu? – zapytała, niezdolna powstrzymać ciekawości. – Jaka szkoda. Wieczorem znów tam pojedziecie?

– Nie. Ja muszę się zbierać, tylko wypiję herbatę. Mam w Birmingham spotkanie w sprawie kontraktu.

– Praca? W sobotę?

– Zagraniczny klient. Tacy mają skłonność do niezwracania uwagi na dni tygodnia – odparł wykrętnie. Ciekawe, czy chodzi o zawodową dyskrecję, czy raczej szuka pretekstu do odjazdu?, pomyślała Libby. – Alice zostawiła list, więc przypuszczalnie Gethin dzisiaj zadzwoni. Możesz ją tam odwiedzić, prawda? Na razie nie wpuszczałbym Jasona za kierownicę. Tutejsza policja uwielbia łapać porannych kierowców.

– Jasne. I zapraszam na kolację dzisiaj wieczorem, jak skończysz pracę.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale... – Luke zrobił minę, która oznaczała „mama”. – Pewnie lepiej nie.

– Dobra – odparła Libby, żałując, że nie wie, jak naprawić sytuację. – Gdybyś jednak zmienił zdanie...

Zabawne, pomyślała, kiedy zbyt szybko opróżnił kubek, że Luke nie czeka, żeby pożegnać się z Alice. Ale z drugiej strony, jeśli to czekanie miałooby oznaczać kolejne prychnięcia matki na jego rozwód, podczas gdy Jason dostaje śniadanie do łóżka, nie mogła mieć do Luke’a pretensji.

Hotel, który poznała Alice, gdy po raz pierwszy przekroczyła jego próg, znikł pod morzem folii, ale Libby koncentrowała się teraz na wykończeniu pokoiów. Alice wydawało się, że skoro połowa ścian nie została jeszcze zagipsowana, dobieranie kolorów w pomieszczeniach na parterze jest trochę przedwcześnie, ale potrafiła zrozumieć, dlaczego dzięki temu Libby zachowuje zdrowe zmysły.

– Lubię „powrót myszy” – powiedziała Libby, robiąc krok do tyłu, żeby ocenić odcienie w świetle poranka. – Choć może „londyński kamień” będzie bardziej neutralny. Co ty o tym myślisz?

– Szczerze mówiąc, nie widzę różnicy. Oba są ładne. – Alice rozmyślała o domu Gethina w Stratton. Ich domu. Czy go urządzała? Czy Gethin jest typem „zrób to sam”?

Jej myśli powędrowały ku jedynej osobie, która być może zna odpowiedzi.

– Luke tu jest?

– Nie, wyjechał około dziewiątej. – Libby się odwróciła; Alice widziała, że próbuje nie wyglądać na wścibską. Bez powodzenia. – Ma spotkanie w Birmingham. Chciałaś z nim porozmawiać? Mam jego numer.

– Nie. Gethin powinien niedługo zadzwonić. – Alice przygryzła wargę. – Chociaż może dobrze byłoby mieć ten numer. Tak na wszelki wypadek.

– Na wypadek czego?

Alice spojrzała w niewinne oczy Libby.

– Nie wiem. Na wszelki wypadek.

– Pewnie nie zobaczymy go przez kilka miesięcy. – Libby westchnęła i zamknęła puszkę z próbką farby. – Szkoda. Chciałabym lepiej go poznać.

– Jest sympatyczny?

– Nie. Raczej sympatycznie sympatyczny. Interesujący. Sporo podróżował.



Przypuszczalnie nie jest zbyt udomowiony. Czasami się zastanawiam, czy ta jego firma nie jest cokolwiek podejrzana. Luke pracuje dla osób bardzo dbających o prywatność, nigdy wiele nie mówi. – Zamyśliła się. – Wydaje mi się, że Jason i Margaret wciąż postrzegają go jako rozrabiającego nastolatka, ale ja nigdy nie miałam do czynienia z tą stroną jego osobowości. Wiesz, niewiele mówi, ale to nie znaczy, że przyjeżdża do miasta na motocyklu i wszczyna burdy. Ma trzydzieści sześć lat, na litość boską. I zapewne jest płatnikiem podatku VAT.

– Ma skórzaną kurtkę.

– Ja też. Ale z tego jeszcze nie wynika, że noszę składany nóż. – Libby spojrzała z rozbawieniem. – Założę się, że wiesz o nim więcej niż my. To znaczy: wiedziałaś przed wypadkiem. Z tego, co mówił wczoraj wieczorem, odniosłam wrażenie, że sporo rozmawialiście. A ty?

– Reaguje trochę, hm, dziwnie, kiedy okazuje się, że nie pamiętałam o różnych rzeczach – odparła Alice, starannie dobierając słowa.

Czy zachowywałyby się podobnie, gdybyśmy gawędzili wyłącznie o rzutkach i kaczkach?

– No cóż, winna mu jestem drinka za to, że przywiózł Jasona z klubu. – Libby jęknęła i przeczesła włosy dłonią. Alice zauważyła kilka srebrnych nitok połyskujących w blond pasemkach. – Kocham Jasona, ale nie kiedy pije. Mam tylko nadzieję, że znów nie zostawił karty barmanowi. Och! – Rozejrzała się po gołym pokoju i opadły jej ramiona. – Tyle tu do zrobienia...

– Powiesz, gdybym mogła w jakiś sposób ci pomóc? – Alice uświadomiła sobie, że będzie jej przykro opuszczać Łabędzia przed finałem zaplanowanej przez gospodynię transformacji.

Libby się uśmiechnęła.

– Ty tylko siedź przy aparacie i czekaj na telefon od Gethina. Możesz mi też pomóc przy tych próbkach.

Miała ich całe pudło. Alice nie zdawała sobie sprawy, że istnieje aż tyle odcieni szarości.

Ale Gethin nie zadzwonił w sobotę popołudniu. Ani w sobotni wieczór. Ani z samego rana w niedzielę.

Kiedy w niedzielę po południu Alice siedziała w biurze, zapisując w bazie dane gości, usłyszała w recepcji znajomy głos. Dwa znajome głosy.

– Popatrz, kto do nas wrócił! – Libby wprowadziła Luke'a.

Trzymał jaskrawą opalizującą torebkę z butelką tak, jakby mogła

ekspłodować. Libby znacząco zerknęła na jego skórzaną kurtkę. Wyglądała na zachwyconą żartem, zrozumiałym tylko dla niej i Alice.

– Cześć – powitała go Alice uprzejmie, choć w żołądku poczuła drżenie. – Wygrałeś na loterii?

– Nie. To podziękowanie. – Luke spojrział na bratową z ukosa. – Libby do mnie zadzwoniła. Byłem w okolicy, a ona nie chciała słyszeć o odmowie. Nie powinnaś była. To naprawdę nie było konieczne.

– Za piątkowy wieczór należy ci się cała skrzynka. – Ścisnęła go za ramię. – Będziemy ci winni kolejne butelki, dopóki nie zaczniemy działać jak trzeba.

– Nie ma sprawy – wymamrotał Luke. Wyglądał na zakłopotanego, zwłaszcza w kontraście do swobodnej serdeczności Libby. – Powiedz Jasonowi, żeby nie weszło mu to w nałóg.

– Uwierz mi, nie wejdzie. On dopiero odzyskuje zdolność mowy. Zostawiłam go na piętrze z... – Położyła dłoń na ustach, jakby właśnie sobie przypomniwała, dlaczego jej mąż może potrzebować nadzoru. – Jasny gwint! Zaczekajcie. Muszę do niego wpaść.

Pobiegła na górę, zostawiając Alice i Luke'a samych.

Milczenie się przedłużało, napięcie rosło. Alice przerwała je pospiesznie.

– Dziękuję za odwiezienie do domu. – Ona też powinna dać mu prezent? – Choć to raczej szukanie wiatru w polu...

Luke pokręcił głową.

– Proszę, nie wspominaj o tym. Gethin zadzwonił?

– Nie. Ale z drugiej strony telefon, z którego nie spuszcza się oka, nigdy nie dzwoni, prawda? – Alice spojrzała na lorda Boba, który spał w zbyt małym dla siebie fotelu. Tylną łapę miał właściwie wepchniętą w ucho. Tyłek spadał z krawędzi masą aksamitnych wałków. Nie był na porannym spacerze, bo Margaret czule pielęgnowała Jasona, a Libby nie wiedziała, w co włożyć ręce, ale nic nie wskazywało na to, że pies ma o to pretensje.

– Może powinnaś go wyprowadzić? – zaproponował Luke, czytając jej w myślach. – Zostaw ten telefon.

– Tak, potrzebny mu spacer. To może być mój dobry uczynek na dzisiaj.

Alice zaczęła szukać swoich butów. Nie moich, napomniała się w duchu, a butów Libby. Jej obuwie znajdowało się za zamkniętymi drzwiami obcego domu. Jakiego jest rodzaju? Wysokie obcasy? Conversy? Martensy?

Nagle przed oczami stanęły jej szpilki w kolorze metalicznej ciemnej zieleni. Ze złotymi podeszwami. Powróciły uczucia towarzyszące ich zakupowi:

ekscytujący piątkowy wieczór, podniecenie, że spełnia się kaprys. To były oszałamiające, przyciągające uwagę szpilki na imprezę. Pamiętała, jak okręcała się w sklepie i myślała: „Tak”. Jak sprzedawczyni powiedziała: „Są absolutnie w pani stylu”.

Luke patrzył badawczo, więc zamruła. Wspomnienia zaczynały wypełniać puste miejsca. Fragmenty przeżyć, nieco zbyt jaskrawe, ale dodające otuchy.

– Dobry uczynek? – zapytał Luke.

– Och. Wiesz, każdego dnia staram się wyświadczać komuś drobną przysługę. W szpitalu była tablica z takimi drobnymi sprawami, dzięki którym świat staje się lepszy. Spacer z Bobem jest łatwy. Chodź, Bob.

Na dźwięk swojego imienia i słowa „spacer” Bob z wdziękiem zsunął się z fotela i ruszył niespiesznie, machając ogonem. On nie robi tego jak normalny pies, pomyślała Alice, gładząc go po głowie. U niego przypomina to raczej królewski gest.

Luke spojrzał na nią z troską.

– Jesteś pewna, że dasz sobie z nim radę? Twoje zebra...

– Coraz lepiej z nimi. I mam dobre leki przeciwbólowe. Bob nie sprawia mi kłopotu. Nie wiem, czemu wszyscy tak się nade mną trzęsą. A poza tym... – Podniosła wzrok. – Ty wyciągniesz go z kosza, jeśli będzie trzeba. Idziesz ze mną, prawda? Na spacer?

Luke spojrzał, nie ukrywając pytania, które malowało się w jego oczach.

Alice wiedziała, że właśnie dlatego przyjechał. Libby swoim prezentem szczęśliwie dostarczyła mu pretekstu, ale w rzeczywistości zjawił się, żeby się dowiedzieć, czy dzwonił Gethin. Żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

Dlaczego? Czy był jakiś powód do niepokoju?

A może Luke chciał się z nią zobaczyć? Poczwała dreszcz, którego powodów nie potrafiła nazwać, choć na pewno nie wywołały go wspomnienia. To było nowe doznanie. Niepewność.

Luke uśmiechnął się do niej półgębkiem i nieco niechętnie.

– Jasne. Co innego można robić w Longhampton w niedzielne popołudnie, jeśli nie iść na spacer?

Nie mówili zbyt wiele, podążając za kołyszącym się zadem Boba ścieżką za Łabędziem i unikając pienistych głów trybuli leśnej wyciągających się

z wysokiego żywopłotu. Świeciło słońce, w powietrzu wyczuwało się ciepło. Łagodne wzniesienia kołysały odcieniami zieleni i złotem, tu i tam pasły się owce.

Dobrze było być na dworze. Wystarczyło, że przestałam nasłuchiwać dzwonek telefonu, a ciężar na ramionach zelżał, uświadomiła sobie Alice. Rytm kroków stanowił dobry substytut rozmowy. Chociaż w obecności Luke'a Alice czuła się dobrze, nie potrafiła poradzić sobie z możliwie naturalnym wprowadzeniem do dyskusji o tej pokręconej sytuacji. Równocześnie jednak milczenie najwyraźniej nie przeszkadzało żadnemu z nich.

W końcu, kiedy przenieśli lorda Boba nad przełazem (pies łagodnie wpatrywał się w przestrzeń, jakby go to nie dotyczyło), Luke zapytał:

– Więc jak to jest stracić pamięć?

Alice zastanawiała się przez chwilę. Pragnęła udzielić właściwej odpowiedzi.

– Nie jestem pewna, czy to jedno określone uczucie. Raczej świadomość życia w danym momencie przez cały czas. Nie możesz odnosić się do przeszłości, pozostaje ci tylko radzenie sobie z teraźniejszością. Z tym, co rzeczywiście wiesz. To znaczy, zdajesz sobie sprawę, że musi być coś za tobą, ale to nie pomaga. Musisz o wiele bardziej ufać innym, bo nie masz żadnych punktów odniesienia. – Spojrzała nieśmiało. – Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jest to przerażające. Wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Libby, Jason, twoja mama to porządni ludzie. Mam szczęście. – Luke milczał. Alice zadała sobie pytanie, czy nie popełniła gafy. – Teraz, kiedy pamięć mi wraca, nie jest tak źle – ciągnęła. – Ale przez pierwsze dni nie wiedziałam nawet, jak się nazywam, i to było straszne. Czułam... Czułam się tak, jakby wszyscy, których spotykam, wiedzieli o mnie więcej niż ja sama. Nie mogłam za dużo o tym myśleć, bo wpadałam w panikę. Jestem pewna, że dawali mi leki, żebym o tym nie myślała.

Zadrżała na to wspomnienie. Dwa tygodnie temu. Miała wrażenie, że wydarzyło się to o wiele dawniej.

– Ha! – powiedziała na głos.

Luke zerknął w jej kierunku.

– Co?

– To było wspomnienie. – Uśmiechnęła się Alice. – Zupełnie nowe.

Odwzajemnił uśmiech. Alice potrafiła już uwierzyć, że prowadzili długie rozmowy. Coś w Luke'u sprawiało, że słowa płynęły bez wysiłku.

– Więc? – Wyrwał łodygę jaskra z żywopłotu. – A mówiąc o dawnych wspomnieniach...?

– Ile pamiętasz z czasów, kiedy miałeś siedem lat? Pewne rzeczy wracają, ale to nie tak, że mogę się skonsultować z mamą albo tatą, prawda? Podejrzewam, że nie będę wiedziała, dopóki czegoś sobie nie przypomnę. Ale to takie dziwne, ciągle pojawiają się przebłyski. Jakby resetując się, moja pamięć przez pomyłkę wysyłała stare mejle.

– Na przykład co? Kaczki w pubie? W głowie mi się nie mieści, że ich nie pamiętasz. Doprowadzały mnie do szaleństwa, choć byłem tam tylko przez kilka tygodni.

Powiedział to swobodnym tonem, a mimo to Alice zastanowiła się, czy w jego słowach nie kryje się podtekst. Może Luke sprawdza, czy ona pamięta ich rozmowy?

– Nie. Nic z ostatniego okresu. – Próbowала określić czas. Weźmy te zielone szpilki. Kiedy miała pieniądze na takie buty? Pięć lat temu? Dawniej? – Lekarz mówi, że mogę nigdy nie przypomnieć sobie okoliczności wypadku. Według niego to w równym stopniu reakcja na traumę psychiczną i uraz fizyczny. Medycyna nie zawsze potrafi rozróżnić te dwie sprawy.

– Naprawdę?

– Tak. To było straszne, to znaczy szok. W wypadku brały udział dwa samochody. Libby mówi, że wszyscy się dziwili, że nie doznałam poważniejszych obrażeń.

– Dwa samochody? – powtórzył z niepokojem Luke i przystanął. Dotknął ramienia Alice. – Ty naprawdę mogłaś zginąć.

Ona również się zatrzymała. Poczuła mrowienie na skórze pod jego palcami. Po sekundzie Luke cofnął rękę. Czy on też poczuł ten dreszcz?

Patrzyli na siebie w ciszy tak wielkiej, że Alice słyszała owce na pastwisku za sąsiednim żywopłotem.

– Wyglądasz, jakbyś chciał mi coś powiedzieć – wybuchnęła.

Luke już otwierał usta, ale zrezygnował i pokręcił głową.

– Ja tylko... Mam tylko nadzieję, że pamięć ci wróci. – Wpatrywał się jej w oczy, odczytując reakcję. – To musi być... Cóż, nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest.

– Jakbyś stracił samego siebie – odparła krótko Alice.

W oczach Luke'a coś błysnęło, lecz milczał.

Nastrój popsuł lord Bob, który szarpiąc rozciąganą smycz, kierował się

ku dziurze w żywopłocie.

– Biedny drań – skomentował Luke, kiedy pies wepchnął się w wyrwę. Połowa solidnego tułowia pozostała na ścieżce. Bob, pogrążony w rozkosznej kontemplacji, uniósł ogon. – Pewnie okropnie się nudzi w hotelu. Pozwól mu powęszyć. Przecież się nie spieszymy?

– Masz rację.

Ruch dobrze zrobił Alice. Świeże powietrze i słońce sprawiły, że poczuła się lepiej. Powinnam zapytać go o Gethina, pomyślała. Jest jedyną osobą, która go zna.

Zignorowała wrażenie, że poddaje swojego chłopaka próbie.

– Według ciebie jak długo byłam z Gethinem?

Na twarzy Luke'a nie malowała się żadna emocja.

– Hm, nie wiem dokładnie. Rok? Trochę dłużej?

– Bo ja kompletnie go nie pamiętam. Wygląda na to, że straciłam jakieś półtora roku.

– W pubie nie pracowałaś tak długo. Pamiętam, jak Tony mi mówił, że szybko załapałaś co i jak.

– To chyba niezbyt mi pochlebia? Że nie potrafię sobie nawet przypomnieć, jak wygląda Gethin?

Luke coś mruknął, ale nie odwrócił się w kierunku Alice. Obserwował Boba, nieruchomego i skupionego, z całą uwagą zgromadzoną w wielkim nosie basseta, który wyłapywał i przetwarzał skomplikowany bukiet zapachów. Zupełnie jak doświadczony kiper.

– Nie wiesz, dlaczego przyjechałam do hotelu?

Łatwiej było zadać to bezpośrednie pytanie, kiedy Luke na nią nie patrzył.

– Nie planowaliśmy się tam spotkać, jeśli tak przypuszczasz.

– Wcale nie! – Alice się zarumieniła. – To nawet, hm, nie przyszło mi do głowy.

– To dobrze. – I znowu ten uśmiech. Przelotny i opanowany. – Chodź, Bob. Dość tego.

Bob wycofał się bez sprzeciwu i ruszył w dół zbocza. Dochodzili do lasu. Alice już wcześniej przemierzyła tę trasę z Libby; zaraz za lasem był miejski park ze stoiskiem serwującym kawę i pączki. Dobre pączki. I darmowe, jeśli było się Bobem.

– Nie znasz żadnego powodu, dla którego Gethin mnie nie szukał?

Nie chciała pytać o to w obecności Libby, której żarliwe pragnienie

szczęśliwego zakończenia wprawiało Alice w zakłopotanie, niepozwalające jej ujawniać mroczniejszych, pojawiających się w środku nocy niepokojów.

– Nie znam.

– Rzecz w tym, że to... Dwa tygodnie? – Już nie potrafiła się powstrzymać. – A w dodatku wcale nie jestem tak daleko. Zakładałam, że przyjechałam z Londynu albo coś w tym rodzaju. Ile szpitali jest w okolicy?

– Przykro mi, Alice. Nie wiem, dlaczego cię nie szukał. Może się pokłóciliście?

– Często się kłóciliśmy?

– A czy nie robią tak wszystkie pary?

– Nie wiem.

Westchnął.

– Nie rozmawialiśmy o Gethinie aż tak szczegółowo. Zawsze był milion innych tematów.

– Przepraszam.

Alice przypomniała sobie, że Libby wspominała o ślubie Luke'a. Dwa lata temu. Och. Może on się zwierzył ze swoich małżeńskich problemów, a ona zapomniała? Może dlatego tak mu zależy na dowiedzeniu się, co ona pamięta. Poczwała ucisk w sercu.

Luke przeczesał dłonią włosy, ale grzywka niemal od razu opadła mu z powrotem na czoło.

– Ty i Gethin byliście... Mówiłaś, że to miły facet. Wrażliwy. Że niektóre twoje znajome nie trafiły tak dobrze. Raz czy dwa pytałaś nas w pubie o zdanie. W sprawie koleżanki, która miała zaborczego chłopaka. Choć szczerze mówiąc, nie wiem, czy sprawdziliśmy się w roli autorów kolumny z poradami sercowymi.

– Och. – Alice nie była pewna swoich odczuć. Zadowolenie? Ulga? Wyrzuty sumienia? Koleżanki, kolejne bliskie osoby, które nie usiłowały jej szukać.

Znów spojrzała na Luke'a. Jego twarz nie zdradzała niczego.

Nastrój rozmowy uległ zmianie.

– Przepraszam, że musiałam zapytać, ale na razie jako jedyny możesz mi powiedzieć, kim naprawdę jestem. Dopóki sama sobie nie przypomnę.

Luke z jękiem wypuścił powietrze z płuc.

– Wiesz, mówienie ci, jaka jesteś, stawia innych w mało komfortowej sytuacji. Powinienem był wiedzieć. Podejrzewam, że moja reputacja mnie wyprzedziła, co?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Myślę, że rozumiesz. Libby też się przekona, kiedy będzie chciała otworzyć ten swój butikowy hotel, że Longhampton to nie miejsce, w którym zmiany przyjmowane są chętnie. – Alice wyczuła, że jego przenikliwe oczy dostrzegają w niej więcej, niż Luke chce ujawnić. To było niepokojące. – Może kawy? Widzę stoisko.

– Z przyjemnością – odparła.

Ruszyli w kierunku zadrzewionego skweru, a potem ścieżką wzdłuż trawnika dotarli do przenośnego stoiska, gdzie Luke kupił dwie latte, a Bob poczęstował się wodą. Rozmawiali o parku; kiedy Luke przedstawiał zaskakująco szczegółową, choć zwięzłą historię miasta, Alice zauważyła, że do jednego kubka z kawą wsypuje jeden cukier, a do drugiego dwa. Zamieszał, zamknął wieczka i podał jej kubek z podwójnie słodką zawartością. W tym geście było coś poruszająco intymnego.

– Tak piję kawę? – zapytała, wpatrując się w kubek.

Luke pokiwał głową.

– Owszem. A nie?

– Tak.

W hotelu musiała wypić ich kilka, zanim sobie przypomniała. Miała ochotę zapytać: „Ile filiżanek wypiliśmy razem? Dlaczego ty to pamiętasz?”.

– Alice, pracuję w bezpieczeństwie – powiedział, widząc jej minę. – Zauważam różne rzeczy. Podaj mi numer telefonu, a nigdy go nie zapomnę. Mój mózg łapie szczegóły. Co wieczór w pubie byliśmy ostatnimi gośćmi. Często piliśmy kawę, kiedy podliczałaś kasę.

– W porządku.

Alice czekała na obraz: jaskrawo oświetlony bar na zakończenie wieczoru, aromat kawy, liczenie kasy. Na próżno.

Nagle Bob zawarczał gardłowo. Podskoczyła, wylewając sobie pianę na dłoń.

Zza kwietników dobiegło cichsze, bardziej piskliwe szczekanie. Po drugiej stronie parku dwie osoby próbowały ujarzmić gromadkę psów; obie w każdej ręce trzymały po dwie smycze. Alice nie widziała mniejszych psów, które ujadły najgłośniej, ale dwa golden retrievery i collie wyraźnie dawały Bobowi znać, co o nim myślą.

– Biedny Bob. W takich sytuacjach вина zawsze spada na niego – powiedziała, podczas gdy Luke przeszedł na drugą stronę, odgradzając Boba



od intruzów. – Tylko dlatego, że ma najdonośniejszy głos.

– Szczekanie – poprawił ją Luke. – Najgłośniejsza szczeka. Traktuj go jak psa, to będzie się zachowywał jak pies. Nigdy nie zmieni się w małą istotę ludzką. Zresztą to nie byłoby w porządku.

– Głęboka uwaga. – Alice uniosła brwi.

– Nie. Mówię, co widzę. Ludzie są ludźmi, psy psami. Kiedy pracujesz z psami wyszkolonymi do ochrony, nie traktujesz ich, jakby były Sherlockami Holmesami. No, wracajmy. Podaj mi smycz. To moja drobna przysługa. Będziesz mogła w spokoju wypić kawę.

Alice zdobyła się na uśmiech. On uważnie słucha, pomyślała, notując to w myślach. Luke słucha i widzi. Wie więcej, niż mówi.

Z imponującą sprawnością zonglował swoim kubkiem, smyczą Boba i drobnymi.

– Założę się, że czeka już na ciebie wiadomość. Trzymam kciuki.

Oboje unieśli ręce, pozdrawiając ludzi z psami, po czym Alice podążyła ścieżką za Lukiem i Bobem. Godzinę temu na niczym tak jej nie zależało, jak na tej wiadomości, lecz teraz nie była już tego taka pewna.

## Rozdział 15

Na początku drugiego tygodnia pobytu ekipy remontowej w hotelu Łabędź zmiana była już tak drastyczna, że gdy Margaret poszła z Libby, by ocenić próbki farb, mogła tylko stać jak sparaliżowana przez dwie minuty. A potem zalała się łzami.

Trzeba przyznać, wyglądało to jak po wybuchu bomby. Ekipa Marka opróżniła osiem pokoi, usunęła listwy, zdarła ponadtrzydziestoletnią warstwę tapet. Generalnie ogołociła je do czysta. Libby uważała, że właściwie zyskały teraz modny dekonstrukcyjny wystrój; widać było porządne grube deski podłogowe i solidne ściany.

Margaret postrzegala to inaczej. Kiedy jej odważna twarz ściągnęła się, do Libby zbyt późno dotarło, że teściowa patrzy, jak ponad trzydzieści lat jej pracy ląduje na śmietniku; miała ochotę się kopnąć. Lepszy nastrój, który towarzyszył Margaret, odkąd opiekowała się Alice, zmylił Libby. Aż do teraz wydawało się jej, że teściowa otrząsnęła się z żałoby bardziej niż w rzeczywistości.

– Znów będzie tu pięknie, kiedy dekoratorzy skończą pracę. Obiecuję. – Libby pogładziła Margaret po ramieniu. – Popatrz, który z tych kolorów ci się podoba?

– Nic mnie to nie obchodzi. I nie będę tego oglądała, dopóki wszystko nie będzie gotowe. – Margaret pociągnęła głośno nosem i pobiegła na dół.

Jason musiał zawieźć ją do wielkiego Waitrose, żeby odzyskała równowagę. Nic nie powiedział, ale Libby była właściwie pewna, że to on zapłacił za pięć toreb smakołyków, które później zmaterializowały się w lodówce. Margaret z całą pewnością nie miała pieniędzy na organiczne tiramisu, ale oni też nie.

– To bardzo dobrze, że już tyle zrobili – powiedziała z naciskiem Libby, kiedy we środę rano sprawdzały z Alice ostatnią dostawę wanien i umywalek.

Skrzynie stały w salonie, zapełniając go niemal po sufit. – Hydraulicy przychodzą jutro. A kiedy zamontują wyposażenie, wszystko będzie wyglądało o niebo lepiej.

Przesunęła dłonią po zaokrąglonej krawędzi wanny. Była potężna, bardziej dzieło sztuki niż wanna. Na nowej stronie internetowej będzie zakładka poświęcona łazienkom, znakowi firmowemu i największej atrakcji Łabędzia. Kieliszek wina, wielkie białe kościelne świece, Wi-Fi, dzięki któremu można będzie słuchać iPod'a w kąpielni. Kto się oprze takiej fotografii na rozkładówce czasopisma?

Później możemy robić własne przybory toaletowe, pomyślała, wyobrażając sobie zdjęcia. Z białym łabędziem jako logo.

– Czy to wanna marki Chatsworth? – Alice przerzucała strony faktury.

– Tak. Do apartamentu dla nowożeńców – odparła Libby z dumą. – Z okrągłym drążkiem prysznicowym i tą niesamowitą koronkową zasłonką, którą znalazłam w Anthropologie.

Alice przyjrzała się wannie.

– Który to pokój? Zmieści się?

– Zamieniamy piątkę w apartament i burzymy ścianę do szóstki, żeby zrobić miejsce na łazienkę – wyjaśniła Libby. – Szóstka jest dość mała. Lepiej mieć piękny romantyczny apartament, za który można policzyć więcej.

– Okej. A krany? To te? – Alice wskazała wielkie pudło wypełnione folią bąbelkową.

– Tak. Są niezwykle, popatrz. – Libby z wysiłkiem chwyciła ciężkie urządzenie. – Do tej wanny potrzeba wielkiej baterii połączonej z edwardiańskim prysznicem.

Kiedy wreszcie udało się ją podnieść, okazało się, że jest niemal wielkości tuby.

Obie wpatrywały się w majestatyczną srebrną armaturę.

– Ojej! – mruknęła Alice. – I to jest oddzielne? Do przymocowania do wanny? Czy ja w ogóle chcę wiedzieć, ile to kosztuje?

– Nie pytaj. – Jason twierdził, że wynegocjował dobrą cenę. Po ich sprzeczce na temat transakcji Darrena Libby czuła, że powinna okazać, iż ufa w finansowe talenty męża. – Ale jest warte swojej ceny. Mam w głowie wizję, jak to będzie wyglądać po skończonym remoncie, i wiem, że ludzie będą się bić o miejsca u nas. Jeśli ja bym się biła, to oni też. A co? Jest jakiś problem?

Alice postukała długopisem w dokumenty.

– Z porównania faktury z waszym zamówieniem wynika, że mamy tu tylko połowę rzeczy. Brakuje trzech wanien, trzech pryszniców, czterech sedesów i kilku uchwytów. – Zerknęła na listę. – Tyle zamówił Jason. A tyle dostarczono.

Libby przewróciła oczami.

– Super. To norma, no nie? Jeśli się nie sprawdza. Dobrze, że zorientowałyśmy się pierwsze, zanim zrobili to hydraulicy. Jason zajmie się dostawcami. Widziałaś go dzisiaj?

– Pojechał do miasta – odparła Alice z kąpiącym błyskiem w oku. – Powiedział, że gdybyś się wściekła, że go nie ma, mam ci przekazać, że kupuje dla ciebie prezent. Na waszą rocznicę.

– Aj. – Libby zakryła usta dłonią. – Dzięki, że mi przypomniałaś. To w piątek. Pięć lat.

– Wiem. Margaret pytała, czy zgodzę się ciebie zastąpić, żebyście mieli, cytuję, „wolny wieczór”.

Libby odnotowała w myślach, że teściowa sama nie zamierzała jej „zastępować”, ale wzruszyła ją jej pamięć. To na pewno nie było dla niej łatwe.

Dla niej też nie, pomyślała z poczuciem winy, widząc wzrok Alice utkwiony w fakturach. Gethin wciąż się nie odzywał. Teraz gdy dzwonił telefon, podskakiwały już obie.

– Posłuchaj, załóżę się o wszystko, że przyjedzie w piątek wieczorem – powiedziała impulsywnie Libby. Nie musiała dodawać, o kim mówi. – Pracuje przez cały tydzień, wraca w piątek, widzi twój list i bum! Zaraz tu jest, bukiet róż, przeprosiny, łyzy, szczęśliwe zakończenie.

Alice zmusiła się do uśmiechu.

– Tak. Generalnie tak to się odbywa w Hollywood.

– I w Longhampton. – Libby udała oburzenie. – Jak z upodobaniem powtarza Margaret, tutaj nigdy nie dzieje się nic złego. A z policjantów nie zrezygnowano tylko dlatego, że tworzą niezły męski chór.

Libby bywała na różnych „wyjątkowych okazjach”, wiedziała więc, że restaurację Ferrari generalnie uważano za lokal do świętowania rocznic, ukończenia szkół czy urodzin. I że tak było, odkąd otwarto ją na początku lat osiemdziesiątych. Serwowano w niej włoskie dania, przy czym niektóre już

dwukrotnie wychodziły z mody od czasu, gdy znalazły się w pierwszym menu.

Kiedy przyszli tam z Jasonem w piątkowy wieczór, główny kelner pojawił się, by odebrać od nich płaszcze. Narobił zamieszania, opowiadając o Jasonie, którego znał od dzieciństwa, a potem całując Libby w rękę.

– Jak się czuje twoja mama? – zapytał Jasona z troską. – I jej uroczy pies?

– Oboje mają się świetnie, Gianni. A co u pani Ferrari?

Najwyraźniej był to stary kawał, bo Gianni ryknął śmiechem, w połowie włoskim, w połowie miejscowym.

Podczas całego tego przedstawienia Jason zerkał na żonę, jakby prosząc, żeby była cierpliwa i włączyła się w tę grę, ale Libby uśmiechała się szczerze. Lubiła kiczowatość tej restauracji i słodki sposób, w jaki Jason odgrywał swoją rolę. To przypominało jej dawne czasy; Ferrari nie różniła się zbyt od tanich knajpek, do których zabierał ją mąż, kiedy ani nie miał za dużo pieniędzy do wydawania, ani nie wiedział, gdzie je wydać.

Zaprowadzono ich do stolika – w kącie, idealnego na wieczorną randkę, z dwiema czerwonymi różami pośrodku – i Jason odsunął dla Libby krzesło.

– Bardzo to miłe z twojej strony – powiedziała, siadając.

– Szampan! – oznajmił kelner, zamaszystym gestem prezentując etykietę Jasonowi. – Proszę pana?

– Proszę pokazać ją pani. Ona się na tym zna – odparł Jason, przekazując butelkę Libby.

Uśmiechnęła się.

– Wygląda idealnie – powiedziała do kelnera. – Proszę nalewać.

Zrobił to z maksymalną uwagą i ostrożnością. Siedząca w pobliżu para w średnim wieku uśmiechała się do nich łagodnie. Ceremonialnie zapaliwszy świecę, kelner zniknął.

– Wreszcie sami – powiedział Jason. – No cóż, w takim stopniu, w jakim tutaj jest to możliwe.

– Więc tak. – Libby uniosła kieliszek.

Jason stuknął weń swoim.

– Zdrowie. Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy.

– I wzajemnie, kochanie. – Libby napiła się szampana, rozkoszując się łaskotaniem bąbelków na wargach.

Niemal natychmiast biszkoptowy posmak przywołał wspomnienia wszystkich innych wieczorów.

– Za następne pięć lat! – Jason upił spory łyk i zrobił minę z gatunku

„od razu lepiej”. – Ach, wcale nie taki zły, prawda?

Spojrzał na etykietę. Był pod wrażeniem.

Jak w dawnych czasach, pomyślała Libby. W szczęśliwszych dawnych czasach. To patrzenie, jak Jason przejmując kontrolę nad sytuacją, sprawdza etykiety win i udaje, że wie, czego szuka, chociaż oboje doskonale zdają sobie sprawę, że nie ma o tym pojęcia. Zapomniała już, jak seksownie wygląda jej mąż w garniturze, i teraz poczuła nieprzyzwoity dreszcz podniecenia na myśl, co zobaczy później: zdjęte spinki do mankietów, podwinięte rękawy koszuli, gołe opalone przedramiona. Uwielbiała intymność skóry kryjącej się pod biznesowym strojem. Każdego ranka, zanim jeszcze poznała jego imię, Libby z drugiego końca zatłoczonego wagonu wpatrywała się w miękki kark pomiędzy sztywnym białym kołnierzykiem a rozwichrzonymi jasnymi lokami nieznanego przystojniaka, wyobrażając sobie, że rozpycha się wśród pasażerów i przyciska usta do jego skóry.

Kiedy skończą remont, Jason będzie mógł nosić garnitur w piątki, pomyślała. W eleganckie piątki. A ona przyłapie go w biurze, przy biurku...

– O czym myślisz? – Jason również był w nastroju do flirtu. – Masz tę minę.

Uwodzicielski uśmiech na twarzy Libby sięgnął jej oczu.

– Jaka?

– Z rodzaju „co będziemy robić później?” – odparł. – Nie, już wiem. Zastanawiasz się, jaki mam dla ciebie prezent z okazji rocznicy!

– Nie. A skoro pytasz, to myślałam o początku naszej znajomości. W tym pociągu o szóstej pięćdziesiąt trzy. Kiedy oblałeś się kawą.

– Och! – Uniósł brwi. – O tym.

– Jaki to był śliczny szal! – Libby westchnęła. – Wciąż za nim tęsknię.

– Nic o tym nie wiem. Ile szali kupiłem, żeby ci wynagrodzić tę stratę?

Kiedy obiecane czyszczenie w pralni nic nie dało – ku wielkiemu przygnębieniu Jasona – na biurku Libby pojawił się nowy kaszmirowy szal. Była oszołomiona. Kosztował tyle, ile wynosiła jej dwumiesięczna pensja. Zbyt piękny, żeby go nosić.

– Nie musisz kupować mi rzeczy – powiedziała. – Chcę ciebie. – Ponownie upiła łyk szampana, popatrując na męża znad krawędzi kieliszka. – Zawsze tylko tego chciałam. Ciebie.

– Więc z tego się nie ucieszysz? – Sięgnął pod stół, po czym przesunął w jej stronę małe pudełko. – Wszystkiego najlepszego. A gdzie prezent dla mnie?

Libby odstawiła kieliszek i wzięła torebkę. Przewiązany wstążką podarek

dotarł niemal w ostatniej chwili. Dzięki Bogu za internetowe zakupy!

– Otwieramy równocześnie?

– Dobra, już.

Rozległo się zwykle w takiej sytuacji teatralne skrobanie po papierze. Kiedy Libby się z nim uporała, stwierdziła, że trzyma w dłoniach pudełko od Tannersa, jubilera z Longhampton.

– No, robi się kłopotliwie... – Spojrzała. – Ja, ze względów budżetowych, zdecydowałam się na zabawny prezent.

– Jest idealny. – Jason podniósł kubek z logo drużyny piłkarskiej Longhampton United i swoim imieniem.

– Twój stary jest na ostatnich nogach – wyjaśniła. – A w dodatku od kiedy go masz, już dwa razy zmieniono logo. Miałam do wyboru kubek albo domową koszulkę, ale nie wydaje mi się, żeby ci było dobrze w czerwono-czarnych pasach.

– No i nie miałbym jej gdzie nosić. W klubie rugby krzywo patrzą na ludzi, którzy przychodzą w piłkarskich strojach.

– Na marginesie: doskonale wiem, że grasz w rugby – dodała Libby, na wypadek gdyby pomyślał, że pomyliła obie dyscypliny. – Ale przyjrzałam się twojemu kubkowi i, no wiesz... Nowy początek, nowa drużyna, powrót do domu...

– Jasne, rozumiem. – Jason się uśmiechnął.

Libby miała nadzieję, że zrobiła mu przyjemność. Tym razem nie zastanawiała się nad prezentem tak długo, jak zazwyczaj. Poczula przypływ natchnienia, gdy ładowała naczynia do zmywarki. Ale teraz naszyły ją wątpliwości.

– No, dalej. – Jason głową wskazał pudełko w jej dłoniach.

Ze złymi przecuciami otworzyła wieko.

Wnętrze puzderka było wyścielone czerwonym aksamitem, na którym leżały kolczyki z brylantami. Małymi – niepodobnymi do kamieni, które dawał jej w przeszłości – ale ślicznymi i prawdziwymi. Jason kupował jej takie rzeczy, bo podczas gdy wszystkie inne żony składały listę życzeń do Aspreya, on nie wierzył, kiedy Libby mówiła, że wolałaby książki. Albo biżuterię, którą mogłaby nosić bez obawy, że ją zgubi.

– Jasonie! – Poczula dziwną irytację. – Są prześliczne, ale...

– Nie kończ.

– Muszę. – Libby przełknęła. – Bardzo mi się podobają, ale nie musisz

kupować mi brylantów, gdy liczymy się z każdym groszem.

Nie powiedziała: „Nie możesz”. Nie chciała psuć jego spontanicznego gestu. Tej szczodrości, którą uwielbiała od zawsze.

Jason spojrzął jej w oczy.

– Byłem w mieście i przechodziłem obok Tannersa. Przypomniałem sobie, jak z mamą w dzieciństwie chodziłem na zakupy i zawsze musiałem się zatrzymać, żeby mogła popatrzeć na tę wystawę. Myślałem wtedy: „Jak dorosnę i się ożenię, będę żonie kupował ładne rzeczy u Tannersa”. A teraz jestem szczęściarzem, bo mam żonę, i to lepszą, niż mogłem sobie wymarzyć. Czułem się rewelacyjnie, kiedy wyszedłem od jubлера z tą małą torebką.

– Jasonie...

Wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłonie.

– Wiem, że ostatni rok był trudny, wiem, że twoja zgoda na rozpoczęcie od nowa tutaj to ogromne ustępstwo. Masz na głowie śniadania, psa i... moją mamę. Ale przyrzekam, Lib, zrobię wszystko, żeby okazało się to najlepszą decyzją w naszym życiu. – Jason spojrzął i Libby poczuła, jak jej serce wywija koziołka na widok nadziei na męskiej twarzy. – Nie byłbym w stanie niczego bez ciebie zrobić. Nie chciałbym robić tego bez ciebie.

– Jasonie, nie wiem, co powiedzieć...

– Nic nie musisz mówić. Włóż kolczyki. Sprawdź, czy jest ci w nich do twarzy.

– Jasne, że jest mi w nich do twarzy. Z brylantami zawsze jest nam do twarzy. To dlatego są najlepszym przyjacielem dziewczyn. – Uśmiechnęła się Libby, ostrożnie odpinając małe złote kółka.

Jason patrzył, jak zakłada kolczyki.

– Moim najlepszym przyjacielem jesteś ty. W dodatku piękniejszym niż one.

Udając, że jest modelką, Libby pokręciła głową i brylanty zamigotały w świetle świecy. Czuła się w nich dobrze, ale nie potrafiła oddać się tej radości. Wspomnienie rozmowy z ojcem nadal wywoływało w niej złe przeczucia. Skąd właściwie Jason wziął pieniądze na te kolczyki? Z konta remontowego? Zapłacił kartą?

Przyłapała na sobie wzrok męża; był taki dumny i ucieszony spojrzeniami innych gości, że postanowiła dać sprawie spokój. Dzisiejszy wieczór nie dotyczył hotelu, tylko ich dwojga. Ich małżeństwa. Może i stracili rzeczy materialne, ale nadal mieli siebie. Kiedy się poznali, także nie mieli zbyt wiele, ale dla nich to było więcej niż dość. Przyjęcie kolczyków pokaże, że



nawet jeśli Jason obciążył kartę, ona wierzy, iż wspólnie zarobią tyle, by za nie zapłacić.

Chwyciła go za rękę.

– Z niczego nie zrezygnowałam, decydując się prowadzić hotel z tobą, ty idioto! – powiedziała, bawiąc się jego obrączką. – Chcę to robić. Chcę, żebyśmy oboje stworzyli coś prawdziwego. To będzie niesamowite!

– Owszem, skoro rezultat nie zależy od mojego nerwowego miotania się z cykliniarką...

– Rewelacyjnie sobie z nią radzisz. Nie masz pojęcia, jak mi się podobaś w okularach ochronnych. Nawiasem mówiąc, miałeś rację, zatrudniając Marka. Teraz prace posuwają się szybko. Będzie super.

– To twoja zasługa. Marek mówi, że masz doskonałe oko. – Jason pogładził żonę po wnętrzu dłoni, przesuwając opuszką palca po linii życia. – Nawet mama pokocha te łazienki, zobaczysz.

Libby nie była tego taka pewna. Od ostatniego weekendu Margaret zachowywała się cokolwiek chłodno; uważała, że synowa nie poświęciła dostatecznej uwagi „zatruciu alkoholowemu” Jasona. Wyraziła swoją dezaprobatę serią pasywno-agresywnych komentarzy o prysznicach. Które najwyraźniej są „ostentacyjne”.

Choć właściwie, uświadomiła sobie Libby, te uwagi wcale nie były pasywno-agresywne.

– Wygląda na to, że te wszystkie wypadki do spa z dziewczynami okazały się świetną okazją do zbierania materiałów. – Uśmiechnął się Jason. – Założę się, że Erin przestępuje z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać wizyty u nas, co?

– Tak mówi. – Libby się zawahała. – Choć niewykluczone, że po prostu jest uprzejma. Jeździ do naprawdę eleganckich miejsc...

– A Łabędź taki nie będzie? Daj spokój! Kiedy już przygotujemy stronę internetową i Erin przeczyta o twoich romantycznych buduarach, cała ulica będzie chciała zarezerwować pokój. Pościel o jakiej gęstości splotu powinniśmy mieć? Tysiąc nitek? Dziesięć tysięcy? Czy to odpowiada za wskaźnik termiczny? Ile zamówiłaś kompletów?

Jason udawał niedowierzanie i Libby wybuchnęła śmiechem.

– Cztery tysiące powinny wystarczyć. Ale nie musimy...

Podniósł ostrzegawczo palec i przytknął do jej ust, wiedząc, co Libby chce powiedzieć. Cofnął dłoń, zanim gest nabrał niemiłego znaczenia.

– Cicho. Po prostu mi zaufaj, dobrze?

– Ufam ci. – Libby wpatrywała się w piękne jasne oczy z nadzieją, że Jason potrafi zajrzeć w jej serce w taki sposób, w jaki ona spoglądała w jego. – Ale żadna z tych rzeczy nie jest tak cenna, jak my. Wiesz o tym, prawda? Wolałabym raczej nie mieć niczego i być z tobą, niż zarządzać hotelem Claridge i być tam, hm, gdzie byliśmy wcześniej.

– Ja po prostu chcę dać ci wszystko – odparł krótko. – Nie możesz mieć o to do mnie pretensji, prawda?

– Kolczyki to aż nadto – oznajmiła Libby stanowczo. – Aż nadto. Popatrz, idzie Gianni, przyjąć zamówienie. Wiesz, na co masz ochotę?

– Tak – odparł Jason.

Płonący głodny wzrok, który ponad płomieniami świec skierował wprost na Libby, sprawił, że przeszedł ją dreszcz.

Po szampanie wypili butelkę czerwonego wina do domowych ravioli i jednego deseru lodowego, który podano z dwiema długimi łyżeczkami i dobrodusznym mrugnięciem. Kiedy kończyli, Gianni przyniósł na srebrnej tacy dwie szklaneczki brandy. Wyjaśnił, że to prezent od starszej pary, którą mijali w drodze do stolika.

– Stan i Rosemary. Powiedzieli, że podczas ich miesiąca miodowego ktoś zafundował im szampana. Chcieli się odwdzińczyć, traktując podobnie zakochaną młodą parę świętującą rocznicę.

– To takie romantyczne! – odparła Libby.

Pod drzwiami Stan uprzejmie pomagał Rosemary włożyć elegancki różowy płaszcz. Byli jak wcielenie małżeńskiego szczęścia. Libby radośnie posłała im pijanego całusa. Odpowiedzieli uśmiechem.

– Powinniśmy częściej wychodzić – stwierdził Jason, siadając prosto. – Chyba po raz pierwszy tutaj ktoś postawił mi drinka.

– Umieszczę to na Drzewie Dobroci w szpitalu. – Libby czuła, jak buzują w niej emocje. Czy raczej „emocjonalia”, jak Jason określał wszelkie wywołane alkoholem objawy humanitaryzmu. – „Dziękuję Stanie i Rosemary za pokazanie nam w dzień naszej rocznicy celu, do którego powinniśmy dążyć”.

– Jakiego? Chodzenia razem na kolacje, kiedy będziemy po pięćdziesiątce?

– Nie! – Wymierzyła Jasonowi żartobliwego klapsa w dłoń. – Za udowodnienie, że romantyczność nie musi się kończyć w dniu ślubu!

Ujął jej rękę i ucałował delikatną skórę na przegubie.

– Mogę ci to zaprezentować...

– Powinniśmy już pójść do domu – powiedziała Libby znienacka. – Albo nie do domu.

Spojrzała w okno. Minęła dziewiąta, ale nadal było dość jasno i ciepło. High Street trudno było uznać za Piccadilly Circus, lecz wcale nie panował na niej taki spokój, jakiego się spodziewała. Longhampton otuliła przyjemna atmosfera piątkowego wieczoru. Choć Libby gotowa była się zgodzić, że to może być wpływ wina.

– Ta estrada w parku – oznajmiła. – Byłeś tam później, nie jako nastolatek?

– Kompletnie nie rozumiem, o co ci chodzi – odparł Jason ze śmiertelną powagą. – Nigdy nie wchodziłem na estradę. Myślisz raczej o moim bracie.

– Nigdy za późno na bunt – oznajmiła Libby. – Poprosimy o rachunek?

Jasonowi nie trzeba było tego powtarzać. Wezwał najbliższego kelnera, gryzmołąc palcem w powietrzu. Tyle kolacji! – pomyślała Libby, wspominając, ile razy widziała męża wykonującego ten gest. Tak wiele drinków, powrotów taksówką do domu. Jason zawsze chciał dostarczać jej przyjemności. Opiekować się nią.

Do Libby dotarło, jak musi go boleć, że teraz nie jest w stanie tego robić. Kiedy liczby przestały go słuchać, a ona nie ufała mu na tyle, żeby pozwolić na podjęcie próby.

Poczuła wibrację w torebce.

– Dzwonią z hotelu – powiedziała. – Odebrać?

– Lepiej odbierz – westchnął Jason. – Pewnie mama próbowała włączyć film z Johnem Nettlesem, a trafiła na program o remontowaniu domów. I nie potrafi z niego wyjść.

– Halo? – Libby przycisnęła telefon do ucha.

Od ich przyścia w restauracji przybyło gości. Prawie nic nie słyszała.

– Libby? Mówi Alice.

– Alice – powtórzyła Libby bezgłośnie.

Jason uśmiechnął się i przesunął stopą po jej łydce.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam w trakcie kolacji – ciągnęła Alice. – Ale pomyślałam, że powinnaś wiedzieć. Przed chwilą dzwonił Gethin. Jedzie do mnie.

– Gethin dzwonił? O Boże! Alice! Chcesz, żebyśmy wrócili? – Libby otworzyła szeroko oczy, by ta ekscytująca wiadomość dotarła również do Jasona.

Myśli o estradzie całkiem umknęły jej z głowy, zastąpione przez

tajemniczego Gethina.

Poświęciła wiele czasu na zastanawianie się, kto też przyjedzie po Alice. Wysoki? Ciemny? Blondyn? Z rzeźbionymi rysami i posepny, jak Luke? Nie, raczej ktoś godny zaufania. Nauczyciel albo farmer.

– Mmm, nie. Nie, nie musicie wracać. Pomyślałam tylko, że ci dam znać, tak na wypadek...

W głosie Alice brzmiał niepokój.

– Wracamy – oznajmiła Libby. – Do zobaczenia. To żaden kłopot. Pa, pa! – Rozłączyła się. – Przed chwilą dzwonił Gethin. Jedzie do hotelu.

Nastąpiła chwila milczenia.

– A co z estradą? – zapytał Jason.

– A jeśli dojdzie do awantury? – Wyobraźnia Libby szalała. – Jeżeli Alice go nie pozna? Jeśli...

– Przyznaj się, po prostu jesteś ciekawa – przerwał jej Jason. – W porządku. To jest Libby, z którą się ożeniłem. – Kącik jego ust drgnął. – Choć muszę przyznać, że i mnie to ciekawi. Wezwijmy taksówkę.

Libby się uśmiechnęła. Gethin powrócił. Oboje z Jasonem przetrwali swój najgorszy rok. W Longhampton zdarzają się szczęśliwe zakończenia.

Margaret miała rację. Wszystko będzie dobrze.

## Rozdział 16

To stało się szybko. A kiedy nastąpił koniec, Alice siedziała oszołomiona, usiłując oddzielić to, co czuje, od tego, co wie. Przed wypadkiem nie zdawała sobie sprawy, że to dwie różne rzeczy.

Spędziła wieczór w recepcji, przepisując dawną księgę gości do komputera. Arkusze Excela najwyraźniej zdominowały sporą część jej dawnego życia asystentki, ponieważ palce niemal od razu podjęły rytm klikania i stukania w klawisze. Alice sprawiało przyjemność wprowadzanie danych i obserwowanie, jak informacje gromadzą się i łączą, tworząc wzory i trendy.

Z których hrabstw przyjechało najwięcej gości. Jakie jest najpopularniejsze nazwisko. Kto odwiedzał hotel najczęściej. Kto był najmłodszym, a kto najstarszym gościem. Kto wracał z innym partnerem. Mózg Alice był głodny informacji. I podobało jej się poczucie, że oto przyczynia się do zaprowadzenia porządku w Łabędzie. Często naciskała klawisz „zapisz”.

Telefon milczał przez cały wieczór i już prawie o nim zapomniała, kiedy się rozdzwonił. Akurat męczyła się nad odcyfrowaniem gryzmołów na wizytówce, więc nie patrząc, sięgnęła po słuchawkę prawą dłonią.

– Dobry wieczór, hotel Łabędź w Longhampton. Czym mogę służyć?

– Czy to...? Alice, to ty?

Głos był cichy i łagodny. Walijski akcent.

Alice znieruchomiała. To on. Gethin. Ale czy naprawdę ona go pamięta, czy po prostu spodziewała się rozmawiać z Walijszykiem? Ciemna chmura w jej głowie rozprzestrzeniła się ponownie, wymazując wszystkie szczegóły, które Alice pragnęła uchwycić.

– Halo? – powtórzył głos z mniejszą pewnością siebie.

– Mówi Alice. – Usta miała wysuszone. – Ty jesteś Gethin?

– Tak! Alice. O Boże, Alice, co za ulga! – Wydawał się poruszony. – W tej chwili wszedłem do domu i znalazłem twój liścik na macie. Nie potrafię... Kompletnie nie rozumiem, co się stało. Co ty robisz w hotelu? Gdzie masz

klucze? Dlaczego nie wróciłaś do domu?

Czy ja znam ten głos? Alice miała wrażenie, że unosi się nad własnym ciałem i próbuje zanalizować każdy najdrobniejszy szczegół swojej reakcji. Właściwie przestała się już zastanawiać, kiedy Gethin zadzwoni, i nie była przygotowana.

– Od razu do ciebie jadę – ciągnął. – Niedługo będę. Potrzebujesz czegoś? Chcesz, żebym przywiózł ci rzeczy?

– Nie, nie musisz.

Przyjedzie po mnie mój chłopak. W jego głosie brzmiało zdenerwowanie, zaniepokojenie, dezorientacja, pomyślała Alice. Miała ochotę złapać swoje obojętne serce i solidnie nim potrząsnąć, choć i tak nic by to nie pomogło.

Może to skutek leków? Doktor Reynolds ostrzegął, że trochę potrwa, zanim wypłuczą się z organizmu. W końcu minęły dopiero trzy tygodnie.

– Zostań tam – powiedział Gethin, jakby stała na krawędzi klifu. – I nie martw się, Króliczku. Już jadę.

Rozłączył się.

Króliczek. Alice przez kilka sekund wpatrywała się w telefon. Chociaż siedziała, jej nogi podrygiwały. Jakby chciały się poderwać i biec. I biec.

Tutaj moje życie zaczyna się od nowa, stwierdziła. Jakby znów naciśnięto klawisz „play”.

A potem drżącymi palcami wybrała numer Libby.

Kiedy kwadrans później przed hotelem zatrzymała się taksówka, Alice pomyślała, że Gethinowi udało się dotrzeć szybciej, i w końcu ogarnął ją dreszcz podniecenia. Ale to była Libby – w zalotnej czerwonej sukience, z nierówno nałożoną szminką, bo malowała się w taksówce. Wpadła do środka, obcasami wyciągając nitki z kraciastego dywanu. Nie traciła czasu na zakładanie żakietu; niosła go na ramieniu razem z małą wieczorową torebką. Jej twarz płonęła z ekscytacji.

Alice zauważyła nowe brylanciki w jej uszach. Połyskiwały niemal tak mocno, jak oczy właścicielki.

– Jest już? – zapytała Libby bez tchu, rozglądając się po recepcji.

– Jeszcze nie.

Jason tylko wsunął głowę przez frontowe drzwi.

– Lib, masz pieniądze na taksówkę?

– Co...? – Libby zmarszczyła czoło, a potem z niejaką trudnością otworzyła torebkę.

Alice widziała, że nie do końca panuje nad ciałem. W gruncie rzeczy te jej wysiłki, żeby zachowywać się jak osoba absolutnie trzeźwa, były wzruszające.

– Podręczna gotówka. – Alice otworzyła szufladę i z pudełka wyjęła dwudziestofuntowy banknot. – Przynieś paragon. Musiałaś rzeczywiście szybko wracać...

– Masz tutaj pracę. – Libby nieco chwiejnie wycelowała w nią palec, po czym odwróciła się, by dać Jasonowi pieniądze.

Alice wzięła głęboki wdech i nalała sobie wody. Gdy Libby i Jason wrócili, cała trójka stanęła zakłopotana obok blatu recepcji.

Pod folią ochronną tykał stojący zegar.

– A zatem... – przerwał milczenie Jason. – Zdążę się przebrać? Kiedy zadzwonił?

– Jakies dwadzieścia minut temu.

– O, to mamy mnóstwo czasu. – Jason poluzował krawat i rozpiął górny guzik koszuli. – Musi dojechać ze Stratton. W takim razie idę.

– Musisz? – Libby okazała rozczarowanie. – W tym garniturze wyglądasz rewelacyjnie. – Pogładziła męża po ramieniu. – Możesz zdjąć marynarkę, jeśli chcesz. Podwiń rękawy...

– Oboje jesteście eleganccy – powiedziała Alice.

Dzisiejszego wieczoru wydawali się inni. Emanowali wielkomięską pewnością siebie, która sprawiła, że stali się obcy. Jakimś sposobem wprawiało to Alice w zakłopotanie.

– Jest piątkowy wieczór! – zaprotestował Jason.

– Wiem. I o to mi choodzi. – Libby od tyłu objęła go w pasie, mrużąc mu do ucha: – Zostań w tym ładnym garniturze.

Alice nigdy dotąd nie widziała Libby w tak figlarnym nastroju. Mocno wycięta sukienka bez rękawów odsłaniała o wiele więcej ciała niż zwykłe stroje, rozsądek zastąpiła czarująca kokieteria. Czarująca, bo absolutnie nieoczekiwana. Alice uświadomiła sobie, że nie połączyłaby tej Libby z Libby sporządzającą listy zadań dla ekipy remontowej i martwiącą się, że o czymś zapomniała.

Jason roześmiał się i pocałował żonę. On też wydaje się inny, pomyślała Alice. Czy tacy byli w Londynie?

– A sądziłem, że to ja wpadłem ci w oko, a nie mój krawiec. – Uwolnił się

z objęć. – Zaraz wracam. Powiem mamie, co się dzieje. Na pewno też będzie chciała się przywitać.

Kiedy oddalił się mimo protestów, Libby opadła na krzesło za biurkiem obok Alice i westchnęła zadowolona.

– Udany wieczór?

– Bardzo. – Libby pochyliła się i rozejrzała, uśmiechając się do siebie. Potem odwróciła się energicznie. – Więc jak, wszystko wróciło? Kiedy usłyszałaś jego głos?

– Właściwie nie.

– Och. A co tam, może sprawi to jego widok! – Oparła się wygodnie. – Widzę cię... Z wysokim facetem. Ciemna karnacja. Okulary. Wrażliwy, ale silny.

– Clark Kent.

– Nie! Normalny sympatyczny facet.

– Nie sędzę, żeby takie wyobrażenie sobie jego wyglądu było pomocne. A jeśli moja wizja będzie kontrastować z rzeczywistością? Nie chcę się rozczarować.

Libby spojrzała z namysłem. Staranny makijaż w stylu kociego oka dowodził, że dzisiejszego wieczoru spędziła przed lustrem dużo czasu.

– Z tego, co mówił, wynikało, że za tobą tęskni?

– Tak.

– Więc tylko to się liczy.

Alice nie mogła się nie zgodzić.

Po kilku minutach powrócił Jason. W dzinsach i niebieskiej koszuli wyglądał swobodniej, choć wrażenie inności nadal otaczało go jak filtr na Instagramie. Był mniej spięty, bardziej kolorowy.

Chodzi o jego związek z Libby, zrozumiała Alice, obserwując, jak Jason muska palcami ramiona żony. Przez to oboje zyskali na wyrazistości. To dzieło miłości. Kiedy głębokie uczucie naprawdę łączy ludzi.

– Nie patrz tak na mnie, Lib. Włożyłem dzinsy, które lubisz – zaprotestował.

Wymienili spojrzenia, które sprawiły, że Alice wstała i poszła do biura, by włączyć ekspres do kawy.

Wciąż siedzieli za kontuarem, niewiele się odzywając, kiedy na podjeździe rozbłysły światła reflektorów.

– To on. – Kompletnie niepotrzebnie oznajmiła Libby.

Alice wstała, ale zaraz usiadła z powrotem. Ugiwały się pod nią kolana. Ma



czas na pójście do toalety? Potrzebuje tego? Woli siedzieć czy stać?

Libby położyła jej dłoń na ramieniu.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Spokojnie.

Jason zerwał się na równe nogi.

– Jedno z nas powinno po niego pójść. W przeciwnym razie facet pomyśli jeszcze, że trafił na przesłuchania do „X-Factor”.

Odchrząknął i ruszył do drzwi.

Uścisk palców Libby sprawił, że puls Alice przyspieszył. Silnik umilkł, trzasnęły drzwi, zachrząścił żwir pod stopami i otworzyły się frontowe drzwi; wydawało się jej, że trwa to całą wieczność. Wstała, mając wrażenie, że jej głowa prawie nie łączy się z ciałem. Usłyszała wesoły i serdeczny głos Jasona.

– Gethin? Miło cię poznać. Jestem Jason Corcoran. Proszę, wejdz.

I zaraz się pojawił. Gethin. Jej chłopak.

Stał obok szafki z lokalnymi dzemami i lalczkami ze słomy.

Wzrok Alice, przez ostatnie tygodnie wyostrzony i wprawiony w wychwytywanie szczegółów, przesunął się po przybyłym. Czy to jego się spodziewała? Gethin był niższy i mocniej zbudowany niż Jason, z gęstymi brązowymi włosami, które kręciły się nad uszami i spadały na wielkie i brązowe jak u szczeniaka oczy. Miał ekspresyjną twarz, zachmurzoną z niepokoju, dopóki nie zobaczył Alice; w tym momencie rozjaśnił ją uśmiech, niczym słońce przedzierające się przez chmury. Małe białe zęby, ładne usta. Przystojny. Łagodny.

Wygląda na sympatycznego faceta, ale ja go nie znam, pomyślała Alice i poczuła na plecach lodowaty dreszcz strachu. Jeśli jej pamięć nie zaczęła prawidłowo funkcjonować na widok mężczyzny, z którym była ponad rok, czy nastąpi to kiedykolwiek? Ale on ją znał. I sprawiał wrażenie ogarniętego taką ulgą, tak uszczęśliwionego, że Alice przekonała samą siebie, że to kolejna najlepsza rzecz. W nim jak w lustrze zobaczy, kim jest.

– Alice! – Uśmiechnął się z zachwytem i poczuła, że również jej usta automatycznie wyginają się w uśmiechu. – Chodź tutaj!

Wyciągnął do niej rękę. Podeszła, a on zamknął ją w niedźwiedzim uścisku; ponad jego ramieniem dostrzegła, jak Jason wymienia łzawe spojrzenie z Libby. Gethin miał na sobie białą koszulkę polo i czarno-białe sportowe buty, pachniał czystymi ubraniami i kawą. W jednym uchu dostrzegła dziurę po kolczyku.

- Tak strasznie się martwiłem – powiedział, ściskając ją mocniej. Skrzywiła się z bólu.
- Uważaj! Moje żebra!
- Ojej, przepraszam, Króliczku! – Odskoczył, jakby go parzyła. – Co się stało? Boże, przepraszam, przepraszam. Co jeszcze cię boli?
- Tylko żebra. Popękały. Od uderzenia bocznym lusterkiem samochodu. Tak myślą lekarze – dodała machinalnie.
- Boczne lustro? Boże, co się stało? Powiedziałaś, że miałaś wypadek. Samochodowy? – pytał Gethin przerażony.
- Macie wiele do nadrobienia – powiedziała Libby i Alice poczuła ulgę, że oto wróciła znajoma Libby, przejmująca kontrolę nad sytuacją, pokazująca kierunek. – Chodźmy na piętro. Napijemy się herbaty i pogadamy.

Chociaż wszystko kręciło się wokół niej, Alice nie opuszczało wrażenie, że ogląda tę scenę z góry. Byłoby stosowniej, gdybyśmy na wielki finał zgromadzili się w salonie, pomyślała, a nie wokół kuchennego stołu. Gdzie teraz Margaret podawała słodką herbatę i wzdychała ze zdumienia.

Nie ulegało wątpliwości, że zaaprobowała Gethina – zwracał się do niej „pani Corcoran” i uściśnął jej dłoń – zaczęła więc wspominać regularnie bywających w hotelu „uroczych” Walijszyków, których Gethin mógłby znać. Trzeba mu zapisać na plus, pomyślała Alice, że uprzejmie się zastanawia, zanim zaprzeczy.

- ...no i Pritchardowie. Wydaje mi się, że są z Llangollen – powiedziała Margaret, wymawiając nazwę po walijsku, gardłowo.

- Doskonały akcent – skomentował Gethin i napił się herbaty, spoglądając przy tym na Alice.

Oczy mu błyszcząły, jakby nie potrafił powstrzymać ulgi, więc Alice się do niego uśmiechnęła. Do powstającej w myślach listy dodała „poczucie humoru” i „miły dla matek”. Sporządzanie list weszło jej w nawyk, którego nie umiała się pozbyć. Dzięki nim tworzyła punkty odniesienia.

Opowiedziała o wypadku, dystansując się do dramatyzmu w taki sposób, na jaki potrafiła się zdobyć, i dodała, że policja nie oskarżyła żadnego z kierowców. Bo, zgodnie z ich zeznaniami, to ona spowodowała wypadek. Sama nie pamiętała zupełnie niczego.

- Tak jest najlepiej – zgodziła się Margaret. – Trzeba żyć dalej.

– Ale mogłaś zginąć! – Wielkie oczy Gethina wypełniało przerażenie.

Przez chwilę Alice miała poczucie zabawnego déjà vu, które uznała za wspomnienie, dopóki nie uświadomiła sobie, że to samo powiedział Luke. Kiedy w zeszły weekend schodzili ze zbocza. Przed jej oczami mignęło posępne spojrzenie z ukosa, ale zaraz skupiła się na Gethinie.

Śmieszne, że nazywa mnie „Króliczkiem”, pomyślała, skoro to raczej on tak wygląda: wielkie oczy, miękkie brązowe włosy, gładka skóra. Chociaż jest przystojny. I silny, o czym świadczą muskularne ręce i nogi.

– Ale nie zginęłam – odparła. – Nie zostałam nawet poważnie ranna. Tylko kompletnie nie pamiętam ostatniego roku.

– Więc mnie też nie pamiętasz? – Gethin uniósł brwi, które zginęły pod gęstą grzywką.

Najwyraźniej miał nadzieję, że Alice odpowie: „Jasne, że pamiętam!”.

Zawahała się. Czy mogłaby skłamać? Nawet gdyby chciała, Libby i Jason by się zorientowali. Zakłopotana pokręciła głową i dostrzegła, że Gethin się wzdryga. Poczowała się okropnie.

Uczepiła się tego uczucia. Ono musi coś mi mówić, pomyślała. Że istnieje łączność, resztki czegoś przypominającego jaśniejącą więź pomiędzy Libby a Jasonem.

Libby wykorzystała przerwę.

– Jestem przekonana, że wszystko gdzieś tam jest. W zeszły weekend odzyskałaś sporo wspomnień, prawda? Nie wiadomo, co będzie, kiedy wrócisz do domu, włożysz własne ubranie, usiądziesz w ulubionym fotelu.

Gethin, choć zbity z tropu, uśmiechnął się dzielnie.

– Oczywiście.

Mieszkam z tym człowiekiem, pomyślała Alice. Okropne uczucie przybrało na sile. Sypiam z nim. Widzieliśmy się nago, zwierzaliśmy się sobie z sekretów, płakaliśmy, śmialiśmy się, dotykaliśmy i smakowaliśmy nawzajem...

Nic.

– Jak się poznaliście? O ile nie jest to zbyt wielkie wścibstwo z mojej strony? – zapytała Margaret.

– Och, to... – Gethin spojrział na Alice. – Nie wiem, czy powinienem, skoro nie pamiętasz?

– Mów – odparła. – Chyba że był to jakiś podejrzany klub dla fetyszystów albo coś w tym rodzaju.

Margaret zachłysnęła się herbatą. Gethin powstrzymał uśmiech.

Dobrze, pomyślała Alice. Rozśmieszamy się wzajemnie.

– Nie, nic podobnego. Poznaliśmy się we Włoszech. Na wyjeździe dla... – Skrzywił się przepaszająco. – ...dla ludzi potrzebujących zmiany perspektywy. To było naprawdę niezwykle doświadczenie. Bardzo duchowe i odświeżające. Później utrzymywaliśmy kontakt. Spotkaliśmy się w Londynie i tak się potoczyło.

Mówił z uroczym akcentem, wznoszącym się i opadającym melodyjnie.

Niewyraźne wspomnienie poruszyło się w mroku umysłu – basen, w którego tafli odbijał się księżyc w pełni. Unoszenie się na wodzie. Mimo że znikło, dodało Alice otuchy.

– Przeprowadziłam się do Stratton?

– Miałaś ochotę na zmianę tempa. – Gethin powiódł spojrzeniem po obecnych, uśmiechając się kpiąco. – Definitywną zmianę w porównaniu z Londynem. Kilka razy cię odwiedziłem, kiedy mieszkałaś w Archway. Londyn jest bardzo ekscytujący, ale to nie dla mnie. W każdym razie nie na dłuższą metę.

– Jason i Elizabeth postąpili podobnie. – Margaret podsunęła im herbatniki. Alice zobaczyła, że ułożyła je na talerzu. – Obniżyli stopę dla lepszej jakości życia. Uważam, że to doskonały pomysł. A ty czym się zajmujesz?

Gethin w zakłopotaniu zmierzwił włosy.

– Jestem animatorem kultury. Nie występuję jako aktor. Wprawdzie na uniwersytecie grałem w kilku przedstawieniach, ale teraz zostawiam to zawodowcom. Zajmuję się pozyskiwaniem funduszy i organizowaniem spektakli w szkołach. Przygotowuję trasy dla zespołów teatralnych, urządzam wystawy. Tego rodzaju rzeczy. Każdy dzień jest inny. A praca z dziećmi jest super! Są pełne entuzjazmu.

Alice napiła się herbaty i po jej ciele rozlało się ciepło. Animator kultury. Świetnie. Mogła teraz przyznać, że po części bała się, iż Gethin okaże się kimś nudnym albo nieprzyjemnym. Ale animator kultury...

– A co robiłam ja? – usłyszała własny głos.

– Jak to co? Pracowałaś w pubie – powiedziała zaskoczona Libby. – Przecież o tym wiesz.

– Nie, wcześniej. Chyba nie olałam dobrej posady asystentki w City, żeby pracować w pubie?

– No nie. Zatrudniłaś się w agencji w Birmingham, ale nic z tego nie wyszło. Biały Koń to wyjście tymczasowe, zanim się nie pozbierasz, wiesz, nie

ustalisz, co dalej. – Ulegając namowom Margaret, Gethin poczęstował się kolejnym herbatnikiem. – Ale tak jest dobrze, bo częściej się widzujemy. A Tony mówi, że radzisz sobie świetnie.

– W to wierzę – powiedziała Libby. – Wystarczyło kilka dni, a już jest niezastąpiona w hotelu!

Alice jednak zwróciła uwagę na coś innego. Pozbieram się? Gethin zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo, bo jego policzki zalał rumieniec. Kiedy ich oczy się spotkały, wyglądał na skruszonego. Jakby wygadał się przypadkiem.

Złapał ją za rękę.

– Alice taka jest – powiedział, patrząc jej w oczy.

Jaka? chciała zapytać, ale skupiła się na dotyku jego skóry. Poczowała ulgę, kiedy Margaret zaproponowała, że doleje jej herbaty, a ona mogła cofnąć dłoń, żeby podać kubek.

– Naprawdę będzie nam ciebie brakowało. – W głosie Libby brzmiał szczery żal. – Bardzo nam pomogłaś. Zajmowałeś się dokumentami i recepcją, wyprowadzałeś Boba. Jak sobie bez ciebie poradzimy?

– Poradzicie. – Alice wróciła myślami do rzeczy, które znała.

Podczas rozmowy Libby narzuciła sweterek na sukienkę, czerwoną szminkę zostawiła na kubku. Jaśniejąca londyńska Libby zbladła, zastąpiła ją tutejsza, zwyczajna. Alice poczuła się swobodniej.

Gethin dopił herbatę i pokręcił głową, kiedy Margaret zaproponowała dolewkę.

– Nie chciałbym wydać się niegrzeczny, skoro byliście tacy dobrzy, ale powinniśmy się zbierać. Przez cały tydzień objeżdżałem szkołę i od ostatniego weekendu przespałem góra dziewięć godzin.

– Oczywiście. Przed wami długa droga. – Margaret zadrzała. – W ciemności.

– Przecież możecie zostać tutaj – oznajmiła Libby. – No, zgódźcie się! Zostańcie, zamiast po nocy jechać na drugi koniec hrabstwa!

Alice wpatrywała się w kubek i czuła, jak w jej wnętrzu narasta dziecięcy upór. Teraz, kiedy ta chwila nadeszła, wcale nie chciała opuszczać hotelu.

Nie bądź głupia, napomniała się. Teraz wiele rzeczy zdarzy się po raz pierwszy, ale czego tu się bać?

Podniosła wzrok. Tak jak się obawiała, Gethin wyglądał na dotkniętego jej widocznym brakiem entuzjazmu.

Uśmiechnęła się niepewnie. Odwzajemnił uśmiech, choć po krótkim wahaniu.

– Daj spokój, Libby, bądź sprawiedliwa. Wiem, że wolałabyś się nie rozstawać ze swoją najlepszą kumpelką, ale Alice pewnie chce wrócić do własnego łóżka – powiedział Jason. – Trzy tygodnie nie widziała go na oczy. No i chłopaka.

– Wiem, wiem! Przepraszam, zachowuję się egoistycznie. Pomogę ci spakować rzeczy, Alice.

– Jakie rzeczy? – Alice gestem wskazała na swój strój.

Wszystko należało do Libby.

Pragnęła powiedzieć: „W porządku, zostaniemy. Gethin i ja powinniśmy poznać się wzajemnie tutaj, gdzie czuję się bezpiecznie”, ale Gethin już wstał. Margaret zbierała kubki, a Jason kłął lorda Boba, który leżał akurat w takim miejscu, w którym ktoś mógł się o niego potknąć. Zanim do oszołomionej Alice dotarło, co się dzieje, już żegnała się z domownikami na frontowych schodach.

– Dzwonź o każdej porze i nie zapominaj o nas. – W oczach Libby lśniły łzy.  
– Wracaj, kiedy zechcesz.

– Obiecuję... – Alice urwała. Nie omówiły propozycji pracy. Wydawało się to niestosowne, skoro wracała do Stratton i Białego Konia. Do swojego dawnego życia. – Powiesz o wszystkim Luke’owi, dobrze?

Libby nie kryła zaskoczenia.

– Jeśli chcesz. Ale masz jego numer, prawda? Sama możesz mu powiedzieć.

Nie mogę, pomyślała Alice. Nie wiedziała dlaczego, ale jakiś głos mówił jej, że byłoby to nie na miejscu. Że związek między nią a Lukiem nie jest, hm, zły, bo wydaje się szczerzy, jak związek z Libby, ale nie powinna wspominać o tym Gethinowi. Te jego wielkie, brązowe, ufne oczy...

Nagle zobaczyła Luke’a wrzucającego dwie torebki cukru do jej kawy. Ale on pracuje w systemach bezpieczeństwa. Dostrzega szczegóły. A to był szczegół, nic więcej.

– Ruszajcie – powiedziała Libby. – Zadzwonisz do mnie rano? – Zniżyła głos. – Jest słodki. Dokładnie taki, ja się spodziewałam! Wiedziałam, że twój chłopak będzie super.

Gethin stał obok samochodu, czerwonego hatchbacka. Uśmiechał się, choć z mniejszą pewnością, i serce Alice podskoczyło. Rzeczywiście, jest słodki. Kiedy podeszła, obiegł samochód i otworzył przed nią drzwiczki.

– Dziękuję – powiedziała, wsiadając.

A potem oboje pomachali na pożegnanie i pojechali do domu.

Do jej prawdziwego domu.

## Rozdział 17

Kiedy Gethin zahamował, dom spowijała ciemność. Alice właściwie nie zdawała sobie sprawy, że dotarli do celu, dopóki nie wyłączył silnika i nie powiedział:

– Jesteśmy na miejscu.

Podróż przebiegła w napiętej atmosferze. Rozmowa nie toczyła się płynnie. Kiedy oddalili się od znajomych hotelowych klimatów, w głowie Alice zaczęły krążyć pytania. Zadanie ich teraz wydawało się jej niewłaściwe, skoro Gethin tak się cieszył ze spotkania. Na przykład: dlaczego jej nie szukał? Dlaczego rzuciła pracę w Birmingham? A przede wszystkim – dlaczego wybrała się na wyjazd dla ludzi przeciążonych stresem? Zamiast tego uprzejmie konwersowali o szkolnej trasie ze *Snem nocy letniej* i o tym, co Alice robiła w Łabędziu.

Teraz, pomyślała, wpatrując się w mroczną i pustą fasadę ich domu, nie pozostało już inne wyjście. Musimy porozmawiać o sobie.

– Boże! Nie mamy mleka! Przepraszam, chciałem wstąpić do Tesco. – Gethin zaczął odpinać pas, ale przerwał i uderzył się w czoło. – Wiesz, jak przeczytałem twój list, po prostu wybiegłem z domu. Nie mamy nic do jedzenia.

– Nie przejmuj się – odparła Alice automatycznie. – Nie jestem głodna.

– Może wejdiesz, a ja skoczę do sklepu? – zapytał niespokojnie. – To potrwa chwilkę. Wydaje mi się, że stacja jeszcze jest otwarta.

– Nie trzeba. Naprawdę. – Alice dotknęła dłoni Gethina, by przestał się przejmować; zrobiła to machinalnie, ale gest zaskoczył oboje. Zostawiła palce na sekundę lub dwie, po czym poklepała dłoń z uczuciem. – Chodźmy do środka.

Odpięła pas, podniosła z podłogi małą torbę z rzeczami. Kiedy się wyprostowała, Gethin już otwierał drzwiczki po jej stronie.

– Nie musisz, mówię szczerze. Aż taką kaleką nie jestem – powiedziała.



– Wiem, ale... Nie potrafię wyrzucić tego z głowy – odparł ze smutkiem. – Leżałaś w szpitalu, zdana tylko na siebie! A ja o niczym nie wiedziałem! Masz pretensje, że teraz chcę się tobą opiekować?

– Naprawdę, czuję się dobrze. Tylko... – Alice ponagliła go gestem.

Gethin wyłowił klucze z kieszeni i otworzył.

W holu unosiła się woń stęchlizny, jak w domu, w którym od kilku tygodni nikt nie mieszkał. Alice kilka razy czujnie pociągnęła nosem; zapach nie był obcy. Jasnoniebieskie ściany, naprzeciwko drzwi wyłożone jaskrawoczerwono-złotym chodnikiem schody, prowadzące na piętro. Na obudowie kaloryfera trzciny koszyk na pocztę i kilka oprawionych fotografii.

Wzięła do ręki najbliższą; selfie przedstawiające ją i Gethina na plaży, z twarzami przytulonymi do siebie, by obie zmieściły się w kadrze. W tle ołowiane niebo zlewające się ze stalowym morzem. Ich rozwiane wiatrem uśmiechy okalały obszyte futrem kaptury kurtek jak u Eskimosów.

To ja, pomyślała. Byłam tam, w tamtej chwili. Negatyw tego zdjęcia znajduje się gdzieś w mojej głowie. Oryginalny, z dołączonymi informacjami w postaci słów, emocji, wrażeń.

– Gdzie to jest? – zapytała.

– A, to Aberystwyth. Bardzo fajny weekend. W moje urodziny. – Gethin urwał z nadzieją, że Alice sobie przypomni. – W październiku – dodał, gdy milczała. – Dwudziestego pierwszego. Jestem spod znaku Wagi. – Mówiąc, wodził uważnym spojrzeniem po jej twarzy. Oboje po raz pierwszy zrozumieli ze smutkiem, że teraz tak to będzie wyglądać. – Mieszkaliśmy w hotelu nad brzegiem morza, a tobie szczególnie do gustu przypadły walijskie śniadania.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Z ekstraporcją smażonych wodorostów i wszystkimi dodatkami. Dokończyłaś nawet moje, co było prawdziwą nowością. – Uśmiechnął się.

– Nowością? Dlaczego?

Uśmiech zastygł na ustach, ale Gethin zaraz się opamiętał.

– Bo zwykle nie jadasz śniadań, tylko pijesz kawę. Kalorie. Powtarzam ci, że wyglądasz świetnie, ale... To musiało być morskie powietrze!

Naprawdę? Alice bez problemu jadała pełne angielskie śniadania przez cały tydzień; Libby ćwiczyła na niej jajka w koszulkach. Czy ona i Gethin wciąż byli na etapie miesiąca miodowego, „za bardzo zakochani, żeby jeść”? A może

ona udawała, że jada niewiele?

Odsunęła tę kwestię na bok.

– Dałam ci coś ładnego na urodziny?

– Zaplanowałam krótki wyjazd. Zaskoczyłaś mnie. Rozmawialiśmy o wakacjach w dzieciństwie i opowiedziałem ci o wyjazdach z rodziną do Aber. Nie miałem pojęcia, że zarezerwowałaś pokój. To było takie miłe z twojej strony!

Uśmiechnęła się, zadowolona, że zrobiła mu przyjemną niespodziankę. Podobał się jej liryczny styl Gethina, jego kwiecisty nacisk na niektóre słowa, ekspresyjny akompaniament ruchliwych brwi.

– Wygląda na to, że dobrze się bawimy.

– To był rewelacyjny weekend. Spacerowaliśmy brzegiem morza, dopóki nie zaczęło padać, potem poszliśmy do kafejki na rybę z frytkami i zastanawialiśmy się, które z mieszkań moglibyśmy kupić, gdybyśmy wygrali na loterii. Obiecaliśmy sobie, że w tym roku też tam pojedziemy. Podoba mi się, że ty i ja miło spędzamy czas w zwykłych miejscach. W tej kwestii od początku się ze sobą zgadzaliśmy.

Patrzył na nią z miłością, lecz Alice nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. To byłoby zbyt intymne, zbyt wczesne. Udawała, że zaabsorbowało ją szukanie odpowiedzi we własnej twarzy na fotografii. Oczy częściowo zakrywało sztuczne futerko, ale uśmiech był szeroki i radosny. Czy ta kurtka jest na piętrecze? Czy kiedy obudzę się rano, towarzyszyć mi będzie ta romantyczna aura?

– Chciałabym wrócić – powiedziała. – To znaczy do Aberystwyth.

– Jasne. – Gethin łagodnie dotknął jej ramienia.

Tym razem się nie wzdrygnęła.

Siedzieli przy kuchennym stole i pili colę z lodówki. Gethin mówił, że mieszka tu od trzech lat, a Alice wprowadziła się jakieś osiem miesięcy temu.

– Na początku mieszkałem z Rickym. Potem zaczęliśmy się spotykać. Ricky przeniósł się do Bristolu, a ty doszłaś do wniosku, że powinnaś zmienić otoczenie, więc się wprowadziłaś. To był jeden z tych przypadków synchroniczności. Sporo o tym mówiliśmy na tamtym obozie. Kiedy coś jest dla ciebie dobre, wszystko inne także się układa.

Alice obracała w dłoniach zimną puszkę. Hasło „obóz we Włoszech”

brzmiało coraz lepiej. Gdyby tylko mogła go sobie przypomnieć...

– A kiedy to było?

– W kwietniu zeszłego roku.

– A wprowadziłam się tutaj...?

– Dziesiątego września. – Ujął jej dłoń. – Wygląda na to, że się pospieszyliśmy, ale między nami jest bardzo dobrze. My... Uszczęśliwiamy się wzajemnie.

Alice wpatrywała się w zrobioną na plaży fotografię. W kuchni były i inne zdjęcia: ona w dżinsowych szortach i kapeluszu na biwaku, oboje z Gethinem na jakimś festiwalu. Wszystko sprawiało dobre wrażenie. Wyglądało na to, że zakochali się w sobie do szaleństwa.

Jej żołądek skurczył się z niepokoju na myśl, że miała coś cudownego, coś, co zdarza się raz w życiu, a teraz nie tylko to utraciła, ale też nie pamięta, jak było.

Pragnęła zapytać: „Co sprawiło, że się w sobie zakochaliśmy?”. Nie odczuwała wyjątkowego fizycznego pożądania, ale pociąg to chyba rzecz bardziej skomplikowana? Jest kombinacją zbiegów okoliczności, błysków porozumienia bez słów, właściwych słów we właściwych momentach, wspólnych reakcji na chwile, które przeminęły na zawsze. Wspomnień. Miliona maleńkich wspólnych wspomnień.

– Wyglądasz na zmęczoną, Króliczku – powiedział Gethin. – Chcesz iść do łóżka?

Coś musiało przemknąć po jej twarzy, bo zamrugał i dodał pospiesznie:

– Nie to miałem na myśli, tylko... Hm, przepraszam. Chciałem...

Z wysiłkiem szukała właściwej odpowiedzi. Zaledwie trzy tygodnie temu byli tak blisko, jak tylko może być dwoje ludzi, swobodnie się czuli w towarzystwie drugiego, znali wzajemnie swoje ciała, smak i zapach. Lecz teraz, gdy nieznajomy sugerował, żeby poszła z nim do łóżka, w jej myślach krążyło tylko jedno słowo. Nie.

– Wiem, o co ci chodziło.

To przyzwoity gość, stwierdziła w duchu.

Widziała to w jego oczach. Wyglądali dobrze na fotografiach. Byli parą. Robienie sentymentalnych fotek nie wprawiało ich w zakłopotanie.

To wszystko wróci. Wspomnienia nadal gdzieś tam są.

– Idę do toalety – powiedziała. – Na piętrze, tak?

– Pierwsze drzwi po lewej – odparł Gethin. – Zacinają się, więc ich nie

zamykaj na klucz.

– Dzięki. To by dopiero była pamiętna pierwsza noc, gdybym zatrzasnęła się w kibelku! Chyba że kiedyś już to zrobiłam?

Gethin uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

Alice przymknęła drzwi łazienki i próbowała przygotować się na to, co ją teraz czeka: pójście do łóżka.

Na drążku z nierdzewnej stali wisały dwa błękitne ręczniki. Biała wanna. Wielkie białe kafelki, granit na podłodze. Libby pochwaliłaby tę łazienkę. Alice przysiadła na kłapie sedesu, oddychając głęboko, i patrzyła na powiększający objętość włosów szampon, który musiała kupić, na szczoteczkę do zębów, która musiała należeć do niej. W końcu jej wzrok padł na woreczek z przyborami do makijażu.

Nie mogłam uciec do Longhampton, skoro nie wzięłam kosmetyczki, pomyślała i poczuła nieoczekiwaną ulgę.

To był fakt. Solidna, logiczna cegła, na której mogła budować.

Wstała i po cichu wysypała zawartość do umywalki: podkład, konturówka do oczu, korektor, tusz do rzęs, kredka do brwi. Porządne kosmetyki, niektóre drogie. Przez ostatnie tygodnie Alice nie malowała się wcale. Libby zaproponowała jej swoje upiększacze, ale nie czuła takiej potrzeby.

Wzięła do ręki pędzelek do różu i z namysłem przesunęła po linii szczęki. Gest sprowokował mgliste wspomnienie nakładania makijażu do pracy, budzenia obwisłej skóry samoopalaczem, ukrywania ciemnych kręgów pod korektorem. Robienia tego wszystkiego z wciąż przymkniętymi, zaspanymi oczami.

Nie odchódź! pomyślała i gwałtownie uniosła powieki.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Przyniosłem ci czysty ręcznik – powiedział Gethin. – Ciepła woda powinna być. Gdybyś chciała się wykąpać.

– Dziękuję! – Odczekała kilka sekund, a potem powoli otworzyła drzwi.

Ręcznik i poskładana piżma.

Pomyślał o wszystkim. Przewidział, co Alice musi czuć. To był dobry znak.

Wzięła szybką kąpiel i wyszła na korytarz.

Na piętrze znajdowały się dwa pokoje, po obu stronach łazienki. W jednym paliło się przytłumione światło i Alice domyśliła się, że tam jest Gethin.

W naszej sypialni.

Nabrała powietrza w płuca i weszła.

Pokój nie wydawał się znajomy – ogromne łóżko z drewnianym zagłówkiem, biała kołdra, prosta szafka, dwie wielki odbitki nadmorskich krajobrazów na ścianach. Kamyki, morze, niebo.

Alice zdawała sobie sprawę, że przygląda się szczegółom, żeby uniknąć głównej kwestii. Na łóżku siedział Gethin i czekał

– Wszystko w porządku? – zapytał dziarsko.

– Tak. Dziękuję.

Pytanie wisiało w powietrzu. Alice wiedziała, że musi zrobić krok, coś powiedzieć albo...

Dylemat rozwiązał Gethin.

– Boże, przepraszam! – powiedział, odrzucając kołdrę. Podkoszulek i niebieskie bokserki okrywały muskularne ciało. Ciepłe, pomyślała Alice, usiłując sobie wyobrazić, jak Gethin trzyma ją w ramionach, kładzie się na niej. – Nie mam pojęcia, co sobie myślałem. Wydawało mi się, że sobie przypomnisz. Że wszystko wróci.

– Nie sądzę, że będzie to aż tak proste... – Alice przerwała. Żałowała, że nie potrafi tego wyjaśnić. – Tak mi przykro.

Nie tylko Gethin był zakłopotany, ona też. Nie chodziło o to, że nie uważała go za atrakcyjnego – wręcz przeciwnie – ale nie ulegało wątpliwości, że ich związek nie na tym polegał. Zaczął się od wypełnionego zwierzeniami i obnażaniem duszy pobytu we Włoszech. Z pewnością nawiązali łączność na głębszym, bardzo osobistym poziomie. Nie mogła tak po prostu... udawać.

– Będę spał w gościnnym pokoju – oznajmił Gethin i uniósł rękę, by odeprzeć jej protesty. – Nie, nie, rozumiem. To... Powinienem być pomyśleć.

Jego brązowe oczy były takie smutne!

Alice poczuła się okropnie. Złapała go za rękę, kiedy do niej podszedł. Zatrzymał się. Stali tak przez chwilę, po czym Gethin objął ją bardzo delikatnie, żeby nie urazić w żebra. I przyjął taką pozycję, żeby nie stykali się lędźwiami, a mimo to ją otulać.

Alice mu pozwoliła, ponieważ chciała mu pozwolić. I ponieważ to było miłe. Dziecięce kroczyki, pomyślała. Gethin potrafił obejmować.

Wreszcie poczucie bezpieczeństwa sprawiło, że się odprężyła.

– Przepraszam – powiedział z ustami w jej włosach. – Tak bardzo przepraszam.

- Za co?
- Za wypadek. Gdybym mógł cofnąć tamten dzień...
- Jaki dzień? Co się stało? – Alice uderzyła dziwna nuta w jego głosie.
- Czy to teraz ważne?
- Ważne. – Cofnęła się, żeby spojrzeć mu w twarz. – Bardzo ważne. Muszę wiedzieć, co zaszło. Lekarz uprzedzał, że mogę nigdy nie odzyskać wspomnień sprzed samego wypadku, a ty jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc w poskładaniu elementów w całość.
- Czy rzeczywiście? Przecież był także Luke.
- Nie chcę zaczynać od złych rzeczy.
- Gethinie, muszę wiedzieć.
- Wziął głęboki wdech i poklepał skraj łóżka. Usiedli, twarzami do zaciągniętych zasłon.
- Szczerze mówiąc, pokłóciliśmy się. – Z zakłopotaniem skubał skórkę. – Rano mieliśmy jechać na urlop. Zaplanowaliśmy dwa tygodnie we Francji, ale udało mi się podnieść poprzeczkę. Dwa tygodnie w Tajlandii.
- W Tajlandii? Ho, ho!
- Alice bez trudu mogła wyobrazić sobie siebie na plaży w Walii. Ale nie w Tajlandii.
- Gethin zdobył się na krzywy uśmiech.
- To była nasza rocznica. Pięciogwiazdkowy hotel, luksusowy kurort i tak dalej. Wcześniej nic takiego nie robiliśmy. Nie zacznij tylko myśleć, że jesteśmy globtrotterami. Simon... Hm, Simon to mój kolega z uniwerku. Nie wiem, czy go pamiętasz? Nie? Nieważne. W każdym razie Simon wykupił tę wycieczkę, ale potem nie dostał urlopu, więc zaproponował, żebyśmy pojechali, o ile uda mi się zarezerwować loty. Wszystko załatwiłem, chciałem zrobić ci niespodziankę.
- Och. I co dalej? Nie mów, że się wściekłam z powodu bajecznych wakacji w Tajlandii?
- Zawahał się, ale ze sposobu, w jaki sięgnął po jej rękę, domyśliła się prawdy. Gethin był zbyt miły, żeby powiedzieć: „Tak, wściekłaś się”. Tyle że jej zależało na szczerości.
- Z jakiegoś powodu nie chciałaś jechać.
- Tego Alice się nie spodziewała.
- Dlaczego?
- Teraz to naprawdę bez znaczenia. Nie udało się nam tego ustalić. – Gethin

przygryzł wargę. – Siostra powiedziała mi, że nie spojrzałem na sprawę z twojego punktu widzenia. Że spakowałaś się na zupełnie inny rodzaj wakacji. „Dziewczyny trzeba uprzedzać, że jadą na pięciogwiazdkowe wakacje na plaży”. Tak dokładnie brzmiały jej słowa.

– Ale to takie dziwne. Pokłóciliśmy się, bo nie spodobał mi się wyjazd?

– Nie wiem. Jak mówiłem, to była głupia sprzeczka, która wymknęła się spod kontroli. Oboje byliśmy zmęczeni. Dlatego, między innymi, wybieraliśmy się na urlop. – Potarł twarz. – Zostawmy tę sprawę za nami. Wtedy nie miało to znaczenia, teraz tym bardziej.

Alice usiłowała przetrwać nową informację, ale przeszkadzało jej zakłopotanie. Narobiła okropnego zamętu z powodu słodkiego, szczodrego gestu. Zepsuła to. Dlaczego?

– Więc co było potem?

– No, kłóciliśmy się, powiedziałaś, hm, żebym sam pojechał, i wyszłaś. A skoro tak zdecydowałaś, to zadzwoniłem do swojego kumpla Huwa i zaproponowałem mu wolny bilet. Całkiem dobrze się bawiliśmy. – Gethin dotknął jej ręki. – Z tobą, oczywiście, byłoby o wiele lepiej. Huw już trzeciego wieczoru miał po dziurki w nosie moich jęków. Ciągłe pisałem do ciebie esemesy, więc schował mi telefon. – Zerknął w bok. – Ani razu nie odpowiedziałaś. Założyłem, że naprawdę jesteś na mnie wściekła.

– Przepraszam – odparła Alice cicho. – Nie wiem, gdzie podziała się moja komórka. Pewnie miałam ją w torebce.

– Nie przejmuj się. Nie zwykliśmy się kłócić. To była pierwsza, i mam nadzieję, ostatnia, awantura. – Gethin odwrócił się w jej stronę. Teraz siedzieli bardzo blisko. Nie na tyle, by się dotykać, ale by czuć ciepło jego nóg promieniujące na jej nogi. – Ale to pytanie muszę ci zadać. Dlaczego byłaś w Longhampton?

– Nie wiem. Miałam adres hotelu w kieszeni, ale nie mam pojęcia, dlaczego się tam wybrałam.

– Nic nie podejrzewasz?

– Nie. Musiałam o hotelu usłyszeć od Luke’a. Chociaż raczej nie szłam tam na rozmowę o pracę, bo się mnie nie spodziewano...

– Luke? – zapytał zdziwiony Gethin.

Nie wspomniałam mu o Luke’u, pomyślała Alice. Poczwała, jak jej pierś ściska obręcz.

– Luke Corcoran. Brat Jasona.

– Był tam dzisiejszego wieczoru? – Gethin zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć. – Wydawało mi się, że mówiłaś, że nie znałaś tych ludzi?

– Bo nie znałam. W zeszłym miesiącu Luke mieszkał w Białym Koniu. Pewnie mi powiedział, że jego brat i bratowa niedawno przejęli hotel. Że go odnawiają. Tak się domyślałam. – Alice usiłowała znaleźć lepsze wyjaśnienie od tego, które krążyło jej w głowie. – Może poradził mi, żebym tam pojechała i się rozejrzała?

Umówiłam się z nim? Ale Luke’a w Łabędziu nie było. Nie spodziewał się mnie. Teraz inne pytania domagają się odpowiedzi.

– Kiedy wróciłeś i mnie nie było... Nie zastanawiałaś się, co się ze mną dzieje?

– Jasne, że tak! Dzwoniłem, pisałem mejle i esemesy. I nic. – Gethin uniósł ręce i zaraz je opuścił. – Myślałem, że ze mną zerwałaś. Bo wiesz, powiedzieliśmy sobie różne rzeczy, ale... Co właściwie mogłem zrobić, skoro nie oddzwaniałaś? Zresztą byłem w domu tylko przez pół dnia. Cass... Moja koleżanka Cass na próbie technicznej złamała nadgarstek i musiałem ją zastąpić na szkolnej trasie, więc właściwie prosto z lotniska pojechałem na tydzień do Yorkshire. Zakładałem, że będziesz w domu. No, miałem nadzieję.

– I wciąż dzwoniłeś?

– Owszem. – Spojrzał tymi swoimi otwartymi, szczerymi oczami. – Chociaż ty nie oddzwaniałaś. Wiedziałem, że coś cię zdenerwowało. Wiesz, czasami bardzo emocjonalnie podchodzisz do różnych spraw, a ja nie potrafię wtedy do ciebie dotrzeć. Myślałem, że to jedna z takich sytuacji.

Alice słuchała o wersji siebie, która wcale jej się nie podobała. Czy należą do osób, które potrafią dąsać się przez trzy tygodnie? Albo zniknąć bez śladu?

– Cóż, nie miałam telefonu, Gethinie. Przez ostatnie trzy tygodnie nie wiedziałam, kim jestem ani co się dzieje. Gdybym miała komórkę, mogłabym wrócić do domu w ciągu kilku godzin.

– Tak mi przykro. Trudno mi to wszystko pojąć. – Przeczesał dłonią gęste włosy.

Serdeczny nastrój wyczerpywał się z wolna. Alice zaczynała boleć głowa. Obawiała się tego bólu. Nie potrafiła przestać się martwić, że jej mózg przerwał tajemne zdrowienie. Że być może nawet się cofa. Zrywa świeże ogniwa pomiędzy kruchymi wspomnieniami.

Siedzieli na łóżku w milczeniu.

Rankiem ten pokój znów będzie wyglądał znajomo, obiecała sobie Alice,



wpatrując się w żółte kręgi na szarych zasłonach. Pojawi się brakujący element. Zaczniemy od nowa.

Znieruchomiała. Tylko czego brakuje? Szukała w myślach; doznanie wymknęło się i znikło. To było złudzenie. Nie brakowało niczego. Poza ich dawnym związkiem.

Gethin wstał.

– Dobrze. Idę do pokoju gościnnego – oznajmił. – Musisz się dobrze wyspać. Pewnie zapomniałaś już, jak chrapię. – W głosie pobrzmiwała praktyczna uprzejmość. – Rano nawet nie próbuj wstawać, dopóki nie przyniosę ci śniadania do łóżka. Bardzo proszę.

Uśmiechnęła się, a on musnął jej twarz palcami. Nie odrywając od niej wzroku, ujął jej policzek w dłoń i czule gładził kciukiem.

– Alice, nawet nie wiesz, jak dobrze jest mieć cię znów w domu – powiedział, a jej stopniało serce. Wtuliła się w jego rękę, całkiem jak lord Bob, kiedy skrobała go za uchem. – Myślałem... Tak cię cieszę, że miałaś wypadek, a nie zerwałaś ze mną – dodał i niemal natychmiast jego twarz wykrzywiło przerażenie. – O Boże, to zabrzmiało strasznie! Przepraszam, Boże, wcale nie o to mi chodziło, Alice...

Roześmiała się, po raz pierwszy spontanicznie w jego obecności. Doznała wielkiej ulgi, Gethin także pojaśniał i Alice poczuła pierwszy błysk pewności siebie. Będzie dobrze, pomyślała.

A kiedy życzył jej dobrej nocy i ich spojrzenia się spotkały, przez sekundę zastanowiła się, czy nie powinna powiedzieć: „Nie, daj spokój, śpij tutaj, w naszym łóżku”. Co złego mogłoby się stać? Gethin był słodki. Łagodny.

Zakładał pasiasty szlafrok, sądząc ze stanu tkaniny, stary i ulubiony. Czy owinęłam się nim pierwszej nocy, którą tu spędziłam?

– Gethin, czy ty... Może będziesz spał tutaj?

Odwrócił się ku niej.

– Jesteś pewna?

Pokiwała głową.

Na jego twarzy rozlał się wyraz szczerego szczęścia.

Alice wsunęła się pod kołdrę i ułożyła wygodnie, świadoma obecności mężczyzny zaledwie kilka centymetrów obok. Jego ciężaru na materacu. Gethin nachylił się i z szacunkiem pocałował ją w głowę. Pachniał miętową pastą do zębów i nieznanym szamponem.

– Dobranoc, kochanie – powiedział.

Kiedy zasnął, Alice leżała wpatrzona w sufit i pozwalała, by myśli kołowały jej w głowie jak jaskółki gromadzące się w stada przed długą podróżą na południe, przybierając różne ciemniejsze i jaśniejsze kształty. Które rozpadały się, zanim zdążyła je uchwycić.

## Rozdział 18

Rano zgodnie z obietnicą, Gethin przyniósł jej filiżankę herbaty do łóżka. Później Alice zaproponowała, żeby poszli się przejść. Rozmowa podczas spaceru wydawała się łatwiejsza niż siedzenie w domu, gdzie otaczały ją fotografie z życia, którego nie pamiętała. Nie mogła bez końca pytać, co robili albo o czym myśleli, bo w troskliwej cierpliwości Gethina pojawiały się rysy i Alice na nowo czuła się źle.

Ledwie w niedzielę wieczorem usiedli do stołu, by zjeść curry (prawdziwa uczta, z „ich” restauracji na wynos), w holu zadzwonił telefon. Gethin odebrał. Alice się nie zdziwiła, słysząc, jak mówi:

– Tak, jasne, Libby. Zaraz ją poproszę. – Zwrócił się do Alice. – To Libby. Do ciebie. – Zakrył dłonią mikrofon. – Powiedziałem, że jemy kolację. Obiecała, że to nie potrwa długo.

Alice uśmiechnęła się i wzięła słuchawkę.

– Cześć, Alice! – Libby wydawała się wytrącona z równowagi. – Bardzo przepraszam, że przeszkadzam podczas kolacji, ale muszę cię prosić o ogromną przysługę.

– Słucham – odparła Alice. – Przecież jestem ci winna co najmniej jedną. I to całkiem sporą, prawda?

– Możesz jutro przyjechać i mi pomóc? Będą nam instalować nowy internet szerokopasmowy, a Jason musi zawieźć mamę do okulisty – Alice wyczuła, że Jason jest gdzieś w pobliżu telefonu. – A ja nie mam o tym zielonego pojęcia. Wiem, że znasz się na komputerach. Nie chciałabym zepsuć arkuszy, które prawie skończyłaś.

– Oczywiście, z przyjemnością. Do Longhampton kursuje pociąg, prawda?

– Ratujesz mi życie! Wielkie dzięki! Co u ciebie?

Libby zniżyła głos. Alice wiedziała, że łaknie zakończenia z rodzaju „żyli długo i szczęśliwie”.

– Super! – odparła, świadoma, że Gethin słucha. – Ja... eee...

Do zobaczenia jutro!

Kiedy ustaliły szczegóły i rozłączyły się, Gethin podał jej talerz. Była na nim o wiele mniejsza porcja niż na jego, lecz Alice domyśliła się, że starał się go nie przeładować, bo być może kiedyś grymasiła przy jedzeniu. Zawsze mogła wziąć dokładkę. Może na pierwszych randkach skubała jedzenie jak ptaszek, a potem nie udało się jej z tego wycofać?

– Pachnie świetnie! Mówiłeś, że ta knajpka jest tybetańska?

Gethin nie zwracał uwagi na curry.

– Nie próbuje przypadkiem ściągnąć cię z powrotem, co? – zapytał.

Alice ze zdumieniem dostrzegła, że Gethin zaciska szczęki.

– Nie! Potrzebuje pomocy przy instalacji szerokopasmowego internetu. Cieszę się, że mogę pomóc. Dlaczego pytasz? Zaplanowałeś coś na jutro?

– Nie. Nnno nie. Chodzi tylko o... – Sprawiał wrażenie, że toczy wewnętrzną walkę, niepewny, czy powiedzieć, co naprawdę myśli.

– O co? – Alice znieruchomiała z widelcem w połowie drogi do ust.

Gethin zmarszczył czoło.

– Mam nadzieję, że nie zamierza cię wykorzystywać. Żerować na twoim poczuciu wdzięczności.

Alice się roześmiała, głównie na myśl o Libby wykorzystującej kogokolwiek.

– Nic w tym rodzaju! Dlaczego tak mówisz? Poznałeś Libby! Jest urocza!

– Wiem, to prawda. Ale... Jesteś tak słodka, że ludzie zawsze cię wykorzystują. Tony zawsze w ostatniej chwili prosił, żebyś zostawała na dodatkową zmianę, a ty się godziłaś. Ja jestem taki jak ty. To jedna z rzeczy, które nas łączą. Och, przepraszam, to źle zabrzmiało. Wiem, że nie znosisz odmawiać, więc czasami robię to ja. W twoim imieniu, a ty w moim. Tworzymy zespół.

Jego słowa trąciły strunę na dnie świadomości. Opiekuńczość Gethina wzruszała.

– Libby taka nie jest – zapewniła raz jeszcze.

– Na pewno nie. – Gethin podsunął jej raitę. – Ale ty masz naturę dawcy. A zresztą, czy możesz mieć do mnie pretensje, że się o ciebie troszczę? Po tym, co się stało?

Uśmiechnął się łagodnie i chłopięco. Alice odwzajemniła uśmiech, pomimo niepokojącego wrażenia, że Gethin widzi kobietę, którą zna, a która dla niej jest obcą osobą.

Libby czekała przed dworcem z lordem Bobem na smyczy. Równocześnie pisała esemesa, marszczyła czoło i balansowała kubkiem kawy ze stoiska w parku.

Bob na widok Alice pomachał ogonem z taką siłą, że szarpnął trzymającą go rękę. Libby krzyknęła i podniosła wzrok. Kiedy zobaczyła przyjaciółkę, jej twarz pojaśniała.

– Co za miłe powitanie! – powiedziała Alice. – Przepraszam, że nic dla ciebie nie mam – dodała, kiedy Bob próbował wepchnąć nos do jej torby.

Wybrała z garderoby torbę, sukienkę i dżinsowy żakiet.

Dziwnie było patrzeć na własne ubrania. Niektóre momentalnie przywołały przeszłość, jak granatowa garsonka z Hobbsa – Alice pamiętała, że ją kupiła, gdy szła do pierwszej pracy; głowę natychmiast wypełniły wspomnienia obolałych palców u stóp oraz albumu Coldplay, którego słuchała codziennie przez wiele miesięcy – inne nie znaczyły nic. Na przykład długa czarna suknia, którą według Gethina kupiła na bożonarodzeniową imprezę u niego w pracy. Jego ulubiona suknia. Nawet gdy pokazał jej zdjęcie w tej kreacji – on ją obejmował, ona unosiła ku niemu twarz pod jemiolą – Alice nie przypominała sobie niczego.

– Mam twoje rzeczy. Wyprane i wyprasowane. Bardzo ci dziękuję. Dzięki tobie nabrałam upodobania do kosztownych strojów do jogi.

– Och, niepotrzebnie! Na tobie i tak wyglądały lepiej. Przepraszam za Boba.  
– Libby wskazała głową na psa, który teraz gapił się na wiewiórkę, marszcząc krzaczaste brwi. – Zabrałam go na spacer, bo musiałam wyjść z hotelu. Ekipa jest tam dopiero od dziesięciu minut, a już rozwalila niewłaściwą ścianę.

– Co takiego?

– Wiem, wiem. Zamiast połączyć piątkę z szóstką, żeby zrobić miejsce na łazienkę, udało się chłopcom zrobić dziurę w siódemce. – Libby wyglądała na sfrustrowaną. – Jason próbował dodzwonić się do Marka, żeby to wyjaśnić, ale Marek nie odbiera. Niezbyt zachęcający początek tygodnia.

– Rzeczywiście. Ale kiedy będziesz miała zainstalowane szerokie pasmo, od razu poczujesz się lepiej – odparła Alice. – I będziesz mogła popracować nad stroną internetową. Zadzwońię do projektantów. Jeśli chcesz, udam, że jestem twoją asystentką.

Libby pakowała Boba do samochodu.

– Naprawdę miło z twojej strony, że dzisiaj przyjechałaś – powiedziała, zastygając z masywnymi psimi łapami na zderzaku. – Na pewno nie wolałabyś raczej być w domu z Gethinem i nadrabiać zaległości?

– Jest w pracy. Co mam robić w domu? Im szybciej sprawy wrócą do normy, tym większe prawdopodobieństwo, że ja poczuję się normalna.

– Skoro tak uważasz...

Alice wsiadła do samochodu i zapięła pas.

– Tak uważam. A teraz wracajmy, zanim ekipa zburzy kolejne ściany.

Libby zatrzasnęła drzwiczki i umościła się za kierownicą.

– Jak leci? Miałaś dobry weekend?

– W porządku. – Zabrzmiało to nieprzekonująco. – W porządku! – powtórzyła Alice z większym entuzjazmem.

Libby zerknęła, unosząc brew.

– Czy to pierścionek?

Alice spojrzała na swoje dłonie. Na palcu miała pierścionek, który znalazła na toalecie. Włożenie go nie pobudziło wspomnień, ale Gethin ucieszył się na jego widok. A to coś mówiło.

Choć z drugiej strony, Alice poczuła skurcz w żołądku. Pomyślała o Luke’u i tajemnicach, o których nawet nie wiedziała, że je zna. To nie była właściwa reakcja, nieprawdaż?

Libby, która wcześniej włączyła silnik, teraz go wyłączyła.

– No, mów – powiedziała. – Zanim wrócimy do hotelu. A może wolisz pospacerować? Bob zawsze chętnie korzysta z dodatkowej okazji do spotkań z wielbicielami. – Ruchem głowy wskazała tył auta.

– Tak – odparła Alice. – Bardzo chętnie.

Libby ponownie wypuściła Boba, po czym ruszyły drogą prowadzącą do parku. Alice zrelacjonowała rozmowę przed pójściem spać i zakłopotanie towarzyszące jej i Gethinowi przez cały weekend, po czym stwierdziła:

– Rzecz w tym, że najwyraźniej nasz związek był, jest, poważny i bardzo emocjonalny. Gethin ciągle opowiada, jak dobrze się rozumiemy. Wie o śmierci moich rodziców, więc on też musiał mówić mi o swoich sprawach osobistych. A ja tego nie pamiętam. Najgorsze jednak jest to... – Urwała i się zarumieniła.

Libby swoim zwyczajem podjęła kwestię, której jej rozmówczyni nie

potrafiła ująć w słowa.

– Nie podoba ci się?

– Podoba! To znaczy w teorii. Jest przystojny, ale... – Alice przygryzła wargę. – Pamiętam dość, żeby wiedzieć, że w przeszłości sparzyłam się na przystojnych facetach. W Londynie, gdy pracowałam jako asystentka. A Gethin jest inny. Cokolwiek nas łączyło, było bardziej emocjonalne. Bardziej, hm, subtelne.

– Może powinniście wyjechać na takie wakacje ponownie? No wiesz, na takie, na których się poznaliście.

– Może. Poszukałam informacji w internecie i fotografie były znajome. Dołączono mnóstwo wpisów od ludzi, którzy opowiadali, jak dzięki temu pobytowi dowiedzieli się, kim naprawdę są. Ja kompletnie tego nie pamiętam. Wiem, że byłam w stresie z powodu pracy, tak mi się wydaje, i związku, który nie skończył się dobrze... – umilkła.

Naprawdę o tym wie? Czy raczej tak powiedział jej Gethin? Na to samo wychodzi. Jej wspomnienia, tyle że przechowane przez niego.

– Nie pamiętasz, że tam byłaś?

Alice pokręciła głową.

– Od tego zaczyna się czarna dziura. Nie pamiętam Gethina i nie pamiętam, co mi mówił o powodach, dla których zdecydował się na ten wyjazd.

– Och, to fatalnie.

– Muszę go zapytać. Stąpam po kruchym lodzie i cały czas się martwię, czy przypadkiem czegoś nie palnę, bo nie pamiętam o jakichś osobistych sprawach, z których mi się zwierzył. Wiesz, jego naprawdę przygnębia, kiedy nie potrafię sobie przypomnieć, jak się układało między nami. Myślę, że Gethin dlatego się męczy. Bo on o mnie wie wszystko.

No, prawie wszystko. Nie wiedział, dlaczego była w Longhampton. Albo dlaczego zareagowała taką niewdzięcznością, gdy chciał ją zabrać na wspaniałe zagraniczne wakacje. To były drobne luki, których żadne z nich nie potrafiło wyjaśnić, choć Alice czuła, że zostaną zapełnione lada moment.

Libby patrzyła na nią z ukosa z tą swoją miną, która pojawiała się zawsze podczas poszukiwań rozwiązania problemu.

– To tylko sugestia, ale może pozwolisz, żeby Gethin zdobył cię ponownie?

– To nie jest łatwe, kiedy dzieli się łazienkę.

– O to właśnie mi chodzi. Na razie z tego zrezygnuj. Przyjedź do nas na tydzień czy dwa i umawiaj się z Gethinem na randki. Powrót do domu nie

wpłynął na twoją pamięć, więc przestań się tym stresować. Niech sprawy toczą się swoim trybem. Założę się, że Gethin chętnie się do ciebie pozaleca. Wygląda na romantyka.

Alice rozważała propozycję. Pomysł nie był zły, a Gethin rzeczywiście miał romantyczną duszę. Cechowała go staroświecka galanteria, bardzo urocza. A co więcej, dzięki takiemu układowi zyskałby większą kontrolę nad tą idiotyczną sytuacją, w której znalazł się nie z własnej woli.

– Nie chciałabym narzucać się tobie i Jasonowi...

– Wcale się nie narzucasz! Wyświadczasz mi przysługę. A poza tym tęsknimy za tobą, prawda, Bob? No więc jak? Omów sprawę z Gethinem i ciesz się romanssem! Z góry wiesz, że zakończenie będzie szczęśliwe. Z którejkolwiek strony patrzeć, wygrywasz.

– Tak – przyznała Alice. – Myślę, że chyba masz rację.

Gethin zareagował tak, jak przypuszczała. Po jego twarzy przemknęło rozczarowanie, szybko jednak stłumione.

– Udowodnię ci, dlaczego jesteśmy dla siebie stworzeni – powiedział, kiedy się pakowała. – Szczęściarze z nas, że mamy szansę zakochać się od nowa. Poczekaj, a się przekonasz.

Na pierwszą „randkę” umówili się w czwartek. Alice pojechała pociągiem z Longhampton do Stratton, gdzie Gethin odebrał ją z dworca. Miał na sobie nieznaną jej marynarkę (zamiast zwykłej koszulki polo) i zrobił coś z włosami; rozwichrzone loki były gładkie i ujarzmione. Zamiast jednak pojechać do miasta, jak spodziewała się Alice, ruszył w kierunku domu.

– Zaczekaj – powiedział, zanim Alice zdążyła wysiąść. – Muszę zrobić kilka rzeczy.

Kiedy została sama, wierciła się niespokojnie. Libby, bardzo podekscytowana pomysłem randki, pomogła się jej wyszykować. Obie założyły, że to będzie restauracja, kino albo coś w tym rodzaju, dlatego Alice ubrała się odpowiednio.

Nie miała czasu zastanowić się, jak bardziej „udomowić” swój strój, bo wrócił Gethin. Otworzył drzwi i wprowadził ją do środka.

Hol został przekształcony w migotliwe morze świateł, z kuchni dobiegał aromat czosnku i ziół oraz łagodny głos Adele. Światło odbijało się od ustawionych na stoliku fotografii ich obojga.



- Jejku! To jest bardzo... romantyczne – powiedziała Alice.
- Świetnie! Miałem nadzieję, że nie zapytasz: „Odciełi ci prąd?”. – Gethin potarł brodę. – Włożyłem obiad do piekarnika. Powinien być gotowy za jakąś godzinę.
- Och, przepraszam! Kiedy powiedziałaś, że planujesz coś wyjątkowego, pomyślałam, że dokądś pójdziemy.
- Zlustrowała jego marynarkę i modne spodnie. Z niczym się jej nie kojarzyły.
- Czasem dobrze jest się postarać. – Wyciągnął rękę po żakiet. – Ty też pięknie wyglądasz!
- Dziękuję.
- Libby pożyczyła jej jedną ze swoich wyjściowych kreacji („Powinnaś się wystroić! Później będzie mnóstwo czasu na dzinsy!”) i chociaż Alice wyśmiała małą czarną na wieszaku, zmieniła zdanie, kiedy ją włożyła. Sama nie miała nic podobnego w swojej garderobie, ale krój świetnie pasował, jakby sukienkę uszyto dla niej. Była bardzo obcisła.
- Powinnaś ją zatrzymać. – Libby westchnęła. – Nigdy nie wyglądałam w niej tak seksownie.
- Prawdę mówiąc – ciągnął Gethin – nie wyglądasz ładnie, a olśniewająco.
- Alice się zarumieniła i z niejakim zakłopotaniem okręciła na pięcie, zatoczywszy się nieco na koniec. Włożyła zielone szpilki, które znalazła w swojej szafie; nie ulegało wątpliwości, że od dłuższego czasu ich nie nosiła, bo z trudem łapała równowagę.
- Gethin wyciągnął ręce, żeby ją podtrzymać. Nagły dotyk jego palców na jej gołej skórze przestraszył Alice. Powinien być łagodny i naturalny, tymczasem oboje byli aż za bardzo świadomi każdego swojego ruchu.
- Przepraszam – powiedziała Alice, uśmiechając się słabo. – Te buty...
- Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem wielkim fanem tych szpilek. Nie rozumiem, jak możesz w nich chodzić.
- No cóż, najwyraźniej nie potrafię. Ale są cudowne, prawda? Wkładałeś garnitur, kiedy wychodziliśmy na miasto? Bo powinieneś. – Położyła dłoń na rękawie jego marynarki. To wydawało się bezpieczne. – Do twarzy ci w garniturze.
- Szczeniące oczy Gethina otworzyły się szeroko z zaskoczenia. Potem zamigotało w nich rozbawienie.
- Nie, wolę bardziej sportowy styl. Skoro jednak to ci się podoba...
- Podoba – odparła i wreszcie pojawił się między nimi nastrój flirtu. Alice

poczuła, że jej mięśnie odprężają się nieco.

Pierwsze randki zawsze są niezręczne.

– Może usiądziemy? – Gethin wskazał na salon. – Na początek podać ci drinka? Na co masz ochotę?

Istnieje prawidłowa odpowiedź na to pytanie, ale ja jej nie znam.

– A co zwykle pijałam? – zapytała Alice, usiłując nadać głosowi żartobliwe brzmienie.

– Prawdę mówiąc, przepadasz za cydrem.

– Tak?

Alice zupełnie nie czuła ochoty na cydr, ale lekarz powiedział, że niektóre rzeczy mogą się zmienić, kiedy mózg zacznie funkcjonować na nowo. Przynajmniej nie musiała się uczyć upodobania do domowego piwa czy podobnego napoju.

– Właściwie można cię nazwać koneserką – ciągnął Gethin. – W zeszłym roku latem pojechaliśmy na festiwal cydru w Herefordshire. Nocowaliśmy na biwaku, żeby przez cały dzień brać udział w degustacji. To był nasz pierwszy wspólny wyjazd. – Oczy mu błysnęły. – Spaliśmy w oddzielnych namiotach. Tak zdecydowałaś.

– Naprawdę?

Standardy moralne. Dobra pozycja do odhaczenia.

– Tak. I kazałaś mi rozbić namiot. Siedź, zaraz wracam. Muszę zajrzeć do pieca.

Sprawił wrażenie, że czeka, aż Alice coś powie. Milczała, więc przesunął dłonią po włosach, uwalniając gruby kędzior z gładko przylizanej czupryny. Nerwowość gestu sprawiła, że Alice poczuła ukłucie w sercu.

– Przepraszam. Powinnam...?

Gethin wpatrywał się w nią; usta mu drżały.

– Nie. Tyle że zwykle mawiasz, żebym przestał wydziwiać. To całkiem miłe, że nie tym razem.

– No to... Przestań wydziwiać, Gethinie – oznajmiła stanowczo Alice. – Jestem pewna, że kolacja się uda.

Uśmiechnął się z wdzięcznością, więc chociaż ona musiała swoją reakcję odegrać, cieszyła się, że postąpiła jak trzeba. Znajome zachowania sprowokują kolejne znajome zachowania. Przeczytała o tym w sieci, nieprawdaż?

Weszła do salonu, usiłując wszystkiemu dokładnie się przyjrzeć w świetle

świec. Obok drzwi znajdowała się oprawiona fotografia Gethina, której nie zauważyła wcześniej – młodego i opalonego, w todze, na zakończenie college'u. Gdzie to było? Powinna wiedzieć. Spojrzała na herb. Uniwersytet Swansea. Odnotowała nazwę w myślach. Swansea. Rok dwa tysiące czwarty. Gethin Emrys Williams.

W salonie było mnóstwo zdjęć. Ona i Gethin na festiwalu. Ona w gumowcach i letniej sukience na huśtawce. Ona i Gethin na plaży w Aberystwyth. Lecz jedyne fotografie, które naprawdę mówiły jej cokolwiek, pochodziły z lat dawniejszych – ona i tata w Blackpool (w dłoniach trzymają watę cukrową), ona przy swoim pierwszym samochodzie (przed wynajmowanym ze znajomymi mieszkaniem w Haringey), ona i mama na karuzeli (siedzące na koniku imieniem Dana) – i znajdowały się na piętrze, w rodzinnym albumie Alice.

Wzięła do ręki kolejną, na której stali z Gethinem obok płonącego ogniska; twarze mieli upiornie oświetlone ogniami sztucznymi, którymi kreślili w powietrzu. Alice wyrysowała serce, on literę G.

Iskry, pomyślała. Są jak wspomnienia. Najpierw jaskrawe, potem znikają.

– To był cudowny wieczór – powiedział Gethin, a Alice aż podskoczyła.

Stał za nią z dwiema szklankami w dłoniach.

– Ognisko w zeszłym roku. Bardzo wyjątkowe. Proszę. – Podał jej zimną szklankę. – Weston Old Rosie. Pozwól sobie powiedzieć, że to twój absolutnie ulubiony gatunek cydru. – Minę miał podekscytowaną. – Napij się.

Alice patrzyła mu w oczy. Miał nadzieję – to nie ulegało wątpliwości – że cydr okaże się jak proustowskie magdalenki. Chciała tego. Bardzo tego chciała.

Zamknęła oczy i skupiła się. Zimne szkło. Aromat jabłek. Próbowwała przywoływać namioty, wilgotną trawę, nocne powietrze, ale na próżno. Mimo to się uśmiechnęła i upiła łyk.

Cydr był smaczny, lecz nie otworzył tamy wspomnień. Kiedy podniosła powieki, zobaczyła wpatrującego się w nią z nadzieją Gethina.

– Urocze! – oznajmiła, po czym, sama nie wiedząc dlaczego, dodała: – Festiwal cydru, powiadasz?

– Coś ci się przypomniało? – Oczy mu rozbłysły. Alice złapała się na tym, że kiwa głową. – Super! Świetnie!

Poprowadził ją do sofy przed wielkim telewizorem; obok był laptop i jakieś kable. Na stolikach stały miski z popcornem, nachosami i oliwkami,

dziwaczna mieszanka przekąsek i kinowego jedzenia.

Gethin odstawił swoją szklankę i zatarł ręce.

– Dzisiaj wieczorem, Króliczku, mam dla ciebie doświadczenie wykorzystujące wszystkie zmysły!

– Co takiego?

– Pokażę ci nasz związek poprzez jedzenie, wino, muzykę, zdjęcia i film na zakończenie. Mam nadzieję, że wtedy twoja pamięć zacznie funkcjonować jak należy.

Zanim zdążyła się odezwać, Gethin już ukląkł przed sofą i ujął Alice za rękę, splatając jej palce ze swoimi. Dla niej było to trochę zbyt wiele, ale nie protestowała, bo widać było wyraźnie, jakie to dla niego ważne.

– Wiesz, przeglądanie zdjęć i różnych rzeczy mnie samego cofnęło w przeszłość. Przypomniało szczęśliwe chwile. Mam nadzieję, że z tobą też tak będzie. Nie chcę być jedynym, który je pamięta.

Alice milczała. Z im większą tęsknotą Gethin mówił o ich związku, tym większe ogarniały ją wyrzuty sumienia, że być może nigdy nie odzyska wspomnień z tego okresu. Z jego słów wynikało, że to były piękne dni. Ryby z frytkami, plaże, biwaki, wakacje...

– Brzmi cudownie – powiedziała. – Muszę przyznać, że cokolwiek dziwnie, ale cudownie.

Ze skórzanej sofy patrzyła, jak Gethin włącza laptop.

– Gethinie – powiedziała. – Dlaczego nie zdejmiesz marynarki? Pochlebiamy ci wprawdzie twoja elegancja i w ogóle, ale byłoby ci wygodniej...

Odwrócił głowę.

– Jeśli ci nie przeszkadza?

– Jasne, że nie.

Dostatecznie trudno było siedzieć na skrzypiącej sofie w obcisłej sukience; Alice już zaczynały boleć uda od wysiłku, który wkładała w trzymanie kolan razem.

Normalnie się tak nie ubieramy, pomyślała, umieszczając ten fakt w swojej nowej pamięci. On postarał się specjalnie. Żeby mi pokazać, ile dla niego znaczę.

– Zdrowie! – Gethin zdjął marynarkę, powiesił ją starannie na oparciu najbliższego fotela i przykucnął. Silne uda napierały na materiał spodni. – Dobrze. Zaczynamy. – Skierował pilota na wieżę.

Adele umilkła, zaczęła śpiewać Ellie Goulding. Na ekranie telewizora

pojawiło się zdjęcie ich obojga: uśmiechnięci do kamery, stali między namiotami i na tle zachodzącego słońca trzymali butelki cydru. Poniżej widniał podpis: „Gethin i Alice”.

– Nie martw się – powiedział przepraszająco. – Nie wszystko jest takie cukierkowane. Zrobiłem to, kiedy przygotowywałem pokaz slajdów.

– Jest świetne! – odparła Alice. – Czy to biwak w Herefordshire?

– Tak! – potwierdził Gethin ucieszony, ale zaraz uświadomił sobie, że po prostu zapamiętała to, co on jej powiedział.

Wyprostował się i usiadł obok Alice na sofie.

– Więc tak... Zacząłem od fotek z wyjazdu, na którym się poznaliśmy – wyjaśnił, kiedy na ekranie pojawiło się zdjęcie winnicy toczącej się schludnymi liniami ku błękitnemu morzu. – Ty jesteś na skraju grupy, ja siedzę na murze.

Alice z trudem rozpoznała siebie wśród około dwadzieścioro raczej młodych ludzi w spodniach do kolan i jasnych sukienkach na ramiączkach, którzy mrużyli oczy, chroniąc je przed słońcem. Była pulchniejsza niż obecnie. Na głowie miała kowbojski kapelusz ze słomy.

– To ja? Jestem blondynką – powiedziała zaskoczona.

– Tak. Kiedy się poznaliśmy, miałaś jasne włosy. Mówiłaś, że to fryzura po zerwaniu.

To brzmiało znajomo. Alice czuła, jak coś w jej głowie zaskakuje, slajd trafia na miejsce. Wieczór, ona szłocha przed stacją metra i kompletnie nie dba o to, że patrzą na nią ludzie. Bolesne pragnienie, by porozmawiać z mamą, jeszcze ten jeden raz, i ukryć twarz na jej piersi.

– Gethinie, możesz włączyć pauzę?

Zatrzymany pokaz slajdów.

– Coś sobie przypomniałaś?

– Możliwe. – Alice przycisnęła palce do czoła. – Muszę to sobie wyjaśnić, zanim przejdziemy dalej. Z jakiego powodu byłam w stresie? Dlaczego pojechałam do tego ośrodka?

Gethin spojrzał i wziął ją za rękę.

– Przepracowałaś ten problem. Czy to ważne?

– Owszem, ważne.

Gethin powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Byłaś na rozdrożu. Powiedziałaś mi, że czujesz, że powinnaś celować wyżej niż w stanowisko asystentki. Że jesteś mądrzejsza od niektórych swoich

szeów, ale pieniądze są przyzwoite, więc boisz się, że odejdiesz zbyt późno, żeby podnieść swoje kwalifikacje.

Alice zmarszczyła czoło. To wyglądało rozsądnie. Potwierdzała to jej garderoba.

– No i zakończyłaś związek, który... Który był bez przyszłości. – Gethin spuścił wzrok.

– Z żonatym? – domyśliła się Alice.

– Mhm, tak. Nic mi o nim nie mówiłaś. Tylko że był żonaty. I że z nim zerwałaś.

– Och.

Trudno to uznać za miłą informację na własny temat.

Alice było wstyd, że Gethin o tym wiedział. Ale jeśli wiedział od początku i wciąż ją lubił...

– Ja też niedawno zerwałem z dziewczyną – ciągnął, dla równowagi mówiąc o sobie. – I też myślałem o zmianie pracy. Spotkaliśmy się we właściwym momencie. – Utkwił w Alice szczere spojrzenie. – Jedno dla drugiego było jak nowy początek. Ta wspólnota była nam przeznaczona. I od pierwszego dnia wszystko zaczęło mieć sens.

Alice się uśmiechnęła, choć w duchu wcale nie czuła spokoju.

Gethin był uroczy i ufał jej. A ona byłaby idiotką, gdyby zepsuła tak cudowny związek. Ale jeśli zrobiła coś, o czym on nie wie, i sprawa wyjdzie na jaw? Co wtedy?

Gethin mocno ścisnął jej rękę.

– Tak? – zapytała Alice.

– Tak sobie myślę... – Uśmiechnął się. – ...jakie oboje mamy szczęście. Ty i ja. Stworzeni dla siebie.

## Rozdział 19

Libby nie wiedziała, czy ma to coś wspólnego z pracami remontowymi osiagającymi nowy wymiar, czy rodzajem wczesnego kataru siennego wywołanego pyleniem roślin w ogrodzie, ale od kilku dni Margaret i Jason zachowywali się dziwnie i nieszczególnie pomocnie. Odkąd Alice mniej lub bardziej wróciła do zdrowia i wykonywała drobne zadania, Margaret popsuł się nastrój. Nie była nieszczęśliwa, tylko krytyczna. I nieustannie wytykała błędy – zawsze z niezwykłą uprzejmością – w sposobie przeprowadzania remontu, w częstotliwości spacerów Boba, w pomijaniu jej opinii podczas przewieszenia obrazów. Wszystko i nic. Libby była wdzięczna Alice za dyplomatyczną obecność, bo szczerze mówiąc, nieoczekiwane wybuchy teściowej zaczynały grać na napiętych nerwach jej i Jasona.

– Donald musiał być wspaniałym słuchaczem – zauważyła Alice, kiedy przez całą kolację Margaret z najdrobniejszymi szczegółami opowiadała, jak to jej mąż świetnie poradził sobie z gościem skarżącym się na brak kołder, historię, którą nawet Alice słyszała już trzy razy. – Myślisz, że brakuje jej zajęcia? Obserwowanie tych wszystkich zmian musi być dla niej trudne.

– Powinna podchodzić do tego spokojnie – odparła wtedy Libby, choć sama zaczynała myśleć, że Alice może mieć rację. Kłopot polegał na tym, że Margaret nie chciała włączyć się w remont, a Libby nie znała w mieście dość ludzi, żeby dyskretnie podpytać o przedsięwzięcia, w które można by zaangażować teściową.

W przeciwieństwie do Jasona. W tym tygodniu wychodził prawie każdego wieczoru, albo na trening rugby, albo na spotkanie z kumplami. A jeśli zostawał w domu, siedział w biurze przy laptopie i „pracował nad rachunkami”. Libby nie chciała mu w tym przeszkadzać, bo finanse spędzały jej sen z powiek. Z jakiegoś powodu zamówienie na wyposażenie łazienek nie zostało do tej pory zrealizowane w całości i Libby nie potrafiła zasnąć, zastanawiając się, czy przypadkiem nie przesadziła z jakością.

I znów obecność Alice okazała się prawdziwym błogosławieństwem. Gdyby nie ona i spokój, z którym podchodziła do zawieszającego się internetu, hałaśliwych budowlańców i nadąsanej teściowej, a teraz jeszcze do zobowiązań Boba, Libby zapewne by oszalała.

– Masz sporo na głowie – mówiła Alice ze współczuciem. – Bob powinien był ci zostawić liścik z prośbą o transport.

– Dzięki, że przypomniałaś. Myślałam, że Margaret zabiera go na sesję zooterapii, ale nic z tego.

– Przyklej karteczkę na Drzewie Dobroci – powiedziała Alice, okręcając się na krześle, podczas gdy Libby w pośpiechu zbierała psi ekwipunek. – „Dziękuję ci, Alice, za wykonywanie pracy, której wykonywanie wcale ci nie przeszkadza, bo prawdę mówiąc, bawiłaś się w nią regularnie, kiedy byłaś mała”.

– To nie zajmie mi dużo czasu. – Libby rozejrzała się w poszukiwaniu torebki. – Margaret musiała pojechać gdzieś z Jasonem. Który musiał ją zabrać. – Podniosła wzrok z poczuciem winy. – Wiem, krowa ze mnie. Mam przeczucie, że to jakaś mniej ważna rocznica związana z Donaldem, a Margaret dobrze wiedziała, że mieliśmy z Jasonem mierzyć okna, bo trzeba zamówić zasłony. Jakby chciała udowodnić, że to ona jest najważniejsza. Każe mi ze sobą rywalizować, a przecież nie jesteśmy rywalkami.

– Jestem pewna, że nie robi tego celowo. No... – Alice się skrzywiła. – A może jednak tak. Ale daj jej spokój. Kiedy będziesz mogła pokazać jej następny skończony pokój? Już niedługo.

Libby znalazła identyfikator i zawiesiła sobie na szyi.

– Byłoby miło, gdyby Jason coś powiedział, zamiast przez cały czas zwać to na mnie.

Wymieniły znużone spojrzenia. Jason, co z czasem dotarło do Libby, był absolutnym mistrzem w unikaniu konfrontacji. Nigdy nie było go w recepcji, kiedy goście chcieli się na coś poskarżyć albo gdy ekipa domagała się podjęcia decyzji.

– Nie spiesz się z powrotem – odparła Alice. – Napij się kawy w mieście, na godzinę zapomnij o hotelu. Dam sobie radę. W końcu nie cierpimy na nadmiar gości.

Drogi były puste, świeciło słońce, kiedy zatem Libby z Bobem wkroczyła do



szpitala, była w lepszym nastroju. Miasteczko nosiło późną wiosnę jak śliczną sukienkę: żywołoty puszczały jasnozielone gałązki, w oddali na łąkach pasły się białe owce. Wydawało się, że świeże powietrze jest w stanie wyczyścić Libby od środka.

Uśmiechała się do wszystkich ludzi mijanych na korytarzach prowadzących do skrzydła geriatrycznego. A kiedy Bob przekroczył próg ku zwykłemu zachwyтови pacjentów, Libby poczuła dumę. Na szyi miał miękką aksamitną muszkę, którą Jason kupił na bal przebierańców; nadawała mu zawadiacki, a równocześnie akademicki wygląd.

Bob ruszył prosto w stronę Doris, starej gospodyni w Łabędziu, a Libby poszła za nim posłusznie.

– Dzień dobry, Doris – powiedziała, kiedy pies ułożył się u stóp staruszki, podsuwając swój szlachetny łeb pod pieścizoty. – Jak się dzisiaj mamy?

– A według ciebie jak zazwyczaj czuje się dziewięćdziesięcioletnia kobieta? Po prostu cieszy się, że żyje. Co u ciebie, chłopcze? – Doris na początku zrzędziła, ale im dłużej był z nią Bob, tym bardziej łagodniała. – Mam dla ciebie ciasteczko? Mam?

Libby usiadła na krześle obok i pozwoliła, by basset za znośenie poklepywania dostał zakazaną markizę. Na drugim końcu sali zobaczyła Ginę, która cierpliwie czekała, podczas gdy dwie staruszki na wózkach z ożywieniem przemawiały do Buzza. Pies nie odrywał od nich wzroku; uszy miał uniesione, jakby słuchoł uważnie.

Gina pomachała na powitanie, Libby odpowiedziała tym samym. Kolejna znajoma, pomyślała, i sprawiło jej to nieoczekiwaną przyjemność.

– Jak sobie radzisz z hotelem? – zapytała Doris.

Libby drgnęła. Doris jak dotąd bardziej interesowała się Bobem niż nią.

– Dobrze, dziękuję. – Skorzystała z pretekstu. – Doris, miałaś mi opowiedzieć kilka historii o Łabędziu?

– Och, zajęłoby nam to cały dzień, kochana. Zaczęłam pracować jeszcze u Hannifordów, kiedy otworzyli hotel. W tyśiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku.

– A co tam było wcześniej?

Libby czasem zastanawiała się nad dziejami domu przed przejęciem go przez Donalda i pokryciem szkocką kratą. Czy w kredensach mieściły się srebrne naczynia zamiast plastikowych pojemników z płatkami? Czy w barze rozlegał się gwar eleganckich przyjęć, a nie znudzony szelest akompaniujący lekturze

starych numerów „Country Life”? Jak duchy tamtych ludzi zareagowałyby na widok jelenich łbów ze szklanymi oczami i łazienek w odcieniu awokado, wolała sobie nie wyobrażać.

– Dom doktora Cartwrighta. Bardzo ładny. Nie najbardziej elegancki dom w okolicy, ale niezły. O wiele za wielki dla jednej rodziny po wojnie, kiedy nie było chętnych na posadę pokojówki. Więc doktor sprzedał go Hannifordom z Birmingham, a oni urządzili w nim hotel.

– A ty byłaś gospodynią?

– Zaczęłam jako pokojówka, potem awansowałam. Nauczyłam się prowadzenia hotelu od starej gospodyni, panny Greene. Prawdziwej jędry. Wcześniej była pielęgniarką w szpitalu. Bardzo konkretna. W tamtych czasach było trudniej. W pokojach mieliśmy kominki. Te paleniska, które tam czyściłam... W dniu, gdy pani Corcoran kazała je usunąć i zastąpić elektrycznymi, z wdzięczności padłam na kolana, jeśli można tak rzec.

– To zabawne, że my właśnie usunęliśmy grzejniki i zerwaliśmy deski z palenisk. – Libby się uśmiechnęła. – Czasy się zmieniają, co?

Doris popatrzyła na nią jak na wariatkę.

– A kto będzie czyścił paleniska?

– Nikt! Będziemy palić sosnowymi szyszkami.

Doris mruknęła coś pod nosem, obdarzając Boba dodatkowym skrobnięciem za uchem.

– Więc Margaret i Donald przejęli hotel kiedy? W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym?

– Coś koło tego. Z dwoma malutkimi chłopcami. Żaden nie skończył dwóch lat. – Libby domyśliła się, że zmarszczki Doris wyrażają rozbawienie. Choć równie dobrze mogła to być lekka dezaprobata. – Bardzo zdecydowana ta pani Corcoran. Nie widziałam na oczy takiej organizacji. Poczła się w tej pracy jak ryba w wodzie.

– Nie pochodziła z hotelarskiej rodziny?

Libby знаła odpowiedź, ale widać było wyraźnie, że Doris lubi mówić o rzeczach, o których sądzi, że ona nie ma pojęcia. Libby, zaprawiona w przeprowadzaniu wywiadów, wiedziała, że to najlepszy sposób, by skłonić ludzi do plotek.

– Nie. Nie wydaje mi się. Przeprowadzili się z Worcestershire. Śmieszne, ale moja kuzynka Pamela pochodziła z tego samego miasteczka, co pani Corcoran, więc kiedy jej powiedziałam, u kogo pracuję, odparła: „Och, to nie

może być Maggie Jackson, no nie?”. Ale była. Pam chodziła z nią do szkoły. Jeden rocznik.

– Naprawdę? Ależ ten świat jest mały.

Libby nie potrafiła sobie wyobrazić, że do Margaret mówiono „Maggie”. To imię w żadnym razie do niej nie pasowało.

– Faktycznie, bardzo mały. – Oczy Doris błysnęły. – No i...

Torebka zapiszczała, więc Libby otworzyła ją z przepaszającą miną.

– To mój telefon. Spodziewam się dzisiaj dostawy ostatnich nowych wanien, a budowlańcy obiecali, że dadzą znać, jak przyjedzie. Nie jestem w stanie się odprężyć, dopóki ich nie ma.

Esemeś nadano z nowej komórki Alice; Gethin dostarczył ją kilka dni temu. Oczywiście został na kolacji i opowiadał śmieszne historie o tej strasznej szkolnej trasie. Libby lubiła Gethina, a Margaret go uwielbiała, na pożegnanie więc zaprosiła, by wpadał, „kiedy będzie miał ochotę”. Jedynie lord Bob traktował go chłodno, przypuszczalnie dlatego, że Gethinowi przypadło najlepsze krzesło obok Margaret.

Libby zmarszczyła czoło. Wiadomość brzmiała: „Wracaj jak najszybciej. Problem w hotelu”.

Odpisała: „Z ekipą?” i czekała, ale odpowiedzi nie było.

– Przepraszam, Doris, mówiłaś o Margaret. Trzydzieści pięć lat, tak? Może po skończonym remoncie urządzimy przyjęcie dla personelu z tamtych czasów?

– Bardzo chętnie – odparła Doris. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę te twoje kominki. Z sosnowymi szyszkami.

– A ty musisz mi opowiedzieć wszystkie historie o hotelu. Może zrobię z nich książeczkę?

Libby zastanawiała się gorączkowo, czy byłby to dobry prezent dla Margaret? Dzieje Łabędzia od lat osiemdziesiątych do teraźniejszości. Obraziłaby się?

– Och, mam mnóstwo historii – powiedziała Doris.

Telefon zapiszczał ponownie.

„Wielkie problemy, z ekipą i z Jasonem. Przyjeżdżaj jak najszybciej”.

– O rany! – mruknęła Libby. – Chyba muszę się zbierać.

Że coś się dzieje, było widoczne, zanim jeszcze wysiadła z samochodu.

Trzech budowlańców ładowało do vana narzędzia: okrągłe piły, puszki z pędzlami, folie. Robili to dwa razy szybciej, niż kiedy je wyjmowali.

– O co chodzi? – zapytała przyjacielskim tonem, oni jednak głowami

wskazali na hotel.

Libby zakłęta w duchu. Tylko dwaj z ekipy mieli przypisane role rzeczników. Większość nie nawiązywała kontaktu wzrokowego, jeśli mogła tego uniknąć.

Pobiegła do środka, gdzie Alice niespokojnie krążyła po recepcji. Dwaj następni budowlańcy rozbierali rusztowanie, z którego korzystali do czegoś tam, a trzeci minął Libby, niosąc drabinę.

– Hej – powiedziała. – To nasza drabina, czyż nie?

Mężczyzna skrzywił się i oparł drabinę o ścianę.

Libby posłała mu spojrzenie mówiące „jeszcze do ciebie wrócę”, po czym zapytała:

– Alice, co się tu dzieje?

– Nie mam pojęcia! Tak mi przykro, że cię wyciągnęłam ze szpitala, ale jakieś pół godziny temu usłyszałam, że Jason i Simon wrzeszczą na piętrze. A potem cała ekipa zaczęła schodzić na dół z narzędziami. Zapytałam Simona, co jest grane, a on powiedział, że wyjeżdżają!

Simon, czyli brygadzysta, który podejmował decyzje pod nieobecność Marka. Nie był do końca przekonujący i spędzał mnóstwo czasu na telefonicznych konsultacjach z szefem.

Lorda Boba ciekawość gnała na piętro, Libby wepchnęła go więc do biura i zamknęła za nim drzwi, nie przejmując się nawet zagrożeniem, jakie stanowił dla jej herbatników.

– Dlaczego wyjeżdżają?

Alice otworzyła szeroko oczy.

– Nie mam pojęcia. Słyszałam, jak Jason krzyczy coś o pieniądzach i o tym, że zapłacił, ale...

– Co? – Libby ścisnęło się serce. – Zostań tutaj. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

Jason na piętrze w pokoju numer sześć, teraz ozdobionym poszarpanymi dziurami w dwóch ścianach, celował palcem w Simona, który unosił ręce gestem uległym i denerwującym równocześnie.

– Nie możecie tego zrobić! – Twarz Jasona była czerwona; sprawiał wrażenie, jakby sytuacja wymknęła mu się spod kontroli już jakiś czas temu. – Natychmiast przynieś narzędzia i powiedz chłopakom, żeby zabrali się do pracy! W przeciwnym razie przysięgam, że podam was do sądu i się nie pozbieracie! Znam cholernie dobrych prawników, będą mieli używanie...

– Hola, hola, panowie! Nie możemy porozmawiać spokojnie? – wtrąciła

Libby, ale nie zwrócili na nią uwagi. Najwyraźniej sprawy osiągnęły poziom daleko wybiegający poza spokojną rozmowę.

– Instrukcje z samej góry, Jasonie – powiedział Simon. – Jesteśmy potrzebni w innej robocie. To się zdarza.

– Ale nie skończyliście tej tutaj! Na litość boską! – Jason dziko wymachiwał rękami, wskazując na dziury w ścianach. – Nie możecie tego tak zostawić!

– Nie zawałam się, to nie są ściany nośne. Poza tym szef jest nieugięty w kwestii zaległych płatności. Co ja mogę na to poradzić? Nie ma pieniędzy, nie ma roboty. Bądź rozsądny. Ty pracujesz za darmo?

Zaległe płatności. Za darmo. Żołądek Libby zwinął się w węzeł. Musi być jakieś wyjaśnienie. Odwróciła się do Jasona, ale unikał jej wzroku. Złe przeczucia przybrały na sile.

– Co możesz zrobić? – Jason wyglądał, jakby zaraz miał dostać wylewu. – Bo nie wierzę, że nic nie możesz zrobić.

– Jasonie, chciałabym zamienić słowo. – Libby usiłowała mówić spokojnie, ale dzwony alarmowe w jej głowie były donośnie, pobudzone do życia histerycznym sposobem argumentacji męża.

Od zawsze miał zwyczaj zwać winę na innych. Udało mu się oskarżyć fabrykę Boscha o wyprodukowanie zmywarki, która nie przyjmowała płynu Fairy Liquid. Lecz im usilniej próbował tej taktyki z budowlańcami, tym wyraźniej intuicja podpowiadała Libby, że źródłem problemu jest on sam.

A poza tym, przekonywała się w duchu, nie ma sensu wrzeszczeć razem z nim, dopóki nie będę wiedziała, o co w tym chodzi.

– W biurze? – dodała.

Simon i Jason nie przestawali obrzucać się płonącymi spojrzeniami. Musiała pociągnąć męża za rękę i dopiero wtedy, po raz ostatni przesywając wzrokiem brygadzystę, podążył za nią.

Na dole uchylili się przed dwoma budowlańcami, którzy nieśli sprzęt w kierunku frontowych drzwi.

Bob rozprawiał się z opakowaniem Jaffa Cakes, które Libby kupiła, żeby po lunchu zjeść je razem z Alice. Wyczuwając nieprzyjemny nastrój, porzucił okruchy i wycofał się w bezpieczne miejsce pod biurkiem.

– Co się dzieje? – Libby wskazała na vana za oknem. – Co miał na myśli Simon, kiedy mówił, że nie dostali pieniędzy?

– Musiało dojść do jakiegoś nieporozumienia w banku – zaczął Jason, ale Libby poczuła bolesne ukłucie w sercu. Widok jego uciekających w bok oczu

powiedział jej, że to nieprawda.

– Nie wciskaj mi kitu. Proszę. Kiedy mieliśmy zapłacić?

– W piątek. Ale nie w tym rzecz. – Jason wsunął dłoń we włosy. Minę miał niepewną. – Założę się, że Marek od początku miał ustawioną inną robotę, a teraz po prostu wykorzystuje to jako pretekst. Wiedziałem, że tak będzie.

– Naprawdę? W piątek? – Libby usiłowała obliczyć. Raty? Materiały? Ile są im winni? Była na siebie wściekła, że nie wie. Skutek wiary w Jasona czy zwykłe lenistwo? Na dnie serca zdawała sobie sprawę, że nigdy nie lubiła zajmować się kwestiami finansowymi. To stanowiło część problemu. – Czyli jesteście spóźnieni prawie o tydzień. O jakiej kwocie mówimy?

– Co takiego? Sugerujesz, że kłamię? – zapytał oburzony Jason. – Albo że nie wiem, co robię?

– Niczego nie sugeruję. Ale oni rzucają pracę. Nie zrobiliby tego z powodu kilku funtów. Marek jest rozsądnym człowiekiem.

– Najwyraźniej nie. Simon miał tupet powiedzieć mi...

– Och, na litość boską, to nie jest pora, żebyś zaczynał te swoje perory o manierach budowlańców! – przerwała Libby zniecierpliwiona. – Po prostu im zapłać, Jasonie.

– Czym mianowicie?

Oboje mówili coraz głośniej. Libby z wysiłkiem panowała nad głosem, nie chcąc, żeby usłyszała ich Alice. Albo Margaret, jeśli wróciła.

– Pieniędźmi przeznaczonymi na ten etap remontu – wycedziła przez zaciśnięte zęby

Zabrzmiało to bardziej sarkastycznie, niż miało.

Jason wpatrywał się w żonę. Żył na jego czole pulsowała.

– Konto remontowe – dodała Libby. – Pieniędze ze sprzedaży domu, które na ten cel odłożyliśmy. Wiem, mówiłeś, że nie można go ruszać i nie byłeś w stanie zapłacić z niego hydraulikom. Ale teraz chyba już udało się je odblokować?

Milczał. A Libby ogarnęło przykre uczucie.

O nie! – pomyślała. Błagam, nie.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma żadnych pieniędzy? – zapytała. – Przecież muszą być. Sprawdzałam konto hotelowe.

Kiedy? Kiedy ostatnio wchodziła na to konto? Była tak zajęta, że nie miała czasu.

– Cholera jasna, Jasonie! Mów, co się dzieje?

Usiadł za biurkiem i ujął głowę w dłonie. Gest sprawił, że po ciele Libby przebiegł lodowaty dreszcz.

– Musiałem zapłacić kilka rachunków – powiedział stłumionym głosem. – Raty, materiały, ubezpieczenie. Nazbierało się tego. A potem znalazłem kilka zaległych rat kredytu hipotecznego, których nie zapłaciła mama. Już miały trafić do komornika, co oczywiście bardzo ją przygnębiało, więc je uregulowałem.

– Dlaczego ich nie zapłaciła?

– Nie wiedziała, jak to zrobić. Daj spokój, nigdy nie zajmowała się rachunkami, kiedy żył tata. Po prostu wkładała je do szuflady z nadzieją, że sprawa rozwiąże się sama.

Libby gapiła się na męża. Odnosiła wrażenie, że sytuacja dotyczy kogoś innego. Żeby żadne z nich nie wspomniało jej o tym drobiazgu? Ani Jason, ani Margaret? Przecież pieniądze na pokrycie hipoteki należały także do niej!

– W każdym razie to pożarło naszą gotówkę. Także to, co pożyczył nam twój tata.

– O Boże. I co dalej? – naciskała Libby.

Chciała to wiedzieć i nie wiedzieć jednocześnie.

Kolejna długa przerwa.

– Potem Darren znów do mnie zadzwonił. W sprawie tego pola naftowego.

– Już o tym rozmawialiśmy, tak? I prosiłam, żebyś w to nie wchodził. – Dziury w ścianach mignęły Libby przed oczami. – Żartujesz? Przyrzekłeś, że nie będziesz inwestował naszego kapitału w tego rodzaju ryzykowne transakcje!

– Wiesz, że to nie ryzykowne. – Jason wyglądał na skruszonego. – To małe przedsiębiorstwo górnicze, które dostało licencję na...

– Nie mów mi, co ja wiem! – Libby chciała się rozpłakać, ale oczy pozostawały dziwnie gorące i suche. – I nie wciskaj mi bredni typu „nie znasz się na inwestowaniu”! Po tym, na co nas naraziłeś, niektórzy mogliby uznać, że żądanie, żebyś do końca życia chodził tyłem, byłoby całkiem uzasadnione, ale prosiłam cię tylko o jedno! Tylko na jednym mi zależało: żebyś przyrzekł, że nie będziesz robił niczego z naszymi pieniędzmi, nie mówiąc mi o tym wcześniej! Bo nie chciałam znowu tego wszystkiego przeżywać! Czy to naprawdę takie trudne? – Opadła na krzesło, bo nagle ugięły się pod nią kolana. – No więc... Powiedz! Pieniądze na koncie, te ze sprzedaży domu. Powiedz, że trochę zostało.

Własny głos brzmiał w uszach Libby obco. Sto tysięcy funtów. Bezpieczna kwota.

– Nie. Nic nie zostało.

– Co takiego? – Libby gapiała się w męża jak sroka w gnat. – Nic nie zostało? Jak to? – Zaświtała jej straszna myśl. – Boże, to nie jest twoja pierwsza transakcja, prawda? To pierwsza, o której mi powiedziałaś!

Przygryzła wargę, bo wiedziała, że trafiła w sedno. Jason nigdy nie potrafił ukrywać emocji.

Libby zakryła usta dłonią, zrobiło się jej niedobrze. Kolczyki. Jasne! Pewnie jakaś mniejsza transakcja okazała się udana; Jason zawsze lubił robić jej prezenty, kiedy miał przypływ gotówki. Powinna była wiedzieć, że nie miał odłożonych pieniędzy. Ty głupia krowo! – pomyślała.

– Dajże spokój! – powiedział z pogardą Jason. – A myślałaś, że jak inaczej sfinansujemy modernizację, którą zaplanowałaś? Aż tyle nie mieliśmy. Wiesz, ile kosztowały wanny.

Tak. To nie była pierwsza transakcja, którą zawarł w tajemnicy.

– Powiedziałeś, że nas na to stać!

– Taaak. A ty nie zapytałaś, jakim cudem.

– Dlaczego miałabym o to pytać? Ufałam ci, kiedy zapewniałeś, że wszystko będzie w porządku.

– Mówiłem prawdę! Wszystko będzie w porządku! Daj spokój, ja tak zarabiam na życie! Jestem w tym dobry!

– Tak dobry, że bank zdecydował się z ciebie zrezygnować, mając na uwadze bezpieczeństwo klientów?

To był cios poniżej pasa. Jason się skrzywił. Libby było wstyd, ale panika pozbawiła ją skrpułów. Tu już nie chodziło o hotel, a o zdradę, o której do tej pory nie rozmawiali, zbyt zmęczeni i wstrząśnięci, przykrytej załatwianiem przeprowadzki. Teraz jednak wszystkie tłumione do tej pory obawy walczyły o uwagę i nie można ich było powstrzymać. Libby mogła tylko podjąć próbę przejścia przez tę okropną rozmowę, niesiona na grzbiecie wierzgającego, destrukcyjnego gniewu.

Z niezwykłym wysiłkiem przybrała spokojny wyraz twarzy.

– Dobra. Okej. Możesz odzyskać wkład?

Jason ponuro wpatrywał się w biurko.

– Nie.

– Przecież chyba możesz poprosić Darrena, żeby odkupił twój udział, skoro



to taka świetna okazja?

Kumple Jasona, brokerzy, bez przerwy inwestowali swoje premie w prywatne transakcje. W porównaniu z ich udziałami udział Jasona to grosze.

Chodziło o dumę, Libby o tym wiedziała. Ale ona swoją przełknęła, prosząc ojca o pożyczkę, prawda?

– Nie – odparł Jason po kolejnej długiej przerwie.

– Dlaczego nie?

– To nie jest takie proste. Nie ma sensu teraz się wycofywać. Niewykluczone, że niedługo będą potężne zyski. Potężne. Wystarczające na zakup stu takich hoteli.

Libby dostrzegła błysk w oczach męża i pojęła, że dalszej dyskusji nie będzie. Jason widział już liczby przewijające się na ekranie, potwierdzenie i nagrodę za to, że miał słuszość. Że odważył się zaryzykować. Nie był natomiast w stanie zobaczyć jej, hotelu, ludzi, cegieł. Dla niego istniały tylko te liczby.

Kiedy po raz pierwszy Libby ujrzała ten błysk w jego oczach wiejskiego chłopaka, pomyślała, że to ekscytacja. Siedział przy laptopie, przed otwartymi na ekranie stronami giełdowymi; przyjemnie było oglądać go przy pracy. Wyglądał wręcz seksownie, gdy jego długie palce pewnie fruwały po klawiaturze. „To nie jest hazard”, zapewnił ją, pokazując, co zrobił, kiedy ona oglądała serial *Mad Men*. „To wymaga o wiele większych umiejętności”. Planowanie z wyprzedzeniem, przewidywanie, właściwy moment – wiedza o rynkach połączona ze szczęściem uczyniły z niego wschodzącą gwiazdę w zespole, dlatego więc nie miałyby tego wykorzystać na prywatnym koncie? Tamtego lata z tym błyskiem w oku pojechali na wakacje na wyspę Necker.

I było dobrze, dopóki wszystko się układało. Ale potem – chociaż Jason ukrywał to przed nią przez długi, długi czas – przestało się układać.

Libby miała wrażenie, że jej szyja nie jest w stanie utrzymać głowy. Ostatnia szansa, powiedziała sobie posępnie.

– Jasonie... – Wpatrywała się w żyłki na popękany skórzany blacie starego biurka. – Proszę. Ze względu na nasze małżeństwo. Zadzwoń do Darrena i odzyskaj pieniądze. Musimy zapłacić budowlańcom. Będzie po nas, jeżeli nie skończymy remontu.

Wydawało się, że milczenie będzie trwać do końca życia.

– Nie – odezwał się wreszcie. A kiedy na nią spojrzał, w jego oczach malowała się furia. – Nie zrobię tego. A przy okazji, jestem zszokowany

twoim brakiem wiary we mnie.

Libby popatrzyła na tego przystojnego trzydziestokilkuletniego mężczyznę, który zdobył jej serce swoją przyzwoitością i nadmierną skromnością, kiedy oboje byli zbyt młodzi, by wiedzieć, jak wiele te cechy znaczą, i pomyślała: „Jaki w tym sens?”. Nie mogła mu ufać. Przedłożyła ich małżeństwo ponad wszystko inne, gdy zgodziła się przyjechać tutaj i zacząć od nowa. On tego nie zrobił. Jeżeli zaś nie widział, jak to na nią wpływa, jak podkopuje szczęście, które przeżyli razem, to jaką mieli szansę? Co jeszcze strasznego musi się stać, żeby w końcu zdał sobie z tego sprawę?

– Próbuję ci ufać, Jasonie, ale ty robisz coś takiego...

– Poważnie? Jeśli mi nie ufasz, to oboje marnujemy czas – odparł z oburzeniem. – Pracuję kurewsko ciężko, dla nas, a ty masz tupet mówić mi, że to nie jest właściwy rodzaj ciężkiej pracy? Myślisz, że tylko ty przeżyłaś piekło w tym roku? Jest różnica między rezygnacją z pilates i torebek a utratą źródła utrzymania i szacunku do siebie!

– To nie w porządku. Zawsze pracowałam, dopóki... – zaczęła Libby, ale Jason nie pozwolił sobie przerwać, wciąż rozwścieczony incydentem z budowlańcami.

– Nie będę tu stał i słuchał kazania osoby, która nie ma zielonego pojęcia, na czym polega moja praca ani jak dobry w niej jestem! – warknął. – Chcesz, żebym odszedł? Dobra, masz to jak w banku. Odejdę z wielką przyjemnością.

Nie odejdzie, pomyślała Libby. To tylko taka poza.

– Dobrze – odparła. – Idź. Zostaw mnie, matkę, obowiązki. Podejrzewam, że będzie to moja wina, co? Że cię wykopałam?

Jason milczał. A po chwili odwrócił się i opuścił hotel.

## Rozdział 20

Libby mogła tylko patrzeć, jak budowlańcy demontują i wynoszą sprzęt. O drugiej po południu odjechali i w hotelu zapadła cisza.

Alice udało się połączyć z Markiem. Libby prosiła go i błagała, ale on tylko potwierdził to, czego się obawiała: Jason nie zapłacił w całości nawet pierwszej raty.

– Przykro mi, Libby, nie mogę kazać moim ludziom pracować za darmo. Poszliśmy na ustępstwa, bo byliście dobrymi klientami, ale Jason... Posłuchaj, bądźmy w kontakcie, dobrze? Może uda się coś zaradzić.

Nie mogła mieć do niego pretensji. Marek był sympatyczny, ale był biznesmenem. Choć ona i Jason w przeszłości okazali się solidnymi klientami, teraz pewnie znaleźli się na czarnej liście budowlańców.

To ostatnia kuchnia, jaką zainstalowano mi w Londynie, pomyślała.

Wolno powlokła się na piętro i przystanęła w morzu porzuconej folii, próbując zmusić otępiały mózg do oszacowania stopnia zaawansowania prac na tyle, na ile się na tym znała. Nie mogła na razie myśleć o Jasonie. O tym, co sobie powiedzieli. I zastanawiać się, czy Jason wróci.

Do takiej sytuacji doszło, ponieważ ona nie chciała zajmować się szczegółami, zatem teraz zajrzała do każdego pokoju. Ani jedno pomieszczenie na piętrze nie zostało wykończone, a czwórka, ich własny specjalny pokój, zastawiona była po sufit pudłami i różnymi rupieciami. W czterech łazienkach zamontowano wyposażenie, ale nie położono kafelków na podłogach i ścianach. W innych usunięto wanny i sedesy; pozostały po nich tylko brzydkie dziury.

Pokoje na parterze wyglądały tak samo, Libby nie mogła się zmusić, żeby je obejrzeć.

Pochyliła się, by podnieść porzuconą rolkę taśmy maskującej, ale zaraz do niej dotarło, że sprzątanie nie ma sensu. Potężne rozmiary tego, z czym trzeba się teraz zmierzyć, odebrały jej dech. Wygodny, podniszczony stary hotel

został zburzony. Zniknął na zawsze. Zrozumiała, dlaczego Margaret odmawiała wchodzenia na piętro; chaos wyglądał ekscytująco, kiedy na horyzoncie rysował się koniec, ale teraz gołe cegły i kable szydziły: „Myślałaś, że dasz radę? Bez doświadczenia? Jak to zrobisz? Bez pieniędzy?”.

Myśl o sporej sumie na koncie była wielką pociechą, jedyną rzeczą, która sprawiła, że przeprowadzka stała się do zniesienia. Kiedy Jason powiedział, że muszą pożyczyć od jej ojca, Libby założyła, że tych pieniędzy nie da się łatwo ruszyć, że po prostu zabrakło im gotówki. Tyle że na koncie wcale ich nie było. Zniknęły. Tak po prostu.

Libby wpatrywała się w kłęb drutów wystających ze ściany nad usuniętymi listwami przypodłogowymi. Czy to czymś grozi? Co tutaj miało być zrobione? W jej myślach zakiełkowało pytanie: „Jasonie, co...?”.

Ale jego też nie było.

Z gardła Libby wyrwał się mimowolny szloch. Nigdy wcześniej nie czuła się bezradna ani samotna. Zawsze patrzyła na jasną stronę życia, bo wierzyła, że w końcu wszystko dobrze się ułoży, ale teraz żadnej jasnej strony nie widziała. Miewała koszmary senne mniej surrealistyczne od tego, co oglądała teraz. I tak bardzo było jej żal hotelu, który zrujnowała. Bo po raz pierwszy zobaczyła szkielet budynku – nie modny butikowy hotel, który chciała nań narzucić, a stary rodzinny dom, przytulny i wygodny. Co ja narobiłam? – pomyślała zgnębiona.

Słońce przesunęło się po niebie, oświetlając szaroliliowe smugi na ścianie dwuosobowego pokoju, i Libby stanął przed oczami obraz jej samej, malującej próbne plamy. Była jak niczego nieświadoma Maria Antonina, podczas gdy Jason grał na zwłokę, wiedząc, że nie mają ani pensa, żeby za to zapłacić. Rzucił na szalę jej przyszłość.

Och, Libby! powiedział głos w jej głowie; brzmiał całkiem jak głos ojca. Jak mogła być tak ślepa?

Okręciła się na pięcie i pobiegła na dół.

Jason nie pojawił się po południu z bukietem kwiatów i skruszonymi przeprosinami, jak zwykł robić po kłótniach w przeszłości. Nie zadzwonił ani nie przysłał esemesa.

Libby nie zamierzała do niego pisać. Nie wiedziała, co chciałaby mu powiedzieć. Gniew i zgryzota na zmianę przejmowały nad nią władzę. Ale

strach cały czas był obecny, czaił się w tle, wyskakując za każdym razem, gdy jej oczy padały na jakiś rachunek. Był niemal nie do zniesienia i wygrywał z wściekłością.

Potrzebowała Jasona, żeby pomógł uporządkować bałagan, którego narobił, ale kiedy mówiła o zaufaniu i szczerości, myślała tak naprawdę. Teraz, gdy te trudne słowa padły, nie zamierzała ich odwoływać. Trzeba je było powiedzieć. Żałowała tylko gorzko, że Jason wybrał najgorszy możliwy moment na sprowokowanie tej rozmowy.

Siedziała sama w biurze, niezdolna mówić ani się ruszyć, nie chcąc nikogo oglądać. Nie wiedziała, od jak dawna, kiedy Alice zapukała i zajrzała do środka.

– Hej, dobrze się czujesz? Pomyślałam, że potrzebujesz trochę czasu na ochłonięcie – powiedziała. Dzielnie, choć mało przekonująco usiłowała zamaskować niepokój. – A potem przyszło mi do głowy, że może chciałabyś pogadać.

Libby opuściła głowę na dłonie.

– Nie wiem, czy chcę rozmawiać. Marzę tylko, żeby stąd wyjść i nigdy nie wracać.

Tylko dokąd? Nie miała domu. Ojciec był gorącym orędownikiem, by od jedenastego roku życia jego córki popełniały błędy na własną rękę, matka nie była z rodzaju tych tulących dzieci do piersi. Miała własne problemy. A siostra dochodziła do siebie w Hongkongu po nieprzyjemnym rozwodzie z człowiekiem o wiele gorszym od Jasona.

Niezbity fakt był taki, że Libby nie miała dokąd pójść. Znalazła się w pułapce. Wszystkie pieniądze utopiła w hotelu, co było gorsze, niż gdyby je straciła. Budynek był w ruinie. Poczucie nieszczęścia paraliżowało i Libby nie potrafiła nawet zebrać tyle sił, by poprosić Alice o pomoc.

Alice odczekała chwilę.

– W porządku – powiedziała łagodnie.

I się wycofała.

Libby siedziałaby zapewne w biurze jak przykuta przez całą noc, z kłębowiskiem myśli w głowie, ale około szóstej podwójna potrzeba skorzystania z toalety i wypicia wielkiego kieliszka wina zmusiła ją do wyprawy na piętro.

Margaret była w kuchni, przygotowywała obfitą kolację dla Boba. Zobaczyła przemykającą się Libby.

– Elizabeth? Wszędzie cię szukałam. Jason spędza wieczór w mieście? Miałam nadzieję, że mnie podwiezie do Pat Hastings na zebranie klubu ogrodniczego. Widzę, że nie ma jego samochodu. Niedługo wróci?

Libby przygryzła wargę. Najwyraźniej Margaret nie zadała sobie trudu, żeby zajrzeć do jedyne go pomieszczenia, w którym rzeczywiście się pracowało. Jeszcze znalazłaby tam jakieś ostatnie monity...

– Całe popołudnie spędziłam w biurze. Pukałaś?

– Och, a ja myślałam, że bawisz się farbami na piętrze! – Margaret przełożyła zawartość patelni do miski Boba i postawiła ją na podłodze. – Widziałam, że drzwi biura są zamknięte, i pomyślałam, że Jason wykonuje jakieś skomplikowane obliczenia na kontach. Nie chciałam mu przeszkadzać!

Towarzyszący tym słowom śmiech pełen lekceważenia do samej siebie był jak gwóźdź do trumny.

– Jason wyjechał – oznajmiła bez emocji Libby. – Tak samo jak budowlańcy. Margaret się wyprostowała.

– Przepraszam, moja droga, nie wiedziałam. Co Jason robi z budowlańcami?

– Nic, jak się okazało. – Bawię się farbami? Jason ma mnie za idiotkę, opinia jego matki nie jest o wiele lepsza. – Nie zapłacił im, więc spakowali się i porzucili robotę.

Uśmiech znikł z twarzy Margaret jak starty ściereczką.

– Nie rozumiem.

– To całkiem proste. Mieliśmy określoną kwotę odłożoną na remont hotelu, z czego tylko drobną część dostali budowlańcy. Sporą sumę Jason wykorzystał na uregulowanie twoich zaległości. Płacimy także za jedzenie, prąd, bieżące koszty utrzymania, odkąd tu zamieszkaliśmy, a pamiętaj, że hotel właściwie nie przynosi zysku. Całą resztę natomiast, to znaczy to, co zostało po spłaceniu długów, Jason stracił, grając na rynkach finansowych. – Libby nabrała powietrza w płuca; w głowie jej się kręciło z uniesienia, że wreszcie mówi o sprawach, o których chciała powiedzieć od miesięcy. – Zainwestował wszystko, co do grosza. Nie podam ci szczegółów, bo byłam zbyt zła, żeby zapytać, ale najważniejsze jest to, że te pieniądze już do nas nie należą. Mamy przerąbane.

Wstrząśnięta Margaret zbladła, próbując przetrwać wiadomości.

– Ale dlaczego Jason wyjechał?

– Bo z powyższego wynika, że nie mogę mu ufać. Nie, to nie przypuszczenie – poprawiła się. – Ja nie mogę mu ufać. Poza drobiazgiem, że stracił nasze pieniądze, obiecał mi coś, żeby uratować nasze małżeństwo, i nie dotrzymał słowa. Zmył się zatem, a ja nie próbowałam go zatrzymać.

Margaret opadła na kuchenne krzesło.

– Jesteś pewna, że wiesz wszystko? – Zdumiona Libby obserwowała, jak teściowa usiłuje przedstawić syna w pozytywnym świetle. Wbrew temu, co usłyszała przed chwilą. – To tylko pieniądze. Będzie musiał zapytać w swojej firmie, czy może na kilka miesięcy wrócić. – Margaret wyjaśniała; problem został rozwiązany. – Wiem, że wolałby być tutaj, nadzorując realizację **swoich** planów, ale założę się, że w firmie będą zachwyceni, znów mając go na pokładzie.

– Nie może wrócić do dawnej pracy.

– Nie bądź taka egoistyczna – zganiła ją Margaret. – To szczęście, że Jason ma taki potencjał i może cię uratować z tej okropnej sytuacji. Prawdę mówiąc, jak się weźmie pod uwagę koszty, które spowodowały **twoje** plany, to może byłoby lepiej, gdybyście oboje z takim pośpiechem nie rzucili posad.

To szaleństwo. Ona uważa, że to moja wina, pomyślała Libby, czytając z twarzy teściowej. Jest przekonana, że namówiłam Jasona do rezygnacji z pracy, bo chciałam tu przyjechać i zabawić się w projektantkę wnętrz! I tak sądzi kobieta, która ukrywała rachunki w szufladach, zamiast je regulować!

Ta jawna niesprawiedliwość rozwiązała jej język. Libby przyrzekła wprawdzie Jasonowi, że nigdy nie powie jego matce całej prawdy, ale upór Margaret, by nie dostrzegać absolutnie żadnych wad w synu, który wpakował ich w te kłopoty, sprawił, że pozbyła się skrupułów.

– Margaret, Jason nie może wrócić do pracy. Wylano go. I dzieliło go tyle... – Kciukiem i palcem wskazującym wykonała nieprzyjemny gest szczypania. – Tylko tyle od utraty licencji brokera, kiedy wyszło na jaw, ile pieniędzy stracił. Nie, nie pieniędzy klientów, tylko naszych.

– To, co Jason robi poza biurem, nie wpływa na pozycję...

– Och, wręcz przeciwnie. Jeśli nieustannie się zastanawiasz, jak nadrobić wielotysięczną osobistą stratę, to generalnie odrywa to twoją uwagę od pracy. A klienci to widzą. I przenoszą swoje portfele do brokera, który skupia się na robocie. W końcu widzą to też zwierzchnicy. A kiedy pewnego dnia dane jednego klienta przypadkiem wysyłasz mejlem do innego, bo równocześnie grasz na giełdzie na swojej komórce, nie mają wyjścia. Jesteś obciążeniem.

Jesteś zagrożeniem. Musisz opróżnić swoje biurko i powiedzieć żonie, że nie tylko straciłeś pracę, ale musicie też sprzedać dom, bo wyczyściłeś do zera ich wspólne konto bankowe!

Libby mówiła, a przed jej oczami przewijały się wspomnienia Tym razem nie potrafiła ich odepchnąć. Z torebkami czy bez, nigdy nie była w stanie z nonszalancją odnosić się do sum, o których mowa. Niepokój budziła w niej beztroska. Arogancja. Sposób, w jaki sytuacja zmieniła jej Jasona w nieznanego. Brawurowo poczynał sobie z pieniędzmi innych ludzi, a przecież to wciąż były pieniądze, nie liczby na ekranie! A wszystko powodował ten błysk. Który stłumił lepszą część jego natury i zredukował ich oszczędności także wyłącznie do liczb. Nawet przyjazd tutaj nie zdołał skłonić jej męża do ignorowania tego błysku. Ani hotel ojca. Ani oszczędności żony. Ani ona sama.

– Jestem przekonana, że Jason robił, co w jego mocy – oznajmiła Margaret z uporem. – Żadna z nas nie pracowała w tej branży. Nie powinniśmy go oceniać.

– Nie wolno mi oceniać, kiedy mój mąż przegrywa wszystko, co mieliśmy? Wszystko, na co pracowałam i ja? Nie, Margaret. Jason jest chciwy. I dlatego beztrosko odnosi się nie tylko do pieniędzy, ale i do naszego małżeństwa. I do twojego hotelu.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Nawet Bob przestał jeść i skulił się pod stołem, z niepokojem nadstawiając uszu.

W końcu! pomyślała Libby, obserwując teściową bawiącą się pierścionkami. W końcu do niej dotarło, że Jason jest tak samo zdolny do popełniania błędów jak my wszyscy! A tym razem zawalił sprawy dotyczące ich wszystkich.

Jej ramiona się odprężyły; ulga po wyznaniu tajemnicy, którą musiała nosić samotnie, była fizyczna. Margaret zawsze była dla niej dobra. Na pewno zrozumiała teraz, dlaczego tak wiele znaczył remont hotelu.

– Cóż, uważam, że to twoja wina – powiedziała Margaret cicho.

– Jak to? – Zaskoczona Libby aż poderwała głowę. – Na litość boską, jak możesz obwiniać mnie?

– Masz kosztowny gust. On nie. Nigdy nie miał. Popatrz na niego, do szczęścia wystarczają mu piwo i rugby. Myślę, że Jason dokładał wszelkich starań, żeby zapewnić ci wszystkie te rzeczy, na których ci zależało. Popatrz, co tu narobiłaś. – Margaret z pogardą machnęła ręką w stronę drzwi. – Samo



malowanie nie było dla ciebie wystarczająco dobre. O nie! Ty musiałaś wszystko wyrzucić i zacząć od nowa. Drogie wanny. Drogie krany. Co za nonsens! Głupi, samolubny nonsens. Jason byłby zadowolony, prowadząc hotel w sposób, w jaki my prowadziliśmy go przez lata, ale nie, ty musiałaś mieć coś lepszego. Wyobrażam sobie, że w Londynie było dziesięć razy gorzej, bo chciałaś dotrzymać kroku znajomym. Jason musiał być pod ogromną presją, kiedy próbował na to wszystko zarobić.

Libby z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Margaret, nie broń go, proszę cię. On zawiódł nas obie. A źródłem wszystkich jego problemów jest to, że nigdy nie potrafi przyznać, że się pomylił. Ty tylko wzmacniasz tę jego postawę.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że to ty możesz się mylić?

– Owszem! – Libby roześmiała się ponuro. – Nie przestaję o tym myśleć! Ciągłe się martwię, czy postąpiłam dobrze, nie tylko tutaj. Wszędzie. Ale Jason nie. Nigdy się nad tym nie zastanawia. Nie znosi krytyki, ani z mojej strony, ani ze strony przełożonych. A bierze się to stąd, że nie wytykano mu błędów w tym domu. Podczas gdy biedny Luke... Boże, biedny Luke haruje jak wół, buduje firmę, która odnosi sukces, a ty nigdy nie masz dla niego dobrego słowa! Nie pojmuję, co ty widzisz, kiedy patrzysz na nich obu?

– A co ty możesz wiedzieć o wychowywaniu dzieci? – zapytała Margaret lodowato. – To kolejna sprawa, w której moim zdaniem zachowujesz się bardzo egoistycznie. Pieniędzy na co jeszcze domagałaś się od Jasona? Na prywatne szkoły? Na nianię? Czy dlatego zmuszałaś go do odłożenia decyzji o dziecku?

Jej słowa trafiły w czuły punkt i Libby się skuliła. Czy Jason omawiał ich rodzinne plany z matką? Skarżył się? Ile przyjemnych pogawędek o stanie ich małżeństwa prowadzili poza nią, odkąd zgodziła się zrezygnować z dotychczasowego życia i przeprowadzić się tutaj?

Margaret zobaczyła, że wymierzyła celny cios, i zacisnęła usta.

– Prawdę mówiąc – powiedziała Libby – cieszę się, że nie sprowadziliśmy dzieci do tego bałaganu. To ich przyszłość przegrał Jason.

Pragnęła zachowywać się tak chłodno, jak Margaret, ale nie potrafiła. Własne słowa sprawiały, że chciało jej się płakać.

– Przestań powtarzać, że przegrał. – Usta Margaret drgnęły. – To brzmi tak... nieprzyjemnie.

– Gra na giełdzie. To jest hazard. Tylko dlatego, że ktoś nosi garnitur, nie

czyni go lepszym od chłopaków, którzy u Williama Hilla stawiają swoje emerytury na psy.

– Och, na litość boską! Nie występujemy w operze mydlanej! Myślę, że powinnaś się uspokoić, Elizabeth. – Ton Margaret znów był protekcyjny. – Nie chcemy chyba pod wpływem chwili mówić rzeczy, których potem będziemy żałować. Jason może wrócić dziś wieczorem ze wszystkimi problemami rozwiązanymi. I co zostanie w domu?

To by ci się podobało, co? pomyślała Libby. Wszystko załatwione i ładnie uporządkowane. A ty nie musiałaś nawet kiwnąć palcem.

– Bardzo wątpię, że wróci – powiedziała.

– Wróci. Znam swojego syna. Przypuszczalnie pojechał gdzieś, żeby się zastanowić. Jak można myśleć w tym bałaganie? Jason jest jak jego ojciec. Potrafi radzić sobie z problemami.

Och, dużo mogłabym ci opowiedzieć o Donaldzie! Libby wbiła paznokcie w dłoń. Donald kompletnie nie radził sobie z problemami. On tylko zapytał swojego przyjaciela w banku, czy może zaciągnąć kredyt na spłatę hipoteki. Miał wycucie biznesowe dorsza.

Choć wiele ją to kosztowało, ugryzła się w język. Donalda już nie było, nie mógł się bronić. Libby wyobraziła sobie, jak Margaret opowiada Jasonowi o tym złośliwym ataku na niezującego ojca.

– Nie czekałabym na niego ze wstrzymanym oddechem. Odmówił odebrania udziałów w inwestycji od kolegi. Jest na to ponoć zbyt dumny. Więc sobie poszedł, zostawiając nas z tym bałaganem.

– Z **twoim** bałaganem – warknęła Margaret. – Z ruiną, do której doprowadziłaś mój hotel!

– Nie – przypomniała jej Libby. – Nasz hotel. Pieniądze z mojej odprawy poszły na spłatę twoich zaległości. Moje nazwisko jest na akcie własności. Razem z nazwiskiem Jasona.

Wpatrywały się w siebie z furją. Libby nie potrafiła rozstrzygnąć, czy bardziej złości ją, że za cały ten koszmar w gruncie rzeczy odpowiedzialna jest Margaret, bo rozpieściła Jasona, czy to, że teściowa uważa ją za winną.

Problemem jest ego Jasona, zauważył głosik w jej głowie. Nikt nie kazał mu inwestować tych pieniędzy.

– Wygląda na to, że już z niego zrezygnowałaś – oznajmiła Margaret, dość dramatycznie jak na osobę, która uważa, że nie gra w operze mydlanej. – Cieszę się, że nie dzielam twojego braku wiary. Kiedy Jason wróci, będę

u siebie. Chodź, Bob.

I wyszła, pozostawiając Libby wpatrzoną w podniszczone kuchenne szafki, zbyt zdruzgotaną, by odpowiedzieć.

Nazajutrz rano Alice na palcach weszła do kuchni, gdzie nie było nikogo oprócz Boba. Pies siedział obok lodówki i cierpliwie czekał na śniadanie.

– Och, jak dobrze! – powiedziała. – Przynajmniej ktoś zachowuje się normalnie.

Ku swojemu wielkiemu zakłopotaniu Alice słyszała kłótnię Libby i Margaret od początku do końca. Już chciała wkroczyć i rozładować napięcie, kiedy argumenty przybrały osobisty charakter, przez co utknęła na skrzypiącym podeście. Nie mogła wrócić do siebie, bo zdradziłaby swoją obecność, nie mogła pójść do kuchni, skoro obie z taką energią prały tam rodzinne brudy.

Kiedy Margaret wypadła z kuchni, udało jej się umknąć do łazienki. Później poszła pocieszyć Libby, która jednak była bardziej milcząca i smutna, niż Alice widziała kiedykolwiek. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, więc wkrótce potem Libby poszła do siebie.

Alice długo się nie kładła. Miała nadzieję, że zadzwoni Jason albo Libby przyjdzie porozmawiać, ale do rana w hotelu panowała niesamowita cisza, przerywana jedynie łamiącym serce stłumionym szlochem Libby.

Bob walnął ogonem w podłogę, a potem uderzył potężną łapą w lodówkę i spojrzał wyczekująco.

– Chodźmy na spacer – powiedziała Alice. – Śniadanie może poczekać.

Zapięła psu smycz i wyprowadziła go na ścieżkę za hotelem.

Był rześki, pachnący trawą poranek z jasnymi chmurkami unoszącymi się nad koronami drzew, więc nastrój Alice uległ poprawie. Znalazłszy się poza zasięgiem słuchu obecnych w hotelu, wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer, który miała w notatniku.

Odebrano po czterech sygnałach.

– Luke Corcoran, słucham.

Alice zalała ulgą. Głos Luke'a, energiczny i znajomy, odegnał wątpliwości. Miała rację, że zadzwoniła. W końcu tylko on mógł pomóc, nieprawdaż?

– Luke, mówi Alice.

– Alice! – W głosie zabrzmiała radość. – Co u ciebie? Wszystko w porządku?

– Tak. Nie. – Przystała się uśmiechać, przypominając sobie, dlaczego zadzwoniła. – Nie. Wczoraj z powodu problemów z pieniędzmi budowlańcy porzucili pracę, potem Jason i Libby okropnie się pokłócili i Jason wyjechał. A potem pokłóciły się Libby i twoja matka, od kolacji obie siedzą w swoich pokojach i... – Alice przystanęła, nagle przygnieciona nieszczęściem.

Najgorsze, że dotknęło ono osób, których nie знаła. Nie dobrej w gruncie rzeczy, choć nieco snobistycznej Margaret, nie zabawnej, stylowej Libby, a dwóch obcych, rozjuszonych kobiet, które na siebie warczały. Miała wrażenie, jakby ziemia ponownie usuwała się spod jej nóg.

– Alice? Dobrze się czujesz?

– Tak. – Przełknęła ślinę.

Zabrzmiało to jak szloch.

Pozbieraj się! – nakazała sobie. Pomyśl, jak czuje się Libby. To nie dotyczy ciebie.

– Pewnie nie powinnam dzwonić, ale nie wiem, co począć. A chciałabym jakoś pomóc – wyznała. – Libby została sama, a hotel jest w strasznym stanie. Powinniśmy zatrudnić nową ekipę? Możesz przyjechać i coś jej poradzić? Albo skontaktować się z Jasonem? – Słowa same płynęły jej z ust. – Bo wiesz... Czy to jest niebezpieczne, tak przerywać prace budowlane? Czy to legalne?

– Okej, uspokój się. Zaczniemy od spraw najważniejszych – powiedział Luke. – Jesteś pewna, że Jason nie wróci?

– Nie wiem, czy Libby go wpuści. Wygląda, jakby, hm, zaraz miała się rozpłakać albo w coś walnąć.

– A ekipa nie wróci na pewno?

– W każdym razie nie w najbliższej przyszłości. Udało mi się pogadać z Simonem, brygadzystą, kiedy się pakowali. Powiedział, że Marek przenosi ich do przebudowy domu w Highgate. Jego zdaniem redukuje straty, bo nie sądzi, żeby Jason miał pieniądze na skończenie remontu. Ma?

– Mnie nie pytaj. Jason nie rozmawia ze mną o takich rzeczach.

Alice patrzyła, jak Bob radośnie biegnie ścieżką w porannym słońcu, jak jego sobolowe futro lśni, podczas gdy masywne łapy wykonują długie susy, i doznała wyrazistego déjà vu. Czyste powietrze, milczące towarzystwo. Poranne spacerowanie z psem mnie uszczęśliwiają, pomyślała. Już tu byłam. Kiedy?

Wysiliła się, by odszukać wspomnienie, ale nie potrafiła go pochwycić. Było, tyle że schowane za trudną do pokonania zasłoną.

– Chcesz, żebym wrócił? – zapytał Luke. – Realizuję zlecenie w Szkocji, ale mógłbym przyjechać... we czwartek? Czy to za późno? Dałbym radę wcześniej, ale zgodnie z kontraktem muszę być obecny przez cały czas.

Alice poczuła, jak całe jej ciało odpowiada: „Tak, proszę, wróć”, ale zmusiła mózg do przejęcia kontroli.

– Wydaje mi się, że Libby doceni pomoc. Jak możesz się domyślić, żadna z nas nie ma pojęcia o pracach budowlanych.

– A ty? U ciebie wszystko w porządku? Z Gethinem dobrze się układa?

Alice nie mówiła Luke’owi o nowych ustaleniach z Gethinem ani o randce. Ani też o wszystkich tych rzeczach, o których od tamtego czasu dowiedziała się o nim i o sobie.

– W porządku – odparła. – Dziękuję. Libby zaproponowała, żebym zamieszkała w hotelu na czas, kiedy będziemy z Gethinem poznawać się na nowo. W sumie dobrze, jak się okazało, no nie? Więc, hm, tak. Układa się dobrze.

To mieszana wiadomość, pomyślała, sfrustrowana własnymi intencjami. Z jednej strony chciała, by Luke wiedział, że jest w hotelu sama, z drugiej – że sprawy układają się świetnie z chłopakiem, który najwyraźniej ją kocha. A ona musi tylko przypomnieć sobie ten dający jej oparcie, wypełniony uczuciami związek.

Zapatrzyła się w niebo. Nie wiem, kim byłam, pomyślała. W tym kłopot. Wiem tylko, kim jestem teraz, i wydaje mi się, że coś tu nie gra. Dlaczego?

– Porozmawiamy we czwartek – powiedział Luke. – Nie mogę obiecać, że pomogę, ale spróbować nie zaszkodzi. Daj znać Libby, że będę, ale nie mów mamie.

– Dobrze.

Brzemie, które ją przygniatało, zelżało trochę. Nie były całkiem same. Luke będzie wiedział, co robić.

Słońce świeciło ponad drzewami i polami Longhampton. A może wcale tu nie byłam? – pomyślała. Może powinnam być tutaj od początku?

To było dziwne uczucie, więc pospiesznie je odepchnęła. A potem pobiegła z powrotem do hotelu.

## Rozdział 21

Libby obudziła się ogarnięta paniką, przekonana, że zapomniała wstać i przygotować śniadanie, ale kiedy jej bosa stopy dotknęły dywanu, powróciły wydarzenia poprzedniego wieczoru. Padła na poduszki, jakby pchnięta niewidzialną ręką.

Sprawy wyglądały jeszcze gorzej teraz, gdy wyczerpały się adrenalina i gniew. Libby wpatrywała się w sufit i odliczała katastrofy, w których nie potrafiła znaleźć ani jednej pozytywnej cechy. Jason – odszedł. Budowlańcy – odeszli. Hotel – zrujnowany. Pieniądze – nie ma. Głaz, który wspólnie z Jasonem wtaczali na wzgórze, znowu się stoczył, i – sądząc z bólu, który czuła w całym ciele – wylądował na niej.

Otuliła się kołdrą i zwinęła w pozycji embrionalnej, usiłując nie myśleć.

Tego było za wiele. Libby nie miała pojęcia, od czego zacząć, a musiała radzić sobie sama. Gorzej nawet niż sama – bo skazana na pogrążoną w żałobie, rozgniewaną Margaret, która obwiniła ją o tę sytuację. Lodowaty wyraz oczu teściowej, gdy mówiła wszystkie te przykre rzeczy... Libby zadrżała, ponieważ na dnie serca zastanawiała się, czy Margaret nie miała racji, twierdząc, że to wszystko jej wina.

Zadzwonił budzik, ale go wyłączyła. Jaki sens wstawać? Poleżenie dłużej w łóżku to jedyna drobna przyjemność, jaka jej pozostała.

Po mniej więcej półgodzinie uchyliły się drzwi. Ponieważ trudno było przypuszczać, że Margaret przynosi jej śniadanie do łóżka, Libby pomyślała, że to Alice. Pewnie sprawdza, czy już się obudziłam.

Nie potrafiła stawić czoła tej dobroci, udała zatem, że śpi.

Przynajmniej Alice została. Mogła wrócić do Gethina – dzwonił co wieczór, żeby się upewnić, że nic jej nie jest, i usłyszeć, jak minął jej dzień – ale dzięki Bogu tego nie zrobiła. Ma takie szczęście, że poznała Gethina, pomyślała Libby. Kochającego, stałego, godnego zaufania człowieka, który ją uwielbia.

Jason. Kochający, stały, godny zaufania, okazujący uwielbienie. Jeszcze dwa

dni temu opisałaby go tak samo.

Oczy znów wypełniły się jej łzami.

Libby poczuła nagle, jak ugina się róg łóżka. Usłyszała cichy jęk i solidne ciało wskoczyło na materac tuż obok. No, może trochę potrwało, zanim do reszty dołączył zad.

– Idź sobie, Bob – powiedziała, ale pies nie zwrócił na to uwagi. Przysunął się i obwąchał jej mokrą twarz.

Libby nigdy dotąd nie miała Boba tak blisko, ale nie mogła go odepchnąć, bo ręce uwięzły jej pod kołdrą. Pachniał herbatnikami i snem. Przyjrzała mu się, zaskoczona tym, jak skomplikowany jest jego wielki czarny nos, jak piękne są białe wąsy na pysku. Basset delikatnie zlizął łzy płynące po jej policzku, muskając ją aksamitnym podgardlem w nos, a potem z niemal ludzkim westchnieniem ułożył się, wykorzystując biodro Libby jako oparcie i wypełniając krzywizny jej nóg swoim miękkim ciałem.

– Złaż ze mnie! – powiedziała, ale zaraz złapała się na tym, że właściwie wcale tak nie myśli.

W ciężkim cieple Boba było coś dodającego otuchy. Z kolejnym prychnięciem pies położył łeb obok jej biodra, co Libby wydało się gestem głębokiego zaufania – w każdej chwili mogła przecież wstać i zwalić go na ziemię – i pękło jej serce. Kiedy Bob podniósł na nią swoje mądre brązowe oczy, wypełnione nadzieją i uczuciem, pomyślała: „Więc właśnie to starym ludziom w szpitalu daje pociechę i ukojenie”. Prosta, spokojna, ufna miłość, którą widzą na psim pysku.

To mocuje cię w terażniejszości.

Mnóstwo rzeczy tutaj spieprzyłam, stwierdziła Libby i poczuła gułę w gardle. Ale jeśli chodzi o Boba, nie popełniłam błędu.

Lord Bob i Libby wpatrywali się w siebie. Potem pies potarł ją łbem, a Libby uwolniła rękę spod kołdry, zanurzając palce we wspaniałych fałdach ciepłego futra.

– Nie myśl tylko, że pies w łóżku to od dzisiaj norma – ostrzegła. – To jednorazowy incydent. Bo jestem za bardzo smutna, żeby cię wykopać. Okej?

Bob mruknął radośnie i zamknął oczy.

Jakiś czas później rozległo się pukanie do drzwi. To była Alice.

– Libby? Nie śpisz? Przyniosłam ci herbatę.

– Wejdz – odparła Libby, ale Alice już była w środku.

Niosła dwa kubki. Na widok Boba aż się cofnęła.

– Wynoś się! Już! Przepraszam, Libby, niedawno byłam z nim na spacerze. Nie wiedziałam...

– Niech zostanie. – Libby podniosła się z wysiłkiem.

Alice przysiadła na skraju łóżka i podała jej kubek. Na szczęście to nie był nowy kubek Jasona z logo drużyny piłkarskiej Longhampton.

– Wiesz, wczoraj wieczorem wszystko słyszałam – powiedziała Alice. – Tak mi przykro.

Libby się skrzywiła.

– Wszystko?

– Prawie.

Z zakłopotanego, ale współczującego uśmiechu Libby wywnioskowała, że Alice nie osądza. To sprawiło jej ulgę całkiem podobną do tej, którą wywoływał ciężar Boba na nogach. Większą niż spowodowałyby słowa.

– Co zrobimy?

– A co mogę zrobić? – Libby zamknęła oczy, ale obraz, który pojawił się pod powiekami, kazał jej natychmiast je otworzyć. – Nie mam zielonego pojęcia o tych sprawach. Myślałam, że mam, ale...

– No tak. Kogo możesz poprosić o pomoc? Twoi rodzice mieszkają gdzieś blisko?

– Nie. I są ostatnimi osobami, do których bym się zwróciła. – Libby wzdrygnęła się. Jak powiedzieć ojcu, że w najbliższym czasie nie dostanie swoich pieniędzy? – Nikogo tu nie znam, oprócz ciebie i przyjaciół Margaret. Ale wątpię, by któryś z nich był kafelkarzem. Może zasłonimy dziury w ścianach naprawdę wielkimi bukietami?

Alice postukała paznokciem w kubek.

– A ta kobieta z zooterapii? Gina, właścicielka greyhonda. Jest inspektorem nadzoru. Tak wynika z jej wizytówki.

– Zachowałaś jej wizytówkę?

– Owszem – odparła Alice cierpliwie. – One po to są. Założyłam teczkę z wizytówkami. Nie pojmuję, dlaczego wcześniej takiej nie było. Pamiętaj, pracowałam jako asystentka – dodała, kiedy Libby spojrzała na nią z podziwem. – To elementarne zasady.

Nadzieja zapłonęła i zaraz zgasła.

– Nie stać nas na inspektora nadzoru.

Przypomniała sobie człowieka, który starał się o pracę nadzorującą ekipę Marka w Londynie. Żądał dwudziestu procent budżetu.



To wystarczyłoby na skończenie remontu Łabędzia, pomyślała smętnie.

– Możesz zapytać. Zrobić to przed Drzewem Dobroci, żeby zrozumiała aluzję, co? – Alice trąciła Libby łokciem. – Spędzasz dużo czasu z Bobem w szpitalu. Jeśli jej powiesz, w jakie wpadłaś tarapaty, na pewno poświęci ci godzinę. Co? Co ma znaczyć ta mina?

Libby się skuliła.

– Wiesz... Słabo mi się robi na myśl, że całe miasteczko się dowie, jak strasznie wtopiliśmy. Powinniśmy byli zatrudnić miejscową ekipę, prawda? Założę się, że już o tym gadają. Że przyjechali londyńczycy ze swoimi snobistycznymi planami. I że dręczą Margaret, rujnując jej hotel. A jeszcze się nie dowiedzieli o wyjeździe Jasona. Zanim się obejrzysz, cały klub rugby będzie o tym wiedział.

Usiłowała mówić lekkim tonem, ale w duchu pragnęła umrzeć. A jeśli dotrze to do Londynu? Z kim Jason teraz rozmawia? Na czyim ramieniu się wypłakuje?

Alice milczała, przyglądając się Libby na ten swój znajomy przenikliwy sposób, dostrzegający wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

– Co? – zapytała Libby. – O czym myślisz?

Alice pokręciła głową.

– Tylko o tym, że czasami kompletnie cię nie rozumiem. Dlaczego tak cię obchodzi, co myślą ludzie, którzy cię nie znają? Wiem, że to koszmarna sytuacja, ale możesz mi wierzyć, ludzie nie będą cię oceniać. Nie pomyślą: „Och, ta Libby Corcoran to kompletna idiotka, ekipa remontowa nie dostała pieniędzy, jej mąż zniknął”. Będą mówili: „Biedna Libby, zatrudniła podejrzanych budowlańców i teraz jej mąż musiał wrócić do Londonu, pewnie żeby tam pracować”.

– Ale...

– Ale co?

Ale co? Libby usiłowała pojąć, dlaczego wewnątrz się kurczy. Powodem był fakt, że istotnie czuła się oceniana. Tyle że przez samą siebie. Hotel miał być wspólną sprawą, przedsięwzięciem, dzięki któremu powrócą z Jasonem na ten sam szlak. Opowiadała o Łabędziu przyjacielom jak o projekcie życia, bo chciała, żeby nim był. Żaden tam prosty wiejski pensjonat, oferujący noclegi i śniadania. Dlaczego?

Zacisnęła dłoń na kubku.

– Wszyscy nasi znajomi albo robią niesamowite kariery, albo mają cudowny

dom, albo wspaniące dzieci. Ja dobrze radziłam sobie w pracy, ale potem firma zaczęła zwalniać, a Jason wszystko spieprzył. Chciałam udowodnić, że potrafimy dokonać czegoś niewiarygodnego.

Czegoś, co by ludziom zaimponowało. O Boże, ależ jestem płytka! – uświadomiła sobie Libby. Płytko i snująca niestworzone historie. Właśnie tego nie znosiłam u innych. Myślałam, że jestem lepsza, ale to nieprawda.

Bob ponownie dramatycznie westchnął i przytulił łeb do jej biodra. Libby czuła igiełki w nogach, ale zupełnie o to nie dbała.

– Komu udowodnić? – zapytała Alice.

Jej łagodność sprawiała, że Libby miała ochotę się rozpłakać.

– Innym ludziom – odparła i urwała. To była prawda, ale zdawała sobie sprawę, że nie tak brzmi prawidłowa odpowiedź. – Moim przyjaciółkom.

– Tym, których wpisy na Facebooku ignorujesz? – Alice wbiła palec w kołdrę. – Które dzwonią, a kiedy ja odbieram, proszą, żebyś oddzwoniła, ale ty tego nigdy nie robisz? Nie mogę ciągle mówić, że jesteś na spotkaniu, skoro mamy dwóch gości na tydzień.

Libby milczała. Wiedziała, że to głupie. Za każdym razem, kiedy widziała notatkę sporządzoną schludnym pismem Alice, nie potrafiła do końca uwierzyć, że Erin, Becky, czy kto tam, dzwoniły i naprawdę chciały z nią rozmawiać.

– Nie potrzebujesz innych ludzi, żeby ci powiedzieli, kim jesteś – ciągnęła Alice. Na jej twarzy malowała się słodka powaga. – Nauczyłam się tego. Jedyna osoba, która naprawdę się liczy, jedyna, która naprawdę cię zna, to ty sama. Więc jeżeli myślisz, że jesteś osobą, która po tego rodzaju ciosie potrafi się podnieść, iść dalej i skończyć robotę, to nią jesteś. Do tej pory nie musiałaś tego robić. Co nie znaczy, że taka nie byłaś od samego początku.

Ich oczy się spotkały i Libby poczuła się silniejsza wyłącznie dzięki absolutnemu przekonaniu, które emanowało z Alice.

– Masz rację – powiedziała. – Masz rację.

Gina Rowntree, wolontariuszka zooterapii i najlepszy inspektor nadzoru w branży remontowej w Longhampton, jak się okazało po pobieżnym przeszukaniu w Google, przyjechała po południu w towarzystwie chudego mężczyzny z długimi ciemnymi kręconymi włosami, w koszulce Thin Lizzy. Wyjaśniła, że to nie jest jej mąż, ale najbardziej niezawodny budowlaniec

w okolicy. Co nie oznacza, że nie ceni go tak samo jak Nicka, swojego męża.

– To Lorcan Hennessey – powiedziała, kiedy się ze wszystkimi przywitała i zwięźle wyraziła współczucie. – Jest przede wszystkim stolarzem. Przyjechał, bo nie chce, żebyś myślała, że wszyscy w tej branży są jak ekipa, która cię zostawiła na lodzie.

– Faktycznie. Znajdą się i gorsi – oznajmił Lorcan poważnie, z silnym irlandzkim akcentem, po czym dodał: – Żartowałem.

Zanim Libby zdążyła zareagować, Gina spojrzała na niego z udawanym przerażeniem.

– Czas i miejsce, Lorcanie.

Na sesjach zooterapii z Buzzem emanował z niej spokój, ale teraz, gdy pracowała, bardziej przypominała przyjacielską starszą koleżankę. Kompetentną, zdecydowaną, rzeczową.

– Aktualnie zgodzę się na każdy żart – powiedziała Libby. – Nawet najślabszy.

– W takim razie Lorcan to twój człowiek – odparła Gina. – Pozwalam mu w pracy grać tę okropną rockową muzykę tylko dlatego, że zagłusza jego dowcipy. A teraz pokaż mi najgorszy pokój. Zawsze najlepiej od tego zaczynać.

Po obejrzeniu horroru, którym był pokój numer sześć z dwiema dziurami w ścianach, sprawdzili resztę parteru. Libby wyjaśniała, jakie miała plany, Lorcan ze zmarszczonym czołem stukał w stolarkę. Gina słuchała i zadawała pytania, od których Libby skręcały się wnętrzności. Nie, nie spisała z Markiem umowy zawierającej terminy ukończenia kolejnych etapów. Nie, nie odłożyła sumy na niespodziewane wydatki. Nie, nie sporządziła planu biznesowego. I tak dalej, i tak dalej.

– Czy jesteśmy największymi ignorantami, jakich widziałaś? – zapytała z rozpaczą, kiedy Gina wytłumaczyła jej kolejny sposób na oszczędzenie środków i czasu.

– Nie, wcale nie! Może jesteście najbardziej ambitni. – Eleganckie wanny sprowokowały ochy i achy u Lorcana i Giny, a potem opóźniony świst wstrzymywanych oddechów, kiedy Libby wyznała, ile kosztowały. – Ale zdziwiłabyś się, jak wiele małżeństw nie omawia budżetu przed remontem. – Gina wykrzywiła się do pozbawionej drzwi framugi. – W pewnym sensie to dobrze, bo w przeciwnym razie nie musieliby mi płacić za porządkowanie spraw.

- A nie denerwuje cię to?
- Nie. – Gina pocieszająco poklepała Libby po ramieniu. – Szczerze mówiąc, im większy bałagan, tym większa satysfakcja z pracy.
- To dobrze – odparła Libby. – Ja też tak myślę.

Po mniej więcej godzinie Libby usadziła Ginę i Lorcanę w kuchni i zaproponowała im herbatę z ostatnimi wykwintnymi herbatnikami Margaret. Sama Margaret gdzieś sobie poszła, pewnie do jednej z przyjaciółek, żeby się poskarżyć na samolubną synową.

Gina napiła się herbaty, po czym wyjęła czarny notatnik i otworzyła go na nowej stronie. Coś w tym praktycznym gościu zapaliło iskierkę optymizmu w znużonym sercu Libby. Herbata, notatnik, pusta strona.

– Zatem podsumujmy – powiedziała Gina, klikając długopisem. – Masz termin ostateczny, czyli przyjazd tej dziennikarki na początku września. Chcesz otworzyć na nowo na początku lipca. Teraz jest koniec maja, a to daje nam około pięciu tygodni. Mnóstwo czasu. I masz budżet...?

– Minimalny. Możemy wrócić do tego później? – zapytała Libby dzielnie.

– Nie ma problemu – odparła Gina, jakby rzeczywiście problemu nie było. – Lorcan? Co o tym sądzisz?

Lorcan westchnął, oparł się łokciami o stół i wsunął wielkie dłonie w czarne loki.

– Dobra, więc...

Czoło Libby pobruździło się od złych przeczuć.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała Gina, widząc tę reakcję. – Robi tak za każdym razem, kiedy zaczynamy robotę. Budowlańcy tak myślą. Mózg musi połączyć się z rękami.

– Według mnie... Nie jest aż tak źle, jak wygląda – przemówił Lorcan. Wyprostował się i spojrzał w zmartwioną twarz Libby. Miał niepokojąco niebieskie, jak dzins, oczy z gęstymi ciemnymi rzęsami, od których zaczynał się uśmiech, rozlewający się na całą twarz. – Nie byli zbyt staranni, ale kiedy zrobimy porządek ze ścianami i zainstalujemy resztę wyposażenia w łazienkach, zostanie tylko proste kafelkowanie i malowanie.

Proste. Jeśli chodziło o Libby, to mogła być operacja mózgu.

– Potem będziesz potrzebować dywanów. – Gina notowała. – I wykończenia. Masz pierwotny budżet, na który mogłabym zerknąć?

Libby przesunęła po stole arkusze sporządzone przez Jasona i patrzyła, jak Gina wodzi po nich doświadczonego okiem, tu i tam coś zakreślając.

– Mówiłaś, że twój mąż pracuje w finansach? – zapytała, nie podnosząc wzroku.

– Tak.

– Wiesz, że nie uwzględnił VAT-u w tych obliczeniach?

– Naprawdę? – jęknęła Libby.

– Nic dziwnego, że zabrakło wam gotówki wcześniej, niż się spodziewaliście. No więc... Zła wiadomość jest taka, że moim zdaniem, musisz ograniczyć rozmach. – Uśmiechem dodała Libby otuchy. – To też powtarzam co najmniej dwa razy w tygodniu. Nie jesteś pierwsza, która przekroczyła budżet, i nie będziesz ostatnia. Radzę nad nim zapanować. Albo cztery pokoje wykończysz elegancko i resztę zamkniesz, albo cały hotel wyposażysz podstawowo.

Marzenia Libby o prześcieradłach z egipskiej bawełny i luksusowych drobiazgach rozsypywały się w proch.

– Kiedy mówisz „podstawowo”...?

– No wiesz... Tak od ręki, polerowanie i lakierowanie podłóg zamiast dywanów. Hm, tańsze zasłony, ale z porządną podszewką. Malowanie zamiast tapetowania. Zainstalowanie w pozostałych łazienkach zwykłych wanien, ale z dobrą armaturą. Mogę przejrzeć budżet i sprawdzić, na czym da się oszczędzić.

– Ale ta dziennikarka myśli, że przyjedzie do luksusowego butikowego hotelu!

Nie tylko ona. Także wszyscy londyńscy przyjaciele, którzy z zapałem będą kartkować czasopismo, żeby na własne oczy zobaczyć bajeczną zmianę stylu życia Libby i Jasona.

Libby ścisnęło w żołądku. Niemal usłyszała, jak Rebecca Hamilton z tą swoją fałszywą troską w głosie pyta: „A gdzie jest spa, skarbie?”.

– Nie ma sensu się zadłużać, żeby zadowolić jedną dziennikarkę – stwierdziła Gina. – Jak nie masz pieniędzy, to nie masz. Idź dalej. Zmień pytanie na takie, na które jesteś w stanie odpowiedzieć.

Libby wpatrywała się w kubek, a w jej głowie trwała gonitwa myśli. To był tydzień gwałtownych zwrotów akcji. Zawsze sądziła, że życiowe punkty zwrotne będą zapowiadane z góry, jak skrzyżowanie na autostradzie, tak by człowiek mógł się przygotować na ostry zakręt prowadzący do nowego celu,

w rzeczywistości jednak pojawiały się nieoczekiwanie. Na reakcję pozostawał ułamek sekundy. A człowiek zaraz zmierzał w kierunku, co do którego nie był nawet pewien, że by go wybrał.

Utrata pracy przez Jasona spadła na nich jak grom z jasnego nieba. A teraz to. Tydzień temu Libby myślała, że wie, czego chce. Czego jednak chce teraz? Nawet gdyby wiedziała, do jakiego stopnia jest zdolna do urzeczywistnienia swoich zamierzeń, nie miała pieniędzy ani doświadczenia. W obecnej chwili nawet zapłacenie za zakupy w przyszłym tygodniu stało pod znakiem zapytania. Oszukuje samą siebie, że uda się jej tego dokonać? A może powinna oddać klucze?

Głos w jej głowie zauważył, że siedzi przy stole z dwojgiem ludzi, którzy jej pomagają, ponieważ chcą, i rozmawiają z nią o tym, na czym jej zależy. W gruncie rzeczy po raz pierwszy, odkąd zaczęła remont hotelu, miała szansę na przejęcie kontroli.

Jej wzrok padł na arkusze sporządzone przez Jasona i musiała odwrócić spojrzenie, bo poczuła ukłucie w sercu.

– A jeśli chodzi o ten artykuł... – ciągnęła Gina, składając arkusze bez dodatkowych komentarzy – a mówię to jako stała czytelniczka takich czasopism, o wiele bardziej interesuje mnie ktoś, kto zrealizował marzenia, licząc się z każdym groszem, pod szaloną presją, niż żona jakiegoś faceta od funduszu hedgingowego, która pieniędzmi męża płaci architektom. A potem ciężarówkami wywozi towary ze sklepu White Company i urządza nudny hotel, dokładnie taki sam jak inne nudne hotele, w których bywają jej nudni znajomi. Drobnymi problemami sprawiają, że całość jest o wiele bardziej zajmująca.

– Owszem, kiedy czytasz o kimś innym. Kiedy dotyczy to ciebie... – Libby zdawała sobie sprawę, że w jej głosie pobrzmiwa skarga, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Gina sięgnęła po kubek, po drodze ściskając rękę Libby. To był przyjacielski gest, choć z rodzaju „no, dajże spokój”.

– Libby, wszyscy przeżywamy takie chwile. Kiedy się lepiej poznamy, zanudzę cię historią, jak to najlepsze rzeczy w moim życiu wynikły z absolutnie najgorszych chwil. Naprawdę. Lorcanowi też się to przydarzyło.

– Taaak. – Lorcan pokiwał głową. – Życie okropnie wybiera sobie pory. Nie chciałabyś, żeby zorganizowało ci imprezę.

– Ale to nadal świetna okazja do reklamy. Od ciebie natomiast zależy, jak to rozegrasz – ciągnęła Gina. – Naprawdę, to miejsce to prawdziwy klejnot!

Uwielbiam twoje wanny, wybrałaś rewelacyjne kolory. Co z tego, że zaczniesz oszczędzać? Co ludzie tak naprawdę pamiętają z pobytu w hotelu? Drogą pościel czy to, jak czuli się odprężeni, kiedy wyjeżdżali? Wybierz jakieś tanie elementy, które przydadzą Łabędziowi charakteru i będą twoje. Poleciłabym hotel gościom wyłącznie ze względu na przyjmowanie psów. To naprawdę unikatowa cecha.

Libby otworzyła usta, żeby powiedzieć, że tego nie miała w planach, ale mądrze zmieniła zdanie.

– W ostatecznym rozrachunku to twój wybór – wtrącił Lorcan, rzucając Ginie ostrzegawcze spojrzenie. – Nam łatwo widzieć w tym tylko projekt, ale wyobrażam sobie, że z twojego punktu widzenia rzecz jest o wiele bardziej skomplikowana. Ze względów emocjonalnych.

– Dobrze, odsuńmy emocje na bok – powiedziała Gina. – I skończmy remont. Później możesz hotel wprowadzić na rynek, jeśli zechcesz. Ale nie możesz nic nie robić, prawda?

Libby wzięła głęboki wdech i rozejrzała się za punktem zwrotnym. Rzeczywiście mogła nic nie robić i niczego nie zyskać albo zwrócić się o pomoc, skorzystać z niej i zobaczyć, do czego ją to doprowadzi. W piersiach poczuła lekkość, jakby w górę unosiły ją tysiące maleńkich ptaszków. Łabędź zasługiwał na remont. A Libby chciała być tą, która tego dokona.

Zrobię to, pomyślała, i udowodnię Jasonowi, że nie miał racji. Nie musiał ryzykować naszych pieniędzy, żeby za to zapłacić. A gdyby doszło i do tego, jego też nie potrzebuję.

Ta myśl sprawiła, że ogarnął ją chłód i smutek. Libby zapragnęła cofnąć te słowa, zanim wszechświat zażąda od niej, by postąpiła zgodnie z nimi.

– Dobrze – powiedziała, ignorując ból w sercu. – Jak mam to zrobić?

## Rozdział 22

...więc Lorcan będzie swoich uczniów szkolił w hotelu, żeby obniżyć koszty. – Alice, mówiąc, zręcznie przesunęła poszatkowany ząbek czosnku na stosik, który usypała wcześniej. – Wszyscy zgłosili się do pomocy. Nick, mąż Giny, zrobi zdjęcia do strony internetowej, a inna wolontariuszka zooterapii, która pracuje w organizacji dobroczynnej przyjmującej wyposażenie domów, zbierze chodniki, które Libby wykorzysta w pokojach. Dzięki temu w hotelu zapanuje bardziej staroświecka atmosfera. Niebutikowa. – Urwała, uświadamiając sobie, że od pół godziny bez przerwy opowiada Gethinowi o planach Libby, a on prawie się nie odzywa. – Ale to oznacza mnóstwo ciężkiej pracy. Wszyscy się dokładają. Powiedziałam, że mogę malować, jeśli będą potrzebowali dodatkowej pary rąk.

– Czy to dobry pomysł? – Gethin przerwał obieranie cebuli i zaniepokojony odwrócił się do Alice. – Nie powinnaś się przemęczać.

Była pora lunchu. Gethin wziął wolny dzień i ramię w ramię kroili warzywa w kuchni. Smaki, jak twierdzono w szpitalu, miały być doskonałym sposobem na pobudzenie pamięci, Gethin zaproponował więc danie, które przyrządzali wspólnie już w przeszłości, czyli ulubione tajskie curry. Uwielbiali je i robili „co najmniej raz w tygodniu”.

– Nie ma powodu do obaw – zapewniła go. – Ja zajmuję się drobiazgami. I parzę mnóstwo kawy.

Gethin przekrzywił głowę, spoglądając przez postrzępioną grzywkę.

– Miałaś im pomagać tylko w tamtym dniu. Myślę, że cię wykorzystują.

– Nieprawda. – Alice umilkła.

„Oni” to właściwie była wyłącznie Libby. Jason nadal nie dawał znaku życia, Margaret prawie się nie odzywała, a Luke przyjedzie dopiero jutro wieczorem. Serce Alice rosnęło na myśl o Luke’u wchodzącym przez frontowe drzwi do Łabędzia.

Przysłał jej esemesa z pytaniem, czy Alice będzie wtedy w hotelu, a jej



żołądek wykonał salto na sam widok jego imienia na wyświetlaczu. Chciała porozmawiać z nim o swoich planach, o rodzicach. W gruncie rzeczy o wszystkim.

– Libby nikogo tu nie zna, a potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy – dodała pospiesznie, odpychając myśli o Luke’u.

Gethin otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

– O co chodzi? – Alice rozpoznała charakterystyczne napięcie przemykające po jego twarzy, kiedy musiał przypomnieć jej o czymś przykrym. Coś, o czym powinna wiedzieć, a co nie sprawi jej przyjemności. To żałosny obowiązek, pomyślała. Ten, kogo najbardziej kochasz, musi być wobec ciebie całkowicie szczery. – Mów.

– Myślę, że jesteś trochę naiwna. Nie mają pieniędzy, żeby płacić personelowi, więc wykorzystują cię w oczywisty sposób, bazując na twojej wdzięczności do Libby. Nie chcę, żebyś w coś się wplątała, zwłaszcza że jeszcze nie doszłaś do zdrowia po wypadku. A poza tym... – dodał. – Może to z mojej strony egoistyczne, ale chcę, żebyś była tu ze mną, zamiast malować ściany u obcych ludzi. W domu jest pusto bez ciebie.

– Przykro mi.

Gethin wybrał kolejnego pomidora i przeciął na pół.

– Jest trudno, kiedy z kimś dzielisz życie – powiedział, nie odrywając wzroku od deski do krojenia – a nagle go tu nie ma. – Przygryzł wargę. – A w dodatku odnosisz wrażenie, że wcale nie chce tu być.

– Ale ja chcę! – odparła Alice bez namysłu. – Jesteś niesprawiedliwy. Ja tylko... Muszę się do tego przyzwyczaić.

Milczał, więc zerknęła na niego z ukosa. Gryzł wargę i wyglądał... Nie, nie na smutnego. Raczej na obrażonego.

Pomyślała, że ma powody.

Po ich pierwszej randce Gethin zrezygnował z eleganckiego garnituru i powrócił do swobodniejszych koszulek polo i dżinsów. Alice lubiła jego styl, kojarzący się z modsami, lekko wygnieciony i słodki. Ostatnim razem pocałowali się na pożegnanie; to nie był namiętny pocałunek, ale czuły i przedłużający się, w którym na końcu zapłonęło trochę ognia, gdy Gethin wsunął dłonie w jej włosy. Wystarczająco, by obudzić nadzieję, że być może już niedługo ciało coś sobie przypomni.

Gethin spojrzał jej prosto w oczy.

– Kiedy się wprowadzisz?

Jego szczerość wytrąciła Alice z równowagi; nie znosiła myśli, że Gethin dostrzeże jej wątpliwości, ani bardziej mrocznych przypuszczeń czających się na skraju czarnej kurtyny w jej pamięci.

– Niedługo.

Od dalszego ciągu uratował ją dzwonek telefonu w holu.

Gethin odłożył nóż.

– Odbiorę – powiedział. – To przypuszczalnie moja szefowa. Zupełnie nie rozumie koncepcji wolnego dnia. Zaraz wracam.

– Więc wszystko w porządku, jeśli ona cię wykorzystuje, ale źle, jeśli Libby wykorzystuje mnie?

Chociaż Alice powiedziała to lekko, Gethin się skrzywił.

– Nie bądź taka.

Wróciła do szatkowania czosnku. To miłe, pomyślała. Kieliszek wina, lista „ich” piosenek ułożona przez Gethina, letnie powietrze wpadające przez wielkie drzwi...

Auć. Nóż za bardzo zbliżył się do jej palca, ścinając z niego kawałek skóry. Alice zaczęła ssać ranę. Pojedyncza rubinowa kropla spadła na deskę.

– Gethin? – zawołała, ale zaraz doszła do wniosku, że nie będzie mu przeszkadzać w rozmowie.

Gdzie w kuchni może być apteczka? Alice na chybił trafił zaczęła otwierać szafki. Pod zlewem?

Było tam mnóstwo środków czyszczących, ale żadnego pudełka z plastrami.

Nadal ssąc palec, drugą ręką otwierała szuflady. Sztućce. Przyrządy. Ścierki do naczyń. W kredensie obok lodówki zobaczyła tylko kłębowisko plastikowych pojemników i pokrywek.

Po cennych sekundach odrętwienia poczuła pulsowanie; żelazisty smak na języku nieprzyjemnie przypomniiał o szpitalu. Kolejna szafka: zestaw do czyszczenia butów, środek chroniący zamsz, szczotki.

Dlaczego tak trudno znaleźć apteczkę? Pozostała już tylko jedna szafka, wisząca nad wyciągiem.

Alice weszła na krzesło. Drzwiczki były lepkie, musiała mocno szarpnąć, żeby je otworzyć.

W środku zobaczyła trzy metalowe psie miski, smycz, dwie czerwone zabawki, piszczącego bazanta, niebieskie szelki.

Alice skamieniała. Rzeczy dla psa? Mieli psa?

Sięgnęła po obrozę. Na kółku wisiała metalowa tabliczka. Bez psiego

imienia, za to z jej imieniem i nazwiskiem, numerem komórki i innym adresem.  
King's Avenue 143a.

Alice ścisnęła w dłoni smycz. Identyfikator przywołał wspomnienie i teraz z absolutną pewnością wiedziała, że rzeczywiście miała psa. Małego białego foksteriera z piracką czarną łatką na oku i długimi prostymi nogami, jak z książek Enid Blyton. Była właścicielką psa wabiącego się Fido.

– Fido – powiedziała na głos.

Zabrzmiało to jak szloch.

W jej głowie coś błysnęło i przed oczami zaczęły przemykać wspomnienia. Niemal za szybko, by je zarejestrować. Betonowy wybieg w schronisku na północy Londynu, koścista suczka siedząca i żebrząca przy kracie, żałośnie odgrywająca wszystkie znane sobie sztuczki przed każdym przechodzącym gościem. I nieoczekiwana miłość, która spadła równocześnie na nią i na Alice.

Spacery wczesnym rankiem przed pójściem do pracy, podrzucanie czerwonej piłki w unoszącą się nad parkiem mgłę.

Gladys, emerytowana pielęgniarzka, sąsiadka z parteru, która miała mieszkanie z ogródkiem. Witająca Fido, kiedy jej pani wychodziła na stację metra.

Przede wszystkim jednak serce Alice wypełniała sunia – jej czarne jak paciorki oczy, biały ogon, który nigdy nie przestawał machać, i głębokie przywiązanie, z jakim patrzyła na właścicielkę. Alice czuła się kompletna, już nie sama, zakotwiczona w wielkim mieście dzięki swojemu małemu psu.

Ale gdzie on jest? Dlaczego Gethin nigdy nawet o nim nie wspomniał? Alice ogarnęło straszliwe przeczucie, że Fido przytrafiło się coś złego.

Niezgrabnie zeszła z krzesła, zatoczyła się i przewróciła na je podłogę.

– Gethin! – zawołała drżącym głosem. – Gethin!

– Co się stało? – Wbiegł do kuchni i zobaczył krew, która z jej dłoni kapała na biały blat. – Zraniłaś się! Szybko, obmyj to pod wodą!

– Nie. Chodzi o to. – Alice pokazała szelki i miski. – Gdzie jest Fido? Dlaczego mi nie powiedziałeś, że o niej zapomniałam?

Jak mogłam zapomnieć o Fido? – pomyślała, dręczona poczuciem winy.

Gethin potarł twarz. Wyglądał na załamanego.

– Nie chciałem ci nic mówić, dopóki nie poczujesz się lepiej.

– Powiedz mi teraz. Muszę wiedzieć!

– Nie żyje – wyrzucił z siebie, a ciałem Alice wstrząsnął szok. – O Boże, tak mi przykro! Tak bardzo mi przykro. Usiądź. – Poprowadził ją do stołu.

Pod Alice ugięły się nogi, więc Gethin objął ją i kołysał łagodnie. Nie miała nic przeciwko temu, bo ledwie docierało to do jej świadomości. Coś jej mówiło, że ta reakcja jest dziwnie nieproporcjonalna do sytuacji – nie czuła takiego oszołomienia, kiedy stanął przed nią mężczyzna, którego nie potrafiła sobie przypomnieć – ale mózg Alice nie był w stanie tego ogarnąć. Myśl zaraz umknęła.

– Powiedz, jak to się stało.

Gethin wsparł policzek na jej głowie.

– Byłaś z Fido na spacerze w parku. Spuściłaś ją ze smyczy, żeby pobiegała.

– Ty też z nami byłeś?

– Nie. Tak mi później powiedziałaś. Chyba piłka się potoczyła albo coś w tym rodzaju, bo Fido wybiegła na drogę i... No, wpadła pod autobus. Pewnie wszystko odbyło się bardzo szybko.

Łzy wezbrały w oczach Alice, zamazując obraz kubków na stole.

– Nie – wyszeptała. – Dlaczego jej nie powstrzymałam?

– Nie wiem, Króliczku.

– Ale ja zawsze jej pilnowałam! Rzucałam jej piłkę. Nigdy nie spuszczałam jej z oka! Nie w Londynie!

Gethin objął ją łagodnie, mając na uwadze jej zebra.

– Alice, właśnie dlatego nic ci nie mówiłem. Jak mogę teraz ci pomóc? Wierz mi, czuję się strasznie, kiedy muszę ci mówić o złych i dobrych rzeczach. To takie trudne. Może pisałaś esemesa albo coś w tym rodzaju? W tamtym czasie miałaś sporo na głowie. Jeśli mam być całkowicie szczery, martwiłem się o ciebie. Nie byłaś sobą.

Alice zamknęła oczy. Czy to możliwe, że dzwoniła wtedy do... Luke'a? Kiedy Fido wpadła pod autobus? Kim właściwie była w tamtych tygodniach? Czy wypadek zmienił ją w osobę, której teraz nie potrafi rozpoznać? Przed jej oczami rósł stos dowodów, a ona nie chciała ich oglądać.

– Przykro mi – dodał Gethin. – Naprawdę bardzo mi przykro. – Wyciągnął rękę i dotknął metalowego kółka na szelkach, które Alice nadal ścisnęła kurczowo. – Tworzyliśmy rodzinę.

Słowo „rodzina” poruszyło coś na dnie serca i powrócił dawny ból. Wspomnienia przesuwały się przez głowę, dawne, ale odświeżone. Barley. Barley, krzywonogi jack russell, który podróżował w kieszeni płaszcza taty.

– Kiedy byłam małą, mieliśmy psa. Fido mi go przypominała. Dlatego ją wybrałam. Bo przypominała Barley.

Tego już było za wiele. Alice nie zdołała powstrzymać łez. Kiedy Gethin ją objął, nie opierała się.

– Nie płacz, Alice – powiedział uspokajająco. – Jestem przy tobie. Ty i ja nadal tworzymy rodzinę. Musisz dzisiaj zostać na noc. Nie powinnaś wracać do hotelu. – Odsunął się, żeby mogła zobaczyć jego twarz. Nie odrywał od niej swoich łagodnych oczu. – Zostań, spędzimy razem czas.

– Ale Libby mnie potrzebuje...

– Nie tak bardzo jak my rozmowy.

W głosie Gethina zabrzmiała nuta, której Alice nie słyszała nigdy dotąd. Wykluczająca dyskusję.

Nie była pewna, jak zareagować. Trzymał ją całkiem mocno.

– Myślę tylko o tobie – ciągnął niecierpliwie. – Powinnaś siebie postawić na pierwszym miejscu. Nas. Nie chcesz, żeby sprawy wróciły do normalności? A tak się nie stanie, jeśli cały czas będziesz spędzać z innymi, prawda? Z ludźmi, którzy cię nawet nie znają – przerwał. Alice z ulgą zauważyła, że twarz mu łagodnieje. – Chcę, żebyśmy usiedli na sofie i porozmawiali. Pobyli razem. Potrzebuję tego. Tak bardzo za tobą tęskniłem. Za tobą i... Fido.

Fido. I Barley. Dolna warga Alice niebezpiecznie zdrząła i Gethin znów wziął Alice w objęcia. Ukryła twarz w jego ramieniu i poczucie całkowitej samotności przybladło. Gethin ją znał, a to oznaczało, że rzeczy, które kochała, nie znikły całkowicie. Gdzieś tam były.

Zgodnie z przyrzeczeniem, Gina przysłała Libby mejla z propozycjami działań, dzięki którym hotel zacznie funkcjonować ponownie. Było tego mnóstwo, ale Gina ustaliła taki harmonogram prac, który je umożliwił. A co ważniejsze, kiedy rano wpadł Lorcan i w prostych słowach opisał każdy etap, po raz pierwszy Libby była w stanie wyobrazić sobie, jak do tego dojdzie.

To, że rozumiała i że do ostatniego pensa wiedziała, ile to będzie kosztować, wydawało się jej bardzo ważne. Nie chciała nigdy więcej czuć się przyłapaną i bezbronna.

Choć jednak nowy remont miał kosztować ułamek pierwotnego budżetu, to wciąż nie miała tych pieniędzy. Po wyjściu Lorcana siedziała w biurze za biurkiem i ścisła kciukami skronie. Na litość boską, skąd wyczaruje środki?

Zwykle od razu zwróciłaby się do Jasona, ale teraz było to wykluczone. Nie odezwał się, odkąd trzy dni temu wyjechał z hotelu. Libby nie miała zamiaru

do niego dzwonić; wiedziała, że skończy się na tym, że będzie przepraszała i brała winę na siebie. A to nie była jej wina. Ten jeden raz chciała, by Jason wziął odpowiedzialność za swoje czyny. Ale na razie trzeba było zapłacić rachunki. Musi znaleźć pieniądze. Prostota tej myśli była oswobodzająca – nie było innego wyjścia, jak zabrać się do działania.

Libby zmusiła się do logicznego myślenia. Nie mogła obciążyć hipoteki; bank nie udzieliłby jej kredytu. Więc trzeba coś sprzedać, ale co? Nie miała pełnego po brzegi puzderka z biżuterią, ale były brylanty, które kupił jej Jason. Ich widok, nie mówiąc już o noszeniu, sprawiał jej zbyt wielki ból. Bo bardziej dotyczyły jego chęci, by dowieść własnej pozycji u ulubionego jubilera jego matki, niż pragnień Libby.

Czy to stanowi podsumowanie ich małżeństwa? zastanawiała się ponuro. Wszystko na pokaz, żadnej treści? Jak Jason mógł do tego stopnia zatracić rozeznanie w charakterze Libby, że nie rozumiał, iż wolałaby raczej zapłacić Markowi niż dostać kolczyki? A może taka się stała?

Przygryzła wargę. Może. I w dodatku tego nie zauważyła.

Wzięła do ręki długopis. Kolczyki to dobry początek, ale potrzeba o wiele więcej. Co oznaczało, że Libby musiała wykonać telefon, chociaż wcale nie miała na to ochoty. Tyle że teraz nie mogła pozwolić sobie na dumę.

Wybrała numer ojca, zanim zdążyła przecwiczyc rozmowę w myślach.

Colin Davies odebrał po czwartym sygnale, dokładnie w chwili, gdy Libby zawsze zaczynała się denerwować i miała zamiar się rozłączyć, ale było na to za późno.

– Cześć, tato. – Starła się nadać głosowi beztroskie brzmienie. – Czy to dobra pora na rozmowę?

Pora nigdy nie była dobra, ale zawsze musiała o to zapytać. Gdyby tego nie zrobiła, on by jej to przypomniał. Liczba obręczy, przez które musiała skakać w relacjach z ojcem, rosła z roku na rok.

– Jeśli nie potrwa to długo – westchnął z wyraźną przyjemnością. – Jestem w drodze na pole golfowe.

– Świetnie. Chciałabym z tobą porozmawiać o hotelu – zaczęła, ale jak zwykle jej przerwał, przechodząc do sedna.

– Nie mów! – W głosie pobrzmiwał nieprzyjemny chichot. – Przehulałaś pożyczkę ode mnie i chcesz więcej.

Wstrząśnięta Libby wpatrywała się w notatki Giny.

– Hm...

– Wiedziałem! – oznajmił zachwycony. – Powiedziałem Sophie: „Założę się o dziesięć funtów, że te pieniądze parzyły Libby w palce, i przed końcem miesiąca zadzwoni, prosząc o więcej”. Ty naprawdę jesteś córką swojej matki, Libby. W głowie mi się nie mieści, że kobieta może osiągnąć twój wiek, a do tego stopnia nie mieć pojęcia o ustalaniu domowego budżetu. Dziwię się, że Jason nie wziął cię w karby.

– Tato, to niesprawiedliwe. Ja...

– A może porozmawiam z Jasonem? Nie wie, na co je wydałaś, tak? Niewykluczone, że tym razem powinniśmy spisać umowę, skoro mam mieć udział w tym interesie. Bo tak to wygląda, prawda?

Boże! – pomyślała Libby. Jak on to robi? Dlaczego ciągle wpędza mnie w poczucie, że jestem głupią nastolatką?

Bo mu na to pozwalasz, oznajmił głos w jej głowie. Pozwalasz, żeby ci dyktował, kim jesteś.

Doznała olśnienia i pojęła, jakim złym, wręcz fatalnym pomysłem byłaby kolejna pożyczka od ojca. Nawet po spłaceniu wszystkiego z odsetkami on nadal by o tym mówił. Na zawsze pozostałaby „córka, która potrzebuje pomocy”. Na wieki osiemnastoletnią i nieodpowiedzialną. Ona być może zmieniła się, ale on nie zamierzał.

Nie będę prosiła! – pomyślała. Więcej warte dla mnie jest to, że mu nie powiem, a pieniądze znajdę gdzie indziej.

Nagła decyzja sprawiła, że Libby przebiegł ekscytujący, choć jednocześnie paniczny dreszcz.

– Właściwie to nie jest taki zły pomysł – rozważał ojciec. – Przekaż słuchawkę Jasonowi i omówimy to w szczegółach.

– Nie dzwonię z prośbą o pieniądze – oznajmiła Libby.

– Nie? – Ojciec sprawiał wrażenie niemal rozczerowanego.

– Nie. Chcę ci opowiedzieć, jak dobrze układają się sprawy. Jak świetnie wygląda hotel. Ale ty najwyraźniej nie masz ochoty słuchać o pozytywach, więc nie będę marnowała twojego czasu. – W ustach Libby zaschło. – Dam ci znać o otwarciu. Może będziemy mogli obniżyć ci cenę za pokój na weekend. Do widzenia, tato.

Rozłączyła się, mimo że on nie przestał się oburzać, i zwiesiła głowę. Postąpiła słusznie, ale to oznaczało, że musi zadzwonić w jeszcze jedno miejsce. I ten telefon będzie trudniejszy. Nadal nie miała pewności, czy to dobre wyjście, ale dysponowała ograniczonymi opcjami.

Nigdy nie jest łatwo prosić o pieniądze, pomyślała, wybierając numer. Tak brzmi lekcja na dzisiaj.

W słuchawce rozległ się sygnał, a potem znajomy głos.

– Witaj, nieznajoma! Co u ciebie? – Erin mówiła serdecznie, a Libby ogarnęły wyrzuty sumienia, że odkładała ten telefon. I że dzwoni dopiero teraz, kiedy potrzebuje przysługi. Dobra ze mnie przyjaciółka, nie ma co. – Zaczęłam już myśleć, że powiedziałam coś nie tak – ciągnęła Erin poważniejszym tonem. – Powiedziałam? Chodzi o to, że nikt nie miał od ciebie wiadomości i jesteśmy trochę... Co zrobiliśmy?

– Przepraszam, ale mamy tu straszne zamieszanie – zaczęła Libby odruchowo, ale zaraz ugryzła się w język. – Nie, prawdę mówiąc, to... Erin, posłuchaj, nie wiem, jak lepiej mogłabym to zrobić, więc przejdę od razu do rzeczy. Potrzebuję przysługi. Naprawdę wielkiej.

Powinna zacząć od tego, że Jason wyjechał? Libby nie była pewna, czy zniosłaby litość. No i gdyby powiązała to wydarzenie z interesami, Erin mogłaby odmówić. Twarz Libby płonęła.

– Mów! – Sądząc ze śmiechu i krzyków w tle, Erin była na placu zabaw. – To ciocia Libby! – wyjaśniła na użytek dziecka. – Pomachaj, dobrze? Do telefonu. Libby, udawaj, że widzisz, jak Tobias do ciebie macha.

Libby zacisnęła powieki. Tobias był taki słodki! Uwielbiała być ciocią Libby dla Fasolek Erin.

– Erin, muszę pożyczyć pieniądze – powiedziała. – Tylko na kilka miesięcy.

– Och, nie mów? Bank coś nabroił? – odparła Erin. – Opowiadałam ci, jak przesunęli pensję Pete’a na złe konto, i nic nam nie mówili, a odezwali się dopiero wtedy, kiedy przekroczyliśmy debet o wiele tysięcy? – Libby mogła sobie wyobrazić, jak przyjaciółka przewraca oczami. – Oczywiście wszystkiego się wyparli. Co zrobili tobie?

Libby wahała się przez sekundę. Erin oferowała jej idealny listek figowy do okrycia zażenowania, ale ona nie mogła go przyjąć. Musiała być szczerą. Udawanie kogoś, kim nie jest, doprowadziło ją do tej sytuacji. Erin zasługiwała na prawdę.

– Nic – powiedziała. – Chodzi o to... Muszę pożyczyć na dokończenie pewnych robót.

– Jasne. – W głosie Erin zabrzmiało zdumienie. – O jaką kwotę chodzi?

Libby zamknęła oczy. Kiedy wymieni liczbę, sprawa stanie się realna.

– Dziesięć tysięcy?



W słuchawce zapadła cisza.

– Okej – odezwała się wreszcie Erin. – Rzecz w tym... Dziesięć tysięcy funtów? To mnóstwo pieniędzy. Choć z drugiej strony wcale nie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Sądziłam, że masz ogromny budżet. Przecież sprzedawałaś dom?

Libby patrzyła na biuro, na jego szacowną przytulność powoli wyłaniającą się spod bałaganu, i uświadomiła sobie, że ledwie pamięta szczegóły domu, na który wydała tyle pieniędzy. Był cały gładki, w beżach i chromie, zupełnie inny niż ten hotel z jego przytulnymi zakątkami, siedzeniami pod oknami i niespodziewanymi witrażami. Londyński remont miał na celu podniesienie ceny już i tak przepłaconej nieruchomości, tutaj chodziło o przywrócenie prawdziwego raj.

– Libby? Jesteś tam, skarbie? – Hałas w tle ucichł. Erin dyskretnie odeszła na bok, by nie słyszały jej inne mamy. To świadczyło o jej trosce; nawet teraz brała pod uwagę ich zdanie o Libby. – Naprawdę chodzi o hotel?

Muszę jej o wszystkim powiedzieć, pomyślała nagle Libby. Erin zasługuje, by o tym usłyszeć, zanim poproszę ją o pożyczkę, nawet gdyby miało to oznaczać, że uzna, iż nie warto dla mnie ryzykować.

Ku jej zaskoczeniu wraz z tą myślą spadł jej z ramion kolejny ciężar. Nie musi dłużej udawać, a zając się tym, co jest teraz i tutaj.

– Jason mnie zostawił – powiedziała. Małe słowa na określenie wielkiego bólu. – Remont został przerwany, hotel to teraz miejsce budowy. I nie mamy pieniędzy, bo znów grał na rynkach finansowych. Wszystko stracił. Znowu.

– Co to znaczy: znowu? O Boże – powiedziała oszołomiona Erin. – Dobrze się czujesz? Opowiedz mi o wszystkim.

Kiedy Libby zaczęła, słowa popłynęły same: straty Jasona, wylanie go z pracy, prawdziwy powód, dla którego sprzedali dom. Momentami miała wrażenie, że mówi o innych. Pracoholik, który nigdy nie rozmawiał o swoich problemach, pozostająca w domu żona, która uważała, że torebki to dobry substytut pogawędek z sąsiadami. W tej parze sama z trudem rozpoznawała Libby i Jasona, których miłość rodziła się w hałaśliwych londyńskich barach, podczas gdy za oknem lało jak z cebra.

Kiedy skończyła, Erin długo milczała. Libby miała ochotę rozpłakać się na myśl o tym, co umarło bez jej wiedzy.

– Tak to właśnie wygląda – dodała słabo. – Przypuszczam, że zawsze będzie można sprzedać hotel po skończonym remoncie, co oznacza, że dość szybko

zwrócę ci dług. Może przed Bożym Narodzeniem. Ale muszę skończyć.

– Jezu, Libby! – powiedziała wstrząśnięta Erin. – Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

– Nie chciałam, żeby ludzie wiedzieli, jak wszystko spieprzyliśmy. To było takie... głupie. Mieć wszystko i pozbyć się tego.

– Ale nie ty popełniłaś błąd! I nie szlochasz gdzieś w kącie, tylko harujesz jak wół! Posłuchaj, na początek przestań się martwić o pieniądze. Pożyczmy ci. Nie, nic nie mów! Wiem, że Pete powiedziałby to samo. Mam oszczędności, leżą sobie na koncie i nie zarabiają odsetek. Wolę, żeby pomogły tobie. Na pewno to ci wystarczy? Nie potrzebujesz więcej?

Libby się skrzywiła. Pete miał dobrą pracę, ale pracował jako projektant, nie broker. To były prawdziwe oszczędności, a nie nieoczekiwane premie Jasona.

– Na pewno, Erin? Naprawdę? Wiesz, hotelarstwo to dla mnie zupełnie nowa rzecz.

– Libby, mówimy o tobie.

– Ale...

– Pamiętasz tamten wieczór, kiedy wprowadziliśmy się z Pete'em do domu?  
– Głos Erin złagodniał. – Byłam w siódmym miesiącu ciąży, faceci od przeprowadzek zabłądzili, a Pete miał klasyczny *jet lag* i zasypiał na stojąco. Potem zatrzasnęliśmy drzwi i nie mogliśmy wejść do środka. Wpadłam w histerię, pamiętasz?

– Nie wpadłaś w histerię, tylko byłaś w zaawansowanej ciąży.

– To była histeria, Libby. A ty otworzyłaś drzwi i zaprosiłaś mnie do siebie, zaś Jason zadzwonił do brata, który pomógł Pete'owi dostać się do domu. Pożyczyłaś nam ubrania, dałaś jedzenie i nie pozwoliłaś kiwnąć palcem, dopóki nie przyjechała ciężarówka. Wiesz, kiedy moi przyjaciele z Bostonu próbują mnie przekonać, że londyńczycy są nieprzyjemni, ja opowiadam im o tamtym wieczorze. Byłaś dla nas taka dobra. Przez lata czekałam, żeby się zrewanżować, i teraz mam okazję. Chcę ci pomóc. Wiem, że odniesiesz sukces. Kto nie chciałby zatrzymać się w twoim hotelu? Sprawiasz, że kompletnie obcy ludzie czują się jak twoi starzy przyjaciele.

– Dziękuję. – Libby miała gardło ściśnięte z wdzięczności i z trudem wydobyła z siebie to pojedyncze słowo.

Po dniach wypełnionych ślełą paniką prosta ufność Erin wywołała u niej niemal zawroty głowy. Choć z drugiej strony, dlaczego Erin miałyby jej nie

wierzyć? Oto, kim jestem, pomyślała Libby. Osobą, której ludzie ufają. Osobą, której mogą zaufać i ja.

– Hej, nie dziękuj – odparła Erin. – Tylko dopilnuj, byśmy, Pete i ja, odwiedzili cię w charakterze gości jako pierwsi w nowo otwartym hotelu. Już nie mogę się doczekać!

– Absolutnie! – zapewniła Libby. – Mam dla was pokój. Wanna jest rewelacyjna.

– Sprzedane! I posłuchaj. – Erin przybrała tak stanowczy ton, na jaki potrafiła się zdobyć. – Nigdy więcej nie ukrywaj przede mną problemów. Wiesz, świadomość, że nie uważasz mnie za przyjaciółkę na tyle bliską, żeby mi się zwierzyć, boli. Przrzeknij.

– Przrzekam – odparła Libby. – A teraz opowiadaj, co u ciebie. Rozwesel mnie.

Kiedy Erin mówiła, Libby usłyszała sygnał nadchodzącego esemesa. Wyjęła komórkę z torebki z nadzieją, że to od Jasona. Ulżyło jej, gdy zobaczyła jego imię.

Ale kiedy przeczytała wiadomość: „Wieczorem przyjadę po rzeczy. Nie mów mamie. Nie chcę scen. J.” – serce ścisnęło się jej ponownie.

– Kochanie, zejdz z tego... Och, Lib, chyba skończył się nam czas spokoju od maluchów. Tak mi przykro – powiedziała Erin. – Przyślij mi mejlem numer konta, okej? Od razu! Zadzwoń później!

Libby pożegnała się odruchowo, wciąż wpatrzona w esemesa. Margaret była na zebraniu klubu książki, Alice spędzała dzień z Gethinem. Będą we dwoje, mogą porozmawiać. W głowie miała pustkę. Co chce mu powiedzieć? Co chce od niego usłyszeć?

Nie wiedziała. Wszystko wydawało się inne. Żadne dawne punkty odniesienia nie pasowały. I nie chodziło tylko o to, że nie znała Jasona; jej własny umysł wydawał się obcy. Miał zalety, poglądy i ograniczenia, z których istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy.

Zadrzała.

„Dobrze. Będę w domu”, wystukała.

Alice przysłała wiadomość, że zostaje u Gethina – co Libby wzięła za dobry znak – a Margaret wróciła i wyszła ponownie bez słowa.

Jason przyjechał o ósmej. W chwili gdy wszedł do kuchni, wszelka nadzieja

Libby na przeprosiny rozwiąła się bez śladu.

Twarz pod trzydniowym zarostem była jak kamień; Jason mruknął coś i zaraz ruszył na piętro, skąd wrócił niemal natychmiast z wielką walizką na kółkach. Na rączce powiewały nalepki z lotu w klasie biznesowej, z ich ostatniej wyprawy na narty.

Libby stała przy zlewie, oślepiąca paniką. Zbyt wiele myśli tłoczyło się jej w głowie; potrafiła z tego kłębowiska wyłowić tylko jedną: „Proszę, nie idź! Proszę, zacznijmy od początku!”, ale uparta duma nie pozwoliła na słowa. To Jason wpakował ich w tę sytuację, to on powinien zrobić pierwszy krok. Mógłby zacząć od przeprosin.

On jednak milczał. Sprawiał wrażenie, że z trudem szuka słów. Może też nie wie, od czego zacząć?

– Gdzie mieszkasz? – zapytała wreszcie Libby.

– U Stevena – odparł. – Na razie.

– U Stevena Taylora? W Clapham?

Jason znał Steve'a jeszcze z uniwersytetu. Kolejnego brokera z wielkim domem, trzema samochodami marki Porsche i ani jednym dzieckiem.

Pokiwał głową.

– Tak.

I znowu to straszne milczenie.

Wytrzymałość Libby się wyczerpała.

– Co ty wyprawiasz? Kiedy wracasz? Nie masz nawet zamiaru zapytać, co u mnie? Albo co się tu dzieje?

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. A serce Libby rwało się na kawałki, kiedy widziała, że jej mąż patrzy na podłogę, na stary zegar na ścianie, na wszystko. Tylko nie na nią.

– Wygląda na to, że radzisz sobie beze mnie. Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

Miała ochotę wrzasnąć: „Ja nie mam czasu na myślenie! Mieszkam na budowie! Mam na głowie twoją matkę! Prowadzę naszą firmę! Staram się jakoś to wszystko połapać, a ty po prostu uciekasz!”, słowa jednak nie padły.

Libby zdolność mowy odebrała jedyna ważna rzecz: oto mężczyzna, którego kocha, separuje się od niej. Bo wciąż go kochała, bardziej nawet niż wcześniej, kiedy życie było proste. Tymczasem on odrzucał każdą nadzieję, każde wspomnienie i wspólną historię, plany na przyszłość. Libby wiedziała, że powinna być silna i rozgniewana, ale myśl o utracie tego wszystkiego

pozbawiła ją energii. W równej mierze i podobnie zadziałało rozczarowanie samą sobą. Tak strasznie się pomyliła!

Jason w końcu na nią spojrzał, lecz ona nie poznała tego ponurego, wyczerpanego mężczyzny w ubraniu jej męża. Pojawił się cień dawnego Jasona, ale przepaszający błysk w jego oczach zniknął na widok uporu Libby. Zastąpiła go twardość, która się jej nie podobała.

– Będę w kontakcie – powiedział i wyszedł.

Pomimo wszystko głos w głowie Libby szepnął: „Dobrze”.

## Rozdział 23

Spóźnimy się. – Alice postukała w zegarek. – Wielbiciele Boba nie byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, że krócej będą się cieszyć jego towarzystwem, bo ty nie potrafisz wybrać koloru fugi.

– Ale fugi są ważne. – Libby nigdy wcześniej nawet nie pomyślałaby, że wypowie takie zdanie, ale po kilku rozmowach z cierpliwym Lorcanem stwierdziła, że to istotna kwestia. – Skoro nie stać nas na rzeczy wielkie, chcę, żeby choć wszystkie drobiazgi były na wysokim poziomie. A właśnie takie drobiazgi zauważasz, kiedy bierzesz relaksującą kąpiel. Mam rację?

Lorcan szturchnął udręczonego czeladnika, który trzymał dziesięć kolorowych próbek i czekał na werdykt.

– Słyszysz, Connor? Ktoś wziął poważnie moje słowa.

– Ta – zdecydowała wreszcie Libby, wskazując na szarą próbkę. – Najdłużej będzie wyglądała na czystą i dzięki temu zaoszczędzimy na detergentach.

Dzisiaj była kafelkowana pierwsza łazienka i Libby nie mogła doczekać się końcowego efektu. Zmusiła się do niezwykle szczegółowej analizy budżetu, do rana planowała i zmieniała plany, by jak najlepiej wykorzystać fundusze na przywrócenie hotelu do stanu używalności. Każdego zaoszczędzonego funta odbierała jak zwycięstwo. To pomagało tej części jej umysłu, która nie potrafiła przestać się zastanawiać, co też porabia Jason.

– Wreszcie! – powiedziała Alice. – No, zbierajmy się. Nie chcę się spóźnić na wizytę u lekarza. – Zaczekała, aż Lorcan zapędzi czeladników na piętro. – Mówiłaś Margaret, że jedziemy do miasta? Jak myślisz, może ona też chciałaby z nami pojechać?

Libby westchnęła.

– Nie, jeśli ja prowadzę. Wiesz, jestem przekonana, że ona mnie unika.

Od pamiętnego gorzkiego wybuchu na temat Jasona Margaret prawie nie odzywała się do synowej. Libby usiłowała przerzucić mosty, opowiadając o planach Giny i o tym, że niedługo wszystko wróci do normy, ale Margaret

miała zaciętą minę.

– Nie wiem, jaką korzyść może ci przynieść moja opinia – odpowiedziała i uprzejmy uśmiech zniknął z jej twarzy, pozostawiając ją zimną i ściągniętą.

To niemal tak, jakby wołała, żeby Łabędź zbankrutował bez Jasona, niż żebym ja naprawiła tę sytuację, myślała Libby. Ironia losu polegała na tym, że teraz obie musiały sobie radzić bez mężów. Libby sądziła, że dzięki temu lepiej się porozumieją, ale Margaret najwyraźniej uważała, że ona straciła męża, hotel i syna i że w dwóch trzecich winę za to ponosi jej synowa. Cała energia, która wcześniej szła na utrzymanie jednośc rodziny, teraz zużywana była na odgrywanie roli rozgniewanej i rozczarowanej seniorki rodu.

Alice poklepała Libby po ramieniu.

– W końcu przestanie się dąsać. Przypuszczalnie obwinia siebie za wpakowanie cię w te tarapaty. A to, że Jason wszystko zawalił, musi być dla niej trudne.

– Ona wcale siebie nie obwinia. I z całą pewnością nie uważa, że Jason cokolwiek spieprzył. Szczęście w nieszczęściu, że jej drogocenny pies nie opowiada się po żadnej ze stron. Wie, kto tu kupuje herbatniki. Bob! Bob! Czas na zooterapię!

Libby weszła do biura po smycz. Bob powinien być w legowisku, ale go tam nie było. Nawołując, przemaszerowała przez hotel, aż wreszcie znalazła go w nieużywanym salonie, skulonego jak fasolka na aksamitnej sofie, na którą wstęp miał surowo zakazany.

– Złaź! – warknęła Libby. Kiedy pies się zsunął, pozostawiając po sobie aureolę białej sierści, rozpaczliwie spojrzała na Alice. – Popatrz na to. Wiem, Gina z przekonaniem obstaje przy psach jako unikatowej atrakcji hotelu, ale czy naprawdę musimy...?

Alice uspokajająco uniosła rękę.

– Libby, weź głęboki wdech. Nie możesz zwracać uwagi na każdą błahostkę. Niech Bob będzie tą jedną sprawą, której dasz spokój, dobrze? Ludzie przyjeżdżają do hotelu, żeby się odprężyć. A Bob jest królem relaksu.

Libby oddychała przez nos; ostatnimi czasy to było najbliższe ćwiczeniom jogi. Lorcan przewidywał, że za pięć, może cztery tygodnie będą gotowi do ponownego otwarcia. Sprawy posuwały się do przodu. Powoli, ale jednak. Bob znajdzie się na stronie internetowej hotelu, Gina się przy tym uparła. A w żadnej innej sprawie jak dotąd się nie pomyliła.

– Masz rację – powiedziała, prostując plecy. – W drogę. Czas potraktować

Longhampton psią miłością.

Alice udała się na sesję hipnozy, a Libby i Bob skierowali się do świetlicy na oddziale geriatrycznym. Kiedy przyszli, Gina prowadziła właśnie ożywioną rozmowę z Buzzem. Na widok przybyłych greyhound pomachał ogonem; Libby wzruszyło, że ich rozpoznał.

Gina także się ucieszyła.

– Wiem, że do urządzania wewnątrz jeszcze daleka droga, ale zrobiłam listę kontaktów, które mogą ci się przydać – powiedziała, sięgając do skórzanej torby. – Zaczynj od Michelle w Home Sweet Home przy High Street. To rewelacyjny sklep wnętrzarski, ludzie przyjeżdżają do niego z całego hrabstwa. Da ci upust na zasłony, jak powiesz, że cię przysłałam.

– Dziękuję! – Libby natychmiast zaczęła się zastanawiać nad sposobem rewanżu przy bardzo ograniczonym budżecie. – Myślę nad tematycznymi pobytami, wiesz? Może zrobić stronę o zakupach w Longhampton? Znajdzie się tu dość niezależnych sklepów?

Ze wstydem uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy od przeprowadzki wcale nie bywała w mieście. Gina mówiła jej o rewelacyjnej księgarni, kilku świetnych pubach, teraz o tym sklepie, a ona nie miała pojęcia, gdzie się znajdują.

Gina była zaskoczona.

– Jest mnóstwo. Nie byłaś ostatnio na High Street? Nie wiesz, że otworzono tam nową cukiernię? A właściwie jak długo tu mieszkasz?

– Byłam bardzo zajęta...

– Za bardzo zajęta na ciastko? Kto przy zdrowych zmysłach nie miewa czasu na ciastko?

Libby wzruszyła ramionami.

– Wiem. Muszę wygospodarować chwilę.

– Więc może któregoś dnia rano umówimy się na kawę i pospacerujemy? – zaproponowała Gina. – Przedstawię ci kilku ludziom. To małe miasto, szybko się zorientujesz, kto jest kim. Miejscowe firmy lubią się wzajemnie wspierać. Zaproponuj Stowarzyszeniu Kupców przyjęcie bożonarodzeniowe w hotelu, a będziesz miała przyjaciół na całe życie. Zwłaszcza jeśli dasz im zniżkę na pokoje, w których będą mogli odespać imprezę.

W chwilach takich jak ta Libby miała wrażenie, że przyptyw w końcu



zabiera ją z mielizny, pomaga dotrzeć na brzeg. Gina przedstawi ją longhamptonczykom, dla których ona nie będzie wyłącznie „synową Margaret”. Poznałaby ich już dawno, gdyby tak się nie przejmowała, co ludzie myślą o tym, że oboje z Jasonem przejęli hotel Donalda.

– Nie bądź wobec siebie tak surowa. – Gina dostrzegła, że Libby ma do siebie pretensje. – Nie da się wszystkiego zrobić naraz. To jedna z okrutnych sztuczek życia, że czas, w którym powinnaś wyjść z domu i spotkać się z nieznanymi, zawsze jest czasem, kiedy czujesz, że najchętniej schowałabyś się pod kołdrę. – Dotknęła jej ramienia. – Ale dość tego, zatrzymuję cię. Doris mówiła, że chce ci coś pokazać.

Doris, jak zwykle, siedziała w fotelu pod oknem. Rozpromieniła się na widok lorda Boba i nawet zdobyła się na uśmiech dla Libby.

– Witaj, młodzieńcze – powiedziała, wyciągając rękę w kierunku aksamitnych psich uszu. Bob uniósł łeb w oczekiwaniu adoracji i/lub ciasteczka. – Mam dla ciebie smakołyk, ale najpierw zajmę twoją właścicielkę tym. – Podała Libby oprawną w skórę książkę, która leżała na stoliku. – Proszę, przyniosłam specjalnie dla ciebie.

– O, to twój album ze zdjęciami? – Libby przysiadła na krześle naprzeciwko i otworzyła staroświecką księgę. Ostrożnie przewróciła bibułkę. Karty były z grubego czarnego kartonu, czarno-białe fotografie utrzymywały na miejscu białe tasiemki. Pierwsze zdjęcie przedstawiało znajome schody. – Och! – wykrzyknęła z zachwytem. – To Łabędź? Z czasów gdy tam pracowałaś?

Doris podsunęła Bobowi markizę.

– Owszem. Teraz pewnie jest tam inaczej, co?

– Trochę inaczej. Kiedy zrobiono to zdjęcie?

Libby wypatrzyła na nim młodą Doris – z tą samą wiewiórczą twarzą, ale czarnymi jak smoła włosami zebranymi w kok – stojącą w rzędzie kobiet w minisukienkach przed blatem recepcji. Wystrój wyglądał na nowy, drewniany blat błyszczał, na wyklejonych tapetą w regularne wzory ścianach wisiały ozdoby z końskiej uprzęży i zegar z tarczą w kształcie słońca z ostrymi promieniami. W kącie stała choinka, z sufitów zwisały okrągłe chińskie lampiony. Wszystkie panie z zakłopotaniem trzymały kieliszki z winem gruszkowym Babycham i wysuwały naprzód lewe stopy w niebotycznych szpilkach.

Doris miała na nogach buty na płaskim obcasie i wyglądała na złą z tego powodu.

– To pewnie tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty, więc chyba mam trzydzieści lat. Choć wolałabym mieć dwadzieścia jeden. – Oczy otoczyła siateczka zmarszczek.

– Wtedy hotel prowadzili Hannifordowie?

Na innym zdjęciu Doris pozowała przed drzwiami z mrożonego szkła, prowadzącymi do salonu. Libby nie znosiła tej typowej dla lat sześćdziesiątych kiczowatości w holu, który jej zdaniem powinien być urządzone w eleganckim georgiańskim stylu, ale kiedy zobaczyła je całkiem nowe, wyglądały w porządku, wręcz nowocześnie, kojarząc się z erą lotów kosmicznych i połową stulecia. Na ścianie królował ogromny relief przedstawiający łabędzia, w holu wisały niezwykle okrągłe lampy. To było jak spotkanie z młodszą wersją hotelu, tak samo jak z młodszą wersją Doris. Libby poczuła przypływ ciepłych uczuć do tamtego jej wcielenia i do widocznych na drugim planie gości w spodniach dzwonach.

– Chyba zaraz po remoncie. Stąd te zdjęcia. Państwo Hannifordowie byli bardzo dumni z wystroju, rozumiesz? – Doris ściągnęła usta. – Ty zdecydowałaś się na minimalizm, tak? Nadal ogołacasz ściany do cegieł?

– Nie – odparła Libby. – Zmiana planów. Nie jestem pewna, czy minimalizm to najlepsze wyjście.

Mimo że to był album rodzinny, hotel pojawiał się w nim raz po raz, przeplatając się z obrazkami z wakacji i szkolnymi mundurkami. Przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin w salonie. Państwo młodzi z buziami jak niemowlęta w recepcji. W przytulnym pokoju na tyłach, który musiał być barem, szczęśliwi ludzie z podwójnymi podbródkami nad golfami unoszą szklaneczki porto z cytryną; spod krzeseł wyglądają małe pieski. Więc psy przyjmowano już wtedy, pomyślała Libby.

Czarno-białe fotografie zmieniły się w jaskrawokolorowe wraz z początkiem lat siedemdziesiątych, kiedy tapety w recepcji nabrały raniącej oczy pomarańczowej barwy. Ale solidne drewno i przyjacielska atmosfera pozostały niezmienione.

– To chyba było popularne miejsce – zauważyła.

– O, tak. W tamtych czasach wszyscy chodzili tam na specjalne okazje – odparła Doris, rzucając Bobowi następną markizę. – Bar Gerlada Hanniforda był sławny. Oczywiście zanim wprowadzono alkometry.

W głowie Libby kiełkowały pomysły. Może taki wystrój powinien być jej celem? Rodzaj sympatycznej gościnności z lat sześćdziesiątych?

Z łagodniejszymi współczesnymi kolorami, za staroświecką recepcją i szalonym kraciastym dywanem Margaret hotel będzie miał wygląd stylowy, ale nie niemodny. Ten zegar z tarczą w kształcie słońca chyba stał w biurze? W jednym z pokoi na tle pustej ściany będzie jak dzieło sztuki. A płaskorzeźba łabędzia to pewnie ten kształt pod kocami w piwnicy, której Libby nie odważyła się zbyt uważnie przejrzeć.

– Patrz, tu jest Margaret, zanim połknęła kij. Zanim zamieniła się w panią Łaskawą – powiedziała Doris przy kolejnej karcie.

– Och!

Wszelkie myśli o wystroju wewnątrz rozpierzchły się pod wpływem poruszającego wizerunku Margaret – z poduszkami na ramionach, z trwałą na długich włosach spadających na plecy jak jakobińska peruka. Libby nie widziała zbyt wielu rodzinnych fotografii Corcoranów; Margaret cieszyła się wątpliwą sławą osoby, która surowo ocenia zdjęcia, więc na kominku stały tylko dwie fotografie w ramach. Jedna przedstawiająca ją i Donalda w strojach wieczorowych na przyjęciu w restauracji Ferrari z okazji srebrnego wesela i druga, grupowa, ze ślubu Libby i Jasona.

Takiej Margaret Libby z pewnością nie widziała wcześniej: zmęczonej, nerwowej, młodej. Byli z nią dwaj mali chłopcy w czarnych krótkich spodniach i białych t-shirtach. Jason, pulchny i jasnowłosy jak ojciec, czepiał się matinej spódnicy, Luke, kościsty i ciemny jak matka, stał z boku i przez łyzy wykrzywił się do obiektywu. Obok Luke'a uśmiechał się Donald, wyglądając bardziej jak dobroduszny lekarz rodzinny niż hotelarz.

– Zdjęcie zrobiono tuż przedtem, zanim zaczęli swój wielki remont – wyjaśniła Doris. – Bardzo było trudno, tyle ci mogę powiedzieć. Wszystko zmienili, na niczym nie oszczędzali. Madame chciała nadać wszystkiemu charakter po swojemu, a pan C robił wszystko, o co poprosiła. Był uroczym człowiekiem. Sporo musiał znosić, gdyby ktoś mnie pytał.

Libby wiedziała, że powinna słuchać, ale coś w znużonym, a równocześnie wyzywającym spojrzeniu Margaret chwyciło ją za serce. Musiała mieć tyle samo lat, ile ja teraz, pomyślała. Wie dokładnie, przez co przechodzę. Zapomniała, jakie to stresujące? I dlaczego wygląda, jakby się przed czymś broniła?

Może miało to coś wspólnego z biednym, chudym jak tyczka Lukiem z poobcieranymi kolanami, który przez przymrużone powieki zerkał na matkę, jakby przed chwilą nagadała mu do słuchu? Może z Doris za aparatem, która

przyłapała Margaret w chwili, gdy ta nie miała wszystkiego pod kontrolą? Może powodem był wymagający uwagi Jason? Tylko Donald wyglądał na bezwarunkowo zadowolonego z życia.

Szkoda, że umarł i nie mogę z nim porozmawiać, pomyślała Libby. Od dziewięciu lat jestem częścią tej rodziny, a nadal nie rozumiem żadnego z jej członków. Ciągłe tylko dąsy i milczenie.

Ale teraz wznoszący się w tle hotel jawił się jej jako kolejny krewny, jakaś zwariowana ciotka, stara panna, która kiedyś była świetną kompanią, ale z czasem stała się obciążeniem. Jason dorastał w atmosferze stresu i milczenia. Libby uświadomiła sobie, że być może remont wywołał u jej męża inne wspomnienia. Nie całkiem szczęśliwe, jeśli wnosić po języku ciała Margaret.

Mimo wszystko wydawało się, że poradzą sobie z tym wyzwaniem, że u podstaw ich miłości jest przyjaźń. Wzajemny szacunek, który sprawi, że będą próbowali omawiać problemy, nawet gdyby rozmowy były trudne. Czyżby przez cały czas się myliła?

– Było interesująco? – zapytała Doris, gdy Libby podniosła wzrok.

– Tak. I szalenie pożyteczne.

Alice poszła na parking, gdzie Libby właśnie pakowała lorda Boba do samochodu i rozmawiała z Giną o możliwości zakupu oryginalnych kaczek w locie (do sypialni).

Kiedy Gina pomachała im na pożegnanie, Alice uprzejmie słuchała, jak Libby opowiada o olśnieniu dotyczącym wystroju hotelu, nawiązującym do jego najlepszych czasów z lat sześćdziesiątych – chociaż, istotnie, zadawała sobie pytanie, co Margaret pomyśli o instalowaniu przez Libby wszystkich tych elementów, które usunęła teściowa. Dopiero gdy w połowie drogi do hotelu temat się wyczerpał, do Libby dotarło, że jej towarzyszka prawie się nie odzywa.

– Wszystko w porządku, Alice? – Spojrzała. – Przepraszam, nawet nie zapytałam, jak poszła hipnoza. Przypomniałaś sobie coś nowego?

Alice pokręciła głową.

– Nie. Wszystko nadal kończy się mniej więcej rok temu. Próbowaliśmy się zbliżyć do dnia, w którym poznałam Gethina, ale nic z tego. Opowiedziałam o odnalezieniu psiej smyczy i zabawek, więc popracowałyśmy nad

szczegółami o Fido i Barley, choć jeśli mam być szczerą, to tylko pogorszyło mój nastrój. Myślenie o rodzicach...

Gethin znalazł kilka fotografii, przedstawiających ich oboje na spacerze z Fido, i Alice płakała, zwinięta na sofie obok niego. Kiedy jednak zaczęła mówić o sprawieniu sobie następnego psa, Gethin okazał brak entuzjazmu.

– Wiem, że to zabrzmie głupio – powiedział. – Ale czy mogę przez jakiś czas mieć cię tylko dla siebie? Zanim weźmiemy sobie na głowę kolejne zwierzę?

Alice uznała, że to rzeczywiście brzmi głupio, ponieważ jednak Gethin mówił poważnie, nie naciskała. Im więcej jednak myślała, tym bardziej nie potrafiła dopasować tego do wszystkich tych miłych rzeczy, które Gethin mówił o Fido będącej częścią ich małej rodziny. Jakby był o nią zazdrosny.

Zatrzymały się na światłach i Libby przyjrzała się Alice uważniej.

– Co się dzieje? Wiem, że ta sprawa z biedną Fido jest bardzo smutna, ale... Chodzi o coś jeszcze? Wyglądasz okropnie.

Rzeczywiście coś jeszcze było.

Alice przygryzła wargę. Mówienie Libby o różnych sprawach zawsze sprawiało, że stawały się one bardziej rzeczywiste. Ach ten praktyczny sposób Libby podchodzenia do problemów! Kiedy słowa raz padną...

– Mów! – ponagliła ją Libby. – Cokolwiek to jest, zostanie w tym samochodzie.

Alice patrzyła przed siebie. Droga do szpitala – rząd drzew, wille pomalowane w neapolitańskie kremowe odcienie, stacja benzynowa Esso – koła swojskością. Miesiąc temu nie miała pojęcia o jej istnieniu.

Miesiąc temu.

– Od wypadku nie miałam okresu – powiedziała powoli. – Zapytałam dzisiaj terapeutkę, czy to może być powód. Powiedziała, że szok czasami zaburza cykl, ale ona się na tym nie zna. – Alice spojrzała na swoją dłoń; pierścionek, który podarował jej Gethin, nosiła na prawej dłoni. – Zaproponowała, że wezwie pielęgniarkę, która zrobi mi test, ale się nie zgodziłam.

– Okej – odparła zaskoczona Libby. – Dlaczego nie chciałaś?

Alice wzruszyła ramionami.

– To zabrzmiało tak, hm, strasznie medycznie. Kolejne badanie. Chyba wolałabym dowiedzieć się czegoś takiego sama.

Światła zmieniły się na zielone i Libby ruszyła.

– Ojej. Myślisz, że możesz być w ciąży?

Swoim zwyczajem Libby wyartykułowała to, co dręczyło Alice. Jak można

nie wiedzieć o sobie tak fundamentalnej rzeczy? Jak to możliwe, że inna istota ludzka rośnie w twoim wnętrzu, a ty nie masz pojęcia, w jaki sposób tam się dostała? Ale z drugiej strony Alice nie wiedziała teraz o sobie wielu rzeczy. Jej pamięć chowała własne sekrety, a okazało się, że ciało także. To sprawiło, że czuła, jakby absolutnie niczego nie mogła być pewna na własny temat.

– Nie wiem, jak to jest.

– Szczerze mówiąc, ja też nie. Masz mdłości? Obolałe piersi? Apetyt na węgiel?

– Jestem dość obolała, ale zakładałam, że to od pracy. No i żebra mi się zrastają.

– Przypuszczam, że znacznie poważniejsze pytanie brzmi, czy chcesz być w ciąży?

Na takie dictum odpowiedź była o wiele trudniejsza. Gethin bardzo się ucieszy; Alice już widziała jego twarz, podekscytowaną i opiekuńczą. Był gotów od razu ułożyć listę piosenek dla dziecka. Myśląc jednak o jego entuzjazmie, poczuła, że sama się wycofuje. Nawet po wysiłkach włożonych w randki wciąż miała wrażenie, że zna Gethina dopiero od dwóch tygodni. A on wydawał się znać inną kobietę niż ta, którą czuła się ona. Znał Alice, która straciła psa, zachowywała się dziwnie, lubiła cydr i nie miała konta na Facebooku, ponieważ nie wierzyła w bezpieczeństwo w sieci.

To było jak ostateczne potwierdzenie, że ich związek należał do szczęśliwych. A jednak.

Alice patrzyła w okno. Kim jestem? – pomyślała z rozpaczą. Za każdym razem, kiedy sądziła, że zaczyna dochodzić do prawdy, okazywało się, że się myli. A jeśli ona i Gethin będą mieli dziecko, ona stanie się zupełnie inną osobą. Na zawsze.

A Luke?

Poczuła śmieszny przypływ tęsknoty, takiej samej jak tęsknota za rodzicami. Nie równie intensywnej, ale podobnej. Przestań!, napomniała się w duchu.

Libby potraktowała jej milczenie jak odpowiedź.

– Cóż, jest prosty sposób na rozwianie wątpliwości – powiedziała, gestem wskazując, że zawrócą. – Jedźmy kupić test. Ale musimy wpaść do Tesco, nie do apteki. Naprawdę nie chciałabym, żeby Margaret od którejś z przyjaciółek dowiedziała się, że powinna zacząć robić na drutach.

Alice automatycznym gestem zamknęła test, spuściła wodę i wróciła do pokoju numer osiem, gdzie Libby czekała z dwiema filiżankami kawy. To surrealistyczne, że o tak ważnej sprawie rozstrzyga kawałek plastiku!

Położyła go na parapecie, okienkiem do dołu.

– Trzeba odczekać dwie minuty – wyjaśniła, zwalczając pokusę, by odwrócić fiolkę.

– Więc za dwie minuty przestaniesz się martwić i zajmiesz swoim życiem. – Libby podała jej filiżankę. Alice była zadowolona, że może czymś zająć ręce.

– To znaczy ja na pewno nie miałam okresu, kiedy Jasona wyrzucili z pracy. Stres tak wpływa. Ciało w ten sposób ci mówi: „Hola, teraz byłby fatalny moment na dziecko, głupia!”. Wiesz, skoro czekamy, może opowiem ci o moich ekscytujących, ale przyjaznych budżetowi planach dotyczących tego pokoju?

Alice wiedziała, że Libby będzie mówiła bez przerwy dokładnie przez dwie minuty, żeby odwrócić jej uwagę od testu, i poczuła wielką ulgę, że czeka na wynik tutaj, a nie w bezosobowym szpitalnym boksie. W jej oczach wezbrały łzy.

– Aż tak ekscytujące nie są – powiedziała Libby. – Myślałam tylko o lawendowych ścianach i może muralu.

Alice zmusiła się do uśmiechu.

– Ja tylko... Jakby to dotyczyło innej osoby. No bo w pewnym sensie dotyczy.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak dziwnie musisz się czuć – powiedziała Libby. – Znowu. Ale wiesz, że ci pomożemy, jakkolwiek decyzję podejmiesz?

Alice pokiwała głową.

– Dziękuję. Hm, czy we wszystkich pokojach będą kaczki?

– Nie! Ale w każdym możemy postawić staroświeckie radio. – Libby paplała o swoich pomysłach kolorystycznych (wszystkie zasłony w tych samych tanich i neutralnych barwach, każdy pokój w innym wrzosowym odcieniu), aż przerwała w połowie zdania. – Dobra, dwie minuty minęły na pewno. Sprawdź. Chyba że chcesz, żebyśmy ja to zrobiła?

Alice wzięła głęboki wdech.

– Nie. Ja.

Zmusiła się, żeby podnieść test i go odwrócić.

Odpowiedź miała przed oczami. Od początku wiedziała, że tak będzie: dwie

błękitne kreski. Krew zadudniła jej w uszach.

Jestem w ciąży. Jestem w ciąży i nie pamiętam. Jak to w ogóle jest możliwe? Nie odzywała się, więc Libby podeszła i spojrzała przez jej ramię.

– Och. No tak. Jasne.

Alice ponownie dopadło to idiotyczne uczucie, że się wznosi. Usiłowała je pochwycić.

Zawsze wyobrażała sobie, że ta chwila będzie inna. Ekscytująca, wyczekiwana, przeżywana wspólnie z ucieszonym ojcem. A teraz miała wrażenie, że przytrafiła się komuś innemu.

Usiłowała sobie wyobrazić moment poczęcia. Czy był to romantyczny wieczór w domu? Silne ramiona Gethina obejmują ją, jego muskularne ciało przyciska ją do materaca, jego cichy głos szepcze jej do ucha. A jej ciało reaguje na...?

Alice zmarszczyła nos. To brzmiało bardziej jak książkowy opis. Jej ciało milczało. Ale dlaczego się tym przejmuje, skoro ma przed sobą dowód?

– Alice – powiedziała zmartwiona Libby. – Na pewno nie chcesz usiąść? Twoja twarz...

– Przepraszam, to dla mnie zbyt wiele. – Alice zmusiła się, by powrócić do teraźniejszości. – I co dalej? Muszę powiedzieć Gethinowi. Będzie chciał, żebym z nim zamieszkała. Nie pozwoli mi dłużej tutaj pracować. Właściwie już nie chce, żebym przebywała poza domem.

Powrót do domu. Wyprowadzka z tego miejsca, porzucenie wszystkiego, co znajome, pracy, rozkładu dnia. Alice wiedziała, co powinna myśleć, ale różniło się to od podpowiedzi intuicji.

Libby przyglądała się jej jakoś dziwnie.

– Co to znaczy: nie podoba mu się, że tu jesteś?

Alice uświadomiła sobie sens tych słów i poczerwieniała.

– Och, nic. Źle to rozumie. Po prostu chce, żebym była na stałe. Tęskni za mną. Chce, żeby wszystko wróciło do normalności. I trudno mieć do niego pretensje. Rzecz w tym, że ja nie wiem, na czym polega normalność.

Libby ujęła ją za ramiona w taki sposób, że Alice nie mogła nie spojrzeć jej w oczy.

– Nie musisz nic mówić Gethinowi, dopóki sama nie zdecydujesz, czego chcesz. Ty jesteś najważniejsza. To pewnie wczesny okres, bo przecież ciąża wyszłaby na testach krwi, kiedy leżałaś w szpitalu.

– Pewnie tak.



To oznaczało, że zaszła w ciążę tuż przed wypadkiem. Przed tajemniczą kłótnią. Jak można z kimś się przespać, a potem nie chcieć wyjechać z nim na wakacje? Czy jedno miało coś wspólnego z drugim? Alice poczuła ucisk w żołądku.

Dotarło do niej, że Libby wygląda na zakłopotaną.

– Nie zrozum mnie źle, Alice, ale kiedy wcześniej mówiłam o dziecku, które wie, czy jest dobra pora na dziecko... To było głupie. Nie wiem, jakie masz poglądy, ale nikt by cię nie obwiniał, gdybyś zechciała mieć pewność, że w pełni doszłaś do zdrowia, zanim... – Oczy Libby spochmurniały. – No cóż, to nie znaczy, że musisz robić cokolwiek.

Alice rozumiała, co Libby próbuje powiedzieć. Na znak, że wie, dotknęła jej ramienia, a potem podniosła plastikowy zasobnik, po części mając nadzieję, że dwie kreski znikną. Ale one były tam nadal, ciemniejsze, jak znak równości. Wynik. Gethin plus Alice równa się **to**.

To był fakt, a Alice dysponowała niewieloma faktami, na których mogła się oprzeć.

– Ach! Tu jesteście! Mogę...?

Jak na komendę, obie okręciły się na piętach.

Do pokoju wszedł Luke – jego sportowe buty bezszelestnie poruszały się po podłodze – i nagle przystanął. Ze sposobu, w jaki znieruchomiał, Alice domyśliła się, że dotarł do niego sens sceny: niepokój Libby, jej szok i biały plastikowy test, który trzymała w dłoni.

Klatka piersiowa Alice zapadła się, a potem rozszerzyła, jakby w jej wnętrzu rozkwitła wielka pomarańczowa chryzantema.

Ich oczy się spotkały i ten jedyny raz zamknięta twarz Luke'a stała się tak łatwa do odczytania jak twarz Libby.

Wyglądał na przerażonego, a to niespodziewanie sprawiło, że sytuacja stała się realna. Alice wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale w głowie miała pustkę. Zanim któraś z nich zdążyła się odezwać, Luke gwałtownie się odwrócił i wyszedł.

## Rozdział 24

Libby przez całą noc nie zmrzyła oka ze zmartwienia o Alice. A kiedy podniosła się z łóżka, godzinę przed budzikiem, zastała ją w kuchni wpatrzoną w filiżankę kawy, jakby tam kryła się odpowiedź na wszystkie pytania. Alice podskoczyła. Można było odnieść wrażenie, że spodziewała się kogoś innego.

– Dzień dobry – powiedziała Libby. – Jak się czujesz?

– Średnio. – Alice się skrzywiła. – Nie mogłam spać. Pomyślałam, że wezmę Boba na wczesny spacer i odetchnę świeżym powietrzem. Potrzebujesz czegoś?

Libby nie potrzebowała, ale nie uszło jej uwagi, że Alice rzeczywiście musi wyjść, pochodzić i pomyśleć.

– Może ułożysz trasę psich spacerów po miasteczku na naszą stronę internetową? – zaproponowała.

Widok psiaków pod wygodnym stolikami w albumie Doris, a także wytaczone przez Ginę mocne argumenty o atrakcyjnych cechach produktu i cenach psich hoteli w czasie wakacji, w końcu przekonały ją, że przyjmowanie zwierząt może okazać się ich sekretną bronią. Podczas tworzenia wystroju ze staroświeckimi akcentami Libby uświadomiła sobie, że jej lśniące butikowe marzenie w żadnym razie nie sprawdziłoby się w Longhampton. Taki hotel wyglądałby tu dziwacznie, a miejscowi odnosiliby się podejrzliwie do modnych szczegółów, które starzeją się zbyt szybko, aby pozostawać na topie dłużej niż pół roku. To, co teraz wybrała, było już kiedyś w modzie i z mody wyszło. Należało tylko zadbać o nieskazitelną czystość i usuwanie psiej sierści.

Wzięła aparat leżący na kuchennym stole.

– Zrób kilka zdjęć i sprawdź, do których sklepów można wejść z psem. Pomyślałam, że zrobimy na ten temat całą zakładkę, tak jak proponowałam. I się nie spiesz. Dzisiaj niewiele mamy do roboty. Lorcan mówi, że lepiej nie przeszkadzać jego chłopcom, kiedy liczą kafelki.

Alice zdobyła się na słaby uśmiech.

– Dziękuję – odparła, a Libby pożałowała, że nie może jej zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Obie zdawały sobie sprawę, że to nie takie proste.

Zaraz po wyjściu Alice pojawił się Lorcan z trzema czeladnikami i fugami. Libby omówiła z nimi kolejną łazienkę, po czym zawróciła do kuchni, żeby przygotować sobie śniadanie. Niedługo potem w progu stanęła Margaret, w obszernej bluzce i spódnicy. Najwyraźniej wybrała strój, który pasował do jej twarzy i nastroju.

– Dzień dobry – powiedziała Libby, zdecydowana zachowywać się miło. Jak zdoła odtworzyć przyjacielską atmosferę hotelu, jeżeli między jego właścicielkami będzie panował wieczny chłód? – Napijesz się herbaty? Woda zagotowała się przed chwilą.

– Elizabeth, myślę, że najwyższa pora, żebyś mi powiedziała, co się dzieje.

Mina Margaret nie była zimna, raczej kamienna. Całkiem jak u Luke'a, pomyślała Libby. Pod zmarszczkami wyrzeźbionymi przez dezaprobatę usiłowała dojrzeć śliczną, czujną, młodą mamę z albumu Doris, ale na próżno. Tamta Margaret przekształciła się w Margaret Corcoran, filar społeczności, wiecznie gotową na rozczarowania.

– Z hotelem? Wszystko dokładnie ci opowiedziałam – odparła, zaparzając herbatę. – Lorcan realizuje nowy plan remontu, ja wzięłam krótkoterminową pożyczkę. Zamierzamy otworzyć hotel na początku lipca, co daje nam mnóstwo czasu na doszlifowanie szczegółów przed wizytą tej dziennikarki we wrześniu. Wiesz – ciągnęła, by zgodnie z delikatną sugestią Alice nie pomijać w rozmowie z teściową żadnych drobiazgów – wczoraj rozmawiałam z Doris o tym, jak wyglądał hotel w przeszłości, i pomyślałam sobie, że mogłybyśmy...

– Doris? Na twoim miejscu nie słuchałabym jej plotek – przerwała ostro Margaret. – Co ci mówiła?

Że lubiałaś stawiać na swoim. Że biedny Donald miał z tobą ciężkie życie. Że ty też zrobiłaś gruntowny remont, całkiem podobny do tego, który odbywa się teraz?

Libby odepchnęła te myśli.

– Mówiła, że w hotelu odbywały się przyjęcia i w swoim czasie był tu mały

bar – powiedziała. – Pomyślałam, że powinniśmy znowu postarać się o koncesję. Na początek serwowalibyśmy podwieczorki z szampanem i może urządzali przyjęcia z okazji chrztu, skoro niedaleko jest kościół Świętej Ethelredy? Margaret, ja naprawdę pragnę, żeby hotel odniósł sukces. Nie tylko ze względu na mnie, ale na nas wszystkich. Na miasto.

Margaret westchnęła.

– To wymaga tak wiele wysiłku, Elizabeth. Nie wydaje mi się, żebym miała na to siły. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że lepszym wyjściem jest zakończenie remontu i sprzedaż.

– Co takiego?! – Libby zaskoczyła jej własna reakcja. – Nie uważasz, że byłoby szkoda wszystko to zrobić i pozwolić, żeby ktoś inny zbierał owoce? A poza tym nie możemy podejmować tego rodzaju decyzji bez Jasona. Jest przecież współwłaścicielem.

Wzmianka o synu przywołała na twarz Margaret cierpienie.

– O to mi właśnie chodziło, kiedy mówiłam, że muszę wiedzieć, co się dzieje. Strasznie się o niego martwię. Gdzie on jest? I kiedy wraca do domu?

Libby poruszyła torebkami, żeby herbata szybciej nabrała koloru. No, przynajmniej Margaret zrezygnowała z walecznej postawy. To już było coś.

– Jest w Clapham. Mieszka u przyjaciela. Powiedział, że potrzebuje czasu na przemyślenia. Nic więcej nie wiem.

– W głowie mi się nie mieści, że do mnie nie zadzwonił. Do własnej matki! – dodała Margaret z rozdrażnieniem.

– No, do kontaktu ze mną też jakoś się nie pali. Gdy tylko czegoś się dowiem... – Ja, jego żona, dodała w duchu. – ...powiem ci od razu. Nie podoba mi się, że ot tak sobie poszedł i zostawił nas z całym tym kramem. W przeciwieństwie do Luke'a. – Margaret ledwie zauważała obecność drugiego syna. – Zrezygnował z jakiegoś zlecenia, żeby nam pomóc.

Teściowa z wdziękiem przyjęła herbatę, choć wyglądało to tak, jakby robiła Libby łaskę.

– Tak, słyszałam go wczoraj późnym wieczorem. Pewnie wracał z pubu. Powiedział, dlaczego tu przyjechał?

Luke zniknął po tym, jak zaskoczył Libby i Alice w pokoju numer osiem; Libby nie miała pojęcia, gdzie jest teraz. Nie miała ochoty o nic go pytać. Im częściej widywała Luke'a i Alice razem, tym mniej była pewna całej tej sytuacji.

– Zapropował, że za darmo zajmie się elektryką. Oszczędzi nam tysiące

funtów.

– Ha! To pochlebne wyjaśnienie, ale nie wiem, czy trafia mi do przekonania.

– Margaret napiła się herbaty. – Wcześniej nigdy palcem nie ruszył, kiedy oboje z Donaldem go potrzebowaliśmy. Choć nie. Gdybyś mnie zapytała, to powód jest inny.

– Naprawdę?

– Owszem. Martwię się o Alice. – Margaret zniżyła głos. – Ta biedna dziewczyna jest bezbronna, a Luke o tym wie. Widziałam, jak na nią patrzy, i nie byłabym zdziwiona, że coś knuł, mieszkając w tamtym pubie. Jason mógłby z nim pogadać, gdyby tu był. Moim zdaniem najwyższa pora, żebyśmy zachęciły Alice do powrotu do domu. Gethin to sympatyczny chłopak i tam jest jej miejsce.

Libby szeroko otworzyła oczy.

Jak możesz tak myśleć o własnym synu?

– Nie, Margaret. Uważam, że powinniśmy ją zachęcać, żeby się nie spieszyła w kwestii tego związku. Ona potrzebuje przestrzeni, żeby się pozbierać.

Teściowa patrzyła takim wzrokiem, jakby podejrzewała, że Libby coś ukrywa. Zadarła głowę.

– Cóż, w tym mieście jest wiele matek, które by się ze mną zgodziły. Skoro zatem nie mogę zrobić nic pożytecznego, to chyba pójdę z Bobem na spacer. Widziałaś go?

– Alice już z nim poszła.

Usta Margaret zadrżały.

– Naprawdę jestem tu zbędna – powiedziała piskliwie. – Nie potrzebujecie mnie nawet do wyprowadzania własnego psa!

– Alice musi pomyśleć. Nie traktuj tej sytuacji osobiście – odparła Libby. – Bob na pewno się ucieszy, kiedy zabierzesz go na spacer później.

– Może powinnaś mnie wpisać na listę oczekujących? – warknęła Margaret, zanim Libby wymyśliła bardziej taktowną odpowiedź.

Wypadła z kuchni, w progu omal zderzając się z Lukiem. Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, pod którym aż się skulił.

– Powiedziałem coś nie tak? – zapytał.

– Nie. To ja powiedziałam coś nie tak. – Libby potarła powieki. Zaczynała sobie uświadamiać, do jakiego stopnia Jason był buforem między nią a Margaret. – Nie chciałam, żeby czuła się zmuszana do pomocy, a ona

zachowuje się tak, jakbym specjalnie ją pomijała. Nie jestem w stanie nic zrobić dobrze.

– Przyzwyczaisz się. – Luke odgarnął ciemne włosy z twarzy i kpiąco się uśmiechnął. – Za jakieś dwadzieścia lat.

Był ubrany jak instalator: podniszczone bojówki z najróżniejszymi śrubokrętami, kombinerkami i różnymi wiertłami, obcisły szary t-shirt, odsłaniający opalone bicepsy. Libby widywała go dotąd wyłącznie w swobodnych strojach po pracy, więc wydał się jej niezwykle kompetentny. O wiele bardziej interesujący niż ktoś, kto tylko mocuje grzejniki. Potrafiła sobie wyobrazić Luke'a ze spokojem dezaktywującego bombę. Albo bez problemu zaliczającego przyłożenia natychmiast po wyjściu z klubowego baru.

Na moment jej myśli odleciały. Jeśli tak ubrany przychodził do pubu, dziwne byłoby, gdyby Alice udało się przepchnąć przez miejscowych, żeby zamienić z nim słowo.

– Zrobiłaś listę? – zapytał. – Rzeczy, które trzeba skończyć?

Libby się otrząsnęła.

– Drażki na ręczniki. I dodatkowe lampy. Poza tym możesz mnie nauczyć, jak izolować kable, żebyśmy mogła naprawiać lampy sama.

– Co? Nie umiesz izolować kabli? – Spojrzał z udanym przerażeniem. – Nie ma problemu. Kupiłaś te drażki, czy ja mam to zrobić? Pewnie dostanę upust.

– Byłoby super! – odparła Libby. – Zrobiłam zdjęcia tych, które widziałam w... Och. Są w moim aparacie.

– No i?

– Alice go wzięła. Poszła na spacer z Bobem. Poprosiłam ją, żeby ułożyła trasy spacerów na stronę internetową.

Libby dostrzegła cień przemysłujący przez oczy Luke'a i przypomniała sobie, jak szybko się odwrócił i odszedł, kiedy wczoraj wieczorem zaskoczył je na piętrze. Co widział? A ściślej rzecz biorąc: co sobie pomyślał?

Zawahał się, a mimo to zapytał:

– Czy ona... Czy u Alice wszystko w porządku?

Przez sekundę Libby miała ochotę udawać, że nic złego się nie dzieje, lecz Luke sprawiał wrażenie szczerze zaniepokojonego. Od samego początku okazywał Alice wyłącznie troskę. Libby nie podzielała podejrzeń Margaret, że dybie na Alice jak jakiś podejrzaný barowy sęp.

– Ma sporo rzeczy do przemyślenia – powiedziała wykrętnie. – Poszła na spacer. Sama.

Luke milczał. W głowie Libby wirowały pytania, zbyt niezręczne, aby je zadać. Ale Luke znał Alice lepiej niż którekolwiek z nich. A jeśli ona miała jej pomóc...

– Alice i Gethin... – zaczęła niepewnie. – Między nimi było wszystko w porządku, tak? To znaczy chyba musiało być, skoro... No, skoro Alice jest...

Zganiła się w duchu. Czemu właściwie miała zamiar to powiedzieć?

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Luke.

– Niewiele mi o nim opowiadała. Tylko tyle, że jest wrażliwy i ma za sobą trudny okres. Odniosłem wrażenie, że jest wobec niego dość opiekuńcza.

– Jest lojalna – zgodziła się Alice.

– Bardzo lojalna. – Luke bawił się wystającym z kieszeni śrubokrętem. – Wiesz, usłyszałem, co mama o mnie mówiła. Że „wykorzystuję” Alice. – Libby zaczęła protestować, ale uniósł dłoń. – Nie, muszę ci to powiedzieć. To tak nie było, jasne?

Jego wyraziste policzki poróżowiały. Wyglądał na dotkniętego.

– A jak było?

Zastanawiał się z oczami utkwionymi w podłogę.

To była najbardziej osobista rozmowa, jaką Libby kiedykolwiek prowadziła ze szwagrem. Zahipnotyzowała ją jego energia. Był bardziej kanciasty niż Jason, mniej przewidywalny, bardziej gwałtowny. W dobrym i złym odznaczał się determinacją, której jego brat był pozbawiony.

Luke przez całe życie usiłował dowieść, że nie jest taki, za jakiego biorą go ludzie, pomyślała. Jason miał ten luksus, że wszyscy od pierwszej chwili zakładali, że jest dobrym chłopcem. Było mu o wiele łatwiej. A może trudniej, bo musiał dorastać do oczekiwań?

– Rozmowa z Alice była jak rozmowa z kimś, kogo znam przez całe życie – powiedział i urwał. – Myślisz, że dobrze się im układa? Alice i Gethinowi?

Libby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Intensywne spojrzenie Luke’a mówiło coś więcej, niż było zawarte w słowach. Tyle że ona nie zamierzała zdradzać mu tajemnicy Alice, choć w ten sposób udzieliłaby jednoznacznej odpowiedzi.

– Nie wiem. Tak mi się wydaje. Spędziła u niego kilka nocy.

Wpatrywali się w siebie; milczenie się przedłużało, a Libby toczyła walkę wewnętrzną. Luke znał Alice, której ona nie znała.

– Świetnie. – Luke zacisnął wargi. – Świetnie. Eee, pogadam z Lorcanem

o tych drążkach.

– Tak? Dziękuję – odparła Libby.

Kiedy się odwrócił, Libby zaczęła się zastanawiać, czy dobrze usłyszała pytanie, które zadał. Nie wspominając już o tym, czy na nie odpowiedziała.

Alice zeszła z boczem, z którego mogła podziwiać wspaniałą panoramę wzgórze i miasteczka, rozpościerającego się jak dziecięcy rysunek pełen dachów i wieżyczek. Była już niemal w parku, gdy usłyszała czyjeś wołanie.

Odwróciła się i serce zabiło jej mocniej.

Biegł do niej Luke. Pomachał, więc przystanęła. Bob nie zwracał uwagi na otoczenie; węszył ze spuszczonego łbem, pozwalając, by związki chemiczne tańczyły i eksplodowały w jego wielkim nosie.

Podobna eksplozja zaszła w duszy Alice, która ujrzała Luke'a w roboczym stroju.

– Hej! – Wcale nie był zadyszany. – Masz aparat Libby, tak?

Och. Chodzi mu tylko o aparat.

– Tak. Jest ci potrzebny?

– Owszem. Są w nim zdjęcia drążków do ręczników. Bardzo konkretnych, które moja bratowa widziała w jakimś sklepie. Chcę się przekonać, czy uda mi się je zlokalizować.

Alice wyjęła aparat z torby i podała bez słowa. Luke odwrócił go, później podniósł na nią czujne oczy.

– Prawdę mówiąc, to tylko jeden z powodów, dla których cię szukałem. Miałem nadzieję, że będziesz sama.

– Och?

Puls przyspieszył zdradziecko. Alice próbowała z tym walczyć.

Przestań tak na niego reagować! Zachowuj się normalnie.

– Tak, chciałem przeprosić. Za to, że wczoraj tak wpadłem na ciebie i Libby.

– Luke starannie dobierał słowa. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale zamierza zrobić to jak trzeba. – Przepraszam, jeśli wam przeszkodziłem.

Alice odwróciła się i ruszyła ścieżką. Czowała się swobodniej, kiedy była w ruchu. Kiedy stawiała jedną stopę przed drugą. Zmierzała do jakiegoś celu. Nie musiała patrzeć Lukowi w oczy i ryzykować, że on dostrzeże jej dezorientację.

– I zakładasz, że chodziło o osobistą sprawę moją, nie Libby?



– Twoja mina... Szczerze mówiąc, zdradziła cię.

Moja twarz, pomyślała Alice. Wszystkim mówi coś o mnie, tylko ja nic nie potrafię z niej wyczytać.

Patrzyła na ścieżkę i Boba podążającego za zapachem. Na jego długie uszy kołyszące się w jednym rytmie z okrągłym zadem.

– Nie przeszkodziłeś – powiedziała. – Ale nie mów o tym nikomu, dobrze? Potrzebuję czasu na zastanowienie.

– Jasne.

Luke dostosował się do jej tempa, idąc po części ścieżką, po części poza nią. Jego ręka kołysała się o kilka centymetrów od jej ręki; nie podjął żadnej próby kontaktu fizycznego, ale Alice była świadoma jego bliskości. Musiała sobie nakazać, żeby nie ująć jego dłoni – intuicyjnie wiedziała, że dotyk jego palców będzie bardzo miły i że on nie zaprotestuje, ale co dalej?

Jakby wyczuwając tę niepewność, Luke wepchnął ręce do kieszeni. Cisza okryła ich jak parasol.

– Pozwolisz, że pójdę z tobą do miasta? – zapytał po chwili.

– Oczywiście – odparła Alice lekko. – Myślisz, że ci się uda znaleźć te drążki?

– Jestem prawie pewien, że wiem, gdzie szukać. Miałabyś ochotę na kawę? Mogę odprowadzić Boba, jeśli wolisz być sama.

– Nie, nie trzeba. – Alice się uśmiechnęła. – Prawdę mówiąc, lubię jego towarzystwo. Dzięki niemu czuję się jak sportsmenka.

Rozmowa się urwała i dalej poszli w milczeniu, które jednak krępowало. Alice znów miała wrażenie, że jest zawieszona na linie. Gdzieś pomiędzy osobą, którą się czuła, a tą, którą była w przeszłości, choć nie potrafiła jej sobie przypomnieć. I jeszcze tą nową, z przyszłości. Jakimś sposobem obecność Luke'a wprowadzała równowagę. Spokojnie, bez dramatycznych efektów dawał do zrozumienia, kim jest Alice.

– Co u Gethina? – zapytał.

– W porządku. Dzisiaj rano przysłał mi mejle. Z początków naszej znajomości.

Nie był zadowolony, że Alice wraca do hotelu. Musiała wymyślić wymówkę w postaci choroby Libby.

– Dostałaś mejl? Dlaczego wcześniej nie sprawdzałaś poczty?

– Nie dostałam. – Czy Luke pisał do niej, a ona mu nie odpowiedziała? – To znaczy mam skrzynkę, ale nie pamiętam hasła. Laptop też jest zablokowany. –

Spojrzała. – To tyle, jeśli chodzi o nowoczesną technologię. Gethin je wydrukował i przysłał mi w staroświeckim liście.

– A, jasne. Coś ci się przypomniało?

Alice pokręciła głową. Nie rozpoznała nawet drobnego, równego pisma Gethina na kopercie, kiedy z samego rana zobaczyła ją leżącą na wycieracze. W środku były spięte kartki z wiadomościami, które do siebie pisywali po powrocie z Włoch. Alice wiedziała, że to jej słowa, jej opowieści – o śmierci rodziców, o samotności, anegdoty o pracy i Fido – ale miała dziwne wrażenie, że czyta cudzą korespondencję. To były romantyczne, wypełnione nadzieją mejle, pijane pierwszym dreszczem towarzyszącym obnażaniu duszy, ale jej wzrok wyłowił szczegóły, które – jak myślała z żalem – powinna była zachować dla siebie. Związek z zonatym. Kace. Naprawdę nie lubiła tej wersji Alice, którą opisywały.

Dowodziły jednak, że związek z Gethinem był bardzo emocjonalny i polegał na wzajemnym zrozumieniu. Zakochali się w sobie pod włoskim księżycem w pełni. On przysyłał jej poezję, ona jemu piosenki do posłuchania. Miała pierścionek, pokaz fotek z wakacji. Fizyczny dowód istnienia kobiety, którą Gethin uwielbiał.

– Nie sprowokowało żadnych wspomnień – odparła powoli. – Ale to są fakty. A mam niewiele faktów, na których mogłabym się oprzeć.

Oprócz tego jednego, potężnego.

– Gethin włamał się do twojej skrzynki, żeby je odzyskać? – zapytał Luke.

– Nie. Wydrukował ze swojej. – Alice nie była pewna, o co mu chodzi. – Dlaczego?

– Tak się zastanawiałem.

Alice machnęła ręką.

Mejle Gethina to zaledwie jeden rodzaj dowodów. Innym były reakcje jej ciała na obecność Luke'a. Odprężała się przy nim, rozmowy toczyły się swobodnie. Idąc, oboje nieświadomie wpadali w ten sam rytm. Jakby ciało próbowało przedstawić jej inną wersję wydarzeń. Ale to były tylko wrażenia. Co z tego, jeśli rzeczywiście coś między nimi zaszło? Czy ona chce być kobietą, która zdradza? Czy wypadek nie wydarzył się w samą porę?

– On musi bardzo cieszyć się z dziecka – powiedział Luke.

Patrzył prosto przed siebie. Dłonie wciąż trzymał w kieszeniach.

Alice gwałtownie odwróciła głowę. Słyszac wypowiedzianą na głos tajemnicę, przeżyła szok. Ale Luke na nią nie spojrzał.

Opuściła oczy na ścieżkę.

– Jeszcze mu nie powiedziałam.

– Nie?

– Potrzebowałam kilku dnia na, hm, przemyślenie. Wiem, że on bardzo chce, żebym się przeprowadziła. Kiedy mu powiem, zaraz zacznie planować. A ja...

Przerwał jej lord Bob władcym ujadaniem, na dźwięk którego podskoczyli oboje. Alice obejrzała się, żeby sprawdzić, co zwróciło uwagę psa, i zobaczyła kobietę z wieloma smyczami w rękach, jedną z tamtych dwóch, które zdenerwowały Boba już wcześniej. Tym razem psów było sześć. Jeden z małych i białych już skakał jak na sprężynie i ciągnął smycz, chcąc dostać się do basseta.

– Och, tylko nie to! – Alice bolała głowa. – Dzisiaj nie mam na to siły.

– Pójdziemy tędy – odparł Luke spokojnie, kierując Boba na inną ścieżkę. – Ale chyba niedługo będziesz musiała powiedzieć Gethinowi, prawda? Przecież sam zauważy?

Do Alice dotarło: dni mijają, czy tego chce, czy nie. Luke naprawi instalację elektryczną i wyjedzie, a ona będzie musiała powiedzieć Gethinowi o dziecku. I skończy się na tym, że się przeprowadzi, opuści hotel, przestanie widywać Luke'a. Będą tylko ona i Gethin. Dwoje nieznajomych i ich dziecko.

– Luke – odezwała się, rozpaczliwie pragnąc wyartykułować coś, czego nie potrafiła dobrze ująć w słowa. – Czy powiedziałbyś mi, gdyby... Gdyby było coś, o czym powinnam wiedzieć?

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

– O czym?

Alice miała wrażenie, że jej klatkę piersiową ścisnęło imadło; strach, adrenalina i nadzieja równocześnie pompowały krew.

Powiedz to. Skocz.

– O nas.

Luke milczał. Patrzył tylko, a Alice miała wrażenie, że czyta jej w myślach. Minę miał tak zdeorientowaną i smutną, że aż poczuła, jak i ją zalewa fala smutku.

O Boże, tak! Coś było. Było.

– Alice, ja nie... – zaczął, ale lord Bob nagle rzucił się przed siebie.

Trzydzieści kilogramów psiej masy omal nie zwały Alice z nóg, boleśnie szarpiąc staw barkowy.

Potknęła się, Luke ją podtrzymał. Ledwie miała czas na zarejestrowanie

iskier strzelających w całym jej ciele pod dotykiem jego dłoni, kiedy zobaczyła białą smugę pędzącą ku nim po trawie, po której o tej porze roku nie powinno się chodzić.

– Kilka dni temu też tak było. – Alice nie poznawała własnego głosu. – Libby mówi, że to psy ze schroniska po drugiej stronie wzgórza.

Biały psiak pokonywał odległość jak rakieta. Pędził sam, Alice widziała, jak biegnie za nim kobieta, wykrzykująca przeprosiny i trzymająca na smyczy pozostałe psy. Niektóre wcale nie wyglądały na zadowolone z wymuszonego wysiłku.

Serce Alice przeszły ból.

– Ten pies wygląda dokładnie jak Fido, moja suczka – powiedziała.

– To na pewno nie jest ona? Bo zachowuje się, jakbyś była znajoma.

– Nie. Fido przejechał autobus – odparła automatycznie Alice.

Zwierzak z ciemną łatką na jednym oku jednak wcale nie kierował się ku Bobowi, jak przypuszczała, ale prosto ku niej. Znanym Alice sztywnym krokiem, z determinacją właściwą małym psom. Bo właśnie zobaczył kogoś, kogo, jak się bał, utracił na zawsze.

Przrzekła kiedyś Fido, że nigdy, przenigdy jej nie opuści. Nie zapomniała tej obietnicy. Ciągłe miała nadzieję, szukała i tęskniła. A teraz jej serce omal nie pękło z radości.

Alice zakryła usta dłonią, zbyt wstrząśnięta, żeby powiedzieć cokolwiek.

To była Fido.

Szczekała z nieopanowanym zachwytem, a kiedy znalazła się metr przed nimi, skoczyła, prosto w ramiona, które Alice nieświadomie wyciągnęła.

Lizała ją po twarzy, szczekała, znów lizała, piszczała z radości, merdając ogonem tak energicznie, że przy każdym zamachu omal nie wypadła z objęć Alice, która też śmiała się i płakała.

– Fido! – powtarzała, wtulając nos w ciepłe psie ciało. – Fido!

Ze wszystkich dziwnych i niepokojących rzeczy, które przydarzyły się Alice w ostatnich tygodniach, tylko ta sprawiła, że w jej sercu eksplodowała radość.

## Rozdział 25

Tak mi przykro! – Wysoka ciemnowłosa kobieta w kamizelce dogoniła ich, kiedy Fido dokładnie wylizała twarz Alice. – Nie wiem, jak was przeprosić! Coś takiego nie przytrafiło mi się nigdy wcześniej! Wszystko w porządku? Wysunęła się. Proszę popatrzeć! – Kobieta podniosła pustą obrożę. – Musiało jej bardzo zależeć, żeby się z panią spotkać.

– Proszę się nie przejmować. – Fido sadowiła się w objęciach Alice, ocierając łebkiem o jej twarz. – Nic jej nie jest.

– Fido, byłaś bardzo niegrzeczna. – Kobieta nie kryła zażenowania. – Chociaż muszę przyznać, że miło widzieć ją w takim nastroju. Biedactwo, siedziało osowiałe w kącie klatki, odkąd do nas trafiło.

– Fido! Skąd pani wie, że ona wabi się Fido?

– Ta informacja była w jej czapie. – Kobieta spojrzała z ciekawością. – A skąd pani o tym wie?

– Bo myślę, że to mój pies.

– Co? To pani jest Alice Robinson? Z King's Avenue?

– Skąd pani wie?

Tamta ze zniecierpliwieniem przewróciła oczami.

– Zadała sobie pani trud, żeby zaczipować psa, ale nie uaktualniła już pani informacji po wyprowadzce, prawda? Pielęgniarki z przychodni weterynaryjnej próbowały się z panią skontaktować, ale nikt nie słyszał ani o pani, ani o Fido.

Alice usiłowała przetrwać te rewelacje.

– Z przychodni? To ona była u weterynarza? Przecież pani jest ze schroniska, prawda?

Kobieta przełożyła pęk smyczy z jednej ręki do drugiej i wyciągnęła dłoń do Alice.

– Nazywam się Rachel Fenwick i owszem, prowadzę schronisko na szczycie wzgórza. Mój mąż George jest weterynarzem. Fido potrafił samochód, tak

sądzimy, bo jeden z naszych klientów, rolnik, znalazł ją nieprzytomną w żywopłocie i przywiózł do przychodni. Okazało się, że miała tylko kilka siniaków, ale przeżyła szok i była poważnie odwodniona. Gdybyśmy wcześniej mogli się z panią skontaktować, dalibyśmy pani znać.

Alice poczuła w sercu lodowaty chłód. Gethin mówił, że Fido zginęła pod kołami autobusu.

– Kiedy ją przywieziono?

– Och, nie jestem pewna. Wyjechałam wtedy... Jakieś sześć tygodni temu? Jest u mnie od końca kwietnia. Myśleliśmy, że obecność innych psów poprawi jej humor, ale nie. – Twarz Rachel spochmurniała. – Nie ulega wątpliwości, że bardziej tęskniła za panią niż pani za nią. W tej okolicy nie ma znów tak wielu schronisk dla psów. Nikt o nią nie pytał.

Luke zakaszłał.

– Alice też miała wypadek. Nadal nie całkiem doszła do siebie.

Opiekuńczym gestem położył dłoń na ramieniu Alice, ale ona była zbyt pogrążona w myślach, żeby to zauważyć.

– Absolutnie nikt? – Zmarszczyła czoło.

To wszystko nie miało sensu. Dlaczego Gethin mówił, że Fido nie żyje? Jeśli po prostu uciekła, dlaczego nie obdzwonił okolicznych przychodni weterynaryjnych i schronisk, kiedy Alice nie dawała znaku życia?

Bolała ją głowa. Coś tu poważnie nie grało, ale nie potrafiła sprecyzować co. Ciągle jej to umykało, choć było bardzo blisko. Przed ciemną kurtyną pojawiły się fakty, tyle że do siebie nie pasowały.

– Ojej. Nie wiem, co zrobić – powiedziała Rachel. – To znaczy powinnam poprosić panią o dowód tożsamości, ale to przecież pani pies. Nie trzeba mi lepszej rekomendacji.

Fido, ze ślepiami przymkniętymi z rozkoszy, zwinęła się w kłębek w ramionach Alice, która wciągnęła w nozdrza jej znajomy psi zapach. Czuję się teraz dokładnie tak samo, pomyślała. To było stare i nowe wspomnienie, złane w jedno. Ulga, że ona i Fido bez jednego słowa wyjaśnienia od razu wiedziały, kim jest druga.

– Dziękuję pani – powiedziała Alice do Rachel. – Bardzo pani dziękuję.

Luke zaproponował, że odwiezie ją i Fido do Stratton, ale Alice pojechała pociągiem. Potrzebowała czasu do namysłu.

Rachel Fenwick pożyczyła jej smycz, z której zerwała się sunia, z obrozą zapiętą na nowo, chociaż Fido nie okazywała najmniejszej ochoty rozstania się z Alice, nie wspominając o ucieczce. Wsiadły do pociągu.

Gdy szła z terierem truchtającym tuż na skraju jej pola widzenia, trzymającym się tak blisko jej nogi, jak to było możliwe, Alice uświadomiła sobie, że mózg dawał jej znaki podczas spacerów z lordem Bobem. To nie było *déjà vu*. Ona po prostu uwielbiała chodzić z psem. Alice zadawała sobie pytanie, co jeszcze mózg jej podpowiadał, kiedy nie próbowała sobie różnych rzeczy przypomnieć.

Z każdą przemierzaną ulicą powracały zabawne obrazy, jakby uwolnione pod wpływem zapachu i dotyku sierści Fido: jej pierwszy spacer w głębokim śniegu, sprzedawca „Big Issue” ze słodką siwiejącą Staffie, którego miały codziennie rano, Barley, pies taty, zakradający się do łóżka Alice, mama szyjąca baletową spódniczkę na urodziny Barley. Szczęśliwe, gorzko-słodkie wspomnienia, które już nie powodowały, że Alice kulila się, wstrząśnięta. Bo teraz mogła się oprzeć na konkrety.

Pod radością z odnalezienia Fido tkwił jednak niepokojący fakt: Gethin ją okłamał. Dlaczego pozwolił jej wierzyć, że psiak nie żyje? To dziwne, ogromne kłamstwo sprawiało, że wątpliwe zaczęło być wszystko inne.

Przez resztę popołudnia Alice ponownie oglądała wszystkie fotografie w domu, próbowała odblokować laptop i zastanawiała się, o czym jeszcze nie wie, że nie wie. O piątej usłyszała trzask otwieranych drzwi.

Gethin był zaskoczony, zobaczywszy ją siedzącą przy kuchennym stole.

– Alice! Wprowadziłaś się wreszcie?

Jego twarz promieniała zachwytem, a Alice poczuła, że niektóre z jej palących pytań tłumią wyrzuty sumienia. Jak mogła kwestionować dobre zamiary Gethina?

– Nie. Ale ktoś inny tak.

Odsunęła krzesło, odsłaniając Fido, która leżała rozpląszczona pod stołem, kompletnie wyczerpana. Zgrzyt krzesła po kafelkach ją obudził; na widok Gethina zastygła, trzy razy szczeknęła i umilkła, bez przekonania machając ogonem.

Gethin zastygł także. Czy to było poczucie winy? Wstyd? Wątpliwość?

– Dzisiaj rano znalazłam Fido w parku – wyjaśniła. – Albo raczej ona znalazła mnie. Przybiegła i skoczyła na mnie.

– To na pewno ona? – Gethin wyglądał na oszołomionego. – To znaczy, skąd

wiesz...?

– Poznała mnie. A poza tym weterynarz odczytał informacje z jej czipa. – Alice patrzyła przeciągle. – To na sto procent ona.

– Jasne, że to ty, Fido! – Ukląkł, żeby pogłodzić sunię.

Ciekawe, czy wykorzystuje ten czas, żeby wymyślić jakąś historyjkę? – pomyślała Alice.

Fido obwąchała go, spojrzała na Alice, po czym ostrożnie polizała Gethina po dłoni. Bardzo uprzejmie.

On gładził ją po uszach, drapał pod owłosioną brodą.

– Och, Fido, tak dobrze znów cię widzieć!

Alice dłużej nie potrafiła tego znieść. Co on wyprawia?

– Dlaczego mi powiedziałaś, że przejechał ją autobus? Że nie żyje?

– Bo... – Gethin wstał i wsunął obie dłonie w rozwichrzone włosy. – Boże, tak mi przykro! Musiałaś pomyśleć, że jestem psychiczny. Nie wiem, po prostu tak mi się powiedziało. Uciekła, kiedy byłaś z nią na spacerze. Rozmawiałaś przez telefon i nie widziałaś, w którą stronę pobiegła. Szukaliśmy jej wszędzie. Wpadłaś w histerię, obwiniałaś się. Bardzo się o ciebie martwiłem. Poszedłem na policję i... – Urwał gwałtownie.

– I co?

Gethin wyglądał, jakby zrobiło się mu niedobrze.

– Powiedzieli mi, w zaufaniu, że w tej okolicy zgłoszono kradzież kilku psów, głównie małych, których gangi używają do drażnienia właściwych zawodników przed walką. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że coś takiego mogło przytrafić się Fido. Nie zniósłbym, gdybyś się martwiła. Po prostu nie zniósłbym. Więc kiedy wróciłaś i nie pytałaś o nią, pomyślałem, że łatwiej ukryć jej rzeczy, zamiast powiedzieć ci, że się nie znalazła.

– Ale szukaliśmy?

– Oczywiście że tak!

Alice usiłowała to zrozumieć. Chciała, żeby elementy do siebie pasowały. Jednak pomimo przerażającej logiki w opowieści Gethina coś było nie w porządku. Dlaczego spacerowała z Fido w Longhampton? Przecież przed wypadkiem nikogo tam nie знаła. Chyba że... Czy była z Fido, kiedy potracił ją samochód? To jednak oznaczałoby, że Gethin wciąż ją okłamuje.

Dlaczego nie potrafię sobie przypomnieć? Gethin patrzy z takim współczuciem.

Na głowie Alice zacisnęła się niewidzialna opaska.



– Kobieta ze schroniska powiedziała, że Fido był u nich od mniej więcej sześciu tygodni. Nikt o nią nie pytał.

– Była w schronisku? Gdzie?

– W Longhampton. – Rachel mówiła, że jej mąż jest weterynarzem. Przecież jego lecznica nie może być daleko od schroniska. – Skąd Fido się tam wzięła? Jeździliśmy tam na spacer?

Gethin się zdziwił.

– Naprawdę? Obdzwoniłem wszystkich weterynarzy i schroniska w okolicy. Jestem pewien, że do Longhampton też dzwoniłem, choć to dość daleko stąd. Może ty tam pojechałaś? Wychodziłaś na bardzo długie spacery i nie odbierałaś telefonu. Kilka razy zaczynałem się niepokoić. Ale posłuchaj, Fido wróciła i tylko to się liczy. Nie straciłaś jej!

Alice poczuła ukłucie wyrzutów sumienia.

– To po części moja wina, że nie znalazła się wcześniej. Nie zmieniłam informacji w czipie. – Posadziła sobie Fido na kolanach. – Gdybym to zrobiła, przywieziono by ją od razu.

– Mnie mówiłaś, że zmieniłaś – powiedział urażonym tonem Gethin. – I bardzo mnie to wzruszyło. To był taki miły gest, wzięwszy pod uwagę, jak bardzo kochałaś Fido. Wiem, że to właściwie twoja jedyna rodzina, więc... To było tak, jakbyś przyjęła do niej i mnie. Szkoda, że to nieprawda.

Nie wiedząc właściwie dlaczego, Alice zaczęła przeproszać.

– Skoro tak powiedziałam, to na pewno miałam taki zamiar. Teraz to zrobię, porozmawiam z weterynarzem. Ale ty nigdzie się nie wybierasz, prawda, Fido?

Gethin delikatnie objął Alice od tyłu.

– Wiesz, to może jest znak? Fido wróciła do domu, więc czas najwyższy, żebyś ty także to zrobiła. – Pocałował ją w ucho. – Dostałaś mejle?

– Mhm.

Szkoda, że nie mogę przeczytać pozostałych, pomyślała Alice. Żeby mieć kontekst. Pomyślała o niekończącej się wymianie wiadomości z kolegami z pracy, w których dokładnie analizowali każdy szczegół. Podejmowanie decyzji w oparciu o jej własną niepewną analizę było nowe. I dziwne.

Dlaczego właściwie czuję potrzebę sprawdzenia poczty? Czy tam są wszystkie dowody?

Gdyby tylko mogła odblokować laptop! Albo odzyskać telefon, nawet konto na Facebooku. Jakie wydarzenie skłoniło ją do jego wyłączenia?

Coś się poruszyło na dnie świadomości. Żenująca fotografia. Z biurowej imprezy? Było ich kilka. Drinki na mieście. Może rzeczywiście bardzo rygorystycznie dbała o swoją prywatność. Z powodu byłego chłopaka? Jego żony?

Znów ucisk w sercu. O Boże, to może być powód.

– Więc jak? – Gethin pocałował Alice w szyję i mocno przytulił. – Co powiesz na podjęcie decyzji? Możemy od razu pojechać po twoje rzeczy do hotelu.

Omam się nie zgodziła, ale jej wzrok padł na Fido i coś ją powstrzymało.

– Niedługo – odparła i poczuła, jak w jej umyśle za czarną kurtyną poruszają się jakieś kształty.

W piątek rano Libby ponownie sprawdziła stan konta hotelowego. Te pięćset funtów, które wzięło się nie wiadomo skąd, nadal na nim było.

Kliknęła na szczegóły. To był jej nowy zwyczaj – codziennie po śniadaniu wchodziła na konto i bilansowała je ze swoim, co do pensa wyliczonym, budżetem. W żadnym razie nie zamierzała wydawać pieniędzy, których nie miała, żeby potem dostawać żądania zapłaty.

Ale nie, ta kwota widniała po stronie dochodów. Pochodziła z konta, którego numeru nie rozpoznawała.

Corcoran.

Jason.

Libby zmarszczyła czoło.

Jason wypiął się na hotel, nie chciał jej powiedzieć, co robi, ale wpłacał pieniądze? I skąd miał tak dość przecież sporą kwotę? Na pewno znowu gra na giełdzie! Steven pozwolił mu przeprowadzić kilka transakcji na swoim osobistym koncie? To na pewno jest nielegalne.

– Och. – Libby opuściła głowę na dłonie.

W taki sposób Jason na pewno nie wynagrodzi jej swojego zachowania. To najgorszy z możliwych sposobów. Przecież on musi o tym wiedzieć. Libby wolałaby raczej wcale nie dostawać od niego pieniędzy, niż patrzeć, jak znowu zmierza znaną drogą.

Zanim zdążyła pomyśleć, sięgnęła po telefon.

Po czterech sygnałach odezwała się poczta głosowa. Kilka sekund później przyszedł esemes: „Nie mogę rozmawiać. Zebranie”.

Jak poręcznie, pomyślała. Jeśli Jason zachowuje się tak samo, jak wtedy, kiedy świat im się zawalił, to przypuszczalnie siedzi sam w kinie, zajada się czekoladowymi cukierkami i płacze. Wyjaśnienie sytuacji przyjaciołom pozostawił jej. Libby musiała coś wymyślić; w końcu nastrój mu się poprawił, pomysł prowadzenia hotelu spodobał i Jason powrócił w podskokach, jak Tygrysek, opowiadając wszystkim o ich nowej przygodzie.

„Przelałeś pieniądze na konto hotelu?”, wystukała.

„Tak”, odpisał po trzech sekundach.

Libby wpatrywała się w ekran. Czy może zapytać, skąd on je wziął? Czuła się idiotycznie na myśl, że jej rozmowy z Jasonem zostały zredukowane do esemesów. I nie potrafiła powstrzymać się przed porównywaniem Luke’a, który na piętrze brudził sobie ręce, żeby jej pomóc, z Jasonem, który uciekł, a potem przysłał pieniądze. Jakby one rozwiązywały problem.

Prawdę mówiąc, rozwiązały, zauważył głos w głowie Libby. Wystarczą na miesięczne zakupy i rachunki za prąd, a ona nie będzie musiała sprzedawać na eBayu swojej ostatniej porządnej torebki.

Do przyszłego miesiąca.

„Giełda?”, zapytała, zadowolona, że tekst pozwala ukryć ton głosu. Wiedziała, że gdyby rozmawiali przez telefon, na pewno wywiązałyby się kłótnia. Jason był bardzo wrażliwy na „ton”.

Po chwili nadeszła odpowiedź. „Nie”.

Przed hotel zajechała furgonetka Lorcana. Rozległ się głos Alice, wracającej ze spaceru z psami. Gwar rozpoczynający dzień dodał Libby sił; radziła sobie, choć nawet ona by się tego nie spodziewała. Umożliwił jej to Jason, swoim odejściem. A teraz to tracił.

Alice śmiała się z czeladnikami, a Libby nagle zrobiło się wstyd. Bądź miła, pomyślała.

„Dziękuję”, napisała. Jej palec zawahał się nad klawiszem z X.

Tak bardzo za nim tęskniła! Co on teraz robi? O czym myśli? Libby pragnęła zapytać, ale coś ją powstrzymywało.

To ona zawsze torowała mu drogę do przeprosin. Tak długo o nich napomykała, aż stawały się łatwe. Tym razem jednak chciała, żeby to Jason zrobił pierwszy krok. Żeby pokazał, że wie, za co powinien przeprosić.

Odłożyła milczący telefon i zajęła się obowiązkami.

Zabawne, że Fido była dokładnie takim psem, jakiego zdaniem Libby powinna mieć Alice: staroświeckim, ekscentrycznym, przyjemnym w obejściu. Doskonale pasującym do wnętrza w stylu vintage.

– Nie wiem, co bardziej mnie zaskakuje – powiedziała Libby. – To, że w tym koszyku mieszczą się dwa psy, czy to, że Bob nie protestuje przeciwko obecności koleżanki, która psuje jego styl.

Oba zwierzaki umościły się na starym kraciastym legowisku w biurze; Fido stanowiła bardzo małe białe yang do połyskliwego czarnego ying Boba. Jedno długie ucho basseta spływało na podłogę, ogon suni leżał pod dziwnym kątem, ale im to najwyraźniej nie przeszkadzało.

– To akurat nie jest dziwne – odparła Alice. – Mnie zaskoczyło raczej, że przyjechałaś kolejnego psa do hotelu i nawet słówkiem nie zająknęłaś się o białej sierści. Na pewno ci nie przeszkadza, że Fido tu jest?

– Dajże spokój! Jak mogłabym wyrzucić tak cudownego psa? – Libby uniosła brew. – W końcu nie codziennie powstaje się z martwych.

– Przestań. Gethin ciągle mnie przeprasza. Myślę, że jest psychiczny? Nie! Myślę, że chciał mnie oszukać? Nie! Uważam go po prostu za kompletnego kłamcę.

– To dość zabawne – stwierdziła Libby. – Typowe dla faceta. Palnie taki, co mu ślina na język przyniesie, a potem tylko sprawę pogarsza.

Alice położyła na tacy stos rachunków, które uporządkowała.

– Pod pewnym względem dobrze się stało. Znaleźliśmy się chyba w punkcie, kiedy trzeba się wzajemnie dobrze poznać, ze wszystkimi zaletami i wadami. Gethin pod presją opowiada głupoty. I jest wobec mnie bardzo opiekuńczy. – Umilkła. Libby dostrzegła na jej czole zmarszczkę. – To akurat nie jest złe.

– Powiedziałaś mu już? – Libby rozmyślnie przez kilka dni nie wspominała o ciąży, chcąc dać Alice czas na gruntowne przemyślenia. Lecz mimo to nie przestawała się martwić.

– Jeszcze nie. Zrobiłam drugi test, taki, który określa czas poczęcia. Jestem dopiero w drugim miesiącu. To dość wcześnie, może nic z tego nie wyjść. Nie chcę rozbudzać nadziei Gethina, wprowadzać się i... I tak dalej. – Alice spojrzała w bok. – To takie ostateczne. Szkoda, że nie wiem, czy rozmawialiśmy o założeniu rodziny. Czy to było zaplanowane.

– Nie możesz zapytać?

– Mogłabym. – Twarz Alice powiedziała to wszystko, czego ona sama nie ujęła w słowa. – Ale myślę, że wiem, jak by zareagował. O Boże. Jestem

okropna, prawda?

– Nie, wcale nie! Skąd ktokolwiek inny może wiedzieć, co zrobiłby na twoim miejscu? A co z tymi lekami przeciwbólowymi, które dostawałaś? Nie powinnaś pójść do lekarza i zapytać, czy to było niebezpieczne?

– W przyszłym tygodniu. – Alice była przerażona, ale zdeterminowana. – Pójdę w przyszłym tygodniu. Obiecuję. Tyle że ja wcale nie czuję się w ciąży. To się po prostu w głowie nie mieści! Mam wrażenie, że to dotyczy kogoś innego. Że to część mojego dawnego życia, która po prostu zniknie.

Libby spojrzała jej w oczy.

– Nie zniknie, Alice.

– Wiem. – Alice opadła na jedyny porządny fotel w biurze. Fido momentalnie nadstawiła uszu, po czym uwolniła się z objęć Boba i wskoczyła jej na kolana. – Wiem.

– A myślałaś o... – Libby nie skończyła, bo zadzwonił telefon.

Złapała za słuchawkę. W tyle głowy nieustannie kołatała nadzieja, że to Jason z przeprosinami albo wyjaśnieniami. Że wreszcie przerwie to milczenie.

– Och, czeeeść! – powiedział ktoś z bardzo londyńskim akcentem. – Czy mogę rozmawiać z Libby Corcoran?

– Mówi Libby.

– Och, czeeeść, Libby. Jestem Tara Brady, wolny strzelec z „Inside Home”. Mogę przyjechać, żeby zebrać materiały do artykułu? Kilka tygodni temu rozmawiała pani z moją szefową Katie.

– Witam! Jak się pani miewa? – Libby usiłowała oddać słowo „dziennikarz”, stukając palcami po niewidzialnej klawiaturze.

Alice powtórzyła jej gesty.

– Jools Holland? – zapytała bezgłośnie.

Libby pokręciła głową.

– Dobrze, dziękuję – odparła Tara. – Proszę posłuchać, mam nadzieję, że to nie będzie dla pani wielki kłopot, ale redaktorka zmieniła layout bożonarodzeniowego numeru. Uważa, że wiejski hotel lepiej się nada do październikowego. Suche liście, miłe spacerki i nowe buty. Rozumie pani.

– Owszem, rozumiem. Uwielbiam jesienne fotografie! – powiedziała Libby. Numer październikowy. Wychodzi we wrześniu, tak? – Zatem musi pani przyjechać trochę wcześniej?

– O wiele wcześniej, bo w lipcu wybieram się na trzytygodniowy wypad. Hm, liczyłam, że będę mogła wpaść za, powiedzmy, dwa tygodnie? Do końca

miesiąca muszę oddać materiał. Będziecie gotowi do tego czasu? Trzeba też zrobić zdjęcia, więc gdyby się pani udało stworzyć jesienną atmosferę...

Roześmiała się, a Libby jej zawtórowała, choć wcale nie było jej do śmiechu. Żołądek się jej skulił, jak podczas jazdy na kolejce górskiej.

Do końca czerwca pozostały dwa tygodnie. Czternaście dni. Libby spojrzała na ścienny kalendarz i zbladła. Jeszcze nawet nie zaczęto szlifować podłóg, nie wspominając o malowaniu ścian. Żaden z nowych pokoiów nie miał nawet łóżek, a co dopiero reszty wyposażenia. Czy farba zdąży wyschnąć? A jeśli ta dziennikarka zatruje się impregnatem do drewna, czy jak to się tam nazywa? Był wprawdzie pokój numer cztery, ale przecież nie można umieścić tam gościa, a pozostałe zamknąć na głucho!

– Bo jeśli to jest jakiś problem, zrozumiem... – zaczęła Tara, ale Libby nie pozwoliła jej dokończyć.

Nie mogła wypuścić z rąk takiej okazji. Jakimś cudem będą musieli zrobić swoje.

– Żaden problem. Z radością zobaczymy panią u nas, hm, za dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie? – Bezgłośnie powtórzyła przerażona Alice.

– Bardzo pani dziękuję! Jest pani super. Bardzo liczyłam na to, że się pani zgodzi. Erin była bardzo podekscytowana pani przedsięwzięciem, kiedy z nią rozmawiałam. Chyba jest zazdrosna, że będę w hotelu wcześniej niż ona!

Cholera. Pewność siebie Libby rozviała się gwałtownie. Zapomniała, że Erin przypuszczalnie powiedziała Katie, która dała zlecenie Tarze, żeby się spodziewać czegoś w rodzaju Soho House z cydrem. A przecież nie o taki styl jej teraz chodziło; bardziej o termofory w robionych na drutach powłoczkach i domowy chleb. Żeby odwrócić uwagę od prostej pościeli i odnowionych nocnych stolików. Czy Tara wycofałaby się, gdyby miała o tym pojęcie? W żadnym razie nie można do tego dopuścić.

Alice tak szeroko otworzyła oczy, że Libby widziała białka otaczające brązowe tęczówki. Musiała się odwrócić, żeby nie zarazić się paniką.

– Już się cieszymy na spotkanie z panią! – powiedziała głosem z nutą dawnej londyńskiej Libby. – Mam pani dane kontaktowe. Wyślę mejl z zaproszeniem, a kiedy potwierdzi pani datę, pokój będzie na panią czekał!

Mejl powitalny. Następna rzecz do zrobienia.

Fido i Alice wpatrywały się w Libby jak zahipnotyzowane. Lord Bob, nieświadoma gwiazda strony internetowej, spał sobie spokojnie. Jak ważna osobistość, którą w końcu był.

- Co to takiego? – zapytała Alice.
- Zmiana planów. – Libby odłożyła słuchawkę i włączyła ekspres do kawy.
- Dziennikarka przyjedzie za mniej więcej czternaście dni.
- A byłam pewna, że się przesłyszałam! Znalazłaś wehikuł czasu w piwnicy, czy co?
- Co miałam jej odpowiedzieć? Ten artykuł jest nam potrzebny. – Libby usiadła, ale zaraz wstała. Jej obawy rosły. Postąpiła źle, zgadzając się w ciemno na nowy termin bez uzgodnienia tego z Lorcanem, a jeszcze wprowadzenie w błąd Katie co do stylu Łabędzia... – Czy powinnam była uprzedzić Tarę, że zrezygnowaliśmy z luksusów jak na rozkładówkach w „Grazii”? O Boże! Od progu zapyta, gdzie jest masaż i sauna, a my będziemy mogli zaproponować jej wyłącznie Boba na kolana i włączony grzejnik. – Położyła dłonie na policzkach i zrobiła minę jak z *Krzyku* Muncha.
- Chyba nie myślisz, że się odwróci i z marszu odjedzie?
- Najpierw napije się herbaty. Będzie miała za sobą długą drogę, tak od razu nie zwieje. A poza tym wysłesz jej zaproszenie, no nie? To jej przybliży, czego powinna się spodziewać.
- Ale... Prawdopodobnie powiedziano jej, że hotel Łabędź to kawałek Soho pośród sadów jabłkowych. A co jeśli zamierza napisać artykuł o ludziach? Modna londyńska para na traktorze?
- Alice wyglądała na zakłopotaną.
- W takim razie bardziej bym się martwiła nieobecnością Jasona.
- Słuszna uwaga. – Libby patrzyła na wielki olejny obraz przedstawiający samotnego jelenia. Porozwieszała melodramatyczną szkocką kolekcję Margaret i Donalda po całym hotelu, teraz pomalowanym jaśniej i spokojniej, i nagle pojedyncze egzemplarze zaczęły wyglądać o wiele lepiej, niż gdy tworzyły posępne stado. Może mglista tragedia wydaje się mniej tragiczna na tle kremowej ściany niż cholernej krwistoczerwonej tapety? Widać zbocza, a nie tego przeklętego jelenia. – Jak to rozegrać?
- Zawsze możesz powiedzieć, że jest nieśmiały – odparła Alice. – Zamknij Luke’a w pokoju i udawaj, że to Jason się zatrzasnął. Albo daj do zrozumienia, że wyjechał.
- Libby bezradnie podniosła rękę.
- Ona na pewno zapyta. A co z Margaret? Wiesz, chętnie przeczytałabym o siostrach, które same sobie radzą<sup>3</sup>, gdyby artykuł dotyczył kogoś innego.

– Ale ty tu działasz sama! Pod ogromną presją i bez pomocy męża walczysz o utrzymanie jego rodzinnej firmy.

– To brzmi tak, jakby nie żył.

– No, gdybyś była Gethinem, miałabyś dla tej dziennikarki wyjaśnienie idealne. – Alice zmarszczyła brwi. – Wskrzesisz go, w odpowiednim czasie, kiedy wróci.

Libby parsknęła śmiechem, ale zaraz zakryła usta dłonią.

– Przepraszam, nie powinnam była.

– Wręcz przeciwnie – odparła Alice. – Gethin i ja tego właśnie potrzebujemy. Wspólnych żartów. – Posmutniała. – To spoiwo związku, prawda? Wspólne wygłupy i wspomnienia.

– Aha – potwierdziła Libby. Ona na przykład nie cierpiała zmieniać pościeli w pojedynkę. Szło to o wiele szybciej, kiedy z drugiej strony kołdry stał Jason, idiotycznie rywalizując w odpinaniu guzików. – Ale skupmy się na hotelu. Musimy powiedzieć Lorcanowi, że nie ma czasu. Weź ze sobą Fido. – Okazało się, że Fido przypomina sentymentalnemu majstrowi Mintona, białego terriera jego dziewczyny Juliet. – Zgodzi się na wszystko, gdy będziesz ją miała ze sobą. – Suczka pomachała długim ogonem. – W tym hotelu wszyscy zarabiamy na swoje utrzymanie! – zakończyła Libby, chwytając notatnik.

<sup>3</sup> *Sisters Are Doin' It for Themselves* – piosenka brytyjskiego duetu Eurythmics (z 1985 r.), z feministycznym przesłaniem (przyp. tłum.).



## Rozdział 26

Lorcan nadzorował kafelkowanie łazienki w pokoju numer siedem, proces, który osiągnął stadium krytyczne, a mimo to wiadomość, że pozostało mu zaledwie czternaście dni na ukończenie całej pracy, przyjął ze zwykłym opanowaniem.

– To na pewno nie jest jakiś program telewizyjny? – Z powątpiewaniem potarł dłonią po kilkudniowym zarostcie. – Najpierw ograniczasz budżet, potem o połowę skracasz czas... Co będzie dalej, pani Corcoran? Sprowadzisz sławnych tynkarzy? Powiniennem jutro się spodziewać Davida Hasselhoffa z kielnią?

– Nie. Zamierzam zmusić was do ciężkiej harówki – odparła Libby. – Ale poważnie, zdążymy? Powiedz, co mam robić, a ja to zrobię. Będę malowała całą noc, jeśli trzeba.

– Och, dajże spokój. Nie obraż się, ale to wydłużyłoby robotę o co najmniej dziesięć dni.

– Mówię poważnie z tym malowaniem. Chociaż faktycznie byłoby szybciej, gdybyś nie musiał rano po mnie poprawiać.

Lorcan uniósł szerokie ramiona i zaraz je opuścił. Jego długie loki zafalowały.

– Jasne, że zdążymy. Jakimś sposobem. Rozmawiałaś z Giną?

– Uznałam, że najpierw powiem tobie i usłyszę, co o tym myślisz, zanim ona cię zmusi do zgody. Gina z zasady nie odmawia.

– Ha! – Wycelował w Libby palcem. – Szybko się uczysz. Ale fakt, im szybciej otworzysz hotel, tym szybciej zaczniesz zarabiać. I wszyscy dostaniemy swoje pieniądze. Poza tym jestem pewien, że wolałabyś raczej zajmować się gośćmi w recepcji niż na piętrze machać pędzlem.

– Właśnie. – Libby poczuła, że jej pewność siebie się chwieje. Nie wybiegała myślami poza zakończenie remontu. Prowadzenie hotelu w pojedynkę było zupełnie inną kwestią. Zmusiła się do powrotu do

teraźniejszości. – Zrobiłam listę – powiedziała, machając notatnikiem. – Nie wszystko naraz, dobrze?

– Radzę, zadzwoń do Giny. – Lorcan poklepał ją po ramieniu. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie rozpracowała ostatecznego terminu przy czterech filiżankach kawy wypitych w jeden poranek.

Gina ruszyła do działania, przedstawiając mnóstwo propozycji i list, a Libby złapała się na tym, że pracuje, planuje i podejmuje decyzje od rana do wieczora. Decyzje, jak się okazało, zapadają łatwo, gdy człowiek nie ma czasu się nad nimi zastanawiać.

Projektanci stron internetowych mieli biuro w tym samym adaptowanym magazynie, w którym swoje biuro miała też Gina, nic dziwnego więc, że projekt jak za dotknięciem magicznej różdżki zmienił się w wersję gotową do instalacji kilka dni przed terminem. Witryna była mało skomplikowana, ale stylowa; powstało nowe logo hotelu, a po zakładce poświęconej psim gościom wędrował wykonany ołówkiem kontur lorda Boba. Libby wypożyczyła album i za zgodą Doris wykorzystwała niektóre stare zdjęcia. Autorem pozostałych fotografii był mąż Giny, którego obiektyw zdołał stworzyć złudzenie Łabędzia o wiele bardziej gotowego niż w rzeczywistości i który zgodził się przyjąć honorarium w postaci weekendowego pobytu w apartamencie dla nowożeńców.

Libby coraz lepiej wychodził barter.

Na piętrze trwało gorączkowe malowanie, a ona zamknęła się w biurze i napisała mejl, który zamierzała wysłać do wszystkich gości mających rezerwacje, od Tary Brady począwszy. Zapożyczyła ten pomysł od romantycznego pensjonatu, do którego Jason zabrał ją na trzecią rocznicę; nie mogła zafundować szampana, ale przynajmniej tę odrobinę uroku była w stanie zaoferować za darmo. Po przyjacielskim zaproszeniu przedstawiła hotelowy rozkład dnia i zasady rezygnacji z pobytu, a także dołączyła mapę i propozycje lokali, w których można dobrze zjeść, jako że Łabędź nie serwował jedzenia. I plik z sezonowymi wydarzeniami i innymi pomysłami, które mogą umilić pobyt.

Tyle razy sprawdzała treść, że wreszcie Alice, która przyniosła jej lunch, straciła cierpliwość i nacisnęła klawisz, wysyłając mejl do Tary. W chwili gdy poczta powędrowała do adresatki, obie wymieniły podniecone spojrzenia.

– Teraz nie ma odwrotu – powiedziała Libby z żołądkiem ściśniętym ze zdenerwowania.

Zostało im siedem dni.

Aby mieć pewność, że na pewno zdążą, Lorcan sprowadził swoich dawnych kumpli z zespołu. Libby najpierw przeżyła chwilę paniki, bo była przekonana, że hotel się wali, kiedy dwaj łyśsi mężczyźni w t-shirtach z Metalliką zaczęli szlifować podłogi, lecz wkrótce przekonała się, że pokoje z wolna powracają do życia. Na ścianach pojawiły się łagodne wrzosowe odcienie – bez, oset i łosoś – wybrane przez projektantkę wnętrz poleconą przez Ginę, Michelle, która dostarczyła też (z wielkim upustem) lniane zasłony. Spory fragment miniaturowego budżetu został przeznaczony na porządną pościel; całą resztę trzeba było sfinansować w bardziej kreatywny sposób. Pewnego ranka Gina przyjechała furgonetką pełną starych chodników w orientalne wzory (z organizacji dobroczynnej przyjmującej wyposażenie domów), a następnie poleciła czeladnikom Lorcana wyprać je w ogrodzie. Libby zaś urządziła rajd po innych sklepach organizacji dobroczynnych w poszukiwaniu starych zegarów ściennych i luster, w każdym zostawiając list z prośbą, by wszelkie dekoracje przedstawiające słońce z promieniami odłożyć dla hotelu.

Pracowali do późna, zaczęli wcześniej, napędzani przygotowywanymi przez Alice kanapkami i kawą oraz nieustannie zapewnianymi przez Lorcana kompilacjami utworów softmetalowych. Gethin nie był zadowolony z nadgodzin swojej dziewczyny; przyjeżdżał po nią po skończonej pracy i wygłaszał znaczącym tonem uwagi o jej zdrowiu. Jednego dnia nie pojawiła się wcale, ponieważ uparł się, że potrzeba jej solidnego wypoczynku. Poza tym jednak w hotelu panowała atmosfera, której Libby nigdy nie zaznała w żadnej pracy. Wszyscy za punkt honoru postawili sobie ukończenie pracy na czas i chętnie, w miarę swoich możliwości, pomagali. Kiedy próbowała komuś podziękować – dawnej recepcjonistce, która u Margaret pracowała na pół etatu, a teraz wpadła, by wyczyścić lustra i umyć okna, albo pobliskiemu rolnikowi, który przywiózł próbki produktów śniadaniowych i nową umowę na świeże mleko i warzywa – machano tylko ręką.

– Całe miasto na tym zyska. – Libby słyszała to ciągle i w końcu pojęła, że Drzewo Dobroci nie zostało wymyślone w szpitalu. Longhampton nie był jej domem, ale z każdym miłym gestem czuła coraz większą dumę, że przynależy do tego miejsca. Było jej tylko smutno, że Jason nie przeżywa tego razem z nią.

Jedyną osobą, którą ominęła gorączka przygotowań, była Margaret.

Jason wciąż się dąsał, a Libby dokonywała więc nadludzkich wysiłków, by włączyć teściową w każdą sprawę, wielką i małą, ale przy każdej próbie spotykała się z upartym brakiem zainteresowania. Nie potrafiła uwierzyć, że Margaret nic nie czuje, zwłaszcza teraz, kiedy hotel zaczął wyglądać naprawdę świetnie, i bolało ją, że cała praca, którą wkłada w uratowanie rodzinnej firmy, jakimś sposobem byłaby lepsza, gdyby brał w niej udział jej mąż.

– Może powinnaś zapytać Jasona – powtarzała Margaret.

A kiedy Libby przekonywała, że chce poznać wyłącznie jej zdanie, teściowa tylko prychała i mruzczała, że kompletnie straciła rozeznanie, co się ludziom podoba. Wydawało się, że nadal odbiera nieobecność Jasona bardziej osobiście niż Libby.

Dzień wizyty Tary zbliżał się jednak nieuchronnie, a Margaret nieoczekiwanie zaczęło ciekawić, co się dzieje. Libby była akurat na piętrze, gdzie wieszła zasłony obolałymi ramionami, gdy nagle wyczuła w pokoju obecność teściowej. Oraz obłok aromatu Lavender Yardleya, sierść basseta i dezaprobate.

– Podobają ci się? – zapytała Libby. – Są podwójne, żeby tłumiły światło i dobrze się tu spało. Pomyślałam, że to ważniejsze od eleganckiego materiału.

– Są dość zwyczajne. – Margaret potarła tkaninę między palcami.

Owszem, pomyślała Libby. Zwłaszcza w porównaniu z tym kwietnym szaleństwem, które ty wybrałaś. Ludzie tracili zmysły w sypialniach urządzonych z większą prostotą.

– Ale wyglądają solidnie. Czy teraz aktualny jest styl rustykalny?

– Chodzi o minimalizm i dobrą jakość. – Libby zeszła z drabiny. – W czymś ci pomóc?

Margaret rozglądała się po pokoju, jednym z ulubionych Libby, pomalowanym na zielono, z prostym podwójnym łóżkiem z ciemnego drewna, które znalazła w sklepie charytatywnym razem z nocnymi stolikami i stołem. Okazja dla hotelu, kilkaset funtów na cele dobroczynne. Libby umieściła na Drzewie Dobroci kartkę z podziękowaniem dla osoby, która oddała te meble, pochodzące z pokoju gościnnego w domu babci.

Czekała, aż Margaret powie, jak tu ładnie, ale nie doczekała się pochwały. Zamiast tego teściowa oznajmiła:

– Rozmawiałam z Timothyem Prenticem, który poradził mi, żeby po skończonym remoncie sprowadzić rzeczoznawcę do oszacowania wartości

hotelu. To się przyda do ubezpieczenia – dodała, przesuając palcem po grzejniku i sprawdzając, czy jest na nim kurz.

Nie było. Libby wyczyściła go osobiście.

– Ale nie zamierzamy przecież sprzedawać Łabędzia – odparła. – Myślałam, że to omówiliśmy. Opracowałam już plan na przyszły rok, urządziłyśmy sobie z Giną burzę mózgów, szukając pomysłów na zwiększenie atrakcyjności hotelu wśród miejscowych.

– Ja naprawdę rozumiem, co czujesz, moja droga, ale to mnóstwo pracy. Nie możesz wiedzieć jak wyczerpującej. A jeśli Jason nie wróci...

Słowa zawisły między nimi, bardziej żrące niż smród świeżego lakieru.

– Jason wróci – powiedziała Libby, choć wcale nie była pewna, czy w to wierzy. – On tylko... On musi pewne rzeczy przemyśleć. A poza tym bez niego i tak nic nie możemy zrobić. Jest współwłaścicielem.

Margaret przekrzywiła głowę.

– Mówisz tak od dłuższego czasu, tymczasem on nie wraca. A skoro nie odezwał się i do mnie, muszę zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście wiesz, co się dzieje.

Libby naprawdę bardzo, ale to bardzo starała się w relacjach z teściową, ale jej wytrzymałość była na wyczerpaniu. Luke miał rację – Margaret nieustannie przesuwała metę. Choćby nie wiem jak człowiek się wysilał, nie dałby rady wygrać. Donald musiał być prawdziwym świętym.

– Rozumiem, o co ci chodzi, ale czy to nie może poczekać? Ta dziennikarka przyjeżdża pod koniec tygodnia i chcę, żeby wszystko było gotowe. Wolałabym, żeby ludzie, którzy w tym tygodniu pomagają nam z własnej woli, nie pomyśleli, że robimy to, bo planujemy sprzedaż. Po prostu myśl pozytywnie.

– Myślę pozytywnie. Skąd wziął się ten pomysł, że nie? – odparła Margaret z oburzeniem i odwróciła się do wyjścia. – Och – dodała przez ramię, już niemal w progu. – Nie włożyłaś ostatniego kółka na drążek.

Libby podniosła głowę. Rzeczywiście. Będzie musiała zacząć od nowa.

Jasny gwint!

Tuż przed piątkowym lunchem przed hotel zajęchała Tara Brady. W nowiutkim range roverze.

– Już jest! – oznajmiła Alice, zerkając przez firankę w biurze. – I przywiozła

ze sobą psa!

– Jaki jest wielki? – Libby spojrzała na lorda Boba i Fido, które leżały w smudze słońca, zetknięte ogonami. – Na tyle mały, że Bob go zmiążdży?

– Jest w torbie.

– O Boże, to rzeczywiście maleńki. – Libby poczuła, że w jej gardle wzbiera wypita przed chwilą kawa. – Nie mówiła, że będzie z psem.

– To przecież świetnie! Przetestujemy nasz specjalny psi wózek.

Pojazd stał przed czterema pokojami, które Libby przeznaczyła dla psów, wypełniony po brzegi herbatnikami marki Bonio, ściereczkami, woreczkami, odświeżaczami powietrza, czerwonymi ręcznikami, nieskazitelnie czystymi miskami na wodę i zapasową smyczą.

Libby aż klasnęła.

– Dobra, to do roboty!

Od śniadania o szóstej rano nie była w stanie usiedzieć. Wędrowała po pokojach, strzepywała poduchy, odkurzała w kątach, sprawdzała, czy w toaletach nie ma włosów. Brak gotówki skutkowało przynajmniej tym, że było mniej rzeczy do sprzątnięcia.

– Uspokój się, denerwujesz mnie – upomniała ją Alice.

W tej samej chwili do biura zajrzał Luke.

– Ta dziennikarka już tu jest – powiedział.

Libby dostrzegła, że wzrok szwagra powędrował w stronę Alice, na moment się na niej zatrzymał, a potem zakłopotany powrócił do niej. Lorcan musiał pojechać do nowej pracy, dlatego Luke wrócił, żeby być pod ręką, gdyby podczas pobytu Tary wynikła konieczność jakiejś naprawy.

Oczywiście Margaret postrzegła obecność syna inaczej. Libby stwierdziła jednak, że przestało ją obchodzić, co myśli Margaret.

– W takim razie idziemy. Alice, jesteś gotowa?

Nowa recepcjonistka miała na sobie prosty granatowy kostium i zapiętą pod szyję bluzkę. Libby była zaskoczona, bo zwykle Alice nie ubierała się tak oficjalnie, ale najwyraźniej uległa wyborowi Gethina, który, jak twierdziła, lubił prostotę. Libby miała ochotę zasugerować, że coś mniej purytańskiego lepiej by pasowało i do hotelu, i do samej Alice, ale postanowiła, że dzisiaj tego nie zrobi. Później.

– Życzę szczęścia, Libby – powiedziała Alice i uściśnęła ją. – Będzie dobrze. To dopiero początek.

Nie wspomniała o Jasonie, o jego milczeniu ani o tym, że Margaret

oznajmiła, że „przez całe przedpołudnie jej nie będzie”.

– Tak, Libby – dodał Luke. – Powodzenia. – Uniósł zaciśnięte kciuki. – Nigdy nie widziałem, żeby to miejsce wyglądało lepiej. Byłaby szalona, gdyby się jej nie spodobało.

Libby wzięła kilka głębokich oddechów, skinęła z wdzięcznością głową i wymaszerowała z biura, żeby pokazać Tarze nowy *look* hotelu Łabędź.

– ...oczywiście jeszcze nie działamy pełną parą. Pani jest naszym pierwszym gościem, więc proszę wybaczyć, jeśli o czymś zapomnieliśmy...

Powinam się zamknąć, myślała Libby. Odgrywana przeze mnie rola pewnej siebie właścicielki hotelu nie przekonuje nawet mnie samej.

Zaprowadziła Tarę do trójki, pokoju przyjaznego psom, ze ścianą pełną okrągłych luster ze sklepu dobroczynnego i z widokiem na ogród. Luke z wdziękiem i bez zwracania uwagi wniósł bagaże. Libby zauważyła opakowanie po kremowej pościeli, dostarczonej zaledwie wczoraj wieczorem przez Michelle, i zgarnęła je niepostrzeżenie, podczas gdy Tara przyglądała się ciasteczkom na tacy z herbatą.

Wyglądało na to, że gość nie dostrzega jakichkolwiek niedociągnięć. Z zaskoczonym uśmiechem dziennikarka rozglądała się po pokoju, zatrzymując wzrok na świeżych kwiatach na komodzie i na woreczkach z lawendą na poduszkach. Mitzi, jej Yorkshire terierka, zaaprobowała lokum, zasypiając spokojnie w swoim koszyku.

– Tu jest ślicznie – powiedziała Tara. – Naprawdę spokojnie. Podoba mi się, że nie ma telewizora. Czy go ukryliście?

– Nie. Zdecydowaliśmy, że telewizji nie będzie. – Libby pokręciła głową, jakby był to przemyślany plan, a nie skutek braku pieniędzy. – Chodzi o złagodzenie stresu, staroświecki relaks.

Była zadwolona, że postawiła na toalecie własne radio marki Roberts.

– Idealnie! Hm, mój pokój jest bardzo ładny, ale bardzo bym chciała wrócić do waszego miłego salonu i porozmawiać przy filiżance herbaty. Skąd pani się tu wzięła, jaka jest pani historia. Dobrze?

Serce Libby, które zwolniło podczas pokazywania Tarze łazienki (w trójce znajdowała się jedna z eleganckich wanien), przyspieszyło znowu. Wczorajszego wieczoru ledwie uprzątnęli salon. Lorcan nie miał czasu na nic więcej poza pociągnięciem pędzlem po ścianach i ustawieniem sof na miejscu.

– Jeszcze nie jest gotowy... – zaczęła, lecz głos w jej głowie nakazał jej przestać mówić o negatywach, a skupić się na plusach. – Ale, oczywiście, chodźmy. Proszę za mną.

Czyściciele dywanów od Giny dokonali cudów, usuwając z salonu wszelkie ślady obecności lorda Boba. Tara usadowiła się wygodnie na aksamitnej sofie, podwijając długie nogi, i zagłębiła się w miękkich poduchach z westchnieniem uznania.

– Musi pani sobie wyobrazić ogień płonący w kominku – powiedziała Libby pospiesznie. – W czerwcu jest na niego trochę za gorąco! A z choinką salon będzie bardzo przytulny. Och, dziękuję!

Alice weszła z tacą z herbatą i ciasteczkami. Obrzuciła obie kobiety pełnym nadziei spojrzeniem. Libby uniosła nieznacznie brwi na znak, że na razie spotkanie przebiega dobrze.

Tara położyła obok dzbanka z herbatą telefon, żeby nagrywać rozmowę.

– Proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że pani tu jest.

Libby wzięła głęboki wdech.

– Rodzice mojego męża Jasona prowadzili hotel przez trzydzieści pięć lat, ale niestety w zeszłym roku teść umarł. Uznaliśmy wtedy, że to dobra pora na powrót do domu. Żeby moja teściowa mogła odpocząć.

Gdyby Margaret zgodziła się porozmawiać o tym wywiadzie, pomyślała, mogłabym ją zapytać, jak widzi jego przebieg. Ale ona z miejsca odmówiła.

– To nie moja sprawa – oznajmiła z miną męczennika szukającego stosu.

– Zatem to firma rodzinna – stwierdziła Tara. – To mi się podoba.

– Tak. Luke, który zaniósł pani bagaż do pokoju, to mój szwagier. Pomagał przy instalacji elektrycznej. Wszyscy wzięliśmy w tym udział. Widziała pani na stronie internetowej lorda Boba, psa mojej teściowej?

– A, tak. Proszę opowiedzieć o psach. To niezwykle!

Libby ostrożnie dobierała słowa, przedstawiając dzieje hotelu, swoje plany, szczegóły, które wypunktowała, omijając niebezpieczne kwestie nieobecności Jasona i udziału Margaret. Wreszcie jednak Tara odstawiła filiżankę i poruszyła sprawę, o której Libby wolałaby nie mówić.

– Jeśli pani pozwoli... To, co widzę, jest kompletnie różne od hotelu, którego opis miałam w zleceniu. – Uniosła brwi. – Chyba spodziewałam się czegoś bardziej, hm, z wyższej półki? Choć to zapewne niewłaściwe



określenie.

Z wyższej półki? Libby zarumieniła się, rozpoznając dawny dreszcz niepewności, który przeszywał ją w otoczeniu bogatych żon brokerów w Londynie, zanim nauczyła się języka mody składającego się z torebek właściwych marek i inwestowania w kaszmir. Zaraz jednak, odwróciwszy głowę, by ukryć rumieniec, zobaczyła w recepcji Alice, która stuknęła w klawiaturę pod obrazem jelenia. Czy przez „z wyższej półki” Tara rozumiała „gładki”? „Absolutnie wielkomiejski”? Bo Libby była dumna z wkładu ludzi, widocznego na każdym kroku. Pewnego wieczoru Lorcan skończył malować recepcję dopiero po północy. Alice przez cały dzień pastowała pszczelim woskiem blat w recepcji. Jeden z czyścicieli przyniósł Libby kilka oryginalnych lamp z lat sześćdziesiątych. Wszyscy razem przekształcili dość nijaki i zmęczony hotel w hotel przytulny i stylowy. Gotów się rozwijać.

Bardziej z wyższej półki? Co to właściwie znaczy?

Przez nerwowe wyczerpanie przebiło się oburzenie w imieniu Łabędzia.

– No cóż, taki był pierwotny plan. Hotel butikowy – zaczęła. – Ale kiedy jakiś czas tutaj pomieszkałam, zdałam sobie sprawę, że ta idea zaspokajałaby wyłącznie moje ego. A co z duszą miejsca? Istota miłego pobytu nie zależy przecież od idiotycznie drogiej pościeli i dywanów, a od serdecznego traktowania, poczucia, że gościom nic nie sprawia większego kłopotu. Od wygody i uprzejmości. Zrozumiałam to w pełni, kiedy zobaczyłam fotografie hotelu z lat sześćdziesiątych. Klienci wyglądali na odprężonych i szczęśliwych nie dlatego, że w łazience był włoski marmur, ale dzięki personelowi i atmosferze. Dlatego za punkt wyjścia przyjęliśmy tamten wystrój, uzupełniając go nowoczesnymi wygodami. Ale naszym znakiem firmowym pozostała staroświecka obsługa.

– Mówi pani z wielką pasją.

– To prawda – odparła Libby. Może spowodowały to litry kawy, którymi w tym tygodniu ratowała się przed zaśnięciem, ale miłość do Łabędzia zalewała ją teraz falą. – Bardzo wiele się nauczyłam, nie tylko o hotelarstwie, ale i o sobie. O przyjaciółkach, o mieście, o wszystkim. Z pierwszą ekipą remontową przeżyliśmy, hm, poważny kryzys. Już chciałam dać sobie spokój, ale wzruszyła mnie pomoc mieszkańców Longhampton. Dzięki nim uwierzyłam w sukces przedsięwzięcia. Kiedy przeprowadziłam się tutaj, nie znałam nikogo. Ale to, że zgromadzili się wokół nas ludzie, że dokładali starań, żeby

nam się udało, to sprawiło, że zupełnie inaczej zaczęłam patrzeć na wszystko.

Libby poczuła wzbierające w gardle łzy i musiała je przełknąć, żeby się nie rozpłakać.

– Więc zamierza pani tu zostać?

– Oczywiście. – Libby skinęła głową. – Dopiero poznaję Longhampton, ale czuję się tak, jakbym przez wszystkie poprzednie lata czekała na powrót do domu. Chciałabym się zrewanżować mieszkańcom. Odnieść sukces i wspierać firmy, które wsparły nas. – Uśmiechnęła się, bo nagle zrozumiała, że to prawda. Teraz zależało jej tylko na tym, żeby Jason wrócił i na własne oczy zobaczył, czego dokonała.

Serce Libby zabiło mocniej.

– Ach – mruknęła Tara, wyraźnie poruszona. A nie wyglądała na typ dziennikarki, która łatwo daje się ponieść emocjom, pomyślała Libby. – To będzie rewelacyjny artykuł. Czy pani mąż jest w domu? Czy mógłby nam opowiedzieć o remontowych koszmarach? Czytelnicy to uwielbiają.

Libby się zawahała. Nie chciała kłamać, ale nie potrafiła się zmusić do przyznania, że Jason ją opuścił.

– O ile to nie jest problem? – Przenikliwy wzrok dziennikarki wychwycił zakłopotanie.

– Jason pracuje poza domem. – To była prawda. – Ale bardzo mi pomaga. Gdyby tu był, nie sądzę, bym zdobyła się na taki wysiłek. Z całą pewnością nie jestem już tą kobietą, która wyjeżdżała z Londynu.

– Naprawdę? Wydaje mi się pani bardzo kompetentna. Z pani mejla w żadnym razie bym się nie domyśliła, że to pani pierwszy hotel.

Libby się zastanowiła.

– Może na tym to polega? Człowiek nie wie, co potrafi, dopóki nie weźmie się za robotę.

Ani kim jest, dopóki mu tego nie powie ktoś inny.

Wróc, Jasonie, pomyślała smutno Libby. Wróc i zobacz, co mi się udało.

– To rewelacyjny wątek – powiedziała Tara, sięgając po herbatnika. – Tak często czyta się o ludziach z City, którzy za grosze kupują hotele, a gdy te zaczynają przynosić dochód, sprzedają je i się zmywają. Podoba mi się, że miejscowa społeczność panią wsparła i że chce się pani za to wsparcie odwdziaczyć.

Libby potaknęła.

– Właśnie. Mamy uroczą salę, na razie zasnutą pajęczynami, którą

chciałabym odnowić z przeznaczeniem na przyjęcia z okazji chrztu, dobroczynne herbatki i...

Przerwało jej pukanie w drewnianą framugę.

Kiedy Libby się obejrzała, zobaczyła łysiejącego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w lśniący garnitur. Przybyły z nadzieją uśmiechał się pod wąsem.

– Szukam pani Corcoran – powiedział.

Libby wstała.

– Dzień dobry. To ja.

– Dzień dobry. – Przerzucił do drugiej ręki teczkę i telefon i podbiegł, żeby uścisnąć jej dłoń. – Jestem Norman Connor z Connor Wilson. Miło mi panią poznać.

– Mnie także miło poznać pana – odparła Libby uprzejmie. Connor Wilson. To firma dostawcza? Kancelaria prawna? – Przepraszam, ale nie całkiem rozumiem. Czy rezerwował pan pokój? Nasza recepcjonistka się panem zajmie.

– Nie! Boże, nie. Jestem agentem handlu nieruchomościami. Mam spotkanie z panią. Chodzi o wycenę.

Libby skamieniała, a potem jej policzki zalał gorący rumieniec. Dwa ostatnie słowa pan Connor wypowiedział donośnie i z przyjemnością. Do tego stopnia, że Tara musiała je usłyszeć.

– Wydaje mi się, że zaszła pomyłka. Z całą pewnością nie umawiałam się... Nie zamierzamy sprzedawać Łabędzia. Ledwie otworzyliśmy po remoncie!

Libby zerknęła na dziennikarkę, która nawet nie udawała, że nie słucha. A wszystko się nagrywało.

– Ale żadnej pomyłki nie ma – upierał się agent. – Sekretarka przekazała mi wiadomość: pani Corcoran, hotel Łabędź, czternasta trzydzieści. Wycena przed możliwą sprzedażą. Przepraszam, że zakłóciłem pani podwieczorek – zwrócił się do Tary. – Proszę mi wybaczyć.

– Nie ma za co – odparła.

Cała sytuacja nie zrobiła na niej większego wrażenia, pomyślała Libby. Co zapewne oznacza, że jej zdaniem przez ostatnie pół godziny łągałam jak najęta.

– Sądzę, że rozmawiał pan z moją teściową – oznajmiła z ponurą uprzejmością. – Na pewno nie planujemy sprzedaży, ale może źle coś zrozumiała...

– Ach! Dzień dobry! Czy to pan Norman?

Teraz w stronę drzwi z mrożonego szkła odwróciły się trzy głowy.

W progu stała Margaret, ubrana w jasnoniebieski kostium, który oszczędzała na specjalne okazje – Jason żartobliwie nazywał go hołdem dla Margaret Thatcher – z włosami świeżo ułożonymi w delikatne fale i srebrnymi pasemkami zafarbowanymi na brąz.

Więc tam była przez całe przedpołudnie, kiedy wszyscy w Łabędzie biegali jak w ukropie, gorączkowo polerując każdą powierzchnię! U fryzjera. Przygotowując się na swoją wielką chwilę.

Libby dudniło w głowie z furii i zakłopotania. Zrobiła to specjalnie! wściekała się w duchu. Żeby mi pokazać, że nadal ona tu rządzi! Że mogę sobie planować, co mi się podoba, ale w ostatecznym rozrachunku jestem na końcu porządku dziobania, daleko za Jasonem, ostatnimi życzeniami Donalda i zapewne Bobem!

Norman Connor był zachwycony. Ponownie przerzucił teczkę, uściśnął dłoń Margaret i przedstawił się, podczas gdy Libby modliła się w duchu, żeby na widok Tary Margaret wyjaśniła mu, że nastąpiła pomyłka.

Wpatrywała się w teściową błagalnie. Jeśli ją przekonam, damy radę wyplątać się jakoś z tej sytuacji, myślała.

Nic takiego nie nastąpiło. Margaret, z miną wyrażającą małostkowy triumf, uśmiechnęła się do Libby i Tary.

– Tak mi przykro, że wam przeszkodziłam, Elizabeth! – powiedziała. – Wybaczcie. – Odwróciła się do agenta.

Kiedy odchodzili, Libby usłyszała jeszcze, jak mówi:

– Zaczniemy od pokoi. Zostały wyremontowane.

Głosy ucichły. A Libby miała wrażenie, że kopnięto ją w klatkę piersiową.

Tara wyłączyła nagrywanie.

## Rozdział 27

Libby patrzyła na siedzącą po drugiej stronie stolika dziennikarkę i zastanawiała się, czy istnieją słowa, którymi mogłaby naprawić nienaprawialne.

– Moja teściowa... – wybąkała. – Naprawdę nie miałam pojęcia...

– Powinna była pani wiedzieć. – Twarz Tary, jeszcze przed chwilą pełna współczucia, stwardniała. A Libby uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak tupetem wybrnąć z tego impasu. Wszelkie biurowe sztuczki, które wcześniej miała na podorędziu, gdzieś się zapodziały.

– Hej, przepraszam, że przeszkadzam! – To była Alice ze swoim najbardziej promiennym z uśmiechów. – Chciałabym tylko powiedzieć, że jedną z usług, jakie oferujemy gościom z psami, jest popołudniowy spacer. Chętnie zabiorę Mitzi, żeby pobiegała po parku, jeśli pani pragnie odpocząć. Choć może wybrałaby się pani z nami? To idealny plan na jesienny weekend. Mamy kilka tras spacerowych, w tym jedną prowadzącą obok rewelacyjnych niezależnych sklepów.

Przez moment Libby myślała, że Tara oznajmi, iż wraca do domu, ale ta westchnęła z rezygnacją i wstała.

– Skoro już tutaj przyjechałam...

– Świetnie! Potrzebuje pani smyczy?

Alice zajęła się dziennikarką troskliwie, pozostawiając Libby z pozostałościami po podwieczorku: lekko wgniecionym srebrnym imbrykiem i dzbankiem z gorącą wodą, które trwały w Łabędziu od początku jego istnienia. Odbicie jej twarzy w metalu było podrapane i pomarszczone, odpowiadające samopoczuciu. Nagle wszystkie nieprzyjemności, które Libby starała się ignorować i wybaczać, przypisując je żałobie Margaret, przebiły się przez dziurawe mury jej opanowania. Inaczej nie można było na to patrzeć – Margaret specjalnie zaaranżowała przyjazd Normana.

Gorąca fala złości, która zalała Libby, była dziwnie odświeżająca.

W chwili gdy usłyszała, że frontowe drzwi otwierają się i zaraz zamykają, co oznaczało, że Alice i Tara opuściły hotel, zerwała się na nogi i wypadła z salonu.

– Hej, hej!

Zbiegając po schodach, omal nie przewróciła Luke’a. Podniósł ręce.

– Dokąd tak pędzisz?

– Pogadać z twoją matką – odparła. – Mam dość. Nie kiwnęła palcem, żeby hotel zaczął działać. Ale kiedy ja tego dokonałam, zaprosiła agenta nieruchomości, właśnie dzisiaj, i zrobiła ze mnie oszustkę! Jeśli Tara zrezygnuje z artykułu, to będzie wina Margaret! A ja wyjeżdżam.

Luke położył ręce na jej ramionach i spojrzał na Libby. Oczy miał spokojne. Jak u żołnierza.

– Libby? Libby, posłuchaj mnie. Uważnie mnie posłuchaj. Nie rób tego. To nie pomoże.

– Nie? Niedobrze mi się robi od tego, że w tej rodzinie nigdy o niczym się nie mówi! – Uwolniła się od jego dłoni. – Ja muszę to powiedzieć, a ona musi to usłyszeć. Cholera, najwyższy czas!

Margaret z Normanem dotarli do apartamentu dla nowożeńców, gdzie ku najwyższej irytacji Libby teściowa chwaliła się właśnie luksusową wanną i bajecznym prysznicem. Jedynym, który udało się zatrzymać, kiedy połowę zamówienia trzeba było oddać.

– ...to wabik na każdego potencjalnego inwestora – mówił Connor.

Margaret puszyła się, jakby osobiście zainstalowała tę cholerną wannę.

Furia Libby osiągnęła szczyt. Fatalny wybór wyposażenia łazienek wpłynął na rozpad jej małżeństwa, a wykorzystanie go do podniesienia wartości hotelu było w porządku?

– Margaret, mogę cię prosić na słowo? – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Teściowa odwróciła głowę.

– Teraz?

– Tak. Proszę.

Margaret dotknęła ręki Normana.

– Przypomnij mi, żebym zapytała o twojego kolegę, który grał w golfa z Donaldem – powiedziała, po czym majestatycznie opuściła łazienkę.

Libby przeszła korytarzem do najbardziej oddalonego pokoju, po czym

zamknęła drzwi.

– Cholera, czego on tu szuka?

– Za radą przyjaciela postanowiłam zorientować się, jaką wartość prezentuje obecnie hotel.

Zdanie zabrzmiało jak przecwiczone. Jakby Margaret przewidziała reakcję Libby i przygotowała obronę.

– Ale ja prosiłam, żebyś poczekała. W najgorszym razie do wyjazdu tej dziennikarki!

Margaret zadarła brodę.

– Elizabeth, nie jesteś jedyną osobą, której wolno podejmować decyzje. Nie jesteś jedyną właścicielką.

– Równie dobrze mogłabym być! – Furia sprawiła, że Libby dostała wytrzeszczu. – Bo tylko ja coś tutaj robię! Od naszego przyjazdu nie kwinełaś palcem. Jason wpakował w tę sytuację nas obie, potem się zmył, a ty masz do mnie pretensje. Luke haruje jak wół, nie słysząc od ciebie słowa podziękowania, a Jason wszystko olewa. Myśli, że jak od czasu do czasu przyśle pięćset funtów, ma obowiązek z głowy! A przecież to przez niego tu jesteśmy!

– Jason wyjechał z powodu twojej decyzji – warknęła Margaret. – Ogołociłaś budynek do cegły. Zniszczyłaś wszystko, co zbudowaliśmy z Donaldem, bo taki miałaś kaprys! Dlaczego miałabym nie sprzedać hotelu? Nic teraz dla mnie nie znaczy. Dzięki tobie.

Libby usiłowała zignorować ukłucie wyrzutów sumienia.

– Dobra. Popełniłam błędy! Przyznaję, że się pomyliłam! Ale hotel wymagał unowocześnienia. Nie można wiecznie tkwić w przeszłości. Czy ty kiedykolwiek sprawdzałaś, ile pieniędzy przez niego tracisz? Czy może się spodziewałaś, że wiecznie będziemy cię ratować z kłopotów?

Margaret zrobiła drżący wdech i zagrała kartą atutową.

– Donald byłby przerażony, gdyby zobaczył, coś narobiła!

– Byłby? Naprawdę? – Libby wsunęła dłonie we włosy i zmusiła się do obniżenia głosu do rozsądnego poziomu. – Przyjechałam tutaj, tylko dlatego że Jason mnie przekonał, że to rodzinna firma. A jak na razie widzę tylko jednego syna, który nie potrafi poradzić sobie z własnymi błędami, drugiego syna, który według ciebie nic nie jest w stanie zrobić dobrze, i matkę, która chętnie się godzi, żeby ktoś inny pracował, byleby tylko ona mogła nadal sprawować władzę. – Obrzuciła Margaret płonącym spojrzeniem. – Przykro mi, że

Donalda tu nie ma. Brakuje mi go i współczuję ci, że go straciłaś. Ale nie wydaje mi się, żeby w tej akurat chwili był przerażony mną! Nie sądzisz?

Libby okręciła się na pięcie i wyszła, żeby Margaret nie zobaczyła łez frustracji i rozczarowania.

I wstydu.

Luke czekał na nią na dole schodów.

– Nic nie mów. – Podniosła ręce, zanim zdążył się odezwać. – Powiedziałam kilka nieprzyjemnych rzeczy, ale trzeba było je powiedzieć. Nie możemy ciągle...

Nie skończyła, bo Luke wprowadził ją do biura, a potem zmusił, żeby usiadła w wygodnym fotelu. Zamknął drzwi i wyciągnął z tylnej kieszeni chusteczkę.

– Jest coś, co musisz wiedzieć o mamie.

Libby wytarła smugi tuszu spod oczu. Serce nadal waliło boleśnie, jakby właśnie zeszła z roweru stacjonarnego.

– Wiem, co powiesz: ona wciąż jest w żałobie. Ale ja nie jestem potworem. Natomiast wygląda to tak, jakby się zaparła, że nie może nam się udać. Chce, żebyśmy dopasowali się do jej wersji rzeczywistości, w której ona i Jason są doskonali, a ty i ja to samolubni egomaniacy. Nie rozumiem jej obsesji na punkcie hotelu jako rodzinnej firmy, skoro dostrzega zaledwie połowę rodziny! Jak ty sobie z tym radzisz? Pytam poważnie.

Luke, jakby tocząc wewnętrzną walkę, uszczypnął się w nos.

– Nie w tym rzecz. Jest pewna sprawa, o której nigdy bym ci nie powiedział, gdybym nie był przekonany, że tu chodzi o coś więcej niż o hotel. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Mama w gruncie rzeczy też tego nie chce. Jason na pewno nie. Założę się o wszystko, że kiedy wreszcie przywlecze swój żaloszny tyłek z powrotem do domu, przede wszystkim będzie mu zależeć na twojej obecności.

– Jeśli to zrobi.

– Zrobi. Jest synem swojego ojca.

– Tak, ale ty też, Luke. Wiesz, sądząc po tym, jak mi pomagasz, powiedziałabym, że jesteś bardziej podobny do Donalda.

Po twarzy Luke'a przemknął cień.

– W tym właśnie szkopuł. Chciałbym nim być, ale... Nie jestem synem



swojego ojca.

– Co takiego?

Luke usiadł na krześle obok.

– Powodem, dla którego mama jest tak drażliwa na punkcie hotelu, taty i tego, co ważne w tym mieście, jest fakt, że Donald nie jest moim ojcem.

Libby gapiła się z otwartymi ustami.

– Nie rozumiem.

Przygotowała się na jakieś rewelacje o Margaret tracącej pieniądze na wyścigach, no ewentualnie na ukryty problem z sherry, ale nie na to.

– Donald jest ojcem Jasona, ale nie moim. Mama była w ciąży, kiedy wyszła za tatę. Przeprowadzili się tutaj, żeby zacząć od nowa w miejscu, gdzie nikt nie miał o tym pojęcia.

– Żartujesz!

Luke pokręcił głową.

– Nie. Dla mnie to również był szok, możesz mi wierzyć. Chociaż nagle mnóstwo rzeczy nabrało sensu.

– Więc kto jest twoim ojcem? I kto ci powiedział?

– Tata. To znaczy Donald. Śmieszne, ale nie zrobił tego w gniewie, nie rzucił mi tego w twarz. Powiedział, bo chciał, żebym zrozumiał, dlaczego mama... jest, jaka jest. – Luke wpatrywał się w podłogę. – Jako dziecko byłem niegrzeczny, jak mnóstwo małych chłopców. Ale mama zawsze była dla mnie surowa, aż wreszcie zmieniło się to w coś innego. A ponieważ według niej nigdy niczego nie robiłem dobrze, przestałem próbować. Jasne, teraz by powiedziano, że to przypadek jakiegokolwiek uwagi, lepszej niż żadna, ale wówczas byłem tylko rozgniewanym podrostkiem. I wcale mi nie pomagało, że Jason dosłownie nie był w stanie zrobić czegokolwiek źle. W szkole szalałem, bo wiedziałem, że ktoś będzie musiał po mnie przyjść, a po południu trzeba się będzie mną zająć. Oczywiście, wybryki eskalowały, kiedy dorosłem na tyle, żeby wpakować się w prawdziwe kłopoty. Mama wpadała w furję: Jak mogę być taki samolubny? Czy opinia, jaką cieszy się w mieście tato zupełnie mnie nie obchodzi? Tato z kolei nie reagował nigdy. Odbierał mnie, nic nie mówił, ale ja i tak wiedziałem, że go rozczarowałem. I to było gorsze od złości mamy.

– Kiedy ci powiedział?

Libby usiłowała wyobrazić sobie Donalda, w tweedowej marynarce i sztruksowych spodniach, rozpoczynającego rozmowę w stylu Jeremy'ego

Kyle'a. Nie wspominając już o jej przebiegu.

– Kiedyś na posterunek zawlókł mnie gliniarz, który myślał, że będę mógł mu podać nazwisko sprawcy kilku włamań. – Luke wziął z biurka długopis i zaczął go obracać w palcach. – Nie miałem zielonego pojęcia o włamaniach, ale to na sto procent było ostatnie ostrzeżenie. Tacie dał znać jeden z jego kumpli w policji, więc po mnie przyjechał, ale mama zapowiedziała, że jeszcze jeden taki incydent i wylatuję z domu. Najwyraźniej sytuacja przeszkadzała Jasonowi w przygotowaniach do matury. Myślałem, że jedziemy do domu i będzie draka, ale tato zawiózł mnie do wielkiego supermarketu, kompletnie pustego, jak w filmie, i powiedział, że musimy pogadać. Jak facet z facetem. – Luke podniósł wzrok. Oczy miał smutne. – Nigdy nie zapomnę, jak był przybity. Zaczął tak: „Powiem ci coś o mamie, o czym powinienes wiedzieć, i wierzę, że pod słowem honoru zachowasz to w sekrecie. A jeśli się dowiem, że je zламаłeś, z nami będzie koniec”. Odparłem: „Mów”, myśląc, że usłyszę, że mama choruje na dwubiegunowość albo coś w tym rodzaju, ale on opowiedział mi, że... No, że poznali się, kiedy była sekretarką w kancelarii prawniczej należącej do jego ojca w Oxfordshire. Tato był tam młodszym prawnikiem. Mama w młodości była piękna i chociaż kilka razy umówiła się z tatą, podejrzewam, że szukała kogoś, hm, lepszego.

Libby pomyślała o fotografii w albumie Doris: zmęczona, śliczna Margaret z kręconymi ciemnymi włosami, poduszkami na ramionach i ładnymi nogami. I Donald obok niej, trochę starszy, choć przystojny w sposób kojarzący się z krykietem i przedziałką pośrodku głowy.

– Lepszego niż twój tata? – zapytała. – Nie potrafię sobie wyobrazić, że można trafić lepiej. Był dżentelmenem.

– Właśnie. Pewnego ranka przyszedł do pracy i zastał ją we łzach. Kiedy zapytał, co się stało, okazało się, że ma kłopot, jak to ujął. – Luke uniósł brew. – Chodziła z gwiazdą miejscowej drużyny futbolowej. Faceta tylko wypożyczono, a potem poręcznie przeniesiono do Newcastle i nie zobaczyła go już nigdy więcej. Myślę, że poznała go w kancelarii. Kiedy przyszedł po poradę w sprawie mandatu za przekroczenie prędkości. – Zaśmiał się, rozbawiony. – Porady udzielił mu tata. Za karnet na mecze.

– Wiesz... Dość trudno mi to sobie wyobrazić – powiedziała Libby. – Margaret „w kłopotcie”...

– Nie urodziła się z kartą członkowską Instytutu Kobiecego. I to nie tak, że tylko łatwe dziewczęta podejmują złe decyzje w kwestii facetów. Im są

milsze, tym gorzej na tym wychodzą. – Luke powrócił do meritum. Zbyt szybko, pomyślała Libby. – W każdym razie tato się oświadczył, ona się zgodziła. Zamiast jednak zostać w mieście i czekać, aż ludzie dodadzą dwa do dwóch, tato kupił zrujnowany hotel trzy hrabstwa dalej, a kiedy miałem niecały rok, proszę bardzo, na świat przychodzi Jason i szczęśliwa rodzinka jest w komplecie.

– Bo byliście szczęśliwi – powiedziała Libby. – Posłuchaj, nie chcę na nowo pisać przeszłości, ale twoi rodzice się uwielbiali. To było widać na pierwszy rzut oka. Nie sądzę, że Donald skłonił Margaret do zrobienia czegoś, czego nie chciała. I cię kochał.

Luke odwrócił wzrok, a potem spojrzał jej w oczy.

– Wiem. To jedno było dobre. Ale mama martwiła się, co ze mnie wyrośnie. Jakie brzydkie cechy się ujawnią. Tato uważał, że ta jej surowość nie miała związku ze mną, ale z nią. Mama chciała wytrzebić w zarodku wszelkie moje możliwe skłonności do romansowania na prawo i lewo. – Wykrzywił usta. – Nie pomogło. Faktycznie, w młodości był ze mnie niezły numer. Zawsze miałem po kilka dziewczyn równocześnie. Wiesz, jak to bywa. Ale żadna nigdy nie zaszła ze mną w ciążę. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Dlatego teraz mama niepokoi się o Alice. Wiesz, z przyzwyczajenia i tak dalej. Martwi się, że drań we mnie przejmie kontrolę i zrujnuje biedną dziewczynę.

– Och, to jakiś idiotyzm! – oznajmiła Libby z oburzeniem. Jak Margaret może być taka... średniowieczna? – Nikt nie dziedziczy zachowań. Jesteś, kim jesteś.

– Naprawdę? – Luke spojrzał pytająco. – Czasami się zastanawiam. Kiedyś wyszukałem w Google mojego prawdziwego ojca. – Skrzywił się. – Trzy żony, skończony w wieku pięćdziesięciu lat. Zrobiło mi się niedobrze. Nie – dodał, uprzedzając pytanie. – Nigdy nie chciałem się z nim kontaktować. Jeśli o mnie chodzi, moim ojcem był tato. Kropka.

Zapadło milczenie. Libby miała tak wiele pytań, że nie wiedziała, od czego zacząć. Zanim zdążyła uporządkować myśli, Luke odezwał się ponownie.

– Wiem, tato chciał, żebym zrozumiał, że na dnie serca mama mnie kocha. I domyślałam się, dlaczego uważał, że to pomoże mi ją usprawiedliwić. Ale wiadomość zwała mnie z nóg. Bo wiesz, to znaczyło, że Jason zawsze będzie miał coś, czego ja nie będę miał nigdy. Że w ich oczach nigdy nie stanę się Jasonem. Więc zaciągnąłem się do wojska, gdzie nikt mnie nie znał. Żadnej przeszłości. Żadnych oczekiwań. Jasne, mama uważała, że to za mało, ale

w tamtym czasie guzik mnie to obchodziło. Poza tym sprawy układają się dobrze. – Luke przestał bawić się długopisem. – Kiedy mnie tu nie ma.

Libby przetrawiała nowe informacje w milczeniu. Nie chciała palnąć niczego niestosownego. Luke miał rację – to wszystko zmieniało. No, może nie zmieniało niczego, za to wyjaśniało wiele. Jason, poczęty naprędce, w nagrodę za pospieszenie przez Donalda z dżentelmeńską odsieczą. Luke, tykająca bomba zegarowa nieodpowiedzialności. I Margaret, zamartwiająca się nieustannie: dziedzictwem Luke’a, własnym charakterem. Może nawet ewentualnością, że pewnego dnia Donald wypomni jej, co dla niej zrobił.

– Margaret wie, że ty wiesz? Albo Jason?

Luke pokręcił głową.

– Nie. Żadne z nich nie ma o tym pojęcia. Dałem słowo tacie. Przez pewien czas byłem na nią zły, że kłamała w tak ważnej sprawie, a mnie surowo karała za głupie nastoletnie wybryki, ale z biegiem czasu zrozumiałem, dlaczego taka jest. Wszystko z powodu jednego błędu.

– Nie jesteś błędem – odparła Libby. – Dawałeś im obojgu wiele powodów do dumy. Jeśli nawet Margaret z jakichś powodów nie chce tego dostrzegać, to jestem pewna, że Donald widział na pewno.

Luke wzruszył ramionami. Nie sposób było nie dostrzec, że nie jest przyzwyczajony do pochwał.

– Sam nie wiem. Ale opowiadam ci o tym z tego samego powodu, którym wtedy kierował się tata: nie chcę, żeby wady mamy zniechęciły cię do Jasona i do hotelu. A ona cię potrzebuje. Wszyscy cię potrzebujemy. Przyrzeknij, że ta rozmowa nie wyjdzie poza ten pokój.

– Oczywiście, ale... – Libby odwróciła dłonie wnętrzem do góry. – Czy zamiatanie tego pod dywan jest zdrowe? Rozumiem, dlaczego Margaret wstydziła się te trzydzieści kilka lat temu, ale czy teraz to ważne? Długofalowe skutki są o wiele gorsze. Jason nie potrafi sobie poradzić z porażką, ponieważ Margaret zawsze traktowała go jak nieomylnego, pozbawionego wad księcia. Wiesz, że dopiero po trzech dniach mi powiedział, że go wylali? Wychodził z domu, ubrany w garnitur, i szedł do kumpli, zamiast ze mną porozmawiać. Z własną żoną.

– Żartujesz – powiedział Luke z niedowierzaniem.

– Chciałabym. – To bolało niemal dotkliwiej niż znacznie poważniejsze zdrady. – Nawet nie wiem, co teraz robi. Co tydzień wpłaca pięćset funtów na konto hotelu. Powiedziałam mu, że nie chcę tych pieniędzy, jeśli znów

pochodzą z giełdy. Domyślałam się, że sponsorował hotel od lat. Sprawdziłam konta i znalazłam mnóstwo tajemniczych wpłat, zwykle raty hipoteczne.

– No, część pochodziła ode mnie. Nie mów mamie. Ona o tym nie wie. Robiłem to dla taty.

– Co? No nie... Poważnie? – Libby głośno wypuściła powietrze z płuc. – Wy naprawdę powinniście zacząć ze sobą rozmawiać.

– Wiem. Ale ta rozmowa musi pozostać między nami, dobra? Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Nawet Alice.

Luke zreflektował się, ale było już za późno.

– Nawet Alice?

Miał zamiar zaprzeczyć, ale potem potrząsnął głową, jakby to wyznanie sprawiło mu ulgę.

– Chciałem, bo Alice to jedyna osoba, która mogła mnie zrozumieć; często mówiła, jak bardzo chciałyby wiedzieć, czy odziedziczyła charakter po mamie, ale nie ma kogo zapytać. Zastanawiała się, czy bycie całkowicie samotną to błogosławieństwo, czy brzemię. Mogłem z nią rozmawiać o wszystkim. To najbardziej niezwykła kobieta, jaką w życiu spotkałem. Wiesz, nie miałem pojęcia, że odczuwam pewne emocje, dopóki ich ze mnie nie wyciągnęła. – Luke znowu potrząsnął głową. Jego usta wygięły się w mimowolnym uśmiechu. – Pewnie to dobrze, że nie pamięta niektórych głębokich i znaczących rozmów.

Zadurzenie? Wakacyjny romans? Nieważne, pomyślała Libby. Przypuszczalnie Luke'owi musiało być trudno, kiedy patrzył, jak Gethin wraca i zabiera Alice. Zwłaszcza że on sam odczuwał presję bycia przyzwoitym. Przewalczenia reputacji kobieciarza, który kradnie dziewczynę innemu.

– Alice jest niesamowita – powiedziała. – Wygląda na to, że rozumieście się doskonale. – Urwała, ale ponieważ byli wobec siebie szczerzy, dodała: – Widać wyraźnie, że nadal tak jest. Nawet jeśli ona nie potrafi sobie przypomnieć, o czym jej mówiłeś.

– Znasz to wrażenie, że już kogoś spotkałaś? Im bardziej się zastanawiasz, tym bardziej ta osoba wydaje się podobna do ciebie. I czujesz, że ją znasz. Jakbyś patrzyła w lustro. Nadajecie na tej samej częstotliwości. – Luke podniósł głowę. Twarz miał bezbronną. A w jego oczach Libby dostrzegła o wiele młodszego Luke'a. Tego, który bał się tego, kim jest. Kim może się stać. – Dziecko... Myślisz, że je zatrzyma?

Udawanie nie miało sensu. Alice mu powiedziała.

– Nie wiem. Niewykluczone, że oboje z Gethinem planowali ciążę. Ich związek trwał od jakiegoś czasu. Alice mówi, że Gethin pragnie się ustatkować. I nosi pierścioneł, który od niego dostała.

Dlaczego to powiedziałam? Libby miała ochotę się kopnąć. Chciała zapytać: „Jest twoje? Czy to możliwe?”. Ale jak mogła o to zapytać? Po tym, co jej powiedział?

– Tak się domyślałem. – Luke zacisnął wargi. – Zresztą to nie mój interes. Tak. Chcesz, żebym w czymś ci pomógł, zanim spakuję narzędzia i czule się z tobą pożegnám?

– Chyba nie wyjedziesz tak szybko?

– Robota w Surrey przez cały przyszły tydzień. Supertajna. – Postukał się po nosie.

Libby podejrzewała, że wymyślił tę robotę przed chwilą. Lecz poczuła, że musi się dostosować. Stawką była godność Luke’a.

Zamieniam się w jedną z Corcoranów, pomyślała. Proszę, nie!

– Na pewno cię nie przekonam, żebyś został na obiedzie? Jako podziękowanie za wszystko, co zrobiłeś? Miałam pozmywać po śniadaniu Tary i wypróbować dania na wynos.

Pokręcił głową.

– Muszę jechać. A poza tym doskonale sobie radzisz, prowadząc hotel w pojedynkę.

– Nic o tym nie wiem. – Libby te słowa pochlebily, ale nie zamierzała się oszukiwać. – Pomogło mi bardzo wiele osób. Nigdy nie myślałam, że coś takiego będę robić, ale... To chyba zaskoczyło mnie samą.

– W tym właśnie rzecz. Skąd wiesz, w czym jesteś dobra, zanim to zrobisz?

– Luke wstał. – Jak mówił tata: hotele to łatwizna. Prawdziwym wrzodem na tyłku są przebywający w nich ludzie.

Tak, pomyślała Libby. A mnie się udało wejść na wojenną ścieżkę z jedną osobą, która mieszka w Łabędziu na stałe.

## Rozdział 28

Kiedy Alice i Tara wróciły ze spaceru po Longhampton, podczas którego tak wychwalała zalety Libby, Jasona i społeczności wspólnie pracującej przy remoncie, że w końcu to zaczęło brzmieć, jakby drozdy pościeliły łóżka, a leśne stworzenia pomogły przy kafelkowaniu, Alice ze zdziwieniem dostrzegła Gethina czekającego na nią w samochodzie.

– Przyjechałem zabrać was obie do domu! – oznajmił, uśmiechając się szeroko do Fido.

Tara, która na początku przechadzki demonstrowała lodowaty chłód, stopniała przy drugich delikatesach i teraz była zauroczona na nowo. Gethin się przedstawił i zadał kilka słodkich pytań o kobiece czasopisma. Zanim Alice zdążyła powiedzieć Libby, że wyjeżdża, już byli w drodze.

W zamieszaniu związanym z wizytą Tary kompletnie zapomniała, że dzisiaj mają randkę.

– Wybieramy się dokądś? – zapytała, kiedy opuścili granice miasta.

– Nie masz ochoty zostać w domu? W tym tygodniu prawie cię nie widywałem.

– Przepraszam. Byliśmy bardzo zajęci.

– Wiem. – Gethin nie odrywał wzroku od szosy. – Dlatego pomyślałem, że byłoby miło spędzić spokojny wieczór we dwoje. – Ponieważ Alice milczała, dodał z większą troską: – Wyglądasz na zmęczoną. Ciężko pracowałaś. Musisz odpocząć.

– Och. – Alice ogarnęły wyrzuty sumienia. – Aż tak zmęczona nie jestem, jeśli chcesz wyjść. Wystarczy, że wypiję kawę.

– Mamy mnóstwo do nadrobienia w kwestii seriali. I jakoś nie przychodzi mi do głowy nic przyjemniejszego niż wieczór na sofie. Z tobą, pizzą, butelką cydru...

– ...i Fido – dodała.

– I Fido.

Usadowili się na skrzypiącej kanapie, z psem pośrodku, pizzą w piekarniku i sześcioma odcinkami *Homeland* przygotowanymi do odtwarzania. Alice świadomie wyrzuciła z głowy myśli o tym, co dzieje się w hotelu. Cieszyła się wieczorem. Ponieważ było miło. Spokojnie, przytulnie, cicho.

Telefon zadzwonił, kiedy Gethin włączył pierwszy odcinek. Jak zwykle poderwało go, żeby odebrać. Alice karmiła Fido pringlesami; Gethin wrócił, zanim zdążyła dwa razy poprosić sunię o podanie łapy.

– Kto dzwonił? – zapytała.

– Och, nikt. – Usiadł i objął jej plecy.

– Przecież ktoś to musiał być.

Nie potrafiła wskazać nikogo z imienia. Od powrotu do domu nie rozmawiała z kolegami Gethina z pracy. Ani z jego rodziną. On twierdził, że opowiedział matce i siostrze o tym, co się wydarzyło – wersja zredagowana: jego zdaniem nie musiały wiedzieć o kłótni – ale one ani nie zadzwoniły, ani nie przysłały Alice kart z życzeniami powrotu do zdrowia. Nic. To było dziwne, zważywszy, jak po macierzyńsku traktowała ją Margaret. Choć z drugiej strony, Gethin nie bardzo lubił rozmawiać o swojej rodzinie.

Spojrzał jakoś dziwnie.

– Dlaczego tak się przejmujesz?

– Bo pomyślałam, że może dzwoniła Libby, żeby mi powiedzieć, jak poszło z Tarą. Zaproponowałam jej kilka knajpek, do których wieczorem mogłyby pójść na kolację.

Gethin się skrzywił.

– To była Libby, tak?

– Owszem – odparł z irytacją.

– I nie chciała ze mną rozmawiać?

Również z irytacją włączył pauzę w telewizorze.

– Skoro już musisz wiedzieć, pytała, czy przyjedziesz jutro jej pomóc. A ja powiedziałem, że już coś zaplanowaliśmy.

– Dlaczego? – Alice odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Bo ona nie może oczekiwać, że kiwnie palcem, a ty polecisz.

Alice zaskoczyły zaciśnięte usta Gethina. Jego surowe spojrzenie, utkwione w ekranie.

– Och, źle zrozumiałeś Libby. To dla niej ważny weekend. Potrzebuje, żeby Tara napisała pochlebny artykuł, a wieczorem w hotelu są tylko ona, Luke i Margaret. Jasne, że chcę pomóc, jeśli o to prosi!



– Luke?

Alice usiłowała zapanować nad twarzą.

– Tak. Został na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś problemy.

Gethin przyglądał się jej przez kilka niezręcznych sekund. Potem znów odwrócił się do telewizora i lekko podkręcił głos.

– A co, jeśli i ja ciebie potrzebuję?

– Ale ty mnie nie potrzebujesz – odparła Alice, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiała frustracja. – Przecież dziesięć minut temu mówiłeś, że jutro chcesz zrobić w domu kilka napraw. To tylko ten weekend.

– Są różne rodzaje potrzeb.

– Och, Gethinie. Bardzo proszę, nie zamieniaj tego w rywalizację między tobą a moją pracą.

W tej samej chwili dręczące Alice wątpliwości zamieniły się w pewność. W żadnym razie nie mogę z nim zamieszkać, pomyślała. Skoro już teraz kłócimy się o pracę, to na pewno musieliśmy się kłócić o godziny, które spędzałam w Białym Koniu.

Gethin bez ostrzeżenia wyłączył głos w telewizorze. Na jego twarzy malował się ból.

– Bądź szczerą. Chodzi o to, że już mnie nie kochasz?

– Co takiego? Nie!

Słowa opuściły usta bez udziału woli.

– Na pewno? Bo zachowujesz się, jakby ci na mnie nie zależało. – Oczy miał smutne, ale był w nich także niepokojący gniew, który obudził w Alice strach.

– Potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy spotykasz kogoś, na kogo czekałaś przez całe życie, a potem, po zaledwie kilkutygodniowej rozłące, ten ktoś sprawia wrażenie, że cię w ogóle nie zna?

– Ja...

– Przepraszam, jeśli zabrzmiało to nieprzyjemnie, ale łamiesz mi serce. – Gethin skulił się; robił wrażenie, że z wysiłkiem panuje nad emocjami. – Ze wszystkich sił próbuję ci pomóc, żebyś sobie wszystko przypomniała, ale zaczynam odnosić wrażenie, że wcale tego nie chcesz.

Jak to możliwe, że od smutku tak szybko przeszedł do zdenerwowania? Alice spanikowała. Co jej umyka? Co takiego powiedziała?

– Proszę, nie mów tak.

Gethin był przygnębiony.

– Wiesz, że nie oszukam cię jak ci inni faceci. Nie musisz traktować mnie

źle, żeby cokolwiek udowadniać. Ja taki nie jestem. Mówiłaś, że dzięki mnie zrozumiałaś, czym jest miłość. W głowie mi się nie mieści, że to minęło ot tak.

To chodziło o nią, nie o niego. Alice się wzdrygnęła; w przeszłości nie była aniołem i nie chciała taka być. Samotna, zbyt chętnie obdarzająca zaufaniem, przechodząca od jednego rozczarowania do drugiego. Gethin ją od tego powstrzymał. Wiedziała o tym nie tylko z jego słów. To było w jego twarzy. On ją kochał. A ona w przeszłości kochała jego.

– Nie mówię, że cię uratowałem. Uratowaliśmy się wzajemnie – ciągnął. – Byłem w fatalnym stanie, kiedy się spotkaliśmy, najgorszym w całym moim życiu. Miałem ataki paniki, brałem antydepresanty. Ty to zmieniłaś. Nie wiem, co by teraz ze mną było, gdybyśmy się nie poznali. Poważnie.

– Nawet tak nie mów – szepnęła Alice.

Gethin ujął jej sztywne dłonie. Alice mu na to pozwoliła. To wydawało się łatwiejsze niż znalezienie odpowiednich słów.

– Czuję się okropnie, mówiąc ci takie rzeczy, bo to nie pasuje do człowieka, którym jestem teraz, i nie chcę, żebyś wzięła mnie za jakiegoś świra. Ale musisz zrozumieć, jak bycie razem zmieniło nas oboje. A wiesz dlaczego? Ponieważ jesteśmy dla siebie stworzeni. Życie bez ciebie byłoby... Nie chciałbym wracać do tamtego okresu. Nie mógłbym.

– Tak to już na pewno nie mów. – Alice usiłowała nadać głosowi lżejszy ton, ale Gethin wciąż się w nią wpatrywał. Jakby nie chciał mówić o czymś strasznym, a równocześnie zależało mu, żeby sobie o tym przypomniawszy.

Milczenie się przedłużało, a po skórze Alice przebiegł zimny dreszcz. Czuła się tak, jakby Gethin w jej ręce składał całe swoje życie. Ta odpowiedzialność ją paraliżowała.

Siedziała skamieniała od paniki, aż swobodniejszy, bardziej znajomy uśmiech rozjaśnił jego oczy.

– Dość już o tym. Dość rozmowy o smutnych rzeczach w piątkowy wieczór! Nie po to tu wróciłaś, prawda?

Alice już chciała odpowiedzieć: „Ja tu nie wróciłam”, tyle że język nie chciał jej słuchać. Nie powie tego, kiedy on tak na nią patrzy. Milczała zatem.

Twarz Gethina zmieniła się nieznacznie. Jakby odniósł małe, acz ważne zwycięstwo, chociaż nie miał zamiaru robić wokół tego szumu.

– Przynieść ci coś do picia? – zapytał, spoglądając na pustą szklanekę. – Mogę zrobić to teraz, skoro włączyłem pauzę. A przy okazji sprawdzę, co z pizzą.

– Mhm. Tak. Proszę – odparła Alice. – Muszę do toalety. Nie zaczynaj beze mnie.

Na piętrze zamknęła się w łazience i wybrała numer do hotelu. Znajomy głos Libby dodał jej otuchy.

– Libby, to ja. Alice.

– Och! – W głosie Libby brzmiało zaskoczenie. – Przepraszam, że zadzwoniłam wcześniej! Gethin dał mi do zrozumienia, że przeszkodziłam wam... No wiesz. W łóżku! Przepraszam!

Na samą myśl Alice pobladła.

– Boże, nie! My tylko oglądaliśmy *Homeland*. Przykro mi z powodu jutra. Mogę przyjechać.

– Nie przejmuj się. Nie chodzi o to, że mamy mnóstwo zajęć. Zależało mi raczej na twoich radach – westchnęła Libby. – I nic nie mów, bo nie zamierzam cię odrywać od romantycznej randki.

Im dłużej Libby mówiła, tym wyraźniejsze było w jej głosie napięcie.

– Co się dzieje? Chodzi o Tarę? Kiedy wyjeżdżałam, wyglądała na zadowoloną.

– Nie wiem, co jej powiedziałaś, ale zadziałało. Teraz bierze kąpiel. Na kolację idziemy do tej nowej knajpki z burgerami – mówiła zniechęcona i znużona Libby. – Ja... Dzisiaj znowu pokłóciłam się z Margaret. Luke wyjechał, a ja muszę porozmawiać z Jasonem, ale nie odbiera telefonu.

– Więc napisz esemesa. Życie jest krótkie. Jutro może potrącić cię samochód i stracisz pamięć. Uporządkuj sprawy.

Alice nastawiła uszu. Czy po schodach idzie Gethin?

– Ale czy powinnam, skoro on nie chce się kontaktować?

– Libby, on jest dumny. Wie, że spieprzył i zostawił cię z tym bałaganem. Po prostu mu napisz, że musicie porozmawiać. A potem pogódź się z Margeret. – Alice mówiła szybko, żeby zdążyć ze wszystkim, zanim usłyszy ją Gethin. – Ona też jest bardzo nieszczęśliwa. I dumna. Można się domyślić, po kim Jason to ma.

– U ciebie wszystko w porządku? Wydajesz się zestresowana.

– W porządku.

– Alice? – zawołał Gethin z dołu. – Alice, kończysz? Pizza jest gotowa!

– Naprawdę? Bo z twojego głosu to jakoś nie wynika.

Alice przyłapała w lustrze swoje odbicie. Nie przypominała samej siebie. Była rozedrgana i blada.

Cholera jasna, co ja wyprawiam? W tajemnicy dzwonię do przyjaciółki i martwię się, co sobie o tym pomyśli Gethin? Kim ja właściwie jestem? Kim byłam?

Co mam zrobić?

– Alice? – powiedziała Libby, ale w tej samej chwili Gethin zawołał ponownie.

Wrażenie, że goni ją czas, odebrało Alice siły. Pragnęła udzielić zdecydowanej i przekonującej odpowiedzi na własne pytanie, ale w głowie miała zamęt, którego nie było, gdy po południu wychodziła z Łabędzia.

– Muszę kończyć. Do zobaczenia w poniedziałek – zdołała wykrztusić i przerwała połączenie.

W hotelowym biurze Libby wpatrywała się w telefon i zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście przerwała Gethinowi i Alice łóżkowe igraszki. Głos Alice brzmiał bardzo dziwnie.

Ale przyjaciółka miała rację. Życie jest zbyt krótkie, żeby czekać, aż Jason zrobi pierwszy krok. To może trwać miesiącami, a Libby przestała mieć ochotę na gierki. Po tym, co opowiedział jej Luke o dzieciństwie, reakcja Jasona na porażkę stała się zrozumiała. Nic dziwnego, że wpadał w dołek, kiedy rozczarowywał innych, skoro przez całe życie musiał spełniać ambicje Margaret i zachowywać się nieskazitelnie. To równie okrutne brzemię dla dziecka, jak niesprawiedliwe obawy o kompas moralny drugiego syna.

Zanim Libby zdążyła zmienić zdanie, napisała: „Chcę się spotkać. Musimy to wyjaśnić. Proponuję lunch w niedzielę”, i nacisnęła klawisz „wyślij”.

Przez pięć minut gapiała się na komórkę, ale nie dostała odpowiedzi. Posprzątała biuro. Nic. Cztery godziny później, kiedy wróciły z Tarą Brady z kolacji, pościeliła łóżka, dała terierce Mitzi psiego herbatnika na dobranoc i sama się położyła, Jason wreszcie odpowiedział. „Okej. Spotkajmy się w połowie drogi, lunch w niedzielę. Zarezerwuję gdzieś stolik”.

Libby już miała wystukać: „Dlaczego nie w hotelu?”, ale uświadomiła sobie, że to bez znaczenia. Po prostu chciała się z nim zobaczyć.

Minęły trzy tygodnie, odkąd Jason wymaszerował z Łabędzia, nie oglądając

się za siebie. Jadąc do pubu położonego w połowie drogi między Londynem a Longhampton, Libby dręczyła się myślami, co jej mąż robił w Londynie, kiedy ona pracowała do późnej nocy. Wychodził na miasto? Upijał się ze Stevenem? Flirtował z kobietami, które nie suszyły mu głowy o VAT?

Kiedy jednak wszedł do pubu Wheatsheaf, jej serce podskoczyło – najpierw z ulgi na jego widok, pomimo tego wszystkiego, co się stało, a później z troski.

Wydawało się, że w ciągu tych kilku tygodni Jason postarzał się o lata. Sztruksowa marynarka była o rozmiar za duża, proste włosy utraciły zdrową gęstość, w oczach malował się większy smutek niż u lorda Boba; były też bardziej przymknięte i przekrwione. Libby musiała zwalczyć impuls, żeby go przytulić.

– Powinieneś być przyjechać do Łabędzia – powiedziała, niezdolna ukryć niepokoju, kiedy wrócił do stolika z drinkami. – Zrobiłabym ci porządne śniadanie. Steven cię nie karmi?

– Niewiele śpiam. – Potarł dłonią brodę. Jason zawsze starannie się golił; kilkudniowy zarost raził Libby. – Jem też nie za dużo.

– Och, rozumiem. Jak za kawalerskich czasów. – Zamierzała powiedzieć to lekko, ale zabrzmiało źle, więc się skrzywiła.

– Nie zaczynaj – odparł Jason.

To, że nie chciał się kłócić, zmroziło ją bardziej niż ewentualna poirytowana riposta. Jason sprawiał wrażenie tak bardzo przybitego, że nie było sensu pytać, czy jest mu przykro. Miał to wypisane na twarzy. Libby oczekiwała oporu, odrobiny dawnej postawy „wszyscy inni się mylą”, ale na próżno. Było całkiem odwrotnie.

– Dlaczego nie chciałeś się spotkać w hotelu? – usłyszała w swoim głosie wesołą pozytywną nutę. Jak u mamy, kiedy łagodziła rany zadane przez rozżłoszczonego tatę. – Wygląda rewelacyjnie. Wiesz, że na ten weekend przyjechała dziennikarka? Myślę, że się jej podobało. Ale i tak nie puszczam kciuków.

– Wiem. Widziałem stronę internetową. – Jason zdobył się na uśmiech. – Wykonałaś świetną robotę. Doskonale sobie radzisz beze mnie.

– Wiesz, to nie tylko moja zasługa. To niesamowite, jak ludzie nam pomogli. – Libby mówiła poważnie. Czasami, kiedy padała z nóg, na myśl o spontanicznych pomysłach Giny i cierpliwości, z jaką Lorcan pracował po godzinach, chciało się jej płakać. – Wszyscy stanęli murem za nami i za hotelem. Powinniśmy ich byli poprosić o pomoc wiele miesięcy temu.

– A mama? Szorowała podłogi i czyściła sztućce?

Libby nabrała powietrza w płuca i zaraz je wypuściła. Skoro Jason nie wie nic o planach Margaret, to przynajmniej nie prowadzą miłych matczyno-synowskich pogawędek za jej plecami.

– Nie, właściwie nie. W piątek sprowadziła agenta nieruchomości. Mówi o sprzedaży.

– Żartujesz. – Jason znieruchomiał ze szklanką radlera w połowie drogi do ust. – Ale ten hotel to dzieło życia jej i taty!

– Najwyraźniej już nie. Ja go zniszczyłam. Tylko twoja nieobecność powstrzymuje ją od złożenia oferty sprzedaży. – Libby zebrała się w sobie. Musiała teraz powiedzieć parę przykrych słów. – To, że nie mamy pojęcia, co się z tobą dzieje, nie pomaga ani mnie, ani Margaret.

Odstawił szklankę. Wyraźnie zamierzał przyjąć pozycję obronną.

– Och, nie zaczynaj...

– Muszę, Jasonie. Ode mnie zależą ludzie. Mamy rezerwacje pokoi, musimy zapłacić dostawcom, ustalić dyżury. Muszę wiedzieć, co robisz. Nawet nie wiem, czy pracujesz. Tak?

– Rozmawiam. Wiesz, badam grunt. To skomplikowane.

Rozmyślnie unikał odpowiedzi wprost i to zirytowało Libby. To nie była pora na snobistyczny wybór „właściwej” firmy albo pracy, która jest go godna.

– Po prostu powiedz, co się dzieje. Doceniam pieniądze, które mi przysyłasz, Jasonie, ale się martwię. Boję się, że wróciłeś do... – umilkła.

Patrzyła na niego, dławiąc się słowami, których nie chciała wypowiadać na głos.

Jak do tego doszło? Od cudownych weekendów w luksusowych paryskich hotelach do pełnych napięcia rozmów w anonimowych pubach – i to w niecały rok? Jeszcze miesiąc temu opijali nowy początek u Ferrariego, nadal potrafiąc za siebie kończyć zdania i czytać w myślach, teraz natomiast Libby nie miała pojęcia, co się dzieje w głowie Jasona. Jego izolacja sprawiła, że stał się obcy.

Perspektywa przyszłości bez jej złotego, pełnego zalet męża nagle wydała się Libby bardzo realna. Zaparło jej dech w piersiach. Ich drogi się rozchodzą. Będą żyć, starzeć się, oglądać różne rzeczy – bez siebie! Spotykać innych ludzi. Tych kilka wspólnych szczęśliwych lat rozpłynie się w przeszłości.

Patrzyli na siebie, znużeni lodowatym chłodem swoich myśli. Wreszcie

pierwszy odezwał się Jason.

– Tak mi przykro, Lib. Spieprzyłem. – Wyglądał na zagubionego, jakby wciąż nie potrafił uwierzyć, że tak się stało. – Miałem tylko zarobić dla nas trochę pieniędzy, a spieprzyłem.

– Każdy raz czy dwa pieprzy sprawy. To ludzkie. – Wyciągnęła rękę po jego dłoń.

Jason pokręcił głową.

– Ale ja robiłem głupie rzeczy. Jak z pieniędzmi na remont.

– Co z nimi zrobiłeś?

– Nigdy, od samego początku, nie było ich tak dużo, jak myślałem. Kiedy zapłaciliśmy notariuszowi i firmie przeprowadzkowej, uregulowaliśmy rachunki... Suma ciągle malała. Przy każdym sprawdzeniu konta pięć tysięcy mniej. Ale to ja namówiłem cię na hotel i wydawało mi się, że do przodu pozwala ci iść wyłącznie wiara, że mamy te pieniądze. Nie mogłem ci powiedzieć. Miałem zamiar przeprowadzić kilka szybkich transakcji i uzupełnić braki, zanim się zorientujesz. Może nawet podwoić kwotę. – Przycisnął głowę do jej ręki. – Ale ciągle to odkładałem. Potem zacząłem się denerwować i kilka transakcji zawałem. A jak raz wypadniesz z rytmu... – Jason zawiesił głos. – I jeszcze sprawa taty. Ciągle myślałem, żeby z nim pogadać, a potem przypominałem sobie, że już go nie ma. A to... Sam nie wiem. Powinienem być z tobą porozmawiać, tyle że nie mogłem. Byłaś taka wyrozumiała. Nie mogłem cię zawieść po raz kolejny.

– Och, Jase. – Libby ścisnęło się serce. Jasne, on też był w żałobie! Rzecz o wiele ważniejsza od pieniędzy. Dlaczego ona tego nie zauważyła? Dlaczego pozwoliła, żeby panika związana z jego pracą oślepiła ją na to, co skrywa jej mąż? – Czemu nic mi nie powiedziałaś? Wiesz, że wtedy nie wydałabym tylu pieniędzy na prysznic i wanny.

Potarła oczy; ostatnie tygodnie, kiedy wstawiała wcześniej i kładła się późno, wykończyły ją. W ostatecznym rozrachunku to nie miało znaczenia. Jakimś sposobem hotel został wyremontowany, a w dodatku zyskał dwa razy więcej charakteru mimo ograniczenia się do połowy pierwotnego budżetu. – Nie obwiniam cię za tę sytuację. Powinnam być uważniejsza.

– Dlaczego? – zapytał z goryczą. – To był mój obowiązek. Pilnowanie finansów.

– A dajże spokój! W żadnej innej dziedzinie nie dzieliliśmy się obowiązkami. Razem ścieliliśmy łóżka, pamiętasz? Oboje wynosiliśmy

śmieci. Odpowiedzialność za pieniądze nie spada wyłącznie na ciebie. Powinnam była zapytać.

– Przestań być taka miła – powiedział Jason. – To wcale nie poprawia mi samopoczucia.

– Nie próbuję poprawić ci samopoczucia. Chodzi mi wyłącznie o to, żebyś przestał uzalać się nad sobą. Teraz nie ma na to czasu.

Okręcił szklankę na podkładce.

– Rozglądam się po domu Stevena i myślę: „Mieliśmy to”. A teraz nie mamy. I to ja zniszczyłem tamto życie.

– I co z tego? To było urocze, wiesz, dom, luksusy i pieniądze, ale... – Libby usiłowała go skłonić, żeby na nią spojrzeł. – Jasonie, nie jestem osobą, której zależy na markach. To był wyłącznie temat do rozmów. No, może brak mi wyjazdów i wspólnego odkrywania nowych miejsc. Może też dobrego ginu. I taksówek. Ale za torebkami nie tęsknię.

Przelotny, pozbawiony wesołości uśmiech był raczej potwierdzeniem jej wysiłków niż znakiem, że Jason jej uwierzył.

– Zdrowie! Ale ja mówię o naszym małżeństwie. Zniszczyłem je.

Jason popadał w ckliwość, a to kojarzyło się Libby z Margaret. Ironia losu. Jemu jest trudniej, bo spadł z wysokiego konia, pomyślała. Nigdy dotąd nie musiał się podnosić. Szok porażki był dla niego nowością.

– To mogłoby zniszczyć nasze małżeństwo. – odparła – Gdybyśmy rzucili ręczniki na ring i na to pozwolili. Ale tego nie zrobiliśmy, prawda? Wybraliśmy inne wyjście. Wspólne działanie. – Wyciągnęła rękę ponad stołem, rozpaczliwie pragnąc powrotu dawnego zarozumiałego Jasona. Nigdy nie widziała, żeby tak się nad sobą rozczulał, żeby był taki niepewny. – Skąd ludzie wiedzą, jak silne jest ich małżeństwo, jeśli nigdy nie poddają go próbie? My to robimy teraz. Rozpadnie się dopiero wtedy, gdy jedno z nas zrezygnuje. – Libby umikła, uświadamiając sobie, że posunęła się za daleko. Tak daleko, że choć bardzo nie chciała, musiała zapytać: – Chyba że... Ty nie masz zamiaru zrezygnować, prawda?

Jason unikał jej oczu, a ona poczuła skurcz w piersi. Nie mów tego! – błagała w myślach. Proszę, nie mów tego.

– Przestałem wiedzieć, czego chcę – odparł cicho. – Ale ty zasługujesz na coś lepszego.

– Dzięki. Pozwolisz jednak, że ja to ocenię?

Zwiesił głowę.



– Nie jestem mężczyzną, za którego wyszłaś za mąż. – Libby pomyślała, że gdyby nie wyglądał na tak przybitego, potrząsnęłyby nim. – Sam siebie nie poznaję. Robię rzeczy, o których nigdy bym nawet nie pomyślał. To kurewsko dziwne. Przerazające.

– Wiem. Ale takie jest życie. Nie masz pojęcia, jakim jesteś człowiekiem, dopóki nie musisz nim być. Posłuchaj, poprosiłam Erin o pożyczkę. Z dostawcą kafelków wynegocjowałam połowę pierwotnej ceny. Nawet twojej mamie nagadałam do słuchu.

Jason spojrział zaskoczony.

– Po tym, jak wykręciła numer z agentem nieruchomości w piątek. – Libby czuła, że jej policzki zalewa rumieniec. – Nie mogłam puścić tego płazem. Od twojego wyjazdu była niemożliwa. O wszystko miała do mnie pretensje. Twierdziła, że to ja cię wypędziłam. Że to wszystko moja wina.

Słuchając własnych słów, Libby kuliła się z żalu. Zaatakowała kobietę w żałobie, wciąż niepotrafiącą się odnaleźć bez męża, który był całym jej życiem. Muszę ją przeprosić, pomyślała. Naprawdę. A równocześnie głos w jej głowie zauważył, że wszystko to, co powiedziała, było prawdą i że może czas najwyższy na szczerłość. Jak inaczej ta uparta rodzina zaleczy swoje rany? Były jak wilgoć i pęknięcia w ścianach, które można naprawić dopiero po zerwaniu tapet. A Libby gorąco pragnęła, żeby Corcoranowie naprawili swoje pęknięcia. Wiedziała, że to pragnienie podziela Luke i w głębi serca także Margaret.

– O Boże! – westchnął wstrząśnięty Jason. – A mama co na to?

– Że nie mam prawa tak do niej mówić i że doprowadziłam jej hotel do ruiny. – Libby przygryzła wargę. – Oczywiście, przeproszę ją, choć mówiłam szczerze.

Nie była pewna, czy Jason nie stanie po stronie matki, on jednak milczał. Schował głowę w dłoniach.

– Czuję, że ją także zawiodłem – powiedział niewyraźnie. – I tatę. – Przy ostatnim słowie głos mu się załamał.

Libby boleśnie zapagnęła go objąć.

– Zawodisz go, uciekając. Jesteś człowiekiem, popełniasz błędy. Wróc. Napraw sytuację. Tego od ciebie chciałby ojciec. Jesteś mi potrzebny. Wszystkim nam jesteś potrzebny, Jasonie.

– Naprawdę? Ty wzięłaś na siebie całą ciężką pracę. Ja nie potrafiłem nawet utrzymać ksiąg w porządku. Luke bardziej ci pomógł niż ja. Tylko sprawiałem

kłopoty.

Libby zamknęła oczy i dołożyła starań, by jej głos zabrzmiał spokojnie.

– Mam ci powiedzieć, czego potrzebuję? – zapytała. – Potrzebuję męża, który się stara. Jest taki, jak mówi, że jest. Który chce ze mną dzielić życie. O nic więcej nie proszę. Ty spełniasz te warunki. Jasonie, wiem, że tu nie chodzi wyłącznie o pieniądze. A poza tym przyrzekłam, że będę przy tobie na dobre i złe, pamiętasz? Razem możemy to wszystko wyprostować. Ale muszę wiedzieć, na czym stoję, jeśli chodzi o ciebie.

Zapadło milczenie.

– Sam nie wiem, na czym stoję, jeśli chodzi o mnie – odezwał się wreszcie Jason. – To znaczy, kim jestem. Jeśli to wszystko, co myślałem o sobie, okazało się kupą bredni.

– Och, Jasonie! Nie potrafię za ciebie odpowiedzieć na to pytanie – odparła Libby, wyczerpana rozmową. – Sam musisz to zrobić.

Zgarbił się bez słowa.

Mogłabym przez następne trzy godziny przekonywać go, jak bardzo go kocham i jak mocno w niego wierzę, pomyślała Libby żałośnie, ale to nic by nie zmieniło. On jest w jakimś innym miejscu. Nie mam tu czego szukać.

Z bólem serca odsunęła krzesło.

– W samochodzie mam dla ciebie ubrania. Na wypadek gdyby ci były potrzebne. Garnitury i tak dalej.

– Już idziesz? – zapytał zgnębiony. – Nie idź jeszcze.

– Nie chcę. – Libby wpatrywała się w jego zarośniętą, zmęczoną twarz. – Ale mam mnóstwo roboty. Trzeba wiele rzeczy przygotować na otwarcie.

I dla kogo to robię? – pomyślała. Dla niego? Jego matki? Dla siebie? Dla banku?

Była tak bardzo zafiksowana na skończeniu remontu, a potem na wizycie Tary, że nie wybiegała myślą poza te terminy. Teraz jednak stanęły jej przed oczami realia życia w hotelu. Radość wyparowała, pozostały nudne codzienne obowiązki, konieczność wstawania z budzikiem, smażenia jajek, załatwiania rachunków. Ciężka, ciężka praca, a nie optymistyczne wspólne przedsięwzięcie. A czego ona pragnie? Po raz pierwszy Libby zadała sobie pytanie, czy Margaret nie ma racji, chcąc sprzedać Łabędzia, który nie był już hotelem, prowadzonym z Donaldem. Niewykluczone, że nie będzie także tym, który poprowadzą Libby i Jason.

Gdyby go sprzedali i podzielili się pieniędzmi, dokąd miałabym się udać,

żeby w pojedynkę zacząć od nowa?

Libby wypełnił strach i niespodziewanie, w przebłysku jasności zrozumiała, co musiała czuć Alice, kiedy jej pamięć była pustą kartą. Oślepiąca, ale zmuszona iść w cichą, bezkształtną przyszłość.

– Proszę – powtórzył Jason.

Libby usiadła, bardziej dlatego, że ogarnął ją głęboki smutek. Kiedy Jason uśmiechnął się z ulgą, zabolęło ją serce.

– Urządzamy przyjęcie z okazji zakończenia remontu – powiedziała. – W następny weekend. To chyba dość czasu, żebyś uporządkował myśli? Zawsze pracowałeś najskuteczniej pod presją terminu.

Jason patrzył na nią, zacisnąwszy usta. Nie zgodził się, ale i nie odmówił.

– To nasza przyszłość, Jasonie. Nie tylko twoja, moja też. Jeśli mnie kochasz, przynajmniej się nad tym zastanów. – Ostatnia desperacka próba. Libby zmusiła się do uśmiechu. – Mogę powiedzieć Margaret, że będziesz na przyjęciu?

Wziął głęboki wdech. Libby w jego twarzy szukała tamtego mężczyzny, w którym się zakochała. Tego z drugiego końca wagonu.

Słoneczna poświata pewności siebie, przebijająca się przed tanie, pachnące kawą garnitury. Gładka skóra, o której dotykaniu i pieszczaniu fantazjowała. Uśmiech.

– Wiesz, że cię kocham, Libby – odparł.

Ale to nie była odpowiedź na jej pytanie.

## Rozdział 29

Wróciwszy o piątej po południu do hotelu, Libby nie zastała nikogo w recepcji. Chociaż teraz było tu pięknie, bo dywanu w czarno-zieloną kratę nie uzupełniała szalona czerwona tapeta, a świeżo wyczyszczony kamienny kominek w holu sugerował zimową przytulność, Libby nie potrafiła wzbudzić w sobie entuzjazmu, na jaki zasługiwało to miejsce.

Mogła myśleć wyłącznie o tym, czy oboje z Jasonem będą tu w Boże Narodzenie, żeby podziwiać ogień trzaskający w kominku. Naprawdę nie miała pojęcia, co planuje jej mąż. I to bolało ją najbardziej – ten nieznajomy siedzący naprzeciwko. To, że nie wiedziała, o czym on myśli, że nie była w stanie do niego dotrzeć.

Wpatrywała się w swoje mgliste odbicie w ciemnym wypolerowanym blacie recepcji i cierpiała. Nie walczyła z bólem. Nie potrafiła znaleźć słów na określenie tego, co czuje, kiedy smutek sprawiał, że całe ciało miała jak z ołowiu.

Nie zatrzymuj się, działaj! powiedziała sobie, idąc do biura. Trzeba wysłać ogłoszenie do gazety o otwarciu w następny weekend i mejle do gości, uaktualnić stronę internetową, wkleić piękne zdjęcia zrobione przez Nicka, męża Giny. Tak żeby każdy mógł zobaczyć, jaką transformację dzięki ich wysiłkom przeszedł hotel.

Libby musiała także przeprosić Margaret.

Nie miała na to specjalnej ochoty, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Zachowała się wrednie, a przecież wredna nie była. Niezależnie od przeszkód, jakie życie rzucało jej pod nogi.

Jej wzrok padł na kaszmirowy sweter Jasona. Kupiła mu go pod choinkę kilka lat temu, kiedy przez mniej więcej trzy tygodnie grał w golfa. Podniosła sweter z podłogi, wspominając, jak śmiali się z idiotycznych zasad panujących w klubie i jak około lutego dał sobie z golfem spokój. Ponieważ była sama, opadła na fotel i położyła nogi na biurku, wtulając nos w miękką dzianinę.

Łakomie wciągnęła w nozdrza zapach Jasona i przeniosła się do ich przestronnego salonu. Do dawnego łóżka, do świata wspomnień, których utraty nie potrafiłaby znieść.

Usłyszała cichy szum przesuwanego się po dywanie skrzydła drzwi, ale nie odwróciła głowy. Odgłos brzmiał jak ukradkowa złodziejska wyprawa lorda Boba po herbatniki. Na tyle ukradkowa, na ile potrafi skradać się trzydziestokilogramowy basset.

– Bob, nie jestem w nastroju – mruknęła. – Jeśli szukasz ciasteczek, idź zawracać głowę Margaret.

Rozległ się bardzo nie psi kaszel i Libby poderwała się, omal nie spadając z fotela.

– Elizabeth, czy to dobra pora na rozmowę? – Margaret zadzierała głowę z determinacją, której Libby nie znała, dopóki nie wprowadziła się do Łabędzia, a teraz znała aż nazbyt dobrze.

Wielkie nieba! – pomyślała. Albo każe mi się wynosić, albo wygłosi te swoje nieprzeprasające przeprosiny, w których jest tak świetna. A może dzwonił do niej Jason?

– Jasne, że tak. Wejdz – odparła, czując się niezręcznie, że zaprasza Margaret do jej własnego biura.

Teściowa weszła i usiadła na tym samym krześle, które kilka dni temu zajmował Luke; oboje przysiadali na krawędzi, w ten sam czujny sposób. Libby usiłowała nie myśleć o tym, o czym opowiedział jej Luke, ale stwierdziła, że nie potrafi nie doszukiwać się w twarzy Margaret śladów tamtej historii. Młoda, śliczna, zadziorna kobieta wydawała się kompletnie inną osobą niż ta spięta, wyblakła i samotna dama po drugiej stronie biurka. Ale ta obecna Margaret nie miała też wiele wspólnego z wielkoduszną, miłą kobietą o okrągłych policzkach, nieustannie robiącą wokół wszystkiego mnóstwo szumu, która witała ich w każde Boże Narodzenie, odkąd Libby poznała Jasona. Ona też zniknęła.

Libby zerwała się na równe nogi.

– Napijesz się kawy? Przeglądam plany na...

Margaret uniosła dłoń, jakby pragnęła mieć już za sobą to, z czym przyszła.

– Chcę cię przeprosić za przeszkodzenie w wywiadzie w piątek. To był... Okazałam brak wrażliwości. Przepraszam. Powinnam była wziąć pod uwagę sytuację. Powinnam ci podziękować za wysiłek, który włożyłaś w remont hotelu.

Przeprosiny były, choć podwazało je napięcie na twarzy.

– Podziękowania należą się Alice – odparła Libby. – Oprowadziła Tarę po mieście, opowiadając, jakim to hotel był niezwykle rodzinnym przedsięwzięciem. To znaczy, jest nadal. Zanim wyjechała, mniej lub bardziej przekonała Tarę, że wszyscy bardzo to miejsce kochamy.

Margaret wpatrywała się w biurko, a Libby zastanawiała się ze znużeniem, czy chodzi o nieobecność staroświeckich fiszek, które leżały na blacie przez dwadzieścia lat i służyły wyłącznie jako podstawki pod kubki z herbatą.

– Więc jak? Podjęłaś decyzję? O sprzedaży? – zapytała.

– Jak sama mówiłaś, ta decyzja nie należy wyłącznie do mnie, prawda? – W głosie teściowej zabrzmiała męczeńska nuta, która przypomniała Libby Jasona rozczulającego się nad sobą. To nadwerężyło jej już i tak słabnące współczucie. – Nie pełnię tutaj żadnej roli.

– Margaret, to nieprawda.

Margaret spojrzała na Libby; obie wiedziały, że to jednak prawda. Libby z wysiłkiem szukała właściwych słów, by powiedzieć: „Przestań mnie karać. Pozwól, żebym ci pomogła”, ale była zmęczona i jeśli miała być szczerą, również zraniona brakiem uznania. Pragnęła przeprosić, choć teraz nie była pewna, czy to, co powie, nie zostanie źle odczytane.

Wpatrywały się w siebie pod nienawistnym spojrzeniem przekłętego samotnego jelenia nad kominkiem.

– No tak. Powiedziałam, co miałam do powiedzenia. Teraz cię zostawię. Pewnie masz sporo spraw na głowie.

Margaret wstała i ruszyła do wyjścia. Mijając krzesło obok drzwi, na które Donald zawsze rzucał swoją tweedową marynarkę, odruchowo położyła dłoń na jego oparciu.

Czułość tego gestu przeszła serce Libby.

Ile razy Margaret siadała w tym biurze naprzeciwko męża i oboje władali swoim królestwem, na pamięć znając rozkład dnia? Goście przychodzili i odchodzili, a oni zaczęli i kończyli dzień razem – te tysiące porannych kaw, tysiące idealnych śniadań Donalda, tysiące pocałunków na dobranoc. Teraz ten rozkład dnia się zmieniał. Donald odszedł, a Margaret została sama w Łabędziu, który już nie należał do niej. Tęskniąc za dotykiem męża, jego zapachem, tweedową marynarką na krześle.

Była duchem we własnym życiu.

A Jason dramatyzował, bo w wieku trzydziestu pięciu lat stracił pracę!

– Margaret! – zawołała Libby. Kiedy teściowa się odwróciła, jej jasnoniebieskie oczy lśniły od łez. – Margaret, nie odchodź. – Zerwała się, przemierzyła odległość do drzwi dwoma susami i wyciągnęła do teściowej rękę.

Ta przez moment stała sztywna jak kamień – duma nie pozwalała jej skapitulować od razu – i Libby nie miała wyboru. Przytuliła teściową nie tylko po to, by ją pocieszyć, ale też by pocieszyć siebie. Obie zagubione, obie zdezorientowane żalem po znajomych rzeczach, które znikły w okamgnieniu.

– Przepraszam – powiedziała Libby.

Margaret drżała od powstrzymanego płaczu. Nagle wydała się mniejsza; przez wełniany sweter czuło się jej ostre i kruche kości. Ostatni rok odbił się na niej i Libby ogarnął wstyd, że nie miała dość czasu, żeby zrozumieć. Że pozwoliła, by oślepiły ją własne troski i panika, że nie dostrzegła, jak nieszczęśliwa jest Margaret. Jak coraz bardziej się kurczy pod warstwami burej wełny, jak z jej twarzy znikają kolory.

Ręce starej kobiety powoli otoczyły Libby, a głowa oparła się o ramię synowej. Margaret się zachwiała.

Stały tak w ciszy, którą mąciło jedynie tykanie zegara w kącie. Libby czuła się znużona, równocześnie młoda i stara. Ale nie była już tak samotna jak jeszcze pół godziny temu.

– Tak mi przykro, Elizabeth – odezwała się wreszcie Margaret. – Zupełnie ci nie pomagałam. Głupia stara kobieta, która we wszystkim widzi wady!

– Nie. To przecież my mieliśmy pomóc tobie – odparła Libby. – Taki był pomysł. – Odsunęła teściową na odległość ramienia, patrząc w jej smutną, poznaczoną łzami twarz. – A wcale nie pomogliśmy, prawda? Nie w sposób, który był ci potrzebny. Tylko pogorszyliśmy sprawę. Przepraszam.

Margaret westchnęła i usiadła. Wyciągnęła z rękawa małą białą chusteczkę do nosa.

– Zrobiłaś, co twoim zdaniem było najlepsze. Nie mogłaś mi zwrócić dawnego życia.

– Próbowaliśmy. Proszę, uwierz w to, Margaret. Niezależnie od tego, jak niezgrabnie się za to zabraliśmy, naprawdę próbowaliśmy. Tyle że... No, nie byliśmy w stanie wyjść poza kwestie praktyczne. Straciliśmy z oka, ile ten hotel znaczył dla ciebie.

– Mieliście własne problemy. – Zapatrzona w biurko Margaret wytarła oczy. – Dopiero kiedy mi powiedziałaś, zrozumiałam, jak naprawdę wygląda

sytuacja Jasona. Nie wiem, czy pozwoliłabym wam tak mocno inwestować, gdybym miała pojęcie...

– Chcieliśmy to zrobić. Nadal nam na tym zależy.

Margaret milczała, a Libby zadawała sobie pytanie, czy teściowa rzeczywiście zrozumiała, co zrobił Jason. Ale nie do niej należało donoszenie o jego kłamstwach. Zresztą czy Margaret uwierzyłaby, nawet gdyby Libby je ujawniła?

Libby niemal to nie obchodziło. Ważne było, co teraz robi Jason.

– Tak mi przykro z powodu Donalda – powiedziała cicho. – Często żałuję, że go tu nie ma. Że nie mogę poprosić go o radę czy po prostu usłyszeć, jak mi mówi, że coś, czym się przejmuję, w gruncie rzeczy nie jest ważne. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo musisz za nim tęsknić.

Margaret, na poły uśmiechnięta, na poły smutna, patrzyła na szafkę z dokumentami, jakby na niej, jak na ekranie kinowym, wyświetlały się dawno minione niedzielne popołudnia.

– To zabawne. Na co dzień radzę sobie sama. Zawsze sobie radziłam – powiedziała. – Ale brakuje mi kogoś, z kim mogłabym porozmawiać w ogrodzie. Kogoś, kto zauważy, że mam nową fryzurę. – Spojrzała na Libby. – Kogoś, kto mi powie, że jestem głupią staruchą. Jak w miniony weekend.

– Nie jesteś...

Margaret utkwiała w synowej znajome świdrujące spojrzenie.

– Donald wziąłby mnie na bok i zapytał, co właściwie mnie ugryzło. A urządzając ten cyrk z agentem, chcę pokazać, że niby to mnie nie obchodzi?

– Zatem co?

Libby przygotowała się, że zaraz usłyszy o wnukach albo o konieczności wspierania Jasona w kłopotach.

Zaskoczyła ją melancholia w głosie teściowej.

– Kiedy cię zobaczyłam w recepcji, poczułam się tak, jakby mnie nigdy tam nie było. W tak naturalny sposób przejęłaś moje obowiązki! Odciskasz na hotelu własne piętno i to jest w porządku, skoro zapłaciliście za niego i go wyremontowaliście. Nie, naprawdę, pozwól mi dokończyć. Tylko w jakiej sytuacji stawia to mnie? Przestałam być żoną. Przestałam być matką, bo chłopcy są dorośli. Myślałam, że zostanę babcią, że to mi da zajęcie, ale, hm, tak się nie stało. – Margaret wyglądała na przybitą. – A teraz na dodatek dowiedziałam się, że ponieważ oboje z Donaldem doprowadziliśmy hotel na skraj bankructwa, wy z Jasonem musicie pracować dzień i noc, żeby to



naprawić.

– No cóż, wam się to udało, choć mieliście dwoje małych dzieci... – zaczęła Libby.

Margaret jej przerwała.

– Byłam bardzo zmęczona, Elizabeth. Jeśli mam być szczerą, bardzo, ale to bardzo zmęczona. I nie miałam wyboru. Ty masz.

W jej słowach było sporo samobiczowania, jak u Jasona, ale Libby wyczuwała również siłę. Pragnienie Margaret, by odnaleźć własną tożsamość, choć tak wielki fragment jej dotychczasowego życia właśnie przestał istnieć.

– Margaret, zawsze będziesz częścią Łabędzia. To nieprawda, że tyle spraw się skończyło. Nadal jesteś żoną. Trzydziestopięcioletniego małżeństwa nie przekreśla odejście Donalda.

– To bardzo miłe, że tak mówisz.

– To nie kurtuazja. On wszędzie tu jest, począwszy od dywanu w recepcji. Zawsze kiedy widzę tę kratę, myślę o nim.

Margaret zdobyła się na uśmiech.

– I popatrz, jakiego wsparcia udzielili nam miejscowi – ciągnęła Libby. – Powodem nie byłam ja, tylko ty. Pozycja, jaką osiągnęłaś w społeczności. Gdyby ludziom na tobie nie zależało, gdyby nie chcieli, żeby hotel znów przynosił zyski, nie zaprzętałiby sobie nim głowy. Nie ulega wątpliwości, że Donald odgrywał w Longhampton ważną rolę, ale to dotyczy także ciebie, Margaret.

Mówiąc, Libby czuła, jak rośnie w niej energia. Nie chodziło tylko o to, że każde wypowiedane słowo było prawdą. Samopoczucie poprawiało jej to, że mówiła o sprawach pozytywnych, szczerych i dobrych i że na twarzy Margaret dostrzegła wdzięczność.

– To może być dla ciebie początek nowego rozdziału, teraz, kiedy ja zajmuję się smaženiem jajek. Jesteś wspaniałą organizatorką i gospodynią. Fantastycznie łączysz ludzi. Wszystkie te cechy nadal w tobie są. Pole dla twojego działania to miasto.

– Może...

– I nigdy nie przestaniesz być matką.

Libby urwała, niepewna, czy powinna mówić o spotkaniu z Jasonem i frustracji, którą wzbudził w niej mąż. Nie chciała, żeby nowe kruche porozumienie z teściową zostało zerwane kłótnią o księcia.

– No, nie wiem. – Margaret posmutniała. – Zrobiłam, co w mojej mocy,

ale...

– Luke i Jason zawsze będą cię potrzebować. Tęsknią za tatą; dlatego tak chętnie przyszli ci z pomocą. Nie, nie w tym rzecz, że sama nie dajesz rady. Oni chcą robić to samo, co ojciec. Obaj.

– Bardzo ich kocham. Moi mali synkowie...

Spojrzały sobie w oczy. Ciekawe, myślała Libby, czy Margaret jest gotowa otworzyć serce przed Lukiem? Bo jeśli chodzi o Jasona, otworzyły się jej oczy. Donald zapewne próbował ją skłonić do tego na swój delikatny sposób, ale dopóki Margaret z własnej woli nie stwierdzi, że obaj jej synowie w równej mierze mają wady i zalety, Luke i Jason na zawsze pozostaną dla niej nastolatkami. Którymi wciąż są, pod wieloma względami.

Libby pojęła, że najpierw Margaret musi wybaczyć samej sobie. To niepokodzenie się było powodem, dla którego Luke wątpił w swoją zdolność do miłości i wierności, a Jason panicznie się bał, że rozczaruje matkę. Margaret przeniosła obawy dotyczące jej samej na synów.

– To porządni ludzie. I obaj cię kochają – powiedziała. – Jednakowo.

– Wiem. Może tego nie okazuję, jak trzeba, ale też ich kocham. – Margaret umilkła. Po długiej chwili dodała: – Ciebie też. – Wyciągnęła rękę do Libby. – Te ostatnie tygodnie były strasznie trudne. Bałam się, że ciebie też stracę. Córkę, której zawsze pragnęłam.

– Och, Margaret! – W oczach zaskoczonej Libby wezbrały gorące łzy.

Margaret skinęła głową.

– Wiem, ludzie mówią, że żadna kobieta nigdy nie jest dla matki syna dość dobra, ale ja nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej synowej, Elizabeth. Jesteś miła, cierpliwa, stanęłaś przy Jasonie, kiedy...

Libby wstrzymała oddech.

Margaret odzyskała panowanie nad sobą.

– ...cię zawiódł. Nie byłam w stanie przestać myśleć o tym, co mi powiedziałaś. Zachowałam się niemądrze, lekceważąc twoje słowa. I egoistycznie. Bardzo kocham Jasona. Pewnie widzę w nim sporo cech Donalda. Niełatwo mi przyznać, że ma wady, ale... Wiesz, to okropne, że do mnie nie dzwoni. Rozczarował mnie. Nigdy, przenigdy dotąd nie przypuszczałam, że tak powiem.

– Widziałam się z nim dzisiaj – powiedziała Libby, niezdolna dłużej znosić tajemnicy. – Spotkaliśmy się pod Oksfordem, żeby pogadać.

Margaret pojaśniała.

– Naprawdę? Co u niego? Wszystko w porządku?

– W porządku, ale... – Wcale nie w porządku. Dość już ukrywania prawdy za okrągłymi słówkami! Libby zaczęła od nowa. – Jason nigdy wcześniej nie musiał radzić sobie z porażkami. Nie postrzega ich jak nieuniknionej części życia, ale się w nich przegląda. Zawiódł nas, zawiódł siebie. Zobaczył, że nie jest nieomylną istotą, wbrew temu, co wpajano mu od dzieciństwa. Myśli, że nie jest wart miłości, skoro daleko mu do ideału. – Libby przerwała na moment, by sens jej słów dotarł do Margaret. Teściowa milczała. – To dla niego punkt zwrotny – podjęła. – Jeśli zdoła się podnieść i zacząć od nowa, to podbije świat. Jeżeli jednak nadal będzie myślał, że cała jego tożsamość opiera się na byciu doskonałym, to wszyscy mamy kłopoty.

– Myślisz, że to moja wina? – W głosie Margaret zabrzmiała obronna nuta, ale Libby nie miała o to pretensji.

– Myślę, że jesteś jedyną osobą, która może go przekonać, jak bardzo bezwarunkowo jest kochany. To, czy on zrozumie, co jest stawką, i zdecyduje się zrobić ze sobą porządek, naprawdę zależy wyłącznie od niego.

„W tej chwili to najważniejsza robota do wykonania”, chciała dodać, ale zachowała tę uwagę dla siebie. Może Margaret się nie zdecyduje? Musiałyby przecież przyznać, że jej metody wychowawcze zawiodły. W jednakowym stopniu wobec obu synów.

– Kocham go ponad wszystko. Ale to ty jesteś jego matką.

Siedziały w cichym biurze, otoczone obrazami, szafkami na dokumenty i drobiazgami podarowanymi przez dawno zapomnianych gości. To było ostatnie pomieszczenie, które Libby planowała odnowić. Chociaż panował tu o wiele większy porządek niż za czasów Donalda, wciąż najbardziej przypominało dawny hotel.

– A ty? – Margaret spojrzała przenikliwie. Takiego wyrazu oczu nie miała od dawna. Nagle ujrzały się w zupełnie innym świetle. – Co ty zrobisz, jeśli Jason nie wróci?

Pytanie było otwarte, zawierało wiele możliwości. Zostanie? Odejdzie? Rozwiedzie się? Poprowadzi hotel wspólnie z Margaret?

Libby nie знаła odpowiedzi.

– Poczekajmy, co będzie – odparła z dzielnym uśmiechem.

Margaret odpowiedziała uśmiechem smutnym, ale nie tak pełnym rezygnacji, jak obawiała się jej synowa.

## Rozdział 30

Tydzień między wizytą Tary Brady a otwarciem Łabędzia minął szybciej niż którykolwiek z tych spędzonych przez Alice w hotelu do tej pory. Była zajęta od pierwszej do ostatniej chwili, organizując przyjęcie w weekend i przyjmując rezerwacje, bo strona internetowa działała i przyciągała uwagę. Każdy telefon ciągnął się w nieskończoność, ponieważ Libby nie potrafiła powstrzymać się od opisywania każdej możliwej opcji. Chciała mieć pewność, że gość zarezerwuje idealny dla siebie pokój.

– Może się panu spodobać pokój numer osiem – mówiła z entuzjazmem. – Jest stamtąd widok na ogród. Natomiast trójka ma świetny prysznic i elegancką wannę, więc jeśli ma to być romantyczny weekend...

Nagle wszystko stało się rzeczywiste. W lokalnym dzienniku ukazała się półstronicowa reklama, w której fotografia nowej recepcji sąsiadowała ze zdjęciem z albumu Doris, zapowiadająca nieformalne otwarcie w sobotę po południu i zapraszająca wszystkich chętnych do zwiedzania odnowionego Łabędzia. Alice wysłała mejle do starannie wybranych odbiorców i codziennie aktualizowała witrynę ciekawostkami. Pełna nazwa stanowiska, które zajmowała, brzmiała: główna recepcjonistka, odpowiedzialna również za media społecznościowe (czytaj: za prowadzenie oficjalnego konta lorda Boba na Twitterze). Mimo że teraz były w biurze tylko we dwie – we środę Margaret pojechała na kilka dni do siostry, żeby „pomyśleć” – w panującej atmosferze nie wyczuwało się stresu ani paniki.

W sumie więc Alice była szczęśliwa. Kroplą dziegciu w beczce miodu było to, że Gethin wręcz przeciwnie.

Nawet Libby ironicznie komentowała jego nowy zwyczaj – przyjazdy punkt piąta po Alice i Fido. Z jego punktu widzenia był to kompromis, w imię dalszej kariery Alice w hotelu, bo podobno „przysięgła mu”, że zrezygnuje z tej posady. Zaczynał się dąsać przy każdej wzmiance o pracy, upierał się, że zbyt późno został poinformowany o dniu otwartym w sobotę.

Alice już wcześniej zauważyła, że Gethin skrupulatnie planuje wszystko. Nawet dostawy z supermarketu zaznacza na ściennym kalendarzu w kuchni i nie cierpiał zmian dokonywanych w ostatniej chwili.

– Jak rozumiem, jeszcze mu nie powiedziałaś? – odezwała się Libby, kiedy siedziały w biurze w piątkowe popołudnie i składały ulotki.

Przez otwarte okna wpadał lipcowy wietrzyk, przynosząc z ogrodu aromat róż.

– O czym?

Alice nie powiedziała Gethinowi o bardzo wielu rzeczach: o komórkach, powoli łączących się w dziecko w jej brzuchu, o obawach, że nie jest kobietą, w której się zakochał, o swoich rosnących wątpliwościach co do niego. O tym, że jej myśli ciągle umykają w kierunku Luke'a. Usunęła nawet numer Luke'a z komórki, żeby powstrzymać nieustanną pokusę telefonowania.

Libby spojrzała znacząco.

– Alice, musisz mu powiedzieć. Niedługo sam się zorientuje. No i powinien wiedzieć.

Alice powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Przepraszam. Tylko że... Jakoś trudno mi uwierzyć, że to jest realne. W hotelu czuję się tak, jakbym przebywała w innym świecie. Tym sprzed wypadku.

– To trochę niesamowite.

Alice z trudem odnajdywała odpowiednie słowa.

– Fakt. Mam wrażenie, jakby Gethin znał inną wersję mnie. Tak bardzo się staram nią być, że nie jestem w stanie ruszyć do przodu. Jeśli mnie rozumiesz.

– Ale przecież jesteś, kim jesteś – odparła zaskoczona Libby. – Naprawdę w przeszłości byłaś aż tak inna?

Kochałam Gethina, pomyślała Alice, przesuwając paznokciem po zgięciu papieru, by nadać ostrość kantowi. Pisałam do niego te ckliwe, wyrażające wielką potrzebę bycia z kimś mejle, które teraz nieustannie podtyka mi pod nos. Teraz zupełnie do mnie nie pasują, ale to ja je napisałam.

– Może miłość sprawia, że stajesz się inną osobą, a kiedy mija...

Słowa zawisły w powietrzu. Alice miała nadzieję, że nie posunęła się za daleko. Jason nadal nie dawał znaku życia, Libby nie wspomniała, czy spodziewa się go na otwarciu. Alice bardzo chciałaby jakoś pomóc, Libby jednak przez większość czasu obnosiła się ze zdeterminowaną i wesołą miną, zatem wolała się nie wtrącać.

– Ale zatrzymasz dziecko? – zapytała Libby.  
Alice skinęła głową.  
– Zaczęłam z nim w brzuchu ten etap życia. Po prostu czuję, że tak trzeba. On lub ona jest teraz ze mną.  
– Nawet jeśli nie wiesz, czy zależy ci na Gethinie? – Libby zmarszczyła czoło. – To na pewno logiczne? I rozsądne? Pozostaniesz z nim związana już na zawsze.  
– Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu wiem, że to słuszne.  
Alice nie raz i nie dwa analizowała swoje instynktowne odczucia, aż zyskała całkowitą pewność. Chciała tego dziecka. To był solidny fakt dotyczący jej przyszłości.  
– W takim razie na sto procent musisz mu powiedzieć – oznajmiła stanowczo Libby.  
Alice poczuła dreszcz paniki.  
– Co znowu? – zapytała Libby.  
– Nie wydaje mi się, żeby to dobrze przyjął. Już uważa, że zachowuję się dziwnie. Myśli, że wciąż próbuję się dostosować. Gethin jest bardzo wrażliwy... Znalazłam w sypialni antydepresanty. Powiedział, że kiedyś je zażywał. Nie chcę, żeby powrócił do tego z mojego powodu.  
Nie kłamał, że „uratowała” go przed depresją. Ciekawe, co jeszcze pozostało jej do odkrycia.  
– W takim razie zrób to na raty. – W głosie Libby pojawiła się znajoma przyjacielska apodyktyczność. – Zaczynaj od tego, że masz u nas nową i bardzo odpowiedzialną pracę, co nie jest kłamstwem, i że razem z nią dostałaś mieszkanie. Musisz mieszkać w hotelu w tygodniu.  
Fala ulgi, która zalała Alice, była zaskoczeniem dla niej samej.  
– To mu się nie spodoba.  
– Próbujesz z nim zerwać, tak? – Libby spojrzała jej prosto w oczy i Alice nie mogła zaprzeczyć. Ponownie poczuła niezwykłą ulgę, gdy usłyszała, że przyjaciółka mówi o tym tak rzeczowo. – Dobrze. Zatem kiedy bezpiecznie wyprowadzisz się z domu – ciągnęła Libby – spokojnie powiesz mu o dziecku i o nadziei, że uda się wam wypracować sposób na wspólne wychowanie malca. Jako parze dobrych przyjaciół.  
– W twoich ustach brzmi to tak prosto – odparła Alice.  
Ją samą już dręczyła twarz Gethina, skonsternowana i gniewna. „Jak mogłaś mnie tak bardzo zranić”, zdawały się mówić jego wielkie łagodne oczy, „skoro

ja się tak staram, kładąc na szali własne uczucia?”.

– Bo to jest proste. – Libby przerwała składanie ulotek. – To bardzo smutne, że miałaś wypadek, ale coś się zmieniło. Nie można zmusić drugiej osoby, żeby pokochała, jeśli tego uczucia w niej nie ma. Jeśli pamięć ci wróci i przypomnisz sobie, że Gethin to miłość twojego życia, to super. Ale jeśli nie... Nawet gdybyś za niego wyszła, najprawdopodobniej byś go opuściła. Trwanie w związku nie jest nic warte, jeśli nie chce tego jedna ze stron.

Alice uśmiechnęła się smutno.

– Powiem mu po dniu otwartym.

– Powiedz mu na otwarciu – odparła Libby. – A potem tu zostaniesz. Nie urządzi sceny, a gdyby zalał się łzami, zajmie się nim Margaret. Poczęstuje herbatą i ciastem. Wiesz, że go lubi. No i nie będziesz musiała czekać na właściwy moment ani przejmować się kłopotliwą logistyką opuszczenia domu.

Alice miała nadzieję, że Libby się nie myli, nie przewidując scen. Ogarnęło ją jednak niepokojące wrażenie, że to nie pójdzie tak łatwo.

W piątkową noc Libby nie zmrużyła oka. Patrzyła, jak światło poranka wkrada się przez zasłony, które nie były tak pięknie zawieszane, jak w pokojach gości, a potem sprawdziła, czy Jason nie przysłał esemesa, którego jakimś sposobem przegapiła.

Nie przysłał.

Zamrugnęła i zmusiła się do skoncentrowania na tym, co ją czeka. Mnóstwo osób potwierdziło przyjęcie; niemal wszyscy zaproszeni. Większość na liście stanowiły kontakty Margaret, ale Libby zrobiło się miło, gdy zobaczyła nazwiska nowych przyjaciół oraz Erin i Pete'a, którzy mieli przyjechać z Londynu jako pierwsi honorowi użytkownicy apartamentu dla nowożeńców. Ludzie albo chcieli zobaczyć rezultat ich wysiłków, albo zdecydowali się w ten sposób spędzić weekend. Swoją obecność zapowiedział nawet dziennikarz z miejscowej gazety, ważne osobistości, wielu kupców namówionych przez Ginę, cały stary personel, Lorcan ze swoją ekipą. Luke zaproponował, że „załatwi” szampana, a żona Lorcana, która jak się okazało, prowadzi firmę cateringową, przygotowała przekąski. Wszystko wskazywało na to, że to będzie miły dzień.

Brakowało tylko jednej osoby. Jasona.

Na myśl o mężu Libby zakłuło w sercu.

We środę przypomniała mu o imprezie, ale nie odpowiedział na esemesa. Mało brakowało, a w piątek też wysłałaby mu przypomnienie, ale kiedy miała nacisnąć klawisz „wyslij”, do biura weszła Margaret. Wróciła właśnie z krótkiego wypadu w tak świetnym humorze i z tak niezwykle twarzą nową fryzurą, że Libby zapomniała o wiadomości.

Uśmiechnęła się na wspomnienie teściowej prezentującej w biurze włosy, poklepującej krótsze i jaśniejsze loki gestem wyrażającym skromną dumę. To był maleńki krok, ale Libby miała nadzieję, że oznacza, iż Margaret zaczyna się otrząsać ze smutku, wprawdzie nie do końca taka, jak dawniej, ale nowa. Transformacja po części była zasługą Lindy, ciotki Jasona, która uparła się, że zafunduje siostrze na otwarcie Łabędzia wizytę u swojego fryzjera.

– Jaki w tym sens, że nasz hotel wygląda ładnie, a ja jak ruina – powiedziała Margaret.

Libby kochała ją za ten „nasz”.

Później, kiedy Margaret oznajmiła, że myśli o kandydowaniu do rady miejskiej, żeby „coś zrobić z tymi okropnymi farmami wiatrowymi na wzgórzu Wergins”, Libby ją uściskała. Po prostu nie chciała głośno wiwatować.

Margaret nie wspominała ich rozmowy o Jasonie.

Kolejne pięćset funtów wylądowało na koncie, ale wiadomości nie było. Nie było esemesa. Libby poczuła niejaką pociechę, gdy Margaret powiedziała, że z nią Jason też się nie kontaktował, ale co miała zrobić? Czy to naprawdę jest koniec? Czy on nie chce dołożyć starań, żeby na nowo zacząć wspólne życie?

Leżała w łóżku, wpatrywała się w sufit i nie próbowała walczyć z mrokiem, który ją ogarniał. Trzymała go na dystans za pomocą obowiązków, list i promiennych uśmiechów, ale kiedy zostawała sama, poczucie nieszczęścia powracało. Wszystko w tym hotelu przypominało jej o Jasonie. O ich nadziejach i planach. O nowym początku, w który szczerze wierzyli. Jeśli on nie wróci...

Nie muszę się wynosić z Longhampton, pomyślała. Choć może byłoby lepiej, gdybym zaczęła własny rozdział gdzie indziej. Odkryłam w sobie nowe zalety, nawiązałam nowe przyjaźnie. Mam cel, co do tej pory było mi kompletnie obce.

Na tę myśl zrobiło jej się smutno.

Najpierw jednak muszę z sukcesem wprowadzić hotel na rynek, postanowiła. Odrzuciła kołdrę i poszła pod prysznic.



Pierwsi ciekawscy goście zajechali na zwirowany podjazd przed Łabędziem tuż po dziesiątej. Tace z maleńkimi croissantami zaczęły krążyć po recepcji.

Alice i Libby – z lordem Bobem i Fido – krążyły także, odpowiadając na pytania i rozdając wizytówki. Czuły uzasadnioną dumę, kiedy każdy tuż po przekroczeniu progu stawał jak wryty i z podziwem przyglądał się zmianom. Wszystkie członkinie klubu ogrodniczego przysłały Margaret pudła z kwiatami; aromat wiejskiego ogrodu, złożony z pachnących groszków, róż i piwonii, wypełnił powietrze, mieszając się z wonią pasty do drewna, płynu do prania dywanów, cytryn i świeżo upieczonego ciasta.

Gethin zapowiedział się w porze lunchu, bo miał „sprawy do załatwienia”, lecz Alice już czuła zdenerwowanie na myśl o rozmowie, którą musi z nim przeprowadzić. Mimo że przećwiczyła ją w głowie, wciąż się zastanawiała, czy nie popełnia błędu. Gethin potrafił być taki troskliwy, słodki i wrażliwy... Czy ona nie podejmuje decyzji pochopnie, wyłącznie w oparciu o swoją pokreconą intuicję? O hormony, które podobno robią w głowie bałagan?

Gdyby chciała być ze sobą całkowicie szczerą, to przyznałaby, że pragnie dziś widzieć tylko jedną osobę. I że jest nią Luke. Chciała z nim rozmawiać, chociaż nie miała pojęcia, co mu powie. Tuż poza zasięgiem jej rozumowania coraz solidniejszy kształt przybierała pewność, że dzisiejsze spotkanie z nim sprawi, iż wszystkie luźne myśli trafią na miejsce, jak opiłki żelaza pod wpływem magnesu. Nie miała pojęcia dlaczego, ale sama myśl o Luke’u uspokajała rój pytań brzęczących jej w głowie.

Fido doskonale sobie radziła z tłumem, choć nie miała takiego doświadczenia, jak Bob. Alice na chwilę zamknęła sunię w salonie, żeby odpoczęła, i wtedy Libby złapała ją za rękę.

– Gethin tu jest – powiedziała, głową wskazując miejsce pod wizerunkiem żałobnego jelenia.

Stał samotnie. Z nikim nie rozmawiał i nerwowo obracał w dłoni kieliszek szampana.

– Pójdiesz ze mną? – zapytała Alice.

Bardzo nie spodobał się jej ton własnego głosu.

– Oczywiście. – Libby spojrzała jej w oczy i powiedziała spokojnie: – Nie masz czego się bać, Alice. Nie zrobiłaś nic złego.

Ruszyła przodem.

Gethin zobaczył je obie i uśmiechnął się tym swoim słodkim uśmiechem proszącym „lub mnie”, a Alice natychmiast zaczęła się martwić, że Libby weźmie ją za wariatkę.

– Witaj Gethinie! – powiedziała Libby. – Jak miło, że przyszedłeś!

– Dziękuję za zaproszenie – odparł, obejmując Alice w pasie. – Wykonałaś niewiarygodną pracę. Gratulacje.

– Miałam wielkie szczęście, bo pomagało mi mnóstwo ludzi. Alice była niezastąpiona.

– Jest cudowna, prawda? – Gethin przytulił ją z dumą.

To chyba przesada, stwierdziła Alice w duchu, wzięwszy pod uwagę narzekania na jej pracę do późna i na Libby, która ją „wykorzystywała”.

– Co teraz robisz? – zapytała go Libby tonem grzecznej pogawędki. – Masz w planie jakieś tournée? Ach, sekunda, jest Luke. Muszę zamienić z nim słowo. – Pomachała do szwagra.

Alice na moment dopadła panika. Nie bądź głupia! – napomniała się natychmiast. Będzie dobrze.

Będzie dobrze.

Intuicja podpowiadała jej jednak coś innego.

Luke na tę okazję włożył garnitur. Alice zawsze widywała go w roboczym stroju albo w dzinsach; teraz wyglądał poważniej, ale też przystojnie. Jego mocno zarysowane kości policzkowe sprawiały, że wyglądał jak aktor. Garnitur był doskonale skrojony, jasnoniebieska koszula rozpięta pod szyją. Na myśl, że pod ciemnym mankietem kryje się wytatuowane jabłuszko, po skórze Alice przebiegł dreszcz.

– Witaj, Alice – powiedział.

Zastanawiała się, dlaczego jego głos brzmi tak oficjalnie, ale zobaczyła, że jego wzrok przesuwa się na Gethina.

– Luke, mam rację, że ty i Gethin się nie znacie? – zapytała Libby. – Gethin, to mój szwagier Luke. Luke, to Gethin.

Panowie wymienili niezręczny uścisk dłoni. Albo raczej, pomyślała Alice, Gethin sprawiał wrażenie spiętego, a Luke wyglądał, jakby wolał być gdzie indziej.

– Zmieniło się tutaj sporo, odkąd ostatni raz byłeś w środku, prawda, Gethinie? – powiedziała Libby.

Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale nagle twarz Libby pojaśniała na widok zbliżającej się pary.

Alice nie znała przybyłych, ale sądząc po szalenie stylowych swobodnych strojach i po tym, jak gospodyni rzuciła się ku nim, domyśliła się, że to przyjaciele z Londynu.

– Erin! – zawołała Libby, wyciągając ręce. – Erin! Udało się wam!

Kobieta odpowiedziała piskiem i wpadła w objęcia Libby, która potem wyściskała się z mężczyzną.

– Ci uroczy ludzie to moi przyjaciele, Erin i Pete. – Libby odwróciła się do Alice i pozostałych.

– Strasznie się cieszymy, że tu jesteśmy – dodała kobieta z amerykańskim akcentem.

Libby po dokonanej prezentacji przepaszająco dotknęła ramienia Alice.

– Muszę dać im coś do picia i zaprowadzić do pokoju. Później do ciebie dołączę. Napijcie się szampana!

I zostawiła Alice samą z Gethinem i Lukiem. Oraz Bobem.

– Nie ma przedstawienia bez Puncha<sup>4</sup>, co, Bob? – powiedział Luke i pochylił się, żeby poskrobać basseta po pofałdowanym łbie. – Ty jesteś prawdziwą głową rodziny, prawda?

– Słyszałeś nowinę o naszej małej rodzinie? – powiedział Gethin swobodnie, a Alice zacisnęło się gardło.

Co on przez to rozumie? Dziecko? Domyślił się? I stawia ją w kłopotliwej sytuacji w obecności Luke’a?

Dostrzegła, że Gethin patrzy na Boba. Nie, miał na myśli Fido, pomyślała z ulgą. Członkiem „ich małej rodziny” jest Fido.

Luke się wyprostował. Twarz miał wypraną z emocji. A potem się uśmiechnął, grymasem, który zupełnie nie przypominał jego zwykłego uśmiechu. Alice omal nie krzyknęła.

– Gratulacje – powiedział. – Oboje musicie się bardzo cieszyć.

– Zdrowie! Choć wcale nie jestem pewien, czy to powód do gratulacji – odparł Gethin. – To raczej jeden z tych niesamowitych zbiegów okoliczności. Prawdziwe szczęście, że Fido była w tym samym parku, w którym Alice wyprowadzała waszego psa.

– Och, przepraszam. Myślałem, że mówisz o dziecku. – Luke wodził spojrzeniem od Alice do Gethina i z powrotem.

Alice miała wrażenie, że pod jej stopami rozstępuje się podłoga.

– O jakim dziecku? – zapytał zdziwiony Gethin.

– Waszym.

Zbyt późno błysk zrozumienia przemknął przez oczy Luke'a, który zmarszczył brwi. Zbyt późno.

– Alice? – Gethin patrzył na nią, lecz ona nie była w stanie zmusić ust do sformułowania odpowiedzi.

– Bardzo przepraszam – powiedział Luke. – Naprawdę myślałem...

– Nie przepraszaj, stary. – Gethin wyglądał na oszołomionego. – To niesamowita wiadomość! Posłuchaj, Alice, musimy porozmawiać...

Luke podniósł ręce.

– Jasne. Zostawiam was.

Alice nie miała innego wyjścia, jak pójść za Gethinem, kiedy złapał ją za rękę i poprowadził do salonu, przygotowanego do podwieczorku. Dostrzegła Fido, białą kulkę sierści, śpiącą na jednej z sof.

Za czarną kurtyną pamięci coś drgnęło. Wrażenie déjà vu. Fragmenty obrazów – czerwone tulipany, ścierka do naczyń z kosami, kuchnia w domu Gethina. Nie widziała tej ścierki od tamtego czasu. Gdzie się podziała?

– Czy możesz puścić moją rękę? To boli.

Trzymał ją tak mocno, że metalowa bransoletka zegarka wbijała się w delikatną skórę nadgarstka.

– Przepraszam – powiedział, ale nie zwolnił uścisku, dopóki nie znaleźli się w salonie.

Zamknął szklane drzwi.

Na ich widok Fido zeskoczyła z sofy. Alice pochyliła się, żeby pogładzić psa i zyskać na czasie.

Co mogę powiedzieć? Zaprzeczyć?

To jest ta chwila, pomyślała. Powiedz mu. Już!

Ale coś ją powstrzymywało.

– No, mów. – W głosie Gethina brzmiała ekscytacja. – Co się dzieje? Jesteś w ciąży? Czy Luke coś źle zrozumiał?

Alice powoli skinęła głową.

– O Boże! To wspaniale! Absolutnie wspaniale! – Twarz Gethina jaśniała. Trzymał Alice mocno, zbyt uszczęśliwiony, by zwracać uwagę na brak jej reakcji. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dowiedziałaś się niedawno?

Powiedz mu.

Alice potaknęła. Tak się cieszył – czy ona może to psuć? Choć miała wrażenie, że jego radość zapędza ją do kąta, nie pozwala na sprzeciw.

– Ale... – Gethin wodził spojrzeniem po jej ciele. – Nic dziwnego, że nie wiedziałaś, zupełnie nic nie widać. Musisz być w piątym, szóstym miesiącu.

– Piątym albo szóstym?

– Tak. – Zarumienił się. – Wtedy ostatni raz... No, wiesz. W twoje urodziny, w lutym. Te sprawy nie układały się dobrze, szczerze mówiąc, ale może to dlatego. – Poweselał. – To by tłumaczyło twoje zmienne humory i dziwne zachowanie. I to, że nie lubiałaś, żeby cię dotykać. Wiedziałem, że musi być jakiś powód.

Coś tu nie gra, pomyślała Alice. Naprawdę, coś bardzo tu nie gra. Czy on mówi prawdę? Luty? Nie spali ze sobą od lutego?

– Miałem zamiar zaczekać z tym, aż przeniesiesz się na stałe, ale teraz musimy zalegalizować... Wiesz, że jestem staroświeckim romantykiem. – Gethin przykląkł na jedno kolano.

W głowie Alice wreszcie coś zaskoczyło.

– Nie!

Głos brzmiał ostro. Zbyt donośnie, żeby był uprzejmy.

– Co? – Gethin spojrzał na nią z niewygodnej pozycji na podłodze. – Daj spokój, próbuję zrobić to jak trzeba.

– Chyba się nie oświadczasz?

– Oczywiście, że się oświadczam. Jesteś matką mojego dziecka. Najmniejsze, co mogę zrobić, to uczynić z ciebie uczciwą kobietę.

– Nie mogę za ciebie wyjść – usłyszała Alice własne słowa.

– Dlaczego? Nie obchodzi mnie, co wydarzyło się w przeszłości. Zapomnij o tym. – Oczy Gethina nigdy nie wydawały się tak wielkie jak teraz. – Jesteśmy dla siebie stworzeni. Mówiłem to od samego początku.

– Ale ja ciebie nie znam.

Twarz Gethina poszarzała.

– Alice, co przez to rozumiesz? Jak możesz tak mówić? Uratowałaś mnie!

Krew zadudniła jej w uszach. To zbyt okrutne, pomyślała. Słowa wpadały jej do głowy nie wiadomo skąd. Co on robi, jeżeli powiem, że go nie kocham? Zagrozi, że się zabije?

To będzie moja wina.

Zaraz. Przecież jak dotąd mi tym nie groził. Czy to déjà vu?

Coś w słowach przemykających przez umysł Alice było dziwnie znajome.

Już to przeżywałam, pomyślała. Ale przecież nie mogłam!

Usiłowała sobie przypomnieć słowa Libby. Które brzmiały tak rozsądnie.

– Przykro mi, Gethinie, ale cokolwiek nas łączyło przestało istnieć. Nie mogę za ciebie wyjść. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi i postaramy się jak najlepiej to wykorzystać, ale...

– Ale jest dziecko! Nie możesz tak po prostu ode mnie odejść! Od nas! Nie wiesz, co mówisz. To hormony. – Podniósł się z klęczek i stał teraz bardzo blisko Alice. – Może powinniśmy wrócić do domu i porozmawiać.

U stóp Alice zaczęła skomleć Fido.

– Nie chcę wracać do domu – powiedziała Alice z większą stanowczością niż czuła. Coś w jej głosie sprawiło, że sunia zaskomlała jeszcze głośniej.

– Zamknij się, Fido! – rzucił gniewnie Gethin.

Zrobił krok w stronę Alice.

Skomlenie zmieniło się w warkot. W dodatku pasujący do o wiele większego psa.

– Ciii – powiedziała Alice.

Kiedy patrzyła na Fido, próbując ją uspokoić, znenacka poczuła jakiś ruch koło głowy. Gethin chwycił ją za włosy; zza drzwi mogło to wyglądać tak, jakby pieścił jej kark przed czułym pocałunkiem. Ale on okręcił jej włosy wokół palców i ciągnął mocno. Tak mocno, że Alice musiała odchylić głowę.

– To jakaś gra? – zapytał. Pomimo bólu, który jej sprawiał, wyglądał na zdezorientowanego i zranionego. – Traktujesz mnie jak tamtych, o których mi opowiadałaś? Jesteś wredna, żebym zdwoił starania? O to ci chodzi? Tego ode mnie oczekujesz? Bo ja nie zamierzam z nas zrezygnować, Alice. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Nikt nigdy nie będzie cię kochał tak mocno jak ja.

Coś poruszało się za kurtyną w umyśle Alice. Wspomnienia napierały i wyłaniały się na powierzchnię, tworząc łańcuch, który wreszcie zaczynał nabierać sensu. Z jakiegoś powodu czuła zapach curry. Curry, którego smaku nie znosiła, a jednak tak często jadała.

„Ich” curry!

Nagle poczuła obawę o Fido, przecucie, od którego zakręciło się jej w głowie. Zbyt wiele myśli tłoczyło się pod czaszką, przez ścieżki w jej mózgu przelewał się nadmiar obrazów, zbyt wielki, by je przetworzyć. Miała wizję tulipanów. Tulipany rozrzucone na białych kuchennych kafelkach. Próbowwała uciekać w kłapkach, próbowała nieść Fido.

Fido nie przestawała warczeć. Kiedy Gethin znowu szarpnął za włosy i Alice krzyknęła z bólu, sunia zaczęła szczekać i skakać do jego nóg.

– Nie, Fido, nie! – prosiła Alice.

Gethin bez słowa, bez ostrzeżenia, z całej siły kopnął małą foksterierkę w brzuch, posyłając ją na drugi koniec pokoju, gdzie z głuchym tąpnięciem wylądowała obok kanapy.

Alice jęknęła, a serce uniosło się w piersi, jakby było zbyt lekkie.

W tej samej chwili wróciła jej pamięć. Mdlącą, gwałtowną falą.

<sup>4</sup> Punch – po włosku Pucinella (pol. Poliszynel), postać z komedii dell'arte. Angielski zwrot: *No show without Punch*, oznacza tyle co „wszyscy wiemy, jak jest” i często bywa używany jako puenta rozmowy (przyp. tłum.).

## Rozdział 31

Alice stała jak sparaliżowana; w głowie jej wirowało od gorączkowych myśli. Obrazy przesuwały się przed jej oczami, ale szybciej i wyraźniej niż wtedy, gdy w szafce znalazła rzeczy Fido. To były mroczniejsze wspomnienia, pełne strachu i paniki. Wspomnienia, które sprawiły, że jej pierś niemal nic nie ważyła od skoku adrenaliny.

Kurtyna się podniosła. W umyśle Alice dawne wydarzenia i odczucia połączyły się w całość.

Tamtego dnia nie zamierzała opuszczać domu. Chciała tylko uprzedzić Gethina, że się wyprowadza, ponieważ nie sprawdzili się jako współlokatorzy. Ich związek się skończył. On skuteczniej będzie mógł się zająć swoim życiem, jeżeli jej nie będzie w pobliżu. Jedno z nich musiało wreszcie głośno powiedzieć, że są przyjaciółmi, nie kochankami (Alice zdawała sobie sprawę, że takie określenie to z jej strony uprzejmość).

– Spotkasz inną dziewczynę – powiedziała. – Jesteś uroczym facetem.

Bo taki był z niego uroczy facet. Tyle że nie dla niej. Nie wtedy, gdy nie wypełniało jej włoskie wino, słońce i nadzieja spod znaku New Age.

Poczuł się zdradzony; zobaczyła to w jego oczach. Nie przyjął jej słów do wiadomości, podobnie jak się nie pogodził z końcem ich związku, kiedy przeniosła się do gościnnego pokoju. Mieszkała tam przez trzy miesiące. Dzieliła z nim łóżko zaledwie przez sześć, siedem tygodni, bo szybko pojęła, że między nimi brak chemii. Zbyt go lubiła, żeby udawać. Ale Gethin nie zrezygnował. Łączy ich specjalna więź, twierdził, są pokrewnymi duszami, nie chodzi tylko o seks. Tylko że jego miłość odbierała jej siły. Im bardziej jej potrzebował, tym słabsza czuła się Alice.

Już wcześniej próbowała się wyprowadzić, ale nikogo w nowym miejscu nie знаła, brakowało jej pieniędzy na wynajęcie czegoś samodzielne. A miała Fido i pracę, którą musiała utrzymać, oraz Gethina, powtarzającego, jak bardzo jej obecność jest mu niezbędna. Poddała się. Dla niego był to znak, że



w głębi duszy pragnęła zostać, więc od czasu do czasu przypominał jej, że dostrzegł w niej to coś, czego inni partnerzy nie widzieli. Później mówił to regularnie, a Alice zaczęła myśleć, że być może ma rację.

Ale tamtego poranka...

W końcu Alice miała powód do odejścia. Bardzo dobry powód, który sprawił, że słowa, wcześniej blokowane przez poczucie winy, teraz popłynęły. Poznała kogoś. Kogoś, przy kim wcale się nie wstydziła. Na którego widok czuła gorące dreszcze radości. Przez jakiś czas walczyła z tymi doznaniem, bo bała się popełnić po raz kolejny ten sam błąd.

Ale on był inny, a ona pragnęła być wolna, żeby móc wyznać, co czuje.

Gethin zareagował gorzej, niż się spodziewała. Łzy, owszem, ale nie wściekłość. Jej natężenie wytrąciło Alice z równowagi.

– Jak ktoś może cię kochać tak bardzo jak ja? – pytał. Na widok błysku w jego oczach mgliste obawy Alice nabrały wyraźnego kształtu. – Nie możesz odejść. Musimy porozmawiać.

„Nie możesz odejść”. Dłoń zaciśnięta na jej przegubie. Głuchy warkot dobywający się z gardła Fido.

Obrazy przesuwają się przed oczami jak film, którego Alice nie potrafiła zatrzymać.

Rozpaczliwie próbował ją pocałować. Ona go odepchnęła. Fido wciąż warczała.

A potem, kiedy Alice chciała zakończyć rozmowę, gniewnie chwycił ją drżącymi rękami. Fido ujadła. Głośno.

Przerażona Alice zamknęła oczy, ale to tylko przydało obrazom wyrazistości.

Gethin rzucił się na Fido z twarzą wykrzywioną w okropnym grymasie.

Wtedy też Alice uświadomiła sobie, że wcale go nie zna. Że nie ma pojęcia, do czego może być zdolny.

To wtedy rzuciła się do ucieczki, tak jak stała, z tym, co miała w kieszeniach, i ze skomlącym psem pod pachą.

To wtedy powiedział jej o wakacjach-niespodziance, a ona wybiegła z domu.

Alice krzyknęła. Próbowwała dotrzeć do Fido, która leżała bez ruchu przy sofie, ale Gethin trzymał ją za włosy.

– Puszczaj! – Uwolniła się szarpnięciem. Odpychając go, nie czuła bólu.

Gethin zakrył usta dłonią. Zszokowany szeroko otworzył oczy.

– Nie chciałem! To przez ciebie, Alice! Tak bardzo mi na tobie zależy... –  
Zrobił krok w jej stronę.

Powstrzymała go podniesieniem rąk.

– Tknij mnie palcem, a zacznę tak wrzeszczeć, że zbiegną się wszyscy –  
ostrzegła.

Mówiła poważnie.

Gdzie u psa szuka się pulsu? Nie miała pojęcia. Nie wiedziała, jak dotknąć Fido, żeby przypadkiem jej nie urazić. Sunia miała zamknięte oczy. Wyglądała, jakby spała, Alice jednak wiedziała, że to tylko pozory.

Zrobiło się jej niedobrze z paniki. Fido ją broniła! Robiła, co mogła.

Gethin zbliżył się o kolejny krok.

– Przepraszam, Alice. Tak mi przykro. Nie mam pojęcia, co mnie opętało. To było takie okropne, że mnie nie poznawałaś, nie pamiętałaś, co między nami było. Jakbym wszystko stracił. Przy tobie poczułem się kompletny, a ty mówisz, że nic nie pamiętasz. To mnie wykańcza.

Kłamał od samego początku, pomyślała, gdy uwolnione wspomnienia przesuwają się przed jej oczami na chybił trafił. Londyn, gdzie się poznali. Tamta plaża w Aberystwyth, taka zimna i słona. Namiot, pocałunki, zmiażdżona trawa. Czy to było prawdziwe? Wszystkie te fotografie, pokazy slajdów, playlisty? Nic dziwnego, że skończyło się w moje urodziny. To wtedy mu powiedziałam, że nic z tego nie będzie. Gethin jej wmawiał, że ich związek trwa, a ona mu wierzyła.

W gardle Alice wezbrała żółć. Zostałaby z nim, ona i dziecko. Na zawsze. Zastanawiałaby się, dlaczego nic nie potrafi sobie przypomnieć, coraz bardziej oplątana siecią jego potrzeb. Zmieniłaby się w jego wersję siebie. Utraciłaby prawdziwą Alice.

– Odsuń się ode mnie – powiedziała z całym spokojem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Gethin złapał ją za rękę.

– Musimy porozmawiać! Jesteś to nam winna.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. – Wyrwała się z jego uścisku. Czowała, jak zalewa ją gniew. – Wyprowadzałam się! Kłamałeś w każdej sprawie. – Fido leżała bez ruchu. – Powiedziałeś, że Fido nie żyje, żebym się tym dręczyła, choć przecież wiedziałeś, że to nieprawda! Jesteś chory!

Alice odsunęła się i spojrzała na szklane drzwi.

Podczas ich rozmowy w Łabędzie zjawili się kolejni goście. Recepcję wypełniał tłum ludzi cieszących się miłą atmosferą i triumfem Libby. Nie mogła prac tam swoich brudów. Ale też nie mogła pozostawić Fido z Gethinem.

– Proszę, sprowadź pomoc. Szybko.

Gethin zajął pozycję między Alice a drzwiami.

– Nie, najpierw to wyjaśnimy. Chcę tam pójść i ogłosić światu naszą nowinę. Tego chyba nie możesz mi zabronić?

– Co takiego? Nie ma mowy! Wykluczone, żebyś ogłaszał cokolwiek!

Ktoś zbliżał się do drzwi; przypuszczalnie jakiś gość chciał zobaczyć nowy salon. Alice zadudniło w głowie z ulgi, ale Gethin dostrzegł, na co ona patrzy, i szybko uchylił drzwi. Ciałem zasłonił widok na pomieszczenie.

– Przepraszam, stary – powiedział z tym swoim przyjaznym walijskim akcentem, w którym nie pozostał ślad po wcześniejszej furii. – Wyjaśniamy sobie kilka spraw. Możesz dać nam minutę? To wyjątkowe chwile w życiu pary, chyba rozumiesz?

– Muszę sprawdzić światła. Rozkaz szefowej.

To był Luke. Luke! Alice poczuła ogromną ulgę. Z Lukiem była bezpieczna.

– Daj nam chwilę, stary.

Gethin chciał zamknąć drzwi, ale Alice skoczyła ku niemu.

– Luke! – wykrztusiła – Fido jest ranna! Gethin ją kopnął! Trzeba ją szybko odwieźć do weterynarza!

– Kopnąłem ją? – Gethin roześmiał się, udając zaskoczenie. – Niby dlaczego miałbym kopać Fido? Ona śpi. Poważnie. Dobrze się czujesz, Króliczku? – Spojrzał na Luke'a. – Jest tu lekarz? Ona...

Nie skończył, tylko uniósł brwi.

– Proszę! – błagała Alice. – Widziałeś Rachel, tę właścicielkę schroniska? Jej mąż jest weterynarzem!

– Taki wielki facet? Owszem, oboje są w ogrodzie i rozmawiają z Bobem.

Luke ani drgnął. Stał i uważnie przypatrywał się obojgu.

Alice miała wrażenie, jakby sprawy, dotąd zawieszony, nabrały impetu.

Odchodziłam do niego.

Nie musiała się zastanawiać. Wspomnienia były w jej głowie, mogła po nie sięgnąć.

Odchodziłam, bo chciałam, żeby wszystko było jasne i uczciwe. Dla Luke'a. Nalegał na to. Potrzebował tego. Po tamtym...

Głośno nabrała powietrza, gdy wspomnienie przemknęło przez głowę. Luke spojrział jej w oczy i już wiedziała, że on czuje tak samo. Odczytywała to z jego twarzy. Z jego troski. A jednak nic nie powiedział; czekał, aż wróci jej pamięć. Teraz wiedziała dlaczego. Kolaż wspomnień: zapach zwiędłego piwa, długie palce Luke'a bawiące się łyżeczką, jego oczy spoczywające na jej twarzy, lampa rzucająca cień na jego kości policzkowe. Rozmawiali o jego przeszłości, o fatalnej opinii, którą miał jako nastolatek, o tym, że rodzina zawsze podejrzewała go o najgorsze, że musiał ciężko pracować, by te obawy nie stały się prawdą.

On i jego ludzie wynajęli pokoje na dwa tygodnie. Luke i Alice wiedzieli o sobie coraz więcej, ale ich sympatia nie malała. Napięcie rosło, rozmowy stawały się dłuższe, iskry tworzyły sieć wzajemnego przyciągania. Tajemnice, spojrzenia, zbiegi okoliczności, muzyka, zapach Luke'a, dreszcz, który czuła Alice, kiedy przyłapywała na sobie spojrzenie ciemnych oczu. Wiedziała, że ją zna, a mimo to lubi. Księżyc, z każdą nocą większy, zmieniający się w okrągłą tarczę. Tamta noc. Wspólnie patrzyli, jak księżyc wschodzi ponad drzewami.

Luke spojrział na nią i Alice już wiedziała.

– Przypomniałam sobie. – Jej głos brzmiał piskliwie. – Przypomniałam sobie wszystko.

Uniósł brwi. Bardziej z nadzieją niż pytająco.

– Wszystko?

Alice wreszcie pamiętała. Autobus, na który nie poszła, butelka wina, jej dłonie na jego skórzanym pasku, jego dłonie w jej włosach. Poczucie, że to jest słuszne i naturalne, że to po prostu ciąg dalszy ich rozmowy, którą teraz prowadzą ich ciała. Jego usta na delikatnej skórze za jej uszami, urwany oddech, gdy coś uwolniło ją z ciała, jego skrucha, gdy było po wszystkim, i jej decyzja, żeby dla niego postąpić właściwie. Żeby mógł poczuć się przyzwoitym człowiekiem, którym był naprawdę. Wiedziała to bez cienia wątpliwości.

– Wszystko – potwierdziła i poczuła, jak serce Luke'a rośnie, choć dzieliło ich kilka metrów.

– A co z psem? – zapytał Gethin potulnie. – Jak wygląda ten weterynarz? Pójdę po niego...

– Nie, ty zostaniesz – przerwał mu Luke. Ostrzegawcza nuta w głosie wystarczyła. – Chciałbym z tobą pogadać. A ty, Alice, biegnij. Rachel mówiła, że nie mogą zostać długo.

Alice wyprostowała się chwiejnie; w jej żyłach wciąż krążyła adrenalina. Nie wiedziała, jak dotarła do drzwi.

Libby uważała, że impreza przebiega doskonale.

Udzieliła wywiadu gazecie, zapozowała z Margaret do zdjęcia za kontuarem recepcji. Kiedy zażartowała, że obie są jak Sybil z *Hotelu Zacisze*, teściowa odparła: „Och, wieeem!”. Libby nigdy dotąd nie słyszała tak udatnej parodii Sybil Fawlty. Zupełnie się tego nie spodziewała i wybuchnęła głośnym śmiechem.

Fotograf pokazał jej zdjęcie na wyświetlaczu aparatu: ona radośnie odchyła głowę, Margaret z powagą patrzy w obiektyw. Libby była zachwycona. Fotografia stanowiła sumę tego wszystkiego, co chciała, żeby ludzie myśleli o hotelu: szczęśliwy, elegancki, przyjazny, nieco zaskakujący. Biznes rodzinny.

Wcześniej Margaret zapytała, czy może wygłosić mowę, a Libby się zgodziła. Nie miała nic przeciwko temu, że także teściowa na chwilę stanie w świetle reflektorów. Uznała, że osobiste podziękowania dla wszystkich ludzi, którzy byli dla niej tacy dobrzy, są okej. Choć mowa w gruncie rzeczy nie dotyczyła ich, a Margaret, choć przybyli tłumnie: Michelle, przyjmująca pochwały za wystrój, Lorcan i jego żona Juliet, która przywiozła tace wyrefinowanych przekąsek na podwieczorek, wszyscy pracownicy Lorcana, wyszorowani, w czystych koszulach; z zakrytymi tatuażami wyglądali jak dzieci. Była nawet Doris, którą przyprowadziła jedna z pielęgniarek. Siedziała przy recepcji, przyjmowała hołdy i opowiadała skandaliczne historie o tym, jak w przeszłości w Longhampton strumieniem płynęło sherry. Libby nie była pewna, co o tym myśli Margaret.

No i Erin. Jej podziw na widok wspaniałości hotelu, jej duma z Libby, z zaszczytu, że są z Pete'em pierwszymi oficjalnymi gośćmi – wszystko to sprawiało, że Libby chciało się płakać z ulgi i wdzięczności. Więc jednak ma przyjaciół! Może plusem całego tego bałaganu jest odkrycie jak dobrych?

Początkowy niepokój, że nikt nie przyjdzie, ustąpił miejsca obawom, że zabraknie dostarczonego przez Luke'a szampana, a samochody zajmą całe sąsiadujące z hotelem pole. Libby miała jednak jeszcze jeden powód, żeby ciągle coś robić, o czymś myśleć, uśmiechać się nieustannie. Dzięki temu brakowało jej czasu na zastanawianie się nad tym, co się wydarzyło, kiedy otworzyła drzwi dla pierwszych gości.

Na dnie serca marzyła, że Jason przyjedzie na przyjęcie, że zobaczy, czego dokonała. Jego twarz wypełni podziw, miłość i prośba o przebaczenie, i to w takiej właśnie kolejności. Że będzie błagał o nowy początek, tym razem taki, jak trzeba. Każdy wpis na Twitterze i Facebooku, każdą aktualizację robiła z myślą o nim. Pragnęła wierzyć, że Jason gdzieś tam jest. Że wszystko czyta.

Lecz potem, akurat kiedy podawała drinki burmistrzowi i jego żonie, zabrzączał jej telefon. Wyciągnęła go z kieszeni drżącą ręką i – tak! – był to esemes od Jasona.

„Powodzenia w dniu otwartym”.

I tyle. Żadne: „Przyjadę”. Prawdę mówiąc, równie dobrze mógł napisać: „Nie przyjadę”.

Rozczarowanie Libby było tak gorzkie, że czuła jego smak. Ale to nadal jest dobry dzień, powiedziała sobie. Dobry dzień. Donald byłby zadowolony.

Margaret miała wygłosić mowę w samo południe w ogrodzie, więc za kwadrans dwunasta Libby pomyślała, że lepiej zebrać Lorcana, Alice, Ginę, Luke’a i wszystkich tych, którym teściowa będzie dziękować. Powoli przedzierając się przez tłum, omal nie potknęła się o męża Rachel, George’a, wychodzącego z salonu z jakimś zawiniątkiem. Poznała ręcznik kąpielowy. Nowiutki i biały, z jej bieliźniarki.

– Hola...! – zaczęła, ale zaraz dostrzegła Alice z twarzą mokrą od łez, a za nią Luke’a i Gethina. Luke miał minę zdecydowaną i surową, Gethin wyglądał, jakby też płakał. – Co się dzieje?

– Fido – wykrztusiła Alice. – Ona...

– Miała wypadek – uzupełnił Gethin.

Ku zaskoczeniu Libby Alice powiedziała gniewnie:

– Nie, Gethinie, to nie był wypadek. Przestań kłamać!

– Ludzie, spokój. Nie mamy na to czasu – wtrącił George, idąc szybko w stronę drzwi.

Libby cofnęła się, robiąc mu przejście.

– Fido?

– Gethin ją kopnął. – Libby nigdy dotąd nie widziała przyjaciółki tak rozgniewanej. Alice wręcz się trzęsła. – Kopnął mojego psa! George uważa, że musi przeświecić Fido i sprawdzić, czy nie doszło do obrażeń wewnętrznych. Gethin okłamywał mnie we wszystkim!

– Alice... – zaczął Gethin, którego Luke popychał w kierunku drzwi, niemal

go nie dotykając.

Libby domyśliła się, że stosuje jakieś niewidoczne wojskowe chwyt.

– Myślę, że czas najwyższy, żebyś wyszedł – powiedział spokojnie.

– Nie! Ja... Zaszło potężne nieporozumienie!

– Wręcz przeciwnie – odparł Luke. – A teraz, jeśli pozwolisz...

– Czy ktoś może otworzyć te cholerne drzwi? – zapytał gniewnie George. – Nie widzicie, że ręce mam zajęte?

– Pojadę z tobą – powiedziała Alice, ale on pokręcił głową.

– Nic nie będziesz mogła zrobić, tylko czekać w przychodni i denerwować innych klientów. Jak tylko będę coś wiedział, natychmiast dam ci znać. Ale proszę, nie przejmuj się. – Twarz mu złagodniała. – Rachel nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby coś przydarzyło się Fido. Ale, na miłość boską, uaktualnij dane w czipie. Dobrze?

Luke poczęstował biednego Gethina kolejnym szturchańcem; Libby patrzyła, jak wyprowadza go za drzwi.

Oszołomiona odwróciła się do Alice.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć. Mam wrażenie, że ominęło mnie coś niezwykle istotnego.

– Mnie też – odparła ponuro Alice. – Ale teraz już przynajmniej wszystko wiem.

Margaret stała pośrodku swojego idealnego ogrodu, otoczona przez trzydziestkę, a może więcej, gości. Wkroczyła na prowizoryczne podium (dwie skrzynie przykryte obrusem) i zarumieniła się, kiedy powitały ją spontaniczne oklaski. Za jej plecami pszczoły z bzyczeniem przenosiły się z jednego krzewu róż na drugi. Od wielkiego drzewa w rogu dobiegał aromat wiciokrzewu, przypominający zapach czystego prania. Ogród, w całości dzieło Margaret, bywał gwiazdą weekendu otwartych ogrodów, mimo to teraz jego gospodyni wyglądała na onieśmioną.

Libby nie widziała jej takiej nigdy dotąd, ale też nigdy Margaret nie występowała solo. Zawsze stała krok za Donaldem. Tym razem jednak czekał ją publiczny występ w pojedynkę.

I bardzo dobrze, pomyślała Libby. Mimo że ukradnie mi cały show.

– Przemowa! – zawołał ktoś, a Margaret powiedziała: – Czekam na spokój!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Obok Libby przystanął Luke. Uśmiechał się oszołomiony; Libby nigdy nie widziała go tak rozluźnionego.

– Zaczęła już?

– Nie. Wróciłeś w samą porę. – Libby uniosła brew. – Cholera, o co tu chodzi? Z Gethinem?

– Więc Alice ci powiedziała?

– Mówiła, że wymyślił większą część ich związku, żeby tylko z nim została. – Libby otworzyła oczy szerzej. – Takie rzeczy robią zawsze ci spokojni. Wiedziałeś, że on taki jest?

Luke pokręcił głową.

– Nie. Raz powiedziała mi wprawdzie, że martwi się o koleżankę, która ma bardzo zaborczego chłopaka, nieprzyjmującego odmowy, a ja pewnie... – Uśmiech znikł z jego twarzy. – Pewnie wiedziałem, ale nie... – Potarł policzek dłonią. – Nie potrafię czytać kobietom w myślach, fatalnie mi to wychodzi. Dałem jej adres Łabędzia i powiedziałem, że gdyby ta koleżanka musiała się wyprowadzić, tam zawsze znajdzie się łóżko dla mojej znajomej.

– Więc samochód potrącił ją, kiedy do nas szła? Wyprowadziła się od niego dla ciebie? Dlaczego nic nie mówiłeś, kiedy ją u nas spotkałeś?

– Nie miałem pojęcia, jak wyglądają jej sprawy z Gethinem. To znaczy, owszem, było coś między nami, ale powiedziałem jej, że najpierw musi uporządkować swoje sprawy, zanim zaangażujemy się mocniej. – Na twarzy Luke’a poczucie winy mieszało się z ulgą. – Chciałem oczywiście jej pomóc, ale Alice mnie nie poznawała, a ja nie wiedziałem, co się dzieje. Ona jest bardzo lojalna. Skoro zatem nie pamiętała o nas, a między nią a Gethinem dobrze się układało, czułem, że nie mam prawa tego psuć.

Libby obserwowała, jak Luke walczy ze sobą. Kiedyś wywróciłaby oczami i pomyślała: „Ma fobię na punkcie związków”, ale teraz zobaczyła go w nowym świetle. Jego ojciec. Jego geny. Jego wolna wola.

– Zostajesz, prawda?

Luke spuścił wzrok, a kiedy spojrzał na Libby ponownie, w jego ciemnych oczach malowało się słodkie zdecydowanie. Dostał szansę, by naprawić dawne błędy, pomyślała. Okazję, by być mężczyzną, którym jego biologiczny ojciec nie był. Stać się opoką, jak ten, którego uważał za prawdziwego ojca.

– Donikąd się nie wybieram – powiedział. – Zrobię wszystko, czego będzie chciała Alice.

– Ktoś o mnie mówi? Spóźniłam się? – Alice wcisnęła się w lukę między



nimi. – Przepraszam, sprzątałam.

To nie była prawda. Libby zauważyła świeży makijaż i wilgotne loki po spryskaniu twarzy zimną wodą. Luke objął Alice, a ona przytuliła się do niego; bez słowa ustawił ją przed sobą i mocno do siebie przycisnął. Ich ciała dopasowały się, jakby byli dla siebie stworzeni. Oboje się uśmiechali. Z niczego. Ze wszystkiego.

Libby otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Przyjdzie na to czas później.

– Panie i panowie – zaczęła Margaret z akcentem bardziej starannym niż zwykle. Kartka z notatkami drżała w jej dłoni, ale teściowa na nią nie zerknęła.

– Goście, dawni i nowi. Przyjaciele, dawni i nowi. I, oczywiście, psy.

– Pominęła rodzinę – mruknęła Libby do Luke’a.

– Oczywiście – odmruknął.

– To nie będzie długie wystąpienie, bo publiczne przemowy nie są moją mocną stroną. Bardzo się cieszę, że jest was dzisiaj tak wielu, i dziękuję za wszystkie miłe słowa, które usłyszałam na temat remontu. Niezwykle mi smutno, że Donald nie może zobaczyć, jak pięknie wygląda jego hotel, ale wiem, że wszystko spotkałoby się z jego głęboką aprobatą. Łabędź został odświeżony, a mimo to nadal pozostał hotelem, który znamy i kochamy.

– Tak! Tak!

– Nie mogę jednak w związku z tym przypisywać sobie zasług. Ani też tego nie chcę. – Z każdym słowem ton Margaret stawał się mniej oficjalny. – To wszystko dzieło jednej osoby, mojej bardzo utalentowanej synowej Elizabeth. Libby. Której skutecznej pomocy udzieliło wielu z obecnych tu dzisiaj, w tym Alice Robinson, nasza recepcjonistka. I... mój syn Luke.

Libby była kompletnie zaskoczona. Jej oczy wypełniły się łzami, gdy Margaret z ostrożnym uśmiechem spojrzała na całą trójkę.

– Mąż często mi powtarzał, że na przyjęcia dobrze przychodzić jako pierwszy gość, a źle z nich wychodzić jako ostatni. – Choć głos Margaret był mocny, oczy miała zamglone. – To dobra pora, żebym wyszła z tego konkretnego przyjęcia, przekazując lejce następnemu pokoleniu. Dziękuję wam wszystkim za wsparcie, które okazywaliście mi przez lata, i mam nadzieję, że nadal będziecie kochać Łabędzia w jego nowym wcieleniu.

Rozległy się oklaski; Margaret musiała odczekać, aż ucichną. Na jej twarzy malowała się niepewna przyjemność. Wyglądała na zdumiona samą sobą i reakcją gości.

– A teraz wręcę kilka bukietów, co jest rzeczą absolutnie stosowną dla przewodniczącej klubu ogrodniczego. Na szczęście znalazłam asystenta, który mi w tym pomoże, bo tak samo mocno, jak ja, pragnie okazać uznanie Libby za jej ciężką pracę dla hotelu i naszej rodziny.

Cofnęła się, a Libby zobaczyła, że za Margaret ktoś stoi.

To był Jason. Ubrany w białą koszulę i dżinsy, z włosami ostrzyżonymi i świeżo umyтыми, patrzący na Libby z mieszaniną podziwu i dumy. Trzymał największy bukiet ogrodowych róż herbacianych, jaki widziała w życiu.

– Wiesz, że mama nigdy wcześniej nie była sama w Londynie?

Jason i Libby siedzieli w ogrodzie pod jaśminową pergolą, z dala od tłumu gości gromadzących się w salonie na podwieczorek przygotowany przez Juliet.

– Przecież nas odwiedziła – zauważyła Libby. – Kiedy się pobraliśmy.

– Owszem, z tatą. I musieliśmy odebrać ich z hotelu. Do którego dotarli, przesiadając się z jednej taksówki do drugiej. Nie wydaje mi się, żeby przez cały ten czas mama postawiła nogę na londyńskim chodniku.

– Do czego zmierzasz?

Jason spojrzał jej w oczy.

– Przyjechała zobaczyć się ze mną u Stevena. W Clapham. Oznajmiła, że to, co ma mi do powiedzenia, nie nadaje się na rozmowę telefoniczną, bo ona musi być przekonana, że wszystko słyszałam. – Spuścił wzrok, skubiąc łodygę trawy. – Nigdy wcześniej też na mnie nie krzyczała. Powiedziała, że jeśli nie wezmę się w karby, stracę ciebie, a ona nigdy mi tego nie wybaczy. Że dokonałaś cudów w hotelu i gdyby tata żył, nagadałby mi do słuchu za to, na co przez cały ten rok cię narażałam.

Jeszcze tydzień temu Libby nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić. Lecz teraz, po przemowie i nowej fryzurze Margaret?

– A co ty odpowiedziałeś?

– Cóż... Zauważyłem, że ja też właściwie nie siedzę na tyłku i nie płacę do kufła. Codziennie chodzę do pracy.

– Gdzie? – To była nowina.

– W departamencie marketingu w Sanderson Keynes. Nie jest to może praca marzeń, ale zawsze praca. Gdzieś musiałem zacząć od nowa. – Wyrwał kolejne źdźbło. – Trochę kłopotliwa była konieczność odpowiadania na pytania typu: „Dlaczego opuścił pan firmę Harris Hebden?”, ale...

zapewniłem, że jestem gotów ciężko tyrać. I miałem referencje.

– Od Stevensa?

– Nie! Od mojego dawnego szefa. Wygląda na to, że każdy ma prawo do jednego błędu. Nawet mama. – Spojrzał na Libby.

Powaga na jego twarzy świadczyła, że Margaret opowiedziała mu o swojej jednej pomyłce. Tej, którą przekształciła we wspaniałe życie.

– Świetna robota – skomentowała Libby. – To wymagało ikry.

Przesunął dłoń tak, że teraz ich małe palce się stykały.

– Nigdy nie miałem nic przeciwko ciężkiej pracy. Wiesz, że nie chodziło mi o pieniądze? Kiedy byłem brokerem? Ja tylko chciałem zarobić trochę gotówki, wrócić tutaj i prowadzić miłe życie z miłą dziewczyną.

– Której mógłbyś kupować prezenty u Tannersa.

Odchrząknął.

– Mhm. Oddałaś kolczyki?

– Próbowałam. Powiedziałam, że nie jest mi w nich do twarzy. – Libby skrzywiła się na wspomnienie tamtej niezręcznej rozmowy. Najpierw ze sprzedawczynią, potem z zastępcą kierownika, na końcu z kierownikiem. – Mogłabym dostać zwrot kasy, ale jakoś nie miałam wrażenia, że zapłacę nią za prąd, więc... Nadal są w domu. – Umilkła na chwilę. – Podarujmy je twojej mamie pod choinkę. To będzie sympatyczna odmiana po olejkach do kąpieli.

Jason ujął jej rękę.

– Jestem idiotą, Lib. Wpakowałem cię w tę sytuację, a potem zmusiłem do wysiłków ciebie i mamę, żebym się pozbierał. Wiesz, przeraża mnie, jak mało brakowało, żebym kompletnie spieprzył nam wszystkim życie. Wiem, łatwo powiedzieć, że chcę to naprawić, ale... Mogę to tylko udowodnić w działaniu. Bo to wszystko nic dla mnie nie znaczy, jeśli nie będę miał ciebie.

Libby zobaczyła nagle nowego Jasona. Nie tamtego mężczyznę z pociągu, a doświadczonego człowieka z kilkoma zmarszczkami od częstego śmiechu i zdecydowaną linią szczęki. Potrafiła sobie wyobrazić, że się z nim starzeje – jak wspólnie starzeli się Margaret i Donald – że dopasowują się wzajemnie do swoich słabości i silnych stron. Jak jabłonie w sadzie, rosnące ku słońcu, opierające się deszczowi.

Kochała go do bólu.

– Jasonie?

– ?

Delikatnie ujęła go pod brodę i odwróciła ku sobie jego twarz.

– Wiesz, dlaczego się z tobą związałam? Bo nie przestałeś być tym facetem z pociągu, który wylał kawę i zniszczył mi szal. Porządnym człowiekiem. Który potrafi ugotować makaron i radzi sobie z przeszkodami – dodała dla jasności. – A reszta... Reszta po prostu bierze się z tego.

Jason ostrożnie musnął palcem jej nos i krzywiznę policzka, by w końcu położyć go na dolnej wardze Libby.

– Muszę ci coś wyznać – oznajmił z powagą.

Serce Libby, które było szybciej z powodu znajomego zapachu i miękkiego wgłębienia w szyi Jasona, z powodu jego bliskości, teraz zadudniło mocniej.

– Kolejne wyznanie?

Jason potaknął i westchnął.

– Ja tę kawę wylałem specjalnie. – Kciukiem pogłaskał ją po wardze. – Musiałem jakoś zwrócić na siebie twoją uwagę. Fatalnie mi wychodziło nawiązywanie rozmowy. Ale reszta, hm, całkiem niezłe.

Libby nachyliła się ku niemu, nie odrywając oczu od jego twarzy. Kiedy ich usta zbliżyły się do siebie na tyle, że poczuła na skórze ciepły oddech, zamknęła oczy. Jej głowę wypełnił aromat jaśminu i wiciokrzewu, przytłumiony słoneczny poblask, smak ust Jasona, zapach jego skóry i jedna myśl.

„Wróciłam do domu, choć aż do teraz nie wiedziałam, że przebywałam z dala od niego”.

*Do Libby.*  
*Dziękuję, że uratowałaś nieznajomą,*  
*która trafiła na twój próg,*  
*i obdarzyłaś ją swoją przyjaźnią.*  
*Z wyrazami miłości*  
*Alice X*

*Do Alice.*  
*Dziękuję, że wprowadziłaś do naszego domu swoje serce.*  
*Czasami potrzeba, żeby obca osoba*  
*powiedziała nam, kim jesteśmy naprawdę.*  
*Z wyrazami miłości*  
*Libby X*

# Podziękowania

Mam wielkie szczęście, że otaczają mnie bardzo dobrzy ludzie. To odpowiednia pora, żeby podziękować im za wielkie i małe przysługi, które mi wyświadczali, kiedy pisałam tę książkę. Wszystkie one sprawiły, że mój świat stał się lepszy!

Oto, kto znalazłby podziękowania na gałęziach mojego Drzewa Dobroci:

Francesca Best, niezwykła redaktorka – za cierpliwość i słowa zachęty, za umawianie wszystkich spotkań w mojej ulubionej kawiarni Honey&Co, a potem za dzielenie się puddingami,

zespół w wydawnictwie Hodder, zwłaszcza Naomi i Vero – za kreatywne wsparcie, natchniony marketing, piękne okładki i zaraźliwy entuzjizm,

Lizzy Kramer – za pozwalanie mi na wiarę, że jej genialne sugestie wymyśliłam sama, i za bycie najlepszą, najmądrzejszą doradczynią w absolutnie wszystkich sprawach,

Harriet Moore – za bycie inspirującą, elokwentną i myślącą pierwszą czytelniczką i za list edytorski, który czytam raz po raz, żeby poprawić sobie humor,

Chris Manby, piękna królowa karty win – za to, że na rozmaite sposoby rozśmiesza mnie codziennie,

Hulya Mustafa – za wykładanie kart w odpowiedniej chwili i generalnie za to, że jest fantastyczny,

Dillion Bryden – za uporządkowanie komputerowego kryzysu, naprawienie samochodu i znalezienie najbardziej pochlebnego światła przy fotografowaniu autorki,

Didrikson – za uszycie przeznaczonej na spacer z psem kurtki z kapturem, który nigdy nie spada, i mnóstwem kieszeni,

James i Jan Woodowie – za to, że są serdecznymi, troskliwymi sąsiadami, których poza Longhampton nigdzie się nie znajdzie,

Sandra Allen – za to, że w ostatniej chwili zgadza się na opiekę nad

bassetem, oraz za najlepsze na świecie jaja z wolnego wybiegu,

Krzysztof Kolumb – za czekoladę w Europie,

moi przyjaciele pisarze – za mądre rady i wsparcie. Za szczerość.

I jak zawsze moi mama i tato. Za to, że mama zawsze odbiera telefon, a tata opróżnia pułapki na myszy.

Najserdeczniejsze podziękowania przekazuję również Wam, moi Czytelnicy, którzy jesteście na tyle mili, by poświęcić swój czas na napisanie recenzji, skontaktowanie się ze mną na Twitterze, pozostawienie wiadomości. Naprawdę wystarczy kilka słów, by rozjaśnić pisarzowi cały dzień, a to naprawdę wiele znaczy. Bardzo, bardzo wam dziękuję!

# Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)



[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Podziękowania](#)